

Roman Danak

Sotnie łysego Iwanki

Powieść SF

WYDAWNICTWO
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
RZESZÓW 1994

Korekta
STANISŁAWA OSETEK

Opracowanie techniczne
KRYSTYNA BARAN

Skład i łamanie
JERZY ŁASTOWSKI

Projekt okładki i kart tytułowych
ALICJA ŁĄTKA-LEWANDOWSKA

ISBN 83-900933-7-5

Printed in Poland

573

WYDAWNICTWO WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ W RZESZOWIE

Wydanie I. Format A5. Ark. wyd. 20.
Ark. druk. 24. Zam. 85/94.

WYKONANO W DRUKARNI WSP W RZESZOWIE

SPIS RZECZY

PROLOG

Rozdział 1
POSELSTWO

Rozdział 2
TESTAMENT ATAMANA

Rozdział 3
LEWOSAŃSK

Rozdział 4
SOTNIE ŁYSEGO IWANKI

ZAKOŃCZENIE

Postowie — Zbigniew Dworak

PROLOG

I

Gdy wczesną wiosną 2255 roku pojawiła się w Hruszy Obronnej dziurawka, zwana też żywognicem, rozumieli wszyscy ogrom nadeszłego nieszczęścia, bo nigdy jeszcze zaraza ta do wsi nie dotarła, a wiadomo było, że tam największe zbiera żniwo, dokąd przychodzi po raz pierwszy. Prócz dwóch starców, którzy przeszli chorobę w młodości, w innych stronach, i dwóch niewolnych, pochodzących z krajów Izbek-Szaha, zachorowali wszyscy mieszkańcy Hruszy.

Ze Stałopisu księdza Wasyla Kropyty

W roku terażniejszym 2221, wnet po zejściu śniegów, przelecieli postowie od Onieckich po wszystkich Ziemiach naszych pomocy prosząc przeciw Izbek-Szahowi, który wojskiem ogromnym wydarł im, co mieli za Ońcem.

Petro Szczyrobijny, ataman Postawucia i Poboża, pytał postów, gdy przyszli do niego: „Mowa wasza podobna bardzo, ale z naszą nie ta sama, to czemuż my was od Izbek-Szaha mamy bronić?” A oni, że jak Izbek przez Oniec przejdzie, to i do Stawuty dojdzie, i także przejdzie, i dalej pójdzie, bo taka siła jego. Dał im wtedy pismo swoje ataman Szczyrobijny, które dalej wszędzie pokazywali, a było w nim, że Postawucie z Pobożem na wyprawę idą i wszystkich ze sobą iść proszą, bo zamiary Izbek-Szaha granic nie mają, a moc jego taka, że razem trzeba ją powściągać. Uznali to atamani Ziemi naszych, i pobiegli nasi Onieckim pomagać. Z Ponestrza poszło sotni dwadzieścia, z Łowynia Wysokiego piętnaście, Postawucie z Pobożem dwadzieścia pięć poszło, a Niski Łowyń z Mokrym Krajem dwanaście sotni na Izbek-Szaha wystawił. Zostało wielu panów żołnierzy naszych w Sławucie wezbranym, a to z tej przyczyny, że dla pośpieszniejszej przeprawy tratwy pobudowali za wielkie, przez co jedną taką piorun prosty, za most widać mając, trzasnął i w chwilce spalił. A potem z Posulskimi razem i Orneckimi wojowali panowie żołnierze nasi nad Ońcem aż do lata, i choć ni męstwa, ni pomysłu im nie brakło, a jeszcze z Tirkijów dwa tysiące dobrych pieszych pomocy dostali, która przez dwa morza przytłynęła, to Izbeka do końca nie pobili, tak był mocny, i tylko za rzekę Kalitwę go wypchnęli, na czym rozejm stanął na lat dziesięć.

Przywieźli nasi z tej wojny zdobyczy różnej bardzo dużo, jako to namiotów jedwabnych, jedwabiu luźnego, szabel na świecie najlepszych i luków bardzo dobrych, i jeńca przypędzili do sześciu tysięcy, między Ziemię naszą wedle sotni wystawionych ludzi tych dzieląc. I powstały swary z tego, że z jeńców przypadłych Poslawuciu i Pobożu wnet setka razem ucieczki spróbowała, których ataman Petro Szczyrobijny na postrach utopić nakazał, co i stało się. Wtedy biskup Łukian z Ponestrza postanie atamanom ziemskim rozesał Szczyrobijnego potępiające, jako że napisał, ani z Boskim prawem, ani z obyczajem naszym karanie takie nie może być w zgodzie, swoboda bowiem każdemu stworzeniu od Boga jest dana i z tego tak człowiek każdy, jak wszelkie inne stworzenie do wolności od niewoli uciekać święte ma prawo.

Nie spodobało się Łukianowe postanie panom atamanom ani panom gospodarzom-żołnierzom, że to do ucieczek jawnie niewolnych skłaniające, i głosów coraz więcej się podnosiło, żeby wzorem rad ziemskich radę wielką Ziemi wszystkich mowy naszej urządzić dla postanowienia praw w takich i innych rzeczach...

Chory ataman wioskowy, Dmytro Swityna, gdy tylko przestawał majaczyć w gorączce, wydawał z łóżka rozkazy staremu Chotoszy i równie leciwemu Chochitwie, niewolnym

Dżelalowi i Kiabirowi oraz kilkunastu łżej chorobę przechodzącym gospodarzom, dobrowolnie do wioskowej potrzeby się stawiającym. Groby kazał kopać na małym cmentarzu pod dwoma starymi dębami, do wioskowego składu dał klucze polecając brać stamtąd jedwab zdobyczny, ciąż i zmarłych w nim chować, krowy, konie i owce, choć zimno jeszcze było, w krzewostep nakazał wypędzać, by nie dogładane w oborach i stajniach z głodu i braku wody nie padały. Rozkazał też ataman pozierać czosnek i miód z całej wioski, razem je rozcierać i z mlekiem gorącym, na podwórzu domu atamańskiego w kotłach warzonym, roznosić chorym po domach.

Nie brakowało w Hruszy miodu, ale czosnek rychło się skończył, bo rok poprzedni był dlań nieurodzajny. Chodzili niewolni po okolicy szukać dzikiego czosnku, ale nie znaleźli. Wtedy to zaszło wydarzenie dziwne, w którego prawdziwość niewielu Hru-szan uwierzyło mimo gorących zapewnień niewolnego Kiabira, iż rzecz widział dokładnie, a zmyślać nie ma powodu.

Pewnego ranka przybiegł do atamana Kiabir niosąc kilkanaście małych, ziemią oblepionych główek czosnku z nie obciętymi, nadgniętymi łodygami.

— A któż ci to, Kiabirze, taki paskudny czosnek podarował? — zapytał Swityna przytomnie, choć głosem słabym i zmęczonym.

— Nie darował, pan atamanie, nie darował! — odpowiedział niewolny. — Na ulicy leżał, ja pozierał.

Uznał widocznie ataman, że Kiabira ogarnia gorączka, i nie pytał o nic więcej, tylko kazał niewydarzony czosnek umyć, oporządzić i rozetrzeć z miodem.

Lecz następnego ranka znowu przyniósł Kiabir do atamana zabrudzone błotem główki czosnku i powiedział, że tak jak wczoraj, znalazł je na ulicy, przy furtkach. Tym razem Swityna uwierzył i rozgniewał się:

— Ma jakiś paskudnik zdrowie i siły, żeby durne żarty wyprawiać po nocach i zaniedbane warzywo pod furtki podrzucić, a do nas przyjść i pomóc niełaskawy! Chcę wiedzieć, kto to taki! Zaczatujesz na niego tej nocy i powiesz, kogoś widział!

— Może to ze wstyd od kiepski czosnek? — zastanawiał się niewolny.

— Wszystko jedno! Zaczatujesz i powiesz!

Podniecenie, z jakim Kiabir wymachiwał garściami zabłoconego czosnku wpadając do Swityny o świcie dnia następnego wskazywało, że niesie wiadomość niezwykłą.

— Wszystko widział! Wszystko zobaczył! — wykrzykiwał od progu. — Księżyc jasny, ja widział!

— No to nie wrzeszcz, tylko mów!

— Psy, pan atamanie, dwa psy! Albo wilki! Dwa razy przychodzą, dwa razy odchodzą, w pyskach niosą, pod furtki zostawiają!

Swityna z wysiłkiem usiadł na brzegu łóżka opuszczając na zdobyczny izbecki kobierzec bosc stopy, obsypane gojącymi się już rankami dziurawicy.

— Pan ataman nie dziwny? — niewolny wyraźnie oczekiwał słów zdumienia i podziwu dla siebie.

— Uspokój się, Kiabirze! To nie były ani psy, ani wilki. To były tałany. A to znaczy, że zamieszkały już w naszych stronach. To bardzo dobrze.

— Ja nic nie rozumiem... — powiedział zniechęconym tonem niewolny.

— Nie słyszałeś o tałanach?

— Nie słyszał, pan atamanie.

— No to słuchaj! Są podobne do wilków i do psów wilkowatych, ale to całkiem inne zwierzęta. Tak mądre, że kto z nimi nie miał do czynienia, nie chce wierzyć w żadne o nich opowieści. Pomagają ludziom, ale nie wszystkim. I nie tak pomagają, jak pies, ani nie tak, jak

ułożona wydra. Całkiem ze swojej woli. Jakby były na pół ludźmi! Ot, widziałeś, i to wyczuły, że u nas zaraza, i to wiedziały, że czosnek pomocny. I wygrzebały gdzieś dziki czosnek zeszłoroczny, i przyniosły. Takie one! Jeszcze ci to powiem, że konie wcale się ich nie boją, a psy nigdy na nie nie szczekają, i po tym też je można poznać.

— Tak, pan atamanie! Tak! Ja nie pomyślał! Nie szczekał ani pies! Allah wielki, to cud! — wykrzykiwał podniecony Kiabir, ale w jego głosie można było usłyszeć nutkę niedowierzania.

— A skąd przyszedł?

— Do nas — z Mokrego Kraju. Tylko tam je dotąd spotykano. A skąd tam się wzięty, nie wiadomo. Na ćwiczeniach zeszłorocznych Mokrokrajanie dużo o nich opowiadali. Starzy ludzie od swoich ojców słyszeli, że święty Semen Werba, gdy nóg już był pozbawiony, wśród tańców i z ich pomocą przeżył ostatnie swoje lata. I on to tańcami je nazwał, a to dlatego, że los jego i szczęścia jego ostatnie od nich zależały. W swoim świętym zeszycie zapisał, że błogostawi tańcy na wiek wieków, i że na wiek wieków przeklina każdego, kto tańca skrzywdzi.

— A co to jest święty zeszyt? — dopytywał się niewolny z przejęciem.

— E... Długo by opowiadać. Zresztą, poganom nic do tego!

— Kiabir nie pogan, nie pogan, pan atamanie! Kiabir musulman!

— Dobrze, dobrze. Nie męcz mnie! Idź już do swojej roboty!

Sześć tygodni szalała dziurawica w Hruszy Obronnej. Podwoił się cmentarz pod starymi dębami. Najwięcej przybyło na nim dziecięcych grobów. Gdy wreszcie pod koniec kwietnia zaraza całkiem wygasła, we wsi pozostało tylko troje dzieci.

Przeżył, a nawet pierwszy wyzdrowiał Staśko Truba, dziesięciolatek chudy i z pozoru wątpy. Wypadły mu, jak niemal wszystkim w chorobie, jego ciemnopszeniczne włosy, ale zaraz po opadnięciu gorączki zaczęły wyrastać nowe, płowe tym razem.

Wydrowiał też, choć po dłuższym ze śmiercią zmaganiu, rówieśnik Staśki, Iwanko Hołod, któremu jednak utracone włosy nie odrastały mimo codziennych modlitw matki do świętego Semena Werby, by u Pana Boga wyjednał odwrócenie Iwankowego oszpecaenia.

Trzecim ocalałym dzieckiem była o trzy lata od chłopców młodsza Radka Czowniar. Jej choroba przyczyniła urody, bo w miejsce rzadkich szarolnianych loczków wyrastały jej teraz bujne, kruczoczarne kędziory pięknie pasujące do żywych oczu koloru świeżo rozkwitego chabru.

Ta trójka dzieci trzymała się teraz razem bawiąc się całymi dniami, rodzicom bowiem wydawało się oczywiste, że nie godzi się ocalałych malców, przynajmniej na razie, brać do żadnych obowiązków. Ale gorzkie to były zabawy, przerywane nagłymi wybuchami Radczynego płaczu, to znowu napadami rozdrażnienia Staśki lub odrętwiałego milczenia Iwanki, tak bowiem przejawiała się tęsknota za odeszłymi towarzyszami dziecięcych uciech i psot. Nie zawsze udawało się dzieciom dotrzymać milczącej umowy, nie pozwalającej rozmawiać o zmarłych przyjaciółach.

— Natałka skoczyłaby dalej! — wrywało się Radce bezwiednie.

— Przy Mykołce nie byłbyś taki mądry! — wykrzykiwał Staśko i patrzył speszony na Iwankę, który w takich momentach marszczył tyse czoło i zaciskał zęby, a potem odwracał się, żeby tamci nie zobaczyli też wzbierających w kącikach oczu.

Czasem któreś z dzieci próbowało uciekać z nieznośnego napięcia w sztuczną wesołość, w nienaturalny żart. Pewnego dnia Radka, ni stąd, ni zowąd, zdarła z głowy Iwanki Inianą chusteczkę, którą z nakazu ojca nosił na tysinie dla ochrony przed słońcem, i wznosząc oczy ku płynącym po niebie obłoczkom zaczęła krzyczeć:

— Natałka! Natałka! Ty patrzysz z nieba! To przypatrz się dobrze tysemu Iwance! Ale wygląda! O, tu stoi — wskazywała palcem opaloną mimo ochronnej chusteczki, nagą czaszkę chłopca.

— Łysy Iwanko! Łysy Iwanko! — zaczął wrzeszczeć na całe gardło Staśko skacząc jak opętany.

Iwanko wyrwał z rąk dziewczynki chusteczkę z węzłami we wszystkich czterech rogach i smagnął nią, jak biczem, przez twarz, a potem tę samą karę wymierzył Staśce, którego, na dokładkę, kopnął pod kolano. I zaraz wyjaśnił swoje postępowanie:

— Łysy, nie łysy, a co za dużo, to za dużo, i po pysku się bierze.

Nieoczekiwana płynność Iwankowej wymowy zrobiła na ukaranych mocne wrażenie, które wraz z niejasnym poczuciem słuszności kary pozwoliło im przejść do porządku nad całym wydarzeniem. Nie rozptakawa się Radka, choć na śniadej skórze jej policzka nabrzmiewał różowozielonkawy siniak od węzła lnianej chusteczki. Nie rzucił się też na Iwankę Staśko, choć jego kocia szybkość rokowała mu, mimo komarowatej chudości i małej wagi ciała, niezły wynik możliwej bójki. Jakby doceniając tę postawę, Iwanko powiedział pojednawczo:

— Jestem łysy Iwanko, i tak już będzie, bo jak dotąd nie odrosły, to już nie odrosną. Mama przestała się już modlić o te włosy, no bo widzi, że to na nic.

Od tego dnia przewisko, raniące przedtem chłopięcą dumę, zaczęło mu się nawet podobać. Zaczął go sam używać. Posłany do sąsiadów po sól, już z ganku wołał głośno:

— Zgadnijcie, kto przyszedł! Przyszedł łysy Iwanko soli pożyczyć!

Płynęły dzieciom wiosenne dni w beztrosce podszytej smutkiem i tęsknotą. Przywileje, jakimi otoczeni byli Iwanko, Staśko i Radka w rodzinnych domach i wszędzie we wsi, nie psuły ich, bo przypominały, że jest ich tylko troje.

Pewnego dnia przed południem, gdy zajęci byli ulubioną zabawą — strzelaniem z łuków do rybich łusek wetkniętych w spękania kory grubej topoli rosnącej na skraju Wojskowej Łąki, ujrzeni zbliżającego się ku nim na długogrzywym mierzynie czabana Ostiuka. Zatrzymał się przy nich i chwilę milczał z zagadkowym uśmiechem.

— Wy do nas, wujku? — zapytał Iwanko ze szczerym szacunkiem płynącym stąd, że podczas ćwiczeń niedzielnych w poprzednich latach wielokrotnie podziwiał nadludzkie, jak mu się wydawało, umiejętności jeździeckie niemłodego już czabana.

— Ano, do was — odpowiedział Ostiuk. — Trzeba, żebyście po obiedzie przyszli na stadnisko.

— A to po co?

— Pan ataman kazał.

— Ataman?! Ale po co?

— Nie powiem. Ma być niespodzianka — wyjaśnił czaban mrużąc wesoło lewe oko i znacząco przygryzając wargę.

Iwanko uznał, że trzeba poskromić ciekawość aż do popołudnia, ale Staśko i Radka nie dawali za wygraną.

— Powiedźcie, wujku! — nalegał Staśko. — Przecież ciekawość nie da obiadu zjeść!

— Powiedźcie, powiedźcie, wujaszku, teraz powiedźcie, nic każcie czekać! — prosiła przymilnie Radka przewracając chabrowymi oczyma najwdzięczniej jak umiała.

Ostiuk zmiękł pod Radczyną zalotnością i zdradził tajemnicę:

— No to już powiem. Kazał pan Swityna wybrać trzy najlepiej ujeżdżone i najłagodniejsze mierzynki z atamańskiego tabuniku, i na jakiś czas wam je przydzielić, żebyście sobie mogli trochę po okolicy pojeździć, z wiatrem pohulać, żeby wam nudno nie było. Wybrałem już, to sobie je weźmiecie. Choć posłuszne jak rzadko i jak baranki łagodne, całkiem są chyże. W

ojcowych stajniach możecie trzymać, a jak na dni parę jazdy się wam odechce, to do nas, na stadnisko przyprowadzajcie, bo tam się i nocami pasą. Tylko pamiętajcie: popasać co dzień do syta, a jak więcej pobiegają, to i owsa odrobiny nie pożałować!

Zmalał dzieciom świat od tego dnia. Blisko teraz było do Piaskowego Brodu, przy którym Postochidzki Szlak z Mohoryczańskim się krzyżuje, wiodącym przez rzekę ku Postyrzu i Styrbrodowi. Niedaleko było do Perkozowych Stawów błękitniejących na zachodzie, za stadniskami, i do Czarnej Puszczy, która dotąd zamykała świat od północy poszczerbioną siną wstęgą. Cwałowały dzieci z czabanami po stadniskach, pomagały pędzić tabuny do wodopoju, na wyścigi z łaciatymi psami galopowały po Baranich łąkach niepokojąc owcze stado. Poznały miejsce, gdzie Postochidzki Szlak wciska się między nadrzeczne łoży a ścianę Czarnej Puszczy, idąc tamtędy na północ, ku tajemniczemu wioskom Mokrego Kraju. Dotarli nawet do Jastrzębiej Dąbrowy, za którą Szlak zmienia nazwę na Tarninowy i skręcając nieco ku zachodowi biegnie ku Ziemi Wysokołowyńskiej. Nie poznali tylko prawobrzeża Stochidu i Szlaku Mohoryczańskiego. Zabronił im tego surowo ataman Swityna, a rodzice codziennie i stanowczo o tym zakazie przypominali. Kilkakrotnie dopominały się dzieci o wyjaśnienie, czemu nie wolno im przeprować się przez rzekę ani wyruszać na zachód, ku Mohoryczy, aż za którymś razem znalazł ataman czas i zaczął cierpliwie tłumaczyć:

— Wydaje wam się, kochaniutcy, że po tamtej stronie Stochidu kraj taki sam jak tu, a tak nie jest! Wnet za Piaskowym Brodem zaczyna się okolica całkiem dzika i ciągnie się na półtora dnia żwawej jazdy, a dopiero dalej Mohoryczański Szlak dochodzi do wioski Postyrza. Żyją tam rodziny dzików dość wojowniczych, wilki, w lesie niedźwiedzie, a do tego jeszcze watahy dzikich psów, do pół setki dochodzące.

— I ludzi napadają? — dopytywał się Iwanko.

— Tego nie słyszałem, żeby kogo napadły. Ale konia w popas puszczonego, jeśli od człowieka dalej odejdzie, zagryźć potrafią.

— Wilki?

— Wilki w zimie tylko, gdy wygłodzone. A psy i w lecie.

— Ho, ho, psy konia? — dziwił się Staśko.

— Tak, kochaneńki. Ale nie takie to pieski, co się je ma ochotę pogłaskać. Wielkie bestie! Przez parę setek lat w lesie i krzewostepie żyjąc, z wilkami się mieszając, na piękny, rosty ród się wybiły. A nauczywszy się dużym stadem chodzić, niczego się nie boją, nawet niedźwiedzia ponoć potrafią przepędzić. Dobrze, że do człowieka poważanie zachowały, bo inaczej nieswojo by było do Styrbrodu podróżować, choćby i z bronią. Tak to, choć, jakom powiedział, człowieka zwierz tamten nie napada, za Stochid was nie puszczamy, no bo niechby się tylko konie od drapieżców spłoszyły i poniosły albo pozrzuciły...!

— Ale na drodze do Mohoryczy, wujku atamanie, dzikich psów nie ma ani niczego takiego — śmiało przypomniał Iwanko.

— Tak, prawda. Tam inna sprawa... Słyszeliście o niemiejscach?

— Niemiejscach? — powtórzył śmiejąc się Iwanko. — Każde miejsce, to miejsce, wszędzie jest miejsce, no to jak może być niemiejscę?! Ty żartujesz z nas, wujku!

— Głupiś! — zgromił go Staśko. — Niemiejscą są! Słyszałem, jak panowie gospodarze w karczmie o tym rozmawiali. Mówili, że w wielkich niemiejscach żyją nieczłtęcy.

— Tyś głupi! — bronił się Iwanko. — Jacy znów nieczłtęcy?! Pewnie Głupi Zachar po trzech kubkach prosiarki tak plót!

— To może mnie pozwolicie powiedzieć — przerwał spór Swityna.

— Powiedz, wujku atamanie! — prosili chłtęcy, obydwaj pewni swoich racji.

— Staśko dobrze mówi — rozstrzygnął ataman. — Niemiejca są, i niemało ich. To są gruzowiska kamienne, zarosłe krzakami, drzewami i zielskiem. A nazwę taką nadali im ludzie dawno, kiedy jeszcze naszych dziadków nie było na świecie, i wtedy też nieczłękami nazwano tych, co się w owych rumowiskach kryją. Niby to ludzie, niby nie ludzie; niektórzy powiadają, że z ludzi pradawnych oni się wywodzą. Z tego, com słyszał, na dwóch nogach chodzą i rąk jak ludzie używają, ale mowy ludzkiej nie mają, a tylko parę poszczekow i chrząkan, ni to psich, ni to świńskich. Łby mają obrośnięte, że tylko nos i ślepią z włosów przezierają, a samice włosy mają od głowy do ziemi długie, którymi naokoło się osłaniają.

— A dużo ich? — zapytał Iwanko z lekkim niepokojem w głosie.

— Chwała Bogu, bardzo ich mało. Zabijają się oni nawzajem i pożerają, to ich za dużo zostać nie mogło. Ale bywa, że głodni wychodzą z niemiejsc i próbują ludzi porywać. Jeśli człowiek przy szabli, a szczególnie konno, to się pojmać nie da, choćby go i znaczna gromada nieczłęków napadła, bo słabi są i niezdarni, tak że narąbać ich można jak badyli, ile zechcieć. Lecz niezbrojnego, albo dziecko, mogliby złapać. I ot, doszliśmy, czemu ku Mohoryczy ruszać wam zabronione. W tamtej stronie — Swityna wskazał ręką na południowy zachód — mniej jak o dzień wierzchem, jest wielkie niemiejce, z którego ponoć nieczłęcy nierzadko wyłażą, i nawet do Mohoryczańskiego Szlaku potrafią podchodzić. Mohoryczanom do onego niemiejca bliżej niż nam, to nieczłęków tropią i wycinają, ale całkiem wytępić nie mogą, bo do tego w głąb rumowisk wejść by trzeba, a to konno niemożliwe, a pieszo trudne i straszne, i od pradziadów zabronione.

— A czemu zabronione? — zaciekał się Staśko.

— Bo niemiejca z dawien dawna są przeklęte.

Po tych słowach Swityna zamyślił się, i zaległa cisza. Przerwał ją Iwanko:

— To już nam się nie będzie na Mohoryczański zachciewać — powiedział z lękliwą powagą. — Nieczłęków nie chcemy zobaczyć.

Opowieścią atamana o niemiejscach dzieci tak się przejęły, że na jakiś czas straciły ochotę opuszczania wioski. Staśko odprowadził mierzynki na stadnisko, pokrętnie wyjaśniając czabanom, że chyba trochę zmizerniały, to niech się kilka dni popasą na lepszej trawie i pod lepszym doglądaniem.

Pomysł nowej zabawy poddała Radka:

— Zróbmy piec i wypalajmy! Pamiętacie, jakie ludziki tamtego roku się wypalało, jak wszyscy byli... — ugryzła się w język, lecz chłopcy nie zwrócili na to uwagi, i pochwalili myśl.

Zabrali się do roboty. Cały dzień trwało urządzenie wymyślnego ziemnego piecyka w pobliżu zejścia do rzeki, a nazajutrz powędrowały do ognia gliniane zwierzątka. Staśko, widąc pozbawiony potrzebnych talentów, szybko zaprzestał prób ulepiania z gliny figurek, i zajął się podtrzymywaniem stosownego ognia. Iwanko i Radka pracowali nad grubonogimi konikami, jajowatymi świnkami i wielkogłowymi kogucikami. Już pierwsze wypalanie w pełni się udało — figurki dawały dźwięczny ton. Następnego dnia, gdy dzieci niecierpliwie czekały na wyjęcie z ognia swych dzieł — tym razem maleńkich garnków i dzbanuszków — pojawiła się koło nich osobiwa para: niewolny Dżelal prowadził pod rękę zgiętą w krzyżach staruchę o niespotykanej czerni włosów, łypiącą ku dzieciom przenikliwymi spojrzzeniami smolistych oczu.

Była to wdowa Maraczycha, zielarka i wróżka. Po śmierci męża, który poległ w drugiej wojnie nad Ońcem w 2231 roku, puściła ona odłogiem połowę uprawianego pola, odsprzedała konie i krowy, i zajęła się leczeniem ziołami, a nieco później jeszcze i wróżeniem. Za te posługi niewiele brała, bo też nie było jej wiele potrzeba. Pozostawiona w uprawie część ziemi, zgodnie z obyczajem i niskołowyńskim prawem bezpłatnie obrabiana przez młodych

gospodarzy oraz niewolnych, rodziła nad podziw dobrze, a dwie łaciate kozy chowane w miejsce krów dawały pod dostatkiem mleka. Gdy starość pochyliła Maraczychę ku ziemi, a w bujnych czarnych włosach nie błysnął nawet ślad siwizny, zaczęły hruszańskie baby szeptać coś o czarach, ale nie przeszkadzało im to jeszcze częściej korzystać z wróżbiarskich usług czarnej staruchy. Ktoś rozgłosił, że na własne oczy widział, jak o zmroku diabły plewiły grządki cebuli i marchwi na Maraczyszynym polu, słowo „czarownica” na dobre przyłgnęło do czarnej wdowy, nie wywołując jednak niczyjego lęku ani niechęci, jako że Hruszanie wierzyli w czary jakby na poły tylko, a bardzo lubiąc słuchać wróżb, nie przejmowali się nimi ani trochę. Nic więc dziwnego, że Maraczychy nie bały się nigdy nawet małe dzieci.

Staśko, który nierzadko zdradzał język nad wiek cięty, skwitował nadejście Dżelala z Maraczychą kpiącą uwagą:

— Zdaje się, że już pan ataman nie ma dla niewolnych lepszej roboty, jak prowadzenie czarownic na przechadzki!

Starucha roześmiała się ukazując nieskazitelną biel zębów, a niewolny wyjaśnił bez zmieszania:

— Maracz-pani ziele jeden od rzeka potrzebuje, i słaba bardzo, ataman każe, Dżelal prowadzi.

Roześmiane oczy Maraczychy spoważniały nagle i przebiegły po twarzach dzieci uporczywymi świdrowaniami, poczem powróciły do poprzedniego, wesołego wyrazu.

— Idziemy! — powiedziała do Dżelala, i powlekli się obydwójce dalej, skrajem łożyn.

Dzieci spoglądały po sobie z niewyraźnymi minami. Staśko odezwał się pierwszy:

— Może ona naprawdę czarownica? Jak na mnie patrzyła, to zaraz mi znikąca, jakby w dymie...

— Tak, tak! Znikąca! — skwapliwie potwierdziła Radka.

— Pewnie się jej boicie, i ze strachu tak wam się wydawało — próbował wyjaśniać Iwanko śmiejąc się nieszczercze. Nie chciał się przyznać, że i on przez krótką chwilę widział przed oczyma tylko falujący dym.

Wieczorem tego dnia stanął Dżelal przed atamanem.

— No, co wiedźma mówiła? — zapytał Swityna z powściągliwym uśmiechem na czerstwej twarzy.

— Maracz-pani mówi, że wychodzą cało z druga zagłada.

— Co?!

— Jeszcze jeden nieszczęście, dzieci wychodzą, czarownica mówi.

— I tyle?

— Nie, pan atamanie, nie tyle. Jeszcze mówi Maracz-czarownica, drżą od nich cesarze.

— Co?!!!

— Drżą będą cesarze przed dziećmi, to mówi była.

— Coś pokręciłeś!

— Nie, pan atamanie, nie pokręcił, dobrze pamięta. Swityna stężał w głębokim zamyśleniu.

Dżelal stał wyprężony na baczność. Po długiej chwili ataman zapytał:

— Blaszkę dałeś?

— Dał, pan atamanie, ale bardzo nie chce była.

— Nie chciała wziąć zapłaty?

— Bardzo nie chce, bardzo nie bierze, ale Dżelal mówi, ataman każe, Maracz-pani bierze, to wtedy bierze.

— No dobrze. Masz tu pół blaszki na piwo! — ataman wydobył z kieszeni zgrzebnej koszuli kilka mosiężnych krążków.

— Na piwo nie bierze, pan atamanie, musulman nie pije.

- No to na tytoń.
- Na tytoń bierze.

Wracało zwyczajne życie do zdziesiątkowanej przez zarazę Hruszy Obronnej. Ze stojącej na samym skraju wsi, blisko północnej wieży strażniczej, kuźni Jacuka Slipoty znowu niosło się dzwonienie młotów, często nie milknące aż do północy. Ozdrowiały kupiec, Mykoła Modaru, otworzył swój sklep i karcznię, z której wieczorami, albo i nad ranem, wracały grupki podchmielonych gospodarzy pochłoniętych hałaśliwą rozmową lub śpiewających, jak na stan swych głów dość skłladnie, wyrwane zwrotki starych piosenek:

*Nasze konie grzywolotne
Zmęczenia nie znają
Nasze szable bardzo psotne
Śmiertelnie kłsają...*

*Szabelki-siostrzyczki nasze
Lubią się całować
A jak kogo pocatują
Trzeba go pochować...*

Oczyszczonymi przed laty z zarośli dwoma szerokimi zejściami do Stochidu pędzono trzy razy dziennie do wodopoju hruszańskie tabuny i stada wypasane w krzewostepie.

Poniżej wodopojów rozkładała się na letnie stanowisko rybacka spółka Antona Chapacza, Hioba Wychora i Szczyrki Krita. Spośród tej trójki tylko Wychor był zasiedziatym Hruszaninem. Po wielu latach łowienia sakiem na potrzeby wioski, gdy bóle w kolanach i kostkach coraz bardziej dawały mu się we znaki, zaczął się rozglądać za jakimś pomocnikiem lub następcą. Na którychś ćwiczeniach ziemskich poznał wydrownika Chapacza, pochodzącego z wioski Ukłton nad Oryniem, i opowiadając mu z niewielką przesadą o bogactwie ryb w Stochidzie, namówił go do osiedlenia się w Hruszy. Chapacz przyjechał rozejrzeć się na miejscu. Sprawdził zasobność rzeki, upewnił się, że Swityna nawet bez zwoływania rady wioskowej przydziela nowym osadnikom ziemię bez ograniczeń, że wieś chętnie udziela na pobudowanie się zbiorowego kredytu w robociznie, i że kupiec Modaru ma możliwość zbywania poza wieś ryby wędzonej i suszonej poprzez handel wielkiego pośrednika Samomliki, potem wyjechał, a w miesiąc później powrócił ze swoimi ułożonymi wydrami i pomocnikiem, Szczyrką Kritem.

Każdej wiosny, w coraz to innym miejscu na brzegu Stochidu, rozkładała rybacka trójka swoje letnie stanowisko. W poprzednim roku leżało ono daleko w dole rzeki, aż pod Czarną Puszcą, w tym zaś, ku radości dzieci, wypadło niewiele poniżej wodopojów. Wspólnicy wybrali miejsce, gdzie wierzbowe zarośla nie dochodziły do samego brzegu, a do wody prowadziły trawiaste uskoki niby zielone schody, wycięli trochę krzaków, i na powstałym placu ustawili przenośny dymnik oraz rozpięli na palikach rzadkie wiklinowe maty do suszenia ryb na słońcu. Następnego dnia rozpoczęli połowy. Krit, najmłodszy z trójki, brodził po mulistym w tym miejscu dnie płytkiej rzeki to powyżej, to poniżej stanowiska, i łowił sakiem, a równocześnie niepokoił ryby, starając się je przepędzać ku miejscu, gdzie na szerokim uskoku, nad samą wodą, siedział Chapacz w otoczeniu swej bezcennej własności — czterech ruchliwych, rozbawionych wydr o imionach Kuliszka, Kudłajka, Łaska i Sajka. Co pewien czas, na ciche gwizdnięcie swego pana, zwierzęta bezszelestnie wślizgiwały się w wodę, by po chwili wynurzać się ze zdobyczą. Wynosiły na brzeg karpie, brzany, leszcze i

okonie, a niekiedy także sumy i szczupaki. Czasem któraś z wydr, najczęściej Sajka, pozostawała pod wodą niepokojąco długo, i wtedy Chapacz radośnie zacierał ręce, bo wynikiem przedłużonego nurkowania były przeważnie okazałe szczupaki. Za swą pracę dostawały zwierzęta najmniejsze ze złowionych przez siebie sztuk oraz, po każdym wyjściu z wody, porcję pieszczot — głaskania, drapania za uszami, pod pyskiem i po brzuchu. Wąsate mordki drapieżników wyrażały wtedy bezgraniczne wydrze szczęście. Hiob Wychor oporządzał ryby, część solił i rozkładał na matach do suszenia, część wędził w dymniku opalonym olchowymi szczapami, a resztę nanizywał na wiklinowe witki. Wiezorami rybacy roznosili świeże ryby po domach, a wędzone i suszone sprzedawali Mykole Modaru na dalszy nimi handel.

Iwanko, Staśko i Radka poświęcili jedno przedpołudnie na podpatrywanie pracy rybaków. Gdy wracali do domów na obiad, Radka powtarzała do znudzenia:

— Ja chcę taką Kudliszkę! Niechby mniejszą, nawet malutką! Muszę mieć taką! Muszę!

— Milcz, durna! — upomniał ją Iwanko. — Rozum straciłaś?! Staśko szedł w milczeniu, wyraźnie nad czymś rozmyślając, wreszcie odezwał się do Iwanki:

— Ładne te wydry i milutki, ale to chyba najgłupsze stworzenia na świecie!

— Jak to? — zdziwił się Iwanko. — Przecież tak sprytnie rybę biorą!

— To tylko znaczy, że sprytnie może być głupie. No pomyśl, czy to nie głupota, żeby latami pracować za głaskanie?!

— Może i prawda... No, ale taki, choćby, koń... On też dla ludzi pracuje, a nieraz batem dostanie zamiast pogłaskania.

— Koń, to co innego — obstawał przy swoim Staśko. — Jemu się człowiek zimą odplaca, kiedy trawy pod śniegiem. A wydrze i w zimie człowiek do niczego niepotrzebny, bo pod lodem umie łowić.

Wracało zwyczajne życie do Hruszy Obronnej... Szli ludzie w pole z motykami na ramionach, krzątali się w ogródkach, rąbali drewno pod przydachami, poprawiali nadwerężone przez zimę, plecione z grubego wierzbowego chrustu płoty, jeździli do Czarnej Puszczy po opał, pogłębiali studnie, podejmowali dalekie, dwudniowe wyprawy do Białego Jaru po kamień na podmurówki i do naprawy studziennych cembrowin.

W ciepłe wieczory cieśla Łuka Pohonycz wychodził z domu z czterdziestostrunną bandurą, siadał na ławce pod rozłożystym jaworem zdobiącym jego obejście, i zaczynał grać tęskną melodię, która nieodmiennie przywoływała mieszkającego o kilka zagród dalej Tarasa Chartyczenkę. Ten zjawiał się pod Pohonyczowym jaworem ze starymi cymbałami, których ozdobne, czereśniowe pudło uszlachetniało nośne, nieopisanie czyste tony. Zaczynała się długa rozmowa bandury z cymbałami, smutna i piękna. Mężczyźni wracający z karczmy przystawali koło płotu, palili fajki i zwijki, słuchali, czasem wtórowali instrumentom cichym nuceniem, kiedy indziej upominali się o coś weselszego:

— Zagralibyście, panowie gospodarze, coś do podskoku! Serca wyją od tego smętku!

— Nie pasuje — odpowiadał Pohonycz. — Dwóch wnuczków pochowałem, a Taras córkę, to jakże nam do podskoku grywać? Co na sercu, to i w nucie...

Ze Stałopisu księdza Wasyla Kropyły:

W roku przeszłym rady wielkiej Ziemi wszystkich naszych urządzić się nie dało przez spory, kto na takowej głos miałby postanawiający. Chcieli jedni, żeby atamani ziemscy i wioskowi tylko moc prawostawną posiadali, inni zaś, żeby i setnikom ją przyznać, a i takich nie brakowało, co nawoływali, żeby każdy pan gospodarz i pan żołnierz, który na radę przybyć zechce i przybędzie, jednakowy i równy miał głos. Całą zimę biegali powstańcy pomiędzy Ziemiami, ale zgody w tej rzeczy nie dopięto, aż na tym stanęło, że niechaj przybywa kto chce,

a na samej radzie dopiero wszystek potrzebny porządek się obmyśli, tę zaś naznaczono na drugą niedzielę czerwca roku terażniejszego 2222, na Ikwobrodzkich Łąkach.

Zjazd ten własnymi oczyma widziałem, a był niczem sto jarmarków. Prócz namiotów, których nie do policzenia stanęło, kramów i straganów na wozach było parę setek, z których towar najróżniejszy i strawę najrozmaitszą sprzedawano, a także piwo prosiane, wina, miody i gorzałki, od czego na początku do zwad przychodziło i szabel dobywania, tak że nasz pan ataman Łowynia Wysokiego z ludzi swoich straż dla porządku musiał ustanowić jako gospodarz, do jego to bowiem Ziemi ikwobrodzka okolica należy. Pięć dni zeszło, nim sposoby i porządki radzenia powzięto, szóstego zaś dnia biskup Łukian mowę miał długą i piękną, o prawa dla niewolnych prosząc, a nieludzkość dla nich gromiąc. Z początku ataman Petro Szczyrobijny z ludźmi swoimi tumultem Łukianowi przeszkadzał, ale wnet słowo biskupie tak go przejęło, że gorzałki bardzo silnie pociągnąwszy uciszył się, a zaraz i tży począł ronić wołając: „Zabójca ja, nie żołnierz, morderca, nie ataman!” Od żalu i płaczu jego, a też od gorzałki niemierne z manierek pociąganej i od mowy Łukianowej taka we wszystkich wstąpiła dobrozgodność, że w godzinę ustanowili „Prawa o niewolnych i niewolnikach” ludzkie nad podziw, a to takie:

„Prawo pierwsze. Z jeńców zwyczajnych, jako i z dłużników lekkomyślnych czy niedbatych niewolników w Ziemiach naszych czynić nie wolno, a tylko niewolnych.

Prawo drugie. Niewolnikiem uczyniony być może jeńiec-oficer, jeżeli wojownikom swoim okrutność przykazywał, a z naszych ten tylko, kto za zbrodnię na śmierć skazany od rady ziemskiej utaskawienia doznał.

Prawo trzecie. Niewolny ma pracować dla tego, komu przypadł, czy to pan gospodarz będzie, czy wioska, czy urząd atamański, od rana do południa, zaś po południu za pracę zwyczajna zapłata mu się należy, i dwie widne godziny dnia każdego ma mieć całkiem dla siebie.

Prawo czwarte. Niewolnym atamani wioskowi ziemi mogą udzielać, która po latach pięciu z dzierżawy we własność przejdzie, a w majątkowych rzeczach prawa niewolnego te same są, co i panów gospodarzy.

Prawo piąte. Niewolni z jeńców po latach dwudziestu najpóźniej do wolności mają być przywracani, a już i po dziesięciu za pilność i staranie wyzwalać ich przystoi. Niewolni z dłużników po odrobieniu długu wedle liczenia godziwego, do swobody powracają, a i wcześniej, jeśli im długu reszta darowana.

Prawo szóste. Za ucieczkę niewolny inaczej karany nie będzie, jak tylko odjęciem czasu wolnego na pół roku”.

W siódmym dniu rady na Ikwobrodzkich Łąkach o tym rozprawiano, czy wojska Ziemi naszych jednakowe mają mieć znaki, czy rozmaite. Panowie żołnierze z Niskiego Łowynia za tym byli, żeby nasz kwiat malwowy, znak Łowynia Wysokiego, dla wszystkich Ziemi przyjąć, a znów Postawucie z Pobożem przy swoim znaku szarego sokoła obstawało. Doszli jednak do zgody panowie radzący i „Prawa o znaku” takie zapisali:

„Prawo pierwsze. Ziemi mowy naszej, że wzajemnie z pomocą w obronnej potrzebie sobie przychodzą, jeden znak wspólny, a drugi osobny mieć postanawiają. Wspólnym Znak Malwy dziś czynimy, kwiat malwowy wyobrażający, jako wszystkim miły, bo pod oknami nam we wszystkich Ziemiach naszych kwitnący. Znak osobny każdej Ziemi taki zostaje, jaki z obyczaju był dotąd. A że malwy kwiat w różnych stronach naszych różowy bywa, biały albo purpurowy, to i kolory znaku wspólnego te trzy na równi być mogą.

Prawo drugie. Znakowi Malwy, jako i znakom ziemskim poszanowanie się należy, kto by zaś je obrażał, nie mniej dwudziestu nahajów pobierze”.

Dnia ósmego rada odprawiać się nie mogła przez deszcz ulewny, a dziewiątego swary były pomiędzy atamanami, bo o pieniądzu radzono, i winili się wzajemnie panowie atamani o cygaństwa drobne przy jego biciu. Prawa w tej rzeczy nie uradzono, ale zgodzili się pod wieczór panowie radzący, że miarą pieniądza złotego i srebrnego będzie terażniejsza blaszka i półblaszka ponestrzańska, zaś podpieniądz żelazny albo mosiężny poza Ziemią, gdzie wybity, brany nie będzie.

W dniu ostatnim, dziewiątym, niczego nie uradzono, choć przemawiano niemało. Pan sotnik Nytiany z Poboża nawoływał, żeby porządek jaki jeden w miarach zaprowadzić, jako że mil mamy cztery rodzaje, piędzi, łokci, arszynów, stóp, kroków, wiorst, funtów, garści i garnców nie do policzenia, a jeszcze zachodnie kilogramy, kilometry i litry nieładu dopełniają. O to też prosił pan sotnik, żeby do pism wielości nie dopuścić jedno na zawsze przyjmując, teraz bowiem na Ponestrzu i w obu łowyniach pismo malolackie równe z naszym zaczyna mieć użycie. Ale chciało się już do domów panom radzącym, i pokrzykiwali, że za rok drugą radę można zwołać i w ostatych rzeczach co trzeba uradzić, i zamieniała się rada w jedno zmawianie na wieczerze i gorzałki pożegnalne pijania...

Gdy w sklepie Modaru zabrakło soli i mydła, coraz niecierpliwiej oczekiwano na wiosenny przyjazd czumackiej karawany z Wysokiego łowynia. Dzieci odebrały mierzynki ze stadniska i wyjeżdżały pod Jastrzębią Dąbrowę w nadziei, że przypadnie im radość dostrzeżenia na południowym horyzoncie sznura zaprzęgów i powiadomienia wioski o ich nadciąganiu. Tak się też stało, i kiedy wozy wjeżdżały w wioskową ulicę, poczynione już były przygotowania na ich przyjęcie. W ogromnym obejściu kupca Modaru panował ruch. Otwarto szeroką, dwuskrzydłą bramę od strony ulicy, i mniejszą, jednoskrzydłą, od tyłu, od strony sadu. W rogu podwórza rozpalano pod kotłami do grzania wody, zwyczajowo przysługującej zdrożnym woźnicom. Wytoczono baryłkę lekkiego, powitalnego wina. Swityna tymczasem, pomny dawniejszych doświadczeń, kiedy to młodzi, zasobni w pieniądze czumacy upijali się w karczmie aż do pełnego folgowania swej fantazji, powołał „wioskową straż większą”, co oznaczało powiększenie „służby przy atamanie” z trzech pieszych do piętnastu konnych. Gdy tylko się zbrali, wyruszył z nimi urządzać mytną bramę i wierne staremu zwyczajowi powitanie. Między dwoma drzewami rozpięto w poprzek wioskowej ulicy gruby powróż, rozwieszono na nim nacięte zielone gałęzie oraz kilkanaście kolorowych wstążek, i mytna brama była gotowa. Gdy zatrzymało się przed nią czoło kolumny skrzyniastych wozów, odegrana została przepisana obyczajem scena:

- Witajcie, panowie czumacy — zaczął Swityna — i o zdrowie pozwólcie zapytać!
- Dzięki Bogu, dzięki Bogu, zdrowi my — odpowiedzieli chóralnie woźnice z kilku pierwszych wozów.
- A skąd przybywacie, panowie czumacy — pytał dalej ataman.
- Z łowynia Wysokiego, z Hryzotowej Wody jedziemy.
- A jaka wam droga była?
- Słońce z wiatrem paliło, deszcz z gradem bijał, droga była nierówna, aleśmy przyjechali.
- Panowie czumacy, a co nam wieziecie?
- Wszystko, czego trzeba na tym Bożym świecie.
- Czy chcecie zarobić, panowie czumacy?
- Nie chcemy tu stracić, chcemy tu zarobić, bo stracić mogliśmy bez dalekiej drogi.
- Damy wam zarobić, panowie czumacy, ale najpierw myto musicie zapłacić.
- Myto zapłacimy, kiedy zarobimy, a teraz puszczajcie, bo się obrazimy!

Po tych słowach żołnierze Swityny odwiązali jeden koniec powroza i zatoczyli nim łuk ku drugiej stronie ulicy, naśladując otwieranie jednoskrzydłej bramy.

Wozy ruszyły i zaraz rozdzieliły się na dwie grupy. Cztery podjechały pod kuźnię Slipoty dla wyładunku żelaza, mosiądzu i płytów grubej blachy z lekkiego metalu, a sześć wtoczyło się na podwórze Mykoły Modaru.

Iwanko, Staśko i Radka obecni byli, rzecz jasna, zarówno przy ceremonii pod mytną bramą, jak i przy wyładunku towarów na kupieckim podwórzu. A było tu co oglądać! Do składu powędrowały najpierw beczki z solą i baryłki z dziegciem, potem skrzynki z szarym mydłem, za nimi skrzynie z przekładanym wiórami szkłem okiennym, wiklinowe pojemniki ze stosami owiniętych sianem glinianych garnków, dzbanów, kubków, misek i miednic, następnie kosze pełne wielkich szpul wełnianej, konopnej i lnianej przędzy, ogromne zwoje rzemiennych arkanów i konopnych powrozów, wojłokowe derki, bele sukna, wełnianych samodziałów i zgrzebnego płótna konopnego i lnianego. Kiedy przysła kolej na narzędzia ciesielskie, a po nich noże, szable i czekany, dzieci miały już wypieki na policzkach, a do końca było jeszcze daleko. Po białej broni wyładowywano grube snopy pierzastych strzał z ostrymi czarnymi grotami i wiązki masywnych bełtów, później garnki żelazne, po nich żółtobrazowe buty w kilkunastu rozmiarach, dalej gwoździe, zawiasy i kłódki, a na końcu towary drobne — nici wszystkich rodzajów, smołowaną dratwę, szydła i igły, szydełka i napatki, guziki i spinki, kolorowe wstążki, sprzączki i skuwki najróżniejszego przeznaczenia, wreszcie sznury koralików, srebrzone bransolety i złoczone pierścionki. Gdy wszystko to było już w kupieckim składzie, Modaru prosił czumaków do karczmy na przekąskę, ale odmówili tłumacząc, że spieszą im do wolnego czasu po pracy, i dlatego chcą najpierw załadować na wozy to, co mają do zabrania ze składu, potem nakarmić i napoić konie, rozbić, za pozwoleniem gospodarza, noclegowe namioty w jego sadzie, umyć się, i wtedy dopiero zasiąść na dłużej w karczemnej izbie dla posiłku i napitku. Załadowano więc szybko na opróżnione wozy ogromne wory wypełnione surową wełną, pęki skór, konopne i lniane przędziwo, suszone ryby i wysoko cenione, najwyższej trwałości mięso suszone, podwędzane w dymie rumianku, piotunu i szaławii.

Od przedwieczoru do pierwszego brzasku karczma należała do czumaków. Jedli, pili, palili fajki, grali na bębenkach, piszczałkach, płaczących łukach, bandurynekach i rybich łuskach, tańczyli zawrotne „czumackie”, stawiali miejscowym gorzałkę i miody, opowiadali o dalekich drogach, i choć było ich ledwie dwudziestu, za stu hałasowali i za stu zostawili złotych blaszek i srebrnych półblaszek, bo taki był ich z dawna znany obyczaj.

A rano dnia następnego zaczęła się toczyć przygnębiająca sprawa, jakiej w Hruszy Obronnej nie było od lat dziesięciu.

Zaraz po wschodzie słońca przytkusował pod dom atamański na zgrzanym koniu Bronko Szelest, czterdziestoletni gospodarz, dziesiętnik po trzeciej wojnie onieckiej, lubiany za prawość, ceniony za odwagę i wykpiwany za naiwność i niezaradność. Koło domu przechadzali się z napiętymi półkuszami kulawy Choma Chmil, też dziesiętnik, tylko że jeszcze z pierwszej wojny z Izbek--Szahem, i młody, od kilku lat dopiero osiadły w Hruszy Romaś Czаницa; pozostałych trzynastu ze „służby przy atamanie” spało w „izbie wioskowej”.

— Witajcie, panowie straż — powiedział jakimś płaczącym głosem Szelest zsiadając z konia przy furtce. — Ja do atamana, a i do was. Wolno wejść na ogród?

— Wchodź — odpowiedział Chmil. — Ataman śpi jeszcze, bo popił wczoraj trochę ze starszym czumackim. A o co chodzi, Bronko? Koniecznie go budzić?

— Sońki trzeba szukać, baby mojej. Jak wczoraj przed wieczorem wyszła, tak do teraz jej nie ma, i boję się, że się jej co stało. Może gdzie nogę złamała, albo zwierz jaki...

Czanica parsknął powstrzymany śmiechem i zaraz spoważniał.

— Co tu śmieszno? — zapytał Szelest ze złością.

— Nic... ten, znaczy się, zwierz... To chyba na drugą stronę rzeki pójść by musiała, albo do Czarnej Puszczy... — bronił się nieszczerze Czanica śląc równocześnie wymowne spojrzenia Chmilowi, który udając, że ich nie dostrzega, wypytywał przybyłego:

— A sam szukałeś?

— Już ze dwie godziny po okolicy pędzę, szukam, ludzi pytam, widzicie, jak konia zgrałem, i nic! Trzeba więcej ludzi, żeby naokoło przeszukać, dlatego ja tu po pomoc.

— Jak to powiadasz, kiedy i dokąd wysła?

— Przed wieczorem, słońce jeszcze na chłopa było wysoko. Polnych kwiatów poszła nabierać i na grób Snopykowej, sąsiadki-przyjaciółki zanieść, bo jak raz dwa miesiące od jej śmierci zeszyły. Ale my tu czas tracimy, a Sonia tam gdzieś na pomoc może czeka! Jak ataman śpi, to niech śpi, a ty, Choma, straż podnieś, i jedźmy szukać!

Chmil milczał chwilę, zastanawiał się nad czymś ze zmarszczonym czołem, wreszcie przerwał niezręczną ciszę poważnym tonem:

— Wiesz, Bronko, co ja tobie radzę? Zaniechaj ty tej sprawy na razie, wracaj do domu, i tam na Sonię czekaj!

— Jak to?! Beze mnie chcecie jej szukać?!

— Po mojemu, Szelest, to najlepiej wcale jej nie szukać, bo jak zaczniemy, to się już niczego nie da zatrzymać, a czuję ja, czym się to skończy. Od serca ci mówię, zaniechaj tej sprawy na razie!

W oczach Szelesta pojawiły się błyski gniewu. Hamując wściekłość, zapytał cedząc słowa przez zęby:

— Ty do czego pijesz, Choma, panie dziesiątniku?!

— A ty niby nie wiesz, do czego?! — w głosie Chmila po-brzmiały nuty politowania, ale i gniewu. — To ci powiem! Do tego ja piję, że dwa lata nie przeszły, jak za swoją Sońkę poręczałeś, i takiś głupi, że nie tylko nowego wstydu się dopraszasz niecierpliwie, ale jeszcze i nahajów na grzbiet, albo z wioską pożegnania!

— Z szablą mi staniesz! — zawarczał pobladły Szelest.

— Nie będzie potrzeby! — odparł Chmil lekceważąco. — Durniejszyś ty, niż myślałem, to i będziesz miał, czego chcesz! Idę atamana budzić, a ty, Czanica, straż podrywaj! Poszukamy zaginionej żonki Szelestowej!

Ruszył ku atamańskiemu gankowi, ale już po kilku krokach powstrzymał go głos Czanicy:

— Poczekajcie jeszcze, panie dziesiątniku! Ktoś w czumackim stroju do nas idzie!

Szybkim krokiem podszedł do furtki starszy czumacki, niewysoki mężczyzna ze skosnawymi oczyma, bez czapki, z drogą szablą u boku i krótkim srebrzonym piernaczykiem za pasem.

— Witajcie, panowie żołnierze! — pozdrowił obecnych nieco przepitym głosem. — Czy wy służba przy atamanie?

— My dwaj przy atamanie, a ten pan gospodarz w sprawie tylko — odpowiedział Czanica z niezwykłą u niego uprzejmością.

Przybyły uważnie przyglądał się twarzy młodego gospodarza, poczem zapytał:

— Czyś ty, panie żołnierzu, u Samomliki dawniej nie czumaczył?

— Dobrą macie pamięć, panie starszy czumacki — odpowiedział zapytany. — Powoziłem ja dawniej, ale razem z wami jeździć mi nie przyszło, bo mnie do Mokrego Kraju i na Niski łowyń wciąż posyłali, a wam, jeśli pomnę, do Poławucia wypadało, i do Księstw, tośmy się tylko w Hryzotowej Wodzie mogli widywać.

— I tu osiadłeś, przyjacielu? Lepiej tutaj?

— Lepiej, nie lepiej... żonka!

— A, tak... No to urodzajów i dobrych chowów, panie gospodarzu! — zakończył starszy rozmowę z Czanicą i zwrócił się do Chmila:

— Trochę mi spieszno, panie dziesiątniku, bo zaraz po śniadaniu chcieliśmy odjeżdżać, a tu kłopot wypadł, który wedle prawa panu atamanowi muszę zgłosić. Pewnie odpoczywa jeszcze?

— Budzić go szedłem właśnie — odpowiedział Chmil. — A co za kłopot się zdarzył, że aż do atamana trzeba?

— Czumak mi się jeden gdzieś tu zapodział; od wieczora nikt go nie widział.

Czanicą i Chmil spojrzeli na Szelesta, któremu wystąpiły na czoło gęste krople potu.

W pół godziny później grupa konnych prowadziła wioskową ulicą czarnobrewą Sonię Szelestową i młodego czumaka o bujnej jasnej czuprynie. Znalezione ich, gdy skradali się pobrzeżem łożyn usiłując niepostrzeżenie wrócić do wioski.

Kiedy wprowadzono odnalezionych do izby wioskowej, siedzieli tam już za długim dębowym stołem ataman Swityna, Choma Chmil i czumacki starszy. Żołnierze doprowadzili parę na środek izby, poczem cofnęli się i stanęli po obu bokach drzwi. Swityna, nie patrząc na winowajców, powiedział powoli i spokojnie:

— Wedle prawa i obyczaju będzie rada mniejsza. Choma Chmil, jak widać, już jest, po ostatych posłałem niewolnych; zaraz powinni przybyć.

Szelestowa rozglądała się po izbie rozbieganym spojrzeniem, kilka razy rozchyliła pełne, ostro narysowane wargi, jakby zaczynając coś mówić i powstrzymując się. Nagle uklękła i zaniósła się głośnym płaczem. Nie podnosząc spuszczonego oczu, wpatrzona w podłogę przy swoich kolanach, gdzie spadały jej obfite łzy, zaczęła mówić poprzez szloch:

— Darujcie winę, ojcze atamanie! Nie wołajcie rady! Darujcie grzesznej i głupiej, ojcze atamanie!

Twarz Swityny skurczył grymas obrzydzenia.

— Jaki ja tobie ojciec, ścierwo! I o co ty teraz prosisz?! O prawa łamanie?! Wybaczenia już raz doznałaś, kiedy zaprzęskiego roku rada porękę męża twojego przyjęła! Czego jeszcze chcesz?! Łzami prawo zmienić?! Łzy twoje fałszywe tyle teraz warte, co kozie szczyny!

Sonia, widząc bezskuteczność skruchy i pokory, podniosła się z kolan, w jednej chwili przestała płakać, i powiedziała głosem hardym i wrogim:

— Prawo wasze, starcy ślepi, mam ja pod spódnicą! A co było moje, tego nie odbierzecie!

Ataman zbył milczeniem wyzywające odezwanie, ale Chmil uniósł się z ławy i wskazał ręką kąt izby, gdzie wisiały na ozdobnych gwoździach trzy okazałe nahaje plecione z grubych rzemieni.

— Już sobie na to zasłużyłaś, Soniu, ale nie chcemy ci tego do większej kary, co ci grozi, dodawać. Miarkuj się jednak, abyśmy cię zawieszonym tam w kącie lekarstwem z twojej pogardy dla praw nie musieli leczyć!

Zaczęli się schodzić zasiadający w radzie mniejszej. Pierwszy przyszedł Hipac Chołosza, staruszek o żywym umyśle, ceniony za swe oddanie sprawom wioskowym, poważany za roztropność i skromność, szanowany jeszcze i za to, że za zgodą księży ze Styrbrodu w wolnych chwilach uczył hruszańskie dzieci religii, sam bowiem, w młodości spędzonej na Ponestrzu, do duchownego stanu się wybierał i nawet u biskupa uczył się jakiś czas, ale później wojny z Bołkanem odciągnęły go od młodzieńczych zamiarów. Po Chołoszy przyszedł dziesiątnik Izaj Nenechajko, wysoki, chudy mężczyzna o smagłej cerze, zmierzwionej gęstej czuprynie koloru drzewnego węgla i fioletowych oczach, człowiek, o którym nie tylko w Hruszy śpiewano pieśni. W trzeciej wojnie onieckiej wyprowadził on z okrążenia trzy

przerzedzone sotnie, w których doborowi kusznicy izbeccy wybili wszystkich dowódców, i które, gdy brakło strzał, bełtów i wody, a okrażenie wzmacniało się oddziałami nieustraszonych mobarezan-e rah-e din'ów, myślały o poddaniu. W straceńczej szarży wywiódł Nenechajko z osaczenia i uratował od izbeckiej niewoli stu osiemdziesięciu żołnierzy, w tym trzydziestu Hruszan. Teraz, trochę zły, że oderwano go od roboty w polu, i trochę speszony szacunkiem, jaki mu okazywano, siadał za dębowym stołem w wioskowej izbie. Z kolei przybył jednoręki Marek Pidbawlak, płowowłosy olbrzym znany z wrodzonej dobroduszości i nabytej małomówności. Zacinał się on mocno w mówieniu od dnia, kiedy felczer-samouk z Postawucia nazbyt boleśnie odejmował mu lewą rękę, strzaskaną bełtem z ciężkiej izbeckiej kuszy. Wstydząc się swego jąkania, mówił coraz mniej, i małomówność stała się jego drugą naturą. Odwrotnie jednak, niż to zwykle bywa, Pidbawlak przestawał się jąkać w chwilach gniewu, i wówczas mowa jego bywała równie płynna, co siarczysta. Pracowity, gderliwy i wiecznie się śpieszący kowal Jacuk Slipota, oraz pogodny, lecz zawsze zamyślony cieśla-bandurzysta Łuka Pohonycz zjawili się jako ostatni, i gdy zasiedli na długiej ławie za stołem, przemówił ataman Swityna:

— Witajcie, panowie rada, witajcie! Z jakiej przyczyny do nieprzyjemnego obowiązku musiałem was zwołać, to chyba wiecie.

— Wiemy, wiemy! — potwierdził ze złością Slipota. — Przez taką babę, co własnym zadem nie potrafi kierować, od roboty trzeba się odrywać! Żelazo mi przywieźli, robota w kuźni czeka, a ja się tu latawicą mam zajmować! No, prowadź, atamanie, a żwawo, bo czasu szkoda! A powiedz też, co tu między nami robi pan starszy nad czumakami, którego rad witam, ale nie pamiętam, żeby go kiedy do naszej rady wybierano.

— Pana Petra Karakulnego, przełożonego czumackiego, o głos pomocny tylko, jakby potrzeba była, poprosiłem — wyjaśnił Swityna. — A ma on prośbę do nas, żebyśmy o podwładnym jego na samym początku postanawiali, bo już wyjazd karawany opóźniony.

— Zgoda! Zaczynać! — ponagłał Slipota, a pozostali potakiwali.

— Podejdz, panie czumaku — zwrócił się ataman do stojącego obok Soni młodego woźnicy — i powiedz, jak cię zwą!

— Demian Czeczucha — odpowiedział czumak podchodząc do stołu twardym krokiem.

— Oskarżamy cię o to, Demianie Czeczuchu, że spędziłeś noc z zamężną kobietą tutejszą, za co pierwszym razem należy się nahajów od trzydziestu do pół setki. Czy się przyznajesz, panie czumaku?

— Do rzeczy się przyznaję, a do winy nie.

— Powiedz więc, jakim sposobem masz się za niewinnego.

— Takim, panowie rada, że o stanie jej zamężnym wiedzieć nie mogłem, bo znaku małżeńskiego na palcu ona nie nosi, kosę po panieńsku zaplata, i ani z wieku widocznego, ani z niczego innego na zamężną nie wygląda.

— A sama nie powiedziała? — zapytał z naiwnym zdziwieniem Pidbawlak.

— Sama nie powiedziała, a nie pytałem, bo i z jakiej miałbym pytać przyczyny.

— Czy Sonia to potwierdza? — wtrącił pytanie staruszek Chołosa.

Szelestowa namyślała się przez moment, poczem odpowiedziała:

— Potwierdzam, że się stanem małżeńskim nie chwaliłam.

— To wiemy wszystko; ogłaszaj wyrok, atamanie! — niecierpliwił się Slipota.

Ale Swityna zwrócił się jeszcze do czumackiego przełożonego:

— Dla naszej wiadomości, abyśmy na przyszłość wiedzieli lepiej, czego się spodziewać, prosimy pana starszego czumackiego o objaśnienie, czy postąpienie podwładnego w zgodzie jest z własnym porządkiem czumackim.

Karakulny odpowiedział z uprzejmą powagą:

— Pracodawca nasz, ataman czumacki większy, Jan Samomliko-syn, dobrze jak nikt daje nam zarobić, i za to jak nikt przestrzegania porządków bractwa naszego wymaga. Demian Czezuha należycie będzie w Hryzotowej Wodzie ukarany za samowolne i bezwistne oddalenie.

Nastąpiła chwila milczenia, po której Swityna powstał z ławy i ogłosił wyrok:

— Uznajemy cię, Demianie Czezuho, niewinnym podług praw wioskowych. Teraz odejź!

Karakulny zatrzymał podwładnego spojrzeniem, wyszedł szybko z za stołu, i stanął obok niego. Obydwaj skłonili głowy, a starszy powiedział:

— Za sprawiedliwość dziękujemy, panowie rada, a za kłopot przepraszamy! Zostańcie w zdrowiu!

Gdy wychodzili, Sonia odprowadzała wzrokiem jasnowłosego czumaka, który nie odwzajemnił się ani jednym spojrzeniem. Swityna zwrócił się teraz do przytamańskich:

— Wyjrzyjcie który do ogrodu, czy jest tam jeszcze Bronko Szelest!

— Jest — odpowiedział od drzwi Czanica. — Siedzi w trawie pod płotem i za głowę się trzyma, a koń jego w słońcu stoi, koło furki uwiązany, i niecierpliwi się mocno.

— To przyprowadź tu Szelesta, ale przedtem konia w ogród wprowadź i w sadzie, za domem, puść w popas!

Gdy mąż niewiernej Soni wszedł do izby, patrzyli na niego wszyscy z niepokojem. Z opuchniętych jak po pszczelich użądleniach oczodołów patrzyły półprzytomnie przekrwione oczy. Podbródek i dolna warga nienaturalnie drgały. Słychać było świszczący, szybki oddech.

— Czyś niezdrów, panie dziesiętniku? — zapytał ataman wskazując mu ławę przy bocznej ścianie.

Szelest szedł ku ławie krokiem ociężałym, jakby mu wiele lat przybyło, usiadł niezdarnie, i wtedy dopiero odpowiedział:

— Nic mi nie jest.

Gniewnym głosem odezwał się Pidbawlak:

— Widzicie przecież, do stu prostych piorunów, że przejął się człowiek ponadmiernie, i od tego chorzeć zaczyna! Hej, przytamańscy, co stoicie jak koty płotowe?! Gorzałki dawać, niedołągi; chyba przez noc nie wypiliście wszystkiego, pijanice!

Kilku żołnierzy skoczyło ku Szelestowi odpinając manierki od pasów. Pałący płyn dał natychmiastowy skutek: choć oczy Szelesta pozostały czerwone, ustało drganie wargi i podbródka, a oddech się uspokoił.

— Ju-już le-epiej? — spytał Pidbawlak, któremu powróciło jękanie wraz z opadnięciem wzburzenia.

— Lepiej — potwierdził Szelest. — Dzięki ci, Marek, przyjacielu!

Swityna milczał zakłopotany, a Slipota złościł się:

— Jeszcze tego nie było, żeby za taką zas... przyczyną zdrowy chłop od rozumu odchodził!

— Bo też i od lat przeszło dziesięciu niewierność po poręce w Hruszy się nie zdarzyła — przypomniał Chołosza.

— Też mi powód! — nie ustępował kowal. — Niech się ta durna poniewczasie przejmuje, bo jej los niewesoły, a chłop, jak zechce, stateczniejszą babę znajdzie!

— Ale znów księża rozejść i nowych ożenków nie uznają...

— wtrącił się Nenechajko.

— To niech nie uznają! — coraz bardziej złościł się Slipota.

— I bez ich uznania dzieci się rodzą! No, ale dość tego! Atamanie, rób swoje, bo mnie na tej zas... radzie krew zaleje!

Ponaglony Swityna zaczął szybko mówić:

— W dwóch rzeczach mamy postanowić; pierwsza, to kara dla Soni, druga — chybiona poręka jej męża. Soniu, oskarżamy cię o to, że drugi raz dopuściłaś się jawnej niewierności, siebie hańbiąc do końca, porękę mając za nic, prawo i obyczaj nie tylko łamiąc, ale, że to drugi raz, jeszcze i obrażając. Przysługuje ci głos, to mów, jeśli chcesz!

Winowajczyni, wiedząc już, że ani jej pokora, ani hardość nie robią wrażenia na ludziach postanawiających teraz o jej losie, znalazła jeszcze inną nutę dla swych słów:

— Wiem, że teraz już tylko poręczenie rady mogłoby mnie przed wypędzeniem uratować, i pojmuję, że poręki takiej dać mi nie możecie, bo nie ma niczego na moją obronę. Wiem też, że wysciganey nie wolno z domu męzowskiego zabrać niczego prócz odzienia i tego, co przed poślubieniem miała, a ja nie miałam nic, przeto dla mnie wypędzenie śmierć znaczy. Śmiercią zaś karać taki jak mój występki ani sumienie wam nie dozwoli, ani obyczaj, ani prawo niskołowyńskie. O to was więc tylko proszę, byście w sumieniach waszych rozważyli, jak prawu zadość uczynić, a na śmierć mnie nie skazać.

— No, no, patrzcie, jaka to ona teraz mądra, i jak gładko przemawia! — szyderczo odezwał się Slipota, gdy Sonia skończyła. — I pomyśleć, że jeszcze tej nocy własny zadek był od niej mądrzejszy, i Sonię pokierował, a nie na odwrót!

Swityna drapał się za uchem i patrzył na Szelesta, który słał mu błagalne spojrzenia. Ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy potwierdził swą zgodę na niemą prośbę nieszczęsnego dziesiętnika, poczem zwrócił się do wszystkich:

— Panowie rada! Sonia Szelestowa w składnej mowie swojej o to nas poprosiła, abyśmy, jako prawo zezwala, wyprawę wioskową jej dali, i nie o dzień drogi tylko ją eskortowali, lecz dalej, tak żeby jej zwierzęta ani zbóje po drodze nie napadli. Jako okrutność obca obyczajowi naszemu, tako za tym jestem, by prośbę jej spełnić.

— Pięć blaszek z kasy wioskowej można dać, i odwieźć w diabły! — zgodził się Slipota.

— O robotę w naszej Ziemi dla baby niełatwo, i może jej przyjąć daleko wędrować, nim co znajdzie — zauważył Pohonycz. — Myślę, żeby dać dziesięć blaszek.

— Piętnaście, i ani półćwierci więcej! — Zamknął rozważania kowal. — I wywieźć jak najdalej!

Ataman wstał z ławy. Surowe, ale i łagodne zarazem rysy jego twarzy zmieniły się zauważalnie, w jednej chwili przydając całej jego postaci wyrazu powagi i dostojeństwa. Milczał chwilę, czekając aż cisza w izbie stanie się zupełna, potem zaczął mówić:

— Panowie rada, panowie straż wioskowa, Bronko, panie dziesiętniku, i ty, Soniu Szelestowa! Prawa nasze nie z zasiadań rad ziemskich się wzięty, ani nie z łak Ikwobrodzkich, lecz z nauki świętego nauczyciela naszego, Semena Werby, który za jednego życia swojego przodków naszych z głodu i dzikości wyprowadził i w godny a wolny naród zamienił, od stu lat przeogromnym potęgom wrogim się opierający. Ten to święty nasz patron nakazywał, aby w narodzie naszym dzieci wśród prawości rodzicielskiej wyrastały, i aby żołnierze na dalekich rubieżach ziem naszej mowy broniący, z myślą o dzieciach i żonach swoich wiernie czekających walczyli ochotnie. Wolę świętego Semena dziadowie nasi prawem uczynili, surowym dla każdego, kto świętość małżeństwa i rodziny narusza i kala. I oto przyszło nam o surowości statecznej prawa tego przypomnieć! Mocą od wioski całej nam daną, za niepoprawne obrażanie małżeństwa, prawa i obyczaju wypędzamy cię, Soniu Szelestowa, z Hruszy Obronnej! Aby zaś surowość nie była okrutna, dajemy ci z mienia wioskowego wyprawę blaszek złotych piętnaście, co na pół roku życia i podróżowania łatwo starczy, i poszukanie sobie miejsca nowego umożliwi. Powiedz teraz, dokąd chcesz się udać?

Sonia barwnie haftowaną chusteczką wycierała łzy, bezgłośnie tym razem i, być może, prawdziwie.

— Do Styrbrodu — odpowiedziała łamiącym się głosem.

— Dobrze. Jutro przed wschodem słońca przybędzie pod dom, nie twój już wówczas, eskorta z pieniędzmi i koniem dla ciebie, by odprowadzić cię do Styrbrodu. Teraz odejdź!

Gdy wyszła, Swityna przetarł wierzchem dłoni przypocone czoło i usiadł z niegłośnym westchnieniem, w którym można było usłyszeć zmęczenie, ulgę i jakiś bezradny żal. Milczeli wszyscy przez długą chwilę, i nawet z twarzy Jacuka Slipoty znikła niecierpliwość, ustępując miejsca zamyśleniu. Jakby otrząsając się z natrętnej myśli ataman przerwał ciszę:

— No, to skończmy, co jeszcze zostało... Krótka to chyba sprawa — poręka Szelestowa za żonę, dawniejszego roku nam złożona. Wedle prawa, kto poręcza za dłużnika niesumiennego, musi za niego dług oddać, kto zaś w niemajątkowej sprawie lekkomyślnie da porękę chybioną, dziesięć razy najchętniej ma pobrać, a to po to, żeby ludzie nieobyczajni łatwo niefrasobliwych poręczycieli nie znajdowali. Proszę ja jednak panów radę o zgodę na to, abyśmy, na co obyczaj zezwala, chłostę panu dziesiętnikowi na grzywnę zamienili, tę zaś z kolei na dni służby dodatkowej przy atamanie.

— Nie ma o czym gadać; pełna zgoda! — krzyknął za wszystkich Slipota wstając.

Zmienionym, odrętwiałym głosem odezwał się Szelest:

— Dzięki, panowie rada, choć najchętniej by mi się i przydały! Ale prośbę mam jeszcze, żeby mnie który z was, przyjaciele, u siebie dzisiaj przenocował, bo z Sonią nie chcę się już widzieć.

Ze Stałopisu księdza Wasyla Kropyty:

Anim się obejrzał, jak dwadzieścia pięć lat uszło od dnia, kiedy pierwszą z tych kart zapisałem! Czas jakoby coraz prędzej upływa i coraz prędzej wszystko się zmienia! Musiałbym chyba bez butów chodzić i każdą półćwierć blaszki na papier przeznaczyć, aby to tylko opisać, co ważne mi się widzi. Mamy oto sierpień roku 2242, i trzeci już raz za mojej pamięci wracają żołnierze z wojny nad Ońcem. Izbek-Szah ani pierwszego rozejmu, ani drugiego przedłużyć się nie zgodził ufny w wojska swoje i w pomoc władzodawcy swojego, Szijja-Szaha Mualema. Ten jednak, połową świata, jak powiadają, władający, na wszystkich krańcach swojego mocarstwa wojny ma bezustanne, przez co Izbekowi mniejszą daje pomoc, niż ten się spodziewa, gdy tymczasem Ziemiom Malwowego Znaku z roku na rok sotni powoli przybywa, a Tirkije ślą nam na wojny onieckie wsparcie coraz znaczniejsze. I tak wychodzi, że ani Izbek kroku dalej w Ziemię Oniecką postawić nie może, ani my odepchnąć go od granicy pierwszym rozejmem naznaczonej mocy dosyć nie mamy. Wojna roku terażniejszego trzy i pół miesiąca bardzo krwawo się toczyła, w sotniach naszych wielkie czyniąc przerzedzenie, ale Izbekowym wojskom niepomiernie większe przynosząc straty, bo u nich hołoty pieszej więcej jest niż trzy ćwierci, po której sotnie Malwowego Znaku jak po owsie ujeżdżają, i jeńca z nich biorą bez liku. To jeszcze ważne, że w liczbie i dobroci konnicy niemałą mając przewagę, zapuszczają się nasi wrogowi do taborów i obozów ogromną biorąc zdobycz w broni, jedwabiach, namiotach, kobiercach i drogocенnościach, u nich bowiem żołnierz prosty niebogaty, ale byle jaka starszyzna w złoto i srebro opływa. O wojnie tegorocznej to jeszcze zapisać trzeba, że jako mi sam nasz ataman powiedział, ani jeden nasz żołnierz w izbeckiej niewoli nie został, bo wiedząc już dobrze, że izbecka niewola najstraszniejszą jest rzeczą na świecie, tak sotnicy nasi każdy z osobna bóg obmyślali, żeby odwodami mocnymi wszelakie otoczenia móc otwierać. Dwa razy tylko okrążenie naszych się zdarzyło, którego najwyborniejsze hezary Szijja-Szahowego wsparcia dokonały. Z jednego trzy sotnie o własnej sile z wielkimi stratami wyszły, w drugim zaś

półsotnia nasza poddała się po prawdzie, ale ją zaraz atamani za jednego sarlaszkara, co był już w naszych rękach, w całości wykupili.

Dziw bierze, jak nierówno u Izbek-Szaha ludzi cenią! Jak kto ze starszyzny, choćby i miernej, to go bez targowania po każdej cenie wykupują z niewoli, prostego zaś wojownika wcale wykupywać nie chcą, pieniążka nawet najmarniejszego za niego nie dadzą! Po ciężkiej wojnie tegorocznej dłuższy niż bywało rozejm Izbek-Szah podpisał z naszymi atamanami, bo na lat piętnaście, a przeto spokoju już dość potrzebnego spory czas Ziemiom naszym się zapowiada, jako że z rozejmu piętnastoletniego z Wielkim Bolkanem dziewięć lat jeszcze zostało, północne zaś Cesarstwo od dawna nas nie najeżdża, bardzo ponoć zajęte wojnami z Uratsybem na wschodzie i jakowymś Ingianem na zachodzie. (...)

Niedługo nasz ataman, Zbynko Hradyna, mógł poodpoczywać po powrocie z wojny, bo akuratnie we wrześniu skończył mu się pięcioletni czas władzy atamańskiej, i musiał zwoływać radę ziemską na wybór. Zjechali się panowie atamani wioskowi na ostatnią niedzielę września i, jako się spodziewano, Hradynę na pięć lat następnych bez jednego głosu przeciwnego atamanem Łowynia Wysokiego obrali. Potem przemowę miał długą ataman czumacki większy, Jan Samomliko, najmocniejszy kupiec-pośrednik w obu łowyniach, którego wozy i czumacy nie tylko w naszych Ziemiach towary przewożą, lecz i cały prawie handel z małolackimi księstwami sprawują. O porządek w miarach Samomlice chodziło, co już nieraz bez skutku na Ikwobrodzkich łąkach stawiano. Mówił, że przez miar rozmaitość i niedokładność przeliczanie tak jest utrudnione, że on i ludzie jego bez winy o szachrajstwo i handlową niegodność bywają pomawiani, czego znosić więcej nie chce, i nawet myśli o pracy swojej handlowej zaniechaniu. Na Ikwobrodzkich łąkach, tłumaczył, i za sto lat niczego w tej rzeczy zrobić się nie da, bo tam pyskacze postawuccy żadnej nowości śmielszej nie przepuszczą, przeto tu, w Hryzotowej Wodzie zrobmy początek i proste miary zachodnie zaprowadźmy w miejsce gęstwiny miar powikłanych i niejasnych. Gdy zaś zgoda na to stanie, to on, Samomliko, całkiem na swój koszt wagi, odważniki i wszystkie potrzebne wzorce każdemu kupcowi w całej naszej Ziemi dostarczy, a nadto jedno najdokładniejsze wszystkich wzorców zestawienie panu atamanowi pod ochronę złoży, a to dla sprawdzeń, sporów rozstrzygania, albo dla sądowej potrzeby. Pan ataman Hradyna bardzo Samomlikę poparł powiadając, że przez miary zachodnie handel z Księstwami ułatwiony będzie, ten zaś w całości prawie przez Wysoki Łowyń przechodząc, dochód niemały Ziemi naszej przynosi, przez co wkład ziemski od wiosek mniejszy u nas niż gdzie indziej, i jeszcze maleć może.

I tak to rzecz ważna się stała, że miary zachodnie zaprowadzono w Łowyniu Wysokim w roku 2242.

To jeszcze zapisać trzeba, że do Bołkanu koni sprzedawać się już nie będzie. Pan ataman Ponestrza, Łewko Lonowy, przez człowieka przysłanego radę naszą powiadomił, że on koźmi z Bołkanem nie handlując, innym też nie pozwoli i przez Ziemię swoją ani jednego konia w tamtą stronę nie przepuści, a to z tej przyczyny, że władca bołkański, co się pierwszym rajcą nazywa, konnicy dużo więcej mieć postanowił, co gdyby mu się dobrze udało, siłę jego wojska za bardzo by podniosło, od czego Ponestrze pierwsze ucierpieć by mogło. Słuszność zakazu atamana Lonowego rada całkiem uznała i zamiar powzięła, żeby koni większej krwi dużo teraz mnożyć, te bowiem Księstwa małolackie bardzo dobrze biorą, w mierzynkowatych nie gustując.

Eskorcie odprowadzającej wyściganą Sonię do Styrbrodu polecił ataman Swityna zgodzić któregoś z trzech tamtejszych księży na przyjazd do Hruszy dla poświęcenia grobów, i wrócić razem z nim. Do tego czasu postanowił uporządkować cmentarz. Zamówił u cieśli Pohonycza na koszt wioskowy krzyże i duże drewniane tabliczki, a do prac na cmentarzu wezwał

kilkunastu ludzi, w tym wszystkich piśmiennych, których było, oprócz niego samego, pięciu: obydwa niewolni, kupiec Modaru, staruszek Chołosza i były czumak Czanica.

Znalazła się też na cmentarzu trójka dzieci i śledziła z napięciem rzeźbienie napisów na drewnianych tabliczkach, mocowanych następnie do białych krzyży. W odczuciu dzieci pisanie, a już szczególnie pisanie dłutkami na deszczułkach, zawierało w sobie coś na poły magicznego, godnego wnikliwej uwagi. Radka, przejęta powagą miejsca i niezwykłością oglądanych czynności, pytała chłopców szeptem:

— Z tych rowków i dołeczków na deseczce to będzie w niebie wiadomo, jak się kto nazywa?

Iwanko wyjaśniał jej półgłosem, z miną znawcy:

— Coś ty, Radka, przecież w niebie i tak wszystko wiedzą! Te napisy, to się dla ludzi wyrzyna, a nie dla nieba! To po to, żeby się nie pomylić, czyj który grób, jak się przychodzi kwiatki położyć, albo się pomodlić. Rozumiesz?

— No... niby pojmuję... ale myślałam, że modlić się najlepiej w domu, pod obrazkiem świętego Semena.

— Zależy, o co — pomógł Iwance Staśko. — O zdrowie, albo o urodzaj, to najlepiej w domu. A o zmarłych, żeby im się w niebie dobrze powodziło, przy krzyżach na cmentarzu najlepiej.

Dociekliwość dziewczynki nie była jeszcze w pełni zaspokojona, więc po chwili zastanowienia pytała dalej:

— Jakże to jest, że dla ludzi się te znaczki na tabliczkach rzeźbi, a przeczytać nikt nie potrafi, tylko ci sami, co piszą?

— Prawda to — odpowiedział zakłopotany Iwanko — że na razie przeczytać nikt inny nie potrafi, ale obiecuje pan ataman, że tej zimy, co przyjdzie, zapłaci niewolnym, i dziadkowi Chołoszy, i panu gospodarzowi Czanicy, żeby wszystkich uczyli czytania, a nawet i pisania.

— Z panem Czanicą — zauważył Staśko — to by było wesoło czytania się uczyć, bo on wciąż żartuje.

Jakby na potwierdzenie tych słów głośno odezwał się były czumak:

— Czy to uchodzi, panie atamanie, żeby poganie na chrześcijańskich grobach napisy sporządzali i łapami pogańskimi krzyży dotykali?

— Milcz lepiej, Czanica! — uchybił mu w odpowiedzi Swityna pomijając grzecznościowe „panie gospodarzu” — Takiś ty chrześcijanin, jak i oni, jeśli nie gorszy!

Kiabir też nie pozostał dłużny skoremu do żartów gospodarzowi:

— Pan gospodarzu Czanica! Minął jest termin na oddanie Kiabirowi trzy blaszki w karczma pożyczone. Kiabir nie przedłuża. Kiabir Czanicy-pani to mówi, i Czanica-pani pan gospodarza młóci!

Groźba niewolnego nie na żarty zaniepokoiła Czanicę.

— Tylko nie to, Kiabir, bój się Allana, jakże mógłbyś!! — zawołał szczerze przestraszony. — Blaszki ci oddam, i jeszcze kilo tytoniu za zwłokę dodam, tylko babie mojej ani mru-mru!

— Kiabir nie mru-mru — zgodził się niewolny — a pan gospodarz kilo tytoń doda i pamięta, że Kiabir nie pogan i Dżelal nie pogan.

— Umowa stoi! — odetchnął Czanica.

— Toś się nauczył — zauważył ataman — że jak się u niewolnych na gorzałkę pożyczają, to lepiej im nie dogadywać.

— Święta prawda! — przyznał były czumak z westchnieniem.

— Jak się ma gębę i do napitku, i do pyskowania niepohamowaną — wtrącił Modaru — to nie na długą taką naukę.

Swityna zerkał kątem oka na uśmiechnięte oblicza zadowolonych z siebie niewolnych i przypomniał z udawaną surowością:

— A wy, Kiabirze i Dżelalu, z tej uciechy nie zaczniście znowu tych waszych zakrętasów do naszych liter doczepiać, jako to się wam przy pisaniu przeważnie zdarza! Proste litery macie wycinać, bez żadnych mysich ogonów, bo chrześcijańskim tu piszemy pismem, a nie tymi waszymi robakami!

Zastanawiały się dzieci, jak i dlaczego w ojczyźnie niewolnych pisze się robakami, ale nie śmiały o to zapytać.

Eskorta wróciła po pięciu dniach ze Styrbrodu bez księdza, ale z listem od atamana ziemskiego i z wiadomością, że przybędzie do Hruszy bardzo na całym Niskim łowyniu lubiany ksiądz Iwaś Izajenko, ale za tydzień dopiero, bo na razie, jak i dwaj pozostali, zajęty jest pogrzebowymi posługami w innych wioskach, też dotkniętych zarazą. Ucieszył się z tego Swityna, bo Izajenkę znał ze swych pobytów w Styrbrodzie, i chociaż uważał go za dziwaka, cenił go serdecznie. Ale zarazem zmartwił się, że kapłan podróżować będzie do Hruszy bez ochrony, i zaczął wypytywać Chartyczenkę, starszego nad eskortą:

— Ty z Izajenką rozmawiałeś?

— Tak, panie atamanie. Na miejscu, jak tam przyjechaliśmy, żadnego z księży nie było, wszyscy po wioskach się rozjechali. To wypytaliśmy, który dokąd się udał, i który najbliżej. Izajenko był akurat w Nahodzie Obronnej, tośmy tam we dwóch skoczyli i w dzień z okładem obrócili.

— Nie przyszło ci do głowy, panie gospodarzu, żeby w Styrbrodzie na księdza zaczekać i w drodze niebezpiecznej do nas go chronić?

— Mówiłem ja z nim o tym, i to mu też powiedziałem, że w drodze do Styrbrodu, gdyśmy o zmierzchu namioty na nocleg rozkładali, dojrzeliliśmy daleko pod lasem jakichś konnych pięciu, albo sześciu, a że do ludzkich siedzib stamtąd dobry dzień jazdy, to rozbójnicy to być mogli, tak że nawet nie do snu nam się zrobiło, i do rana z półkuszami napiętymi kręciliśmy się koło namiotów. Ale ksiądz śmiał się z tego i kazał nam do domu wracać, powiadając, że na takich dziadów jak on zbójcom nastawać się nie opłaca, a od zwierza czuje się bezpieczny, bo dwa psy ze sobą wszędzie bierze, co go w razie potrzeby budzą. No, tom się już nie spierał, i wróciliśmy.

— Odważny to człowiek niebywale, ale bez potrzeby takie narażanie. Mówisz więc, że konnych widzieliście? A nie dało się dojrzeć, jak wyglądali?

— Szarówka już była, panie atamanie, a oni do kilometra od nas, i jeszcze lasu tło czarne przeszkadzało, z którego oni, jak mi się widzi, wyjechali i dojrzawszy nas zawrócili pośpiesznie, z powrotem w las się chowając. Oni nas lepiej mogli widzieć, bośmy w niskim krzewostepie namioty dwa kończyli ustawiać. Jedno tylko dziwne mi się wydało, a to rośłość ich koni. Musiały być wielkiej krwi, bo od naszych mierzynów wyraźnie większe, co zmyłką oka być nie mogło, jako że o szarówce tylko na tle nieba rzeczy wydają się większe.

— Ciekawe to... — rozmyślał na głos Swityna. — Nie słyszałem ja, żeby u nas kto roślących koni używał. Na Wysokim łowyniu to bywa, ale też rzadko...

— Pewnie ze stadniska jakiegoś ukradli, a mierzynki akurat im się nie trafiły.

— No, może... To jeszcze powiedz Chartyczenko, panie gospodarzu, jak się Szelestowa w drodze zachowywała, i czy na miejscu zajęcie jakie jej się zapowiada, czy dalej powędruje?

— W drodze, panie atamanie, spokojna była i zamyślona, i raz jeden tylko przez te dwa dni więcej niż słowo powiedziała, a to że nigdy nie wierzyła, by naprawdę mogła się czego cięższego dograć. W Styrbrodzie zaś od razu jej szczęście dopisało; karczmarz Oliferenko

przyjął ją do roboty w karczmie i zajeździe, bo mu dopiero co dziewczyna najemna za mąż wyszła i podziękowała.

— To i Bogu dzięki; może się kobieta całkiem nie zmarnuje. A tobie, panie gospodarzu, za służbę pięciodniową dzięki! Idź odpocząć!

W liście atamana ziemskiego, Hryhorego Łomaki, były wieści o wielkich stratach ludzkich w całym Niskim Łowyniu. „Na każdych dziesięć wiosek naszych — pisał ataman Łomaka — osiem zarazą jest przetrzebionych, a w nich co trzeci człowiek zmarł, najgorsze zaś, że dzieci wszędzie bardzo mało zostało, bo te najbardziej brała dziurawica przeklęta! W bratnim naszym Mokrym Kraju tak samo to wygląda, jeśli nie gorzej jeszcze. Postanowiłem ja, co rada ziemska na pewno mi uzna, że z wiosek tą klęską doświadczonych połowę tylko wkładu ziemskiego w tym roku weźmiemy, przeto i ty, panie atamanie, udziału wioskowego połowę od gospodarzy zbieraj, a jak kto bardzo rodziną i gospodarstwem ucierpiał, to od udziału całkiem zwalniam. Jako ci z rady zeszłorocznej wiadomo, mamy jeszcze w kasie ziemskiej trochę pieniędzy, a w składzie dobra zdobyczego, to na wojsko stałe, teraz zarazą umniejszone, powinno starczyć, a jakby rada tegoroczna stan jego zechciała przywrócić, to z Wysokiego Łowynia pożyczymy, który bardzo mało ucierpiał, a z handlu niemiernie większy od nas ma dochód.

Ćwiczenia ziemskie tegoroczne na ostatnią niedzielę czerwcową wyznaczam. Choć wielu panów gospodarzy-żołnierzy do dobrego zdrowia jeszcze nie powróciło, zaniechać ćwiczeń nie możemy, szczególnie że mam o nowej broni wiadomości, której wróg nasz północny zaczyna używać, i trzeba nam pomyśleć wspólnie, jak sposoby wojowania do tejże przystosować. Radę zaś ziemską zaraz po wojskowych zajęciach urządzimy. Przybywajcie tedy do obozu, tam gdzie zawsze, na ostatnią czerwcową niedzielę, jednak panów gospodarzy-żołnierzy słabych jeszcze, nie całkiem po chorobie wydobrzątych, na ćwiczenia nie przyprowadzaj, aby zawadą nie byli, jako że zajęcia nasze, choć z mniejszym wojskiem, lżejsze niż zwykle nie będą”.

Jakby na dowód, że Hrusza Obronna wraca do sił, odbyły się pierwsze od zimy ćwiczenia niedzielne na Wojskowej Łące. Wielka łąka krzewostepu, ograniczona od północy polami uprawnymi, od wschodu zamknięta Szlakiem Postochidzkim i skrajem szerokich nadrzecznych łąk, od południa gęstniejącymi smugami niskich łasków olchowych i Szlakiem Mohoryczańskim, a od zachodu ogrodzona poprzerwanym tu i ówdzie pasmem gąszczy tarninowych, porastających krawędź Stadniskowej Równiny, nazwana została Wojskową Łąką przed wieloma dziesięcioleciami, w czasach, których nikt z Hruszan już nie pamiętał, i służyła kolejnym pokoleniom za miejsce nauki wojowania. Spadały na nią w niedzielne dni płaty piany z końskich boków, wsiąkał w nią ćwiczebny pot gospodarzy-żołnierzy, a bywało, że skapywała na nią i krew z dłoni otartych do żywego mięsa ręką szablą szatkującej przez wiele godzin rzędy słomianych kukieł. Najbliższy wiosce, dotykający południowej wieży strażniczej róg Wojskowej Łąki odgradzony był od reszty wysokim ziemnym wałem dla osłony przed zabłąkanymi strzałami i bekami, i nosił nazwę Zapłakanego Kąta. Tu nauczano wojskowego rzemiosła kobiety i dzieci, które za dwudziestoletniej już władzy atamana Swityny stawiały się na niedzielne zajęcia z największą radością, i przez myśl im nie przeszło, że w dawnych czasach łąły się tu łązy, gdy surowi atamani zmuszali hruszańskie piękności i umorusane latorośle do napinania setki razy po kolei twardych łuków, których cięciwy zrywały skórę z palców.

Pierwsze od ustąpienia zarazy wioskowe ćwiczenia niedzielne miały się jednak odbyć bez kobiet i dzieci, obawiał się bowiem Swityna, by niedzielne zajęcia nie przemieniły się we wspomniania o zmarłych, w płacze i lamenty. Ale Iwanko, Staśko i Radka umówili się, że nic im o tej zmianie nie wiadomo, i zjawili się na Wojskowej Łące konno i z bronią. Wszyscy troje mieli piękne dziecięce szable, a chłopcy również zmiękczane łuki i kołczany z pierzastymi

strzałami. Na ich widok ataman zmarszczył krzaczaste brwi, ale za to rozjaśniło się oblicze kulawego Chomy Chmila, który martwił się już, że będzie tym razem niepotrzebny. Do niego należało od wielu lat szkolenie najmłodszych, i serdecznie polubił otaczającą go w niedzielne przedpołudnia rozwrzeszczaną watahę chłopców i dziewczynek od lat sześciu do trzynastu. Uczył ich bojowego trzymania się w siodle, celnego rzucania dwugrotami, strzelania z łuków i półkusz, fechtunku kijami i pierwszych kroków w ostrym robieniu szablą, na razie lekką, dziecięcą. Powtarzał przy tym stare powiedzenie: Z szablą odwrotnie niż z gorzałką — wcześniej zaczniesz, dłużej pożyjesz.

— Myślę, panie atamanie — nieśmiało zwrócił się teraz do Swityny stary dziesiętnik — że jak już przybyli, to może bym z nimi chwilę popracował, żeby im kwaśno nie było z niczym wracać...

— Niech i tak będzie. Ale ani jazdy, ani łuku ich nie ucz, bo w tym się sami dobrze wyćwiczyli. Dwugrotami trochę poróbcie, i trochę szablą. Tylko małej nie przemęczaj, bo mi się widzi, że coś słabo rośnie. No, to zabieraj dzieci za wał!

Śmiały się oczy starego żołnierza, gdy trójka dzieci popisowała się przed nim celnością rzutów dwugrotami. Z siodła i z ziemi, z zatrzymania i z biegu, na pół obrotu, na pełny, na półtora i na dwa, niemal za każdym razem lot zaostrzonych z obu końców stalowych prętów kończył się wbiciem ostrza w służący za cel wierzbowy klocek. Nieco gorzej było z szablą. Dziecięce cięcia w słomianą kukłę były z początku za mocne i niedość dokładne.

— Za wielki zamach! — z zapalem pouczał Chmil. — Koniowi ucho utniesz! Bardziej z boku zajeżdżaj! I wychył się trochę! Już lepiej. Piórem tnij! Piórem, mówię! To nie topór, to szabla! Teraz dobrze! Już w porządku. Przerwa!

Po dwóch godzinach, gdy w końskich pachwinach zabieliły się pierwsze kłębki piany, a po dziecięcych mięśniach przebiegły leciutkie dreszczyki przyjemnego bólu, stary dziesiętnik zakończył zajęcia. Nim odesłał dzieci do domów, rozczulił się nad ich umiejętnościami:

— Pięknie, ziarenka kochane, pięknie! Dusza rośnie, jak na was patrzeć! Jeszcze tu nie było takich małych wojowników!

Dwugrociki wasze jak po sznurku idą, a i szabelki kąśliwe jak osy! A już tobie, Radecku, to się nadziwić nie mogę. Skąd w kruszynie drobnej taka siła i taka w szabelce dokładność?!

— Bo ja nie chcę, wujku dziesiętniku, żeby oni wstrętnei nosa zadzierali — wytłumaczyła z dumą chabrooka dziewczynka.

— To i słusznie! Nie dawać się, panienczko, nie zostawać w tyle, ot co! No, ale teraz już wracajcie do domów, tylko najpierw podjedźcie do rzeki koniki napoić. Do rzeki, powiadam, bo ze studni woda zgrzanym za zimna!

Dzieci odjechały, a po Wojskowej łące jeszcze przez kilka godzin dudniły końskie kopyta, przewalały się ławowe szarże i rozproszone ucieczki, rozwijały się błyskawiczne oskrzydlenia i niespodziewane wypadki.

Tak więc podniosła się Hrusza Obronna z losowej klęski i powróciło do niej zwyczajne życie. Ale wieczorami, po zmroku, w porze zwoływania dzieci na posiłek i do spania, z wielu zagród, z ganków i pootwieranych okien dawał się słyszeć kobiecy płacz, a czasem głośny lament matek, nie mających kogo wołać na wieczerzę.

Z pism św. Semena Werby. Ostatni rozdział z brulionu *Moje życie. Opisanie z pamięci*, zwanego „drugim świętym zeszytem”.

Z tałanami

Opisałem dotąd moje przypadki aż do dnia, kiedy to wraz z księdzem Iwskim wyruszyłem z Czystoziamli do „niemiejsca” nad Biną. Był to jedyny wielki błąd w moim życiu, dlatego poświęcę mu nieco uwagi.

Jak już we wcześniejszych rozdziałach wspominałem, koczyło mnie zawsze, by nawiązać jakąś znajomość z tymi ludzkimi niedobitkami, co to wegetują w głębi ruin niektórych technoczesnych miast, i podjąć próbę przywrócenia ich godziwшему życiu.

Urodziwszy się w jedenaście lat od początku zapaści, nie mogłem zbyt wiele wiedzieć o dawnych miastach, jednak miałem o nich pewne wyobrażenia na podstawie opowiadań ojca. Od niego też przyjąłem przypuszczenia co do losów tych niewyobrażalnie wielkich skupisk ludzkich w pierwszym okresie katastrofy (ojca, jak już wspominałem, początek zapaści zastał w okolicach bezludnych, tak że prawdopodobny przebieg wypadków musiał sobie budować w oparciu o posiadaną wiedzę). Kiedy pewnego dnia, ni stąd ni zowąd, zaczęły bić proste pioruny — tak to sobie przedstawiał mój ojciec — i w ogromnym tempie niszczyć wszystkie maszyny, płynne paliwo, drogi oraz druty do przesyłania powszechnie wówczas używanej siły, która nazywała się elektrycznością, ustał dowóz żywności do miast, a jej zapasy na miejscu wystarczyły dla tych ludzkich mrowisk na dzień, może dwa. Jednostki najsilniejsze i najbardziej bezwzględne zagarniały dla siebie jak najwięcej, skazując wszystkich pozostałych na przyspieszony atak głodu i szybką utratę sił, a że jedynym środkiem podróżowania stały się nagle własne nogi, osłabłe rzesze mieszkańców miast nie były w stanie podjąć wędrówki do źródeł żywności, zapewne zaciekle bronionej przez mieszkańców wsi. Ci ostatni również, choć z pewnym opóźnieniem, musieli zaznać klęski głodu, bo konie w owym czasie zostały już do końca zastąpione maszynami, te zaś zniszczyły proste pioruny, nadal zajadłe bijące w każdy pojemnik z płynnym paliwem, nadal wzniecające miliony ognisk pożaru i strasznych wybuchów. Bezwzględna walka o byt zamieniła ludzi w zdziczałe bestie — przypuszczał mój ojciec — rozboje i mordy pomniejszały dalej liczebność ocalałych, a epidemie chorób kosły wycieńczonych dopełniając rozmiarów katastrofy. Pogłębiać się musiała zarazem przepaść między ruinnymi niedobitkami dawnej ludności miejskiej, której położenie mogło się już tylko pogarszać, a prymitywnymi rolnikami, których lepszą przyszłość zapowiadać zaczęło powolne odradzanie zwierzęcej siły pociągowej. W ruinach mogło dojść w pewnym okresie do ludożerstwa, ale praktyki takie nie mogły trwać zbyt długo, bo przecież kanibalizm jest sposobem na przetrwanie coraz mniejszej liczby jednostek. Później zatem mieszkańcy ruin musieli opanować uprawę roślin w miejscach nie pokrytych betonem, a może i niewielką hodowlę drobiu lub królików.

W słuszność i trafność całego tego rozumowania nie wątpiłem ani trochę, toteż nigdy nie wierzyłem w pogłoski, że „nieczłtocy”, jak się powszechnie nazywa ruinnych, uprawiając ludożerstwo do dnia dzisiejszego. Nie dawałem też wiary opowieściom o ich rzekomym stoczeniu się na samo dno człowieczeństwa, o niegodnym wyglądzie i zatraceniu języka. Utwierdzał mnie w tym ksiądz Iwski, który wiele ze mną podróżował po naszych Ziemiach i wciąż przypominał, że powinniśmy znaleźć czas na wyprawę w głąb „nie-miejsc”, jak ludzie nazywają porośnięte zielskiem rumowiska. Wreszcie, a było to dwanaście lat temu, wkroczyliśmy, pełni szlachetnych zamiarów, w gigantycznie rozległe ruiny położone nad Sławutą. Jednak ich mieszkańców nie zobaczyliśmy, a tylko doświadczyliśmy ich istnienia poprzez guzy na głowie od kamieni, którymi nas obrzucili z ukrycia. Niepowodzenie przypisaliśmy wyborowi zbyt rozległego rumowiska, w którym wstydlivi „nieczłtocy” są w stanie uniknąć spotkania z intruzami. Uznaliśmy, że dla dobra sprawy spotkanie takie trzeba wymusić wybierając mniejsze ruinisko. Trafiła się po temu okazja w dziewięć lat później, w Mokrym Kraju. Będąc w Czystoziamli dowiedzieliśmy się o średniej wielkości nie-miejscu położonym nad Biną, lewym

dopływem Pyrpetu, bardzo blisko jej ujścia. Z atamańskich łodzi dostrzeżono tam kiedyś nieczłków nad brzegiem, a także widywano wątle słupy dymu nad przykrytym zielenią rumowiskiem. Ataman Demeszko gorąco odradzał wyprawę, za co należy mu się ode mnie podziękowanie, a trzy dni trudnej jazdy przez podmokłe bezdroża i dwie trudne przeprawy przez rzeki powinny były nas zniechęcić. Zwyciężył jednak upór księdza Iwskiego, świeć Panie nad jego duszą, i mój. Dotarliśmy w pobliże celu, zostawiliśmy eskortę atamańską o dobre trzy godziny marszu, aby się jej ruinni nie przestraszyli, i obładowani podarunkami, mającymi nam zjednać przychylność odwiedzanych, ruszyliśmy przez gęste chaszczki ku niemiejscu. Jego mieszkańców nie musieliśmy szukać — czekali już na nas przy wejściu do ruiniska. Nie chcę opisywać okropności, toteż powiem od razu, że księdza Iwskiego upiekli i zjedli na moich oczach, mnie zaś, nie wiadomo czemu, postanowili pomęczyć. Zaczęli od przypiekania stóp, a gdy zajęły się od tego moje szarawary, ugasili je, nie chcąc widać, abym upiekł się za prędko. Podły zamiar tych okrutnych wykolejeńców tę miał dobrą stronę, że uratował się przed spaleniem mój brulion, ukryty w nieprzemakalnym worku za pazuchą, dzięki czemu mogę teraz opisywać swoje przejścia.

Ogłupienie, do jakiego przywiodła mnie i księdza Iwskiego naiwna i szlachetna wiara w człowieczeństwo ludzi ruinnych, kazało nam zostawić eskortę poza zasięgiem najgłośniejszego nawet krzyku! Nie dość tego: umówiliśmy się, że żołnierze obozować będą tam, gdzie się rozstaliśmy, aż do południa dnia następnego, i wtedy dopiero, gdybyśmy nie wrócili, ruszą nas szukać do ruin. Nie miałem więc ani cienia nadziei na ratunek, i w chwilach nawrotu przytomności polecałem duszę Bogu. A umierać bezprzytomnie nieczłecy mi nie pozwolili, i ilekroć opuszczała mnie świadomość, odsuwali moje stopy od ognia, a twarz oblewali mi brudną wodą z jakiegoś zardzewiałego naczynia. W takim właśnie momencie przyszedł ratunek, jakiego rozum człowieczy nawet w sennym majaczeniu nie mógłby wymyślić!

Od tego miejsca będę w mojej opowieści opuszczał wiele najbardziej niewiarygodnych szczegółów, lecz mimo tego musi w niej pozostać tyle nieprawdopodobieństw, iż mogę kiedyś zostać posądzony o zmyślanie, albo o szaleństwo i zawile pomieszanie zmysłów.

W Mokrym Kraju spotkać się można z ludzkimi opowieściami o tak nazywanych „dobrych wilkach” i ich nieodpartej skłonności do udzielania pomocy ludziom. Natknąłem się i ja na takie opowiadania, ale jak nie wierzyłem w ruinne ludożerstwo, tak z kolei między bajki wkładałem wiadomości o nieziemskiej dobroci jakiegoś wilczego rodu osiadłego w głębi niedostępnych, podmokłych lasów. Ot, myślałem sobie, zdarzył się pewnie przypadek, że wilczyca, która straciła matkę, połasiła się do jakiegoś małego dziecka, co nie jest niczym nadzwyczajnym, i tak zrodziła się legenda, a jej wędrowanie z ust do ust przysparza „dobrym wilkom” coraz więcej cudowności.

Moje poznanie się ze zwierzętami, o których mowa, na samym początku nie wskazywało na ich łagodność. Wpadła bowiem na miejsce mojej kaźni spora wataha burych bestii i w mgnieniu oka rozszarpała na strzępy czterech moich oprawców, co skłoniło pozostałych do ucieczki wśród potępieńczego wycia. Jak na „dobre wilki” było to zachowanie raczej gwałtowne, tak że mimo bólu od oparzeń do reszty oprzytomniałem ze strachu, o tyle niemądrego, że przecież rozszarpanie nie mogło być gorsze od powolnej śmierci nad ogniem. Lęk mój szybko się jednak rozwiął, gdy spostrzegłem, że zwierzęta nie zamierzają posilać się szczątkami porozrywanych nie-człków, natomiast zabierają się do przegryzienia moich więzów.

To, co działo się dalej, wydało mi się długim, bajkowym snem, który muszę opowiadać w największym streszczeniu, jako że dokładnemu opisowi nikt, ale to nikt by nie uwierzył.

Tałany — taką nazwę nadałem „dobrym wilkom” w kilka miesięcy później — potrafiły jeszcze tego samego dnia przenieść mnie, niezdolnego użyć nóg i pojękującego z bólu przy każdym ruchu, daleko od koszmarnego niemiejsca, chyba o dobre kilka godzin pieszego marszu. Na postoju, trwającym do rana dnia następnego, otrzymałem od zwierząt dużą ilość jakiegoś nieznanego mi ziela, z którym z początku nie wiedziałem co robić, ale później domyśliłem się, że należy je miażdżyć w dłoniach i wyciekającym sokiem, tłustawym i galaretowatym, polewać poparzone miejsca. Dawano to natychmiastową ulgę i okrywało moje straszne oparzeliny pianowatą, szybko tężejącą powłoczką. Przypomnę w tym miejscu, że od młodości przywiązywałem największą wagę do leczenia ziołami i byłem pewien, że znam już wszystkie rośliny w tym pomocne. A jednak okazało się, że moja wiedza w tym względzie była zupełnie znikoma w porównaniu z instynktownymi wyczuciami tałanów! Tak w owej chwili, jak i wielekroć później, poznawałem zioła o wspaniałym działaniu leczniczym, których istnienia nawet nie podejrzewałem. Wielka szkoda, że moi czworonożni opiekunowie nie potrafili mi opowiedzieć, gdzie te zioła rosną! Mogłyby mnie tam zaprowadzić... Cóż, kiedy nie mogę chodzić... Pozostaje mi więc tylko nieporadnie narysować (do rysunku brak mi zdolności) nieznane dotąd rośliny leczące, i zrobię to na ostatnich stronach brulionu. Teraz zaś opowiadam dalej moje przypadki.

Po opisanym zabiegu leczniczym ból w moich nogach bardzo się zmniejszył, nie na tyle jednak, bym mógł zasnąć. Noc zeszła mi na rozmyślaniu o niespodziewanych odmianach mego losu. Pojąłem, że bohaterskie zwierzęta czują się na siłach utrzymać mnie przy życiu, inaczej bowiem nie podejmowałyby niestychanego wysiłku przenoszenia okaleczonego człowieka poza zasięg — taki cel przypisywałem tej wędrowce — możliwych wypadów niebezpiecznych gospodarzy ruiniska. Domyślałem się, że będę żywiony owocami i jadalnymi roślinami. Ale co będzie w zimie, jeżeli do tego czasu nie odzyskam możliwości chodzenia? A przede wszystkim — co z wodą? Mimo oszołomienia pokazanymi dotąd umiejętnościami talonów, nie wyobrażałem sobie, jak mogłyby mi dostarczyć wody, a pragnienie zaczęło mi się właśnie mocno dawać we znaki. Zostałem jednak kolejny raz zaskoczony: wnet po wschodzie słońca jedno ze zwierząt przyniosło mi wodę w maleńkim wiaderku ze sztucznego materiału, trzymanym w pysku za ucho tak zgrabnie, że niewiele wody się z niego wychlapało. Skąd jednak tak dziwne naczynie? Do czego mogło służyć w technoczasach, bo takie niewątpliwie musiało być jego pochodzenie? Może do dziecięcej zabawy?

Po zaspokojeniu pragnienia dostałem do zjedzenia niewielką, ale dojrzałą dynię. Osłabienie utrudniło mi jej otwarcie, ale z pomocą zwierzęcych pazurów dobrałem się w końcu do jej wnętrza i zaspokoilem głód tym niezbyt smacznym posiłkiem. Potem, przez cały dzień z krótkimi przerwami, przenoszony byłem z budzącym litość mozołem coraz dalej i dalej na północny zachód, aż pod wieczór zakończyła się ta powolna wędrówka w młodym mieszanym lesie. Był tu niewielki, obniżający się parów, którego regularny kształt wskazywał na sztuczne pochodzenie. W najniższym miejscu kończył się on zastoniętymi przez krzaki brzeziny... drzwiami. Były uchylone, a blacha, z której je wykonano, w kilku miejscach przeżarta była na wylot przez rdzę. Rozległ się głośny, zgrzytliwy pisk zardzewiałych zawiasów, żelazne drzwi uchylły się szerzej, i wyszły zza nich dwa tałany, wyraźnie młodsze i mniejsze od tych, z którymi przybyłem. Wszystkie zwierzęta zebrały się na chwilę w jedną gromadę, i choć nie wydawały żadnych głosów, a ich ruchy także były spokojne i oszczędne, odniosłem wrażenie, że jest to jakaś wymiana wiadomości, a może i narada. Następnie część tałanów oddaliła się w las, a pozostałe zajęły się wniesieniem mnie do skrytych płytko pod ziemią betonowych pomieszczeń, do których wiodły przerdzewiałe drzwi. W tej kryjówce mieszkam do dzisiaj, nie od rzeczy więc będzie poświęcić jej parę linijek. Składa się ona z niewielkiego przedsionka, dość

długiego korytarza z obszerną wnęką i czterech dużych izb. Ostatnia z nich zagracona jest szczątkami jakichś roztrzaskanych i spalonych urządzeń i maszyn, a w jej stropie widnieje poszarpany otwór metrowej średnicy, przez który można dojrzeć gałęzie brzozy i skrawek nieba. Łatwo się domyślić, że jest to droga, którą poprzez warstwę ziemi i betonu otworzyły sobie ongiś proste pioruny, by dostać się do maszyn, mających teraz postać poskręcanych i częściowo stopionych kawałów żelastwa. Podłoga w tym pokoju pokryta jest warstwą ziemi i zbutwiałego listowia, które dostały się tam przez otwór w suficie. Ciężkie, żelazobetonowe drzwi, popękane od wybuchu, jaki wywołał kiedyś za nimi prosty piorun, ale wciąż jeszcze dające się otwierać, dzielą zniszczone ostatnie pomieszczenie od izby przedostatniej, całkowicie pustej, jeśli nie liczyć kilkunastu metalowych półek wystających z betonowych ścian. W pozostałych dwóch pokojach wychodzą z podłogi przy bocznych ścianach i wchodzą w strop dwa rzędy metalowych słupów połyskujących lekko złociście, których przeznaczenia nie potrafię się domyślić. Wszystkie izby, z wyjątkiem zniszczonej, a także korytarz i przedsionek, posiadają oświetlenie, dość dziwne i zastanawiające, działające o tyle podobnie do zwyczajnych okien, że dostarcza tylko światła dziennego. Na tym jednak podobieństwo się kończy. Światło, dokładnie zależne od jasności dnia, spływa z przezroczystych krążków poosadzanych w betonie stropów. Niczego jednak przez te „niby-okieńka” sufitowe zobaczyć nie można, i nie wychodzą one ku niebu, jakby się można spodziewać, z ziemi przykrywającej betonowe schronienie. Sprawdziłem to ponad wszelką wątpliwość! Wynika z tego, że wlot słonecznego światła odbywa się gdzieś indziej, z dala od podziemnego budynku, i że biegnie ono jakimiś krętymi drogami. To samo można powiedzieć o świetle służącym do ogrzewania dwóch środkowych izb. Wylatuje ono z rur zwisających z sufitu w kącie pomieszczenia i pada na sześcienny kloc z nieznanego materiału o ciemnobrązowym kolorze, będący jakby piecem. Wybiegające z rury światło nie rozplywa się jednak, jak to się dzieje w przypadku sufitowych „niby-okienek”, a przeciwnie — ma postać zwężającego się snopa, który ćwierć metra nad klocem staje się znikomo cienki, a niżej znowu się rozszerza, by paść na wierzch „niby-pieca” jasnym krążkiem wielkości dłoni. Kloc-piec nagrzewa się od tego krążka światła w ciągu dnia tak bardzo, że nie można go dotknąć, a przez noc stygnie, i rano jest ledwo ciepły. Miejsce największego zwężenia świetlnego słupa służy mi za źródło ognia, jako że każda rzecz zdolna się palić, ustawiona w owym punkcie natychmiast wybucha płomieniem. Naturę tego wszystkiego z grubsza pojmuję, bo w dzieciństwie ojciec pokazał mi kiedyś, jak zapalić skrawek papieru za pomocą powiększającego szkła, zwanego lupą. Wydaje mi się jednak dziwne, że aż tak wiele ciepła może nieść w sobie światło wylatujące z rury nie grubszej od ludzkiego ramienia. Nie jestem też za bardzo przekonany, że całe to urządzenie służyło pierwotnie do tego samego, do czego mnie teraz służy. Wiem bowiem, że ludzie technocześni posiadali wymyślne i skuteczne sposoby ogrzewania swych mieszkań, a opisane piece-kloce zimą nie wystarczają, latem zaś czynią upal nieznośny. A już na pewno nie potrzebowali technocześni zapalać ognia w świetlnym ognisku, bo mieli do tego celu noszone przy sobie długowieczne zapalniczki.

W opisanym, płytko pod ziemią ukrytym budynku żyję już ponad trzy lata pod najtroskliwszą opieką talonów. Zaopatrują mnie one we wszystko, co potrzebne do życia. Wyposażyły moją kuchnię (nie od razu, co prawda, lecz dopiero po kilku tygodniach) w kilka bardzo brudnych i trochę pogiętych garnków z aluminium i takąż patelnię. Statki te dały się domyc, i w nich to gotuję i smażę przynoszone przez czworonożnych opiekunów dzikie króliki, ptaki i ryby, a także bulwy (jakże drobne, niestety) zdziczałych ziemniaków, grzyby i wiele znanych i nie znanych owoców i warzyw. Wodę, o czym zapomniałem wspomnieć opisując podziemne mieszkanie, mam na miejscu. Cieknie ona silnym strumieniem z rurki wystającej ze ściany we wnęce korytarza, zaopatrzonej w motylkowaty zamykacz. Skoro już jestem przy wnęce korytarza, to

wspomnę jeszcze, że w jej ścianie tkwią duże żelazne drzwi, których nie udało mi się otworzyć, więc nie wiem, co się za nimi kryje (może prowadzą do jeszcze innych pomieszczeń, a może tylko do małego schowka?).

Odżywiam się zupełnie dobrze, ale trochę doskwiera mi brak przypraw. Tałany nie potrafią dostarczyć mi soli, a próby wytłumaczenia im, że potrzebuję mięty, z której zrobiłbym sobie pieprz ziołowy, nie dają wyniku.

Moje poparzone nogi wygoiły się po kilku miesiącach leczenia ziołami przynoszonym przez poczciwe zwierzęta, jednak stopy pozostały bardzo zniekształcone i całkowicie usztywnione w kostkach, a że do tego mięśnie od kolan w dół nie słuchają mnie wcale, zaś powyżej kolan posłuszne są tylko częściowo, więc chodzić mogę bardzo niewiele. Najdalsza wycieczka z podziemnego domu, jaką udało mi się odbyć, liczyła sobie może dwieście kroków w jedną stronę.

Dokucza mi brak odzieży, szczególnie zimą. Gdybym miał nici, sporządziłbym sobie ciepłe odzienie ze skórek króliczych, a nie mając ich, potrafiłem tylko nieporadnie poszywać bezkształtne derki, którymi okrywam się wychodząc w chłodniejszy dzień ze swojej kryjówki.

Zmartwienia takie należą już jednak do przeszłości, bowiem zbliża się moja śmierć. Od jakiegoś czasu stare moje serce pracuje tak, jak miody koń zepsuty przy nauce — to szarpie gwałtownie, to znów przystaje. Za kilkanaście dni, może za miesiąc, ale wiem, że nie później, stanę przed Stwórcą i dowiem się, czy dobrze uczyniłem wyznaczając sam sobie lat temu przeszło siedemdziesiąt zadanie nie na miarę, jak mogło się wydawać, jednego ludzkiego żywota. Nie z pychy jednak trud swój podejmowałem, a z troski serdecznej o naród ojców ojca mojego. Może przez to udało mi się dzieło swoje doprowadzić niemal do końca? Niemal... Brakło mi bowiem tych trzech z okładem lat, które przyszło mi spędzić tutaj, na ziemi niczyjej między Mokrym Krajem i Królestwem Przymorskim, w kalectwie, bez widoku człowieka. Te ostatnie lata życia poświęcić chciałem tężeniu możliwości obronnej naszych Ziemi, którym, jak myślę, wnet już zagrożą wszystkie trzy paskudne mocarstwa, tak szybko rosnące w rozmiar i siłę. Stało się inaczej przez błąd mój nieroztropny, ale nie mam prawa narzekać, bo i tak długie moje życie przyniosło pożytki ponad oczekiwanie. Zastałem lud mój rozproszony, głodny i słaby, bardziej do rozboju skłonny, niż do ziemi i rzemiosł godziwego uprawiania. Uczyniłem zeń naród godny, syty, wolny jak żaden, i nie słaby. Pojąwszy, że z mlekiem matek wyssał on umiłowanie wolności, ale zarazem i nieodparty wstręt do państwa i władzy innej niż osobiście wybrana, nie skłaniałem go do zadawania gwałtu upodobaniom wrodzonym, i przez siedem dziesiątków lat pracowałem nad zbudowaniem siły bez państwa. To mi się udało. Umie już mój naród bronić granic ziemi ojczystej, i niepotrzebne mu państwo do rządzenia się prawem, ani strach do szanowania władzy swej atamańskiej. Jeśli nie zaniecha ćwiczenia się od kołyski niemal w sztuce wojowania, i jeżeli do świętego obowiązku podniesie obyczaj zbrojnej pomocy wzajemnej pomiędzy Ziemiami — nie zmożę go żadne potęgi.

Dał mi Bóg nie tylko długie, stuletnie prawie, życie, ale i jasną, przytomną starość, dzięki której pracować mogłem do końca, i nawet tych ostatnich lat kalekich nie musiałem beczynnie zmarnować. Ich owoc — opisanie wszystkich losów moich i wyjaśnienie wszystkiego, czym się kierowałem ucząc i namawiając, przyda się w przyszłości. Mam nadzieję podstawną, że zeszyt ten, opakowany w worek nieprzemakalny, trafi do ludzi. Od półtora roku bowiem pracuję nad dwoma sprytnymi tałanami przysposabiając je do tego, by potrafiły zanieść tę moją ostatnią przesyłkę do Czystoziamli. Możliwość tej pracy, a także cierpliwość tałanów i moja nie są do opisanego, chodzi jednak o wyjaśnienie zwierzętom, jak mają trafić do miejsca odległego o kilka dni drogi, położonego za dwiema rzekami i wieloma strumieniami, za puszcza podmokłą i bagniskami, które trzeba ominąć. Musiałem też nauczyć tałany największej ostrożności, aby nie

były wzięte za wilki i ustrzelone z łuku, aby nie zagroziła im ani ludzka pomyłka, ani zła wola, jako że zbójckie rzemiosło w Ziemiach naszych nie całkiem zostało wyplenione. Na szczęście nabrałem ostatnio pewności, że czworonożni postaćcy podotają trudnemu zadaniu. Co prawda, w Czystoziamli nie ma nikogo piśmiennego, a przynajmniej nie było, gdy ją opuszczałem, ale bystrość atamana Demeszki wystarczy, by brulion się nie zmarnował. Chciałbym, aby ten zeszyt trzymany był razem z pierwszym moim notatnikiem, któremu dałem nagłówek „Wskazówki i namowy do życia prawego i bezpiecznego na Ziemiach naszych”. Pozostawiłem go u księdza Kosidry w Koniuszynie, na Ponestrzu. Pod jego też opieką jest pamiętnik mojego ojca, pisany od pierwszego dnia katastrofy, aż do jego śmierci. Teraz za wcześnie jeszcze na powszechniejszy pożytek z tych zapisów; stan wiedzy i umysłów nie dojrzał na razie do zrozumienia i ogarnięcia wyobraźni wielu rzeczy tam opowiedzianych, a umiejętność czytania zbyt wielką jest jeszcze rzadkością. W przyszłości jednak rozpowszechni się piśmienność i poszerzą umysłowe widnokreśli. Wtedy zechcą ludzie dowiedzieć się jak najwięcej o istocie technoczasów i wielkiej zapaści, o naturze prostych piorunów i czarnych bochenków, o pochodzeniu niemiejsc, diabelskich nasypów i szlaków usianych głębokimi dołami. Zapytają też o swą historię, i tę sprzed wielu wieków, i tę nową. Wtedy dwa bruliony moje i jeden mojego ojca okażą się przydatne.

Zostało już niewiele czystych kart w drugim i ostatnim czystym zeszycie odziedziczonym po ojcu, kończy mi się też zapas wkładzików do wiecznego ołówka, z tegoż spadku pochodzących. Trzeba mi kończyć to pisanie, a zamknę je paru wiadomościami o tańcach i rysunkami kilku ziół leczących, które dzięki nim poznałem.

Tańcy, ogromnie ważna to rzecz, są wolne. Znaczą to, że robią tylko to, do czego są przekonane, i do niczego zmusić ich nie można. Nie odstępują też nigdy od zamiaru raz powziętego, jeśli jest on wykonalny.

Pamięć ich jest bezgraniczna: Zapamiętują od pierwszego razu każdy dźwięk, słowo, gest, wygląd rzeczy, a nawet znak na papierze narysowany, jeżeli rozumieją jego znaczenie, treść pod nim się kryjącą. Nauczenie ich rozumienia ludzkiej mowy jest bardzo łatwe, ale tylko w sprawach dotyczących rzeczy. Aby jaśniejsze było to, co mówię, dam przykład. Tańcy łatwo zrozumie, że coś jest daleko, albo blisko, że coś jest czarne, albo białe, zimne, albo gorące, nie pojmie natomiast znaczenia słów „odległość”, „bliskość”, „czern”, „biel”, „ziqb”, „mróz”, „gorqcość”.

Nauczenie się przez człowieka własnej mowy tych zwierząt nie jest możliwe, bo porozumiewają się między sobą jakimiś gestami dla nas niedostrzegalnymi, a może dźwiękami niestyszalnymi, w każdym razie moje cierpliwe przypatrywanie się ich rozmowom nie pozwoliło mi pojąć, jakimi znakami przekazują sobie wiadomości. Jednak okazywanie radości i smutku tak samo u nich wygląda, jak u psów — skaczą z radości, oczy im się śmieją i cały pysk wyraża uciechę, zaś w przygnębieniu zwieszają ogony i oblicza mają nieszczęśliwe, a zdarza się, że łzami płaczą jak człowiek.

Najdziwniejszą jednak cechą tańców jest umiejętność zgadywania myśli ludzkich! Nie potrafię orzec, czy wszystkie myśli odgadują, czy tylko niektóre, ponad wątpliwość jednak stwierdziłem, że nawet z oddalenia znacznego „styszały” moje zachcianki w myśli tylko nazwane, takie jak chęć na jagody, albo na dzikie ogórki, i ruszały, na poszukiwanie tego, czego pragnęłam. Przypadek ze wszystkich najwyraźniejszy takiego „styszenia” myśli zdarzył się wtedy, gdy nogi trochę mi się wygoiły, i podejmowałam pierwsze próby chodzenia. Pomyślałam wówczas, że bardzo przydałyby mi się kule pozwalające pomóc nogom siłą rąk. Na cały dzień zniknęły wówczas opiekujące się mną zwierzęta, a pod wieczór powróciły z dobrze dobranymi i nieźle obrobionymi kawałkami gałęzi, rozwidlonymi z jednego końca,

posiadającymi nawet w odpowiednim miejscu mocne odrośle na uchwyty dla dłoni. Wiedząc, że użębienie tałanów niezbyt się nadaje do cięcia drewna, doceniłem ogrom ich wysiłku włożonego w sporządzenie dla mnie tych kul i modliłem się gorąco, by Bóg wynagrodził tym stworzeniom ich dobroć.

Chorobę wyczuwają tałany zanim jeszcze zaczną doskwierać, tak że wielokrotnie po znoszonych przez nie ziołach poznawałem, iż jutro zaczną mnie boleć gardła.

Podobieństwo tałanów do wilków, tak uderzające z początku, trochę mniejsze się okazuje po lepszym ich poznaniu. Są od wilków wyraźnie większe, choć trafiają się osobniki mierniejszego wzrostu. Ich pazury, duże, mocne i bardzo ostre, na koci sposób są zbudowane, przez co tałan chodzi niezmiernie cicho, a ponadto umie wspinać się na drzewa, nie z taką wprawdzie lekkością jak kot, ale wiele lepiej niż człowiek.

Pożywienie ich różnorodne jest niczym ludzkie, a może bardziej, tyle że surowe (choć gotowane jedzą z wielkim smakiem). Spożywają więc, oprócz mięsa i ryb, nasiona traw i dzikich zbóż, grzyby, wszelkie jarzyny i owoce, a także korzenie i inne części przeróżnych roślin, których ludzie nie jadają.

Tałaniątko rodzi się jedno, bardzo rzadko dwa, i rośnie powoli, dopiero po pięciu latach osiągając dorosłość.

Z poznaniem długości życia tych zwierząt miałem, co zrozumiałe, niejaki trudności, doszedłem jednak w końcu do pewności, że dożywają najczęściej lat mniej więcej pięćdziesięciu.

To tyle, w skróceniu wielkim, o tałanach, którym zawdzięczam ostatnie lata mego życia. Jeśli kto doczyta moje zapiski do tego miejsca, niechymnie zawoła: „Czas już najwyższy napisać, skąd wzięty się tak przedziwne zwierzęta?!“ Niestety, wobec tego pytania rozum mój jest przeraźliwie bezradny.

Jest wolą moją ostatnią i gorącym błaganiem, by nikt nigdy nie czynił krzywdy tym stworzeniom. Za siedem dziesiątków lat pracy mojej wytężonej i oddanej należy mi się w nagrodę spełnienie tej mojej prośby. Kto by ją zaś zlekceważył i tałana skrzywdził, niechaj będzie przeklęty!

wrzesień roku 2158.
Semen Werba.

Wjazd księdza Izajenki do Hruszy Obronnej odbywał się późnym popołudniem i przyciągnął niemal tyle uwagi, co dwa tygodnie wcześniej przybycie czumackiej karawany. Widowisko było rzadkiej osobliwości.

Przodem kroczyły poważnie dwa ogromne psy, jeden wilkowaty, drugi kudłaty do przesady, biały w czarne łaty. Nie zwracały najmniejszej uwagi ani na ludzi gromadzących się przy furkach i na poboczach ulicy, ani na niosące się z zagród chóralne ujadanie wszystkich psów wioskowych. Za psimi olbrzymami jechał na pięknej, tanecznie stąpającej kasztance ksiądz Iwaś Izajenko, a zamykał pochód koń juczny, równie ładnego jak wierzchowiec wyglądu. Prócz rumaków, także podróżna broń kapłana mogła się podobać. Szabla — cenna farsyjska „mualemka”, przyciągała wzrok wielobarwną rękojęścią i bogatymi zdobieniami pochwy. Izbecki, rogowo-drewniany łuk i nabijany srebrzonymi guzami kołczan pełen malowanych na żółto strzał, zadowolić mogły najbardziej wybrednego żołnierza, a niesiona przez jucznego konia droga kusza ponestrzańska, zwana „małą koniuszynką” godna była zazdrości. Księżego uzbrojenia dopełniał zgrabny, tirkijski czekanik i prosty nóż wysokołowyński w drewnianej pochwie wzmocnionej mosiężnymi okuciami. W przeciwieństwie do broni i rumaków, cała reszta wyposażenia Izajenki przedstawiała widok zupełnie żałosny. Samodziałowe szarawary

kapłana dawno już straciły czarny kolor i mieniły się szarymi i rudymi plamami, a przez przetarcia i rozsnucia przeświecały nagie kolana. Konopna koszula, przepasana niewyprawionym rzemieniem, łaciata była od szarych i płowych zacieków pozostałych po deszczach spłukujących z tkaniny kiepską czarną farbę. Buty nijakiego koloru, spękane na wylot, tkwiły w strzemionach uplecionych z konopnego sznurka. Dziwaczne, niewydarzone siodło własnej zapewne roboty budziło nieskrywaną weselość Hruszan pozdrawiających duchownego od płotów i furtek. Juczny koń dźwigał, prócz cennej kuszy, niewprawnie zwinięty namiot do nocowania w drodze i dwa połatanne konopne wory, z których mniejszy, już prawie pusty, przeznaczony był, jak można się było domyślić, na prowiant podróżny dla księdza i jego czworonożnych stróżów, a większy — na szaty i przybory potrzebne do nabożeństw.

Jakby na przekór ubogiemu odzieniu, twarz duszpasterza, czerstwa, opalona na ciemny brąz i poorana statecznymi zmarszczkami, promieniowała zdrowiem, siłą i niewymuszonym uśmiechem. Mijanym Hruszanom słał na powitanie gesty i pojedyncze słowa tak proste i nieskrępowane, jakby byli jego starymi, dobrymi znajomymi, a nie ludźmi, których widzi po raz pierwszy.

Widowiskowy przejazd zakończył się przy furtce domu atamańskiego, gdzie czekali z powitaniem Swityna, Chmil i Pohonycz. Izajenko sprężyście zeskoczył z konia i uściskał witających, którym w tym czasie wielkie psiska starannie obwąchały nogawki szarawarów.

— Słońce już nisko — powiedział ksiądz niskim, ale dźwięcznym głosem — a ja, prawdę mówiąc, niewyspany trochę, to dziś nie pójdę na cmentarz; jutro zacznę z rana moje posługi. Przenocujesz mnie, panie atamanie, w domu, czy namiot mam rozłożyć?

— Jakże możesz, księżę Iwasiu, o namiocie wspominać!

— oburzył się Swityna. — Nakarmimy i przenocujemy należycie i ciebie, i twoje piękne zwierzęta. Ale czemu to, powiadasz, niewyspany jesteś? Niepokoilo co na noclegu?

— Niepokoilo, panie atamanie, i to bardzo. Oka nie zmrużyłem.

— Zwierz podchodził? — twierdząco zapytał Pohonycz.

— Gorzej, panowie gospodarze. W lesie, od którego z pół kilometra namiot postawiłem, są jacyś ludzie. Moje psy niezastąpione, co się w takich rzeczach nigdy nie mylą, całą noc mnie ostrzegały, tak że z bronią w ręku do świtu dotrwałem. Z lasu nie wyszli, co wiem z psiego zachowania dobrze mi rozumiałego, ale wołałem być w gotowości.

— Gdybyś nie wzgardził, księżę, naszą eskortą, co miała cię ze Styrbrodu przyprowadzić, to byłbyś tę noc spokojnie przespał — zauważył Swityna z naganą w głosie. — Mówili ci wszak moi żołnierze, że konnych widzieli pod las w pół drogi stąd do Styrbrodu, ale ty, znanym swoim obyczajem, na niebezpieczeństwo wołałeś się wystawić. Pochwalić tego nie można!

— Słusznie mnie ganisz, atamanie! Teraz już się poprawię, bo widzę, że zbójstwo przekłete, nigdy należycie nie wytępione, też podnosi. W owym lesie, czego nie powiedziałem jeszcze, znaczna banda musi koczować, doleciał mnie bowiem stamtąd z wiatrem przed rannym zapach dymu i warzonego mięsiwa, przeto, jeśli odległość zważyć, w niemałym kotle strawa się tam przyrządzała.

— Prawa nasze za miękkie — wtrącił Choma Chmil — zbójowi winy dowodzić każą. Jakby każdego złapanego zbója bez sądenia wieszać, to by ich strach odstręczał od tego rzemiosła.

Ksiądz, jakby nie słysząc słów Chmila, kończył w zamyśleniu wątek poprzedni:

— Prócz tego, zwierzę się wam, panowie gospodarze, jakiś niepokój całkiem dziwny, jakby w powietrzu zawieszony, przystęp do mnie znalazł. Lat temu trzy, przed wielkim pożarem w Nahodzie Obronnej, podobna nieswojość mnie nachodziła... Ale może to tylko z niewyspania, i minie po modlitwie wieczornej. W każdym razie, sam podróżować już nie chcę.

Od was do Mohoryczy jeszcze jadę, i już teraz, jeśli wolno, o eskortę was proszę w tamtą stronę, a z powrotem niech mnie Mohoryczanie pokonwojują aż do domu. Gdy zaś pana atamana łomakę zobaczę, to mu poddam, żeby część ćwiczeń tegorocznych, albo i całe, na poczesanie puszczy poświęcić, przynajmniej tych, co bliżej szlaków leżą, i zbójectwo z nich wybrać.

— Mądra to myśl — powiedział Chmil z troską w głosie — ale do spełnienia niemiłosiernie trudna, i żadną miarą jednych ćwiczeń na to nie wystarczy. Gdyby same stare puszcze były, to tak, ale młode miejscami tak są gęste i zbite, że szablą i siekierą ciężko pracując mógłby się człowiek za dzień najwyżej pięćset kroków przedrzeć. Tedy ani ławą, ani rzedzią gęstw takich chesać się nie da, przecinki zaś żmudnie wyrąbując zbójów nie dojdziemy. Puszcze przecież ogromne! A zbój, jak już tam przemieszkuje, ma ścieżki sobie tylko wiadome.

— Prawdę mówi pan dziesiętnik Chmil — potwierdził ataman — ale nie teraz będziemy o tym radzić. Na posiłek do siebie proszę, a o konie i psy straż zadba!

Nazajutrz od wczesnego rana ksiądz Izajenko, w sutannie już i nieco pomiętej, ale dobrze wybielonej lnianej komży, modlił się nad świeżymi grobami, okrytymi bukietami krzewostepowych kwiatów, a usługiwał mu przy tym, także w komży, staruszek Chołosza, nieco zmieszany, ale nie bez dumy noszący za kapłanem pięknie rzeźbioną drewnianą kropielnicę i kropidło. Pod jednym ze starych dębów cieśla Pohonycz z pomocą atamana Swityny, obu niewolnych i kowalskiego pomocnika Demianiszyna, zwanego Głupim Zacharem, budował doraźny ołtarz, przy którym w południe miało być odprawione nabożeństwo. Wątpliwość cieśli, czy przy takiej budowie mogą pracować muzułmanie, rozwiął zaraz z rana Izajenko powiadając, że z całą pewnością Bóg się z tego powodu nie obrazi.

W południe zgromadzili się Hruszanie wokół gotowego już ołtarza. Przyszli wszyscy, nawet wróżka Maraczcha, której obecność wywoływała wśród zebranych rozbawione, ale życzliwe uśmiechy, trochę rozładowujące napięty smutek żałobnej chwili.

Wielu zebranych zachowywało się niepewnie, bo przyjazdy księży i polowe msze nie częściej się w Hruszy zdarzały, niż raz na dwa lata, a taki czas wystarcza, by wśród trosk i pracy codziennej zapomnieć niejedno z należytego podczas nabożeństwa zachowania.

Kazania księdza Izajenki słuchano w skupieniu tym większym, że równo z pierwszymi jego słowami, jakby na znak jakiś, umilkł nagle wiatr, przedtem głośno szumiący w koronie wielkiego dębu. Kapłan zaczął od słów pociechy dla tych, którym dziurawica zabrała bliskich, i gorąco nawoływał, by nie popadali w rozpacz, ani zniechęcenie.

— Dziadowie i pradziadowie wasi — mówił z rosnącym żarem w głosie — żyli w czasach głodowej śmierci, rozboju i mordy, a zarazy wówczas coraz to nowe nadchodziły, jedna za drugą, kosząc niemiłosiernie. Cóż by to było, Hruszanie kochani, gdyby oni wonczas w rozpacz popadłszy ręce opuścili?! Podnosili się oni z klęsk i dalej uparcie świat lepszy urządzali, dzięki czemu my w godziwości żyjemy. Ich wzorem i wy cierpienia znieście, bo trzeba żyć! Da Bóg, nauczymy się zarazy w zarodku dusić, jako to już ongiś było, i wnukowie wasi wolni od nich będą. Nic wierzcie bowiem, najmilsi, że zarazy i choroby, jako to ciemni ludzie powiadają, muszą być, bo karą są od Boga. Nieprawda to! Bóg dał człowiekowi dość mądrości, by sobie z chorobami radził, i były już czasy, kiedy ludzie zarazy unicestwili, a z pojedynczych chorób bez trudu leczyli. Wielki jest rozum człowieczy, ale dotąd tylko ta wielkość jego dobro i pożytek tworzy, póki się człowiek z Bogiem nie zacznie porównywać, a tak się już raz stało. Rósł rozum bez trwogi przed Bogiem i tak się wspiał wysoko, że w pychę ślepą popadł, za równy Bożemu się uznał. Nad ziemią, morzem i powietrzem zapanowawszy, jeszcze życie i śmierć wziąć zapragnął we władanie niepodzielne. Nie wszystko jeszcze wiemy

o tamtym wieku przerażającym, który technoczasami nazywamy, ale jasno wiemy, że nadużył wtedy człowiek rozumu i wolnej woli! Miłość od duszy oddzielił, życia rodzenie od miłości, wolność od powinności wobec Boga. Ziemię zieloną coraz bardziej sztucznym kamieniem pokrywał, żeby mu gładsza była, rzeki święte kajdanami kamiennymi poprzegradzał, lasy szumiące bez litości wycinał, wody zatrzał, a nawet powietrze zasmroził nad światem całym. Nie pamiętając, że człowiek na Ziemi w pocie czoła i utrudzeniu rąk ma pracować, budowali ludzie technocześni nieprzeliczone składaki żelazne, maszynami nazywane, by za nich pracowały, a sami w rozpuszcie zimnej i rzeczy bezmyślnym gromadzeniu się zapamiętywali. Zabili w sobie piękno człowiecze, i Ziemię poczęli zabijać, przez Boga całemu życiu, a nie tylko ludzkiemu, na mieszkanie daną. Dlatego przyszły tryumfy szatana...

Potężne, udawane kasznięcie rozległo się niespodzianie wśród zastłuchanego tłumu Hruszan. To dziesiętnik Sobidko, zasłużony żołnierz i lubiany zawadiaka, nic za często trzeźwiejący, zwrócił w ten sposób na siebie uwagę i zapytał z nieszczerą nieśmiałością:

— A księża, księża? Gdzież wtedy byli?

Cichy pomruk oburzenia przebiegł po zebranych, a potem zaległa martwa cisza — oczekiwanie gromów z ust kaznodziei. Ten jednak uśmiechał się wyrozumiale.

— Nie gorszcie się tym pytaniem — powiedział — bo całkiem ono dorzeczne. Gdzież więc byli kapłani, kiedy ludzie z drogi przez Boga podpowiadanej w bok schodząc, ku przepaści kroczyli? Jednym słowem odpowiedzieć nie mogę, bo w różnych stronach różnie bywało. W jednych krainach chrześcijańskich uznano, że rozum ludzki Boga już nie potrzebuje, więc wiara taką tam już była rzadkością, że księży nikt słuchać nie chciał, a przy tym mało ich było, bo skąd w narodzie bezbożnym kapłani brać by się mieli. W innych zaś pod dostatkiem było duchownych, lecz zajęci oni byli wznoszeniem świątyń licznych, ogromnych i pięknych, z cegieł, kamienia sztucznego, szkła i lekkiego metalu. Im bardziej rozsypywały się w gruzy te kościoły niewidzialne, które Bóg buduje w prawych sercach człowieczych, im podlejsze stawały się dusze ludzkie, tym więcej murowanych świątyń wznoszono mniemając widać, że pośród zagłady piękna człowieczego i wśród dusz powszechnego parszywienia raduje Boga okazałość budowli Mu poświęcanych, świąteł wielość w nich płonących i dostatek kapłanów. Nie wedle prawości, a podług hojności kapłani ludzi wyróżniali, kto więc więcej podłością zgromadził, więcej na świątynię dawał, fałszywy spokój szczątkom swego sumienia fundując. Kto zaś poczciwie żyjąc niczego nikomu nie wydzierał, hojny być nie mógł, i za bezbożnika uchodził. I z niego jednak pieniędzy ściągać umiano, jako że kapłani technocześni z sakramentów świętych towar potrafili czynić, po cenach łapczywych go sprzedając. Takie to szaleństwa i praw Boskich w przeciwieństwo obracania w tamtych czasach bywały! Ale byli też prawi słudzy Boży, w godnym apostołów żyjący ubóstwie i w wielkiej trosce o prawość człowieczą, mężowie prawdziwie święci. Tych jednak mało było. Za mało, by chore dusze rzesz ludzkich uleczyć. Rósł więc rozum bez serca, w pychę spowity, siłą swoją bezduszną sam siebie oślepiając, aż wreszcie przebrały się miary, i pozwolił Bóg człowiekowi, by sam siebie ukarał. Nadszedł czas prostych piorunów, które ludzie na niebie przeciw sobie porozwieszali. Te, bijąc dzień i noc bez ustanku, niby deszcz gęsto, wnet poniszczyły maszyny wszystko za ludzi robiące i zamiast koni im służące, popaliły wsie i miasta, i wszystko, co człowiek na świecie zbudował, nawet kamienne kajdany rzek. Nastął czas bezładu, głodu i mordy, a szatan sycił się radością, gdy człowiek zabijał człowieka, by zabrać mu kęs pożywienia, a w miastach, tych skupiskach pełnych pychy i zepsucia, ludożerstwo stało się obyczajem codziennym.

Izajenko przerwał, powiódł spojrzeniem po twarzach słuchaczy i uśmiechnął się pogodnie, a potem mówił dalej zupełnie innym głosem, wolnym od poprzedniego napięcia:

— Wczoraj, ulicą waszą jadąc, widziałem śmiech powściągany nad biednym moim przyodziewkiem. Po tym, co wam rzekłem, nie dziwna wam już chyba pogarda moja dla bogactw. Świat, w którym kapłani byli zamożni, stał nad przepaścią i stoczył się w nią. My, naród Znak Malwowego, budujemy teraz świat inny, w którym tylko dla ubogich księży, w Chrystusowy i apostołski przykład zapatrzonych jest miejsce. A że apostołowie z garnuszkiem tylko i łyżką mogli podróżować, ja zaś broń pewną muszę dźwigać, to świadectwo samo przez się, iż technoczas do tyłu świat popchnęły o lat tysiące. Nie namawiam ja was, najmilsi, do ubóstwa. Życie dostatnio! Ale za złudnym bogactwem nie biegajcie, tylko powiększajcie złoto serc waszych i siłę ducha, której w latach przyszłych coraz więcej będzie nam trzeba! Nie wszędzie bowiem zrozumiano naukę z wieku zapaści płynącą, i nie odstąpił jeszcze szatan od swych zamiarów, przez mocarstwa grabieżcze próbując je spełnić. Nadyma się pychą i rozbojem Północne Cesarstwo, napiera na nas chciwość Wielkiego Bołkanu, piędz po piędzi wydiera nam ziemię niezmierną potęgą Achmeda Szijja-Szaha Mualema, coraz nas najeżdżająca wojskami swego żarłocznego wasala, starego Izbek-Szaha. Władcy tych krajów nie tylko ziemi naszej pragną, ale i pełnej naszej zguby, o czym nigdy zapominać nie wolno! Nienawiść ich budzą wolności nasze święte, bo u siebie wszystkich ludzi niewolnikami uczyniwszy tego się boją, by wolność nasza zaraźliwa się nie stała. Niezmierne więc męstwo i najniezłomniejsza siła ducha będą naszemu narodowi potrzebne, aby się od potęg nienasyconych mógł obronić. Oby nam Bóg siły nie poskąpił! Amen!

II

Zbliżał się dzień odjazdu gospodarzy-żołnierzy do obozu pod Styrbrodem na doroczne ziemskie ćwiczenia wojskowe, łączone zwyczajowo z wnoszeniem do skarbu Niskiego łowynia rocznego wkładu wioski na „ziemską rzecz wspólną”, nazywanego potocznie wkładem ziemskim. Mógł on mieć postać pieniędzy, albo jakiegokolwiek towaru łatwego do zbycia w wymianie między Ziemiami lub w handlu z krajami ościennymi i dalszymi. Wymiar tej powinności, ustalany co cztery lata dla każdej wioski z osobna, był wynikiem zawziętych targów między radą ziemską a radą wioskową, przy czym ta ostatnia starała się zawsze wywalczyć tak małą wysokość wkładu, by można ją było następnie dobrowolnie podnieść „z honorowej pobudki”. W ostatnich latach Hrusza Obronna oddawała na „rzecz wspólną” po dwa tuziny koni; teraz, po losowej klęsce, miała ich odstawić o połowę mniej. Dało jednak o sobie znać zamiłowanie do okazywania owej „honorowej pobudki” i po zwyczajowej kłótni między Jacukiem Slipotą a resztą rady postanowiono ostatecznie popędzić do Styrbrodu tabunik piętnastokonny. Gderliwość kowala znalazła jeszcze pole do popisu przy ustalaniu przez Switynę składu wyjeżdżających. Według prawa była to sprawa wyłącznie atamańska, ale pominięty z racji wieku Slipota uparł się, że pojedzie.

— Baby jeszcze z siebie robić nie dam, do stu prostych piorunów! — oświadczył gniewnie.

— Masz już swoje lata, i jeszcze jeden rok ci przybył, Jacuku... — przekonywał ataman, ale kowal nie dawał mu skończyć:

— Co?! Lata?! Mam gdzie swoje lata! Gwiżdżę na swoje lata! Grzybem mnie robi, widzieliście go! A kto pierwszy we wsi do roboty po chorobie powrócił?!

— O, właśnie, robota... — próbował Swityna wykorzystać chorobliwą niemalże pracowitość Slipoty — Przecież masz żelazo i dużo zamówień!

— Ani żelazo nie uleci, ani robota, a honor uleci, jak mnie za niezdatnego do szabli wioska mieć będzie.

Dwoma stanowczymi słowami — „rozkaz atamański” — mógł Swityna uciąć ten spór, ale wiedział, że przykreść uczyniona temu swarliwemu, ale do szpiku kości szlachetnemu

człowiekowi powlokłaby się za nim wspomnieniem nieprzyzwoitości. Postanowił więc ustąpić, i już miał to powiedzieć, gdy przyszło mu do głowy inne rozwiązanie.

— Że do szabli ręka twoja nie gorsza niż do młota, to każdy wie — zaczął ostrożnie — i że lat swoich w niczym nie czujesz, to też wiadomo. Powiem ci ja jednak, że tegoroczne ćwiczenia niewiele nas w sprawności wojskowej pokrzepią, bo całe wojsko po zarazie jeszcze słabe, to i zajęcia prawdziwie męskie być nie mogą. A czas u ciebie, Jacuk, cenniejszy niż u innych, i na kiepskie pochody tracić go nie warto, to mam ja dla ciebie stateczniejszy obowiązek. Staw się konno na nasz odjazd.

— Mnie zaszczyty niepotrzebne! — odpowiedział kowal zrozumiałwszy, że Swityna chce go mianować na czas swej nieobecności atamanem nakaźnym. — Chmil do tego przecież sposobniejszy, skoro w poprzednich latach dobrze się spisywał!

— Choma na nogę bardzo teraz narzeka; chodzić mu coraz trudniej. Niechaj odpocznie. A ty przyjmij, panie gospodarzu, obowiązek wioskowy.

Aby w dwa dni dojechać do Styrbrodu, wyruszać trzeba było o świcie, toteż jeszcze przed pierwszym brzaskiem zaczęła się w dniu odjazdu żywa krzątanina. Wyjeżdżający spożywali poranny posiłek, pozostający karmili, poili i siodłali konie wierzchowe, a na jucnych mocowali ładunek — zwinięte namioty, skórzane torby, płócienne wory i toboły, wypełnione wędzonym i suszonym mięsem, sucharami, bielizną na zmianę, onucami i skarpetami, arkanami i drobnymi rzemieniami, konopnymi powrozami i sznurkami. Nie zapomniano o mydle, soli, dziegciu przeciw komarom i robactwu, brzytwach, igłach i szydłach, niciach i dratwach, i wielu innych drobiazgach potrzebnych w trzytygodniowym żołnierskim życiu w polu.

Na pół godziny przed świtem miejsce zbiórki przy południowej wieży strażniczej wypełniło się tłumem jeźdźców i pieszych, odjeżdżających i żegnających, a wnet potem przypędzili czabani ze stadniska dobrany w poprzednich dniach i od reszty oddzielony tabunik rosnących koni przeznaczonych na wkład ziemski. Do prawego skrzydła nie wyrównanego jeszcze szeregu jeźdźców dołączył znakowy z łopoczącą na porannym wietrze chorągwią z różowym malwowym kwiatem na bładozielonym tle, a na końcu, strzemię w strzemię, zajechali przed front oddziału ataman Dmytro Swityna i kowal Jacuk Slipota. Powoli oddzielał się od żołnierzy i cofał o kilkanaście kroków tłum odprowadzających. Uciszał się pożegnalny gwar, aż wreszcie słyhać już było tylko parskanie koni, łopot chorągwi i rzadkie, ciche popłakiwania kobiet. Wtedy Swityna uniósł w prawej dłoni ośmiopióry mosiężny buzdygan, a w lewej czarny stalowy piernacz. Rozległ się jego mocny, uroczysty głos:

— Jacuku Slipoto, panie gospodarzu-żołnierzu! Mianuję cię atamanem nakaźnym Hruszy Obronnej do mego powrotu!

Kowal ucałował podany mu przez Switynę piernacz i odpowiedział:

— Obowiązek przyjmę i spełnię, jakobyś sam spełnił! Mianowany odjechał sprzed frontu oddziału i stanął wśród odprowadzających, a Swityna uniósł wyżej złotawo połyskujący buzdygan i zaczął wydawać komendy:

— Tabun ogarnij!!!

Ośmiu żołnierzy sprawnie otoczyło stadko koni; czabani odjechali w bok.

— Pierwsza i druga, przodem!!!

Dwie dziesiątki w kilka sekund ustawiły się trójkami przed tabunem, a reszta za nim. Ataman patrzył na wschód, gdzie pod pomarańczową ławicą drobnych, niskich chmur wrzała już cienka warstewka jasnego złota. Lekkim pochyleniem buzdygana wskazał kierunek, odczekał jeszcze moment, i równo z pierwszym promieniem wschodzącego słońca rzucił komendę:

— Stępa, marsz!

Ruszyli Szlakiem Postochidzkim na południe, ku Piaskowemu Brodowi. Po chwili przyspieszyli do miarowego kłusa, i wtedy wzleciał nad oddziałem wesoty, skoczny śpiew:

Srogi szah

Izbek-Szah

Lecz się nie boimy

Jego wojsko niezliczone

Szablami zliczymy...

Skromniej wyglądało to hruszańskie wojsko niż w latach poprzednich, kiedy to na ćwiczenia wyruszała pełna sotnia żołnierzy, w większości młodych, zuchowatych. Teraz ledwie sześć dziesiątek prowadził ataman Swityna do Styrbrodu, w tym młodych niewielu, bo ich bardziej niż starszych przerzedziła zaraza. Ale i starsi potrafili przybrać dziarskie miny, a ich postawa w siodłach i utrzymanie w kłusie nienagannego szyku marszowego wskazałoby każdemu znawcy, że jest to konnica biegła w wojennej sztuce. Jej uzbrojenie także nie pozostawiało nic do życzenia. Każdy żołnierz miał szablę, izbecki łuk rogowo-drewniany z pełnym kołczanem, czekan, nóż, dwadzieścia dwugrotów w skórzanym dwugrotniku i przytroczoną do siodła składaną pikę, a do tego jeszcze lekkie, zatrzaskiwane łoża kuszowe, pozwalające błyskawicznie zmienić łuk w półkuszę. Wiozły też hruszańskie dziesiątki broń cięższą — dwadzieścia ponestrzańskich i tirkijskich kusz, będących mieniem wioskowym, bo zbyt drogich na kieszeń pojedynczego gospodarza. Jedynym uzbrojeniem ochronnym Switynowej jazdy, jak i wszystkich wojsk Malwowych Krajów, były duże, kosmate uszanki z wszytymi wewnątrz płytkami lekkiego metalu, wytrzymujące przez swą miękkość cios szabli nie gorzej, niż stalowy hełm. Najmniej okazały był ubiór żołnierzy. Bluzy i szarawary, uszyte z dwóch warstw konopnego płótna, farbowane były na kolor w zamierzeniu bladezielony domowym sposobem, przez co jedne wyszły ciemne, inne jasne. Baranie półkożuszki bez rękawów i kołnierzy, noszone na bluzach włosiem na zewnątrz, też nie były jednej barwy; przeważały czarne, resztę stanowiły białe i piaskowoszare.

Kolumna z tabunem w środku przejechała już ponad trzy kilometry i zbliżała się do Piaskowego Brodu, gdy ktoś z jadących na końcu zawołał donośnie:

— Trzej konni z tyłu!

— Stępa! — rozkazał ataman i obrócił się w siodle robiąc z dłoni daszek nad oczyma.

Na tle okwieconego, jaskrawo oświetlonego bocznym słońcem krzewostepu rosły szybko trzy ciemne, ruchome plamy.

— To dzieci! — wołano z ostatniej trójki.

Iwanko, Staśko i Radka w szalonym cwale doganiali marszową kolumnę. Ich mierzyny, obciążone tylko lekkimi dziecięcymi ciałami, zdawały się nie dotykać ziemi kopytami; długie grzywy kładły się poziomo, opływając usadowione na oklep w samych niemal kłębach, udami tylko przylegające do końskich ciał sylwetki małych jeźdźców.

— Ech, diabełki nasze hruszańskie, jak to pędzą! — powiedział Swityna z nutą czułości i dumy.

Zrównawszy się z czołem pochodu dzieci popisowo osadziły konie w miejscu, co żołnierze skwitowali pomrukiem podziwu, bowiem rumaki małej trójki miały uzdy bez wędzideł. Twarz atamana oblekła się w wyraz nieprzekonującej surowości.

— Co to ma znaczyć?! — zapytał.

— Co to ma znaczyć?! — powtórzył z pierwszej dziesiątki Tymosz Truba, ojciec Staśki, jedyny spośród rodziców tej trójki wyjeżdżający na ćwiczenia.

— Nie złościście się, panie atamanie... Nie złość się, tatko...

— prosił skruszony Staśko. — To dlatego, tatko, że mnie nie obudziłeś, i zasnęłam, a miałem obudzić Iwanę i Radkę...

— Chcieliśmy zwyczajnie, na zbiórkę tylko, pod wieżę — pomagał mu Iwanko — i zasnęliśmy wszyscy. No to nie mogliśmy wytrzymać i... trzeba było wziąć konie. Ale nie zgrzane! Wcale nie zgrzane!

Swityna uważnie przyjrzał się mierzyńkom i potwierdził ze zdumieniem:

— Nie tze! Nie wiem, jak to możliwe po takim galopie... ale nie tze. Konie prawie suche. No, to upiekła się wam samowola, i wracajcie!

— Jeszcze kawałeczek, wujku atamanie — ujmującym głosem odezwała się milcząca dotąd Radka. — Tylko do brodu, to już bliźniutko!

— No, niech wam będzie — ustąpił ataman. — Ale ani kroku dalej! Zostajecie po tej stronie, i wracacie!

Jezdni nie przyspieszali już do klusa, bo z lewej strony widać już było wyrwę w zielonym, miejscami przyrudziałym kożuchu łoziny, szeroko porastającej obydwie brzegi Stochidu. Skręcili w długie, łagodne zejście do rzeki. Bujna trawa była tu świeżo zdeptana końskimi kopytami. Swityna uważnie przyglądał się tym śladom, poczem powiedział:

— Mohoryczanie przeprawili się z godzinę temu. Albo jechali dzień i noc, albo obozowali gdzieś niedaleko. Też ich mało, najwyżej siedem dziesiątek. Ale... — urwał i ponownie schylił się z siodła, wpatrując się w trawę, poczem dokończył — dziwna rzecz! Mohoryczanie pchnęli przed sobą podjazd, który ich wyprzedza o pół godziny! Po co?!

— I do tego ten podjazd jedzie na koniach wielkokrwistych — dorzucił dziesiątnik Nenechajko, również pochylony nad śladami. — Nowe obyczaje zaprowadza wojsko mohoryczańskie!

— Pewnie zaskoczenia od zbójów się boją, dlatego przodem podjazd poskakał — próbował wyjaśnić dziesiątnik Sobidko.

— Nie takie to dziwne, bo słyszy się, że bandy znaczne po puszczech siedzą.

— Cóżby to za banda być musiała, żeby się odważyła, choćby i z nagła, na siedem dziesiątków uderzyć! — odparł Nenechajko.

Ataman zamknął rozważania:

— Dowiemy się w obozie, co też taką ostrożność Mohoryczan wywołało, i czemu rosnących koni zaczynają używać. Szyk luzuj!! Brodem!!

Konie śmiało wchodziły w czystą, płytką wodę, nie sięgającą im nawet do brzuchów. Po kilku minutach oddział posuwał się już w górę prawobrzeżnego wyjścia z rzeki, żegnany wymachiwaniem rąk pozostałej na lewym brzegu trójki drobnych, bosych jeźdźców. Konnica wyszła na zastochidzką równinę i poleciała szybkim kłusem prosto na wschód, pod niskie jeszcze słońce, rozmywając się coraz bardziej w tle granatowego pasma lasów.

— No, to wracamy! — powiedział Iwanko.

— A przyjrzałeś się — zapytał Staśko — jakie tutaj dno?

— Widzę. Piasek.

— Zgadza się. Czyściutki piasek. Nie to, co koło Hruszy; tam wylazisz z wody upaprany mułem, a tu wylazłbyś czysty...

— Kąpieli ci się zachciewa? Za wcześniej; woda jeszcze zimna.

— Niekoniecznie. Od wczoraj nagrzana; noc przecież była ciepła.

— Ja się tam i zimnej nie boję — poparła Radka pomysł kąpieli.

— Niech wam będzie! — ustąpił Iwanko. — Do wody! Zeskoczyli z koni, przywiązali wodze do krzaków łoziny, rozebrali się i wbiegli do rzeki.

Ze Stałopisu księdza Wasyla Kropyty:

(...) Prawo jednolite o przemarszach wojsk od dawna było potrzebne, ale rady wielkiej przez trzy lata zebrać się nie udało, i dopiero teraz, dnia piątego miesiąca lipca roku 2248 na Ikwobrodzkich Łąkach rzecz tę postawiono. Ledwo jednak rada poczęła się odprawiać, jak wieść z Ponestrza przyszła, że Bołkan rozejm złamał, i wojsko jego przez Pyrut się przeprawia. Pan ataman Łewko Lonowy gońców dokładnie wypytawszy orzekł i radzących powiadomił, że sam wrogowi da odprawę, i pomoc potrzebna mu nie będzie.

Aby zaś rada z niczym nie musiała się rozjeżdżać, został do końca dnia, co wystarczyło, i prawo jest ustanowione. Powiada ono, że wojsko wielkie czy małe każdej z Ziemi naszych ma wszędzie wolne przejście, jeśli komu idzie z pomocą. Prowiant na przemarsz wojsko ma mieć swój, konie tak popasać, by szkody nikomu nie czynić, zimą zaś paszę bez wymusu u gospodarzy ma kupować, a noclegi w namiotach urządzać tak latem, jak chłodniejszą porą. Na powrotną drogę Ziemia broniona we wszystko ma wyposażyć sprzymierzeńca, a jeśli przez szkody poniesione nie może, wtedy wojsko wracające gościnnie będzie żywione po drodze.

Najazd bołkański, jako się okazało, nic był mocny, bo go tylko rajca pomniejszy, co zaraz za Pyrutem ma swoją dzielnicę i zwie się Aurel Dyre, na swoją rękę podjął w głupocie swej mniemając, że jak pan ataman w Ziemi ponestrzańskiej nieobecny, to stad trochę można mu uszczknąć i ludzi nieco uprowadzić. Teraz nad pomyłką swoją ma czas podumać, bo w Koniuszynie w niewoli siedzi na wykupienie czekając, zaś wojsko jego w niewolnych poszło, i już po wioskach Ponestrza porozdzielane...

Przejrzysta woda tchnęła ciepłem wczorajszego dnia, a dogodne zejście, wolny, nie męczący nurt i twardy, zbity piasek dna czyniły rzekę w tym miejscu nieporównanie bardziej pociągającą, niż w pobliżu rodzinnej wioski. Nic więc dziwnego, że kąpiel w Piaskowym Brodzie przedłużała się. Dzieci odwiązały konie i puściły je w popas, posiliły się razowymi pszennymi plackami w pośpiechu porwanymi rano z domów i szalały w spokojnym Stochidzie, wychodząc na brzeg tylko na krótkie chwile dla pogrzenia się w słońcu. Trwałaby pewnie ta hałaśliwa zabawa w rzece do samego południa, gdyby nie to, że razowe placki nie na długo zaspokoily głód i wkrótce burczenie w brzuchach zaczęło coraz natarczywiej przypominać o powrocie. Wreszcie zdecydowali się jechać do domu. Gdy wynurzyli się z osłoniętego gęstwą łożyn zejścia do brodu i skręcili na północ, znudzone beczynnością mierzyny bez ponaglania poszły żwawym kłusem. Jednak po przejechaniu niecałego kilometra wierzchowce zaczęły się zachowywać dziwnie: zwolniły do nieskładnego truchtu, niespokojnie strzygły uszami, chrapliwie parskały i gwałtownie wyrzucały tły do góry.

— Konie się czegoś boją — ze zdziwieniem stwierdził Staśko.

— Dymu się boją! — zawołała Radka z nagłym niepokojem.

— Stójcie, chłopczy! Czuję dym!

— Tak! Czuć jakiś śwąd! — potwierdził Staśko. Zatrzymali się i zaczęli mocniej wciągać powietrze w nozdrza.

— To od Hruszy — orzekł Iwanko. — Obiad wszyscy gotują, a wiatr z tamtej strony, to aż tu donosi.

Słowa Iwanki nie zagłuszyły niejasnego lęku, który powiększało coraz bardziej nerwowe podreptywanie w miejscu zaniepokojonych mierzynków.

— A jeśli to pożar u kogoś? — z wyraźnym strachem w głosie zapytała Radka.

— E, zaraz pożar! — uspokajał ją Iwanko z udawaną pewnością siebie. — Wyjedziemy wyżej, za olszynę, to zobaczysz... — urwał, bo dobiegł ich nieznany odgłos. Było to jakby odległe złamanie suchej deski, albo dalekie trzaśnięcie z ogromnego bata. Powtórzyło się

to jeszcze kilka razy, a zapach dymu nasilał się szybko i zmieniał w coraz bardziej obcy i przykry. Staśko zmarszczył czoło i zacisnął wargi, a potem powiedział łamiącym się głosem:

— Nie udawajmy! To pożar! Jedźmy już!

Konie, ponaglone tylko bosymi piętami, ruszyły niechętnie, ale wyczuwając zdecydowanie małych jeźdźców uspokoiły się nieco i dały się pchnąć w ostry galop. Zastaniająca widok kępa olchowego lasku rosła w oczach; ledwo zaznaczający się niższą i ciemniejszą trawą Szlak Postochidzki łagodnie skręcał w lewo, by ją ominąć. Gdy dzieci zrównały się z północnym skrajem olszyny, ich oczom ukazał się przerażający widok: rodzinna wioska spowita była w czarny dym, z którego w wielu miejscach wyrывały się w niebo czerwone, przetykane pasmami czerni, potworne kielichy płomieni.

Osadzili konie w miejscu. Przez krótką chwilę patrzyli przed siebie wzrokiem skamieniałym i bezmyślnym, potem rozptakali się wszyscy naraz. Drobnym ciałem Radki wstrząsał szloch. Chłopcy płakali bezgłośnie. Długo żadne z nich nie mogło wymówić słowa. Wreszcie odezwał się Iwanko głosem zupełnie zmienionym przez hamowane łkanie:

— To nie jest zwykły pożar... Pali się w różnych miejscach...

— To co to znaczy, Iwanko, powiedz?! — zapytał Staśko drżąc i jękając się.

— Nie wiem. Jedźmy!

Skręcili w lewo i pocwałowali szerokim łukiem przez Wojskową łąkę ku skrajowi pól uprawnych, skąd widoczna była całość strasznej panoramy. Północna wieża strażnicza dopalała się, dachu już nie było, ściany waliły się wyrzucając wysoko skłębione snopy iskier. Położona blisko niej kuźnia i zabudowania Jacuka Slipoty były już tylko bezładnymi stertami żarzących się belek. Dogorywały także domy, stodoły i stajnie w trzech następnych zagrodach. Pięć kolejnych domostw było wolnych od ognia, a dalej zaczynała się druga strefa pożaru, obejmująca cztery obejścia, i tak aż do południowego krańca wioski przeplatały się obszary szalejącego ognia z grupami zagród wolnych od płomieni. Palił się dom Radki, a sąsiadujące ze sobą obejścia Hołodów i Trubów były całe. Ku nim skierowały dzieci coraz bardziej nieposłuszne konie. Z każdym końskim krokiem narastał głuchy huk płomieni i poświst powietrznych wirów wznieconych obszarami żaru. Zbliżyli się na odległość, z której wśród ścielących się, ruchliwych płacht dymu można było dostrzec ludzkie sylwetki. Było ich niewiele i poruszały się bez pośpiechu.

— Boże!!! Święty Semen!!! — zawołał Iwanko zbielełymi ze strachu ustami. — Tam są obcy żołnierze! Jednakowo ubrani! W hełmach! Uciekajmy!!

— Uciekajmy! — powtórzył Staśko dzwoniąc zębami.

Nie zdążyli zawrócić koni, gdy uwagę ich przykuła kobieca sylwetka odrywająca się od kępy leszczyny rosnącej za opłotkiem obejścia Hołodów. Biegła prosto ku nim przez zagon błękitnawego owsa, wykonując wyciągniętymi przed siebie dłońmi taki ruch, jakby kogoś popychała przed sobą i gwałtownie odpędzała. Poznali matkę Iwanki i zrozumieli jej gesty nakazujące uciekać. Biegająca przebyła już połowę drogi, gdy od strony płotów rozległ się potężny trzask, ten sam, który słyszeli przedtem z daleka, ale teraz stokroć głośniejszy. W tym samym momencie matka Iwanki jakby zastygła w biegu, a potem opuściła wyciągnięte ręce, zachwiała się i upadła do tyłu. Pokonując paraliżujący strach Iwanko wściekłymi uderzeniami pięt pchnął konia do przodu i po kilkunastu sekundach był już przy matce. Leżała na wznak na skraju owsianego poletka. Wyszywana lniana katanka ciemniała na piersiach powiększając się szybko plamą krwi. Purpurowa strużka sączyła się z kącika rozchylonych ust. Otwarte jasno niebieskie oczy wypełnione były zagastym blaskiem. Iwanko zrozumiał, że matka nie żyje.

Z odrętwienia wyrwały go wysokie, do zerwania strun głosowych, okrzyki Radki i Staśki. Rozejrzał się. Z prawa i z lewa zbliżali się ku niemu jeźdźcy w stalowych hełmach i niebieskawo-zielonych mundurach. Szarpnięty wodzą i uderzony stopami mierzyn Iwanki obrócił się do tyłu tak szybko, jakby już czekał na sygnał ucieczki, i wyciągnął się błyskawicznie w długi cwał. Galopujący przodem Staśko i Radka nieznacznie powściągali konie, by Iwanko mógł się z nimi zrównać. Gdy pędzili już obok siebie, zaczęły im warczeć koła uszu ciężkie bełty. Odległość między pościgiem a uciekającymi zaczęła powoli rosnać; obciążone masywnymi siodłami i zwalistymi jeźdźcami konie najeźdźców nie mogły dorównać w biegu wytrzymałym mierzynom niosącym tylko chude dziecięce ciała. Iwanko obejrzał się. Pościg pozostał tak bardzo w tyle, że można było pomyśleć o oszczędzaniu mierzynków i nieco zwolnić. Myśl, że niebezpieczeństwo oddaliło się, była jednak przedwczesna, usłyszeli bowiem nad głowami świdrujący gwizd, a w ćwierć sekundy później dopędził ich znany już, porażający strachem, suchy huk. Obejrżeli się. Ścigający zawracali.

— Do czabanów! — krzyknął Iwanko. — Nie męczyć koni; kłusem!

Zwolnili, wyjechali z zagonów hreczki, owsa i prosa na krzewostep, i skierowali się ku środkowi pasma tarninowych zarośli, za którymi stał, niewidoczny jeszcze, dom tabunny — letnia siedziba hruszańskich czabanów. Ale niedaleko ujechali w tym kierunku, bo wkrótce ujrzeli czterech obcych żołnierzy ruszających im naprzeciw z przerwy między tarninowymi gęstwami i ponaglających swe rosłe rumaki do cwału uderzeniami harapów.

— Na Piaskowy Bród! — zdecydował tysy chłopiec ochryptym głosem.

Krótkim łukiem skręcili ku południowemu wschodowi i w ostrym galopie przecinali Wojskową Łąkę po przekątnej. Żołnierze w niebieskawych mundurach ścigali ich kilka minut, a potem, widząc większą rączność mierzynów, osadzili konie i po krótkim celowaniu wypuścili z kusz cztery grubo mruczące bełty. Przeleciały one nad głowami uciekających dzieci i wbiły się w trawę o sto metrów przed nimi.

— Zawracają — powiedział Iwanko obejrzawszy się. Oczywista nieudolność dwukrotnego pościgu pomniejszyła strach dzieci. Radką potrząsał jeszcze suchy szloch, ale chłopcy już nie płakali, a Staśko pozwolił sobie nawet na niewyraźny uśmiech i kpiącą uwagę:

— Prędcy jak krowy przed samym ocieieniem.

Iwanko zbył to odezwanie milczeniem. Powściągnął konia do spokojnego truchtu; Staśko i Radka poszli za jego przykładem. Chwilę jechali w milczeniu, potem Iwanko powiedział z powagą:

— Najpierwsze, o konie dbać! Nie wiadomo, co jeszcze będzie... Konikom dziękujemy, że żyjemy... Może znów w nich tylko będzie ratunek... Teraz pojedziemy za Piaskowy Bród, w tamte gęste olszyny i brzeźniaki, i tam damy odpoczynek koniom i sobie. Tylko rozglądać się naokoło! Oni mogą pilnować brodu; trzeba uważać!

Przy brodzie nic spotkali nikogo, ale zauważyli, że trawa w zejściu do rzeki zdeptana jest znacznie bardziej niż godzinę temu, gdy opuszczali to miejsce. Świeże ślady kopyt były głębokie i pochodziły od koni biegnących kłusem.

— Przejeżdżali tędy, świnie! — powiedział Staśko.

— Świnie? — pytająco powtórzył Iwanko. — Świnie nie zabijają, ani nie palą.

Napoili konie i ruszyli dalej na południe skrajem nadrzecznych łożyn. Wygląd okolicy zmieniał się; coraz więcej było kęp olszyny i małych lasków brzozowo-olchowych, podszytych kruszyną, dzikim bzem, ostrężynami i wysokim zielskiem, schodzących do samego nadbrzeżnego chruśniaku. Po godzinie coraz wolniejszej jazdy przekroczyli wąski strumyk, którego ujście do Stochidu skryte było w gęstwinie zarośli, i kilkaset kroków dalej znaleźli

miejsce odpowiednie do zatrzymania się na odpoczynek. Był to mieszany las, w którym młode topole i brzozy wychylały swe wierzchołki ponad korony starych olch, a tu i ówdzie do walki o słońce włączyły się bujne kępy leszczyny i wątłe grupki błotnych sosen. Ku środkowi lasu teren wznosił się nieznacznie i było tam wiele suchych polanek porośniętych wysoką trawą. Wybrali jedną z nich, zsiadli z koni, odpięli od uzd rzemienne wodze i położyli się w trawie, w cieniu grubej olchy.

Długo milczeli. Radka oddychała ciężko, świszcząc. Miała zaognione oczy i płonące policzki. Iwanko położył dłoń na jej czole.

— Masz gorączkę — powiedział, i zaczął uważnie wpatrywać się w pulsowanie tętnicy na jej szyi. — Ale to tylko od płaczu — dodał po chwili. — Nie masz szybkiego tętna; pośpisz, gorączka odejdzie.

Dziewczynka patrzyła półprzymkniętymi i milczała; po minucie zasnęła. Iwanko podniósł się, przygiął do dołu olchową gałąź i odłamał z niej gęsto uliścioną gałązkę. Położył się bliżej śpiącej i odpędzał znad jej twarzy natarczywe muchy. Staśko leżał na wznak z dłońmi podłożonymi pod głowę, ze zmarszczonym kurczowo czołem i zwężonymi oczyma. Od czasu do czasu przechylał głowę w stronę Iwanki i spoglądał na niego wyczekująco, jakby spodziewał się, że ten przerwie drażniące milczenie i wszystko wyjaśni. Nie doczekawszy się tego, zapytał wreszcie:

— Mama...?

— Nie żyła... — odpowiedział Iwanko, i mimo widocznego wysiłku nie powstrzymał łez.

Staśko czekał, aż Iwanko przestanie płakać, a potem powiedział głosem syczącym i tak zimnym, że nawet dorosłemu człowiekowi mogłyby od tego przelecieć ciarki po plecach:

— Jak się uratujemy, to im za to zapłacimy!

— Jak się uratujemy... — powtórzył Iwanko. — Łatwo powiedzieć... Nie mamy ani jedzenia, ani łuku, ani noża, ani ognia...

— Oj, nie mów o jedzeniu! Jestem już tak głodny, że nie wytrzymam!

— A ja nawet nie. Pić mi się tylko chce. Ale o jedzeniu trzeba zaraz pomyśleć, bo potem osłabniemy. Chcesz zostać z Radką, czy pójdiesz szukać?

— Wolę iść. Ale czego mam szukać?

— Nie trudno zgadnąć: poziomek, jagód ostrężynowych, dzikich ogórków i dyni. To wszystko teraz jest, tylko trzeba poszukać.

Staśko wstał i bez namysłu ruszył w las, ale po kilku krokach zatrzymał się i zapytał:

— A jakbym co znalazł, to w czym przyniosę?

— W koszuli. Zawiążesz, jak będzie po co, rękawy, i już masz dwie wielkie kieszenie. Tylko... Staśko, uważaj! Rozglądaj się, i z lasu dalej nie wyłaź, jak na sto kroków, żeby cię w razie czego konny nie mógł dopaść. I drogę zapamiętaj, żeby trafić tu z powrotem!

— O to się nie bój! — doleciały słowa znikającego w leśnym poszyciu Staśki.

Radka spała snem głębokim i spokojnym; z jej smagłych policzków schodziły powoli wiśniowe rumieńce. Iwanko próbował zebrać myśli, rozważyć męczący natłok przeżyć ostatnich godzin, ale ćmiący ból głowy — skutek płaczu, strachu i zbyt mocnych wrażeń — uniemożliwiał składiniejsze myślenie. Wstał i zaczął rwać garście długiej trawy, a gdy uzbierał jej spore naręczce, skłębził ją w nieforemną poduszczykę i delikatnie wsunął Radce pod głowę. Podszedł do pasących się koni i długo oglądał ich nogi sprawdzając, czy nie są pokaleczone od ostrężynowych kolców. Poklepał mierzynki po szyjach, poprzytulał twarz do ich zamszowych, miękkich pysków, i wrócił pod grubą olchę. Przepędził muchy i ślelaki kołujące nad twarzą śpiącej dziewczynki i położył się w trawie na wznak. Nieznośnie powoli upływało wczesne popołudnie. Nad polaną śmigały w mistrzowskich susach jaskółki i jerzyki, od czasu do czasu

przelatywały ociężałe pojedyncze gawrony, to znowu śpieszyły się dokądś kłócące się głośno stadka kawek, lub zgodne pary sierpówek. Od strony niedalekiego Stochidu dolatywały rzadkie krzyki rybitw, a skryta w koronie bliskiej topoli pięknośosa wilga zanosila się upartym nawoływaniem. Iwanko przypomniał sobie, jak tłumaczył mu kiedyś ojciec głos wilgi: „Wasyłu, chodź na piwo! Wasyłu, chodź na piwo! — to ona woła. — No, słuchaj dobrze, czy nie tak!”. Wspomnienie przywołało przed oczy chłopca rysy ojcowskiej twarzy i przyniosło nową falę lęku. Zmęczony umysł Iwanki zaczął budować naiwne i niespójne sceny i wersje wydarzeń spełniające jeden wymóg: możliwość uratowania się ojca.

Słońce stoczyło się już na połowę swej drogi od południa do zachodu, gdy wrócił Staśko. Jego zdobycz była znikoma — kilka garści kwaśnych jerzyn i sześć maleńkich ogórków, nie większych od palca.

— Doszedłem do Szlaku — zaczął opowiadać — i szedłem po tej stronie aż do wykrotu, co od niego już widać Jastrzębią Dąbrowę, i tyle znalazłem, co widzisz. Dyń nie ma, dzikie ogórki dopiero się zawiązują, borówek mało i całkiem zielone, ostrężyny też jeszcze nie dobre; kwaśne, że zęby cierpną. Poziomek trzeba by szukać za Szlakiem, na stoczkach, a tam się bałem iść, bo na Szlaku ślady. Po tej stronie wszędzie drzewa i cień, to poziomki nie rosną.

— Ślady, mówisz? Czyje?

— Tamtych. Przejechało chyba ze trzydzieści ciężkich koni.

— W obie strony?

— Nic. Tylko ku Jastrzębiej Dąbrowie.

— Dawno?

— Myślę, że przed samym południem.

— Jak przejechali?

— Trochę klusem, trochę truchtem, a miejscami nawet stępa. Widać nie bardzo się śpieszyli.

Iwanko zamyślił się, potem powiedział z ponurym westchnieniem:

— Źle z nami, Staśko... Jak jeżdżą i Mohoryczańskim Szlakiem, i Postochidzkim, to znaczy, że nie tylko na Hruszę napadli. Jeśli nie odjadą to nie będzie nam dokąd uciekać...

— To co zrobimy?

— Na razie podzielimy to, coś przyniósł i zjemy. Potem będziemy myśleć.

— Mnie się z tego tylko ogóreczki dwa należą; ostrężyn trochę zjadłem przy krzakach.

Twardego snu Radki nie przerwała ani rozmowa chłopców, ani kilkakrotne rzenie koni pasących się na skraju polany, ani dokuczliwość much nie odstępujących od jej twarzy. Zbudziło ją dopiero ciamkanie Iwanki jedzącego niedojrzałe, kwaśne ostrężyny. Najpierw, śpiąca jeszcze, zaczęła przetykać ślinę, potem wykonywała wargami taki ruch, jakby nimi zrywała z kiści smaczne jagódki, wreszcie otworzyła oczy. Chłopcy podali jej na dłoniach fioletowozielone jagody i żałośnie małe ogóreczki. Pochłonęła je w okamgnieniu.

— No, toś się chyba wyspała! — powiedział Iwanko. — Staśko przez ten czas aż niedaleko Jastrzębiej Dąbrowy doszedł i wrócił.

Dziewczynka milczała.

— Zła jesteś, że takie kwaśne te jerzyny? — spytał Staśko lekko urażony jej milczeniem. — Lepszych nie znalazłem, bo nie ma.

Radka milczała nadal.

— Ogłuchłaś?!

I na to nie było odpowiedzi. Staśko spojrział na dziewczynkę ze złością i wybuchnął:

— Cośmy ci zrobili, że się boczysz?! Czego się nie odzywasz?! Nam tak samo źle, jak i tobie, ale się nie boczymy na siebie!

Radka patrzyła na chłopców z wyrazem ni to lęku, ni to zdziwienia.

— Święty Semen! — krzyknął Iwanko. — Jej się coś stało! Radka, co ci jest, powiedz?!

Odpowiedzią było tylko zwrócenie twarzy ku pytającemu, i spojrzenie pełne jakiejś niezrozumiałej prośby.

— Za mało mamy kłopotu, to jeszcze... — zaczął Staśko swoje kpiące narzekanie i urwał, bo Iwanko rzucił mu złe spojrzenie i warknął:

— Zawrzyj gębę! Jedziemy do strumienia napić się i konie napoić!

Jak dawniej w dziecięcych zabawach, tak teraz w trwodze i nieszczęściu ostatnie słowo należało do łysego chłopca. W jego ciemnoniebieskich oczach głęboko osadzonych, w zmarszczeniu brwi niedziecięcym, w mocnym głosie i wyrazistym wymawianiu słów była siła, która w chwilach spieć nakazywała czupurnemu Staśce stulać uszy po sobie.

Gdy napoiwszy konie i ugasiwszy pragnienie wrócili znad strumyka na swoją polankę, Radka znowu położyła się pod drzewem i wkrótce twardo zasnęła. Wtedy Iwanko zwrócił się do przyjaciela pojednawczym tonem:

— Ty, Staśko, za prędki jesteś do wszystkiego. I do dumania, i do gadania, i do robienia. Rozważności trzeba ci się nauczyć, bo bez niej zguba dla nas.

— Oj, prawda! — zgodził się Staśko. — Tylko że i przy rozwadze ratunku nie widać... A Radce ja dokuczyć nie myślałem...

— Nikt nie mówi, żeś chciał dokuczyć. Ale złościć się nie wolno. Z przejęcia i ze strachu tak jej się coś porobiło, ale przecież wszystko rozumie i robi jak trzeba, tak jak i my, to przecież nijakiego kłopotu z nią nie ma. Jak dobrzy dla niej będziemy, to prędzej mowa jej wróci.

— Pojmuję, i słówkiem jej nie tknę. Tylko... nie samą mowę ona straciła.

— Tak. Jeszcze to dziwniejsze, że ani uśmiechnąć się nie potrafi, ani niczego nijak potaknąć. Choć rozumie, co się do niej mówi, nawet głową nie przytaknie. Ogromnie to dziwne... Ale na rozumie nic jej nie jest, to widać, i na pewno przyjdzie do siebie.

Rozmowa o Radce nie na długo odsunęła myśli od całości nieszczęścia. Znowu przedłużało się milczenie i wzmagало się nieme napięcie. Iwanko wyczuwał, że Staśko z trudem powstrzymuje się od zadawania pytań, i mimo wciąż nie ustającego bólu głowy i powracającego falami uczucia palącej bezsilności i dławiącej krzywdy coraz jaśniej rozumiał, że nic go nie uwolni od podejmowania ważnych decyzji i ponoszenia za nie odpowiedzialności.

— Iwanko...

— Wiem... Chcesz, żebym powiedział, co robimy dalej.

— Tak.

— A czy ja od ciebie mądrzejszy?!

— Samo tak wychodzi... że ty masz pokierować.

— Wychodzi! Pokierować! Dobrze ci się tak mówi! A jak nas jeszcze co złego spotka, to na mnie będzie!

— Nie mów tak, Iwanko. Słuchaliśmy cię do teraz, i żywi jesteśmy, to tak samo musi być dalej.

— Tyle ja wiem, co i ty, i boję się tak samo...

— Tak musi być, jak w wioskowych rzeczach: w zwyczajnym czasie rada najważniejsza, a w wojnie i innej wyprawie, albo gdy zaraza czy powódź — ataman wszystką moc bierze. To już powiedz, dokąd stąd ruszymy?

— Tu przenocujemy. A rano jeden z nas... to znaczy ja pojedę zobaczyć, co we wsi.

— I ja bym chciał pojechać.

— Widzisz?! Tyłeś nagadał, i już się sprzeciwiasz!

— Nie, nie... Tak tylko powiedziałem. Jedź sam. Tylko się złapać nie daj, jeśli te gady jeszcze w Hruszy!

— W łapy im nie polezę; będę uważał. Jak mnie tym swoim piorunem gwizdzącym nie trafią z daleka, to chyba wrócę.

— A ten piorun, jak myślisz, co to takiego?

— Nie wiem. Broń jakaś piekielna. Człowieka na wylot przebija i... — nie dokończył, bo przypomniała mu się matka i ta ogromna plama krwi na jej katance. Oczy wypełniły mu się piekącymi łzami, a dłonie bezwiednie zacisnęły się w pięści. Odwrócił się, by ukryć płacz, lecz Staśko zrozumiał jego zachowanie i powiedział cedząc słowa:

— Dlatego, Iwanko, musimy się uratować, i za to zapłacić!

— Odplącimy! — odrzekł łysy chłopiec zlizując łzy napływające do warg.

Do zierzchu kręcili się po polanie i zbierali soczyste listki szczawiu, próbując nimi oszukać wzmagający się głód. Gdy po drzewach i krzakach przebiegło kilka podmuchów wiatru niosącego wieczorny chłód, zaczęli szukać dogodnego miejsca do spania. Wybrali środek polanki, gdzie mały splotec długiej, gęstej i dość suchej trawy ostoinięty był z trzech stron zwartymi zaroślami młodej brzeziny i topoli.

— Krzaki ostoinię od wiatru — powiedział Iwanko — a trawę można się nawet trochę przykryć. Radka będzie spać w środku, my po bokach. Żeby tylko noc nie była chłodna! Ale choćby i ciepła była, to w samych koszulach gorąco nam nie będzie.

Obudzili Radkę i zapytali, czy jest głodna. Nie odpowiedziała ani słowem, ani żadnym gestem. Wówczas podali jej garście równo poskładanych listków szczawiu. Rzuciła się na nie gwałtownie i jadła łapczywie, aż zielony sok pociekł z kącików jej ust. Otaczające polanę drzewa i zwarte poszycie zagęszczały szybko zapadający zmrok. Chłopcy spętali koniom luźno przednie nogi rzemiennymi wodzami, potem dłuższą chwilę obserwowali, czy pęta nie zsuwają się, i żegnali się na noc z mierzynkami pieszczotliwym poklepywaniem po szyjach i łopatkach, i obejmowaniem ich ciepłych pysków. Potem skryli się w wybranym na miejsce snu, okolonym niskimi zaroślami skrawku polany i zaczęli wołać Radkę kręcącą się w pobliżu coraz czarniejszej ściany lasu. Przybiegła, położyła się na wskazanym jej miejscu i ku zdumieniu chłopców znów błyskawicznie zasnęła. Staśko szeptem wyraził swe zdziwienie:

— Ona chyba teraz może spać dzień i noc bez przerwy!

— W spaniu człowiek zdrowieje — odpowiedział Iwanko.

— Może jutro już będzie mówić? Śpijmy i my!

— Trochę mi straszno...

— Śpij! Jakby co... to koniki zarzą. Czujne one.

Nie wiedzieli, że oprócz strachu, nocnego chłodu i bolesnego ssania w pustych żołądkach czyha w ciemności jeszcze jeden wróg — komary. Ledwo ustał wieczorny wietrzyk, zaczęło narastać jadowite bzyczenie, i niewidoczne wampiry zaczęły ciąć. Wkręcili się w kaleczącą trawę, wciskali się w krzewy, chowali twarze w skrzyżowanych ramionach, lecz krwiożercze owady wciąż znajdowały dostęp do ich skóry. Dopiero po północy, gdy wzmógł się wiatr, wściekłe komary dały stopniowo za wygraną, i chłopcy zapadli w niespokojny sen przerywany rozdygotanymi przebudzeniami z przejmującego, przedrannego chłodu. Dniało, gdy Iwanko rozbudził się na dobre. Nasłuchiwał chwilę bojąc się otworzyć oczy. Słyszał tylko rzadkie parskanie koni i pierwsze głosy budzących się ptaków w tle jednostajnego szumu drzew. Wysunął głowę ze zmiętej trawy i uniósł powieki. Krzyk przerażenia uwiązał mu w piersi. O krok od niego, zagradzając wejście do ich kryjówki, siedziało w psiej pozycji roste bure zwierzę uderzająco podobne do wilka. Skośne, żółto-brązowe ślepie wpatrywały się spokojnie, uważnie i przenikliwie w opuchłą od ukąszeń twarz struchlałego chłopca, który ponownie

zamknął oczy oczekując bez tchu na skok zwierzęcia i śmiertelne uderzenie jego kłów. Płynęły długie, straszne sekundy, i nic się nie działo. Iwanko znowu podniósł powieki. Bury zwierzę siedział w nie zmienionej pozycji. Odzyskując oddech, nie spuszczać wzroku z żółtawych ślepi, Iwanko powoli sięgnął ręką do tyłu, nad ciałem Radki, i dotknął wyciągniętymi palcami ramienia Staśki.

— Czego tam? — mrukliwie odezwał się Staśko spod wiechci trawy okrywających mu głowę. — Już dawno nie śpię przez to zimno diabelskie!

— Pa... patrz tutaj — jękał się Iwanko szczękając zębami. Staśko, mamrocząc coś ze złością, wyplątał głowę z trawy i usiadł. Widok przerażającego zwierzęcia i jemu na chwilę odebrał mowę. Trwożna cisza przeciągała się w długie sekundy, i nagle przerwał ją najzupelniej spokojny głos Staśki:

— Nie gap mu się w ślepią! Popatrz niżej! Mamy jedzenie! Jak przedtem strach, tak teraz zdumienie pozbawiło Iwankę możliwości wydawania głosu. Przed wciąż nieruchomo siedzącym zwierzęciem leżała spora kupka wygrzebanych z korzeniami poziomkowych krzaczków, obwieszonych dorodnymi owocami, a obok niej okazały stosik zielonkawych surojadek. W pewnej odległości od poziomek i grzybów, nieco z boku, połyskiwało w szarym świetle przedświt w pięć lub sześć niedużych brzanek.

— No, na co czekasz? — niecierpliw się Staśko trącając przyjaciela w plecy. — Dawaj poziomki! Nie bój się! To jest tałan!

— Tałan...?

— Nie słyszałeś, co Kiabir rozpowiadał?

Iwanko powoli, z wahaniem wyciągał drżącą rękę. Zwierzę, jakby w odpowiedzi na jego lękliwą niepewność, podniosło się, wycofało kilka kroków i ponownie usiadło. Obudziła się Radka i przyglądała się tałanowi z wyrazem zaciekawienia na twarzy. Chłopcy podzielili poziomki. Gdy podawali dziewczynce przypadającą jej część, wymizerowana i brudna twarzyczka ożywiła się znacznie bardziej niż przedtem na widok tałana. Pochłonęli owoce, potem zabrali się do surojadek. Były niesmaczne, lekko piekące, ale dobrze zaspokajały głód.

— Szkoda — mówił Staśko żując surojadkę — że to kochane zwierzę nie przyniosło nam jeszcze hubki i krzesiwa. — Zjedlibyśmy i ryby, a na surowo — nijak.

— Jeszcze się okaże, czy nijak — odpowiedział Iwanko. — Podobno surową rybę można jeść. Jak bardziej zgłodniejemy, kto wie, czy nie przyjdzie spróbować... Ale patrz! Tam, do koni!

Ocierając się niemal o nogi spokojnie pasących się mierzynów szedł przez polanę drugi tałan. Zbliżył się do pierwszego, który podniósł się na jego widok. Chwilę stały obok siebie, potem poszły wolno ku lasowi i znikły w jego poszyciu.

— I co ty na to wszystko, Radka? — zapytał Iwanko nie tyle z chęci poznania jej opinii, ile dla sprawdzenia, czy dziewczynka może już mówić.

Tak jak poprzedniego dnia, odpowiedzią na pytanie było zwrócenie głowy i spojrzenie wyrażające lęk i prośbę. O co prosiły chabrowe oczy Radki — tego chłopcy nie potrafili się domyślić. Na umorusanej twarzy Iwanki pojawił się ciepły, trochę speszony uśmiech, wyraźnie przeznaczony dla dziewczynki.

— Nic sobie z tego nie rób, Radka — powiedział starając się, by w głosie brzmiało przekonanie. — Będiesz mówić, i nagadamy się jeszcze aż zanadto.

— A te tałany... — zaczął Staśko, lecz Iwanko nie dał mu skończyć:

— O tym pomówimy kiedy indziej. Teraz czas mi jechać do Hruszy.

Gdy Iwanko siedział już na koniu, powiedział do odprowadzającego go na skraj polany Staśki:

— Czasu nie marnuj! Poszukaj kamienia ostrego i te ryby oporządź, i podsuszaj na słońcu. Na tałany nie czekaj, tylko szukaj jedzenia, i jedzcie, co się da, żeby nie słabnąć. A jakbym do wieczora nie wrócił, to jutro z rana ruszajcie lasami do Jastrzębiej Dąbrowy i stamtąd dobrze przepatrzcie, czy Tarninowy Szlak od tych obcych wolny. Jak wolny, to pojutrze przed wschodem, końmi popasionymi i napojonymi ruszajcie na południe i cały dzień, niewiele odpoczywając, Szlakiem galopujcie; wtedy na wieczór będziecie już na Wysokim łowyniu i tam pomocy poszukacie.

— A jak Szlakiem obcy jeżdżą?

— To trzeba wam będzie dużo dni lasami jechać. Tylko pamiętaj: na południe! I oczy otwarte!

— A zwierz?

— Masz swój rozum. Wilki w lecie człowieka nie ruszą, a i nie ma ich po naszej stronie Stochidu. Psy dzikie tak samo tutaj się nie kręcą, tylko tam, na wschodzie, bliżej Styrbrodu. A jakby były, to je po szczekaniu z daleka usłyszysz; wtedy w cwał, i na przestrzeń, to nic dogonią.

Staśko, przygnieciony nagle wkładaną nań odpowiedzialnością, rozplakał się cicho i bezradnie. Rozmazując łzy po brudnej, opuchłej od komarzych ukąszeń twarzy zapytał głosem pełnym żałości i nadziei:

— Ale ty wrócisz, prawda?

— Chyba wrócę... Jak się umyjesz w strumieniu, to się chwilkę pomódl do świętego Semena, żeby mnie bełtem, ani gromem nie trafili.

Po godzinie jazdy przez mieszane młodniki i kępiaste olszynki dotarł Iwanko w pobliże Piaskowego Brodu. Ukrył konia w wierzbowych zaroślach i skradał się przez gęste, mokre od rosy łożyny ku zejściu do rzeki. Długo stał w gęstwinie przy brodzie rozglądając się i nasłuchując, potem ostrożnie wyszedł na trawiaste zejście i szukał śladów. Upewnił się, że od wczorajszego południa nikt brodem nie przejeżdżał, i wrócił do konia. Przeprawił się na prawy brzeg Stochidu i ruszył skrajem łoż na północ. Mierzyn z wysiłkiem przebijał się przez gęstwą wysokich traw, krzaków dzikiego bzu, młodej, niskiej tarniny, samozasianych, metrowych dopiero akacji, osik i topól, ostrężyn i pokrzyw, powiązanych pędami powoju i dzikiego chmielu, osrebrzonych mokrymi pajęczynami. Miejscami przejazd był niemożliwy, i chłopiec musiał wyjeżdżać ponad nadrzeczną dolinę, by górą, rzadziej porośniętym krzewostepem, ominąć zbite gęstwiny. Od połowy drogi północno-zachodni wietrzyk zaczął przynosić zapach przystarzałej, zwilgłej spalenizny, nasilający się w miarę zbliżania się ku okolicy położonej naprzeciw Hruszy. Słońce stało już wysoko i poranny chłód ustąpił miejsca wzmagającemu się upałowi, gdy zgrzany trudną drogą mierzyn doniósł łysiego chłopca do miejsca, skąd na prawo widać było trzy ogromne kasztany, samotnie rosnące w krzewostepie o pół kilometra od brzegu rzeki. Te trzy potężne drzewa widoczne były także z kuchennego okna Iwankowego domu, wiedział więc, choć bujne łożyny zasłaniały widok w stronę Stochidu, że znajduje się dokładnie naprzeciw środka rodzinnej wioski. Zsiadł z konia i cierpliwie szukał dla niego kryjówki. Wreszcie znalazł wśród wierzbiny maleńką łączkę ze wszystkich stron osłoniętą, porośłą bujną trawą i rzadkimi, niskimi krzakami. Przeprowadził na nią mierzynka przez chaszczę i spętał mu nogi wodzami, poczem zaczął się przedzierać przez wierzbowe zarośla ku brzegowi rzeki. Przez kilkanaście ostatnich metrów czołgał się, wreszcie, podrapany i zmęczony, zaległ na samym brzegu, naprzeciw wodopojów. Było stąd widać dwa pogorzeliiska i dwie nie spalone zagrody. Uderzyła Iwankę martwa cisza; nie było słychać ani porykiwań bydła, ani szczekania psów, piania kogutów, ostrzegawczych powrzaskiwań gąsiorów, kwiczenia upominających się o karmę świń, ani skrzypienia studziennych wałów i dzwonięcia wiader po cembrowinach —

głosów, które od niemowlęctwa odbierał jako część samej istoty rodzinnej wioski, i do których tak przywykł, że dopiero teraz, gdy ich brakło, uświadomił sobie ich dawną obecność. Przez długie chwile nie dostrzegał też w wiosce żadnego ruchu, i już miał wejść do rzeki i płynąć ku drugiemu brzegowi na wprost, gdy zobaczył za pogorzeliem dwóch żołnierzy w niebieskawych mundurach, idących spacerowym krokiem środkiem wioskowej ulicy. Byli bez nakryć głowy; potyskujące w słońcu hełmy przytroczone mieli do pasów. Zanim znikli z pola widzenia Iwanko zdążył zauważyć, że jeden z nich miał przewieszony przez plecy podłużny czarny przedmiot, z jednego końca poszerzony, z krzywą wypustką w środku. Takie same przedmioty trzymali w rękach niektórzy spośród żołnierzy ścigających wczoraj trójkę dzieci; była to więc zapewne owa straszna broń, rażąca gwizdzącymi piorunami. Iwanko zadrzał ze strachu i cofnął się w głąb łożyny, nie zrezygnował jednak z przeprawienia się na lewy brzeg Stochidu. Przedzierał się przez zarośla na północ, w dół rzeki, i po dwustu, może trzystu metrach znów położył się na samym brzegu. Stąd widać było po drugiej stronie tylko falujące na wietrze łożyny. Chłopiec cicho zsunął się do wody. Płynął w zanurzeniu aż do bólu w piersi, wychylał głowę z wody dla zaczerpnięcia tchu, i znowu nurkował, aż znalazł się wśród zwisających do wody gałęzi. Wypętlł na brzeg, odczekał, aż ustanie w uszach szum od wytężonego nurkowania, i uważnie nasłuchiwał. Wśród jednostajnego szelestu wiklinowych liści dosłyszał dalekie, ledwo rozpoznawalne rżenie konia, a po chwili także bardzo odległe, urywane głosy ludzkie, jakby okrzyki lub komendy. Dolatywały te dźwięki z północnego zachodu, dokładnie z kierunku wiatru, a więc ich źródło musiało się znajdować gdzieś w okolicy Baranich łąk. Iwanko ruszył przez gęstwinę prosto pod wiatr. Wiklinowe witki smagały go po twarzy mimo wyciągniętych przed siebie rąk, którymi torował sobie drogę. Ociekająca wodą lniana koszula i także spodnie, długie do połowy łydek lepity się do ciała krępując ruchy, a poranione od uschłych patyków i poparzone pokrzywami stopy piekły żywym ogniem. Wynurzył się z wierzbowych łanów o kilkaset kroków za północnym skrajem wioski, biegiem przeciął Szlak Postochidzki i zapadł w wysokim zielsku krzewostepu. Znowu usłyszał ludzkie głosy — jakieś ostre krzyki, dolatujące zza leszczynowego zagajnika przestaniającego mu widok na Baranie łąki — niskotrawiaste owcze pastwisko. Z innego kierunku — północno-wschodniego — niosło się chwilami ciche, ogromnie oddalone porykiwanie krów. Chłopiec ostrożnie wychylił głowę ponad trawy i krzewy, i spojrzął w tamtą stronę. Zobaczył najpierw tylko rozległy, niegęsty tuman kurzu i pomniejszone przez odległość sylwetki jeźdźców wywijających uniesionymi nad głowy harapami, a potem, gdy wzrok oswoił się z dalą, dostrzegł stada bydła, koni i owiec wlewające się w gardziel Szlaku, między ścianę Czarnej Puszczy i nadstochidzkie łąki. Ruszył ku leszczynowemu laskowi. W niższych trawach czołgał się, w miejscach gęściej porośniętych krzewami przebiegał od krzaka do krzaka skokami, nisko pochylony. Gdy skrył się wreszcie wśród laskowych drzewek, odpoczywał chwilę starając się opanować drżenie kolan i szybki łomot serca. Od strony Baranich łąk słychać już było nie tylko głosy ludzi, lecz także jakieś metaliczne pobrzękiwania. Iwanko przeciął zagajnik najkrótszą drogą i wbił się w najgęstsze krzaki na przeciwległym jego skraju. Ostrożnie rozchylił zastaniające mu widok gałązki i spojrzął na łąkę. Poczł, jak niewidzialna obręcz zaciska mu się na gardle dławiąc aż do obezwładniającego bólu. Łzy w sekundzie pocięły mu po policzkach; kolana zabolaty ostro i znów zaczęły drżeć.

O kilkadziesiąt kroków od zagajnika siedzieli na łące Hruszanie pogrupowani w kilkanaście dwudziestoosobowych szeregów, z których jedne złożone były z samych mężczyzn, inne, znacznie liczniejsze, z samych kobiet. Na przegubach prawych rąk mieli wszyscy żelazne kajdany przypięte krótkimi łańcuchami do wspólnych dla każdej dwudziestki łańcuchów grubych i ciężkich. Przed szeregami siedzących więźniów przechadzali się w niedbałych

pozach żołnierze-najeźdźcy, z szablami u jednego boku, z przytroczonymi do pasów hełmami u drugiego, z grubymi pejciami w rękę. Kilkadziesiąt kroków za więźniami siedziała w trawie grupa takich samych żołnierzy, z których kilku uzbrojonych było w broń miotającą świszczące pioruny, a pozostali w ciężkie kusze. Jeszcze dalej pasty się osiodłane roste konie jednakowej, jasnokasztanowej maści.

Iwanko, przecierając brudnymi pięściami łzy uporczywie spływające z oczu, wodził wzrokiem po twarzach skutych Hruszan. Rozpoznał swoją ciotkę, Annę Horichową, matkę Staśki, ojca Radki, Kiabira i Dżelalę, kupca Modaru, rybaków Chapacza i Wychora, kowalskiego ucznia przezywanego Głupim Zacharem i dziesiątki innych dobrze znanych osób. Drugi, potem trzeci raz przenosił spojrzenie z twarzy na twarz po męskich dwudziestkach więźniów. Ojca wśród nich nie było. Brakowało też ojca Radki, kowala Slipoty, kulawego Chmila, staruszków Chołoszy i Chochitwy. Iwanko uświadomił sobie nagle, że między skutymi mężczyznami w ogóle nie ma ludzi starych. Jeszcze raz przebiegł wzrokiem po szeregach kobiecych. Starych kobiet także nie było. Płynęły minuty upalnego przedpołudnia; słońce, z rzadka tylko przystaniane małymi pierzastymi obłoczkami, świeciło wprost w twarze więźniów.

— Wody...! — rozległ się jakiś słaby kobiecy głos. Odpowiedzią było fantazyjne trzaśnięcie z pejca w powietrzu i ryk jednego z pilnujących:

— Nie mówić! Milczeć!!!

Nagle zaczęło się wśród obcych żołnierzy jakieś poruszenie. Z ożywieniem spoglądali w stronę wioski, skąd ciężkim truchtem zbliżali się dwaj umundurowani jeźdźcy bez broni, w okrągłych czapkach z szerokimi denkami.

— Wstawaj!!! Wstawaj!!! — rozwrzeszczeli się strażnicy wymachując pejciami, a żołnierze odpoczywający dotąd na łące rozbiegli się do swoich koni.

Podnosiły się powoli wśród brzęku łańcuchów szeregi skutych, umęczonych ludzi, ponaglanych uderzeniami pejczów. Naprzeciw nadjeżdżającym wyszedł kilkanaście kroków jeden ze strażników, zatrzymał się wyprężony jak struna, i gdy konni zbliżyli się na kilka metrów, zaczął coś mówić donośnym, krzykliwym głosem. Zrozumiałych było tylko kilka oderwanych słów, dziwacznie przekręconych; pozostałe brzmiały zupełnie obco i z niczym się nie kojarzyły. Gdy strażnik skończył mówić, przybyli wolno przejechali przed szeregami więźniów, a potem zawrócili i zatrzymali się naprzeciw środkowej dwudziestki. Jeden z nich, starszy i grubszy, ubrany w spodnie z lampasami i szarosrebrną bluzę z gęstym rzędem złotych guzików, zaczął wyrzucać z siebie niezrozumiałe słowa, potem przerywał swą mowę, a drugi, umundurowany skromniej, tłumaczył, wstrętne kalecząc dźwięki mowy Malwowych Ziemi:

— Jestem kapitan Runeborg, i mam wam parę słów do powiedzenia. Ziemię, z których dotąd żyliście tu bezprawnie, są od wieków własnością najjaśniejszych cesarzy królogrodzkich, i wróciły one teraz do prawowitego właściciela. Wy, złodzieje cesarskiego mienia, powinniście być wszyscy zabici, ale upoważniony przez czcigodnego hrabiego Jakowa Rednera, cesarskiego namiestnika Jasnorosi, Czarnorosi, Mokrego Kraju i Łowynia do okazania wam łaski, pozostawiam was przy życiu. Tutaj jednak zostać nie możecie, bo przyuczeni przez dzikich waszych atamanów do bandyckiego obyczaju moglibyście szkodzić zamiarom czcigodnego hrabiego Rednera i najjaśniejszej cesarzowej Ergardy. Zostaniecie więc przeprowadzeni w inne okolice, i tam będziecie pracować dla Cesarstwa, a tu przyjdą na wasze miejsce wierni cesarscy poddani, by zdziczałe te strony doprowadzić do rozkwitu. Dopóki to się nie stanie, w tej wiosce, co poważyła się broń podnieść na cesarskich żołnierzy, stać będzie mój garnizon. To wszystko! Teraz w drogę!

Konwojujący wsiadali na konie, potem świsnęły pejcze i zadzwoniły łańcuchy. Otoczone rozwrzeszczanymi jeźdźcami dwudziestki skutych Hruszan ruszyły na północ, a kapitan Runeborg i jego tłumacz zawrócili do wioski.

Iwanko długo jeszcze stał w leszczynie, walczył z niepohamowanym, bezsilnym łkaniem i patrzył za niknącym w oddali pochodem.

Ze Stałopisu księdza Wasyla Kropyły (ostatni zapis)

Że też musiałem tego dożyć przez trzydzieści sześć lat zapisywałem na tych kartach zdarzenia dobre i złe, lecz nigdy nie musiałem opisywać potworności, teraz dopiero...

Niski Łowyń i Mokry Kraj wzięte przez Cesarstwo! Jakże byliśmy wszyscy głupi myśląc, że północny wróg zaniechał nas, innymi wojnami zajęty! Jakże byliśmy naiwni mniemając, że w potrzebie obronnej moc wojenna Ziem Znak Malwowego cała w jednym miejscu zawsze może być użyta, i nie przeczuwając, iż podłość wrogów naszych we wspólny podstęp złożyć się potrafi!

Oto na początku czerwca roku obecnego zaległy przy naszej onieckiej granicy wojska straszego starca Izbek-Szaha, dziesięć hezarów liczące, i musieli atamani oniecki, poslawucki i posulski sotnie swoje poderwać i na uderzenie spodziewane czekać.

To samo i o tymże czasie nad Pyrutem się działo, za którym sam główny marszałok bołkański z dwunastoma pułkami stanął i w szachu wojsko ponestrzańskie, a jeszcze i pomoc z Poboża przez dwa miesiące przeszło potrzymał.

Nie złamali jednak wrogowie rozejmów ani nad Ońcem, ani nad Pyrutem, bo zamiaru takiego nie mieli, a o to im tylko szło, by nikt z pomocą Mokremu Krajowi i Łowyniowi Niskiemu pójść nie mógł, gdy te lżywy namiestnik cesarski, Jaków Redner, podstępem plugawym zajmował.

Tak to się tajnie zmówili wrogowie podli!

Godziwość wojenną za nic mając, najohydniejszym podstępem wziął Redner dwie nasze Ziemie. Wojska jego, jako już dzisiaj dobrze wiadomo, od początku maja z dwóch stron powoli wnikać zaczęły w krainy na łup wybrane, poczem po puszcach głuchych, jak bandy zbójcekie, obozami małymi zapadały. Przechodziły siły cesarskie od północnego wschodu przez Przekłątą Dziedzinę, gdzie Pyrpet do Stawuty się wlewa, a drugie od północnego zachodu przez Księstwo Wiprzeńskie, i takim sposobem ominął Redner błota pyrpeckie i granicę, północną strzeżoną. W ostępach leśnych bacznie się kryjąc czekały pułki cesarskie na chwilę, dogodną z góry obroną, a był nią wymarsz oddziałów wioskowych obu Ziem na ćwiczenia coroczne wspólne pod Styrbrodem. I powpadały te wiosenną zarazą do połowy pomniejszone oddziały w zasadzki na drogach przez wroga urządzone, a w tymże czasie inne kompanie najezdne brały bez trudu wioski prawie nie bronione.

Tym starszy napadnięci stawili opór, że cesarscy użyli broni nieznannej, zwanej kałaszkami, w jakichś podziemnych składach tech-noczesnych znalezionej. Strach wielki ona budziła, bo jako grom huczy i gwizdże przeraźliwie, a małe bełtiki z niej wyrzucane dwakroć dalej od bełtu kuszowego dolatują, człowieka całkiem przebijają, a i celne są dosyć. Wiemy teraz, że nie taka ta broń straszna, jak się wydawało, bo z onych kałaszków ledwie cztery razy można strzelić, tyle bowiem bełcików w jednym miejscu wolno trzymać, a jak więcej — to zaraz piorun prosty w pociski owe trafia, żołnierza je niosącego, albo i kilku na raz zabijając. Ale to dziś dopiero wiadomo.

Jako wywiódłem, nikt prócz atamana wysokołowyńskiego napadniętym pójść w pomoc nie był w stanie. Porwał więc ataman Zbyńko Hradyna dwadzieścia dwie sotnie i poleciał z nimi na Niski Łowyń, ale wtedy dopiero, jak uciekinierzy nieliczni do nas zaczęli przybywać z wieścią grobową. Za późno to było, bo wojska Ziem najechnanych doszczętnie już były rozbite, a wróg

wszędzie umocniony i zasadzkami na szlakach najeżony, tedy porażki doznał nasz ataman, a korzyść tę tylko wyniósł, że paru jeńców pojmał i tych kałaszków kilka zdobył, skąd i wiadomo wszystko o nowej broni z prastarego czasu pochodzącej, a także o sposobie najazdu Rednerowego.

Nie ma już ludu naszej mowy w Ziemiach zabranych!

Młodych na północ w niewolę popędzono, a starych i słabych na miejscu pomordowano, czego i za najdzikszych czasów nie było, i za co — choć grzech tego pragnąć — zemsta się Północnemu Cesarstwu należy! Z Mokrego Kraju ledwie dwudziestu żołnierzy do nas uszło, a z Niskiego Łowynia niewiele luźnych grupiek się przedarło, których razem niecałe półtorej sotni się uzbierało. Z trzech księży styrbrodzkich jeden Iwaś Izajenko ocalał, a to przez swą w szabli biegłość niebywałą. Wszyscy uratowani, u nas trochę ochłonawszy, na Ponestrze pojechali, bo pan ataman Lonowy przez posłańca kazał ich do siebie zapraszać, powiadając, że Ziemia jego dość wielka i bogata, żeby każdego, kto ojczyznę postradał, z chęcią przyjąć i nakarmić, zaś żołnierze najazdem cesarskim doświadczeni, jeśli pod nim służyć zechcą, przez znajomość wrogich sposobów wojowania na starcie spodziewane z Bołkanem bardzo się przydadzą, a w przyszłym czasie, jak od południa groźby nie będzie, może z odwetem Ziem Malwowego Znaku na Cesarstwo pierwsi pójdą.

Teraz jeszcze o trojgu dzieciach ocalałych chcę, na hańbę wojska cesarskiego, opowiedzieć.

Owóz na samym końcu sierpnia, dwa miesiące po najeździe, kiedy dawno już nadzieja wygasła, by się kto jeszcze z krain zagrabionych mógł uratować, przybyły konno do Hryzotowej Wody trzy widma dziecięce, wychudłe tak przeraźliwie, że wierzyć było trudno, iż pośród tych kości drobnych, skórą straszliwie owrzodzoną opiętych, serca jeszcze mogą kołatać. Płakała cała wioska nasza stołeczna nad ich widokiem, i ja też płakałem, i ataman Hradyna też męskich nie utrzymał.

Chłopczyzna dziesięcioletni, po dziurawicy tysy, trójce dzieci przewodził, a z nim był drugi w tymże wieku, lecz jeszcze wątleszy, i dziewczynka parę lat młodsza, niemowa, co — jakośmy się pomatu od chłopców dowiedzieli — przy napaści zbójów cesarskich na wioskę z przestachu mowę utraciła. Bosi byli, a strzepy ich łachmanów bardziej do sieci rybackiej były podobne, niż do odzienia ludzkiego. Choć nie bardzo o przejściach swoich chcieli ci malcy opowiadać, dowiedzieliśmy się od nich po trochu, że zaraz po napaści ku nam uciekali, ale ich na Tarninowym Szlaku cesarscy zoczyli i poczęli ścigać, i odtąd przez blisko dwa miesiące trwało polowanie „rycerzy Północy” na troje małych dzieci. Bez ustanku tropieni i ścigani, pogoniom w lasy uchodzili, a pomoc mieli od dwóch tałanów — tych zwierząt cudownych, co je Święty Semen dokładnie opisał. Wrzody zaś niezliczone od tego, jako myślę, im się porobiły, że samym surowym leśnym owocem a grzybem się odżywiali, a nadto komary i mrówki na leśnych noclegach niezmiernie ich cięły.

Nikt u tych dzieci jednego uśmiechu nie zobaczył, bo już śmiać się zapomniały, za co niech Bóg łotrów północnych sprawiedliwie pokarze! Do nikogo się nie garną, nawet do dzieci rówieśnych, jakby wszystkich ludzi się bojąc, za to z końmi swoimi nie lubią się rozstawać, i po pyskach je całują, czemu ja się nie dziwię, skoro ich rączości życie i wolność zawdzięczają.

Tę trójkę smutną wielu ludzi do swych rodzin chciało przygarnąć, a i sam ataman na wychowanie wziąć pragnął. Dowiedziały się jednak dzieci, że paru uratowanych żołnierzy z ich wioski na Ponestrze przebywa, i błagać zaczęły, by je też tam posłano, na co ataman Hradyna z żalem się zgodził i do Koniuszyny z eskortą ich wyprawił.

Wnet potem przybyło do Hryzotowej Wody poselstwo księcia--seniora Ligi Księstw Małolackich z powiadomieniem, że Liga zaboru przez Cesarstwo uczynionego nie uznaje, a księżnę wiprzeńską, co cesarskich przez swój kraj przepuściła, choć ta do żadnego związku

lackiego nie należy, przed sąd książąt za zdradę porwała, na który czy się stawi, czy nie, ze stolca swojego przez Ligę będzie zrzucana.

Pochwalić wypada czciwą stateczność książąt malolackich, cóż nam ona jednak teraz pomóc może!

Ja zaś od nieszczęść na Malwowe Ziemi spadłych na zdrowiu ucierpiałem, tak że przez serca ciągle dokuczanie nawet całą jesień nabożeństw odprawiać nie mogłem. A że do tego stary jestem i do świata coraz dziwniejszego przywiązanie mieć przestaję, tedy myślę, że Boże Narodzenie nadchodzące roku Pańskiego 2255 ostatnim moim będzie.

(Książd Wasyl Kropyło zmarł w dniu 2 stycznia 2256 roku — aut.).

Poselstwo

Krzywe Stoki, siedziba książąt Rzozów-Siewnych, leżały na wschodnim zboczu pasma niewysokich wzgórz tworzących wysuniętą ku dolinie Wysotoka i Sani krawędź rozleglejszego płaskowyżu. To rodowe gniazdo władców Księstwa Sańsko-Wysotockiego w niczym nie przypominało innych stolic Ligi Księstw Górnej Wisuły i Sani, zwanej potocznie Ligą Donajecą, a w krajach Znaku Malwy określanej mianem Ligi Małolackiej. Nie było tu ani zamku warownego, ani pałacu, wież świątynnych, ani baszt, fos ani zwodzonych mostków. Gęsto zadrzewioną połąc tagodnego zbocza otaczało ponad kilometrowej średnicy kolisko podwójnej palisady z trzema tylko potężnymi bramami z dębowych bali, i nie można było od zewnątrz dojrzeć w Krzywych Stokach niczego prócz koron lip, wiązów, grabów, klonów i akacji, nad którymi tu i ówdzie wznosiły się słupy białego dymu. Wewnątrz jednak, w tym okolonym ostrokołami lesie-ogrodzie toczyło się życie wcale żwawe, właściwe stolicy niematego księstwa. Między dziesiątkami luźno porzrzucanych niskich budynków murowanych i drewnianych, złączonych siecią brukowanych dróg i drózek, spieszenie lub powoli, pieszo lub konno poruszali się ludzie, wśród których przeważały popielate mundury książęcych drużynników i piaskowozielone uniformy wojska. Przy licznych studniach pojono konie w wielkich dębanych korytach, ze stodół dźwigano do stajen ogromne kosze siana i skrzynie owsa, od świtu do nocy pohukiwał młyn poruszany dwoma czterokonnymi kieratami, do którego podwożono ze spichrzów wory pszenicy i żyta, biły młoty w kuźniach, jęczały piły w tartaku, ponuro łomotały wielkie stępy przerabiające na kasze hreczkę, jęczmień i proso, z kamieniami niosło się wielogłosowe dzwonięcie młotków, kwiczały świny w chlewniach, na śródbrzecznych drogach skrzypiały towarowe wozy, z koszar drużynników niosły się śpiewy, którym czasem wtórowało chrypliwe pianie sygnałowej trąbki, od wschodniej, na noc tylko zamykanej bramy wjazdowej, ku domostwu księcia i kwaterom wojskowej i drużynnej starszyzny cwałem przelatywali konni gońcy. A niekiedy zdarzało się, że w te głosy codzienne i zwyczajne wdzierał się nagle straszny, półludzki ryk bólu. Jeśli dobiegał od strony książęcego szpitalika, znaczyło to, że jeden z nadwornych medyków usuwa komuś ze służby, albo któremuś z drużynników ząb dobrze ukorzeniony. Jeżeli zaś niosł się taki wrzask z pilnowanego przez zdwojoną wartę budynek zwanego „aresztem ważnym”, to wiadomo było, że pytają tam kogoś, kto nie ma ochoty odpowiadać, o sprawy ważne dla księstwa.

Dom książęcy, z uprzejmości nazywany niekiedy pałacem, ale na miano takie z pewnością nie zasługujący, stał blisko środka Krzywych Stoków. Była to budowla niska, obszerna, o czterech wejściach i kilkunastu izbach wielkich i małych, o ścianach z ciemnowiśniowej cegły, kryta dachówką w tym samym kolorze, pozbawiona wszelkich ozdób, prosta i brzydka. Duży, żywopłotem ogrodzony plac przed frontem tego przysadzistego domostwa wyłożony był na przemian leżącymi pasami dość gładkiego bruku z dobrze obrobionych kamieni i szlachetnej,

nisko strzyżonej murawy o zbitej, sprężystej trawie. W jednym z jego rogów znajdował się pojemny, zadaszony konowiąż, w drugim — studnia z wysoką cembrowiną i rozpiętym na palach bielonym dachem. Dwie szerokie przerwy w żywopłocie łączyły plac z biegnącymi obok najgłówniejszymi drogami Krzywych Stoków. Od tyłu przylegał do książęcego domu jabłoniowy sad z przeszło dwieście uli liczącą pasieką, pociętą licznymi pasemkami gęsto sadzonych krzewów osłaniających grupki uli od wiatru. Północną granicę sadu i pasieki tworzył rząd lip o kulistych koronach. Pod jedną z nich, drugą czy trzecią licząc od domu, stał duży dębowy stół osadzony w ziemi, z dwiema prostymi ławami po bokach. W upalne popołudnie jednego z ostatnich dni czerwca 2263 roku spożywał przy nim podwieczorek książę Józef Rzoza-Siewny. Na grubym dębowym blacie, nie nakrytym żadnym obrusem, stało w barwnych glinianych naczyniach ulubione, zawsze to samo, popołudniowe jadło władcy: razowe placki pszenne, mleko chłodzone w studni i miód z pierwszego, wiosennego podbioru. Naprzeciw księcia Józefa, po drugiej stronie stołu, siedzieli dwaj mężczyźni, a kilka kroków dalej, oparta plecami o pień sąsiedniej lipy, stała piękna, jasnowłosa dziewczyna z niewolniczym znakiem — białą przepaską na czole. Trzymała w ręku malowaną tacę drewnianą, po której od czasu do czasu delikatnie bębniła opuszkami palców, i z rozbawionym półuśmiechem obserwowała starszego z asystujących przy książęcym posiłku, grubego, tysego, wiercącego się niespokojnie na ławie i przecierającego co chwila spocone czoło białą chustką. Drugi z dwóch mężczyzn, młody, zapewne nie mający jeszcze trzydziestki, czarnowłosy i ogorzały, ubrany w popielaty mundur z barwnymi naszywkami na rękawach, siedział nieruchomo i spokojnie, a jego fioletowe oczy zdradzały zamyślenie.

Panowało milczenie. Koronę lipy wypełniał świergot wróbli i niskie brzęczenie pszczoł, z daleka, zza drzew, dolatywało rzenie koni. Książę łątał placki na niekształtne kęsy, zanurzał w miodzie, żuł powoli i starannie, jak czynią to ludzie umiejący szanować chleb, popijał obficie mlekiem, i dopiero gdy skończył posiłek, odezwał się tonem ni to gniewnym, ni to zniechęconym:

— Więc powiadasz, panie Kocierba, że nie wiesz, gdzie moje córki?

Zapytany kolejny raz przetarł chustką spoconą tyśnię i potwierdził wylęknionym, skrzekliwym głosem:

— Nie wiem gdzie one, książę panie. Jak rano wyjeżdżałeś, to jedna, Weronka-księżniczka, z okna ci pomachiwała, więc myślę, że jeszcze były. A jak na obiad powróciłeś, książę panie, to już żadnej nie było i do teraz nie ma. Ani pan nauczyciel młodszych, ani pan nauczyciel starszych ich dzisiaj nie widział, a pani Doskopkównie, wychowawczynie, po śniadaniu dziewczęta z oczu zniknęły. Służba i niewolnicy, choćby co wiedzieli, nic nie powiedzą, bo wszyscy przez księżniczki poprzekupywani. Ja wszędzie na raz, książę panie, być nie jestem w stanie...

— Dość! — przerwał ostro książę. — Potom cię, panie Kocierba, na przełożonego całej służby domowej najął i za to ci płacę niemało, żebyś wszędzie na raz nie będąc o wszystkim zawsze wiedział i nad wszystkim miał doгляд. Taki starszy domowy, co nic nie wie i co go nikt nie słucha, do niczego mi niepotrzebny. Ostatni raz ci tedy powiadam, że jak wszystkiego, co ci podlega, rychło w garść nie weźmiesz, to stracisz u mnie wikt i izbę, i te pięć kluczyków tygodniowo, co je, jako właśnie widać, prawie za darmo bierzesz. Zrozumiałeś?

— Tak, książę panie, pojąłem! — wykrzyknął Kocierba uradowany, że jeszcze tym razem skończyło się na przestrodze.

— To każ tej anielicz z przepaską, co tam pod lipą stoi i z ciebie się jawnie podśmiewa, ze stołu zebrać, i znikajcie mi z oczu obydwój!

Gdy starszy domowy i jasnowłosa niewolnica odeszli, ksiązę Józef zwrócił się do młodego mężczyzny w mundurze:

— Nieudolny to człowiek, więc nie dziwota, że go wszyscy w pole wyprowadzają. Ty jednak, panie Krzywosocha, do podobnych jemu nie należysz, to może, głową drużynników będąc, potrafisz mi wyjaśnić, jakże to możliwe, by przez bramę cztery podlotki mogły przejechać od warty nie zauważone?

Na twarzy kruczowłosego oficera pojawił się swobodny uśmiech. Odpowiedział spokojnie:

— Rzecz taka wcale możliwa nie jest. Jeśliby przez bramę, w jedną czy drugą stronę ktokolwiek mógł przejść nie postrzeżony, jakież by było nasze bezpieczeństwo? Wyjaśnienie zagadki, panie ksiązę, dość jest proste i na dwóch rzeczach się opiera, a to na wdzięku śmiałym twoich córek, z których i młodsze trudno już podlotkami nazywać, i na pieniądzech, których, wybacz śmiałość, panie, za dużo one mają. Gdy więc urodę mocną i uśmiech zalotny datkami na gorzałkę księżniczki podeprą, to i południowa brama, niby zawsze zamknięta, rozewrzeć się przed nimi na chwilę potrafi, albo sieć obłącznicza na częstokołach się znajdzie, po której one zgrabnie na drugą stronę przechodzić umieją, gdzie już drużynnik jakiś, oczarowany i oplacony, z końmi czeka. Z takiej pomocy żołnierz drużynny w sercu swoim rozgrzeszony się czuje słysząc nie raz, że w Krzywych Stokach rozrywki nijakiej dla panienek nie ma, i ciasno im tutaj, a surowość ojcowska dostrzec nie umie, że dziewczyny to już, a nie dzieci. Ja, panie ksiązę, paru winnych mógłbym dla przykładu ukarać, ale nie wiem, czy więcej by z tego pożytku, czy szkody przyszło. Wszyscy tu bowiem księżniczkom sprzyjają, i wszystkich one za serca poujmowały, co tym łatwiej im przyszło, że każdy pamięta, iż pótsierotami są one.

— Więc to tak... — westchnął ksiązę odpinając od pasa połyskujący srebrnymi guzami skórzany kapciuch. W zamyśleniu napętniał gruszkową fajkę ciemnozłotym tytoniem, szczękał drogim, ozdobnym przyborem krzesiwnym, i dopiero gdy chmurki wonnego dymu popłynęły wolno ku koronie lipy, zaczął mówić cicho i z goryczą:

— Na to wychodzi, że władza moja ojcowska niewiele już znaczy, a karanie córek nieposłusznych niechęci naokoło by mi przysporzyło. W samowoli nie powściągananej mam je zostawić? Ani na mądre, ani na prawe w nieposłuszeństwie nie wyrosną! A skąd one, jako powiadasz, pieniędzy za dużo mają? Przecież dawno już przykazałem, żeby im nadskarbi więcej jak po trzy kluczyki na tydzień nie wydawał, a i to skrzętnie zapisywał, na co biorą!

— Tak on i czyni, panie ksiązę. Zważ jednak, że trzy kluczyki, to pieniądz niemały. Żołnierz najemny za półtora kluczyka tygodniowo życie wszak naraża. Nie w tych trzech kluczykach jednak, szlachetny panie, zło główne, lecz w tym, że niektórzy kupcy-dostawcy domu twojego księżniczkom za darmo zbytkowne rzeczy dają, a potem w zebranych rachunkach skarbowi wystawianych sprytnie koszty te pomieszczają, co uwadze uchodzi. Przyzwyczajenie zaś do brania darmo, jako myślę, nie jest dla panienek dobrą rzeczą.

— Tego za wiele! — powiedział gniewnie ksiązę stukając ze złością główką fajki w blat stołu. — Kupców ukarzę, i dziewczęta ukarzę!

— Jeśli wolno, panie ksiązę...

— Mów!

— To chciałem rzec, szlachetny panie, że zanim o karaniu zaczniesz postanawiać, wpierw wszelkie strony sprawy całej zechciej rozważyć.

— Jakież to strony masz na myśli?

— Najpierwszą tę, panie ksiązę, że córki twoje wychowania należytego nie odbierają.

— Śmiało mówisz — zauważył władca — ale za to cię cenię. Wyłuszczyć więc do końca myśl zaczęta.

— Zważ, książę Józofie, że obydwaj nauczyciele księżniczek, choć w wiedzę dosyć zasobni, zwyczajnymi są lekkoduchami cenniejszych człowieczych nie pojmującymi, to jakże oni mogą łąd w głowach i duszach dziewcząt urządzać sami takowego nie posiadając. Wychowawczyni z kolei, pani Doskopek, z rodziny świetnej pochodząc i kształcenie ponoć niemałe posiadając, jeśli prawdę mam tu mówić, głupsza jest od tego pnia lipowego, co za twoimi, panie, plecami stoi, przeto poważania nijakiego u panienek nie ma, z czego może i cieszyć się wypada, bo jakby miała, to by dziewczęta rozumem swoim gołębić mogła pozarażać. Zostaje ojciec Grzegorz... Staruszek to najgłębszej mądrości i świętej prawości, ale przez tęż prawość wrodzoną naiwny tak bardzo, że każda z twoich, panie książę, córek dnia każdego siedem razy mogłaby go sprzedać. Ty zaś sam, szlachetny panie, z czasu swojego niewiele córkom możesz przeznaczać, z czym jeszcze gorzej będzie, bo przyszłość, jako sam powiadasz, chmury księstwu niesie i wszystkich sił twoich będzie wymagać.

Książę westchnął ciężko i zagryzł wargi, jakby go ból nagły smagnał. Milczał chwilę, potem zaczął mówić ni to do oficera, ni to do siebie, głosem pełnym skargi:

— Że też musiał mi Bóg księżnę Celinę zabrać... bez syna zostawić, a za to z tym bogactwem nieporęcznym dwóch par bliźniaczek...

— Syna możesz jeszcze mieć i na następcę wychować — powiedział Krzywosocha. — Czterdzieści pięć lat masz dopiero, możesz drugą żonę pojąć...

— Gdybym mógł, przyjacielu, dawno bym to uczynił! Dwanaście lat zeszło od zgonu księżnej Celinie i przez ten czas nie jeden raz mnie swatano, aż zrozumiałem nareszcie, że każdą już będę do księżnej odeszłej porównywał i przez to żadnej nie wezmę.

— Powiadają, że to przez swaty właśnie książę-senior taki ci, panie, nieprzychylny... Niedawno dopiero coś o tym zasłyszałem, bo w tamtym czasie za młody jeszcze byłem, by o takich sprawach mieć pojęcie...

— Prawdę mówią, nie inaczej. Z dziesięć lat będzie, jak mi władca bożogórski córkę-pokrakę usposobienia żmijowego wmusić próbował, a odmowę moją powodem nieprzyjaźni uczynił. A i panna owa, do dziś stanu nie zmieniawszy, wszędzie gdzie może potwarze i wrogość przeciw mnie rozsiewa. Do moich jednak córek powróćmy, skorośmy już o tym zaczęli! Ten rzeczy obraz, któryś mi jasno ukazał, zmienić trzeba. W dniach bliskich, jeśli co nie przeszkodzi, pojedziemy do Lewosańska i z ojcem-rektorem Dołobrzeskim naradę uczynimy nad dalszym dziewcząt wychowaniem. Do tego bądź gotów!

Widoczna zmiana dokonała się nagle w twarzy Krzywosochy; znikła obecna dotąd spokojna pewność siebie, ustępując miejsca zmieszaniu. Powiedział z ledwie słyszalnym niepokojem w głosie:

— Książę Józofie, szlachetny panie, jakże mi w takiej obradzie brać udział... Ojcu-rektorowi stosowne się to nie wyda, bom najpierw do tego za młody, a dalej — w wojskowych i drużynnych rzeczach doświadczenia odrobinę mieć mogę, a nie w młodych wychowywaniu.

— To się mylisz akurat! — zaprzeczył książę z chytrym uśmiechem. — Respekt do nauczyciela dawnego, widzę, do dziś ci wielki został, lecz nie wiesz, że i ojciec Dołobrzeki dobrze cię do dziś z czasu nauki twojej pamięta i bystrość twoją, wtedy postrzeżoną, i świata mimo młodości szerokie widzenie wspomina czasem. Tak więc będzie, jakom rzekł. Teraz zaś o czym innym pomówmy, bo po prawdzie nie w tej samej sprawie, co Kocierbie, przyjsć ci tu pod lipę kazałem.

— Tego i pewien byłem, panie książę. Myślę, że o Złotoborskim mam mówić i o bijatyce w Sianostogach.

— Nie inaczej. Ale też i o wypadzie pana Zaźwieckiego miałeś się czego więcej dowiedzieć. Zbadałeś te sprawy?

- Najdokładniej, panie książę.
- To zdawaj, co wiesz!

Oficer usiadł prościej i zaczął mówić ze służbową nutą w głosie:

— Przykazałeś mi, panie, oddział drużynny pod oficerem dobrym i zaufanym do Złotoboru postać i wszystko na miejscu sprawdzić. Pojechał pan porucznik Poomacko i drużynnych siedemdziesięciu, i dwa tygodnie w tamtej okolicy zabawił, wszystko przebadawszy najstaranniej, a też i spisawszy zeznania ludzkie bardzo dokładnie. Sprawa, panie książę, gorzej wyglądała, niżby się kto mógł spodziewać! Złotoborski od lat już na dwie twoje wolne wioski książęce podatki swoje własne nakładał, a chłopom wolnym śmiercią groził, jeśliby się do ciebie, panie, poskarżyć ośmielili. Przebrała się jednak miara ciężarów bezprawnych i kmiecie za rok zeszyły podatku Złotoborskiemu odmówili, a wójtowie trzech ludzi do ciebie ze skargą posłali. Tych synowie Złotoborskiego w drodze dopędzili i zabili, stary zaś Złotoborski obu wójtów uwięził i cichcem zamordował. O tym wszystkim się upewniwszy, pan Poomacko do Złotoboru siłą wkroczył...

— Nie bronił się stary zbrodniarz?

— Bronił się, panie książę, bardzo zajadle, tak że z ludzi jego dwunastu drużynnicy usiekli, w tym dwóch synów starego rozbójnika, a i sami dwóch ludzi utracili, nim dwór zdobyli. Złotoborskiego i trzeciego z jego synów Poomacko w powrozy powiązał i ruszył w powrotną drogę, by ci ich, panie, do osądzenia rzucić pod nogi, a droga ta, jako wiesz, przez Sianostogi wiodła, gdzie twój, panie, dziewiąty znak jazdy lekkobrodzkiej pod rotmistrzem Poczynem stoi. Nie mógł wiedzieć pan Poomacko, że w znaku tym zięć Złotoborskiego, podrotmistrz Sirowąs służy, bo może by Sianostogi ominął, i do siekaniny by nie doszło, ale stało się. Sirowąs, z tego korzystając, że akurat rotmistrz Poczyn w Sianostogach był nieobecny, znak rozkazem poderwał i na drużynnych rzucił, żeby Złotoborskich odbić. Jakby go wszyscy posłuchali, rozmaicie mogło się to skończyć, szczęściem jednak wielu walki bratobójczej odmówiło, tak że mniej niż dwóch tamtych na jednego drużynnego wypadło, i porucznik Poomacko pomału nad Sirowąsem wziął górę. Nim się to jednak stało, obaj uwięzieni na chwilę krótką wolność odzyskali i z szablami w ręku polegli. W całej tej walce jezdnych ze znaku dziewiątego legło dwudziestu sześciu, a drużynników dziewięciu. To i wszystko, a do sprawy tej tyle jeszcze dodam, że rozbój Złotoborskich wedle różnych wieści wyjątkiem nie był, i mniemać wolno, że na całym pograniczu z Księstwem Donajeckim lepszeć na wioski książęce z dobrami swoimi sąsiadujące podatki bezprawne nakłada. Co się zaś tyczy pana Zaźwieckiego...

— Czekaj!! — przerwał książę głosem wrzącym od gniewu. — A moi poborcy do wiosek książęcych po podatki jeżdżąc nic o tym nie wiedzą?!

— Albo ludzie zastraszeni nic im nie mówią, panie książę, albo poborcy przez lepszeć przekupieni — odpowiedział młody oficer.

Rzoza-Siewny zerwał się z ławy, chwycił w dłonie farsyjską szablę opartą dotąd o brzeg stołu i począł z nią chodzić tam i z powrotem pod koroną lipy, to wysuwając klingę z pochwy na dwie dłonie, to ją wsuwając wściekle, z głośnym trzaskiem. Jego szaroniebieskie oczy głęboko osadzone pod czarnymi, krzaczastymi brwiami stały się niemal popielate, pod wyrazistymi kośćmi policzkowymi zadrgały węzełki mięśni, miarowe, ostro zarysowane wargi ściągnęły się i zbiały. Dowódca książęcej drużyny również podniósł się z ławy i stał na swoim miejscu wyprężony jak struna, a jego młoda, ogorzała, ozdobiona pierwszymi zmarszczkami i kilkoma niewielkimi bliznami twarz wyrażała szacunek i jakąś zawziętą gotowość. Władca przestał po chwili szczerkać jelicem szabli o okucie pochwy, przystanął naprzeciw Krzywosochy i powiedział głosem lekko rwącym się z hamowanej wściekłości:

— Za ojca mego być by to nie mogło! Nie poważyliby się rodowi karków pod pewny miecz nastawiać! Ale i za mnie niedługo poswawolą! Oduczę ja ich rozboju, oduczę mordów na kmieciach wolnych i łap wyciągania po pieniądze księstwa! Trzy znaki drużynne wezmę i sam na pograniczu zachodnim krwawo porządek przywrócę! Niechaj za trzy dni znaki będą do drogi gotowe!

— Rozkazałeś, panie księżę!

Władca uspokajał się powoli, lecz palce jego prawej dłoni kilkakrotnie jeszcze białą zaciskając się na rękojeści szabli w takt gniewnych myśli. W końcu odłożył szablę na blat stołu i usiadł na poprzednim miejscu.

— Siadaj, poruczniku — powiedział do Krzywosochy — i mów mi teraz o Zaźwieckim!

— Do Zaźwy, panie księżę — zaczął oficer siadając — posyłałem sierdżonta Kośnego i eskorty dwudziestu. Dziś rano powrócił, a dowiedział się, że słuchy o wypadzie tego możnego pana przez granicę z prawdą się zgadzały. Zaźwiecki stałą drużynę własną sobie zebrał, przeszło setkę ludzi liczącą i w połowie, jako Kośny jest pewien, że zbójów zyczajnych złożoną, zbrojną dobrze i na koniach niezłych latającą. Z nią to w Ponestrze się zapuścił na początku maja, a powrócił z bydłem, owcami i ludźmi jakimiś pojmanymi, o czym się Kośny nie od niego dowiedział. Drużynnych, panie, a także sierdżonta Kośnego Zaźwiecki wielce gościnnie przyjął i podejmował pilnie wyjaśniając i postronnych jakoby świadków stawiając, że w pościgu za chłopami swoimi zbiegłymi wyprawę całą urządził, których też dopadł i z powrotem przywiódł, a bydło, tłumaczył, swoje tylko odebrał, które chłopci w ucieczkę ze sobą mieli porwać. W to wszystko sierdżont Kośny ani trochę nie wierzy! Nie mógł jednak dowodów przeciw panu Zaźwieckiemu zebrać, bo mu na każdym kroku zbrojni ludzie gospodarza towarzyszyli, a dwudziestu tylko mając drużynnych bał się siły użyć.

— Boża Matko Lewosańska! — zawołał księżę chwytając się dłońmi za skronie. — Jeszcze mi tylko zatargu z Lonowym brakowało!

— I mnie to, panie księżę, niepokojem ogromnym przejęło...

— Więc radźże, co czynić?!

— Lekce sprawy ważyć nam nie wolno, księżę Józofie, bo odnoszenia dobre z Ponestrzem koniecznie nam potrzebne. Musisz, panie, mnie samego z dwoma znakami drużynnymi w góry, do Zaźwy pośłać.

— Tak i rozkazuję! Gotuj się do drogi i jedź jak najprędzej, a na miejscu prawdziwą sprawiedliwość uczyni, ku czemu wolną rękę ci daję! Jeśli potrzebę taką uznasz, nie tylko mienie zrabowane Ponestrzanom oddaj i ludzi porwanych odeślij, lecz jeszcze i Zaźwieckiego w powrozach im wydaj, a także zbójów jego, jeżeli się na tamtej ziemi czego krwawego dopuścili! Wolną, powiadam, masz rękę, byś Ponestrzan ułagodził. Ruszamy, przyjacielu, ty na południe, ja na zachód, a naradę z ojcem Dołobrzeskim musimy odłożyć! Chodźmy już!

Księżę i jego zaufany oficer ruszyli w stronę ciemnowiśniowego domostwa, ledwie jednak uszli kilka kroków, Krzywosocha przystanął i zaczął uważnie nasłuchiwać.

— Cwał bardzo ostry od wschodniej bramy, panie księżę... Tylko pośłańcy na rozstawnych tak pędzą!

— Słyszę — odpowiedział Rzoza-Siewny. — Widać jeszcze nie dość wieści ważnych na dzisiaj...

Tętent szybkiego cwału dolatywał zza krzewów i drzew i przesuwiał się z lewa na prawo, aż przycichł i ustal za domem księżęcym, gdzie wybuchły następnie jakieś wysokie ludzkie głosy, a w kilka sekund później wyłonił się zza węgła biegnący żołnierz w piaskowozielonym mundurze i płótkim hełmie jazdy lekkozbrojnej. Na cztery kroki przed księciem i drużynnym oficerem zatrzymał się i wyrzucił zdyszczanym głosem:

— Panie księżę, „kaczany” jadą!

Władca i Krzywosocha patrzyli na przybyłego z wyraźnym zdumieniem, a ten, szczerząc przyżółkłe zęby w szerokim uśmiechu, powtórzył już bez zadyszki:

— Kaczany jadą, panie księżę!

Smagłą twarz drużynnego porucznika wykrzywił zły grymas. Zapytał ze złowrogim spokojem:

— Coś powiedział, kto jedzie?

Goniec niczego niezwykłego nie wyczuł w głosie oficera, ani też nie dojrzał gniewnego zniecierpliwienia w spojrzeniu władcy. Z miną trochę zawadiacką i trochę głupkowatą, z uśmiechem coraz bardziej poufałym odpowiedział:

— Taczańskie poselstwo pędzi, znaczy się ponestrzańskie, na tych ichnich ni to koniach, ni to psach kudłatych, a że luźne wiodą, to i żwawo lecą...

— Dość, durniu!! — z wściekłością przerwał mu Krzywosocha i rzucił krótkie, pytające spojrzenie księciu, który odpowiedział lekkim skinieniem głowy. Oficer wydobył z kieszeni popielatej bluzy jakiś maleńki, rogowy przedmiot i przytknął go do warg. Rozległ się przenikliwy, drgający gwizd. Dźwięk nie przebrzmiał jeszcze, gdy zza krzewów i grubych pni drzew wybiegli czterej druzynni, dwaj z napiętymi kuszami, dwaj z szablanami dobytymi z pochw. Gdy zbliżyli się, Krzywosocha powiedział wskazując ruchem głowy na gońca, któremu teraz dopiero schodził powoli z twarzy zadowolony uśmiech:

— Ten żołnierz zapomniał, jak się powinien zachować przed władcą gońcem stając, a także nie pamięta, że o poselstwach krajów niewrogich z pogardą mówić nie wolno. Ty mu przypomnij! — skinął dłonią na jednego z druzynników.

Wskazany wrzucił szablę do pochwy i odpiął od pasa krótką, grubą nahajkę.

— Trzy? — zapytał zachodząc blednącego żołnierza od tyłu.

— Dwa! — odpowiedział oficer. — Może wystarczy.

Bicz spadł ze świstem na plecy gońca, który z cicha zawył, a po drugim uderzeniu zatoczył się lekko i umilkł.

Krzywosocha nieznacznym gestem dłoni odesłał druzynnych, poczem zwrócił się do ukaranego:

— Zaczynaj od początku! A składnie!

Upomnienie nahajką zadziwiająco odmieniło zachowanie postać. Poprawił na głowie przekrzywiony hełm, obciągnął bluzę, skłonił się krótko, po wojskowemu i stojąc na baczność zaczął głosem pełnym powagi i szacunku:

— Księżę panie! Jestem Urban Niekudło z pierwszego znaku lekkiego Czate Wschodnią trzymającego. Z rozkazu pana rotmistrza Zagrocha przybyłem twoimi, księżę panie, końmi rozstawnymi z Wiszniowej Bramy, z wieścią o wjeździe w ziemię naszą poselstwa od atamana Lonowego i o wydarzeniu niezręcznym, co przy tym zaszło...

— Uchybiliście poselstwu?! — twierdząco zapytał Krzywosocha.

— Po mojemu, wielmożny panie poruczniku, uchybienie w samej rzeczy było, ale nie bardzo wielkie. A stało się tak...

— Uważaj teraz, człowieku — wtrącił księżę świdrując postać przenikliwym spojrzeniem spod ściągniętych brwi — bo mówisz o rzeczy niezmiernie ważnej, i jeśli byś co zełgał, albo prawdę przekreślił, na śmierć każę zabatożyć!

— Prawdę powiem dokładną, księżę panie! — z lękiem zapewnił goniec.

— Mów!

— W Wiszniowej Bramie, księżę panie, w domu granicznym jest nas teraz razem z panem rotmistrem dwudziestu tylko, bo reszta znaku na północ się udała, żeby niskołowyńską

granicę uważnie przepatrzyć, którą cesarskim przełazić się zdarza. Stało się wczoraj z wieczora, że wszyscy dwudziestu popiliśmy znacznie, a pan rotmistrz Zagroch nawet za dużo, tak, że wart zapomniał powystawiać na noc, i spaliśmy wszyscy bez nijakiego ubezpieczenia. Dopiero na godzinę przed świtem zbudził się sierdżont Masłowity i próbował ludzi podnosić, żeby warty postawić, ale mnie tylko poderwać potrafił, a reszta za bardzo była jeszcze nietrzeźwa. We dwóch przeto z panem Masłowitym przy szlabanie mytnym stanęliśmy, ale przepisowo, z włóczyniami paradnymi, żeby zwyczajnie wyglądało, jakby kto akurat granicę taką wczesną porą w tę czy tamtą stronę chciał przejeżdżać. Z początku nic się nie działo, ale na jaką połowę godziny przed słońca wzejściem tętent ze szlaku od Hryzotowej Wody nas doleciał, a zaraz też w szarówce oddział konny się pokazał, kłusem ku nam lecący, i dojrzeliliśmy trzy poselskie proporce na przedzie. Nie dojechali oni jednak do nas, tylko na pół setki kroków przed szlabaniem stanęli i z koni posiadali na wschód słońca czekając. Posłał mnie wtedy sierdżont Masłowity pana rotmistrza budzić, ale się go dobudzić nie dało, tyle był jeszcze napity, i tylko żołnierzy paru podniosłem. Tym kazałem nad rotmistrzem dalej pracować, sam zaś do Masłowitego powróciłem, i pytam go, co zrobimy, jak tamci ruszą, a nasz dowódca nie wstanie. Sierdżont na to, że poselstwo potrzymamy, aż pan Zagroch do siebie dojdzie. To choć szlaban podnieśmy, powiadam, bo poselstwa niewrogię przed drągiem trzymać nie wolno. Na to się Masłowity zgodził, i drogę uczyniliśmy otwartą i dalej przy słupach z włóczyniami stoimy, a tu słońce już-już i poselstwo odpoczywające na konie wsiada. Równie ze wschodem w szyku ku nam podjechali, a to znakowych trzech, posłów także trzech i eskorty pół setki z końmi luźnymi i jucznymi. Poseł wielki, to człowiek starszy oblicza przyjemnego, a dwaj posłowie mniejsi młodzi ogromnie, dwudziestu lat chyba jeszcze nie mający, w spojrzeniu hardzi. Z tych to jeden w naszej mowie powiada, że wedle zwyczajów poselstwo chce się dowódcy naszemu granicznemu opowiedzieć, przeto o wyjście jego prosi. Sierdżont Masłowity na to, że mają poczekać, bo dowódca nasz nie gotowy. I pokazuje mi, żebym znów biegł po pana rotmistrza. A pan Zagroch, książę panie, jeszcze i tym razem rozbudzić się nie dał, przekleństwo tylko wymruczał, jakem go za ramię tarmosił. I tak to, książę panie, w miejscu stało poselstwo ponestrzańskie blisko pół godziny, a potem ten sam poseł młody, co przedtem mówił, bez gniewu powiada: Chcieliśmy, jak należy. Dłużej już czekać nie możemy. Powiedzcie dowódcy waszemu, że poselstwo od atamana Lonowego do księcia Rzozy-Siewnego przejechało. Po tych słowach, panie książę miłościwy, chcą oni ruszać, a tu sierdżonta Masłowitego czy to diabeł podkusił, czy gorzałka wczorajsza tak przygłupiła, że ręką wyciągniętą włócznią na skos przed pyskiem konia poselskiego postawił i powiada: Stać! Jeszczeście nie przepuszczeni. Wtedy, książę panie, niebywałe dziać się zaczęło! Zabłyśło coś w słońku rannym i zamigotało, i Masłowity drgnąć nie zdążył, jak drzewce mu z włóczni tyle zostało, co w garści, bo mu młody poseł raz nad samą dłońią, a drugi raz pod dłońią szablą uciął, jakby to patyk był wierzbowy. Osłupiał trochę pan sierdżont, wnet jednak ostały drzewc kawałek z garści wypuścił i też do szabli sięgnął, ale ledwie ją z pochwy wysunął, jak mu ją młody poseł pięknie z ręki wytrącił śmigieniem broni swojej prawie niewidocznym, i potem jeszcze panu Masłowitemu hełm z głowy leciutko strącił, pasek przedtem koło ucha końcem pióra przeciąwszy, a nareszcie koniem sierdżonta z drogi odtrącił i do przodu ruszył, a za nim reszta. Szlakiem Sańskim żwawo polecieli i kurz za nimi dawno opadł, jakeśmy się dopiero rotmistrza dobudzili i rzecz opowiedzieli, co go przetrzeźwiło wyraźnie. Pomstował najsamprzód na Lonowego, czemu to ten prostą drogą z Ponestrza do Krzywych Stoków poselstwu jechać nie kazał, jeno przez łowyń Wysoki, żeby nam tu kłopotu narobić. Potem przeklinał pan rotmistrz obyczaję chłopskie, co im każą z kurami spać chodzić a przed kurami wstawać, a jak już

całkiem wytrzeźwiały, pchnął mnie do ciebie, książę panie, rozstawnymi kazał pędzić, poselstwo wyprzedzić i wydarzenie graniczne tobie, książę panie, na czas opowiedzieć.

Gdy postaniec skończył opowieść, Krzywosocha uważnie i z niepokojem patrzył w twarz książęcą spodziewając się zapewne wybuchu gniewu. Ale za wiele widać wieści niedobrych spadło tego dnia na księcia Józefa i nawet gniew jego się wyczerpał, ustępując miejsca zmęczeniu i smutkowi. Bezradność zabrzmiała w jego głosie, gdy zapytał posłańca:

— Jak prędko tu będą?

— Myślę, książę panie miłościwy, że się już teraz Wąskim Brodem przez Wysołok przeprawiają i do godziny przybędą.

— Dobrze, jużes teraz niepotrzebny. Idź do szpitalika mojego, niechaj ci tam medyk plecy czym posmaruje, a potem do koszar drużynnych i tam w kuchni powiedz, że ci mają posiłek dobry przyrzadzić. Z Krzywych Stoków bez rozkazu się nie oddalaj!

Gdy postaniec spieszenie odmaszerował, książę powiedział z westchnieniem:

— Tak to i nie zdążyliśmy złoczynu Zaźwieckiego naprawić, a tu jeszcze poselstwo na granicy od mojego wojska obrażone...

— Ratować trzeba, książę Józefie, co się da, rąk nie załamywać! — odpowiedział oficer.

— Szpaler wielki, paradny przed bramą urzędzmy, na placu przed domem powitanie uroczyste, a wieczór ucztę wyśmienitą.

— Niech tak będzie! Na posłuchaniu zaś trzech ludzi tylko chcę mieć przy sobie za poradców: ciebie, panie Krzywosocha, ojca Dolobrzieskiego, po którego do Lewosańska niech zaraz goniec galopem leci, i pana pułkowego Przytarczyka. Chodźmy rozkazy powydawać!

* * *

Wydużone cienie akacji i wiązów pokryły już cały plac przed domem książęcym, gdy z drogi od wschodniej bramy przez szeroką przerwę w ścianie żywoplotu wjeżdżało tam ponestrzańskie poselstwo. Przy przeciwległym, zachodnim boku placu przygotowane było powitanie. Stał tu rząd stołów, z których środkowy, niższy od pozostałych, nakryty był szkarłatnym sukniem. Siedział za nim na rzeźbionym jesionowo-czereśniowym krześle z wysokim, zwieńczonym po bokach kutymi w srebrze orłami oparciem książę Józef Rzoza-Siewny. Był bez nakrycia głowy; miał na sobie śnieżnobiałą koszulę wpuszczoną w miękkie spodnie z jeleniej skóry, na niej skórzaną kamizelkę z orłami ze srebrnej blachy na piersiach. Przed władcą, na ciemnoczerwonym suknie okrywającym stół, leżała ciężka, niezdobna, poszczerbiona szabla bez pochwy i ogromny, półmetrowej długości, złoty klucz. Przy księciu, po prawej stronie krzesła, stał dowódca jego drużyny. Był w jasnopopielatym mundurze z żółtymi i czarnymi naszywkami różnych kształtów na ramionach i na piersi, głowę zdobił mu lekki, płytki hełm ze złotymi nitami i dwoma srebrnymi orłami nad krótkim daszkiem, za szerokim, mieniącym się złotymi blaszkami pasem wetknięty miał stalowy buzdygan pisany srebrnymi wzorami, zdobyczna, wschodnia szabla pyszniła się u jego boku złotymi zdobieniami pochwy i poblaskami drogich kamieni osadzonych w rękojeści. Z tyłu, za księciem i oficerem drużynnym, prężył się w postawie na baczność dwuszereg drużynników w pełnym uzbrojeniu. Na wszystkich stołach prócz książęcego stały po dwa wysokie dzbany i równe rzadki barwnych glinianych kubków.

— O Boże, a czemuż oni w uszankach na taki upał!? — szczerze zdumiał się książę na widok pierwszych jeźdźców poselstwa.

— To ich hełmy, panie książę — wyjaśnił Krzywosocha.

— Mają powszywane w tych czapkach płaty lekkiego metalu; taki ich fason bojowy. Zapomniałeś, panie... Widziałeś już to wojsko.

— W zimie ich tylko widziałem, to uszanki nie dziwiły.

Poselstwo wjeżdżało na plac trójkami, z których pierwszą stanowili znakowi z białymi proporcami na długich drzewcach, a drugą postowie z białymi włóczkowymi chwastami na krótkich pikach. Te dwie trójki przemierzając plac zamieniły się w ruchu miejscami i kiedy zatrzymały się na kilka kroków przed książęcym stołem, na przedzie byli już postowie, a znakowi z tyłu.

Ani książę, ani stojący przy nim dowódca drużyny nie potrafili dobrze skryć podziwu, w jaki wprowadzała ich popisowa zmiana szyku poselskiej eskorty. Płynnie, równo, z niezmaconą dokładnością trójki rozwijały się w dwunastki, i wydawać się mogło, że tak żołnierze, jak i ich niskie, długogrzywe konie dobrze znają ten plac, i że tu właśnie wyćwiczone zostało do doskonałości to piękne rozwinięcie szyku. Widowiska dopełniła czwarta dwunastka, wiedząca na różnej długości wodzach konie luźne, które stanęły spokojnie za żołnierzami. Na samym końcu, za luzakami, dwóch ostatnich jeźdźców eskorty powiodło w bok, bliżej narożnego konowiążu, grupę koni jucznych, a wraz z nimi jedynego konia rosteo, osiodłanego ogiera o sierści lśniącej i czarnej jak gawronie skrzydło.

Nim skończył się ruch na placu, Krzywosocha zdążył nachylić się nieznacznie ku księciu i szepnąć mu do ucha:

— Jeden kwiat — żołnierz, dwa — dziesiętnik, trzy — sotnik; więcej stopni nie mają.

Władca, nie poruszając głową, wodził po nieruchomiejących przybyłych uważnym spojrzeniem, w którym można było dostrzec zdziwienie.

Po wszystkich twarzach Ponestrzan, niebawale ogorzałych i jeszcze przyczernionych kurzem długiej drogi, ściekał obfity pot, a jednak nie było w nich widać zmęczenia. Oczy patrzyły bystro i dumnie, biel zębów połyskiwała między spieczonymi wargami w powściągliwych, lecz zuchowatych uśmiechach.

Ustawał stuk kopyt, skrzypienie siodła i pobrzękiwanie broni. Zapanowała cisza. Nad głowami postów pochyliły się równo w stronę księcia przypięte do wysokich drzewc białe proporce z wyszytymi na środku sylwetkami sierpówek — znakiem poselstw uznawanym w chrześcijańskim świecie. Poseł wielki sprężyście zeskoczył z siodła, a po nim, z ledwo widocznym opóźnieniem, zrobili to samo dwaj jego młodzi towarzysze i wszyscy żołnierze eskorty. Teraz pierwszy poseł zamasyście zdjął z głowy hełm-uszankę, i znowu wszyscy poszli jego śladem.

Książę na moment skierował wzrok na jednego z młodych postów, który był zupełnie tysi. Krzywosocha, zgadując chyba myśl władcy, rzucił szeptem:

— To on.

Poseł wielki, siwowłosy sotnik lat około sześćdziesięciu, ukłonił się księciu wojskowym skinieniem samej głowy i przemówił głosem uroczystym i donośnym w czystej, lekko tylko zmiękczonej mowie sańsko-wysołockiej:

— Z piątego wyboru piąty raz ataman Ponestrza, łewko Lonowy, księciu sańsko-wysołockiemu, Józofowi Rzozie-Siewnemu, pozdrowienie śle i zdrowia długiego życzy!

Poseł zrobił przerwę wyraźnie czekając na odpowiedź.

— Sławnemu atamanowi Lonowemu, wielkiemu wodzowi Ponestrza, za pozdrowienie i życzenie dobre z serca dziękuję — mocnym głosem odpowiedział Rzoza-Siewny — a poselstwo jego rad witam! Osobnym zaś słowem serdecznym witam na ziemi mojej — tu pojawił się na twarzy władcy niewymuszony uśmiech — pana posta mniejszego, młodego

dziesiątnika, którego nazwiska nie znam, a o którym jako o łysym Iwance, dziecku bohaterskim Łowynia Niskiego, każdy w kraju naszym słyszał.

Łysy dziesiątnik, nie puszczać trzymanych w ręku wodzy, postąpił pół kroku i przedstawił się z ledwie dostrzegalnym ukłonem:

— Iwanko Hołod.

Z kolei przedstawił się poseł wielki:

— Anton Dałda.

Jako ostatni zrobił to samo drugi z posłów mniejszych, płowowłosa dziesiątnik z blizną nad prawą brwią:

— Staśko Truba.

— Rad was, panowie posłowie, poznałem — powiedział książę z przyjaznym uśmiechem.

— Prosimy cię teraz, panie książę, byś przyjął podarki bardzo skromne od naszego atamana — zwrócił się do władcy siwowłosa poseł i uzyskawszy w odpowiedzi uprzejme skinienie, dał znak uniesieniem dłoni nad ramię.

Zza lewego skrzydła dwunastek eskorty wyszedł miękkim, jeździeckim krokiem młody żołnierz niosąc małą kuszę, na której wzorzyście malowanym łożu połyskiwały dwa srebrne orły, i kołczan z tłoczonych skóry pełen dziwnych, bo niegrubych i niezwykle długich bełtów. Gdy składał tę broń przed księciem na stole, poseł Bałda objaśniał:

— Kusze takie, panie książę, nazywają u nas „małymi koniuszynkami”, a to stąd, że kowale nasi w Koniuszynie je wyrabiają, w liczbie jednak niewielkiej, bo trudna to sztuka. Broń ta, panie, wydatnie mniejsza i dwakroć lżejsza od kusz przez twoje wojsko używanych, dalej donosi i więcej od onych przebija. Orły zaś sańsko-wysołockie na łożu jej po to osadzono, by w obronie księstwa twego, panie, dobrze się spisywała.

— Dziękuję — odpowiedział książę — i ufam, że nie gorzej sprawować się będzie, niżli tu leżąca święta szabla przodków moich się sprawowała.

— Drugi zaś podarek, panie książę — prowadził ceremonię dalej siwy poseł — sam zaraz do ciebie przyjdzie, tylko powiedz, panie, trzy słowa, a trochę głośniej niż ja teraz: „Sokół, do pana!”

Władca zawahał się patrząc na posła zdziwiony i lekko zmieszany, ale Krzywosocha pomógł mu półgłosem:

— Nie obawiaj się panie; zawołaj!

— Sokół, do pana! — krzyknął książę głosem trochę niepewnym.

Tą samą drogą, którą poprzednio wyszedł zza szeregów spieszonych eskorty żołnierz z kuszą dla księcia, wybiegł teraz osiodłany czarny koń z białą gwiazdką na czole. Chodem lekkim i tanecznym zbliżył się do samego książęcego stołu, stanął, wykonał zgrabny skłon głową i trzykrotnie, dźwięcznie, stuknął podkówną o bruk. Szmer zachwyty przeleciał po dwuszeregu książęcych drużynników, a poseł wielki wyjaśnił:

— Ogier ten, panie książę, lat ma sześć, bardzo jest chyży, zmyślny nad wyraz, a usposobienia niebywale łagodnego. Niechaj ci dobrze służy, panie!

Rzoza-Siewny wstał z krzesła, wyszedł zza stołu i chwilę poklepywał wierzchowca po lśniącej szyi, a potem zapytał tonem jakby osobistym:

— Czy nie za wiele mu dokuczano, nim się takich sztuk nauczył?

— Nie, panie książę — zapewnił poseł ze śladem urazy w głosie. — Takie u nas sposoby, że zwierzę z radością się przyucza, kar nie pobierając.

Władca przez krótką chwilę milczał wyczekująco, potem na moment odwrócił głowę sprawdzając, czy Krzywosocha nie daje mu jakichś znaków, wreszcie powiedział uroczyście:

— Na ręce wasze, panowie posłowie, podziękowanie składam serdeczne atamanowi Lonowemu za dary piękne i wielkiej cenneści. A teraz zapytuję, czy do posłuchania bardzo wam pilno?

— Ogromnie, panie księżę — odpowiedział główny poseł. — Jeśli możesz, panie, dziś jeszcze nam go udziel!

— Dobrze, skoro taka prośba wasza, panowie posłowie. Dzień teraz bardzo długi, to i zdążymy, ale dobra godzina jeszcze zejść musi, nim poradca mój jeden z Lewosańska przybyć zdoła. W tych dzbanach — wskazał stoły na lewo i prawo — woda stoi głębokostudzienna i wino bardzo lekkie, tedy niech od razu żołnierze wasi pragnienie z drogi, czym kto woli, ugaszą, a potem drużynni moi do gościnnych koszar ich zaprowadzą, gdzie posiłek już dla nich gotowy. Panów zaś posłów głowa drużyny mojej, pan porucznik Krzywosocha, do poselskiego domu gościnnego zawiedzie na podwieczorek i odpoczynek krótki. Dla koni waszych też wszystko przygotowane.

* * *

Nie ma co, dbają Małolaccy o posłów, albo się popisują, co na jedno wychodzi! — myślał Iwanko Hołod rozglądając się po przydzielonej mu kwaterze w domu gościnnym dla posłów. Obszerna izba miała dwa okna wychodzące na ocienioną śródbrzwną łączkę. Nad drzwiami wisiał okazały dębowy krzyż, na przeciwległej ścianie — malowany na grubej, czereśniowymi listwami obramowanej desce obraz Matki Boskiej Lewosańskiej. Między oknami, na wyrzynanej półce o kształcie połowy dębowego liścia, stał czteroramienny drewniany świecznik z grubymi woskowymi świecami. Drugi lichtarz, kuty w żelazie, stał na ogromnym stole, a trzeci, dwuramienny, na niskim stoliku przy wezgłowiu łóżka. Sześć wygodnych krzesel ustawiono wokół stołu, zapewne z myślą o poselskich naradach, na co wskazywał także żółcący się na lśniącym blacie okazały stosik papieru, obok którego, na drewnianej tacce, stał pojemny gliniany kałamarz pełen atramentu i leżało kilkanaście misternej roboty rogowych piór do pisania. Szerokie łóżko z białymi poduszkami i puszystymi kocami nakryte było wzorzystą wełnianą narzutą. Bielony i malowany w zielone listki piec dopełniał wyposażenia izby, ale nie całej kwatery. W ścianie przeciwległej do okien znajdowało się bowiem dwoje drzwi, z których jedno wiodły przez sionkę do „miejsca wygodnego” w pełni zasługującego na tę nazwę, a drugie, także przez małą sień — do izdebki łaźiebnej. W tej ostatniej zachwył Iwanko wzbudziła... podłoga. Nie była to bowiem prawdziwa podłoga, lecz gęsta kratownica z dębowych listew, na którą, jak natychmiast pomyślał Iwanko, wolno było chłapać do woli. Stwierdziwszy, że z trzech stojących tam drewnianych wiader dwa pełne są ciepłej wody, a trzecie zawiera zimną, Iwanko postanowił zaraz skorzystać z łaźiebnych dogodności. Już miał wrócić do izby, żeby zamknąć drzwi na zasuwę i rozebrać się, gdy uwagę jego zwróciła jakaś nieznana, przyjemna woń. Odkrył po chwili, że jej źródłem są kostki jasnego mydła ułożone przy wielkiej glinianej miednicy, wpuszczonej w blat niskiego stolika. Dogadzają sobie! — pomyślał z mieszaniną nagany i podziwu, którą wzmógł jeszcze widok kolorowych ręczników wiszących przy ścianie na rzeźbionych wieszadłach.

Gdy umyty, odświeżony i pachnący wonnym mydłem wkładał mundur, usłyszał pukanie do drzwi.

— To ty, Staśko? — zapytał kończąc zapinać guziki bladozielonej bluzy. W odpowiedzi rozległ się za drzwiami młody kobiecy głos:

— Podwieczorek ciepły dla pana posła!

Szczęknął zasuwę i otworzył drzwi na oścież. Do izby weszła wysoka jasnowłosa dziewczyna z ogromną tacą w rękach. Miała na czole białą przepaskę z szeregiem wpiętych w

nią szklanych oczek strzelających błękitnymi błyskami, w uszach — złote kolczyki, na palcach — srebrne pierścionki, także z błękitnymi oczkami. Ubrana była w luźną białą katankę z najdelikatniejszej wełny, fałdzistą spódnicę z żółtego jedwabiu i tegoż koloru skórzane pantofle zdobione tłoczonym rysunkiem i drobnymi, potyskującymi blaszkami. Postawiła tacę z jadłem na stole, odwróciła się ku drzwiom i szła ku nim nad wyraz powoli, wyraźnie się ociągając i zerkając na łysiego posta.

— Drugiemu panu posłowi, co obok ma kwaterę, pierwej zaniostałem, i bardzo mu smakuje, pewnie się już posilił... — powiedziała próbując nawiązać rozmowę, ale brzmiało to dość sztucznie. — Mówisz, panie pośle, mową tutejszą? Oj, głupio pytam, bo jakbyś i nie mówił, to i tak rozumiesz, bo wasza do naszej dosyć podobna — słowo „naszej” wypowiedziała z wahaniem, a dźwięk „ł” wymawiała trochę jak „l”.

— Mówię — odpowiedział łysy Iwanko tonem mało zachęcającym i zasiadł do posiłku. Widząc, że dziewczyna nie ma ochoty wychodzić, dorzucił pytanie:

— A tyś kto? Służebna pana księcia?

— Niewolnicą jestem, widzisz przecież, młody panie, ten znak niewolniczy — wskazała palcem przepaskę na swym czole. — W kuchni książęcej pracuję.

— Nie wiedziałem! — powiedział Iwanko lekko speszony.

— Myślałem, że to ozdoba taka, bo całkiem ci w tym ładnie. Czy czegoś chcesz ode mnie?

Dziewczyna chwilę milczała uważnie przyglądając się rozmówcy, który zabrał się nie bez zapału do rozrywania na półmisku pieczonego kurczaka, potem uśmiechnęła się porozumiewawczo, i w pięknych rysach jej twarzy pojawił się wyraz śmiałości, o tyle naturalnej, że była chyba z pięć, a może więcej lat starsza od Iwanki.

— Dasz, młody rycerzu, półblaszkę waszą — zaczęła mówić jeszcze bardziej niż przedtem kalecząc „ł” — to ci wszystko opowiem o księciu i doradcach jego, z którymi na posłuchaniu przyjdzie ci mówić i poselską sprawę prowadzić. Przyda ci się coś o nich wiedzieć!

Łysy poseł obgryzał udko kurczaka i rzucał pięknej niewolnicy badawcze spojrzenia spod skośnawych, ciemnopszenicznych brwi.

— Sprytnaś ty! — powiedział ni to kpiąco, ni to podziwem.

— Po cóż ci jednak nasze miedziaki; wszak nic tu za nie nie kupisz?

— Powiedziałam, panie żołnierzu, „półblaszka”, a nie „pół blaszki”.

— Ho, ho, toś jeszcze sprytniejsza! Jak cię zwą?

— Enga.

— To idź, Engo, Staśkę tu przywołaj, jeśli jeść skończył!

— Pana posła młodego?

— Pana posła młodego.

Niewolnica wybiegła z izby zamykając za sobą drzwi i w minutę wróciła w towarzystwie Staśki Truby, który w mowie Ziem Malwowych zapytał od progu:

— Pomocy do koguta potrzebujesz?

— Z tym sobie jakoś radzę. Zapytać cię chcę, co myślisz o przedłożeniu tej oto jadłodawczyni naszej, jasnej niewolnicy Engi. Chce nam ona za półblaszkę poopowiadać o księciu i tych, co przy nim na posłuchaniu będą zasiadać. W kuchni książęcej pracuje i z miny biorąc, wie to i owo. Nie wydaje mi się, byśmy chcieli wieści takie zbierać, ale wolałem ci o tym powiedzieć.

Płowowłósy dziesiętnik odpowiedział bez namysłu:

— Co nam trzeba, to my i wiemy! A w gościnie będąc o gospodarzach wiadomości kupować, to by całkiem było paskudne!

Niewolnica wstuchiwała się pilnie w obce słowa i rozumiała je, kiedy bowiem Staśko skończył, w jej niebieskich oczach wezbrały łzy.

— Wybaczcie! — powiedziała hamując płacz i szybko ruszyła ku wyjściu.

— Stój! — zatrzymał ją Staśko już w drzwiach. Znieruchomiła, ale nie zwróciła twarzy ku mówiącemu.

— Półblaszkę dostaniesz — przeszedł Staśko na mowę sańsko-wysołocką — ale nie za wiadomości, których nam nie trzeba, tylko za to, że koguta tak smakowicie przyrządzonego jeszcze nie kosztowałem.

— Już nie chcę!

— Bierz, nie marudź! Kupisz sobie za to błyskotkę jaką, bo widać, że bardzo je lubisz.

Dziewczyna otarła łzy i z wahaniem przyjęła srebrny krążek.

— Dziękuję, panie żołnierzu! — powiedziała naburmuszona.

— Wy zaraz tak... a ja na to zbieram, żeby się kiedy wykupić, choć nie wiem, czy za życia uzbieram.

— Jak będziesz zbytki kupować, to i pewne, że nie naskładasz — surowo powiedział Staśko. — U nas jedwab dwakroć niż tu tańszy, a i tak mało kogo stać, chyba że zdobywczy z rozdziału przypadnie. Ty zaś niby córka namiestnika izbeckiego paradujesz.

Enga zarumieniała się i zaczęła żarliwie się tłumaczyć:

— Na tę spódnicę od czumaków łowyńskich, co tu towary przywożą, tanio kupiłam! A kolczyki i pierścionki — taki sam pieniądz, jak i ten, co w sakiewce, to czemu złoto w schowku ma leżeć, jak zdobić może! A co ja z życia mieć mogę, jak nie tę zbytku odrobinę?

— A ile ci lat do wyzwolenia zostało? — zapytał Iwanko pracowicie obgryzając kogucią szyję.

— Lat do wyzwolenia?! Co ty mówisz, młody panie! Wpadnie księciu ochota taka do głowy, to wyzwoli, a nie wpadnie, to jeszcze do grobu w przepasce mnie złożą, chyba że się sama wykupię, a na to sześćset kluczyków mieć bym musiała.

— Aż tyle? Ogromny to pieniądz! — przyznał łysy Iwanko. — To prawie tyle, co sto blaszek ponestrzańskich. A za pracę ile ci księżę płaci?

— O Matko Lewosańska! — zniecierpliwiała się Enga. — Toż niewolnik nie to samo, co u was niewolny! Niewolnik od przedświt do nocy za strawę i dach pracuje, domu własnego mieć nie może, małżeństwo mu zabronione, a przywilej jego jedyny ten, że napiwki i podarki brać mu wolno. Ale i z tego nadzieja jest jakaś.

— W rzeczy samej, widoki niewesołe, nie to, co u niewolnych naszych — ze współczuciem powiedział Staśko. — To masz tu jeszcze całą blaszkę — podał dziewczynie wydobyty z kieszeni bluzy złoty pieniążek — niechaj cię do wolności przybliży! Ale powiedz jeszcze, za co w położenie takie wpadłaś? Ukradłaś co, czy za dług?

— Dzięki stokrotne, panie żołnierzu szlachetny! Za co, pytasz, młody panie? Za nic.

— Jak to?! — zapytał łysy Iwanko i ze zdumienia przestał na chwilę poruszać szczękami. — Bez przyczyny żadnej wolność u was utracić można?!

— Jam nietutejsza — zaczęła wyjaśniać jasnowłosa niewolnica. — Jak lat temu akurat dziesięć król mieniecki, Helmut, Ponyskie Księstwo próbował zagarnąć, to księciu ponyskiemu Liga niespodzianie przysłała z pomocą i króla Helmuta ciężko pobiła i odszkodę ogromną nałożyła na niego. Helmut pieniędzy dobrych tyle nie miał, a Cesarstwo, któremu się w opiekę oddał, nic mu pomóc nie zechciało, przeto grzywny część ludźmi zapłacił, i wtedy to ja księciu Józofowi przypadłam. Ale ja już tam, w Mienieckim Królestwie, byłam niewolnicą i stokroć mi tam gorzej było. A kiedy wolność utraciłam, tego nie pamiętam, widać w

dzieciństwie to się stało. Ojca ani matki też nie pamiętam... Tu mi źle nie jest, ale wolności chciałam za życia zaznać.

— Jeść skończyłem; tacę możesz już zabrać — powiedział Iwanko wstając od stołu. — Kładę ci na tej tacy jeszcze jedną blaszkę, niech i ta wolności twojej przyszłej się przysłuży.

— Jakże mam podziękować należnie, szlachetni postowie?! W pół roku, nie wiem, czy bym tyle uszkładała! Niechaj was, panowie żołnierze, Matka Boska Lewosańska zawsze w boju chroni!

— Bodaj tak było — westchnął Staśko Truba. — To ty, znaczy, choćżeś z Mieńców, w Złączonym Kościele się modlisz?

— Tak, szlachetni panowie. Póki tu bowiem nie przybyłam, próśb moich Bóg nie wysłuchiwał, odkąd zaś w Krzywych Stokach jestem, modlitwy moje bez skutku nie zostają, i nawet cudowność świętego obrazu Matki Lewosanskiej poznać mi się zdarzyło. Niechaj was Ona w boju cudownie ochrania! Lecę, bom tu już długo. Uczta wieczorem, to zobaczę was jeszcze. Książę beczkę miodu przez ojca jego jeszcze w pasiece zakopaną odkopać kazał, tedy uczta okazała się zapowiada.

Wychodząc już Enga przystanęła w drzwiach i powiedziała z przejęciem i przekonaniem:

— A książę, wiedzcie to panowie, prawym jest człowiekiem i takich samych się radzi, przeto poradców nie ma wielu. Jakby was od niego gniew porywczy spotkał, spokojnie poczekajcie, to już za chwilę pogoda mu powróci.

* * *

W tym samym czasie, kiedy niewolnica Enga brała od przejętych jej losem młodych postów ponestrzańskich złote blaszki na swe wyzwolenie, książę Józef Rzoza-Siewny naradzał się w Izbic Pieczętej ze swym wiernym oficerem drużynnym. Mówił cicho, by stojący za drzwiami wartownik nie mógł podsłuchać:

— Nie za wiele z tego wszystkiego pojmuję, panie Krzywosocha. Jeżeli w sprawie zbójctw Zaźwieckiego przybyli, to czemu z podarkami cennymi? A znów napaść taką płazem puścić, to wszak do Lonowego niepodobne i całkiem niemożliwe...

— I ja, panie książę, zmylony jestem trochę — przyznał się oficer. — To pewne, że wypadu Zaźwieckiego Lonowy podarować nie może, przeto mowa o tym być musi, i myślę, że ostra. Jakby jednak o to tylko chodziło, to ani podarków, jako panie książę rzekłeś, by nie było, ani powodu do pośpiechu, i pan Balda posłuchania dzisiaj jeszcze domagać by się nie musiał. Na to więc wychodzi, panie książę, że Ponestrzanie i kary z odszkodą zażądają, i odnoszenie dobre z nami utrzymać zechcą, i coś innego jeszcze, pilnego bardzo, omówić spróbują, co to zaś być mogło, zgadnąć nie potrafię. Nie wygląda, panie książę, by posłuchanie trudne albo przykre zrobić się mogło, bo sprawiedliwe sprawy Zaźwieckiego rozstrzygnięcie sam już, panie, nakazałeś, i o to sporu nie będzie. Dobrozdgodność pomiędzy nami i Ponestrzem, której oni pragnąć się wydają, i po naszej jest myśli, a nawet, szlachetny panie, niezmiernie nam ona potrzebna! Zapominać bowiem nie możemy, że ilekroć siłę większą na powstańców uhorskich Bołkan kieruje, tylekroć wojskom tym Lonowy straszne sztylety sotni swoich w bok prawy wbija, i to się od pięciu już lat nie zmienia. Wątpić nie można, panie książę, że jakby nie to właśnie, jakby nie to wściekłe wojsk bołkańskich przez Lonowego kłóśnięcie, to Bołkan z powstaniem uhorskim jużby się uprzętnął i wielką mocą w Hornostawie by uderzył, która nas ostatnim pasem wąskim od tej łotrowskiej republiki ostaną. I wtedy, panie książę, zdarzyć by się mogło, że mimo naszego dla Hornostawii wsparcia największego stanąłby Bołkan przeklęty u źródeł Sani i Wysołoka. Do tego nam dopuścić nie wolno! Tedy wedle wszelakiej możliwości naszej, panie, nie tylko do swaru z Ponestrzem nie dopuścimy, ale jeszcze do przyjaźni dążmy!

— Jasno myślisz, jako zawsze, panie poruczniku! — z podziwem pochwalił władca swego pierwszego doradcę. — A powiedz mi jeszcze, czy wedle ciebie naznaczenie przez Lonowego dwóch postów tak niezwyczajnie młodych znak w sobie ma jakiś szczególny?

Krzywosocha namyślał się chwilę, nim odpowiedział:

— Z zaufanych wiem ust, że obydwaj oni, choć tacy młodzi, przez dwa lata ostatnie w bojach z Bołkanem zasłużyli się ogromnie, tak że ulubieńcami są wojska ponestrzańskiego i samego atamana. Może tedy w nagrodę wyróżnił ich Lonowy poselską godnością? Lecz i druga rzecz w tym być może, a to ta, że pochodzeniem łowynianami będąc, o zdradzie nie ukaranej księżnej wiprzeńskiej zechcą wspomnieć...

— Wtedy prawdę im powiem! — ksiązę wpadł oficerowi w słowo z nagłą złością. — Za księcia-seniora oczyma świecić nie myślę!

— I ja za tym jestem, panie ksiązę! — zgodził się skwapliwie Krzywosocha. — W Księstwie Wiprzeńskim, jako nam rozgląd nasz donosi, coraz więcej ludzi cesarskich spotkać można, a księżna Iga i krwawy namiestnik Redner w gości do siebie jeżdżą! Nasz zaś ksiązę-senior ślepy na to, bo rodowe swoje zamysły z synem księżnej Igi wiąże. A jak się nad Wiprzem złodzieje Rednerowi całkiem dobrze rozgoszczą, to i do tego kiedyś dojść może, że w dwa ognie będziemy wzięci, od Bołkanu z południa i od Cesarstwa z północy, a Liga przez rodzinne księcia-seniora interesy pomocy nam nie da. W razie takowym na Malwian tylko przyszyłoby się oglądać, przeto z nimi na prawdzie wszystko opierajmy, bo do ukrywania niczego nie mamy.

Ksiązę spojrzął przez okno na pasiekę pogrążoną w długich cieniach drzew i powiedział wstając z miejsca:

— Słońce już na trzy palce do zejścia. Czy Przytarczyk przybył?

— Tak, panie ksiązę. Przed ćwiercią godziny z Dwuwsu galopem przyleciał.

— Dobrze. Na równy zachód proś i wprowadź postów do Izby Obradnej, a uprzedź, że jakby Dołobrzieski jeszcze z Lewosańska nie zdążył, to chwil parę poczekać przyjdzie. Ja zaś dogładnę jeszcze, czy się uczta należycie przygotowuje.

— Rozkazałeś, panie ksiązę!

* * *

Gdy Krzywosocha wprowadził postów do oświetlonej lichtarzami Izby Obradnej, nie było tam jeszcze nikogo.

— Oto i sprawdziło się, panowie posłowie, uprzedzenie moje, że rektor szkoły naszej lewosańskiej, ojciec Dołobrzieski, na równy zachód może nie zdążyć — wyjaśnił porucznik ze szczerą uprzejmością w głosie. — Znacznie on już w latach posunięty i coraz trudniej mu wierzchem jeździć, być może więc bryczkę musiał wziąć, a droga kilometrów liczy przeszło dziesięć. Ksiązę pewnie naprzeciw mu wyjechał, bo szanuje go ogromnie. Wybaczcie, panowie posłowie, tę chwilę czekania; skutek to czasu niezwyczajnie krótkiego od przybycia waszego, do postuchania. Drugi zaś poradca ksiązęcy też drogę odbył, ale krótszą... A oto i on!

W drzwiach stanął oficer w piaskowozielonym mundurze ze srebrnymi naszywkami o kształcie buławy na obu ramionach. Ciemnowłosy, wzrostu średniego, mocnej budowy ciała, o twarzy ogorzałej i wesolej — wyglądał na lat czterdzieści.

Niezmiennie opanowana twarz Krzywosochy oblekła się w wyraz osłupienia, gdy przybyły wyciągnął ręce przed siebie w geście wylewnego powitania i zawołał:

— Jak Bóg miły, toż to Łysy Iwanko i Staśko „Płowa Kosa”!!

Pułkowy Przytarczyk, bo on to był, wyściskał serdecznie młodych postów, a potem zwrócił się do Antona Bałdy z wojskowym ukłonem i słowami:

— Wybaczcie, panie pośle wielki, kolejność przywitania taką, serca odruchem pokierowaną! Elaskich praliśmy razem roku zeszłego na uhorskiej ziemi! Jestem Wit Przytarczyk!

— Anton Bałda. Rad poznałem pana pułkowego! — odpowiedział siwowłosy sotnik i dodał żartobliwie: — Jak taka między wami przyjaźń, to może, panie pułkowy, przy nas poradcą zasiądziesz?

— Na dwie strony będę radził, panie sotniku — podjął żart Przytarczyk — co trudne nie będzie, boście chyba nie na spór przybyli, a nasz władca nieswarliwy.

— Dobrze i to — zgodził się Bałda z przygaszonym, smutnawym uśmiechem.

Oczekiwanie na księcia i ojca Dołobrzskiego przedłużało się. Pułkowy Przytarczyk rozmawiał z młodymi postami, a dowódca drużyny żywo i uprzejmie wypytywał sotnika Bałdę, czy Nestro wylewał tej wiosny, czy szkód narobił i czy zboża teraz ładne na Ponestrzu. Potem zwrócił się do Przytarczyka:

— Opowiedzielibyście o tym z Elaskimi wojowaniu zamiast sobie samym tylko wspominać!

— Dużo by tego było, panie poruczniku, ładu naszego podporo — ze śmiechem odpowiedział pułkowy.

— Nie zdążysz, wesoty wojowniku, to na uczcie dokończysz — dostosował się Krzywosocha do żartobliwego tonu Przytarczyka.

— Niechaj ci będzie, mieczu sprawiedliwości! — nie przestawał żartować pułkowy. — Pamiętasz chyba, że jak teraz drugi znak ciężki pod panem rotmistrzem Omastą Hornosławii i Uhorcom poszedł w pomoc, tak roku zeszłego znak pierwszy pode mną to samo czynił. Panu Ducsayowi, wodzowi powstańczemu, pod komendę się dla dowodzenia sprawnego oddałem, toż zrobili dwie sotnie ponestrzańskie i pułk hornosławski, i wnet udało się nam wspólnie ze dwa tysiące piechoty byłharskiej nad rzeką Czysą w ładną matnię zagonić i trzymać cierpliwie, aż się poddadzą głodem przychęceni. A tu podjazdy przyniosły, że Byłharom ciężkozbrojny dziwołag elaski, dwupułkiem zwany, z odsieczą idzie. Mojemu znakowi, sotniom ponestrzańskim i jednej kompanii toporników hornosławskich kazał pan Ducsay naprzeciw odsieczy wyjechać i Elaskich zatrzymać, albo i zawrócić. Dwupułk, panie poruczniku, to wynalazek tyleż osobliwy, co głupi, z pułku ciężkiej piechoty złożony i pułku takiejż jazdy, która ma jakoby pieszych ruchem oślaniać. Z jazdą od razu dobrze nam poszło, bo prawdziwie ciężka się okazała, tak że pod ciężarem jeźdźców pancernych i broni ich przerozmaitej konie na stojąco mało co nie zdychały i dziw brał ogromny, że choćby i ze ślimaczą chyżością niedorzeczna owa konnica ruszać się była w stanie. Co innego z piechotą się okazało! Czworobokiem szli, naokoło zwartymi rzędami pik okropnie długich najeżeni, spomiędzy których kusznicy szyli tęgo i gęsto, i braliśmy się do nich jak pies do jeża. Coraz bardziej wyglądało, że bez prostej szarży i strat znacznych od tych pik paskudnych pułku elaskiego nie ugryziemy i nie zatrzymamy, a na to, żeby naszą konnicą od zaopatrzenia odcięty słabnąć zaczął, czasu było za mało. Wtedy to ci oto dziesiętnicy, panowie Hołod i Truba, sposób wymyślili, któryśmy naradą przyjęli i wnet zgrabnie wykonali. Owóz pod osłoną porządnego deszczu naszych strzał i bełtów wyszła skośnie chytrze rozsypana, półsotnia pod panem Hołodem i piękną sztuką miotania arkanami całe snopy pik Elaskim to wyrwała, to na ziemię obaliła, a w wyrwy owe znak mój natychmiast wszedł gładko i głęboko, a za nim reszta jazdy ponestrzańskiej, i w chwil parę było po elaskim pułku. Przy tym pan dziesiętnik Truba, wcześniej już „Płową Kosą” przezywany, przydomka tego trafność nadzwyczajnie pokazywał.

— Jakby tak dobrze pokazywał, toby w tęb pałaszem elaskim nie dostał — wtrącił płowowłosy dziesiętnik wskazując kciukiem bliźnę nad swą prawą brwią.

— Opowieści takie — powiedział Krzywosocha gdy Przytarczyk skończył — żalem mnie czasem napelniają, że w drużynie, a nie w wojsku służba mi wypadła.

— Jakby ci ze dwa razy o pustym brzuchu, co u nas w wyprawie zwyczajne, na byłharskie włócznie albo elaskie piki przyszło szarżą polecieć, toby cię, panie poruczniku, żal ten opuścił — odpowiedział pułkowy, z którego smagłej twarzy ani na chwilę nie schodził ruchliwy uśmiech.

— Nie przeczę, bom nie próbował. Ty zaś, panie pułkowy, tego nie próbowałeś, co mnie przypada, i kto wie, czy by cię miła wesołość twoja, jakże innych krzepiąca, nie odeszła, jakbyś moje zajął miejsce.

— Tyle smutków w pracy twojej? W takim razie przedkładam, żebyśmy się na razie, panie Krzywosocha, miejscami nie mieniali — nie przestawał śmiać się Przytarczyk.

— Na to przystaję — zakończył porucznik żartobliwą rozmowę i spoglądał przez okno na plac przed domem, gdzie w powoli zapadającym zmroku przechadzali się druzynni wartownicy.

— Chyba jadą! — powiedział z nagłym ożywieniem. — Warta w drogę spogląda i w postawie staje!

Zza okna dobiegł stukot końskich kopyt i turkot kół wtaczającego się na plac powozu, a po chwili weszli do Obradnej Izby ksiązę Józef Rzoza-Siewny i ojciec Jędrzej Dołobrzieski. Ubrany w zakonny strój rektor lewosańskiej szkoły, wzbudzający źle skrywane zmieszanie Krzywosochy i zaciekawienie postów, był przygarbionym staruszkim o rumianej, przyjaznej twarzy i przenikliwym spojrzeniu ruchliwych, szarych oczu, w których tlił się jakiś przygasty żar przekonania i natchnienia.

Ksiązę zasiadł na krzesła ze srebrnymi orłami po bokach oparcia, tym samym, na którym siedział podczas powitania poselstwa na placu. Ojcu Dołobrzieskiemu wskazał miejsce po swej prawej ręce, a Przytarczykowi i Krzywososze po lewej, szeptał coś przez krótką chwilę zakonnikowi do ucha, potem podniósł się z krzesła i zwrócił się do postów stojących naprzeciw, po drugiej stronie długiego dębowego stołu:

— Witam was, panowie postowie, pod skromnym dachem moim i proszę, byście usiedli, nie ma bowiem u mnie zwyczaju, żeby postowie kraju przyjaznego nogi na posłuchaniu nużyli.

Krzywosocha i Przytarczyk żwawo ustawili za plecami postów zdobne krzesła, i gdy wszyscy usiedli, ksiązę mówił dalej:

— Panowie postowie! Z boleścią przyjąłem wiadomość nadeszła, że przy wjeździe w ziemię moją poselstwo wasze uchybienia doznało. Winnych tego najsurowiej ukarzę, was zaś zapytuję, jakie zadośćuczynienie ze strony mojej wydarzeniu temu przykreemu godziwy koniec mogłoby położyć?

— W sprawie tej — odpowiedział Anton Bałda — niechaj poseł Truba mówi, jemu to bowiem wyraźniej uchybiono.

Płowowłosy dziesiętnik powiedział śmiało i bez namysłu:

— O zadośćuczynieniu, panie ksiązę, wspominać nie ma potrzeby, i prosić się ośmielam, byś żołnierzy z mytnej bramy zbyt surowo nie karał. Na niewrogiej stojąc granicy, zagrożenia nijakiego nie czując, popili widać nadmiernie, a może gorzałki niedobrej, przez co wstawanie im nie szło, ten zaś sierdżont, co włócznie przede mną postawił, wstać zdoławszy omroczony był jeszcze i z tego głupotę taką po sobie pokazał. Wstyd ja jemu mały, panie ksiązę, uczyniłem w odpowiedzi, co karą jest starczającą. Rzeczę tę całą, panie ksiązę, za zakończoną my mamy.

Zmęczone oczy władcy złagodniały w uśmiechu. Powiedział z wyraźną ulgą:

— Raduje mnie, panowie postowie, wyrozumiałość wasza. Tedy do celu postowania waszego przechodźmy; głos pełny wam daję!

Poset wielki zaczął mówić powoli i niegłośno:

— Panie książę! Nieświadom być nie możesz, że znaczny twój poddany, co przy źródłach Sani ma włości, przed miesiącami dwoma niecałymi najazd grabieżczy na ziemię naszą uczynił. Napadł on zbójcecko na letnie nasze osady pasterskie, zabił ludzi szesnastu, piętnastu zaś ze sobą uprowadził. Zrabował nam też owiec trzysta, koni trzy tuziny i krów czterdzieści. Każdy naród wolny, panie książę, każde państwo niepoddane rzecz taką by uznało za wojny przyczynę!

Słowa „wojny przyczynę” wypowiedział Anton Bałda z taką mocą, że zabrzmiały prawdziwie groźnie. Książę i jego doradcy poderwali głowy i z niepokojem patrzyli na starego posta, który milczał przez moment, a potem mówił dalej:

— My jednak tego pomni, że ani za dziada twojego, ani za ojca, ani za twojej, panie książę, władzy zatargów między nami nie było, z zapytaniem do ciebie przybyliśmy, czy zechcesz krzywdy nasze i szkody po pełni wynagrodzić, ludzi naszych porwanych oddać, winnych należnie ukarać i do powtórzenia się najazdu podobnego nigdy nie dopuścić, czy też sami to wszystko mamy zrobić?

Spokój, z jakim książę odpowiedział, świadczył jasno, że pytanie nie było zaskoczeniem:

— Zbrodni pomienionej świadom jestem, panie pośle, i w tej mierze rozkazy wydałem. Niechaj o tym dowódca drużyny mojej, pan porucznik Marek Krzywosocha dokładniej powie!

— Z książęcego rozkazu — zaczął Krzywosocha niestudbowym tonem — mam pojutrze z dwoma znakami jazdy drużynnej do Zażwy wyruszyć, aby pełną sprawiedliwość w sprawie powiedzianej uczynić i wymierzyć, w tym krzywdy wasze najdokładniej wynagrodzić.

— Znaczy to, panie poruczniku, że i ludzi naszych pomordowanych wskresić zamierzyłeś... — kpiąco zauważył łysy Iwanko, a Anton Bałda rzucił mu krótkie spojrzenie nagany.

Krzywosocha odrzekł bez zniecierpliwienia:

— Słuszna, choć bolesna, pana posta Hołoda uwaga. Zabitych nie wskresimy, a przeto sprawiedliwości do uczynienia możliwej pełną nazywać nie powinienem. Burzy się serce prawego człowieka, kiedy życie na pieniądze przychodzi liczyć... Skoro jednak życia nikomu przywrócić nie możemy, tylko taki sposób przykry pozostaje.

— A my, panie poruczniku, lepszy sposób na myśli mamy — odezwał się poset wielki.

— Cóż by to być mogło? — zapytał książę.

— Właśnie! — ożywił się ojciec Dołobrzski. — Cóż to lepszego jest do uczynienia, niżli odszkoda tym, co bliskich utracili?

Siwy sotnik wyprostował się w krześle, przygładził biały poselski chwast przypięty do piersi, brwi lekko ściągnął i nieznacznie przymarszczył czoło. Widać było, że chce powiedzieć coś najważniejszego i ująć to najtrafniej.

— Zabitym życia przywrócić nie mogąc — powiedział łagodnie cedząc słowa — wolą krzywdy naprawienia inne życia można uratować.

— Zechciej, panie pośle wielki, na możności jasne i zwyczajne myśl swoją przełożyć — poprosił książę.

— Zacząć muszę od tego, panie książę, że Bołkan z wielką wojną idzie na Ponestrze! Pierwszy rajca bolkanski do wyvodu niegłupiego doszedł, że póki ziemia ponestrzańska wolna i zbrojna, poty powstania uhorskiego zdławienie niemożliwe, dokąd zaś ono się pali, Hornosławii podbić się nie da. Postanowił przeto z powstańcami i Hornosławią pokój zawrzeć

nieszczery na łaskawych warunkach, na południu przepraw do Tirkijów wciąż próbowanych zaniechać na razie i wszystkimi siłami na Ponestrze runąć...

— Pewne to wieści? — wpadł postowi z pytaniem Krzywo-socha.

— Najpewniejsze! Dlatego nasza rada ziemską pełnię władzy w ręce atamana Lonowego złożyła, jako to u nas na czas wojny we zwyczaju. Z Hornostawią i Uhorcami pokój dni temu trzynaście zawarty, i twój, panie książę, znak jazdy ciężkozbrojnej pod panem Omastą już w drodze do domu. Wojska Bołkanu w paru miejscach się gromadzą, osobno elaskie i makadonskie, osobno byłharskie, gdzie indziej limbomownych stron, a w jeszcze innym miejscu syrbskie i pomniejsze. Co poniektóre już zebrane w drogę ruszyły, a wszystkie u dwóch naznaczonych przepraw przez Pyrut stanąć mają pierwszego dnia miesiąca sierpnia.

— Tedy za miesiąc już wojna tak wielka by być miała? — z niedowierzaniem zastanawiał się Krzywosocha. — A skądże wiadomości o wrogu tak dokładne?

— Bołkańską potęgę łotrowską za sąsiada mając, na zamiarów jej wczesne poznawanie pieniędzy żałować nie możemy, panie poruczniku. Pewne to wszystko, com powiedział, tyle że na sierpnia dzień pierwszy do zbornych przepraw nad Pyrut pułki bołkańskie zdążyć nie będą w stanie, z pięć dni później więc na nas uderzą, jeśli pogoda im posprzyja. Może też być, że lepszych przepraw poszukać wrogowi przyjdzie, bo naznaczone, jako wygląda, na oślep są wybrane.

— Tak... Jasna już teraz, panie pośle, myśl twoja przedtem powiedziana — odezwał się Rzoza-Siewny ze zmęczeniem w głosie. — Pomocy więc chcecie...

— I nadzieję na nią mieć musimy, panie książę! Daj, szlachetny panie, na nasz żołąd trzy znaki ciężkie na jeden miesiąc, nas przez to dziś wielce wspierając i życia ludzkiego wiele ocalając, a siebie broniąc na jutro!

— Trzy znaki ciężkie?! — powtórzył książę z rozdrażnionym zdumieniem. — Czy dobrze ja słyszę? A wy, panowie postowie, myślicie, że ile ja mam ciężkiej jazdy?!

— Wiemy, panie książę, że nie masz jej wiele, a tylko chorągwi cztery, z których jedną księciu-seniorowi pod komendę na wojnę z Wełtostawią oddałeś...

— Druga zaś — wszedł postowi w słowo Rzoza-Siewny — jakom się dopiero co od was dowiedział, z wojny na Uhorszczyźnie zmęczona powraca, trzecia na północowschodzie obozem stoi, żeby w razie potrzeby i w stronę Księstwa Wiprzeńskiego mogła być pchnięta, i ku granicy z Redneren posłana, ostatnia zaś, którą pan pułkowy Przytarczyk dowodzi, nie opodal, w Dwuusi ma koszary i jedynym jest moim mocniejszym odwodem. Jakże wy się więc ode mnie trzech ciężkich znaków pomocy możecie spodziewać?!

— Panie książę! — nie ustępował Anton Bałda. — We wszystkich Ziemiach Znak Malwowego nie ma ani jednej dziesiątki ciężkiej jazdy, bo my do takowej talentu nie mamy, a też i potrzebna nam dotąd nie była. Teraz jednak, czegośmy nie przewidzieli, groźną piechotę z Elasu pośród rozmaitych wojsk innych Bołkan na nas kieruje, którą pokonywać można albo krwią ogromnie przepłacając, albo lekkiej i ciężkiej jazdy dobre mając współdziałanie, jako to się w wojnie na uhorskiej ziemi jasno pokazało. Zważ więc, panie książę, że stratami znacznymi a niepotrzebnymi przyszłoby nam za brak twojej pomocy zapłacić.

— Nim co postanawiać zacznę, chcę wiedzieć, czy pomoc wam posyłając żołnierzy moich najlepszych w zagładę samobójczą nie pchałbym. Powiedzcie tedy, jeśli rozgląd wasz to rozeznał, ile bołkańskich wojsk rachujecie, a ile swoich wystawicie?

— I czyjej pomocy pewni jesteście? — dorzucił swoje pytanie Krzywosocha.

Stary sotnik nie umiał ukryć zmieszania, w jakie wprawiły go te pytania. Namyślając się, wodził niespokojnym spojrzeniem po twarzy księcia i obliczach jego doradców. Wreszcie odpowiedział niepewnie i jakby wstydliwie:

— Wroga spadnie na nas do trzydziestu tysięcy, panie książę. Z tego jednak tylko sześć tysięcy wojska elaskiego i pięć tysięcy dobieranej konnicy rajcowskiej, co zwie się Strażą Dimokratii, za siłę rzetelną można uznawać. Ponestrze zaś sotni własnych wystawi sześćdziesiąt, do tego pomocy z Poboża dziesięć i tyleż z Postawucia. Nie pomoże nam Łowyń Wysoki, bo całą swoją siłą od strony Rednera ma Ziemie Malwowe zabezpieczać, ani Posule, bo ono razem z większością sotni postawuckich od szijjickiego wroga ziemie naszej mowy musi osłonić. Wypróbowanym bowiem sposobem tak się wielcy wrogowie nasi zmagają, że jak jeden napiera, to dwaj grożą i w szachu trzymają wojsk swoich na naszych granicach skupianiem.

— Trochę mi w głowie zamieszania czynisz, panie pośle, ale jeśli liczę dobrze, to wy w osiem tysięcy przeciw tysiącom trzydziestu chcecie stanąć. Toż to prawie jeden na czterech! Nawet talent wodzowski znany pana Lonowego na uwadze mając uznać trzeba, że ładnie to nie wygląda! I w taki bój nierówny miałbym ja najlepsze swoje wojsko posyłać?!

Przy ostatnich słowach księcia Iwanko Hołod aż podskoczył na krzesło i nie zwracając uwagi na karcące spojrzenia Antona Bałdy odezwał się z powściąganym oburzeniem:

— Jakież to bój nierówny, panie książę?! Toż nasz żołnierz każdy od szóstego roku życia władania bronią się uczy i w ćwiczeniu coniedzielnym pracy tej wynik przed atamanem wioskowym musi okazywać, a w Bołkanie posiadanie broni zakazane najsurowiej, i dopiero z branki w wojsku się znalazłszy żołnierz tamtejszy pierwszy raz szablę w dłoń bierze! A wynik taki, panie książę, że póki oni w szyku, to jeszcze coś warci, a jak im szyk trochę rozerwać czy rozproszyć, to się w barany zamieniają. A w pułkach zwyczajnych, nierajcowskich, żołnierzowi oficerowie chęć do walki harapami do pleców napędzają! Do tego szable i pałasze bołkańskie ciężkie i nieporęczne, kusze niedonośne, a siodła niezdarne koniom mękę czyniąc kierowanie nimi utrudniają. I ja, panie książę, i Staś... znaczy poseł Truba, wiele z bołkańskimi wojowaliśmy roku przeszłego i tej wiosny, rzetelnie przeto słowem świadczyć możemy, że dwie sotnie nasze na ich pułk z tysiąca niedołęgów przestraszonych złożony, to żaden bój nierówny!

Serdeczny uśmiech rozgaszczał się na zmęczonej twarzy Rzozy-Siewnego w trakcie Iwankowej przemowy.

— Jeśli w co drugim żołnierzowi ponestrzańskim serce takie, jak w was, panowie postowie — powiedział z przyjaznym podziwem — to rajcy bołkańscy niewiele nad Pyrutem nawojują! Przekonałeś mnie, młody panie pośle, że wsparcie ciężkozbrojne dać wam można i trzeba. Czyby to jednak aż trzy znaki być miały, tego dalej nie wiem. Czas przeto na głos poradców moich!

Spojrzenia spoczęły na ojcu Dołobrzskim, który nie dał długo czekać na swe słowa.

— Wojnę nadchodzącą — zaczął głosem starczym już, ale jeszcze mocnym i dźwięcznym — przewidywałem jeszcze roku zaprzeszłego. Tak, tak! Wtedy już mówiłem księciu Jozofowi, że radcy bołkańscy, choć z wiarołomstwa tylko i przewrotności, a nie z mądrości są znani, po próbach bezpłodnych kilku na czas jakiś Hornostawii i uhorskich powstańców zaniechają i przeciw Ponestrzu się zwrócą, co też i następuje, tyle że rok później, niż myślałem. Gdzie jeno mogę i komu mogę tłumaczyć uparcie, że ani Bołkan, ani Cesarstwo podbojów nie zaprzestaną nigdy, chyba że pokonane i rozbite. Sama bowiem istota tych mocarnych państw, rozumowi przeciwnych, zmusza je do parcia na boki nieustannego i wciąż nowych kęsów pochłaniania, a to dlatego, że wewnętrzne tych potęg urządzenie możliwości nie daje ku temu, żeby z roli, z rzemiosł i z handlu dobra potrzebnego dość ludzie mogli natworzyć, przeto wieczny tam wszystkiego niedostatek, do grabienia sąsiadów popychający. A że jeszcze przy tym wojny władców z nędzą ludu tłumaczają, tedy powtarzam, że Bołkan i Cesarstwo nigdy nie poprzestaną

na tym, co już pożarty. Bardzo słusznie pan poseł Bałda na początku powiedział, i ja za nim to samo powiem, że Ponestrza broniąc dzisiaj, siebie na jutro bronimy. Wszelką siłą możliwą, księżę Józefie, idźmy w pomoc Ponestrzanom, a oni nam to samo niechaj słowem honorowym przyrzekną na czas możliwych przyszłych potrzeb naszych! Jak zaś to zrobić, żeby zarazem od napaści z północnego wschodu być bezpiecznym, to już nie do mojej, a do waszych wojskowych głów należy.

— Za mądre słowa twoje dzięki ci serdeczne, ojcie Jędrzeju! — wyraził zakonnikowi wdzięczność Rzoza-Siewny i zwrócił się do Przytarczyka: — Twoja kolej, panie pułkowy!

— Z ojcem-rektorem, panie księżę, nie zgodzić się nie można — zaczął Przytarczyk i wykonał nie bardzo zrozumiały gest zacierania rąk. — Podług mnie, Bołkan trzeba nad Pyrutem tak sprać, żeby parę lat spokoju odeń nastąpiło, przeto tak radzę, panie księżę: Mój znak za trzy dni może być do drogi dobrze gotów i na Ponestrze wyruszyć. Chorągiew pana rotmistrza Omasty, jeśli z Uhorszczyzny wraca, niechaj z tydzień odpocznie, a potem jako druga pojedzie. Znak ciężki trzeci pod panem Kłoczem trzeba zaraz spod komendy księcia-seniora odebrać, bo on tam zbyt ciężki, jako że wojsko Wełtostawii taki ma do wojowania z Ligą zapał, jak pies do młocki. Jakby już jutro gońców z luźnymi końmi w drogę pchnąć, to za dni piętnaście pan rotmistrz Kłocz może być już tutaj, i wtedy niechby stanął na miejscu znaku czwartego, żeby granice z księżną i Rednerem mieć na oku. Dla większej zaś pewności z pięć lekkich znaków bliżej tamtych rubieży należałoby przesunąć. Czwarty więc znak, przez trzeci zwolniony, jako ostatni, ale jeszcze całkiem na czas ruszyłby atamanowi Lonowemu z pomocą. Takie zdanie moje, panie księżę!

— Jeszcze ty zostałeś, panie poruczniku — udzielił władca głosu trzeciemu doradcy.

— Do tego, panie księżę, co przedmówcy powiedzieli, ani słowa dodać nie pragnę — oświadczył krótko Krzywosocha.

Nastała chwila ciszy, po której księżę przemówił głosem uroczystym, ale z miną zdradzającą, iż głosy doradców nie w pełni były po jego myśli:

— Panowie postowie! Postanowiłem, że jeśli chorągiew z Wełtostawią teraz wojującą na czas ściągnąć się uda, a przed świtem jeszcze pchnę po nią gońców, to wedle prośby waszej się stanie i trzy znaki ciężkozbrojne pomocy mojej dostaniecie, które w takiej wyruszą kolejności, jak pan pułkowy Przytarczyk doradzał. Znak pana pułkowego za trzy dni już ruszy, a czasu mając najwięcej przez góry pojedzie, by po drodze o Zaźwę zawadzić i sprawę Zaźwieckiego przykładnie podług woli mojej i waszej zakończyć. Ostatnie dwie chorągwie drogą dłuższą a łatwiejszą i prędszą pociągną, to jest przez łowyń Wysoki, o czym panowie postowie wracając Ilryzotową Wodę powiadomcie. Czy ataman Lonowy do umów zawierania prawem was wyposażył?

— Tak, panie księżę.

— Z honorowymi postami honorowego atamana mając do czynienia, od papieru sporządzania odstępuję, tedy ustnie potwierdzić zechciejcie, że w razie Księstwa Sańsko-Wysołockiego obronnej potrzeby pomocą zbrojną Ponestrze się odwzajemni.

Postowie wstali z krzesel i położyli prawe dłonie na sercach, a Anton Bałda wyrzekł grzmiącym głosem:

— W imieniu atamana Lonowego, następców jego i Rady Ziemi Ponestrzańskiej wzajemność zbrojną przyrzekamy uroczyście!

Gdy Ponestrzanie z powrotem usiedli, księżę zapytał:

— Czy ze spraw poselskich waszych coś jeszcze zostało?

— Dwie rzeczy drobniejsze pozostały, panie księżę — odpowiedział poseł wielki. — Pierwsza ta, czy nie mógłbyś, panie, poprzez handel łowyńskiego pośrednika Samomliki

papieru więcej nam sprzedawać, teraz bowiem przez wielki towaru tego niedostatek ogromnie u nas cena jego urosła, co piśmienności na ziemi naszej tamę stawia.

— W tym wam pomóc nie jestem w stanie. Bractwo Samomliki wykupuje wszystek papier, jaki się u mnie ponad potrzeby Księstwa wyrabia i ani jeden listek nigdzie nie odpływa, jak tylko do łowynia Wysokiego.

— A czy w razie takim zezwoliłbyś, panie książę, żeby nasi ludzie na naukę tu przybyli, po której u siebie moglibyśmy młyn papierny i czerpalnię wybudować?

— Zezwolę, jeśli w zamian wy moim kowalom przyglądnać się pozwolicie, jak się „małe koniuszynki” wyrabia.

— Wysoką stawiasz cenę, panie książę! — stwierdził zawiedziony główny poseł. — Nie jestem w mocy co do tego się ugodzić... Myślę jednak, że po wspólnym przeciw Bołkanowi wojowaniu zrzęcniej o takiej tajemnic wymianie będzie można rozmawiać. A na dzisiaj ze spraw posłowania naszego ostatnia została; niechaj, jeśli wolno, poseł Truba o niej mówi.

Książę przyzwolił skinieniem głowy i zamienił spojrzenia z Krzywosochą, a płowowłosy dziesiętnik zaczął:

— Panie książę! Lat temu osiem, po zabranii przez namiestnika Rednera sposobem podstępny i haniebny Mokrego Kraju i łowynia Niskiego, mojej i pośta Hołoda ojczyzny, zapewnił atamanów naszych książę-senior w imieniu swoim i wszystkich władców Ziemi Małolackiej, że za udział zdradziecki w podboju Rednerowym księżna wiprzeńska władzy będzie pozbawiona. Do dzisiaj jednak księżna Iga Tyśmieniecka spokojnie na swym krześle siedzi, a ziemia jej krok po kroku pod cesarskie przechodzi skrzydła. Chcieliby wiedzieć ziem naszych atamani, a też i my tu obecni, jak się ty, panie książę, nasz sąsiedzie, do niestowności tej bezhonornej odnosisz, bo wszak i w twoim imieniu przyrzeczenie pomienione było nam dane.

Wszyscy trzej postowie powściągliwie lecz uważnie patrzyli księciu w oczy, widać chcąc z nich wyczytać szczerą księżęcej odpowiedzi. Władca, na pytanie przygotowany, odrzekł z goryczą, ale bez zakłopotania:

— Przyszło mi wybrać pomiędzy prawdą, a imienia naszej Ligi obroną, panowie postowie. Prawdę muszę wam powiedzieć tak z samej pobudki sumienia, jak i przez to, że prawdy przemilczenie groźbę na przyszłość niesie. Wiedząc dokładnie, że na ziemiach wam zagrabionych namiestnik Redner takich się zbrodni dopuścił, o jakich w świecie znanym dotąd nie słyszano, głośno się i uporczywie na władców naszej Ligi spotkaniach domagałem, żeby księżnę Igę za ręk w najeździe Rednerowym maczanie surowo ukarać, co w odruchu pierwszym lat temu osiem było postanowione. Nic jednak nie wskórałem, panowie postowie! Nasz senior, książę bożogórski, wszelkiemu przeciw księżnej działaniu jest przeciwny powiadając, że Tyśmieniecka, do Ligi nie należąc, praw ni obyczajów księstw naszych przestrzegać nie musi i nie ma powodu, a przeto źle o jej postępku mówić nam wolno, ale czynić niczego nie możemy i żadnego nie mamy prawa. Nie dość tego, panowie postowie! Książę-senior od czasu jakiegoś roszczenie bezwstydnego księżnej Igi do źródeł Wiprza zaczął popierać i mnie namawiać, żebym ziemię przez dziadów moich szablą wywalczoną, po dobrej woli Księstwu Wiprzeńskiemu odstąpił! Wyjawilo się powoli, że za takim księcia-seniora nastawieniem zamiary jego rodowe się kryją. Syna nie mając, zamyślił on córkę Marię za księcia Ludgarda, syna jedynego księżnej Igi wydać, przez co Księstwa Bożogórskie i Wiprzeńskie, choć odległe, w jednych by się rękach znalazły. Nie pojmuje stary książę-senior, że jak się księżna z namiestnikiem cesarskim kuma, tak i syn jej zażyłość z Rednerem i następcami tego łotra utrzyma, czyli Cesarstwo Północne, któremu już i Królestwo Mienieckie i Wełtosławia są poddane, jeszcze i od północowschodu łapy ku nam wyciągnie, a po prawdzie

już wyciąga. Panowie postowie! Po to ja na pytanie posta Truby tak szeroko odpowiadam, żebyście wiedzieli, a też i atamanom łowynia Wysokiego i waszemu poufnie przekazali, że się chmury nad Ligą zbierają przez księcia-seniora zaślepienie. Prócz mnie, jeszcze tylko księżę Jacek Świętogaj, władca Księstwa Gór Jodłowych groźbę całą pojmuje, i my dwaj tylko, jeśli sposobu innego nie będzie, na Ligę się nie oglądając, parciu Cesarstwa od Jasnorosi i Niskiego łowynia przez Długi Boh i Wiprz zbrojnie na drodze staniemy! Redner, jako wiecie chyba, wśród innych tytułów kradzionych namiestnikiem całego łowynia, a nie jeno Niskiego się mieni, a znaczy to, że jak Cesarstwo ziemie wam zabrane zrujnuje i przetrawi, następnej na Ziemiach Malwowych spróbuje grabieży. O wspólnym powściągnięciu wroga wspólnego już dzisiaj tedy myśleć nam wypada... To tyle, panowie postowie; do Biesiadnej Izby teraz proszę na posiłek wieczorny i mały poczęstunek!

* * *

Na podstawie słyszanych nieraz opowieści o ucztach bołkańskich rajców, Łusy Iwanko nabrał przekonania, że pod słowem „uczta” kryć się muszą straszliwe obżarstwa, rozpasane opilstwa i inne rzeczy nieprzyzwoite, toteż zdziwił się i zarazem ucieszył, gdy wydane przez księcia przyjęcie w Biesiadnej Izbie okazało się uroczystością skromą, a nawet surową. Na zestawionych w długi rząd i nakrytych lnianymi obrusami stołach nie było srebrnych półmisek, technoczesnych śnieżnoglennych naczyń ani złożonych sztuczków. Niewyszukane, choć smakowite, dania z mięs i grzybów rozniosty służebne i niewolnice w płytkich glinianych miskach, a miodowe placki podano na małych drewnianych tackach. Duże, proste noże z drewnianymi trzonkami oraz wytłuszczone popiołem żelazne łyżki przywodziły na myśl polowe wyposażenie myśliwego, a nie zastawę książęcego stołu. Niewystawność nakryć równoważył jednak z nawiązką trunek iście królewski: gęsty, ale przejrzysty, dwudziestopięcioletni miód, którego nieopisanie rajski smak już po pierwszym łyku oblekał twarze biesiadników w bezwiedny wyraz błogości. Nie żałowano tego trunku; stał na stołach w wysokich dzbanach, a dwaj młodzi, barwnie ubrani niewolnicy skwapliwie napełniali każdy opróżniony kubek.

Tak przy pierwszym toaście, wzniesionym przez księcia, jak i przy drugim, odwzajemnionym przez Antona Bałdę, Iwanko i Staśko wychylili swoje kubki do dna, a później dopiero zauważyli, że są jedynymi, którzy tak czynią. Iwanko pomyślał, że widocznie picie do dna tutaj nie w zwyczaju i porozumiał się wzrokiem ze Staśką, którego mina wyrażała podobne zmieszanie. Kiedy jednak po kilku chwilach zauważył, że staje się coraz lżejszy, a krzesło zaczyna się pod nim łagodnie kotłować, zrozumiał, że siła smakowitego miodu niewiele ustępuje ponestrzańskiej palonce, i zapewne to właśnie jest przyczyną ostrożności miejscowych biesiadników.

Uczta nie była ludna, a kobiet — jeśli nie liczyć roznoszących jadło służących i niewolnic — nie było na niej wcale. Przyprawiało to młodych postów o dobry nastrój, jako że żaden z nich nie miał pojęcia o układnych rozmowach z piękną płcią, a wiedzieli, że co innego żartobliwe i niewymyślne żołnierskie zaczepki-pogwarki z dziewczynami od płotów mijanych wiosek żegnającymi przejeżdżającą sotnię, a co innego rozmowa z atamanową, albo, nie daj Boże, z paniami z dworu małolackiego księcia.

Prócz postów, księcia i jego doradców byli jeszcze w Biesiadnej Izbie najwyżsi książęcy urzędnicy, kilku, przeważnie młodych, oficerów drużynnych i lekkojezdnych, dwaj duchowni, dwaj nadworni medycy i jeden bogaty kupiec — razem kilkunastu mężczyzn w różnym wieku. Gdy miski po jadle były już zebrane ze stołów a stary miód rozwiął początkową powagę, zaczęło się wstawanie z miejsc, przysiadanie się i wzajemne przepijanie za zdrowie,

zawiazywanie rozmów, z początku błałych, później i poważnych. Nadskarbi Paweł Sitarz — starszy, szpakowaty mężczyzna o nieciekawej twarzy i bezbarwnych oczach, które po mocnym miodzie nabierały oleistego połysku, odciągnął posła Bałdę na koniec rzędu stołów i zaczął go uporczywie wypytywać głosem niepotrzebnie donośnym o całe urządzenie podatkowych spraw na Ponestrzu. Stary sotnik próbował z początku zbyć nudnego urzędnika zdawkowymi odpowiedziami i wrócić na drugi koniec stołów, gdzie księżę, rektor Dołobrzski i nauczyciel księżniczek, ojciec Grzegorz wiedli ożywioną rozmowę z łysym Iwanką i Staśką Trubą, ale nie podołał natarczywości nadskarbiego i zaczął w końcu w dobrej wierze odpowiadać na jego pytania. Sitarz wybałuszał przeźrocyste oczy i w żaden sposób nie mógł uwierzyć, że w Malwowych Ziemiach z podatkami żadnych kłopotów nie ma, i że wioski po własnej woli wnoszą tam do kas ziemskich więcej, niż im wyznaczono.

— Trudno mi zapał taki pieniężny wiosek waszych pojąć — mówił z tępowym niedowierzaniem zawiadowca książęcego skarbu — bo u nas wieczna o podatki szarpanina. Wolne wioski książęce, po prawdzie, płacą jako tako, ale lepsze powszechnie z płatnościami zalega tym się tłumacząc, że uciezki chłopstwa do waszych krain gospodarki rodowe rujnują. Przesady w tym wiele i chciwej pokrętności, bo nie tak znów tych uciezek wiele się zdarza, ale też, po sprawiedliwości, wcale ich być nie powinno. Żal jest i niechęć tak do łowynia, jak i do Ponestrza o to, że chłopów od nas zbiegłych przyjmując, pościgów lepszeckich w granice swe nie wpuszczają, a jeszcze zbiegom ziemię udzielają w dzierżawę, wnet zaś we własność.

Grzmiący głos nadskarbiego i sprawa przezeń poruszana przyciągnęły uwagę kilku oficerów, którzy z kubkami w rękach, podzwaniając szablami, usiedli naprzeciw Sitarza i Bałdy. Po chwili przysiadł się do nich jeszcze książęcy sekretarz, pan Sitko — łysawy mężczyzna o lekko dziobatej cerze i wesołym, bystrym wejrzeniu.

— Od niepamiętnego czasu, panie nadskarbi, takie u nas święte prawo i obyczaj — twardo odpowiedział Sitarzowi ponestrzański poseł — że nikomu, kto porządków naszych chce przestrzegać i obowiązków dopełniać, a z orania żyć lub wypasu, ziemi nie odmawiamy, i tak zostanie, póki ziemi żyznej u nas pod dostatkiem. Żeby zaś wasze lepszeckie pogonie zbrojne w nasze wpuszczają kraje, to już chyba żartobliwe życzenie! Cóżbyś bowiem powiedział, wysoki panie, jakbyśmy, na ten przykład, dłużnika jakiego, co do Księstwa waszego od nas uszedł, zbrojnie po ziemi pana księcia ścigać chcieli i łąpać?! A powiedz też, panie nadskarbi, czy kmiecie z książęcych wiosek też do nas zbiegają?

— Tego nie ma, panie pośle — odpowiedział Sitarz nie łapiąc podchwytliwości pytania.

— Widzisz więc i przyznać musisz, panie nadskarbi, że nie w przyjmowaniu zbiegów u nas tkwi rzeczy istota, a w chłopstwa lepszeckiego niewolnego położeniu, które na takie odmieniwszy, jakie książęcych kmieci jest udziałem, uciezkom łatwo kres możecie położyć.

Sekretarz Sitko posłał nadskarbiemu Sitarzowi uśmiech pełen wyzywającej uciechy i politowania, a następnie trącił swoim kubkiem w kubek Antona Bałdy i bez słowa wypił do dna. Jeden z drużynnych podporuczników, któremu stary miód ogniście rozczzerwienił policzki, również przepił do posła, ale nie poprzestał na tym:

— Pan poseł sprawiedliwie mówi! — zawołał stawiając ze stukiem opróżniony kubek na lnianym obrusie. — Nic ma się co użalać nad lepsześcią! Jak rodowi swoim chłopom po człowieczemu żyć nie dają, to niechaj całkiem bez chłopów zostaną! Czy to chłop własnością jest rodowego, czy jak?!

— Oto i głowa rozpalona, jakich teraz niemało — powiedział Sitarz tonem wyniosłej i niewyczerpalnej cierpliwości. — Az czegoż to żołd byśmy ci, panie oficerze, wypłacili, jakby lepsze chłopów nie mając z łanów podatku dawać nie mogła?

— Z wolnych wiosek, z handlu, rzemiosła i karczem, a też z mytnych opłat i przeprowowych niemało płynie pieniędzy — odparł podporucznik ze słabnącą pewnością siebie.

— Niemało — przyznał beznamiętnie nadskarbi — ale mniej niż połowa wszystkiego, co do skarbu sphywa. Więcej zaś, niż połowa, to łanowe lepszeckie, nawet zaległościami umniejszone. Co zaś do pytania twojego, panie oficerze, to chłop własnością rodowego nie jest, ale jest nią praca jego. Własności zaś, porządku wszelkiego podwaliny, naruszać nie wolno.

— Pokrętnie to! — sprzeciwił się zadziorny podporucznik, a poparł go drugi popielatomundurkowy oficer, który szcęknął krótko jęlcem szabli o pochwę i powiedział hardo:

— Komu nie wolno, temu nie wolno, panie Sitarz, a księciu wolno! Póki nasze szable ostre, póty wola księcia prawem, i tęb położy, kto się prawu temu sprzeciwi!

Nadskarbi wyraźnie nie miał ochoty wdawać się w spór z drużynnymi podporucznikami i zamilkł z wyrazem lodowatej wyższości na nieprzyjaznej twarzy, a rozmowę z Antonem Bałdą podtrzymał jeden z rotmistrzów lekkiej jazdy:

— Powiedziacieś na początku, panie sotniku, jakom nie opodal siedząc dostyszał, że podatki u was dość lekkie. Z czegoż tedy stale wojsko utrzymujecie? Pojmuję, że na czas wojny powszechnie ruszacie, zanim się jednak ruszenie takie do kupy zbierze, żołdowe wojsko musi wroga powstrzymać...

— Stałego wojska, panie rotmistrzu, to jest atamańskich, wszystkiego dwie sotnie mamy na Ponestrzu, a inne Ziemie nasze nawet tyle go nie trzymają. Rzecz w tym, że owo powszechne, jako to nazywasz, ruszenie nie tak długo się zbiera. Sotnie wioskowe za mniej jak ćwierć godziny do walki iść mogą, a za godzinę niecałą gotowe są do ruszania w drogę daleką, do czego żywność suszona i wędzona zawsze jest przygotowana w ilości takiej, żeby na miesiąc żołnierzom starczyła.

Osobliwości porządku wojskowego Malwowych Ziem, nie mające podobieństw w całym znanym świecie, rozpały zgodną ciekawość książęcych oficerów, którzy długo jeszcze męczyli siwego sotnika dociekliwymi pytaniami. Gdy wreszcie dali mu spokój, wrócił do grupy biesiadników skupionych wokół księcia, ojca Dołobrzskiego i młodych postów. Tutaj rozmowa zesła właśnie na tałany.

— Nadzwyczajnie mnie, przyjaciele moi, sprawa tałanów zajmuje — mówił rektor-zakonnik pociągając miodu jak na swój wiek i stan duchowny dość obficie — i niebyle dla mnie ważny każdy o tych zwierzętach szczegół. Mam ja w Lewosańsku odpis poniektórych świętego Semena zapisów, niektózych, powiadam, bo się biskup koniuszyński nijak nie chciał zgodzić, żeby ksiądz jeden po to właśnie do Koniuszyny przeze mnie posłany, więcej przepisał... no, ale jest u mnie cała świętego o tałanach opowieść. Mam też niejaki przypuszczenie swoje co do pochodzenia tych zwierząt najniezwykleszych i nie spocznę, póki pewności nie nabiorę... Co to mówiłem...? — ojciec Dołobrzski zaczynał pod wpływem miodu nieco gubić wątek. — Aha! Więc kazałem też przepisać, z czym w Hryzotowej Wodzie żadnej nie robili trudności, kronikę księdza Wasyla Kropyły stałopisem się zwołą, gdzie jest na końcu o tym, że to wy dwaj, panowie żołnierze, dziećmi będąc i przed cesarskimi zbójami uciekając pomocy doznawaliście od tałanów... to jest... troje was było... a co z dziewczynką? Zdrowa? Mowy nie odzyskała?

— Zdrowa, ojczy-rektorze, i duża urosła — odpowiedział łysy Iwanko potrząsając głową dla przejaśnienia szarzejących od miodu myśli — i mówi...

— Mówi przeważnie za wiele — wtrącił Staśko Truba, a książę, Krzywosocha i Przytarczyk wybuchnęli śmiechem.

— Może i za wiele — zgodził się Iwanko. — Jak nas wtedy z Hryzotowej Wody do Koniuszyny odstawili, to się zaraz okazało, że wśród innych i ataman nasz wioskowy, pan Swityna ocalał. Ten, gdy nas ujrzał, tak nas ścisnąć zaczął, że mało nie podusił, i przy tym ścisnaniu Radka przemówiła, jakby nigdy nic.

— Oto i Boże wyroki! — wykrzyknął zakonnik. — Co zło zepsuło, to serca radość naprawiła! Ale co to ja... aha, te tałany! Z niepojętej dla mnie przyczyny, i nie wiem, czyście o tym słyszeli, w całej łotra Rednera dziedzinie nagroda wysoka jest naznaczona za zabijanie tych zwierząt, pół korony za jedno.

— Słyszeliśmy — syknął Staśko Truba. — Przyjdzie na Rednera i na ludzi jego czas zapłaty za wszystko! A tałany zabijać dlatego plugawy namiestnik nakazał, że morderców z daleka one rozpoznają i ludziom przez nich ściganym pomagają, i bywa, że w czyjejs obronie zbója cesarskiego rozszarpia.

— Dobrze i to! — stwierdził ojciec-ректор bez cienia skłonności do wybaczenia namiestnikowskiemu siepaczom. — Nie godzi się Panu Bogu podpowiadać, ale w samej rzeczy przydałaby się już kara sprawiedliwa i temu rzeźnikowi, i mocodawcy jego, cesarzowej Ergardzie... Czytaliście wy... Wyście piśmienni?

— Piśmienni, ojciec-ректорze.

— Czytaliście więc dokładnie, co o tałanach napisał święty Semen na końcu ostatniego swojego zeszytu?

Iwanko i Staśko spojrzeli na zakonnika ze zdumieniem, poczem Iwanko odpowiedział:

— Jakże mogliśmy czytać, szlachetny ojciec?! Toż pisma świętego patrona Ziemi Malwowej Znaku nawet księżom nie wszystkim biskup pokazuje, a nam by je miał dać do czytania?!

— Ano, tak... tak... Może i słusznie w takim są święte zeszyty Semenowe poszanowaniu... Tedy o wszystko z osobna muszę was pytać, a tu ten miód zacny zamieszanie mi czyni w głowie, i myśli mi się na wsze strony rozłazą... możliwości zaś pewnie więcej nie będzie z wami mówić, a może i z nikim z bliska z tałanami obeznanym... — żałość pojawiła się w głosie ojca Dołobrzckiego, i pewnie dla jej utulenia znowu pociągnął niemały łyk miodu.

— Jeśliby ojciec zezwolił... to o tej możliwości właśnie... — powiedział Iwanko pokonując miodową słabość umysłu.

— No, no? Mów, młody człowieku!

— Po to myśmy sobie, ojciec-ректорze, nauczyciela jednego najęli, który nas mowy sańsko-wysołockiej wyuczył... — Iwanko nie mógł dokończyć, bo przerwał mu książę:

— O to i miałem was zapytać, panowie postowie, ale m zapomniiał, bo głowa trochę zmęczona, jakże to jest, że wszyscy postowie pana Lonowego, ni stąd ni zowąd, naszą mowę pięknie władają?

— Ja, panie książę, na tutejszej ziemi jestem urodzony i w męskim dopiero wieku na Ponestrzu osiadłem ojczystej mowy nie zapominając — wyjaśnił Anton Bałda.

— My dwaj zaś, panie książę, jako wspomniiałem, nauczyciela sobie najęliśmy — tłumaczył Iwanko walcząc ze wszystkich sił o utrzymanie zdolności składnej mowy — a to z tej przyczyny, że nam książdz jeden w Lewosańsku wyuczony o szkole tutejszej tyle ciekawego opowiadał, żeśmy zamyślili, jakby się dało, trochę się w szkole tej sławnej pouczyć.

— Lecz to po wojnie z Bołkanem dopiero — uzupełnił Staśko — jakbyśmy cało z niej wyszli, no i jakby się nam pieniędzy udało dość zbierać... Słyszeliśmy, że ogromnie droga szkoła lewosańska.

— To się dopiero dobrze składa! — wykrzyknął ojciec Dołobrzcki. — Przyjeżdżajcie! Że drogo, powiadacie? Prawda, że nie tanio, ale szkoły utrzymanie kosztuje, a dopłacać do niej nie

ma kto. Ale przyjeżdżajcie! Moja w tym głowa... i księcia Józefa, myślę, też... żebyście pieniądze podofali. Pomówimy sobie w Lewosańsku o waszym z tałanami doświadczeniu, bo teraz już, przez trunek zwodny, nie dokończymy... a wszystko chcę wiedzieć, bo mi się widzi, że bliski zagadki tych zwierząt rozwiązanie... Przyjeżdżajcie!

— Słusznie mówi ojciec Jędrzej, słusznie namawia! — potwierdził ochoczo książe zaproszenie rektora i ogarniając młodych postów spojrzeniem coraz bardziej serdecznym i przymglonym dodał: — Pół świata słyszało o waszej przed niewolą ucieczce! Żeby dla zuchów takich szkoła nasza była za droga, to się pokazać nie może! Hołotę bołkańską przepędźcie i przyjeżdżajcie!

— Dzięki, panie książe, Bóg zapłać, ojcie-rektorze! My jednak z żadnej ulgi korzystać byśmy nie chcieli... — Iwanko znowu potrząsał głową strzepując pełną zamroczenie. — A czy prawdę słyszeliśmy, że i dziewczęta na naukę w szkole lewosańskiej bywają przyjmowane?

— Prawda to, aliści ogromnie rzadko tak bywa, żeby kto na panien kształcenie pieniędzy znaczny chciał wydawać — wyjaśnił uczony zakonnik. — Czyżbyś, panie żołnierzu, dziewczynkę, co z wami z Niskiego łowynia uciekała, miał na myśli?

— Nie inaczej, ojcie-rektorze, ale marzenie to jej tylko, na wodzie jeszcze pisane.

— Znak to może być jakiś z wysoka, że cała trójka wasza o wiedzy nabywaniu myśli... Uradowałby mnie i tej panny przyjazd, bo trzeci to o tałanach świadek, a innego od was wieku i płci będąc zauważyć coś mogła, co wam umknęło... Ale jam już zmęczony... Książe Józefie, maszże jaki nocleg dla mnie?

— Zaprowadzę i ułożę, ojcie Jędrzeju! — odpowiedział Rzoza-Siewny zrywając się z krzesła i z szacunkiem ujmując zakonnika pod ramię.

Ustał nagle gwar i pełna szacunku cisza odprowadzała wychodzących. W tę ciszę wleciał przez otwarte okna odległy chóralny śpiew w malwiańskiej mowie:

Wojownicze są dziewczyny

W osadzie Bukowe

Czym popadnie, bez przyczyny

W mordę bić gotowe

— To nasi śpiewają — z niepokojem stwierdził Iwanko.

— Popili chyba... Święty Semen, żeby tylko do zwady jakiej z miejscowymi nie doszło!

— Żadnej zwady nie będzie — uspokoił go Anton Bałda.

— Pytano mnie z książęcego polecenia, czy eskortie naszej starego miodu można dać skosztować, i zezwoliłem, ale trzech wyznaczył, co honorem za porządek odpowiadają i za to, żeby nikt miary ani trochę nie przebrał.

— I ja o to samo surowo zadbałem, drużynnym należyte rozkazy wydając — powiedział Krzywosocha i dodał z podziwem:

— Ale też twarde zuchy z waszych żołnierzy, że po całym dniu drogi upalnej do śpiewania jeszcze mają ochotę! I jako słysząc, składnie im to wychodzi! A o czym ta pieśń, jeśli słowa możecie, panowie, rozpoznać?

— O wydarzeniu jednym prawdziwym — wyjaśnił Bałda. — Owóz jechała sotnia atamańska brzegiem Nestra i w nadrzecznej wiosce Bukowe ujrzała nad wodą dziewczyn kilkanaście nadzwyczajnie urodziwych podobno, kijankami piorących. Żarty i zaczepki się zaczęły, a tym się skończyły, że ćwierć sotni miało nosy kijankami dębowymi porozbijane, a paru zuchów jeszcze i zęby straciło, żeby się zaś miara klęski dopełniła, całą sotnię zawarł

ataman w koszarach na tydzień o samej wodzie. Rzecz się szeroko rozniosła, i pieśń żartobliwą ktoś o tym ułożył.

Stary miód bezlitośnie rozkładał myśli Iwanki i coraz brał górę nad jego uporczywym wysiłkiem, by się utrzymać w jakiej takiej trzeźwości. Wypełniające Biesiadną Izbę kłęby dymu z fajek wirowały wolno w blasku świec, przestaniały i tak już zamglone twarze i szczyptały w oczy. Iwanko poczuł, że jeśli zaraz nie wyjdzie na powietrze, to za chwilę zwali się pod stół. Zbierając resztę siły woli zwrócił się do Krzywosochy:

— Czy księżę, panie poruczniku, wróci tu jeszcze?

— Niechybnie, panie pośle. Ojca-rektora do snu ułoży i powróci.

— Na powietrze muszę, panie poruczniku, bo mi trochę tchu brakuje i pod stół mnie ciągnie... głowa do miodu nie nawykła... a nie wiem, czy bez przyzwolenia gospodarza wypada?

— Usprawiedliwię cię, panie pośle, tylko wrócić się postaraj. Abyś zaś nie zabłądził, idź ode drzwi w lewo, to cię ścieżyna wnet do stołu z ławami pod lipą osadzonego zaprowadzi. Tam parę chwil pooddychaj i wracaj. Tylko się nie niepokój, jak postać będzie ci z dala jakaś towarzyszyć, bo nad posta każdego bezpieczeństwem czuwanie bezustanne u nas we zwyczaj. Księżyc w pełni, a i z okien światła trochę leci, to ścieżki nie zgubisz.

Bezwietrzna, upalna noc nie trzeźwiła; powietrze było nagrzane i gęste od zapachu kwitnących lip i rozparzonej woni setek pszczelich uli. Poprzez granie polnych świerszczy i odległe poszczekiwanie psów niosły się pod koronami drzew od strony gościnnych koszar kolejne zwrotki skocznej piosenki ponestrzańskich żołnierzy:

*Źle spotkanie się skończyło
Cóż poradzić na to
Kto kijanką nie wziął w ryło
Dostał mokrą szmatą*

*Mądrość jasna bije w ślepią
Z wydarzenia tego:
Przed wieczorem nie zaczepiać
Dziewcząt z Bukowego!*

Światło wysoko stojącego księżyca przebijano się przez gałęzie drzew i słało się po ścieżce i trawie postrzępionymi jasnymi plamami.

Iwanko, chwiejąc się lekko, ale nie zataczając, doszedł do wspomnianego przez Krzywosochę stołu, nie usiadł jednak na ławie bojąc się, by na siedząco nie zmogło go zamroczenie. Pokonując miodową słabość i senność oparł się plecami o pień lipy i głęboko wciągał w płuca ciężkie, nierzeźwiące powietrze. Stary trunek uderzał jeszcze do głowy falami, ale przyptywy te były coraz słabsze i nie zasłaniały już świadomości, że trzeba zaraz wracać, by poselstwu słabą głową nie przynieść wstydu. Usłyszał nagle jakiś bliski szelest dobiegający z tyłu, zza pnia. W ułamku sekundy wyostrzyły się przyćmione miodem zmysły. Odskoczył od drzewa obracając się równocześnie do tyłu i błyskawicznie dobywając szabli. Nie zobaczył nikogo. Pień lipy czernił się nieostro na tle oddalonego o kilka kroków żywo płotu rozjaśnionego słabym, żółtym blaskiem docierającym tu z kuchennych okien księżęcego domostwa.

— Kto tu?! — rzucił pytanie w słabo rozświetlony mrok. W odpowiedzi rozległ się zza grubego pnia dźwięczny, wesół dziewczęcy głos:

— Nie byle kto!

Iwanko trwał jeszcze w zdumieniu, gdy usłyszał za swymi plecami drugi głosik, brzmieniem podobny do pierwszego i tak samo rozbawiony:

— Schowaj szablę, ponestrzański rycerzu! Bitki nie będzie!

— Coście za jedne i czego straszycie? — ze złością zapytał Iwanko zręcznie wrzucając szablę do pochwy.

Zza drzewa wyszła szczupła dziewczyna w spodniach, z długimi włosami spiętymi w koński ogon. Gdy przenikająca przez gałęzie smuga księżycowego światła znalazła się na moment w jej włosach, Iwanko dostrzegł, że są one bardzo jasne.

— Jestem Liwonka Rzozówna-Siewna — przedstawiła się dziewczyna i śmiałym ruchem podała Iwance dłoń. — A to — wskazała na wyłaniającą się z mroku postać bliźniaczo podobną — moja siostra Żwanka.

— W samej rzeczy, nie byle kto! — przyznał Iwanko szybko trzeźwiejąc i witając się z drugą księżniczką. — Prawdziwe, żywe księżniczki! A to ci dopiero!

Jeśli myślały pewne siebie książęce córki, że zrobią na młodym ponestrzańskim pośle oszałamiające wrażenie, to musiały się nieco zawieść, bowiem łysy Iwanko zapytał bez nadmiernego szacunku:

— A czyście, szlachetne panny, nie za młode na to, żeby nocą po krzakach łązić i do obcych mężczyzn zagadywać?

— W pojedynkę może i za młode, dlatego we dwie jesteśmy — odpowiedziała śmiejąc się Liwonka. — A co do mężczyzn, panie pośle, toś ty chłopak jeszcze, tyle że łysina powagi ci trochę przydaje. Lat masz osiemnaście dopiero; nie mylę się chyba?

— A to skąd wiadomo?

— Na lekcji pan nauczyciel nam o was opowiadał, a przedtem jeszcze ksiądz kapelan w kazaniu o was wspominał...

— A wszystko nam na wzór — nie dała Liwonce dokończyć Żwanka. — Żeby się w bohaterstwo łowyńskich dzieci zapatrywać, co to dwa miesiące o głodzie i chłodzie o uratowanie wolności swojej walczyły, a nie poddały się cesarskim i w niewolę nie poszły...

— No, tośmy obliczyły — przerwała z kolei Liwonka Żwance — że jak w roku zaboru Niskiego łowynia dziesięć lat mieliście, to teraz macie osiemnaście.

— Niby prawda — zgodził się Iwanko zdziwiony taką wiedzą księżniczek. — Skądże jednak wiecie, że ja, to ja?

— Całe Krzywe Stoki dziś o tym rozprawiają — wyjaśniła Liwonka. — A zresztą powitanie oglądałyśmy z za żywoplotu i słowa taty naszego słyszałyśmy.

— I jeszcze się pod wieczór rozniostło, co pan pułkowy komuś powiedział, że ten drugi, tyczkowały i płowy, to pierwsza szabla na Ponestrzu! — z przejęciem dorzuciła Żwanka.

— Staśko Truba? Może i pierwsza... Ale dalej nie wiem, czego chcecie ode mnie, szlachetne księżniczki?

— Niczego od ciebie nie chcemy, panie żołnierzu — odpowiedziała Liwonka. — Chwilkę pogadać najwyżej...

— Z ciekawości zwyczajnej — uzupełniła Żwanka — bo tatko nas do niczego ważnego nie dopuszcza, i taka choćby Enga-niewolnica z postami z dalekich stron nieraz ma możliwość rozmawiać, a my tylko z za firanki albo z za żywoplotu możemy zerkać...

— A postów takich młodych nigdy i z za firanki nie widziałyśmy — nie dawała sobie odebrać głosu Liwonka. — Postami starszych i statecznych ludzi się naznacza, to wy chyba wielkimi musicie być na Ponestrzu bohaterami, że was sławny ataman Lonowy taką godnością obdarzył...

Księżniczki mówiły na przemian i bez przerw, a Iwanko szybko stracił rozeznanie, która jest którą i zaczął przemyślać, jak wrócić do Biesiadnej Izby nie uraziwszy wysoko urodzonych bliźniaczek, które tymczasem wyjawily mu, że:

— Nawet jak arcybiskup z Bożej Góry kiedyś przyjechał, to tatko takiego starego miodu nie kazał wykopywać...

— Raz jeden jedyny coś takiego było, a to jak przybył tutaj księżę Jacek Świętogaj, ojca naszego największy przyjaciel...

— Który w Księstwie Gór Jodłowych panuje...

— Które zaraz za Wisułą się zaczyna...

— I ciekawe, kto je tak ładnie nazwał...

— A teraz tatko taką beczką przeogromną dziadkowego miodu wasze uczył poselstwo...

— To na pewno nie bez przyczyny...

— I cała służba i wszyscy niewolnicy już od tego miodu weseli jak szczygły...

— I myśmy, po prawdzie, też w kuchni trochę pociągnęły, przez co takieśmy do posta śmiały...

— Ale o tym sza...!

— A wyglądacie w tych waszych hełmach kosmatych groźnie i dziko, że dreszcz po plecach przechodzi, ale też i pięknie...

— A ty się, bohaterze, łysej głowy nie wstydz, bo przez to ciekawiej wyglądasz...

— Az włosami całkiem, nie obraż się, byłbyś zwyczajny...

— I u nas łysych po dziurawicy się spotyka, bo się ta choroba w wioskach bliżej łowyńskiej granicy czasem pojawia...

— A ten twój przyjaciel tyczkowaty — całkiem ładny chłopak...

— Przez to szczególnie, że do włosów płowych brwi ma czarne jak sadza...

— A do tych brwi czarnych — oczy jak niebo po deszczu majowym...

— A w siodłach to wy się wszyscy trzymacie, jakbyście się na nich urodzili...

— My też dużo i nieźle wierzchem jeździmy, ale to nie to!

— Tylko te koniki wasze nie bardzo urodziwe...

W tym miejscu nastąpiła wreszcie krótka przerwa w niepohamowanym trajkotaniu księżniczek, którą Iwanko, niemal zupełnie już otrzeźwiały, bezlitośnie wykorzystał:

— Wybaczyć musicie, szlachetne panny, że resztę przyjdzie wam opowiedzieć mi przy innej sposobności, bo teraz trzeba mi wracać do Izby Biesiadnej, żeby się pan księżę, wasz ojciec, urażony postą nieobecnością nie poczuł. Ja dla przetrzeźwienia tylko wyszedłem z biesiady, bo mi się już w głowie kręciło, jako że z palonką tylko miałem dotąd obeznanie, a miód podstępny pierwszy raz dziś piłem.

— No, to wracaj, panie żołnierzu — powiedziała księżniczka Liwonka cicho i bez poprzedniej wesołości. — Nie odprowadzimy cię, żeby nas razem w świetle z okien ojciec, albo Krzywosocha nie zobaczył. I niechaj cię prowadzi ten wasz znak łagodny!

To co teraz nastąpiło, zdumiało łysego Iwanę nie mniej, niż przedtem sam początek niezwykłego spotkania: W dłoni księżniczki Liwonki zabłysło nagle maleńkie purpurowe światło. Zwinnymi ruchami ręki dziewczyna narysowała tym światłem w powietrzu uproszczony, ale zgrabny kwiat malwy. Ten świetlisty rysunek, przecząc doświadczeniu ludzkich oczu, nie zniknął od razu, lecz wisiał przez chwilę w półmroku, a potem powoli bladł i rozmywał się, aż w końcu przestał być widoczny.

Gdy Iwanko ochłonął z wrażenia i rozglądnął się dokoła, w pobliżu nie było już nikogo, i tylko oddalający się w niegęstych ciemnościach szelest krzewów świadczył o tym, że cała przygoda nie była przywidzeniem.

Testament atamana

Z dzieła Św. Semena Werby Wskazówki
i namowy do życia prawego i bezpiecznego...,
zwanego „pierwszym świętym zeszytem”

(...) Kończy już Wielki Bołkan ogarniać ziemie limbomowne, żadnego nie napotykając oporu. Jedno po drugim padają skłócone, słabowite bojarstwa, których słabozbrojne drużyny w rozsypkę idą na sam widok najeźdźców. Lud zaś prosty, przez bojarów niemitosiernie uciemiężony, radośnie wita bołkańskie wojska wierząc słowom ich starszyny, że oto na zawsze wyzwolony zostaje z niewoli i cierpienia, i że odtąd zaznawać będzie wolności niedoścignionej i radości nieustannej w nowym porządku, w którym wszyscy równi i każdy każdemu bratem, i nawet sam władca — pierwszy rajca republiki — nie jest wyższy od nikogo, a tylko pierwszy w mądrym doradzaniu całemu ludowi.

Minie trochę czasu, nim się „wyzwalanym” oczy otworzą, a wtedy pociekną z tych oczu krwawe łzy i dawne uciemiężenie wyda się przy nowym rajem utraconym!

A Bołkan tu i ówdzie stanął już nad Pyrutem, i chociaż ponestrzańskie wioski w samo pobliże tej rzeki nigdzie nie dochodzą, jasne się stało, że na Pyrucie właśnie naturalna jest nasza granica, której bronić nam przyjdzie przed podstępą bołkańską potęgą.

I tu następuje się od razu sprawa naszych Limbian!

Ludzie nazywający swoją szemrzącą mowę „limbą” mieszkają bowiem nie tylko za Pyrutem, ale i u nas. Osiem limbiańskich wiosek rozrzuconych pomiędzy Nestrem a środkowodotnym Pyrutem gotowym jest niejako przyczółkiem bołkańskiego mocarstwa na naszej ziemi, jako że ich mieszkańców niewiele z nami łączy. Nie tylko mowę mają własną, lecz także obyczaje odmienne i społeczność wioskowych urzędów do naszego niepodobne, a jeszcze do tego obrządku są oni bołkańskiego (z tego, co mi wiadomo — kiedy pod koniec technoczasów powstał Kościół łączony, przodkowie naszych Limbian, podobnie jak i zapyruccy ich pobratymcy, Łączenia nie uznali i pozostali przy bołkańskim wyznawaniu wiary). Jedyną więc więź ponestrzańskich Limbian z resztą tej Ziemi dość sztuczną ma naturę: jest nią wcale chętnie świadczenie na rzecz wspólną ziemską i otrzymywane w zamian bezpieczeństwo, płynące z naszej sprawności i gotowości obronnej. Nie wydaje mi się, by to wystarczyło w razie wojny z Bołkanem. Nie możemy więc liczyć na to, że nasi limbomowni zawsze dochowają nam wierności, a już szczególnie wierzyć nam nie wolno, że zechcą po naszej stronie wojować przeciw zapyruckim pobratymcom, jeżeli ci, w służbie Wielkiego Bołkanu, zetrą się z nami.

W tym, co powyżej napisałem, zgadza się ze mną cała starszyna Ponestrza, a i większość prostych gospodarzy-żołnierzy. Dalej jednak zaczynają się same różnice. Oto bowiem narastają głosy, żeby w obliczu bołkańskiego niebezpieczeństwa wszystkich naszych Limbian po prostu wypędzić za Pyrut!

Jakże możecie, Ponestrzanie, o tak niegodziwym myśleć rozwiązaniu! Toż Limbianie ziemi nam nie ukradli, na swoim żyją, ich przodkowie jeszcze przed technoczasami na tym samym miejscu siedzieli! Jakież by więc było nasze prawo z ojcowizny ich wypędzać?! Czy na darmo ja tyle lat tłumaczę, czym się różni honorowa prawość i godziwość od podłej niczemności?!

Równie haniebny, a do tego jeszcze i głupi jest pomysł, żeby ponestrzańskim Limbianom trochę sposobem a trochę przymusem narzucić nasz obrządek i nasz ustrój wioskowy, a potem jeszcze i naszą mowę. Niech nas Bóg broni przed podobnym obcych przyswajaniem! Podłość obrzydliwą takiego postępowania nieraz już tłumaczyłem, więc teraz dodam tylko, że sposobami takimi nie tylko skutku zamierzonego byśmy nie osiągnęli, lecz jeszcze Limbian naszych we wrogów najzjadlejszych byśmy sobie przemienili.

Co więc radzę?

W przyszej wojnie z Bołkanem (a nieuchronna mi się ona wydaje) Limbian ponestrzańskich do walki z ich pobratymcami zapyruckimi nie wystawiać i otwarcie im mówić, że na rozdarcie sumienia narażać ich nie chcemy! Obowiązek zbrojny wiosek limbomownych na inne świadczenie pożyteczne trzeba im wtedy zamienić, zaś granicy na Pyrucie, od której ani o krok odstąpić nam nie wolno, niechaj zawsze broni wojsko naszej mowy. Gdyby jednak Limbianie, choć od kłopotu duszy zwolnieni, zwyczajnej zdrady się dopuścili, wtedy zwyczajnie powinni być ukarani.

*Notowane w Hryzotowej Wodzie na końcu
maja roku 2153. Przepisane i postane
atamanowi Sieńce Tryhorbowi do Koniuszyny.*

Przez gęstą młodą puszcę porastającą bezludne lewe pobraże środkowego Pyrutu przedierała się w dół rzeki Wielka Sotnia Niskołowyńska. Przekraczała strumienie i niewielkie rzeczki — lewe dopływy Pyrutu, przecinała wrzące zielenią jary i wąwozy, obchodziła mokradła, oddalała się od brzegu omijając miejsca niemożliwe do przebycia i znów się do rzeki przybliżała, torowała sobie drogę szablami i toporami, a w miejscach, gdzie zbliżenie i zejście do krętego Pyrutowego koryta wydawało się jako tako dogodne, a wyjście na drugi brzeg możliwe, szukała brodów.

Wielką Sotnię Niskołowyńska utworzył ataman łewko Lonowy w 2255 roku z żołnierzy ocalałych po zagarnięciu przez Cesarstwo Północne Mokrego Kraju i Niskiego łowynia. Wszyscy oni schronili się najpierw w Hryzotowej Wodzie na łowyniu Wysokim, a potem skorzystali z zaproszenia atamana Lonowego i przybyli na Ponestrze. Było ich stu siedemdziesięciu dziewięciu, w tym tylko dwudziestu Mokrokrajan. W owym czasie zamyślał łewko Lonowy stanąć na czele rychłego odwetu Ziem Znak Malwy i odebrać Cesarstwu świeży łup, ale zaczął się akurat wzmożony napór Republiki Wielkiego Bołkanu na północ i nastąpiło osiem lat nieustannych zmagających z tym złowieszczym mocarstwem, zmagających, których czas przelomowy dopiero nadchodził. Choć niewielką tylko część swej zbrojnej mocy kierował Bołkan przez te lata przeciw Ponestrzu, a wysiłkiem głównym parł na ogarniętą zwycięskim powstaniem północną Uhorszczyznę i na Wielkie Księstwo Hornostawii, doświadczony ponestrzański wódz rozumiał doskonale, że oto nabiera powoli rozpędu wojna o wszystko. Powodzenie wroga w północnej części Wielkiej Uhorskiej Niziny — przekonywał ataman radę ziemską — zdławienie ostateczne powstania i opanowanie trwałe dorzecza górnej Czysy oznaczać też będzie uchwycenie po jakimś czasie przetęczy łączących Nestrowy kraj z Uhorszczyzną, czyli zdobycie bram do górnego Ponestrza. Z kolei pobicie Hornostawii utworzyłoby Bołkanowi drogę przez niskie góry i szerokie przetęcze do południowych połaci Księstwa Sańsko-Wysołockiego, a więc obejście wysokich gór od zachodu i uderzenie w Ponestrze, a nawet od razu i w Wysoki łowyń od strony górnej Sani znalazłoby się w możliwościach potężnego wroga. Nie można wątpić — wyjaśniał Lonowy zasiadającym w radzie atamanom wioskowym — że za szczupłe są siły sańsko-wysołockie, by mogły bez pomocy Ligi wytrzymać możliwe uderzenie Bołkanu, wsparcie zaś od Ligi coraz bardziej wydaje się wątpliwe, bo popsuty się odnoszenia Rzozy-Siewnego z zachodnimi księstwami małolackimi, zajętymi na dodatek odpychaniem cesarskiego oskrzydlenia od południa, jako że król Wełtostawii przyjął niedawno opiekę Cesarstwa. Do tego wszystkiego trzeba mieć na uwadze, że Bołkan w żadnych innych stronach podbojów prowadzić już nie może, bowiem na wodzie wojować nie umiając do Tirkijów przepłynąć się nie jest w stanie, na zachodzie zaś granicę z podległym Cesarstwu Królestwem Małomienieckim, czyli też Rakuskim, jak je inaczej

nazywają, musi szanować, bo wszelkiego z Cesarstwem zatargu unika najstaranniej. Widać więc jasno, że bołkański pierwszy rajca prawie wszystkie swoje wojska może teraz pchać na północ, a to groźba śmiertelna dla wolnej części Uhorszczyzny, dla Hornostawii, Ponestrza i Sańsko-Wysokołockiego Księstwa.

Tak przedstawiając położenie wymógł dla siebie ataman Lonowy na radzie ziemskiej tyle niemal władzy i praw, ile atamanom na czas wojny przysługuje. Swobodną już mając rękę pozawierał wieczyste przymierza z panami przełęczcy — wolnymi góralami horhańskimi i czarnohorskimi, i z ich pomocą rzucał każdej wiosny przez przełęczce ruchliwe ponestrzańskie sotnie do śmiertelnych zmagañ na Uhorszczyźnie.

Jeździła też wojować nad Czysą, Latorzycą i Somuszem Wielka Sotnia Niskołowyńska i biła się za dwie wierząc, że przybliża przez to dzień przyszłego wymarszu na północ — do Niskiego łowynia i Mokrego Kraju. Lecz zeszło osiem lat, a ten dzień tęskniony nie nadchodził. Z roku na rok sotnia rzedła, zostawiając w żyznym krzewostepie Wielkiej Uhorskiej Niziny białe krzyże z niezdarnie wyrzeźbionymi wojskowym nożem kwiatami malwy. Wielu żołnierzom starość kazała zsiąść z koni. Zakończył wojowanie sławą owiany dowódca Wielkiej Niskołowyńskiej — wioskowy ataman znad Stochidu i ponestrzański sotnik — Dmytro Swityna. Wielu starych żołnierzy wstydliwie przecierało łzawiące oczy, gdy siwiuteńki Swityna przekazywał w obecności równie siwego atamana Ponestrza srebrzony buzdygan Izajowi Nenechajce, który również dosłużył się pod Lonowym trzech wyszywanych kwiatów malwowych na rękawach bluzy. Kiedy pod koniec czerwca 2263 roku posyłał ataman Lonowy ten wysłużony oddział z niezwyčajnymi zadaniami nad środkowy Pyrut, musiał go uzupełnić dwiema dziesiątkami młodych ponestrzańskich żołnierzy, by przywrócić mu pełną bojową wartość.

I oto dwunasty już dzień z kolei, upalny i duszny jak poprzednie, przecinała się sotnia lewym brzegiem Pyrutu przez młodą puszczy, nad którą górowały tu i ówdzie kępiaste dąbrowy. Po południu znaleziono czwartą już na prześledzonym odcinku rzeki płyciznę możliwą do wykorzystania jako bród. Sotnik Nenechajko kazał wyrębać przez skłębione chaszczce drogę do samego brzegu, na tyle szeroką, by mogły nią przejść dwa konie obok siebie.

— No, to noc nie nasza! — zauważył któryś z młodych Ponestrzan usłyszawszy polecenie dowódcy.

— Na to wygląda — zgodził się inny. — Jak się ściemni, pójdzie pewnie wycieczka na drugą stronę. I nie ze starszych ona będzie, tylko z nas.

Przypuszczenie młodych żołnierzy sprawdziło się natychmiast:

— Jedenasta i dwunasta dziesiątka! — padł rozkaz sotnika. — Na łąkę wracać, do obozowiska! Tam pomóc obozowym przy kucharzeniu i przy koniach, a potem odpoczywać! Reszta do rąbania przecinki! A panowie Myłski i Sakłan — też do obozu, nanieść bród na ziemiorys! A i wszystko, co dzisiaj zbadane a zaznaczenia warte, wrysować na papier!

Myłski i Sakłan — najemni nauczyciele z rozkazu atamańskiego wcieleni do sotni, wykonywali pracę niezastąpioną, ale też przysparzali dowódcy sporo kłopotu. Zadaniem ich było sprawdzanie na całej przebywanej drodze zgodności otrzymanych z Przyatamańskiej Izby Wojennej ziemiorysów z rzeczywistymi kształtami koryta i doliny Pyrutu, nanoszenie na pustawy rysunek odkrytych płycizn i miejsc dogodnego zejścia do rzeki, wpisywanie zbadanych głębozysk, wrysowywanie ujść małych strumieni, zaznaczanie mokradeł i lasków grubopiennych. Wykonywali ten obowiązek starannie, co z polecenia sotnika sprawdzał od czasu do czasu znajdujący się na tych rzeczach kapelan sotni — leciwy i wciąż jeszcze dziarski ksiądz Iwaś Izajenko. Poza tym jednak uczeni niby-żołnierze niczego nie potrafili zrobić

należycie. Nie nawykli do siodła, już po kilometrze zwawszej jazdy podnosili lament, że już nie mogą i że proszą, by ich tu dobić i na miejscu pochować. Nie umieli rozbić namiotu ani rozpalić ogniska. Wieczorami narzekali na komary i do późnej nocy kręcili się po obozowisku i wokół niego, a do tego nigdy nie potrafili zapamiętać hasła, przez co pewnego razu omal ich wartownicy z półkusz nie ustrzelili. Rano zaś nie chcieli wstawać i złorzeczyli wymyślnie każdemu, komu przypadł obowiązek ich budzenia. Powtarzali też ciągle, że ich udział w wyprawie wziął się z niespotykanego bezprawia, bowiem, jak mówili, ani ziemi nie mając, ani rzemiosła nie uprawiając, ani handlu nie prowadząc, żadną miarą wojskowemu obowiązkowi nie podlegają, a przeto nie miał ataman prawa do sotni ich przydzielić i „na zatracenie w zielonym, komarzym piekle” posyłać. Wojskowe niedoświadczenie i wieczne niezadowolenie umundurowanych nauczycieli skłaniało z początku niektórych żołnierzy do dokuczania im, czego jednak ostro zabronił Nenechajko po tym, jak przypadkiem podsłuchał ich kłótnię nad rozłożoną na desce płachtą ziemiorysu.

— I cóżeś to za krechę namalował?! — pieklił się Saktan.

— Podejście jedyne do brodu; nie pojmujesz? — odpowiedział Mylski. — I tu, i tu krzaki podmokłe, i tylko podług tej „krechy” konni mogliby ku brzegowi się przerąbać.

— Namalowałeś więc coś, czego nie ma? Niczego takiego rysować nam nie kazali, ty kozi ogonie! To tylko w błąd kogoś może wprowadzić, jakby przyszło z tej karty korzystać!

— Objaśnienie wpiszę, bałwanie bezduszny! A niechby tak wojsko akurat tędy miało się przeprawiać, to popatrz dowódca na ziemiorys, zobaczy brodową płyciznę i z brzegu doliny na wprost ku niej ruszyć każe, i ugrzęźnie wojsko w krzakach bagnistych! W pysk by ci dać, że o takiej rzeczy nie pomyślisz!

Sotnik nikomu nie zdradził, że słyszał poprzez zarośla ten rzeczowy spór nauczycieli, patrzył jednak odtąd na nich życzliwiej i tępił żołnierskie dla nich złośliwości.

Na godzinę przed zachodem słońca przecinka do brzegu Pyrutu była gotowa i sotnia zebrała się w obozowisku, gdzie wcześniej zwolnione dwie dziesiątki młodych żołnierzy zdążyły już rozbić dla wszystkich dwuosobowe namioty, a służbowi kończyli gotować w kilkunastu niewielkich kociołkach hreczaną kaszę z suszonym mięsem oraz napój z lipowego kwiatu i zesztorocznych wędzonych wiśni. Strudzeni żołnierze wsiadali na oklep na pasące się wokół namiotów rozsiadane konie i małymi grupkami zanurzali się w okalających łąkę zaroślach, udając się przetartą przed południem ścieżyną do odległego o kilkaset kroków wodopoju na płytkim, rwącym strumyku. Gdy zakończono pojenie koni, obozowi zaczęli wydawać posiłek. Żołnierze tłoczyli się przy dymiących kociołkach, potem odchodzili z napełnionymi menażkami kilka kroków, siadali w kucki w wysokiej trawie i jedli łąpczywie i w milczeniu. Jeden tylko dziesiątnik Sobidko, któremu od zamiłowania do palonki osłabły dżiąsta, wyrzekął na służbowych, że suszonego mięsa nie rozgotowali należycie, o młodych tylko dbając, wilcze mających użębienie.

Pod koniec wczesnej wieczerzy przybyli do obozu dwaj żołnierze z ubezpieczenia tylnego. Starszy z nich meldował Nenechajec:

— Panie sotniku! Nas dwóch przodem pchnął pan dziesiątnik Pomitny z powiadomieniem, że podług rozkazu przepatrzyliśmy wszystko uważnie na jakie dwanaście kilometrów wstecz i podejrzanę rzecz na drugim brzegu dostrzegliśmy, wczorajsze spostrzeżenia potwierdzające. Bród przez nas pozawczoraj odnaleziony oznaczony jest po tamtej stronie żółtą szmatą do wierzchołka wysokiego drzewa uczeponą! Ludzi konnych, niewojskowo odzianych, ale przy szablach i łukach, pięciu co najmniej sotni naszej po tamtej stronie chyłkiem towarzyszy kryjąc się bacznie, i oni to najpewniej tamtą szmatę na drzewie zawiesili.

— A konie tamci jakie mają?

— I mierzynowate, jakby naszej łowyńskiej odmiany, i roślejsze takż, panie sotniku.

— A pan dziesiątnik i reszta gdzie teraz?

— Powoli jadą, panie sotniku, co trochę któryś na drzewo się wspina i tamten brzeg śledzi; będą na teraz jakie pięć stąd kilometrów.

— Dobrze. Dzięki za służbę dzisiejszą, panowie żołnierze! Do wieczery się bierzcie i do odpoczynku.

W kilka chwil później wyłonili się z gęstwiny kolejni dwaj jeźdźcy — tym razem zwiadowcy z czołowego ubezpieczenia. Na ich brudnych, mokrych od potu twarzach malowało się krańcowe zmęczenie. Czarne od błota i przepocenia mundury upstrzone mieli ciemnożółtymi smugami z jakichś kwiatów roztartych przy czołganiu i poprzylepianymi strzępkami zeschniętych listków. Gdy podjechawszy do dowódcy zeskoczyli z siodła, wydawało się, że upadną. Przyjęli jednak po krótkiej chwili wyprężoną postawę i jeden z nich zameldował:

— Panie sotniku! Za bliskim zakrętem Pyrutu, ze cztery kilometry niżej, za krzakami po tamtej stronie, stosy belek obrobionych są przygotowane, do spinania w tratwy sposobne. Ludzi niewojskowych a zbrojnych koło dwudziestu tam obozuje i dalej pracuje drzewa tnąc i ociosując. Mają konie, na łąkach za chaszczami je pasą. Reszta naszych ukrytą czatą naprzeciw tamtych po tej stronie stoi i złuzowania prosi, bośmy przez to utrudzeni ogromnie, że samymi szablami przyszło nam się szmat drogi przerażać.

— Za trud znojny serdecznie wam dzięki, panowie żołnierze! — powiedział Nenechajko cichym głosem, jakby zawstydzony niezmiernym zmęczeniem podwładnych. — Posilcie się, potem śpijcie do rana. Końmi waszymi obozowi się zajmą.

Czerwieniejąca tarcza słońca zsuwała się powoli z bezchmurnego nieba w korony dąbrowy siniejącej na dalekim brzegu nadrzecznej doliny. W obozowisku trwała zwyczajna i niespieszna przedwieczorna krzątanina, tylko wśród młodych, niezbyt jeszcze doświadczonych żołnierzy z jedenastej i dwunastej dziesiątki panowało podniecenie. Pewni, choć nikt tego jeszcze jasno nie powiedział, że pójdą nocą na drugi brzeg, dodawali sobie werwy i odwagi w rozmowach pełnych niewybrednych żartów i sprawdzali uważnie cięciwy swych łuków, badali miękkość i bezgłośność wysuwania szabel z pochew i łatwość otwierania zapinek dwugrotników, przyglądali się bacznie ściegowi dratwy i popękaniom lica na rzemieniach popręgów siodła i na puśliskach strzemion. Niektórzy próbowali też wytargować u obozowych odrobinę palonki do manierek, ale żadnemu się to nie udało.

O niegęstym jeszcze zmierzchu Nenechajko zarządził pieszą zbiórkę sotni, polecając zwolnić z niej tylko tych czterech, którzy powrócili z ubezpieczeń. Gdy dwuszereg wyrównał się i uciszył, sotnik przemówił:

— Jako chyba wszyscy wiecie, panowie żołnierze, ludzi jakichś niewojskowych zbrojna banda po tamtej stronie rzeki pracuje, wyniki naszej roboty na użytek wroga przyswajając, a także przygotowując drzewo do tratwowych przepraw. Tej nocy kres temu położymy i dowiemy się, co to za jedni. Do tego wyznaczam jedenastą i dwunastą dziesiątkę, a to z tej przyczyny, że dobre, młode oczy i uszy będą potrzebne w tej nocnej robocie. Jako odwód na przypadek cięższej walki przeprawi się niedługo po młodych dziesiątkach piętnastu ochotników, nad którymi komendę weźmie pan dziesiątnik Chartyk Tyka. Kto do tego chętny, niechaj teraz wystąpi!

Przed pierwszy szereg wyszło ponad dwudziestu żołnierzy, spośród których dziesiątnik Tyka szybko wybrał piętnastu. Sotnik rzucił polecenia:

— Jedenasta, dwunasta i odwód! Gotowość na równą północ! Do tego czasu dokarmić konie suchym obrokiem, o bezdźwięczność oporządzenia zadbać i odpoczywać! Panowie

dziesiątnicy, Tyka, Pałtań i Perwaczko, za połowę godziny do mnie po rozkazy dokładne! Odmaszerować!

Gdy wyznaczeni do wycieczki odeszli, Nenechajko wydał rozkazy reszcie sotni:

— Szósta dziesiątka! Zluzować ubezpieczenie czołowe, potem wycofać się i sześćset metrów stąd czatę przednią urządzić!

Dziewiąta! Pieszą czatą tylną pół kilometra stąd stanąć! ubezpieczenie tylne powracające przepuścić do obozu!

Pierwsza! Dwie piesze czujki boczne ku brzegowi doliny w zwyczajnym oddaleniu wystawić!

Trzecia i ósma! Wystawić warty przyobozowe i obozowe!

Druga i dziesiąta! Wyznaczyć służby obozowe na jutro!

Piąta i siódma! Konie swoje osiodłać, popręgi poluźnić; niechaj je służbowi blisko namiotów pasą; spać w gotowości do poderwania!

Czwarta... — sotnik zawiesił głos jakby czekał na odzew, który rzeczywiście nastąpił, a był nim dobiegający z szeregów głośny pomruk niezadowolenia i czyjś gniewny wyrzut:

— Czwarta całą noc zeszlą czuwała!

— Czwarta! — dokończył Nenechajko — Spać dobrze bez obowiązków!

Słabym szmerem ulgi skwitowali żołnierze nienajświetniejszy żarcik sotnika, a potem zawisła nad szeregami cisza doskonała — oczekiwanie na następne słowa dowódcy, które każdy pragnął wyraźnie dosłyszeć i zapamiętać.

— Hasło na dobę — rzucił w tę ciszę sotnik — „komary”, odzew — „dziegieć”! Rozejść się!

Powrotu żołnierzy z wypadu za rzekę spodziewano się wnet po wschodzie słońca, ale minęło pojenie koni i poranny posiłek, a zza Pyrutu nikt nie wracał, ani nie było stamtąd żadnych wieści ni znaków. Nie mając innych zajęć zabrali się obozujący żołnierze do poprawiania swego nieco już zbójeckiego wyglądu, a przede wszystkim do zgojenia szczeciniastych, tygodniowych zarostów. Przeklinali przy tym zarówno ponestrzańskie brzytwy — wyrób koniuszyńskiego bractwa „Kuźnie Drobne. Olifer Słomaczko i Wspólnicy”, jak posławuckiego pochodzenia mydło, jak i wreszcie „zwierciadółka niezawodne”, wytwarzane przez „Dom Wyrobów z Metalu Lekkiego. Eliasz Czuzak i Wspólnicy. Hryzotowa Woda”. Te ostatnie — lekkometalowe płytki z odgniecionym wzorkiem na brzegach i wypisaną na odwrocie z bezwstydną szczerością nazwą wytwórcy, doprowadzały ludzi do wściekłości tym, że już w dwa dni po żmudnym ich przegładzeniu z powrotem przestawało się w nich cokolwiek odbijać, i trzeba było je od nowa cierpliwie wybłyszczać kawałkiem sukna. Jakoś jednak pokonali żołnierze niedoskonałość przyborów i twardość siwiejących już u większości, a u wielu zupełnie białych zarostów i znowu stali się podobni do prawdziwego malwiańskiego wojska, zwyczajowo starannie ogolonego.

Dopiero na trzy godziny przed południem powróciła do obozu szesnastka odwodu, wiodąc pięciu pojmanych za rzeką ludzi i dziesięć zdobycznych koni. Dziesiątnik Chartyk Tyka niewiele mógł opowiedzieć o wydarzeniach nocy i poranka.

— Tak jak nakazałeś, panie sotniku — zdawał sprawę Nenechajce — Nad całością wziął dowództwo pan dziesiątnik Pałtań. Perwaczkę z sześcioma ludźmi posłał w górę rzeki, mnie z odwodem kazał czekać niedaleko brodu, sam zaś z dwunastoma ruszył w dół. Czekałem więc i czekałem wiadomości żadnej znikąd nie mając, aż nareszcie w godzinę po wschodzie wrócił pan Perwaczko ze swoimi i zaraz dalej w dół poleciał, i tyle tylko młokosy opowiedzieć zdążyli, że szkodników wycięli wszystkich, to jest ośmiu, a żywego nie wzięli nikogo, bo się zaskoczenie nie udało. Zostawili mi też koni wziętych osiodłanych sześć, dwa bowiem, jako

marne, w krzewostep przepędzili. No i dalej czekałem beczynn timer, panie sotniku, aż przed jakąś godziną dopiero dwóch żołnierzy Pałtaniowych się pokazało. Tych oto pojmany mi przekazali i jeszcze cztery konie, a także rozkaz, żeby odwód do sotni wracał, bo po tamtej stronie już niepotrzebny. To i jesteście, panie sotniku, i nic więcej nie wiemy.

— Tych — Nenechajko ruchem głowy wskazał pojmany, którzy nogi spętane mieli pod końskimi brzuchami, a ręce związane do tyłu — pytać o co próbowaliście?

— Nie, panie sotniku. Oni naszej mowy nie pojmują, a między sobą szemrzą i szeleszczą, czyli, zdaje się, limbą mówią. Żołnierze powiadają, że jak na zapyruckich, którzy jako wiadomo w łachmanach chodzą, to ci coś porządnie są odziani... Może to synowie rajców pomniejszych, albo i sołdaci za niewojskowych czemuś przebrani?

Dowódca uważnie przyglądał się więźniom. Wszyscy byli młodzi, najstarszy nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia lat, najmłodszy mógł mieć siedemnaście. Mieli na sobie czarne i szare, nieco obciste spodnie z cienkiego sukna, przybrudzone lniane koszule, czarne kubraczki bez rękawów i ubłocone buty z niskimi cholewkami.

— Niedokładnie się im przyjrzełicie — stwierdził sotnik.

— Buty mają przecież takie same, jak my wszyscy, nie uważasz?

— W samej rzeczy! — zdziwił się Tyka.

— To jeszcze ich siodłom się przypatrz.

— Od naszych trochę gorsze, ale od partackich bołkańskich niepomierne lepsze — ocenił dziesiętnik. — Czy znaczyć to może...

— Może — wszedł mu w słowo Nenechajko — i najpewniej znaczy. Sprawdzimy, jak reszta wycieczki powróci. Zdjąć tych ludzi z koni, w trawie posadzić i pilnować!

W dwie godziny po odwodzie powróciły z wyprawy za rzekę młode dziesiątki Pałtania i Perwaczki, z szóstym więźniem i tabunikiem kilkunastu zdobycznych wierzchowców. Dziesiętnik Pałtań — drobny, jasnowłosy dwudziestolatek o wyrazistych sinych oczach i miękkich, kocich ruchach, zaczął swe sprawozdanie z miną dziecka przyznającego się do winy:

— Nie popisaliśmy się, panie sotniku!

— Co do tego, to zgoda! — odpowiedział kpiąco Nenechajko.

— Pod obozowisko przy sagach podeszliśmy...

— Wolałbym krócej, panie dziesiętniku — przerwał dowódca.

— Tamtych wszystkich razem ilu było? Pałtań krótko liczył w myśli i odpowiedział:

— Trzydziestu ośmiu.

— Wzięliście, znaczy, sześciu?

— Tak jest.

— Uszedł ktoś?

— Nikt, panie sotniku. Trzydziestu dwóch, razem biorąc, położyliśmy, z czego połowę po długim pościgu, stąd i do teraz zeszło.

— Chyba ktoś im przewodził; macie go?

— Tak. To najwyraźniej ten, co go właśnie wieziemy. Na najlepszym koniu najdłużej uciekał.

— Więc ubezpieczenie wczoraj nienależycie rzecz rozpoznało, na dwudziestu tylko obóz przy sagach szacując...

— Nie, panie sotniku! Było jeszcze jedno obozowisko, znów dwa kilometry niżej, i tam było dziesięciu.

— Co z drzewem przeprowowym?

— Rozumie się, spaliliśmy, a co się nie chciało palić — zepchnęliśmy do Pyrutu.

Po obiedzie zaczęło się przesłuchanie pojmanych. Na skraju łąki, w cieniu młodego buka, na niezgrabnej ławie z czterech słupków i dwóch ociosanych drągów siedział dowódca sotni, a przy nim kapelan Iwaś Izajenko, dziesiętnicy Pałtań i Perwaczko i młody żołnierz z jedenastej dziesiątki władający limbą, nazwiskiem Wiwczar. Przed nimi stali szeregiem więźniowie ze związanymi do tyłu rękami, a po bokach ławy i za nią gromadził się tłumek starych i młodych żołnierzy-gapiów.

— Czy który z was zna naszą mowę? — zwrócił się sotnik do pojmanych, którzy stali spokojnie, milcząc i patrząc przed siebie z pogardliwą obojętnością.

Milczenie przerwał dziesiętnik Pałtań:

— Ten najstarszy, cośmy go ostatniego złapali, bez wątpienia po naszymu pojmuje, panie sotniku.

Nenechajko skierował na wskazanego zniecierpliwione spojrzenie i powiedział cedząc słowa:

— Słuchaj, młody głupcze! Wiemy, żeście nie z bołkańskiej, lecz z naszej strony Pyrutu, więc zdraycy. Nam serca dawno skamieniały, przeto ani cień litości dla was do głowy nam nie przyjdzie. Zanim cię śmierć wybawi, powiesz nam wszystko, o co cię zapytamy, niczego nie przekręcisz, niczego nie zataisz; masz na to moje słowo. Jeśli jednak chciałbyś nie jako wyjący kawał mięsa opieczonogo, lecz w człowieczym podobieństwie umierać, to oszczędź sobie męki, a nam czasu. Więc?

— Jasno i szczerze powiedziane! — przemówił pytany z szyderstwem w głosie. — Zeznam prawdę bez opiekania. Ale przedtem ręce każ mi przewiązać do przodu, sotniku.

— A to czemu?

— Przysługuje to jeńcom, żeby się rękoma związanymi mieli możliwość od bicia w twarz i plucia w oczy ostłaniać.

— Żarty ci w głowie? Wiesz dobrze, że kto nie w mundurze i bez znaku żadnego uznanego, ten nie jeńiec i praw nie ma żadnych. Jak się zwiesz?

— Petru Dogaru. Ale skorośmy nie jeńcy, to nam się w takim razie sąd zwyczajny należy; przed radą jaką chcemy więc stanąć, albo przed atamanem.

Nenechajko, z coraz większym trudem zachowując opanowanie, wyjął zza pasa srebrzony buzdygan i drewniany, na czerwono malowany piernacz.

— To — potrząsnął buzdyganem — władza moja nad wojskiem mi powierzonym! To zaś — uniósł wyżej czerwony piernacz — dana mi część władzy atamańskiej czasu wojny! A władza atamańska czasu wojny nad życiem jest i nad śmiercią! Przetłumacz to swoim!

Dogaru pobladł. Przez krótką chwilę wpatrywał się przerażonymi oczyma w rzeźbiony, szkarłatny przedmiot w dłoni Nenechajki, potem zwrócił poszarzałą twarz ku współwięźniom i przekazał im w limbiańskiej mowie napomnienie sotnika.

— Dobrze przewiódł? — zapytał sotnik żołnierza-tłumacza.

— Całkiem należycie, panie sotniku — ocenił Wiwczar. Nenechajko, wsuwając z powrotem za pas obydwaj znaki swej podwójnej władzy, zwrócił się ponownie do Dogaru:

— Skąd wy?

— Z wiosek Hołda, Ghioc i Haita — padła niezwłoczna odpowiedź.

— Ty byłeś nad ostatnimi starszym?

— Tak.

— Kto ci rozkazy powydawał?

— Nikt.

— Jaśniej odpowiadaj!

— Bractwo zawiązaliśmy... Równość i Braterstwo — tak je nazwaliśmy.

- Ku czemu ono?
- Ku równości prawdziwej, bez wójtów, bez starszyny i bez bogaczy.
- Znaczy — jak w Bołkanie?
- Tak. Tam wszyscy równi, a rajcowie tylko pośród równych pierwsi.

Głośnym śmiechem huknęli żołnierze otaczający sotnikowską ławę, a zaraz potem ktoś zawołał:

— Panie sotniku, któryś Pałtaniowy pędzi od namiotów! Przez łąkę biegł młody żołnierz. Lewą ręką przytrzymał przeszkadzającą mu szablę, prawą zaś, w której trzymał jakiś niewielki przedmiot, co parę kroków pomachiwał nad głową.

— Panie sotniku — powiedział dobiegając do ławy i podając Nenechajce skórzany woreczek — ten miszek znalazłem dopiero co w sakwie u siodła tego najstarszego... — rozglądając się po twarzach więźniów i wskazując Dogaru dokończył — znaczy się, tego tu.

Sotnik rozsypał rzemyki gruszkowatej sakiewki i wysypał z niej na dłoń kopczyk cienko pobrzękujących, maleńkich złotych piątek.

— Przelicz, panie dziesiątniku — zwrócił się do Pałtania i przesypał pieniądze w jego dłoń.

Trwającemu dość długo liczeniu, w którym pomagał dziesiątnikowi ksiądz Izajenko, towarzyszyła z początku cisza pełna ciekawości, a później półgłosem wypowiedane uwagi żołnierzy:

- Ładny majątek! Ze sto blaszek tego będzie!
- Szczodry pierwszy rajca, szczodry!
- Może by się do nich na najemnego zaciągnąć?
- Nie wezmą, boś do równości nie nawykły.
- Takemu drałgalowi to by musieli najprzód łeb uciąć, żeby był równy.

Wreszcie Pałtań zakończył pracę i obwieścił:

— Gwiazdek wielkobołkańskich czterysta czterdzieści, to jest, na nasze licząc, blaszek sto dziesięć!

Nenechajko przyglądał się otępieł ze strachu twarzy Dogaru z kpiącym uśmiechem i kiwał głową z pełnym szyderstwem zrozumieniem, poczem powiedział:

— To zachętę ku bołkańskiej równości już zobaczyliśmy, a teraz powiedz, Dogaru, kto ci dał ten zacny mająteczek?

— Panie sotniku, ja dla siebie ani gwiazdki nie wziąłem — rozdygotanym głosem odpowiadał więzień — i nikomu ani gwiazdki nie dałem! My nie dla zapłaty! Nagroda tylko była wszystkim obiecana, po dziesięć gwiazdek...

- Od kogo wziąłeś pieniądze?! — ponowił sotnik pytanie ostrzejszym tonem.
- Od Any Pirvan.
- Kto to?
- Ona wie gdzie Karawanę Pokoju.
- Jaśniej! Co za karawana?

— Jedzie przez nasze wioski, po parę dni się zatrzymując. Wozy z budami. Grają, śpiewają, przemowy mają... ksiądz naszego obrządku jest z nimi i kazania przepowiada.

- Gdzie teraz będzie?
- Może być w Haicie, albo w Lalei.

Nenechajko zamyślił się na chwilę, poczem zadał kolejne pytanie głosem beznamiętnym, zimnym:

- Tobie ile lat, Dogaru?
- Dwadzieścia pięć.

- Az tych tu twoich ma który więcej jak dwadzieścia?
- Z nich dwudziestu lat żaden jeszcze nie ma.

Urwało się wypytywanie. Sotnik milczał dłuższą chwilę; ucichł też gwar wśród żołnierzy.

- My nie za pieniądze... — żalosnym, skamłącym głosem powiedział Dogaru.
- Przywołać tu Dziaziabina! — krzyknął Nenechajko.

— Sprzeciw, panie sotniku, sprzeciw! — błyskawicznie odezwał się na dźwięk wypowiedzianego nazwiska ksiądz Izajenko.

— Tu jestem! — doleciał z grupy żołnierzy niski, chrapliwy głos.

— Nie wolno! Sprzeciw, panie sotniku! Nie wolno! — krzyki wykrzykiwał coraz głośniejsz kapelan wstając z ławy i siadając z powrotem.

Nenechajko nie zwracał żadnej uwagi na okrzyki Izajenki. Spojrzał raz jeszcze na przestuchanego i zwrócił się do niego po raz ostatni:

— Czy chcesz, Dogaru, rozmawiać z księdzem Kościoła Złączonego?

— Kapłanom waszego Kościoła nic do mnie! — odpowiedział więzień z niespodziewanym nawrotem hardości.

Z tłumku żołnierzy wyszedł ociężałym krokiem stary, siwiuteńki człowiek w mundurze spłowiałym na szarawą biel. Jego jasnopopielate, skąpe białe brwi, pomarszczona twarz i indycza szyja tworzyły obraz starca u samego schyłku życia, ale nie pasowały do tego obrazu długie, muskularne ręce zakończone bochnowatymi dłońmi i wypukła, rozsadzająca bluzę pierś siłacza. Był to Mokrokrajanin Sawa Dziaziabin, przewiskiem Kat.

Utrata żon, dzieci, siostr i braci, przyjaciół, wiosek i stron ojczystych, a potem osiem lat okrutnych wojen na Uhorszczyźnie, zamieniły w kamień serca wszystkich Niskołowynian i Mokrokrajan służących w ponestrzańskiej Wielkiej Sotni. U Dziaziabina jednak kamień ten był szczególnie twardy.

W pamiętnym dniu zaboru dwóch Ziem Dziaziabin nie był w drodze na ćwiczenia pod Styrbrodem, jak wszyscy inni starzy żołnierze sotni. Ataman wioskowy zostawił go wówczas w domu uznając, że nie nabrał jeszcze sił po przebytej dziurawicy, był więc w wiosce, kiedy spadli na nią cesarscy. Kilkakroć, nagabywany, zaczynał opowieść o tamtym dniu, lecz nigdy jej nie dokończył.

— Chata na skraju, pod samym lasem stała — opowiadał — i do mnie pierwszego wpadli. Przestrzelili mnie z kałaszką tutaj — wskazywał miejsce pod prawym obojczykiem — ałem się po jakiejś chwili ocknął i wszystko widziałem. Żona lata wcześniej zmarła, z synem byłem i dwiema córkami... ja ich troje, sam chory, miesiąc z dziurawicy leczyłem i uratowałem! I wtedy... — dalej Dziaziabin nie mógł mówić i w tym właśnie miejscu zawsze urywał, bo nabrzmiwały mu na pomarszczonej szyi coraz szybciej pulsujące tętnice i zaczynał się dusić. Jeżeli podano mu w takiej chwili manierkę z palonką, to wypijał z niej chciwie kilka dużych łyków i uspokajał się powoli, ale dalej nie opowiadał. Raz tylko zdarzyło się, że dodał: — Jak dojrzeli, że żyję, to mnie drugi raz przestrzelili i zakopali w gnoju. Ale nie była mi na ten czas śmierć pisana! I odtąd jam dla każdego wroga kat!

Te groźne słowa nie były przechwałką. Dziaziabin, nie mogąc w ojczystej wiosce wyżyć z podmokłego pola i bagnistego pastwiska, trudnił się ścinaniem drzew na potrzeby całej wioski i po wielu latach pracy ciężkim toporem, wyrobił sobie niespotykaną siłę w długich ramionach i ogromnych dłoniach. Pozwalała mu ona, choć był z natury dość powolny, poruszać szablą tak prędko, jak człowiek przeciętny poruszać może suchym patyczkiem. W pierwszej bitwie na Uhorszczyźnie, a było to nad Somuszem, Dziaziabin-Kat rozplątał hełmy wraz z głowami jedenastu byłharskim konnym, a potem jeszcze zarażał dwóch dalszych, którzy już rzucili

pałasze poddając się. Za niebranie jeńca ukarał go sotnik Swityna kilkoma dobami nieustannej służby obozowej, co dało tylko ten skutek, że odtąd straszny Mokrokrajanin ciął niedoszłych jeńców zanim zdążyli rzucić broń.

I oto teraz, przyzwany przez sotnika Nenechajkę, Dziaziabin wyszedł niespiesznie z gromady żołnierzy przyglądających się przestuchiwaniu schwytanych Limbian.

Dowódca lekkim ruchem głowy wskazał Petru Dogaru i patrząc znacząco w białopopielate oczy siwego żołnierza powiedział:

— Odprowadź, Dziaziabin, panie żołnierzu, tego człowieka.

— Rozkazałeś, panie sotniku! — przyjął rozkaz Dziaziabin i położywszy ciężką dłoń na karku więźnia powiódł go przed sobą niby snopek suchej słomy. Szli tak przez środek łąki, minęli w milczeniu namioty i omijając grupki pasących się koni zbliżali się do ściany wysokich, drzewiastych krzewów. Pilnujący koni dwaj niemłodzi żołnierze ze służby obozowej leżeli w wysokiej trawie i palili złotawobrązowe zwijki tytoniu.

— Nie trać mnie... — przerwał milczenie Dogaru, ale w głosie jego nie było wiary.

Tę prośbę wyzbytą nadziei usłyszeli leżący obozowi, i jeden z nich odezwał się:

— Nie strachaj się, limbomowny! Dziaziabin nigdy nie zabił związanego człowieka.

— Trzeba było, ty świński cycku, zamiast złota mundur wziąć od Bołkanu, tobyś teraz był jeńcem, a nie zdrajcą — powiedział Dziaziabin popychając więźnia w prowadzącą do wodopoju, wyciętą poprzez gąszcz ścieżynę. Po parunastu krokach Dziaziabin sięgnął po nóż i zdejmując prawą dłoń z karku Dogaru lewą ręką rozciął mu więzy.

— Możesz spróbować uciekać — powiedział ociężałe. Limbianin, wyciągnąwszy ręce przed siebie, przyglądał się bezmyślnie ich wolnym od rzemieni przegubom.

— Możesz próbować uciekać — powtórzył leniwie Dziaziabin.

Dogaru spróbował, nim jednak nadał swemu ciału wyraźniejszy ruch do przodu, straszny, ciągnięty cios szabli rozplątał go od lewego ramienia po prawe biodro.

Obóz zwijano o pierwszym brzasku, a o świcie sotnia wyszła z nadrzecznej doliny i ubezpieczonym marszem ruszyła przez bezludny, dziki krzewostep na południowy-wschód. Droga była ciężka. Gęstwa traw, a w niej wysokie do końskich piersi, powiązane mocnymi łodygami powoju, zwarte kępy tymotki i kostrzewy przemieszanej z dziką pszenicą pętały i więziły nogi wierzchowców, które męczyły się szybko i okrywały się potem, a nawet gubiły niekiedy płaty piany. Trzeba było kluczyć nadrabiając drogi dla omijania niewielkich bukowin i grabin oraz przysadzistych czap tarniny splecionej z ostreżynami i dziką winoroślą. Przesiadając się często na konie luźne, wymieniając co parę chwil czoło pochodu, luzując co kilometr przednią straż, sotnia przecinała w poprzek jary, koryta potoków, szerokie doliny i płaskie wzniesienia, oddalała się skośnie od doliny Pyrutu i parła wytrwale ku swojemu celowi, którym była odległa o sześćdziesiąt kilometrów ptasiego lotu wioska Lalea. Udeptanym szlakiem byłoby to ledwie kilka godzin jazdy, ale dziewiczy, bujny krzewostep zapowiadał dwa dni ludzkiego i końskiego wysiłku.

W południe, po blisko dziewięciu godzinach mozolnej jazdy, dowódca nakazał postój nad płytkim, czystym strumieniem przecinającym niewielki bukowo-grabowy laszek. Napojono konie, podkarmiono je z tańtuchów owsem oszczędnie wydzielanym przez służbowych z worów dźwiganych przez konie juczne, żołnierze napelnili manierki przejrzystą wodą i odpoczywali w cieniu buków żując brunatne łyka suszonego mięsa. Nenechajko przywołał Mylskiego i Saktana i kazał im usiąść obok siebie na wiechciach powalonej trawy.

— Podług waszych ziemiorysów, panowie żołnierze, ileśmy ujechali? — zapytał wachlując spoconą twarz liściem dzikiego chrzanu.

— Co tam z nas za żołnierze! — odpowiedział nie na pytanie Mylski. — Zdychamy już, panie sotniku.

— Póki więc głos jeszcze wydajecie, odpowiedzcie na pytanie.

— Na kartach naszych, panie sotniku — odezwał się Sakłan — tylko Pyrut i samo jego pobrzeże jako tako są wyrysowane, a i to nie całkiem dokładnie. Te zaś okolice, którymi teraz podążamy, puste są na papierze, i dopiero dużo dalej w tamtą stronę — wskazał ręką na wschód — Dębowy Szlak mamy na ziemiorysie zaznaczony. Więc z naszej tylko własnej rachuby powiedzieć możemy, że przebyliśmy, ptasim lotem licząc, kilometrów ze dwadzieścia pięć.

— A do Dębowego Szlaku na wprost jak może być daleko? Pytam, bo mi myśl taka przychodzi, żeby najprzód do Szlaku dobić i nim żwawo na południe polecieć, tym bezdrożem bowiem dalej idąc konie umęczymy nadmiernie.

— I myśmy, panie sotniku, drogą obecną do rozpaczy udręczeni, podobnie pomyśleli — powiedział Sakłan złamanym głosem — ale nic z tego! Do Szlaku bowiem niewiele jest bliżej niżli do Lalei, po wtóre zaś Szlak dowiodłby nas do wioski Hreani, która bliżej Nestra leży, a stamtąd do Lalei trzeba by się wracać kilometrów koło czterdziestu. Nie ma więc dla nas rozumniejszej drogi niż ta, którą podążamy, i na której bez wątpienia my dwaj najdalej dziś pod wieczór ducha wyzionimy.

— Cóż... Pojedziemy więc dalej tą samą drogą! A wy, panowie, już wiele lepiej, jako widzę, w siodłach się trzymacie niż na początku, jakeśmy z Koniuszyny wyjeżdżali, tedy na razie grzebać was nie będzie potrzeby. Prawda to jednak, że trawska tak paskudne i dokuczliwe nie często się spotyka, i dadzą się nam one jeszcze we znaki. Niemiłosierna tutaj zielska wszelkiego bujność!

— To przez pory deszczowe, panie sotniku — wyjaśnił Mylski wyraźnie dumny ze swej wiedzy. — Z zapisów świętego Semena Werby jasno wynika, że jeszcze na początku jego w naszych Ziemiach pracy inna była pogoda, i dopiero półtora wieku temu deszcze obfite piętnastodniowe koło dwudziestego maja zaczęły się co rok pojawiać, a później doszła do tego dziesięciodniowa pora ulewna w połowie sierpnia. Że zaś pomiędzy mokrymi tymi porami zwyczajne deszcze też niekiedy popadują, a ciepła przez ten czas ogromne, to bujności traw i porastaniu puszczy młodych niezmiernie te pogody sprzyjają.

— Mądrześ to wywiódł, panie żołnierzu — pochwalił sotnik z niewesołym westchnieniem.

— Aż szkoda, że się od tego droga nie zrobi lżejsza. No, to idźcie podpoczywać jeszcze chwilę, bo za jakąś połowę godziny ruszymy dalej.

Te słowa Nenechajki nie spełniły się, bo chwilę po jego rozmowie z uczonymi żołnierzami rozległy się nagle wśród rosnącego poruszenia okrzyki:

— Panie sotniku! Dwaj z przedniej cwałem wracają!

Nie czekając na rozkazy żołnierze biegli do swoich koni i dociągali popręgi, było bowiem oczywiste, że tylko niebezpieczeństwo mogło skłonić zwiadowców z przedniej straży do pchnięcia zmęczonych wierzchowców w ostry cwał. Powracający jeźdźcy wyciągniętym skokiem przelecieli nad strumieniem i w parę sekund później, osadzając konie przed dowódcą, meldowali:

— Duże wojsko jezdne z przeciwka idzie, panie sotniku, trochę od prawej! Reszta naszych śledzi ich z ukrycia.

— Na koń! — rzucił Nenechajko donośną komendę i sam sadowiąc się w siodle pytał zwiadowców:

— Daleko?

— Jeszcze daleko, panie sotniku.

- Znaki niosą?
- Za daleko; jeszcze dojrzeć nie można.
- Ile ich może być?
- I tego się jeszcze dobrze rozpoznać nie dało, bo kolumna prawie ku nam zmierza, a jeszcze od słońca. Ale nie mniej będzie, jak pięć sotni.

— Dzięki! Konie zgrzane na luźne zaraz zmieńcie, bo nie wiadomo, co może być!

Nenechajko namyślał się dłuższą chwilę nim wydał rozkazy. Posłał dwunastą dziesiątkę na skryte rozpoznanie, a resztę sotni wycofał za osłonę lasu.

Niespokojne oczekiwanie na wynik rozpoznania trwało ponad połowę godziny, ale nagrodą za niepewność i napięcie było uczucie ulgi, z jakim patrzyli wszyscy na powracającą spokojnym klusem dziesiątkę zwiadu i przednią straż.

— Nasi! — wołali wracający jeźdźcy do wysypujących się zza lasu żołnierzy sotni.

— Jacy znów nasi od tamtej strony? — dopytywano się z niedowierzaniem.

Dziesiątnik Perwaczko zdał wiadomości dowódcy:

— Panie sotniku! Idzie ku nam dość powoli sześć sotni Pobożan, a z nimi trzydziestka jakowejs półciężkiej jazdy nieznannej w dziwacznych mundurach.

— Pomyłki albo podstępu być nie może?

— Panie sotniku! — młody dziesiątnik zawarł w tonie tych dwóch słów mocny wyrzut.

— Dojrżeli was?

— Jakże, panie sotniku?! Rozkaz był, żeby skrycie rozpoznać. Ale coś konie... niepokoją się... — Perwaczko powiódł spojrzeniem po łbach strzygących uszami wierzchowców.

— Słychać jakby coś... — powiedział jeden z młodych żołnierzy i szybko zeskoczył z siodła kładąc się na trawie. Przytknął ucho do położonej na ziemi dłoni i znieruchomiał.

— I cóż tam słyszysz? — spytał leżącego Nenechajko.

— Oskrzydlają, panie sotniku! — padła odpowiedź. — Galopem oskrzydłają, będzie więcej jak po sotni z prawa i z lewa!

— Nic to dziwnego — spokojnie stwierdził sotnik. — Ślady całkiem świeże parunastu jezdnych dojrżeli, to i dziw byłby, jakby inaczej postąpili.

Sotnia wyjechała nadciągającemu wojsku na spotkanie w szyku paradnie zagęszczonej ławy, przed którą wysunęli się na kilkanaście kroków dowódca i znakowy, dzierżący długie drzewce z chorągwią Ponestrza u szczytu, znakiem sotni poniżej i czerwonym proporcem u dołu — wyrazem szczególnej władzy nakażnej dowódcy tego oddziału. Z suchym szczękiem sprężyn i zatrasków wydłużały się gwałtownie żołnierskie składane piki, a na ich grotach wznosiły się w górę odtrzone od pasów i siodła czapki-hełmy.

Pobożanie spływali z krawędzi doliny również nie w marszowym szyku, lecz głęboką, luźną ławą, gotowi do szarży. Dopiero kiedy odległość pozwoliła rozpoznać nie tylko znak Ponestrza, ale i szczegóły umundurowania żołnierzy, szyk Pobożan zagęścił się, a na grotach ich pik wystrzeliły w górę czapki.

Obydwie ławy konnicy zatrzymały się jakby na wspólną komendę, a dowódcy i znakowi nadal wolno jechali sobie naprzeciw, by stanąć dopiero na dwa kroki od siebie. Pobożanin, tak samo jak i Nenechajko w stopniu sotnika i z takimi samymi dwoma znakami władzy za pasem, był mężczyzną dość młodym — wyglądał na lat najwyżej trzydzieści. Budowy był niepokażnej, włosy miał koloru przejrzałego żyta, nos z lekka orli, usta miarowe, narysowane ostro, oczy barwy jadowicie błękitnej, brwi sute, ściągnięte. Szybkim i głębokim skłonem głowy okazał Nenechajce szacunek i z niewylewnym, opanowanym uśmiechem wygłosił płynnie dłuższy meldunek:

— Jestem Semen Matoczyna, ataman nakażny wyprawy wojsk Poboża z pomocą Ziemi Ponestrzańskiej. Wiodę ze sobą sotni sześć, dwiema zaś i oddaną mi pod komendę piechotą tirkijską obsadziłem możliwe przeprawy na Dunarei i dolnym Pyrucie. Jest ze mną pułkowy tirkijski, pan Nedim Kavruk z eskortą własną, od Wolnych Wilajetów Tirkijskich poselskie mający uprawnienia, z atamanem Lonowym widzieć się pragnący. Wiodę też w powrozach bandę szkodników limbiańskich, w wiosce Lalea ujętych.

I jedzie jeszcze ze mną wójt wioski limbiańskiej tutejszych, pan Miron Treboniu, wiozący od tychże wsi podatek wojenny. Panie sotniku! Znaki atamańskiej władzy nakażnej u ciebie widząc, a na Ponestrzańskiej Ziemi stojąc, oddaję się pod twoją komendę! Podrobiejsze sprawy i wieści, których mam wiele, chętniej bym zdał osobno, wody się wpierw napiwszy, jako że nam jej w manierkach zabrakło, a potoku czystego od godzin paru nie napotkaliśmy.

— Panie sotniku! — zaczął odpowiedź Nenechajko lekko speszony swobodną składnością przemowy Matoczyny — Z serca wdzięcznego witam ciebie i sławne wojsko Poboża na Ziemi Ponestrzańskiej! Przemarsz wasz zmiany wielkie oznacza względem tego, co poprzez poselstwa było pomiędzy atamanami ustanowione, mniemam przeto, że pragnienie ugasiwszy, posiliwszy się i odpocząwszy, zechcesz mi wszystko należycie wyjaśnić. Teraz zaś przedkładam, abyś sotnie swoje, którymiś nas tak zgrabnie oskrzydlił, z boków ściągnął i obozem nad tym strumieniem czystowodnym stanął.

W lasku i wokół niego oraz wzdłuż bezimiennego strumienia stanęło po południu ponad czterysta małych malwiańskich namiotów z diegciowatego płótna konopnego i kilka namiotów dużych, z nieznanego tkaniny brudnozielonej barwy, w żółte i brązowe liściaste plamy. Te duże rozbili żołnierze z eskorty tirkijskiego posła, odziani w mundury z takiego samego plamistego materiału. Dokuczliwie dymiło pod kociołkami kilkadziesiąt ognisk, w których palono świeżo ściętą grabiną i buczyną. Setki żołnierzy rozebranych do lnianych majtek chlapały się w przejrzystej wodzie potoku, nie głębszej nigdzie niż do połowy tydek.

Kilkadziesiąt kroków poniżej ostatniego namiotu siedzieli na brzegu strumienia w cieniu drzewiastego krzewu obydwaj sotnicy.

— Objaśnij mnie łaskawie, panie sotniku — zwrócił się Nenechajko do Matoczyny — co się pozmieniało i z jakiej przyczyny? Obiecane było od was pomocy dziesięć sotni, z których dwie, z Poboża górnego, przybyć miały drogą najkrótszą do Koniuszyny, tam się przez Nestro przeprawić i pociągnąć nad Wielki łuk Pyrutowy, pozostałymi zaś ośmioma obsadzić mieliście okolice ujścia pyrutowego do Dunarei, tudzież pilnować dolnego Pyrutu po ujście rzeczki Namol. Jakim więc sposobem, panie sotniku, wieszysz sześć sotni w górę rzeki?

— Dwie zaszyły zmiany, panie sotniku — zaczął odpowiedź Matoczyna. — Pierwsza ta, że wystawiliśmy wam w pomoc sotni jedenaście, bo nasz ataman dokładniej wszystko porachował, jedną więcej dla was wygospodarzył. A druga zmiana taka, że pułk piechoty tirkijskiej do nas przy płynął, z tysiąca stu wybornie uzbrojonych ludzi złożony.

— Nie całkiem pojmuję — wtrącił Nenechajko z lekka rozdrażniony.

— Bo też to i nie całkiem proste — zgodził się Matoczyna. — Wolne Wilajety, panie sotniku, jeszcze wiosną przez rozgląd swój w bołkańskich zamiarach się rozeznawszy, pewne były tego, że ataman Lonowy o pomoc się do nich zwróci, przeto poselstwa ponestrzańskie wyglądając wojska oddział znaczny do wyprawy przygotowywały, i okręty dla jego przeprowienia przez Ciemne Morze. I urażeni się Tirkijscy poczuli, że Ziemia Ponestrzańska o wsparcie ich nie poprosiła, a też i w rozterkę popadli, bo żadnej sposobności do bicia tak szijickiego mocarstwa, jak i Bołkanu poniechać oni nie lubią, co nie dziwi, boć przecież oba te państwa niezmiernych krzywd Tirkijom nawyrządzały. Ponestrzu z pomocą się wpraszać Wilajetom nie wypadało, a sposobność przepuścić do udziału w wojnie z Bołkanem żal im było,

więc do nas, na Poboże przyptynęli, nam się w pełni pod komendę oddając, przez co wszystko trochę zręczniejsz wygląda. Ataman pod mój piernacz przeznaczył pieszych tirkijskich, i nimi to, a także dwiema moimi sotniami obsadziłem miejsca umówione, z sześcioma zaś sotniami zmierzam do Wielkiego Łuku Pyrutowego, gdzie, jako chyba wszyscy wiemy, bój najgłówniejszy się rozegra. A trzy sotnie nasze nad tenże łuk przez Koniuszynę wedle zamiaru pierwotnego już pociągnęły.

— Czy tirkijscy piesi na tyle są mocni, że z dwiema twoimi sotniami możliwe przeprawy utrzymają? — upewniał się Nenechajko z miną chmurną i tonem nie w pełni zadowolonym.

W odpowiedzi Matoczyny dało się słyszeć zniecierpliwienie:

— Wiesz zapewne, panie sotniku, że w okolicach błotnych i bagnistych prawdziwa piechota lepsza jest od naszej spieszzonej konnicy. A nie słyszałem nigdy, żeby jaka piechota z tirkijską mogła się równać. Jasną jest rzeczą, panie sotniku, że jakby Bołkan, wbrew temu wszystkiemu, co o zamiarze jego wojennym wiemy, szaleństwo nagłe przedsięwziął i większość sił swoich koło Pyrutowego ujścia chciał przeprowadzić, to nawet trzykrotnie większe wojsko niż pułk tirkijski i dwie sotnie moje powstrzymać by go u przepraw nie mogły. Nie wierzę jednak, by nawet kapustę zamiast mózgu mając, wodzowie bołkańscy do takiej głupoty byli zdolni, a ponadto świeże mam wiadomości, trafność rozeznania naszego potwierdzające. Myślę więc, że słusznie wojsko pod piernacz mój oddane podzieliłem, i że przepraw wystarczająca broni siła.

— A cóż to za świeże wiadomości, o których wspomniałeś? — spytał Nenechajko nieco życzliwiej niż poprzednio.

— Przejeżdżając przez wioski waszych Limbian dowiedziałem się o jakowejś Karawanie Pokoju i od razu pojąłem, że to szkodnicy przez rajców posłani dla ogłupiania Limbian tutejszych i przeciągania ich na bołkańską stronę, co potwierdziło się najzupełniej, kiedy ich we wsi Lalea wyłapałem. Były przy nich papiery, nadzwyczajne łaski i przywileje Limbianom obiecujące, jeśli ci powstanie przeciw Ponestrzu wzniecą, przez samego Wielkiego Rajcę podpisane, a także pieniędzy bołkańskich bardzo wiele, na przekupywanie ludzi i inne potrzeby łotrowskie tej szkodniczej wyprawy przeznaczonych. To wszystko wiozę w skrzyni dobrze zabezpieczonej, a ludzi z tej Karawany Pokoju też wiodę w powrozach, wszystkich, co do jednego. Z tych dwoje, to osoby znaczne, za które niezły okup dałoby się, być może, od Bołkanu kiedy wycisnąć.

— Cóż to, poimiennie, za dostojnicy?

— Jedna, wyprawą całą kierująca, to Ana Pirvan, z Wielkim Rajcą spowinowacona. Drugi, to Ion Miho, biskup obrządku bołkańskiego, który tutaj zwyczajnego księdza udawał. Nie wiem, jakie w Bołkanie pomiędzy kościołem niezłączonym a rajcami są odnośnienia, ale ten zaufanym jest rajcowskim sługą.

— Wszystko ci, panie sotniku, sami o sobie chętnie opowiedzieli? — zapytał Nenechajko ze złośliwym i cierpkim uśmiechem.

Pobożański ataman nakażny po raz pierwszy zmieszał się, ale tylko na krótką chwilę, po której zwrócił ku twarzy rozmówcy swe przeraźliwie błękitne, zuchowate i nieco bezczelne oczy, i odpowiedział z uprzednią pewnością siebie:

— Pojmuję, ku czemu zmierzasz, panie sotniku, atamanie nakażny. O to ci chodzi, że prawa nie miałem na waszej ziemi śledztwa urządzać. Przyznaję, że przekroczenia niejakiego się dopuściłem, i to całkiem świadomie, pomienionych dwoje szkodników dość skutecznie przychęcąc do składania wyjaśnień. Dobrem większym się jednak kierowałem. W położeniu ogólnym tutejszym słabe mając rozeznanie, pewności chciałem nabrać, czy na powstanie się zanoszą i czy w tym miejscu ważnym niezmiernie, gdzie brody łatwe, a jeszcze i przeprawa promowa cały czas działa naprzeciw Lalei, wróg niespodzianki jakiej Ponestrzu nie

przygotował, i czy nie powinienem pozostawić tu paru sotni, albo i z całym moim wojskiem stanąć. Dlatego oprócz przebadania pojmanych własne rozeznanie uczyniłem, dwie sotnie przez Pyrut przeprawiwszy i rozglądu dokonawszy na jakie trzydzieści kilometrów w głąb kraju wielkołkańskiego. Dopiero upewniwszy się, że w okolicy tej na nic niebezpiecznego na razie się nie zanoszą, zdecydowałem się iść ku Łukowi Pyrutowemu, by tam pod komendą pana atamana Lonowego w głównych bojach tej wojny wziąć udział.

Nastąpiła chwila milczenia. Nenechajko namyślał się nad czymś wpatrzony w przejrzysty nurt strumienia, poczerń odezwał się:

— Wytłumaczenie twoje przyjmuję, panie sotniku, i jeśli potrzeba nie zajdzie, wracać do niego nie będę. Powiedz tylko, w jakim pojmani są stanie? Bo choć wszystko jasne, nad rannymi sądu się nie sprawuje.

— Zdrowi są, panie sotniku. Uszczerbku na ciele nie mają.

— To i dobrze. Sąd nad nimi krótki pod wieczór urządzę, na który już teraz doradcą moim cię naznaczam, panie sotniku, ale też i zmartwić cię od razu muszę, że ani za tę Pirvan, ani za tego biskupa okupu żadnego nie będzie, bo ja żadną miarą za jeńców ich nie uznaję. Co się zaś tyczy sztukmistrzów, śpiewaków i innych ludzi z owej Karawany Pokoju, to rozeznam, którzy w jakiej mierze wiedzieli co czynią. Myślę, że za oka niejakim przymrużeniem wielu z nich jenieckie prawa będzie można przyznać, i wtedy do ciebie pójdą w niewolnych, boś ich pojmał. A teraz dokończ nareszcie, co za świeże masz wiadomości o łkańskich zamiarach.

— Trochę moich wiadomości aż w tirkijским rozglądzie zna swe źródło, a trochę od pomienionych dwojga szkodników wydobyłem, i jedno z drugim dobrze się zgadza. Ponestrzański wasz rozgląd, izba przyatamańska wojenna i sam pan Lonowy trafnie rozeznali główne drogi przemarszów łkańskich wojsk od południowej strony, i to widzi mi się najważniejsze. Wszystkie najlepsze pułki elaskie, byłharskie i makadońskie pociągną na północ doliną Siritu i dopiero z górnego biegu tej rzeki skręcą na wschód, ku Łukowi Pyrutowemu. Tylko podlejsze wojska, to jest z branki stworzone, pójdą brzegiem granicznej rzeki i w paru miejscach przepraw na drugą stronę będą próbować, by w razie powodzenia uderzyć prosto w środkowe Ponestrze. Co się zaś tyczy tych wojsk, co do niedawna przeciw powstaniu uhorskiemu, tudzież hornostawskiemu i małolackiemu wsparciu wojowały, to powinowata pierwszego rajcy i ten paskudny biskup ledwie mgliste mają o nich pojęcie, a o pułkach syrbskich, szkiperyjskich i rozmaitych innych z zachodnich połaci Łokanu — zgoła nic nie wiedzą. Nie sięgają tam też wiarogodnie rozgląd tirkijski.

— Za to my, chwała Bogu, od tamtej strony rozeznanie mamy niezłe — powiedział Nenechajko zadowolony z wieści od Matoczyny. — Wszystkie tamte wojska pójdą z Uhorskiej Niziny przez przełęcz, a głównie przez Wielką Przełęcz Pyrutową. Tam zaś staną im na drodze sprzymierzeńcy nasi, górale czarnohorscy i horhańscy, i chociaż powstrzymać ich nie będą w stanie, poszarpią ich i pokąsają na tyle, że po tej stronie gór będzie to już siła zmęczona i przy-słabła. No, to dzięki ci, panie sotniku, za należyte zdanie spraw!

— Obozujemy tu do jutra? — upewnił się Matoczyna wstając.

— Tak. Rozkazy wydam rano. Teraz z wójtem limbiańskim pogadam, a później sąd, jako wspominałem, będę sprawował, na który przyzwę cię przez kogoś ze służby obozowej.

Gdy sotnicy ruszyli w stronę namiotów, dobiegły ich z obozu jakieś okrzyki, nawoływania i rosnąca wrzawa, a w chwilę później ujrzeli biegnącego im naprzeciw żołnierza z pobożńskich służb obozowych, który zameldował zdyszany:

— Panowie sotnicy! Nad namiotem tirkijskiej eskorty lata czarny bochenek!

W dawniejszych czasach przedziwne twory, nazwane „czarnymi bochenkami” z racji podobieństwa ich kształtu do dużych, okrągłych bochnów chleba, widywano ponoć bardzo

często, ale od paru dziesięcioleci były już te dziwolągi coraz większą rzadkością, i niewielu ludzi mogło się pochwalić, że widziało je na własne oczy. Sprzeczne krążyły o nich opowieści i różne przypisywano im znaczenie. Słyszało się, że pojawienie się czarnego bochenka niechybnie wroży jakieś nieszczęście, ale nierzadki był też pogląd przeciwny, że przylatuje takie dziwadło nie wiadomo skąd, pokręci się w jakimś miejscu dłużej lub krócej, i odleci nie wiadomo dokąd, żadnej szkody nikomu nie czyniąc. Wiadomo było o czarnych bochenkach jeszcze to, że ustrzelić ich z łuku ani z kuszy nie można, że szablą, jeżeli w jej zasięgu zawisnie, ciąć go nie warto, bo ani szabla się nie wyszczerbi, ani na nim ślad żaden nie zostanie, a tylko ręka niesamowitego dozna odczucia, kiedy klinga, niby żadnego nie napotykając oporu, zatrzymuje się jednak miękko na przeraźliwie czarnej powierzchni. Krążyła też szeroko przestroga, żeby czarnego bochenka, choćby się okazała taka trafita, dłonią nie dotykać, bowiem zimniejszy jest od lodu, i skórę na ręce w okamgnieniu można odmrozić. Od czasu, kiedy w wojskach niektórych krajów zaczęły się pojawiać wydobyte z technicznych podziemnych składów kałaszk, i ożywiły się proste pioruny bijąc tam, gdzie w jednym miejscu trzymano więcej niż cztery ładunki do owej hałaśliwej broni, zaczęły się rozchodzić opowieści, że zanim padnie z nieba piorunowy strzał w takie naboje, zawsze przelatuje najpierw w pobliżu czarny bochenek, ale przeważnie tak szybko, że tylko bystre oczy są w stanie go spostrzec. To jednak przeczyło prawdzie od dawien dawna wiadomej, że jeśli się już czarne dziwadło gdzieś pojawi, zawsze się tam niespiesznie pokręci przez czas jakiś.

Nenechajce i Matoczynie nie wypadało okazywać niestatecznej ciekawości, toteż szli przez obóz ku stojącym na przeciwległym jego skraju tirkijskim namiotom krokiem wolnym, niemal spacerowym. Nenechajko zapytał Pobożanina:

— Czy myślisz, panie sotniku, że poselstwo Wilajetów może ze sobą wieźć kałaszk i ładunki do nich?

— Nic mi o czymś takim nie wiadomo — odparł Matoczyna. — Żadnego kałaszk u nich nie widziałem, ani też niczego technicznego, prócz materiału, z jakiego mają mundury i namioty.

Nenechajko aż przystanął ze zdumienia.

— Z technicznych pochodzi ta paskudna tkanina?!

— Nie inaczej. I nie byle jaki to materiał. Tylko najtęższy rębacz zdoła szablą go przeciąć, a i łuk trzeba mieć dobry, żeby go przestrzelić. Tylko bełt kuszowy pewnie tę tkaninę przebija.

— No, no, pierwszy raz o czymś takim słyszę... — przyznał Nenechajko w zamyśleniu. Po paru krokach zadał następne pytanie głosem ścisłym i odrobinę niepewnym: — A tak po prawdzie, panie sotniku, to po co jedzie poseł tirkijski do naszego atamana?

Matoczyna uśmiechnął się znacząco i dopiero po pewnej zwłoce odpowiedział:

— Tego wiedzieć nie mogę, bo to przecież poselska tajemnica. Ale mogę powiedzieć, czego się domyślam.

— Wielce będę wdzięczny za twoje domysły, panie sotniku.

— Myślę otóż, że Tirkije pragną skłonić atamana Lonowego, by po zwycięstwie nad Pyrutem pokoju ani rozejmu z Bołkanem nic zawierał, lecz całym wysiłkiem szedł w głąb ziem bołkańskich, gromiąc do ostatniego szczętu pobite siły. Jeśli Lonowy na to przystanie, to Wolne Wilajety przeprowadzą swoje wojska przez cieśniny i uderzą całą możliwością swoją wojenną w Elas i w Byłthar, co razem z działaniem waszego atamana stworzyłoby możliwość rozbicia do końca bołkańskiego mocarstwa, szczególnie że i Uhorcy na pewno poszliby wtedy w Bołkan od swojej strony.

— Widzę — nie krył podziwu Nenechajko — że domysły twoje nad podziw są szczegółowe, panie sotniku. — Ale przeceniają Tirkije nasze siły! Jakbyśmy swoich własnych

sotni mieli ze sto dwadzieścia, albo bodaj sto, to i zwycięstwo nad Pyrutem byłoby całkiem pewne, i pomysł przedstawiony bardzo dorzeczny. My jednak ledwie sześćdziesiąt mamy sotni własnych, a wasze pobożanskie, tak samo jak i posławuckie, przecież tylko na obronną wojnę są nam przydzielone do pomocy. Nie czas więc jeszcze na spełnienie takich pięknych widoków...

— A szkoda... — westchnął szczerze młody sotnik pobożański. — Bo to i Ponestrze wiecznej groźby mogłoby się pozbyć, i jeden z trzech wielkich wrogów wszystkich Malwiańskich Ziem przestałby istnieć, no i Poboże korzyść by osobną odniosło. My bowiem najwięcej z Tirkijami handlujemy i od nas przez morze koni bardzo wiele do nich idzie, więc jakby Wilajety w wojnę z Bołkanem weszły w pełni, to tychże koni jeszcze wiele więcej by potrzebowały.

Rozmowa się urwała, gdyż sotnicy byli już blisko wielkich namiotów tirkijskiego poselstwa. Nad trzecim z nich nadal polatywał czarny bochenek. Był średnicy może półmetrowej, grubości ze dwakroć mniejszej, a czerń jego była tak doskonała, że można było się spierać, czy rzeczywiście jest to czarny przedmiot, czy też jakaś niesamowita dziura w przestrzeni, w której po prostu nic nie ma.

Podniecenie żołnierskiego tłumu znacznie już opadło, zwłaszcza że służbowi, odsunawszy wszystkich na kilkanaście kroków, grozili nahajkami tym, co chcieli postrzelać sobie z łuków i kusz do czarnego dziwadła.

Sotnicy stanęli za stłoczonymi żołnierzami i patrzyli, jak czarny bochenek wykonuje niezrozumiałe, beładne ruchy, to kręcąc się chybotliwie nad sklepieniem namiotu, to obniżając się i oblatując go wkoło w połowie wysokości, to znów się wznosząc i zawisając nieruchomo w miejscu przypadkowym, ani nad środkiem, ani nad bokiem płóciennej budowli.

Wśród tłumu jakiś pobożański dziesiętnik z ożywieniem opowiadał:

— To było za mojego dzieciństwa jeszcze. Przez pół roku pokazywały się takie nad zagajnikiem, co się zaczynał z tysiąc kroków od wioski. Co parę tygodni przylatywały, czasem i dwa naraz, kręciły się i odlatywały. Z początku chodzili ludzie to oglądać, a później ataman wioskowy nakazał lasek z daleka omijać, i dobrze zrobił, bo pewnej nocy zaczęły tam prać proste pioruny, z dziesięć jeden po drugim, a potem ziemia się zatrzęsała i cały gaj w powietrze wyleciał pośród dymu i płomieni niebotycznych, i huk był taki, że we wsi drzwi i okna wylatywały, chociaż, jakom powiedział, tysiąc kroków co najmniej było do tamtego miejsca.

— A nie zmyślasz trochę, panie dziesiętniku? — pytał kpiąco młody żołnierz o chłopięcej twarzy, którego dopiero co odepchnęli obozowi z czoła tłumu, bo zamierzał postać w czarny bochenek strzałą z łuku.

— Nie zmyśla, nie zmyśla! — wziął dziesiętnika w obronę siwy żołnierz z Wielkiej Niskołowyńskiej. — Taka sama rzecz się zdarzyła zaprzeszłego roku na górnym Ponestrzu, blisko małolackiej granicy. A zresztą w bezludnych okolicach, po młodych lasach i puszczech, wciąż się podobnie dzieje.

— Jeśli tak, to może odsuńmy się jeszcze trochę! — padł czyjś głos z tłumu.

— Ja się tam nie stracham! — oświadczył chłopakowaty Pobożanin. — Niech mnie przepuszczą, to podejść do namiotu, i jak się to straszdyło znów obniży, ciachnę je szablą.

— Ciekawe — skwitował to odezwane czyjś basowy głos — czy z takiej cielęcej głupoty to chłopię wyrośnie, czy mu to już do samej głupiej śmierci zostanie?

Rozmowy urwały się nagle, bowiem przy nawiedzonym przez czarny twór namiocie zaczęło się coś dziać. Wyszli z niego dwaj tirkijscy żołnierze, chwycili za zwisające do ziemi poły wejścia i odciągnęli je na boki na największą możliwą szerokość. Z kolei wyszedł ze środka

trzeci żołnierz, gestami rąk do reszty uciszył zgromadzonych i przemówił w czystej mowie malwiańskiej:

— Panowie! Tak się złożyło, że my w Tirkijach lepsze od was mamy rozeznanie w obyczajach czarnych bochenków. Żadnego nie ma powodu do obaw, panowie żołnierze! Za chwilę czarny przybysz odwiedzi wnętrze naszego namiotu, a potem oddali się stąd ostatecznie, i nic więcej się nie stanie.

Po tych słowach tirkijski tłumacz z powrotem zniknął w mroku szerokiego wejścia, którego odciągnięte poły nadal trzymali dwaj ludzie z poselskiej eskorty. Przez chwilę nic się nie działo, a potem czarny bochenek kilkakrotnie obleciał wkoło wielki namiot na coraz mniejszej wysokości, znieruchomiał przed wejściem i powoli wpłynął do wnętrza.

— Pewnie go podwieczorkiem częstują! — zażartował ktoś ze zgromadzonych, ale nikt nie podjął rozmowy.

Upłynęła dłuższa chwila, po której czarny przedmiot niespiesznie wyłonił się z mrocznego wnętrza, wznosił się nad dach namiotu, powisiał tam przez moment bez ruchu, a potem śmignął ku niebu z taką prędkością, że tylko widzowie o najbystrzejszych oczach mogli być pewni, że był to odlot, a nie zniknięcie.

— No, tośmy się chyba niczego nowego o tych latałdach nie dowiedzieli — z rozczarowaniem stwierdził Matoczyna.

— Szkoda było czas tracić — zgodził się Nenechajko. — Idę do siebie, a spotkamy się, jako mówiłem, przy sądowym obowiązku.

Pół godziny później dowódca Wielkiej Sotni Niskołowyńskiej siedział na skrzynkach z bełtami przed swoim małym namiotem, przy którym tkwiło w ziemi wysokie drzewce z proporcami u szczytu. Czekał na wójta wójtów limbiańskich, który niebawem wyłonił się zza kępki krzewów w towarzystwie jednego z obozowych. Żołnierz, drobiąc krok, szedł po prawej stronie siwobrodego Limbianina na znak, że prowadzi wolnego człowieka, a nie więźnia. Gdy stanęli przed sotnikiem, ten milczał dłuższą chwilę, a rysy jego ogorzałej, wiatrami spalonej twarzy wykrzywiała litość przemieszana z gniewem. Starzec spojrział na buzdygan i piernacz tkwiące za pasem Nenechajki i opuściwszy wzrok ku ziemi zaczął drżeć ze strachu. Sotnik odezwał się wreszcie, ale nie do Treboniu, lecz do służbowego:

— Przynieś, panie żołnierzu, jeszcze jedną skrzynkę z mojego namiotu, żeby pan starszy nad wójtami mógł spocząć, a potem oddał się, bo bez świadków chcę rozmawiać.

Gdy Limbianin niezdarne usiadł, a żołnierz odszedł, Nenechajko zapytał głosem sztucznie opanowanym:

— Zwolniła was Ziemia Ponestrzańska od obowiązku zbrojnego, panie nadwójcie?

— Zwolniła, łaskawy panie atamanie, zwolniła... — wyszeptał trwożnie Treboniu przeszeleszczając z limbianska dźwięki mowy malwiańskiej.

— A jak myślicie, panie wójcie, dlaczegoż to zwolniło was Ponestrze od narażania życia w boju?

— Pewnie dlatego, wielmożny panie atamanie, żeśmy nie z waszego, słowomownego ludu.

— Bardzo nie po pełni rzecz ujęliście, panie wójcie — szyderczo dwoił sotnik swemu rozmówcy. — Ta jest przyczyna ulgi waszej, że odkąd Bołkan doszedł do Pyrutu, a to już ze sto lat będzie, Ponestrze nieustanną wojnę musi z nim toczyć, jako że nawet pobity, każdego roku rozejmy łamie, do czego wojsko z samych pobratymców waszych zapyruckich złożone najczęściej bywa używane. Nie chcieliśmy więc, żebyście w obronie ziemi słowomownej przeciwko braciom swoim wiecznie bić się musieli.

— Wielka to jest łaska Ziemi Ponestrzańskiej i my ją doceniamy — mówił nadal szeptem siwy Limbianin i nadal dygotał ze strachu.

— Doceniacie? — kpiąco powtórzył sotnik i z hamowaną wściekłością zadał następne pytanie: — A czy na ciężki podatek powinność wojskową wam zamieniono?

— Niech Bóg broni, bym coś podobnego mógł powiedzieć... Sami się dziwimy, że tak niewiele ściąga Koniuszyna z naszych wiosek.

— Więc ciężko wam nie było i nie jest? — jadowicie upewniał się Nenechajko.

— Wielmożny panie atamanie, i za pana atamana Lonowego, i dawniej, jak pamięć sięga, zawsze dobrze nam się żyło i tak jest do dziś, bo nie tylko dobra dla nas władza z Koniuszyny, ale i od ludu słowomownego żadnej nie doznajemy niechęci.

Sotnik podniósł głos:

— Skoro tak, to czemuż wy, do tysiąca piorunów prostych i drzewiastych, bandę wrogów i szkodników w terażniejszym wojennym czasie do wiosek swoich wpuściliście z Bołkanu, i czemu prawie cztery dziesiątki synów swoich pozwoliliście nająć do zdradzieckiej roboty?! Czy o bractwie parszywym, przez młodych waszych dla pomocy Bołkanowi i szkodenia Ponestrzu zawiązanym, nic wam nie było wiadomo?!

Dwie skąpe łzy spłynęły z ciemnych, starczo przyszarzatyh oczu wójta wiosek limbiańskich. Ciężko wciągał w płuca upalne, przedwieczne powietrze, opanował drzenie i odpowiedział spokojniej i głośniejszym głosem:

— Miarkowaliśmy coś, panie atamanie, i nawet wójt Hołdy własnego syna kazał straży wioskowej nahajami prać, dopóki ten nie powie, co za spisek młodzi wymyślili, ale pierwej bity przytomność postradał, nim co powiedział. Zaś przekłeta ta Karawana rozum nam odjęła przez to, że śpiewali bardzo pięknie po naszymu, a ksiądz, co z nimi był, omętniająca trucizną zręcznie w dusze sączył, tak że wtedy dopiero zaczęliśmy rzecz całą rozumem ogarniać, jak młokosy z domów pouciekali nie wiadomo dokąd, i domysły poszły, że to za namową tych z Karawany. Nic żeśmy jednak uczynić nie zdążyli, bo wtedy właśnie wkroczył do nas młody pan ataman z Poboża i bez zwłoki tych przeklętych gości zza Pyrutu uwięził. Tyle mogę, panie sotniku, o sprawie tej powiedzieć.

— Nie rozsądzam, panie wójcie, bo mi to teraz niepotrzebne, ile prawdy w słowach twoich, a ile zatajenia. Myślę jednak, że za dobra dla was Ziemia Ponestrzańska. Jakbyście odrobinę strachu przed Koniuszyną poczuli, tobyście w mig pojęli, co też to za goście zza Pyrutu do was zawitali. Was by za rzekę przepędzić, pod rajcami bołkańskimi by wam pożyć!

Z oczu Mirona Treboniu znów spłynęły węży, starcze łzy ginąc w białej brodzie. Wyprostował zgarbione plecy, podniósł po raz pierwszy spojrzenie na twarz sotnika i powiedział z godnością:

— Każ mnie stracić, panie atamanie nakażny, skoro wina nasza tak wielka, ale odrzuć od siebie myśl o wypędzaniu wiosek naszych do Bołkanu. My grzech nasz, z głupoty zrodzony, chcemy odpokutować, niechby i najciężej, ale pierwej kamienie do szyj sobie pouwiązujemy i w Pyrucie się potopimy, niż pod władzę rajców pójdziemy. Serce głupie pociąga czasem ku swoim po tamtej stronie, ale rozum jasno powiada, że tam jedna niewola i nędza. Patrząc ja, panie atamanie, na pieniacz czerwony za twoim pasem i pojmuję, żeś tu teraz panem życia naszego, lecz i ty, panie sotniku, pojąć zechciej, że co innego rozumu i wiedzy niedostatek u młokosów, a co innego ludu naszego nastawienie do sprawy najgłówniejszej. Nie upilnowaliśmy młodych, przyspaliśmy, i jeszcze do tego pieśń w mowie ojczyściej myślenie nam na chwilę odebrała nie pozwalając rozeznąć się od razu w prawdziwym celu podstępnej Karawany, ale przecież zaczęła nam już mgła z oczu opadać, i jakby nas pan sotnik Matoczyna nie wyręczył, to za dzień-dwa sami byśmy szkodników w powrozy powiązali. Nie było

bowiem, panie atamanie, i nie ma u nas ani zamiaru, ani myśli o zdradzie i poddaniu się Bołkanowi, do czego pełna utrata rozumu byłaby konieczna. Zechciej, panie sotniku, bez gniewu na to wszystko spojrzeć, to ujrzysz winę naszą jako umyśłów czasowe przyćmienie i niedopełnienie powinności, co ze zdradą zbiorową, jaką zdajesz się nam przypisywać, nic nie ma wspólnego.

Nenechajko zmieszał się odrobinę przemową starego Limbianina. Myślał dość długo, nim odezwał się ponownie, już życzliwiej:

— Niepotrzebnie, panie Treboniu, słowa moje w złości powiedziane za groźbę wzięte... Nikt was za Pyrut wypędzać nie będzie, bo obce nam i wstrętne obyczaje cesarskie i rajcowskie, żeby zbiorowo wolnych ludzi z ich praojcowizny na inne miejsce przeganiać. Zapamiętać jednak musicie rzecz prostą, że póki bołkańska republika mocna, póty granica z nią na Pyrucie będzie stać, a nie w szczerym polu, i tymże samym wasze wioski zostaną pod władzą ponestrzańską, która za zwyczajną zdradę uzna wszelki wasz na korzyść Bołkanu postępek. Ale też i wiedzieć powinniście, że podług praw i obyczajów malwiańskich brat za brata nie odpowiada, przeto nawet za zdradę karać będziemy winnych poimiennie, i nikogo więcej. Jeśli zaś przyjdzie ten czas, że nienasycone mocarstwo bołkańskie rozgromione zostanie do szczętu, a ludy przez nie podbite rajców-krwiopijców wywieszają, zaś Straż Dimukratii, tych oprawców-pasożytów nahajami do pracy popędzą, to wtedy, lecz nie wcześniej, panie starszy nad wójtami, pozwoli się waszym wioskom wybrać, przy kim chcą być. Nie wątpię, że się wtedy odłączyć od nas postanowicie, przez co granicę od rzeki trzeba będzie w waszych stronach odsunąć i w suchym polu ją wytyczyć. Do tego jednak czasu strzeżcie się błędów takich jak terazniejszy, za który już zapłaciliście straszliwie, bo życiem trzydziestu przeszło waszych synów.

— Boże miłosierny! — jęknął Treboniu krzyżując ręce na piersi. — Czy... polegli?

— Tak. Trzydziestu ośmiu waszych chłopców dało się Anie Pirvan za obiecane pieniądze do zdrady nakłonić. Tam — sotnik wskazał ręką na północny zachód — przeprawę przez Pyrut dla bołkańskich wojsk sposobili. Pięciu z nich przy życiu zostało, i jutro z rana wolno ich puszczyć dlatego tylko, że młodzi. Jeden, najstarszy, co wszystkim przewodził, na śmierć został skazany. Reszta w walce padła.

Treboniu dłońmi zakrył oczy, pochylił się i trwał tak w przedłużającym się milczeniu, którego Nenechajko również nie przerywał. Wreszcie starzec opuścił dłonie z twarzy na kolana i zapytał bezdźwięcznie:

— Czy wolno już odejść?

— Tak, panie wójcie. Wszystko już powiedziałem poza tym, że wieczorem przyślę skarbnika sotni dla przejęcia podatku.

Treboniu wstał i bez słowa powlókł się w stronę namiotów sotni pobożańskich. Sotnik siedział jeszcze przez chwilę w zamyśleniu, a potem przywołał przechodzących nie opodal dwóch obozowych. Gdy podbiegli, wydał im polecenia:

— Ze służbowych pobożańskich dobierzcie sobie ludzi do pomocy i urządzcie żwawo ławę dla sprawowania sądu. A jak będzie wszystko gotowe, to w strumieniu mnie poszukajcie, bo i mnie chwila wolna nareszcie się trafiła, żeby ochłody zaznać.

— Przyjęliśmy! — odpowiedzieli równo żołnierze i oddalili się biegiem.

Bywają ludzie, którzy zawsze mogą liczyć na odrobinę powodzenia nie zapracowanego, na przypadek pomyślny lub rzeczy splot szczęśliwy. O takich mówiono: „urodzony w niedzielę”. Ludzi zaś, którym nigdy nic nie przychodzi łatwo, nazywano „urodzonymi pod wiatr”. I wreszcie o takich, co im los przy każdej możliwej sposobności robi na złość, mówiło się: „urodzony na posłaniu z ostu”. Podług tego rozróżnienia i stopniowania o Izaju Nenechajce

można by powiedzieć dorzecznie, że urodził się pod wiatr na ostowym postaniu. Od dzieciństwa raz po raz przekonywało go życie, że na każdy okrucieństwo zapracować musi w mozole, każde powodzenie wywalczyć pewnością ręki, roztropną odwagą i wysiłkiem do samej jego możliwej granicy, a i tak wszelką spodziewaną nadwyżkę czy nagrodę przypadek jakiś złośliwy zwinie mu sprzed nosa.

Zdarzyło się podczas walk na Uhorszczyźnie, że Nenechajko w starciu z dwoma nieźle władającymi bronią Strażnikami Dimukratii zdołał jednego ciąć przez twarz piórem szabli, a drugiemu wytrącić pałasz z dłoni. I oto ten wytrącony wrogowi z ręki pałasz poleciał tak nieszczęśliwie, że uderzył w czoło sotnika rozcinając skórę nad obydwoma jego brwiami. Tylko tchórzostwu przeciwnika, który zawrócił konia zamiast wykorzystać osłepienie Nenechajki krwią zalewającą mu oczy i sięgnąć po inną broń, zawdzięczał sotnik, że skończyło się na płytkim skaleczeniu czoła.

Innym znów razem było tak: Wielka Sotnia, zgodnie z rozkazem uhorskiego powstańczego dowództwa, od dwóch tygodni opóźniała wśród uporczywych walk pochód trzech pułków elaskiej piechoty, wspieranych dwiema kompaniami półciężkiej konnicy makadońskiej. Wyczerpała się suszona żywność, na dalsze podjazdy dla jej zdobycia sotnia nie mogła sobie pozwolić, żołnierze, karmieni coraz bardziej głodowo, tracili siły i chęć do walki. Wreszcie zostało już z zapasów tylko tyle hreczanej kaszy, że można z niej było sporządzić ostatni, wątpliwy posiłek. Nenechajko, widząc że wkrótce już sotnia przestanie być zdolna nie tylko do walki, ale nawet do odwrotu, rozkazał oderwać się od styczności z wrogiem na kilka godzin jazdy i za osłoną bezimiennej rzeczki ugotować i spożyć ową kaszę. Choć wyznaczeni do kucharzenia nie żałowali wody, wypadło tej krupianki niecałe pół menażki na żołnierza. Wszyscy pochłonęli w okamgnieniu mizerny posiłek, ale sotnik nie zaczął jeść i ruszył ku leżącemu na namiotowym płótnie rannemu podwładnemu, by się z nim podzielić. I wtedy właśnie pokazał się po drugiej stronie rzeczki kiluosobowy podjazd rozpoznawczy wroga. Szybko zawracając makadońscy jeźdźcy zdążyli wystrzelić kilka bełtów ze swych ciężkich kusz. Przeleciały one, z wyjątkiem jednego, nad głowami obozujących, ale ten jeden trafił w menażkę sotnika wytrącając mu ją z ręki. W ten sposób Nenechajko pozostał głodny, a jego ranny podwładny słabł dalej z utraty przesiąkającej przez lniany opatrunek krwi i z nienależytego odżywienia.

Dowolnie długo można by opisywać przypadki potwierdzające, że Nenechajko był wybrańcem niepowodzenia, „urodzonym pod wiatr na ostowym postaniu”. A jednak człowiek ten już w rodzinnej Hruszy chodził w zasłużonej sławie bohatera. Zawdzięczał to niebywałej sile i hartowi ducha, odwadze nie pozbawionej przezorności, uporowi w spełnieniu powziętego zamiaru i nie ustającej od dzieciństwa pracy nad sprawnością ręki i bystrością oka.

Żołnierze jego sotni wiedzieli, że dowódcy nic łatwo nie przychodzi i że los się nad nim wyzłośliwia, a jednak wierzyli święcie, że właśnie pod jego komendą sprzyja im szczęście. Nie wątpili, że pod buzdyanem Nenechajki Wielka Niskołowyńska wjedzie kiedyś do stron ojczystych na karkach cesarskich rycerzy-oprawców.

Gdy zmęczony trudami dnia i nieprzyjemną rozmową z limbiańskim nadwójtem ruszył sotnik od swego namiotu ku bliskiemu strumieniowi z nadzieją orzeźwienia się w chłodnej i kusząco czystej wodzie, w przycichłe głosy odpoczywającego obozu wdarł się od północnej strony tętent ostrego końskiego cwału. Nenechajko przystanął rozumiejąc od razu, że oto właśnie kolejna złośliwość losu pozbawia go jedynej w tym dniu możliwości odpoczynku i ochłody. Na twarzy jego nie było jednak zniechęcenia ani zawodu, gdy w chwilę później osadził przed nim spienionego konia żołnierz z tyłowego ubezpieczenia i zameldował z siodła:

— Panie sotniku! Tropem naszym przedpołudniowym leci goniec atamański, przy znakach, z dziesiątką eskorty. Koni luźnych osiodłanych wiodą po dwa na każdego, do tego trzy juczne.

Chyba już teraz czatę naszą minęli — dokończył zawracając wierzchowca i ruszając z powrotem w stronę, z której niósł się już narastający, przytłumiony trawami grzmot kopyt blisko czterdziestu cwałujących koni.

Postaniecki oddział w galopie wpadł do obozu i tu dopiero nierówno zwalniał, a jadący na czele goniec z dwoma turkoczącymi proporcami na krótkich drzewcach, dojrawszy znaki przy namiocie dowódcy skręcił w tę stronę i w moment później zeskoczył przed Nenechajką z siodła.

— Panie sotniku, rozkazy atamańskie tajne! — rzucił zachrypłym od zmęczenia i krzewostepowego kurzu głosem podając Nenechajce burożółty skórzany woreczek rozmiaru nieco większego od kieszeni wojskowej bluzy, starannie zawiązany cienkim rzemykiem, którego zwisające końce spięte były ołowianym krążkiem z odcisniętą na nim wojenną pieczęcią Ponestrza.

Z krótkiego oznajmienia gońca tylko ostatnie słowo — „tajne” — wywołało u sotnika znikome drgnienie brwi i ściągnięcie warg. Znaczyło bowiem to słowo, że musi sam przeczytać zawartość skórzanego woreczka, a on, nauczywszy się pisać i czytać dopiero podczas służby pod atamanem Lonowym, posiadał te umiejętności w stopniu nieszczególnym, tak że mozolne składanie litery do litery i słowa do słowa przyprawiało go zwykle o ból głowy. Ze skrywaną uwagą badał więc teraz między kciukiem i palcem wskazującym grubość woreczka z pismami, zaś postaniec i jego ochronny oddziałek łapczywie pili wodę z własnych manierek. Gdy ugasili pragnienie, goniec odezwał się głosem zmęczonym, ale dość stanowczym:

— Należą nam się tu, panie sotniku, cztery godziny snu spokojnego, a po nich posiłek już gotowy, bo zaraz potem wyruszymy. Przez ten czas końmi naszymi prosimy się zająć najlepiej jak można i odpowiedź w słowie czy na piśmie, jeśli taka ma być, przygotować.

Nenechajko zdumiał się niebywale:

— Więc nocą pojedziecie?!

— Nie inaczej. Takie potworzył teraz pan ataman jedenastki postanieckie i takie dla nich ułożył prawidła, że ludziom niewiele wypada i odetchnienia, a jazda dniem i nocą tylko pojeniem, karmieniem i odpoczynkiem koni ma być przerywana.

— Żeby ku celowi tylko, to jeszcze do pojęcia — nie przestawał się dziwić sotnik — ale po co z powrotem tak pędzić?

— Wybaczyc musisz, panie atamanie nakażny, ale na to pytanie nie odpowiem.

— Tak, tak, dobrze... już namioty żwawo każę...

— Nie trzeba, panie sotniku! — przerwał postaniec. — Ciepło przecież. Derki tylko każ rzucić pod drzewa, żeby nas mrówki za bardzo nie cięły, i nad spokojem odpoczynku naszego niechaj obozowy jakiś czuwa, to wystarczy. I jeszcze, żeby nie zapomniał — dodał wskazując na jucznego konia obwieszonych worami podobnymi do poduszek — ten ładunek tutaj zostaje, a jakby co lekkiego było stąd do zabrania, to na miejscu tych poduch trzeba umocować. Niczego cięższego wziąć nam nie wolno.

Rozmowie dowódcy z postañcem przysłuchiwało się kilku żołnierzy z obozowej służby, którzy stanęli w pobliżu przewidując, że będą potrzebni. Do nich zwrócił się Nenechajko:

— Słuchaliście?

— Uważnie, panie sotniku.

— To wykonać wszystko, a biegiem! Pobożańskich służbowych też brać do roboty!

Postaniecki oddział spał na derkach w buczynie, jego konie pojono w strumieniu, karmiono owsem i świeżą trawą, smarowano gojącą maścią zadrapania od ostrężyn na ich nogach, a sotnik siedział przed swym namiotem i raz po raz wycierając pot z czoła czytał powoli rozkazy atamańskie, sporządzone w Izbie Wojennej starannie, pismem dużym i wyrazistym:

Obóz atamański w dolinie strumienia Pobłysk,
pod wzgórzem Żowty Horb. Dzień ósmy
miesiąca lipca roku 2263.

Ataman Ziemi Ponestrzańskiej, łewko Lonowy, sotnikowi Izajowi
Nenechajce śle pozdrowienie i życzy dobrego zdrowia!

Panie sotniku!

Mam wiadomości, że dzięki niespodziewanemu wzmocnieniu Poboża od piechoty tirkijskiej, ataman nakażny pobożański, pan sotnik Matoczyna, będzie w stanie po należytych obsadzeniu umówionych miejsc przeprawowych pociągnąć z pięcioma, albo i sześcioma sotniami w górę Pyrutu.

To wojsko rozkazuję spotkać jak najprędzej i wziąć pod swoją komendę!

Wiadomo mi, że najmocniejsze pułki bołkańskich wojsk pójdą w górę rzeki Sirit, by później z jej doliny przeskoczyć prosto nad Wielki Łuk Pyrutowy. Poprzedzać je będzie pułk Straży Dimukratii dla przygotowania im drogi. Będzie się on musiał dzielić, żeby z wszystkich wiosek w dolinie ściągnać bydło i inną żywność w pobliże drogi przemarszu wielkich wojsk.

Rozkazuję: Razem z sotniami pana Matoczyny przejść Pyrut co rychlej w okolicy przeprawy promowej na Końskim Szlaku, ruszyć w głąb wrogiego kraju tymże Szlakiem, potem od niego odbić i iść w kierunku dużego ruiniska, a ominąwszy je, najkrótszą drogą dotrzeć nad środkowy bieg Siritu (od przeprawy na Pyrucie, ptasim lotem licząc, będzie to kilometrów około siedemdziesięciu).

Osiągnąwszy Sirit, ruszyć w dół tej rzeki, o skrytość rozpoznania bardzo dbając, spotkać pułk Strażników, wykorzystać jego rozjazdy do wiosek i znieść go częściami, ale bardzo dokładnie, jeńca nie biorąc. Tego dokonawszy ruszyć z powrotem w górę Siritu i całą jego dolinę po naszymu przysposobić dla przemarszu wroga. Do wiosek zaglądając chłopów namawiać, żeby z bydłem i wszelką żywnością w lasy i góry uciekali, strachliwych przemocą łagodną do tego zmuszać, co im się zresztą na przyszłość jako wytłumaczenie przyda. Czego z żywności chłopci ze sobą zabrać w lasy ani ukryć nie zdołają — to niszczyć! Za zniszczone, a także za wszystko, co na potrzeby własnych sotni brać będziecie płacić podług cen miejscowych, albo i lepiej, bo przychylność ludu tamtejszego może nam kiedyś być potrzebna. Pieniądze na to mieć będziesz, panie sotniku, z podatku wojennego naszych Limbian, który od nich w całości przed wyprawą przejmij i wydawaj według wskazówki powyższej i rozumu własnego.

Miej na pamięci, że w każdej wiosce bołkańskiej siedzi rajca miejscowy, do pomocy mający swoich Strażników Dimukratii, od dwóch do pięciu. Tych starannie wycinaj, panie sotniku, zanim jeszcze z chłopami zaczniesz mówić!

Mostki, kładki i wszystko, co przemarszowi wojsk może sprzyjać — niszczyć za sobą, a jak czasu starczy, to jeszcze w miejscach sposobnych zawały czyń, drzewa obalając. I tak to poprzedzaj siłę bołkańską na całej drodze, o rozpoznaniu przy tym nie zapominając, a na końcu oderwij się znacznie i z sotniami naszymi na Pyrutowym Łuku się spotkaj.

Takie zadanie twoje główne, panie sotniku, a do jego wykonania przystąp co rychlej, lecz przedtem ziemiorysy ze sobą pobrane, z naniesionymi wynikami pracy twojej na wyznaczonej części doliny i koryta Pyrutowego, wręcz temuż gońcowi, co ci rozkaz niniejszy przywiózł.

Sprawę wojsk brankowych, co pójdą na nas brzegiem Pyrutu, cokolwiek byś o tym słyszał, wcale głowy sobie nie zajmuj, bo o sił tych przywitanie kto inny się zatroszczy.

Posyłam ci zwoje pociętego płótna bawełnianego bardzo rzadko tkanego, ogromnie sposobnego na opatrunki, w ilości znacznej, żeby i dla twojej sotni i dla wojska pobożańskiego

na możliwe potrzeby starczyło. W tychże zwojach ukryte są skrzyneczki z niezmiernie dobrą maścią gojącą, którą ze źródła pewnego dawno już zamówiwszy, teraz dopiero dostałem.

Na koniec: Do wykonania rozkazu mojego potrzebnych ci będzie więcej tłumaczy, niż ich masz w sotni. Z tym sobie sam musisz poradzić, na ten przykład najmując odplatnie paru ludzi spośród naszych Limbian.

Ataman Łewko Lonowy

Dodane: Pan Semen Matoczyna w ostatniej wojnie onieckiej, choć młody, pobożańskimi sotniami wybornie dowodził, przeto na wojennej jego zdolności jak na własnej możesz polegać.

Dodane jeszcze: Działanie rozkazane na zaczepne może wyglądać, jako że Bołkan granicy naszej jeszcze nie naruszył. Jakby się w pobożańskim wojsku, że na obronną wojnę do pomocy posłane, szemranie jakie podnosiło z tego powodu, to z panem Matoczyną tłumaczcie cierpliwie, że się do szabli dla obrony nie wtedy dopiero sięga, jak się już przez pysk dostało, zaś marszu już rozpoczętego trzydziestu pięciu tysięcy bołkańskich wojsk ku naszej granicy nijak nie można uznać za zamiar złożenia nam przyjaznych odwiedzin. Ponadto na użycie panów żołnierzy pobożańskich do wyprzedzającej obrony, a także do każdego potrzebnego działania na ziemi wroga, mam od pana atamana Poboża nie tylko zgodę, ale i zachętę.

Gdy słońce dotknęło widnokregu, wymieniły się i wzmocniły czaty ubezpieczeń i służby obozowe.

O pierwszym zmroku zaczęło się sprawowanie sądu nad ludźmi z Karawany Pokoju i skończyło się w niecałą godzinę.

Wnet potem sotnicy Nenehajko i Matoczyną odbyli sam na sam niedługą naradę.

Nieco później Matoczyną spotkał się w tirkijским namiocie z postem Nedimem Kavrukiem.

O gęstniejącym zmroku dowódca Pobożan prowadził odprawę z dziesiętnikami-dowódcami swoich sotni, a Nenehajko — z dziesiętnikami Wielkiej Niskołowyńskiej.

Gdy sinorudy księżyc wytoczył się wysoko i rzucił mgławo-srebrny blask na korony buków, z obozu odjechała kłusem postaniecka jedenastka zostawiając ciemniejszy pas na wysokich trawach połyskujących włąką rosą.

Przed samą północą jeden z dwóch kapelanów wojska pobożańskiego, Łukian Pywcio, został przepuszczony przez gęstą wartę pilnującą dwóch namiotów i wszedł do pierwszego z nich. Przebywał tam krótką chwilę, wyszedł, przeżegnał się i zanurzył się w ciemności drugiego namiotu, gdzie zabawił ćwierć godziny.

O jasnym brzasku obozu już nie było. Tirkijski poseł odjechał z trzydziestką swoich żołnierzy śladem oddziału postanieckiego, a Wielka Sotnia i Pobożanie pokłusowali w przeciwnym kierunku.

Podmuchy przedrannego wiatru poderwały małe obłoczki popiołu z paru najpóźniej pogaszonych ognisk i przeniosły znikome jego cząstki na dwa świeże groby. Drżenie gruntu od kopyt siedmiu oddalających się sotni powodowało obsypywanie się z tych niskich mogił maleńkich grudek ziemi.

* * *

Powracające od księcia Rzozy-Siewnego ponestrzańskie poselstwo przebyło w trzy dni drogę z Krzywych Stoków do Hryzotowej Wody, gdzie odbyło rozmowy z atamanem Wysokiego łowynia i spędziło noc. O świcie dnia następnego oddział poselski popędził Szlakiem Młodopuszczańskim na południe i pod wieczór wjechał do wioski Wohońki, leżącej

już na Ziemi Ponestrzańskiej. Ku niemałemu zdziwieniu postów i żołnierzy eskorty, na szerokiej wioskowej ulicy powitał ich tu dość osobliwy oddział konny: sześć młodych dziewczyn, w wieku zapewne koło czternastu — piętnastu lat, wojskowo ubranych i przy zwyczajnej żołnierskiej broni, sprężyste trzymało się w siodłach z nieprzekonującymi zawadiackimi minami, a na ich czele jechał drobny, siwowłosy żołnierz wyglądający na lat co najmniej siedemdziesiąt. Czarny piernacz za jego pasem wskazywał, że jest wioskowym atamanem nakaźnym. Niedźwięcznym, starczym głosem wyrzekł zwyczajowe słowa powitania:

— Witajcie, panowie postowie i panowie eskorta, witajcie, i o zdrowie pozwólcie zapytać!

— Chwała Bogu, zdrowi my! — dostosował się Anton Bałda do przestrzeganego już tylko przez starszych ludzi obyczaju powitalnego.

— Jestem Kiryk Sycz, ataman nakaźny tutejszy — przedstawił się umundurowany staruszek — a to — wskazał na zbrojne dziewczęta — moja straż wioskowa. Czy pierwszy raz Wohońki widzicie, panowie żołnierze?

— Tak, panie atamanie nakaźny; wyjeżdżaliśmy z poselskim obowiązkiem inną drogą, i pięknej waszej wioski nie przyszło nam widzieć — odpowiedział uprzejmie Bałda, i pragnąc skrócić zbędną rozmowę dodał: — Prosimy, panie atamanie, byście nas co rychlej zaprowadzili na jakie miejsce do obozowania sposobne, bośmy zdrożeni, a jakby się tam woda dla nas i dla koni jakaś znalazła, to ogromnie będziemy wdzięczni.

— To najlepiej będzie przy źródle pod akacjami! — wykrzyknęła jedna z dziewczyn uprzedzając odpowiedź swego przełożonego.

— Tak, tak, dobrze mówisz! — pochwalił ją leciwy ataman nakaźny. — Tam i źródło, i strumyczek, i miejsca dość. Tyle że to na drugim końcu wsi... No, to prosimy za nami! — dodał zwracając konia.

Wioskowa ulica była długa, ale przejazd przez nią poselskiego oddziału poprzedzanego dziewczęcą strażą nie wywołał większego zaciekawienia miejscowych. Tylko parę kobiet i kilku starców patrzyło zza płotów, a niewielka gromadka dzieci w lnianych koszulinach bądź grzebnych porciętach towarzyszyła konnym przez część drogi.

— Tyle się w dniach ostatnich napatrzyli wszyscy na piki, szable i mundury, że im to już zbrzydło trochę — wyjaśnił staruszek-ataman obojętność wioski. — Bo to przyleciał goniec z oddziałkiem ochronnym, potem odjeżdżała sotnia nasza, a dzień później pożegnaliśmy połsotnię kobiecą i trzydziestkę dziecięcą starszą. Zostaliśmy starzy z dzieciarnią, baby zamężne, a i to nie wszystkie, i trochę takich wojowniczek, jak te oto panny, które razem z dwiema dziesiątkami chłopców młodszych całym są moim wojskiem wioskowym. A tu już pszenica dojrzała, żniwa trzeba zaczynać... No, nic, poradzimy sobie, bo musimy. A wy, względem jedzenia, kucharzenia nie urządzajcie, bo za jaką godzinę z połową strawę ciepłą się wam przyniesie.

— Nie ma potrzeby, panie atamanie wioskowy! — sprzeciwił się szczerze Anton Bałda. — Toż tylu odjeżdżającym żywność na miesiąc musieliście przygotować! My mamy co jeść.

— Nie swarz się ze mną, panie sotniku! — obruszył się Sycz. — Jam tu teraz władza. Jako powiedziałem, wieczereć ciepłą dostaniecie, bo nie wypada inaczej. Damy też trochę owsa dla waszych koni.

Przed snem Łysy Iwanko i Staśko Truba rozmawiali w ciemności swego namiotu o tym, co zobaczyli w gościnnych Wohońkach. Obydwaj, tak jak i żołnierze eskorty, zaledwie trzy dni przed wyjazdem do Księstwa Sańsko-Wysołockiego powrócili z Uhorszczyzny w składzie Pierwszej Sotni Atamańskiej. Dwa z tych dni zajął im odpoczynek po długiej i ciężkiej drodze znad Somuszu do Koniuszyny, a cały dzień trzeci upłynął na zapoznawaniu się z poselskim zadaniem, w które wprowadzali ich najpierw ludzie z Przyatamańskiej Izby Wojennej, a potem

sam łewko Lonowy. Nie wtajemniczano ich w szczegóły powszechnych przygotowań do wojny, a w drodze z Koniuszyny niczego niezwykłego nie dostrzegli w tych paru wioskach, przez które przelecieli bez postojów. Teraz dopiero, w pustawej wsi Wochońki, po raz pierwszy dotarł do ich świadomości prawdziwy rozmiar wojennego wysiłku, jaki narzucił Ponestrzu ataman Lonowy.

— Do głowy by mi nie przyszło — mówił odrobinę zniesmaczony Staśko — że baby i dzieci będą się na prawdziwą wojnę podrywać. Tobie się to podoba?

— Co tu jest do podobania? — odpowiedział pytaniem Iwanko. — Jakby Lonowy nie musiał, toby tak nie czynił. Ataman wie, co robi!

— A ja tam myślę, że zapłakane wojsko więcej przyniesie nad Pyrut bałaganu niż pożytku.

— Jako ci się to często zdarza, Staśko, prędko myślisz, a nie nazbyt starannie — przypomniał Iwanko swój zarzut stawiany przyjacielowi od dzieciństwa. — Przecież nie będzie pchał ataman dzieci i kobiet do bitewnych rozstrzygnięć! Czy to mało dla nich roboty na tyłach? Zaopatrzenie dowozić i ochraniać, rannych ku tyłom odwozić i pielęgnować, jeńców konwojować... Do tego wszystkiego trzeba by inaczej odciągać żołnierzy z bojowych sotni, zaś na to, przeciw wrogowi wielekroć liczniejszemu stając, pozwolić sobie nie możemy. Po to w naszych Ziemiach dzieci i kobiety władania bronią się uczą, żeby w potrzebie pomoc mogły dać żołnierzom niebitewną i przy tym o swoje bezpieczeństwo same umiały zadbać.

— Niby to wszystko prawda, ale na Uhorszczyźnie bez bab dawaliśmy sobie radę.

— Nie udawaj, Staśko, ciemniejszego niż jesteś! Na Uhorszczyznę posyłał Bołkan najwyżej piątą część swoich wojsk, a na Ponestrze idzie trzy ćwierci wszystkiego, co rajcowie posiadają. Muszę ci mówić, co Ziemia Ponestrzańska, a co Wielki Bołkan? U nas półtorej setki wiosek i ze trzydzieści osad, a u nich samych grodów z pięćdziesiąt, a wsi, jak się słyszy, do dwóch tysięcy. To chyba jasne, że ataman z siły naszej nawet okruszka nie może poniechać, wszystkiego musi użyć, co tylko możliwe. Ale śpijmy już; jutro tyle będzie postojów, co dla pojenia i zmiany koni. Ani Lonowy, ani Izba Przyatamańska wyręczenia naszego w przygotowaniu do wojny nie potrzebują.

— Zaraz, zaraz! — ze złością sprzeciwił się Staśko. — Jak napędzasz strachu gadaniem o potędze republiki, to mi nie każ spać z tym strachem! Jakże to jest, objaśnijże mnie łaskawie, że przy takim sił porównaniu widoki mieć możemy na zwycięstwo? A może ich nie mamy? Może kłamaliśmy księciu z Krzywych Stoków mówiąc, że nawet bez jego pomocy Bołkan potrafimy pokonać, tyle że kosztem nadmiernym?

— Popracuj chwilę pod tą słomą żytnią, co ci na łbie rośnie, to sam sobie odpowiesz.

— Po co mi pod rzezoną słomą pracować, skoro łysego mam przy sobie, a powiadają przecież, że łysy od czupryniastego zwykle mądrzejszy, bo mu włosy soków z głowy nie wyciągają. Zdaję się więc na rozum łysego i nie popuszczę, póki ten mojego nie rozjaśni. Mów, Iwanko!

— Gorszyś ty od tego komara, co mi przy uchu byczy! Lepiej bym się wyspał w trawie koło namiotu! Wyliczę ci, skoro muszę, na czym Lonowy opiera swoje rachuby, ale jak skończę, to ani słowa, i śpimy! Najpierw, co sam wielekroć sprawdziłeś, my wszelaką ręczną bronią dużo lepiej pracujemy od bołkańskiego wojska żołdowego, o brankowym nawet nie wspominając, i tylko z ciężkozbrojną piechotą trudniej nam idzie, dlatego o stosowne wsparcie małolackiego sąsiada musieliśmy się zatroszczyć. Po wtóre, większość bołkańskich pułków będzie zdrożona przemarszem wielotygodniowym, a nasze sotnie nie dość, że świeże staną, to jeszcze z miejscami starć bitewnych dobrze obznajomione, jako że po to właśnie kazał ataman już na parę tygodni przed nadejściem wroga nad Pyrutem się rozłożyć. Dalej — pierwszy mar-szalos bołkański nie dlatego wszystkimi wojskami dowodzi, że talent ma po temu, lecz

dlatego, że bliskim jest krewnym wielkiego rajcy; u pana Lonowego mógłby on najwyżej gęśmi na podwórzu dowodzić. I ostatnie: wiele ludów przemocą trzyma republika w swoich granicach, przeto wojska z krain takich pochodzące tyle pokażą w walce zapału, ile im Strażnicy Dimokratii harapami do pleców napędzą. Jak to wszystko razem zważyć, to widoki na pobicie bołkańskiej wyprawy dość jasne się stają, choć myślę, że niemają cenę przyjdzie nam zapłacić za zwycięstwo. Jedna rzecz tylko niepokoi mnie trochę: nie walczyliśmy jeszcze z syrbską Złotą Jazdą, ani jej nawet na oczy nie widzieliśmy, a chodzą słuchy, że niezmiernie bitna, groźna i okrutna to konnica. Ale i na nią sposób wymyślimy. To tyle, a jak mi się jeszcze słowem odezwiesz, to pasem przejadę.

W namiocie nastąpiła cisza, którą jednak po paru chwilach, na przekór własnym słowom, przerwał Iwanko:

— A jak ciebie, Staśko, pozwalanie dzieciom na wojaczkę tak mierzi, to może przypomnij sobie, ile też lat my mieliśmy, jak nas Lonowy z sotnią na Uhorszczyznę puścił?

— Nie tak znów celnie strzeleś, przyjacielu — odpowiedział Staśko z wyraźną uciechą. — Po prawdzie szesnaście akurat kończyliśmy, ale nas przedtem przez pięć lat w szamszyrce ćwiczył najlepszy chyba w tej sztuce mistrz, jaki po świecie stąpa. To nie to samo, co wioskowe ćwiczenia niedzielne.

Iwanko zgodził się bez namysłu:

— Prawdę mówisz! Dziw, że o tym nie pomyślałem. Jak widać, niekoniecznie tysy bystrzejszy. A jak już wspomniłeś naszego nauczyciela... Przed wyjazdem z Koniuszyny na wojnę tak poważną chyba odwiedzić pana Kiambaghiego by wypadało, jak myślisz?

— Choć mi do niego jakoś śmiałości trochę nie staje, jednak z serca go uściskam. Żeby tylko czasu starczyło.

Od wsi Wochońki Szlak Młodopuszczkański biegł na południowy wschód pofalowanym, łagodnie opadającym płaskowyzem, by już po dwudziestu kilometrach skrzyżować się koło wioski Krynyczeńka ze Szlakiem Stu Źródeł, który prowadził ze wschodu na zachód wybrzuszonym ku południowi łukiem, łącząc osady i wsie położone blisko źródeł i w górnym biegu niemal wszystkich lewych dopływów Nestra. Po następnych dziesięciu kilometrach, w sławnej z wyhodowania ponestrzańskiej odmiany niskołowyńs-kiego mierzyna wiosce Poseretne, Szlak dobijał do górnej Seretyny i tu zmieniał nazwę na Koniuszyński, a potem, przecinając kilka „diabelskich nasypów” i omijając szerokim łukiem duże ruinisko, schodził w wąską dolinę tej rzeki. Od tego miejsca do stolicy Ponestrza było jeszcze dziewięć do dziesięciu godzin jazdy zmienianymi końmi, a Szlak, coraz bardziej udeptany, przebiegał przez parę niewielkich dolinnych wiosek i obchodził drugie ruinisko, nazywane Czortowym Niemiejscem.

Na całej tej drodze spotykał poselski oddział ten sam obraz: pustawe ludzkie siedliska, strażę wioskowe złożone z uzbrojonych dziewcząt, dzieci i umundurowanych starców, nieliczne białe chustki kobiet na zagonach wcześniej w tym roku dojrzałej pszenicy, stada bydła nad rzeką pilnowane przez dziecięcych pastuchów przy bronii — i niespotykany ruch na drogach, rozdudnionych końskimi kopytami. Z obydwóch ramion Szlaku Stu Źródeł, z bocznych, ledwie zaznaczających się w tle krzewostepu dróg, z rzedzin młodych lasów liściastych, z trawiastych wzgórz i krzewiastych bezdroży — zewsząd wyłaniały się od czasu do czasu i wlewały w główną drogę do Koniuszyny pełne, niepełne lub nadstanowe sotnie wioskowe, kobiece, dziecięce i mieszane półsotnie oraz oddziały posłanieckie tym się wyróżniające, że ich konie luźne były osiodłane. Jedne oddziały wyprzedzały poselstwo we wściekłym galopie, inne jechały wolno, kłusem lub nawet stępą, przepuszczając przed siebie wszystkich, którym się śpieszyło. Jedna z takich wlokących się sotni śpiewała piosenkę nie znaną postom ani eskortie,

rzewną w nucie i tak wpadającą w ucho, że poseł Bałda pozwolił zwolnić na parę chwil do stępa dla wysłuchania ostatniej zwrotki:

*Więc dziewczyny czarnobrewie
wy w plotach nie stójcie
I tych spojrzeń bławatkowych
wy nam pożałujcie
Bo z pamięcią oczu chabrów
i brwi gęstej czerni
Żal umierać, a nam trzeba
Bośmy ziemi wierni*

W jakąś godzinę później, gdy przystanęli dla zmiany koni, usłyszeli drugą piosenkę wcześniej im nie znaną, tym razem skocznomarszową, o wesołej, porywającej melodii. Śpiewała ją brawurowo, ile sił w gardłach, mijająca ich nadstanowa półsotnia mieszana, złożona z dwudziestu młodych kobiet, tyłuż dziewczyn szesnasto-siedemnastoletnich i trzydzieściorga dzieci obydwu płci, w wieku trzynastu do piętnastu lat:

*Ani u nas bieda, ani u nas zbytek
Życie proste, prawe — nasz majątek wszystek
Lecz tej majątności nikt nam nie zabierze
Bo dobrze jej bronią malwiańscy żołnierze
Komu chętka przyjdzie na Ziemi Malwowe
Temu pod murawą ułożymy głowę
A komu się marzy u nas królowanie
W płytkim grobie tutaj królestwo dostanie
Kto przyjdzie fałszywym słowem nas pokrzepić
Temu sto nahajów potrafiemy wlepić
A więc przybywajcie cesarze i rajcy
Na wasze mogiły ziemi u nas starczy*

Kiedy słońce czerwieniejąc, puchnąc i pozornie przyśpieszając swe opadanie dotknęło koron drzew porastających wyniosłą krawędź płaskowyżu ograniczającego od zachodu dolinę Seretyny, oddział poselski dotarł do miejsca, z którego widać było nad samym brzegiem rzeki trzy wielkie szopy poczerńiałe od starości i deszczów oraz dwa leniwie się obracające koła wodne. Ze Szlaku odbiegała ku nim wąska, ale bita tłuczniem droga, oznaczona u początku przybitym do dębowego słupa szyldem-drogowskazem:

WYRÓB STRZAŁ I BEŁTÓW
*Też strzały świecące. Trzy
kolory. Też bełty płonące.*
WŁASNOŚĆ ZIEMI PONESTRZAŃSKIEJ
SPRZEDAŻ ZA POZWOLENIEM

Utwardzoną drogą posuwała się od szop ku Szlakowi kolumna złożona z trzech skrzyniastych wozów i kilkunastu jucznych koni okrytych skórzanymi czaprakami i obwieszonych niewielkimi drewnianymi skrzynkami, poprzedzana i zamykana dziesięcioosobowymi oddziałkami umundurowanych i dobrze uzbrojonych młodych kobiet.

— Stąd, licząc do koszar Pierwszej Sotni, jeszcze dobra godzina — odezwał się Anton Bałda. — Musimy odrobinę przyspieszyć, żeby przed gęstym zmrokiem dojechać. Zmiana koni!!

Po pół godzinie szybkiej jazdy znowu ujrzeli w dole, nad brzegiem Seretyny, szereg ogromnych, ponurych szop i kilka poruszających się kół wodnych, tu jednak nad budynkami sterczały liczne i dość wysokie kominy, z których snuły się popielate, niegęste smużki dymu, zaś po obu stronach bitej drogi wiodącej od Szlaku do nadrzecznych zabudowań stały zwyczajne wiejskie zagrody. U wlotu w tę drogę-ulicę wznosił się murowany dom o maleńkich oknach, a przed nim przechadzali się trzej żołnierze z napiętymi kuszami w rękach. Zamiast szyldu powiadamiającego, co też to za wytwórnia pracuje nad rzeką, przymocowana była do naroża strzeżonego domu gruba deska z krótkim napisem:

PRZEJŚCIE ZA POZWOLENIEM

— To już jesteśmy w Koniuszynie? — pytająco stwierdził Iwanko przekrzykując huk końskich kopyt.

— Po trosze tak — potwierdził sotnik Bałda. — Mijamy sławne Kuźnie Koniuszyńskie. Nigdy tędy nie jechałeś, panie dziesiętniku?

— Zdaje się, że tym Szlakiem odstawiano nas z Hryzotowej Wody, aleśmy wtedy byli dziećmi wystraszonymi, więc drogi nie pamiętamy.

— Tak, tak... pojmuję. No, jeszcze pół godziny, i wy będziecie w koszarach, a ja w swoim domu.

Przed wjazdem do właściwej stołecznej wioski musieli się jednak zatrzymać, okazało się bowiem, że dopędzili jakąś kobiecą półsotnię, która właśnie wyłócała się ze stojącym na rogatce dziewczęcym oddziałkiem straży wioskowej. Chodziło o to, że Koniuszynianki, zgodnie z posiadanymi rozkazami, nie chciały przepuścić oddziału do wioski, lecz kierowały go w objazd wiodący do jednej z dwu świeżo urządzonych pomocniczych przepraw promowych, zaś młode kobiety z półsotni upierały się, że muszą zwiedzić Koniuszynę.

Starsza nad strażniczkami, szczupła jasnowłosa szesnastolatka, wymachiwała plikiem spiętych żółtych kart papieru i tłumaczyła z nie ukrywanym rozeźleniem:

— To jest rozpis całego porządku przeprawowego, zrobiony w Izbie Przyatamańskiej! Każda sotnia i półsotnia w nim jest! I wy też tu jesteście! Wszystkich za Nestrem służby przejmują i prowadzą wedle porządku rozpisanego na miejsca obozowania. To może zechcecie pojąć, baby nierozgarnięte, że musicie objechać wioskę do przeprawy wam wyznaczonej! No, więc dość gadania, i jazda!

Dowodząca półsotnia, smagłolica kobieta lat koło dwudziestu pięciu, swobodnie, po czabańsku trzymająca się w siodle, ani myślała ustępować.

— Posłuchaj mnie, sroko koniuszyńska! — powiedziała niskim, melodyjnym głosem. — Według rozkazu, gońcem atamańskim do naszej wsi przysłanego, my mamy się stawić na przeprawie dopiero o północy. W dwóch dniach drogi cztery godziny nadrobiłyśmy po to właśnie, żeby Koniuszynę zobaczyć! To jak nas nie wolno konno wpuścić, pieszo możemy wejść, tylko nam tu gdzieś blisko miejsce do zatrzymania wskażcie prędko, gdzie konie zostawimy. A prędko, mówię, bo ciemno się robi!

— Tu nic nie ma do oglądania; chałupy jak wszędzie — próbowała przyjść z pomocą swej przełożonej inna dziewczyna z koniuszyńskiej straży. — Chyba wam ktoś głupot naopowiadał.

— Jak to nic?! — obruszyła się wrzaskliwie jakaś wojowniczo nastawiona młódka z półsotni. — A pałac biskupi?! A pałac atamański?!

— Jakie znów pałace?! — roześmiała się z politowaniem starsza nad strażą. — Domy zwyczajne, tyle że większe. Usuwacie się z drogi, czy nie?

W tym miejscu zniecierpliwiony nieprzewidzianym postojem Iwanko rzucił wodze na łęk siodła i złożył dłonie przy ustach, by wystarczająco donośnie upomnieć się o przejście dla poselstwa, ale powstrzymał go Anton Bałda:

— Poczekaj, panie dziesiątniku! Podobnych rzeczy bardzo wiele będzie się teraz zdarzać, więc chcę się przyjrzeć, czy służbowe dziewczęta potrafią sobie radzić.

Okazało się, że poradziły sobie niebawem. Jasnowłosa przełożona strażniczek, świdrując drapieżnym spojrzeniem hardą przeciwniczkę, powiedziała chłodno cedząc słowa:

— Ostatni raz do ciebie mówię, kara kobyłko stadniskowa! Myśmy na służbie, i nahajek wolno nam użyć! I użyjemy, jak zaraz z drogi nie zjedziecie. Chcecie stać do północy, zamiast się przepawić i odpoczywać, to sobie stójcie gdzie wam się podoba, ale nie na drodze! — i odwracając się do swoich podwładnych dziewczyn krzyknęła ostro: — Nahajki w dłoń!!

Żeńska półsotnia, nie szczędząc młodym Koniuszyniankom wymyślnych a nieprzyzwoitych określeń, powoli ruszyła we wskazane jej, wdeptane na bujnej łące wieloma setkami końskich kopyt obejście stołecznej wioski ku bocznej przeprawie przez Nestro.

Oddział poselski podjechał z wolna ku zuchowatym dziewczynom, których przełożona, już spokojna, zwróciła się do sotnika tonem uprzejmym i zarazem nieprzekonująco urzędowym:

— Czy pan poseł Anton Bałda?

— Bałda od stóp do głów! — odrzekł żartobliwie sotnik, mimo zmęczenia rozbawiony dopiero co oglądając sceną.

Z delikatnych rysów rozmówczyni błyskawicznie spęzła sztuczna powaga. Roześmiała się z wdziękiem i sięgnęła do kieszeni swej nieco za dużej wojskowej bluzy, wydobywając z niej złożoną w listowy trójkąt kartę grubego papieru, opatrzoną wiśniową pieczęcią.

— Pismo atamańskie dla pana posła — powiedziała podając sotnikowi złożony papier z nie udawanym przejęciem.

— Dzięk! A czy możesz mi jeszcze powiedzieć, jak cię zwą?

— Jestem Łarka Zerniatko.

— Bojowa z ciebie panna, Łarko! — pochwalił dziewczynę Anton Bałda z niezmiernie rzadko u niego spotykanym uśmiechem. — Jeśli cię już nie spotkam więcej, to na pewno usłyszę jeszcze o tobie, bo nie byle co z ciebie wyrośnie.

— Z serca dzięki za dobre słowa, panie sotniku! — odrzekła Łarka, a niektóre z jej podwładnych radośnie plasnęły w dłoń.

W mroczniejącej szarówce dało się słyszeć od strony Szlaku głucho dudnienie kopyt kolejnego docierającego do Koniuszyny oddziału jazdy, zapewne niemałego, bowiem nieomylny w takich momentach Staśko Truba stwierdził krótko:

— Trzy i pół setki koni. Nieźle!

Bałda, nadal trzymając w dłoni nie otwarte pismo atamańskie, rzucił komendę:

— Kłusa!

Dopiero w połowie głównej koniuszyńskiej ulicy sotnik zatrzymał oddział i zapytał Łysego Iwankę:

— Dobre masz oczy, panie dziesiątniku?

— Dotąd nie narzekałem.

— W tym przyzmroku przeczytasz pismo?

— Jeśli ono w Izbie pisane, znaczy wyraźne, to przeczytam.

— To wyręcz mnie, bo uczciwie mówiąc, mój wzrok kiepsnieje od jakiegoś czasu, szczególnie w szarówce.

Iwanko rozpieczętował pismo, uważnie sprawdził, czy nie ma na nim znaku tajności, i czytał półgłosem:

Ataman Łewko Lonowy do sotnika
Antona Bałdy z pozdrowieniem.

Panie sotniku! Jeśli wynik postowania pomyślny lub połowiczny, to odpocznijcie w Koniuszynie półtorej doby. Jeśli niepomyślny, to ruszajcie do mojego obozu najprędzej, jak wam siły pozwolą. Drogę wskażę wam znaki zrozumiałe, a później ludzie z lotnych służb polowych, którzy również wojska kolejne przybywające prowadzą ku miejscom nad Pyrutem im przeznaczonym.

Wybaczcie, ale kuchnie sotni żołdowych są już przy mnie, przeto w Koniuszynie za pieniądze musicie się wyżywić i także w prowiant na dalszą drogę się zaopatrzyć. Jakby wam pieniędzy zabrakło, to od wioskowego atamana nakażnego weźcie, pismo niniejsze mu pokazawszy. Do spotkania rychłego!

Ataman Łewko Lonowy

— Ładne rzeczy! — wybuchnął złością Staśko Truba gdy Iwanko skończył czytać. — W nocy za pieniądze się wyżywić! O głodzie przyjdzie do jutra przespać, grania kiszek słuchając jako kołysanki!

Żołnierze eskorty poparli narzekanie Staśki buntowniczym pomrukiem, ale sotnik szybko opanował niezadowolenie oddziału:

— Panowie żołnierze, słowo moje daję, że do domu własnego nie zaglądnę, dopóki wszyscy o sytym brzuchu spać nie pójdziecie, a to jeszcze dobrze przed północkiem się stanie. A jako że jutro wolny dzień nam wypadł, zaś postowanie nasze w pełni owocne się okazało, to dla was do wieczery jeszcze i po kubku palonki skądś wytrzasnę. Teraz dwóch mniej zmęczonych do pomocy potrzebuję, a reszta niechaj do koszar pustych pośpieszy, w kuchni tam rozpalą, posłania przysposobi, a też konie zdrożone należycie obrządzą!

* * *

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy poselstwo pod Antonem Bałdą dojeżdżało do północnej roгатki Koniuszyny, w dwóch ważnych domach stołecznej wioski Ponestrza odbywały się dwie ważne rozmowy. Miejszem pierwszej z nich była obszerna, bogato wystrojona wschodnimi kobiercami izba atamanowej Terezi Lonowej. Wszedł tam mężczyzna lat około trzydziestu, średniego wzrostu, nieco otyły, o twarzy puciołowatej i lśniącej tłustym potem, ciemnooki i czarnowłosy, ubrany w dobrze dopasowany do przyokrągłej postaci mundur z dwoma kwiatami malwy wyszytymi na każdym z rękawów bluzy. Był to Enej Lonowy, jedyny syn sławnego atamana Ponestrza.

— Witaj, matko! Wezwałaś mnie, więc przybyłem — powiedział od samych drzwi. — Lecz nie nazbyt zręcznie to zrobiłaś, bo przez niewolnego odzianego niewojakowo, co w obozie niepotrzebną ciekawość budziło. Na przyszłość, jeśli byś do mnie swojego człowieka posyłała, w mundur pierwszej każ mu się przyodzierać.

— Witaj, Eneju! Od wymówki zaczynasz... — z niemocnym wyrzutem odrzekła atamanowa unosząc z wielkiego rzeźbionego krzesła swe obfite ciało ubrane w długą suknię z izbeckiej tkaniny zdobionej wzorami z upiękzonego farsyjskiego pisma, oplatane go pędami jakiegoś pnącza podobnego do powoju.

Matka i syn uściskali się na środku izby, poczem usiedli przy niewielkim ośmiokątnym stoliku, którego ciemny blat również upiększało wyszukane wschodnie pismo, wykonane z osadzonego w nim srebrnego drutu.

— Po co mnie przyzwałaś? — zapytał Enej tonem nadal nieco opryskliwym. — Mam dużo roboty w obozie, a od tego, czy należycie ją wykonać, wiele zależy, a szczególnie to, czy mnie ojciec do sotnika podniesie. Nie powiem więc, że się z radością od pracy oderwałem.

— Pomału, synu, pomału! Wszystko po kolei! — odpowiedziała atamanowa z mieszaniną wyniosłości i łagodności w głosie. — Co właściwie robisz?

— Wiesz chyba, matko, co robię, skoro mnie twój niewolny potrafił odszukać. Czwartą Atamańską zestawiam w obozie Płytki Jar.

— Kiedy wypada ci powrócić i jak długo się tam jedzie?

— To niedaleko. W dzień, a przynajmniej nie po ciemku, to tylko koło dwóch godzin od dolnego promu. Ale nocą nie bardzo tam można dojechać, bo miejscami droga paskudnie niedogodna. Wnet o wschodzie powrócić mi pasuje.

— To i będziesz o czasie. Głodnyś?

— Nie, matko, po obozowej wieczerzy wyruszyłem. Ale jak masz pod ręką wino jakie niesłodkie, to rad gądko zwilżę.

Atamanowa wskazała ręką stoliczek przy wezglowiu swego łózka, na którym obok srebrzonego lichtarza stał złotawo połyskujący dzwonek.

— Podejź tam i zadzwoń krótko na niewolnego, to mu każę chłodzonego wina z piwnicy przynieść.

Gdy baryłkowany dzbanek stanął na stoliku, z twarzy Eneja Lonowego w jednej chwili znikła dotychczasowa, nie wiadomo do kogo skierowana nieżyczliwość. Wychylił pospiesznie kilka pękatek kielichów, a matka, ledwie moczając wargi w bladozłotym trunku, rzuciła na syna badawcze spojrzenia spomiędzy uczernionych brwi i otłuszczonych policzków. Gdy czoło Eneja okryło się jeszcze gęstszymi kroplami potu, a rysy złagodniały i nabrały wyrazu głupkowatej dobroduszości, atamanowa wróciła do przerwanej rozmowy:

— Więc mówisz, że Czwartą zestawiasz? Czy znaczy to, że Wielką Sotnię przybędów łowyńskich podniósł ojciec do miana Trzeciej Atamańskiej?

— Nie, matko. Wielka Niskołowyńska tym jest, czym była, tyle że ją ojciec wzmocnił dwiema żółdowymi dziesiątkami smarkaterii niedoświadczonej. Słyszałem, że posłał ją ojciec na sam dół Pyrutu, po co, to nie wiem, ale myślę, że dolnych przepraw ma bronić. Zaś znając niezłomną głupotę Nenehajki w spełnianiu zadań wojennych wątpię, czy z tej sotni co zostanie. Łatwo sobie wszak przedstawić, jak ogromna siła pójdzie od dolnego Pyrutu, a Nenehajko pierwszej do nogi swoich wygubi, nim od wypełnienia rozkazu odstąpi. A o co to pytałaś?

— Już nie pij! — ostro powiedziała matka, szybkim ruchem odbierając synowi kielich. — Pytałam, czemu nowa sotnia żółdowa, którą składasz, Czwartą się nazywa?

— Bo Trzecią cichcem utworzył ojciec już z miesiąc temu, i nawet nie wiem, gdzie był jej obóz. Za to wiem, że niezwykajna ona, bo aż półtorej setki zabijaków nieżonatych do niej przyjęto, a dowodzi nią... oj, nie zgadłabyś... Sotnik Hawrytko „Zbój” dostał nad nią buzdygan!

— Niech tam! Mów teraz, kogo ty do tej swojej Czwartej bierzesz, i na kiedy ma być gotowa?

— Zwyczajnie, matko. Jako wiesz, wszelkie wojska przeprawione obozują najpierw czas jakiś po tamtej stronie Nestra, gdzie dostają liczby porządkowe i broń dodatkową z majątku Po-nestrza. Tam się moi ludzie kręcą i za atamańskim pozwoleniem namawiają do przejścia na żołąd.

— Kogo?
— Nieżonatych, luźnych rozmaitego rodzaju, no i wyzwoleńców, jeśli w szabli sposobni a do ojczyzn powracać nie myślą.

— A żołd jaki dajesz?

— Po prawdzie, nieszczęśliwy. Mało dostałem pieniędzy. Ale najgorzej mi nie idzie.

— Co, poimiennie, ojciec ci obiecał?

— Że jak na ostatni dzień lipca sotnię wyćwiczoną, z osiemdziesięciu co najmniej ludzi złożoną nad Pyrut przyprowadzę, to trzeci kwiat na ramiona dostanę i buzdygan.

Zły, jadowity grymas przebiegł przez pulchną twarz Terezji Lonowej. Powiedziała nienawistnie:

— Jak zwykły wioskowy łachmyta musisz się stopni dorabiać, taki dla ciebie ojciec życzliwy! I nie wstyd mu, że syn rodzony trzydziestki dobijając — wciąż jeszcze dziesiętnikiem, czyli równy tym osiemnastoletnim przybłędom z łowynia!

— Ale oni... jednak... — zaczął Enej i urwał, a na jego niebyстрыm obliczu wyraźnie zarysowała się męka myślenia.

— Już nic nie mów! — powiedziała stanowczo atamanowa. — A za to słuchaj! Bardzo uważnie słuchaj!

— Dobrze, uważam pilnie — zgodził się Enej zadowolony, że matka przerwała mu trud namysłu nad słusznością poprzednich jej słów.

— Ojciec twój już dwadzieścia pięć lat rządzi i wojuje, coraz władzę bezgraniczną czasu wojny wymuszając dla siebie od Ziemskiej Rady. Tę wojnę może i wygra jeszcze, ale jeśli cały z niej powróci, to szósty raz do wyboru nie stanie, bo i w siłach się już nie czuje, i władzę już się nasycił. A we wrześniu kończy mu się piąte atamanowanie, więc trzeba będzie następcę wybrać. I w tym rzecz cała, żeby to nie kogo innego, tylko ciebie obrano!

Po tych słowach ospale dotąd słuchający matczynej mowy syn wielkiego atamana poderwał się z krzesła nagle i gwałtownie, szybko przetaił czoło wierzchem dłoni i odezwał się z niespodzianą mocą:

— Matko, czy ty wiesz, co mówisz?!

— Wiem bardzo dobrze! Siadaj i słuchaj dalej! — głosem nie znoszącym sprzeciwu złamała Terezja Lonowa opór syna, niby mocny, ale jedyny, na jaki było go stać.

Usiadł z powrotem ociężale, znowu bezwolny, a matka, z niezmaconą już pewnością swego, mówiła dalej:

— Jako powiedziałam, taka jest moja wola, żebyś po ojcu swoim ty dostał atamańską buławę Ponestrza, i tak musi być! Do tego jednak i sotnikiem trzeba ci zostać zanim się boje nad Pyrutem zaczną, i sławę w tych walkach musisz zdobyć. A w tym, żeby się ta sława po całym wojsku i całym Ponestrzu należycie rozeszła, ja ci pomogę. Teraz, pozwalam, jeszcze trochę wina sobie wypij, żebyś spał dobrze, a nad ranem zbudzę cię o czasie i do obowiązku twojego wyprawię. Dam ci też pieniądze. Za nie żołd w swojej sotni podwoisz, tak, podwoisz, mówię, przez co żołnierze wierności ci dochowają w każdym położeniu. A też żołd tak wysoki przedkładając, zaciąg prędko zakończysz, i to nie każdego chętnego biorąc, lecz tylko rębajtów pierwszorzędných. Wystarczy ci złotych blaszek, żeby z dwunastodziesiątkową sotnią przed ojcem stanąć. I jeszcze rzecz ważna niezmiernie: dam ci rano kawałek rzemienia ze znakiem na nim wypalonym. Taki sam drobiazg okaże ci pięciu, a może sześciu żołnierzy, którzy się do ciebie w obozie na zaciąg zgłoszą. Tych masz do sotni przyjąć, choćby ci się nie nazbyt biegli w broni wydawali. Zadaniem ich, przeze mnie powierzonym, będzie tak ci doradzać i pomagać, żeby cię nad Pyrutem wojenna sława owiała.

Tak przebiegła pierwsza z dwu uprzednio wspomnianych ważnych rozmów owego wieczoru w Koniuszynie.

Druga odbyła się w Domu Biskupim, a poprzedziło ją dość długie oczekiwanie jednego z rozmówców na przyjęcie przez drugiego.

Potężne, na dwa metry wysokie ogrodzenie, podobne do obronnej palisady, otaczało rozległy, pocięty wewnętrznymi drogami ogród, wewnątrz którego wznosiły się cztery budynki: ogromny, drewniany ale ozdobną dachówką kryty Dom Biskupi, dwakroć odeń mniejsza siedziba Koniuszyńskiej Szkoły Duchownej, murowany kościół z drewnianą wieżą i przestronna stajnia-powozownia. Naprzeciw biskupiej siedziby znajdowała się nieco wyższa od reszty ogrodzenia, dwuskrzydła brama wzmocniona ozdobnymi okuciami, a obok niej — całkowicie żelazna furka mogąca uchodzić za popis umiejętności kowali z Kuźni Koniuszyńskich. Zajechało tam galopem i zeskoczyło z koni pięciu umundurowanych i po zęby uzbrojonych jeźdźców, z których jeden, wysoki, chudy lecz muskularny, był w stopniu sotnika i przypięte miał do lewego rękawa dwa włóczkowe chwasty — żółty i czerwony. Pozostali czterej, znacznie młodsi, wzrostu również nadprzeciętnego, byli zwykłymi żołnierzami, ale zarówno minami, jak i każdym ruchem zdradzali ten rodzaj niechętliwego, a nawet przybarwionego opanowaną skromnością zawadiactwa, jaki cechuje wojowników młodych, a już bardzo doświadczonych. Sotnik-postaniec rozglądał się za jakąś bramną kołatką lub gongiem, ale niczego takiego nie dojrzał, więc zwrócił się do jednego ze swych żołnierzy:

— Weź czekanik i podzwoń nim po furcie.

Podwładny wykonał polecenie żwawo i gorliwie, tak że przykry dźwięk żelaznych, wymyślnie giętych prętów i sztab rozniósł się chyba na pół Koniuszyny. Po dłuższej chwili uchylły się drzwi Domu Biskupiego i wyszedł z nich człowiek w stroju kleroika. Zbliżył się do furki i warknął ponuro:

— Co za hałas?! Co za obyczaje?! Czego chcecie?

— Od atamana Lonowego do biskupa Konstantyna w pilnej sprawie — odpowiedział sotnik.

— O tej porze ksiądz biskup już nikogo nie przyjmuje, więc odjeżdżajcie!

— Mnie przyjąć musi, bo taka wola atamana! — twardo oświadczył sotnik.

Poprzez wzorzyste otwory pomiędzy czarnymi prętami furki kleroik uważnie przyglądał się sotnikowi, poczem odwrócił się, splunął nieprzystojnie i odszedł powoli. Przez dobrą ćwierć godziny nic się nie działo.

— Słówko rzeknij, panie sotniku — odezwał się jeden z żołnierzy — a w mig tę furkę rozwalimy.

— Hamuj się na razie — odrzekł postaniec, ale z przymrużenia jego skośnawych oczu i drgania mięśni pod skórą policzków można było wnosić, że i jemu podobne myśli przychodzą do głowy.

Wreszcie z domostwa biskupiego wyszedł ksiądz w średnim wieku, niski i gruby, lecz o żywych ruchach, i zbliżywszy się do furki zapytał cichym głosem, w którym wyraźnie słyszało się nutę kpiny:

— Ksiądz biskup zaciekał się, co też to za postaniec w porze zmroku zostało mu przywiezione. Zapytuje więc, jak się zwiesz, postańcze, i w czym sprawa?

— Powiedz, księżę, czcigodnemu biskupowi Konstantynowi, że jemu tylko się przedstawię i jemu sprawę wyłożę, a jak już za parę chwil nie będę miał po temu sposobności, to siłą wejść. Czy dość to jasne?

Groźba nie wywarła wrażenia na duchownym. W jawnie udawanym geście zgrozy złożył dłonie i wniósł oczy ku niebu mówiąc z szyderczym zgorszeniem:

— Wejrzyj, dobry Boże, jakich to czasów przyszło nam doczekać! Ataman zbójów jakichś niebezpiecznych posłańcami do biskupa naznacza!

— Wiązać arkany do furtki i do koni! — rzucił sotnik polecenie żołnierzom swej eskorty.

Drwiący półuśmiech spętał z twarzy grubego księdza. Zrozumiał widać, że druga strona żartów ma już dosyć.

— Otwieram! — krzyknął z wyraźnym niepokojem, ale zaraz dodał: — Otwieram pod groźbą przemocy!

Nie był to jednak koniec upokorzeń, jakie musiał znieść postaniec atamański. Długo, niewiele krócej niż, przed furtką, czekał samotnie w całkowicie ciemnej sieni, nim wreszcie wpuszczono go do olśniewającej bogactwem mebli, przepychem dywanów, pięknem lichterzy i mnogością świętych obrazów komnaty, w której za ogromnym stołem siedział rudowłosy, młody jeszcze jak na swą duchowną godność, biskup Konstantyn Stułanny.

Sotnik przebył połowę drogi od drzwi do stołu, zatrzymał się w wojskowej postawie, wykonał krótki, służbowy ukłon i zaczął:

— Księżę biskupie, jestem...

— Nie potrzeba!!! Wiem, kim jesteś! — przerwał mu wściekłe kościelny władca. — Jesteś Hawryło Tuzgun, przewiskiem Hawryłko Zbój, człowiek za zbójectwo na śmierć skazany i niesłusznie ułaskawiony, z ciężkich robót przedwcześnie wypuszczony, z dwudziestopięcioletniego niewolnictwa po czterech latach wyzwolony, a niedawno, na urągowisko boskiej i ludzkiej sprawiedliwości sotnikiem mianowany. Takiego to człowieka gońcem do mnie Lonowy śle, by mnie ośmieszyć i powagi ująć, na dodatek upoważniając go, żeby się przyjęcia domagał w porze, kiedy noc już zapada!

— Wdzięczny jestem, księżę biskupie, żeś mnie wyręczył, i przedstawiać się już nie muszę — odpowiedział sotnik Tuzgun na ociekające nienawiścią przywitanie duchownego wielmoży.

— Nie całkiem cię jeszcze wyręczyłem, więc dokończę! — kipiał dalej wściekłością biskup Konstantyn. — To jeszcze do obrazu twojego dodać trzeba koniecznie, że nim za zbójcekie wzięteś się rzemiosło, w Duchownej Szkole w Bożej Górze próbowałeś nauki pobierać, skąd cię po należytym chłóście wyrzucono za to, że samego arcybiskupa bożogórskiego ciężko znieważyłeś, z którego to powodu matka, ojciec i wszyscy krewni twoi wyrzekli się ciebie raz na zawsze. Teraz już z grubsza pełny mamy obraz człowieka, którego oto wysłuchiwać mi przychodzi.

— W samej rzeczy, księżę biskupie, niczego ważnego nie pominąłeś, z ojcowską troską i apostołską miłością grzeszną drogę moją przypominając. Tyle tylko, że drobne szczególności skrzętnie pominąłeś, wszystko w całkiem innym świetle stawiające. Czy mogę przejść do celu mojego tu przybycia?

— Jeszcze nie. Skoro i tak odpoczynek mi odebrałeś i spokój wieczorny zburzyłeś, to wyłuszczyć, jakie to w mniemaniu twoim szczególności życie twoje inaczej widzieć pozwalają?

— Takie, księżę biskupie, że to pod naciskiem z tej komnaty idącym rodzina mnie wyklęła, i tobie to, biskupie Konstantynie zawdzięczam, że ani kawałka ziemi nigdzie mi udzielić nie chciano, ani do żadnego zarobku z pracy rąk nie dopuszczono, ani do żołdowych sotni nie przyjęto, przez co z głodu zbójctwa się chwyciłem. A ułaskawiono mnie zaś dlatego, że przez cztery lata ciężko za placki czarne i wodę z Seretyny w Kuźniach pracując, pochwały same za pilność zbierałem, a stokroć możność ucieczki mając, nie czmychnąłem, do końca pragnąc pomienione moje zajęcie niegodziwie odpokutować. I tę jeszcze rzecz drobną pominąłeś, księżę biskupie, iż zniewaga moja dla arcybiskupa na tym tylko polegała, że przy ludziach pytanie zadałem, jak to możliwe,

że od trzydziestu lat od Świętego Ojca Kościoła Złączonego najdokładniej przez Małomienieckie Królestwo i Wielki Bołkan odcięci, biskupów mamy nowych, których wszak Święty Ojciec winien wyświęcać, a też kto Bożą Górę do arcybiskupstwa podniósł, skoro za czasu łączności z Piotrowym następcą tylko zwykłe biskupstwo tam było. I jako myślę, księżę biskupie, to właśnie moje pytanie źródłem jest twojej do mnie nienawiści.

Mimo tych słów biskup ochłonął znacznie z wściekłości, w jaką wprawił go sam widok sotnika Tuzguna. Pomilczawszy chwilę, zapytał dość spokojnie:

— Skoro tak to wszystko w twoich oczach wygląda, to czemu się zgodziłeś z postaniem do mnie jechać?

— Bo inni sotnicy przygotowaniami wojennymi wagi niezmiernej z dała od obozu atamańskiego są zajęci, a niższego stopniem do biskupa posyłać nie wypadało.

— Powiedz teraz, co ta krwawa włóczka na ramieniu twoim znaczy, bo tego nie wiem, a pojmuję tylko, że chwast żółty o szczególnej ważności postania ma mówić.

— Dziwne to, czcigodny biskupie, że o mnie tak dokładne mając wiadomości, znaków atamańskich nie znasz, od paru lat już używanych. Czerwony chwast oznacza część powierzoną władzy atamańskiej czasu wojny. Jeśli więc jest przy żółtym, to każde słowo posłańca taką samą ma wagę i moc, jakby z ust atamana pochodziło. Dlatego pisma żadnego z sobą nie mam; słowo moje za pismo wystarczy.

Lekkie zmieszanie pojawiło się na twarzy biskupa. Po krótkim namyśle powiedział:

— Choć niczego, co do ciebie powiedziałem, sotniku, nie odwołuję, to przyjmij wyjaśnienie moje, że gdybym wiedział, co chwast czerwony na rękawie twoim znaczy, powstrzymałbym się od słów tamtych. Wypada mi teraz prosić, byś przy stole usiadł.

— Dzięki, ale nie chcę kłaść krzesła w tej pobożnej komnacie.

— Jak chcesz, sotniku. Przejdź do sprawy.

Hawryło Tuzgun, choć i przedtem nie okazywał najmniejszego podniecenia, zaczął teraz mówić z najzimniejszą obojętnością:

— Był rozkaz atamański, żeby wszyscy księża do konnej jazdy zdolni w obozie Żowty Horb się stawili dla objęcia służby kapelańskiej. Mamy na Ponestrzu jedenastu księży, z których tylko jednemu wierzchem jeździć już trudno. Ale zamiast dziesięciu, dwóch tylko mamy w polu kapelanów, i co ciekawe, obaj oni w Lewosańsku byli wyświęceni. Zbadaliśmy tę sprawę. Wiemy, księżę biskupie, że ty pozostałych od wykonania rozkazu powstrzymałeś. Czy chciałbyś się z tego wytłumaczyć?

Płomiennowłosa dostojnik kościelny roześmiał się pogardliwie:

— Wytłumaczyć?! Ja przed tobą?! Chyba miesza ci się w głowie, sotniku. Z tego, co ja duchownym przykazuję, i czego im zabraniam, tylko mój przełożony, arcybiskup z Bożej Góry może mnie przepytować.

Sotnik Tuzgun nie tracił doskonałego panowania nad sobą. Zaprzeczył beznamiętnie:

— Mylisz się trochę, biskupie Konstantynie. W czas wojny tylko w rzeczach wiary księża ci podlegają, a we wszystkim innym — świeckiej władzy, to jest atamanowi. Otwarcie więc sprzeciwiłeś się rozkazowi atamańskiemu, i to samo uczynili duchowni, którzy cię postuchali.

— Tak, sotniku, jest to sprzeciw, tyle że uprawniony.

— Pojmuję, księżę biskupie, że tłumaczyć się nie myślisz.

— I dobrze pojmujesz. Ale wdzięczny byłbym, gdybyś mnie uświadomił, po co wam kapelani, skoro za waszą sprawą Ponestrze poganieje, tak zresztą, jak i reszta Ziem Malwowych?

— Jeśli poganieje, to tylko dowód, jak pod twoim przewodem kapłani pracują. Do wiosek odleglejszych jeździć się wam nie chce, przez co w niejednej okolicy dzieci albo przez

świeckich ludzi są chrzczone, albo pełnoletności bez chrztu dożywają, lud zapomina, jak nabożeństwo wygląda, a ślubów udzielają rady wioskowe. Ale w sercu ludzie nie poganieją, czcigodny biskupie, stąd na wojnie kapelani są potrzebni. Każdemu bowiem żołnierzowi na bitewnych polach konającemu, jeśli taka jest wola jego, albo taka była, posługa ostatnia kapłańska się należy, zaś wodza jest obowiązkiem, żeby mu ją na miarę możliwości zapewnić.

Biskup, przeciwnie niż rozmówca, z powrotem tracił opanowanie:

— Jak śmiesz, złoczyńcy człowieku, lenistwo i opieszałość duchownym zarzucać, skoro w całej Ziemi Ponestrzańskiej wszystkiego dwa kościoły stoją, z czego jeden w moim ogrodzie?! Czy dała Rada Ziemska za pokoju, albo ataman w wojennym czasie, choć jedną blaszkę z podatków wioskowych i stu innych przychodów na budowę kościoła?

— Przede mną, księżo biskupie, czy przed sobą nierozumnego udajesz? Wiesz tak jak i ja, że ludzie nie bez racji nadmiar i bogactwo świątyń i kapłanów w technoczasach za ważną przyczynę gniewu Bożego uważają, i dlatego do wznoszenia kościołów nieskłonni. Wiedzą też wszyscy, że dopokąd było połączenie ze Świętym Ojcem, do budowania kościołów nikt nie nawoływał. Ksiądz Iwski, męczennik, co ze świętym Semenem pracował z dzikości nas podnosząc, pod dębami ołtarze ustawiał i tam nabożeństwa odprawiał. Żadna się też wieść nie zachowała, żeby święty Semen Werba, jedyny przecież człowiek po technoczasach prawowicie przez apostolskiego następcę do świętości wyniesiony, o wznoszeniu kościołów choć jednym słowem kiedy wspomniał. Bóg całkiem jasno ród ludzki pouczył, że świątynie swoje w sercach chce posiadać, a śpiew ptaków, szum lasów i traw, dzwonki strumieni rączych i westchnienia rzek swobodnie płynących miłszą Mu są pieśnią, niż bezmyślne zawrozenia bab w kościołach.

Brzydka twarz biskupa Konstantyna nabrała koloru ciemno-ceglastego, a skurcze wściekłej nienawiści zeszcpecily ją jeszcze bardziej. Wydawało się, że zerwie się z miejsca i rzuci na sotnika. Długo oddychał szybko i świszcząco, potem jednak opanował się na tyle, że zdobył się na szyderstwo:

— Oto występny syn przechrzczonego musułmanina-wyzwoleńca pouczył biskupa w prawdach wiary i Kościoła! Jak widać, nie ma na tym świecie granic osobliwości! Ale wystarczy już chyba tej rozmowy gorszącej, czas kończyć. Ani jeden ksiądz więcej, bo o to pewnie chciałeś zapytać, nad Pyrut nie przyjedzie. Jeśli Lonowemu kapelani potrzebni, to niechaj się o nich do Krzywych Stoków i Lewosanska zwróci, skoro tam po zbrojną pomoc poselstwo skierował. A teraz zechciej stąd wyjść, sotniku, abym cię nie kazał służbie wyrzucić!

Skośnooka twarz atamańskiego postaćca, zawsze nieco kamienna przez wschodnią krew krążącą w jego żyłach, stwardniała w wyrazie.

— Nie po to tu jestem, żeby się o zmianę twojego dla księży polecenia dopytywać albo ubiegać, biskupie, lecz po to, by cię ostrzec, że wszyscy winni złamania rozkazu atamana co do kapelańskiej powinności księży karę poniosą, a ostatni już czas, żeby zdążyć rozkaz wykonać. Nim wyjdę powiem jeszcze, że nareszcie pojąłem, co ty za grę wiesz, biskupie Konstantynie. Do zatargu małolackiego pomiędzy Księstwami Bożogórskim i Wiprzeńskim z jednej strony, a Gór Jodłowych i Sańsko-Wysołockim z drugiej — rękę postanowiłeś przyłożyć. Uważaj, byś tej ręki nie stracił!

W godzinę po północy malinowa łuna pożaru rozświetliła południową część Koniuszyny. Palila się stajnia-powozownia w biskupim ogrodzie. Ogień pojawił się najpierw na ścianach powozowni, dzięki czemu ze stajni zdążono wyprowadzić wszystkie konie, ale budynek i powozy spłonęły doszczętnie.

Pożar jeszcze nie całkiem dogasał i do świtu było daleko, gdy nakażny ataman wioskowy, Tyszko Pochwał, rozpoczął dochodzenie. Najpierw wysłuchał biskupa Konstantyna Stufannego, dwóch księży i kilku kleryków, którzy zgodnie stwierdzili, że trzy zapalające betty

utkwili w trzech ścianach powozowni, i że wystrzelić je mogli tylko żołnierze z eskorty posłańca Tuzguna, bo nikogo innego od zachodu słońca w tej okolicy nie widziano. Ataman z kilkoma leciwymi żołnierzami straży wioskowej pocwałował do przeprawy promowej, gdzie dowiedział się, że sotnik i wszyscy czterej jego ludzie przeprawili się przez Nestro już na dobre dwie godziny przed północą razem z ostatnią częścią Kulbarskiej Sotni wioskowej. Nakażny Pochwała odszukał za rzeką obozowisko tej sotni, i tutaj piętnastu rozespanych i ostro przeklinających żołnierzy potwierdziło zeznanie obsługi promowej, dodając, że posłaniec Lonowego i czwórka jego eskorty pogalopowali szlakiem wiodącym do obozów nadpyruckich, i że było to co najmniej na dwie godziny przed północą. Na tym Tyszko Pochwała zakończył dochodzenie, powrócił promem z Nestra do Koniuszyny i opisał paroma zdaniem w „księdze służby nakażnej” całe wydarzenie, dopisał na końcu: „Przez umyślne rzucenie podejrzeń na eskortę posłańca Tuzguna, biskup, księża i klerycy łapanie prawdziwych podpalaczy w czasie sposobnym uniemożliwili”.

* * *

Selim Kiambaghi znalazł się w Koniuszynie jako jeniec o prawach niewolnego jesienią 2242 roku i zamieszkał na początek w niewielkiej izdebce w Domu Atamańskim. Od razu powierzono mu pracę, na której znał się najlepiej: uczenie szermierki, a właściwie — mistrzostwa w tejże, żołnierzy atamańskich sotni żołdowych. Wyniki osiągał tak zdumiewające, że już wiosną roku następnego zaczęto mu z kasy ziemskiej płacić za całą pracę, a nie tylko po południu, jak to według prawa ikwobrodzkiego przysługiwało niewolnym. Dzięki temu w roku kolejnym postawił sobie skromny dom na wydzierżawionym mu przez stołeczną wioskę kawałku ziemi. Za pilność w pracy wyzwolony został Kiambaghi już po czterech latach, to jest w 2246 roku, i zaraz zapytał atamana, czy przyzwolitą będzie rzeczą, jeśli jako człowiek wolny podniesie nieco cenę swoich usług, postanowił bowiem ostatecznie do ojczyzny nie wracać, i chciałby się dorobić na starsze lata prawdziwie wygodnego domu w Koniuszynie, i własnego kawałka ziemi. Trochę drożej możesz brać — przyzwolił Lonowy — ale nie za wiele, bo mi najbliższa Rada Ziemska wydatku może nie zatwierdzić, i wtedy z moich własnych pieniędzy przysłoby mi zapłacić. Doradzę ci ja jednak inny sposób, żebyś wyraźniej mógł zarobek swój powiększyć, co ci się za mistrzostwo twoje niestychane po pełni należy: weź od wioski w dzierżawę kawał łąki za którą rogatką, płotem ogrodź, i tam w wolnym czasie od zajęcia z żołdowymi ucz konnej szermierki każdego, kto tylko zechce, swobodnie się co do zapłaty umawiając. Sława twoja na tyle już szeroka, że z całego Ponestrza, a pewnie też z łowynia i Poboża trafiać ci się będą uczniowie, przez co dom gościnny pana Ochłatki lepiej będzie wypełniony i kasa wioskowa na tym skorzysta. Rozumie się, że i ty podatek z dochodu swego będziesz płacił, ale sprawiedliwy, bośmy dalecy od takiej głupoty, żeby kogo podatkami do pracy i zarobku zniechęcać.

Selim Kiambaghi posłuchał rady atamana, dzięki czemu w parę lat później należał już do najzamożniejszych mieszkańców Koniuszyny. Pracował jednak nadal bardzo dużo, nie z zamiłowania do pieniędzy, jak mówił, lecz dlatego, że uciechę sprawiało mu „doskonalenie doskonałych”, jakich nie brakowało w kraju, gdzie każdy uczy się konnej jazdy od czwartego roku życia, a władania bronią od szóstego.

W 2250 roku doświadczył Kiambaghi jedyne niepowodzenie: po pięciu miesiącach wysiłków prawie bezowocnych odmówił dalszej pracy z piętnastoletnim synem atamana, Enejem. Ojcu wyjaśnił: Zdolność do szabli dość ma Enej mizerną, ale w ojczyźnie mojej jeszcze słabszych potrafiłem w szamszyrce wyćwiczyć. W tym sprawa, że nijakiej chęci wycisnąć się z niego nie da, a bez tego nie poradzę, czas tylko marnuję, czego mam już dosyć.

Łewko Lonowy przyjął to orzeczenie mistrza z takim spokojem, jakby się niczego innego nie spodziewał.

Przedłużał się trwający od trzeciej wojny onieckiej czas dość spokojny, odmierzany wiosennymi i późnoletnimi wylewami Nestra, zakłócany tylko słabymi najazdami przygranicznych rajców limbiańskich i łatwym ich rozgromianiem przez Lonowego, oraz niepokojącymi wieściami, że po czterdziestu latach przerwy znów zaczęła się pojawiać dziurawka, na razie tylko w północnych połaciach Poławucia i wschodnich Niskiego Łowynia. Urozmaiceniem tych spokojnych lat były przedźniwne ziemskie ćwiczenia wojskowe i zajadłe kłótnie na odbytej w 2252 roku Radzie Ziemi Wszystkich na Ikwobrodzkich Łąkach. Poławucie, Posule i Oniecczyzna broniły się tam uporczywie przed przyjęciem zachodnich miar i pisma, których pozostałe Ziemie używały już od lat dziesięciu. Pod groźbą zaprzestania z nimi handlu trzy wschodnie Ziemie miary w końcu przyjęły, ale pismo zachowały stare. Nie mniej gwałtowne swary wywoływała sprawa myt handlowych ściąganych przez Poławucie. Dzięki długiemu i nie łamanemu rozejmowi z Izbek-Szahem karawany Bractwa Samomliki coraz liczniej zapuszczały się w głąb mocarstwa szijjickiego, a z kolei tamtejsi kupcy zaczęli się pojawiać w Hryzotowej Wodzie, Styrbrodzie i Koniuszynie, przywożąc pożądane tu jedwabie i niezrównaną wschodnią broń. Dojrzała w tym zysk dla siebie Rada Poławucia, i ku wściekłości Wysokiego Łowynia i Ponestrza nałożyła na ten handel wysokie myta, przez co gwałtownie skoczyły do góry ceny wschodnich wyrobów w zachodnich Ziemach Malwowych. Spór, zakończony nie cieszącą żadnej ze stron ugodą, był chwilami tak ostry, że poszły w ruch szable i trzeba było na Ikwobrodzkich Łąkach urządzić mały szpitalik. Jednak mimo takich i podobnych urozmaiceń mówiono powszechnie, że czasu tak spokojnego nie było od stu lat, ale też nikt nie miał złudzeń, że potrwa on wiecznie. Uważano, że Cesarstwo Północne jeszcze przez parę dziesięcioleci wojować będzie na swych wschodnich i zachodnich rubieżach, ale głodny Bołkan długo bez wojny nie wytrzyma, zaś religijny zapał władców szijjickich nie pozwoli im przedłużyć rozejmu, i znowu spróbują posunąć ku zachodowi granicę musulmańskiego świata. W najmniejszej więc mierze nie zaniedbywano ciągłej nauki wojowania, a Selimowi Kiambaghiemu nadal nie brakowało chętnych do poprawiania pewności ręki w szabli. By nie tracić czasu na przejazdy między domem a dzierzawioną łąką, wybudował sobie mistrz tuż przy niej za pozwoleniem Rady Wioskowej drugi już dom w Koniuszynie, pierwszy korzystnie sprzedawszy jakiemuś półwędrownemu nauczycielowi, i pracował z zapamiętaniem, przerywając zajęcia tylko na czas zimnej jesiennej stoty i ostrzejszych mrozów, które bardzo źle znosił.

Nadszedł złowrogi rok 2255. Wiosną rozeszły się wieści, że zaraza przekosiła Niski Łowyn i Mokry Kraj. Wnet potem zaczęto wszędzie powtarzać niejasną przepowiednię sławnego wróża z Poławucia, Iwana Smołowody, który w ostatnich kilkudziesięciu latach wiele razy przewidział ważne wydarzenia, choć jego niewyszukany sposób uprawiania się w stan jasnowidzenia mało komu się podobał: przy pełni księżyca zwyczajnie upijał się on palonką prawie do nieprzytomności i wtedy opowiadał przyszłość. Tym razem wieszczenie jego brzmiało: „Stoi u płotu wojna-nie wojna i na lata strata. Ruszcie na tego, co go nie widać, to straty nie będzie”. Jak już wiemy, wróżbita-pijanica znowu się nie pomylił: Gdy ogromne wojska stały naprzeciw siebie beczynnym nad Pyrutem i na rozejmowej wschodniej granicy, podstępne uderzenie ukrytych sił wroga północnego wyrwało dwie Ziemie z malwiańskiej rodziny.

Przez jesień i zimę, kiedy tylko szarugi i chłody nie przechodziły wytrzymałości Kiambaghiego, ćwiczył on żołnierzy Wielkiej Sotni Niskołowyńskiej, która już wiosną roku 2256 poszła przez przełęcz do walk na Uhorszczyźnie. Wkrótce potem przybył na łąkę

Kiambaghiego łewko Lonowy z trojgiem dzieci siedzących na oklep na postusznym mierzynch pięknie chodzących bez wędzideł.

— Mistrzu, to jest Radka, to Iwanko, a to Staśko — zaczął bez uśmiechu. — Może słyszałeś o nich. Będiesz ich uczył, i proszę, byś w to serce włożył. Tak ich wyucz, żeby byli sposobni, jak czas przyjdzie, pomścić bliskich i przyjaciół. Nie mają jeszcze siodeł, ale zajmę się tym, a na razie na czapraczkach i bez strzemion dadzą sobie radę. Płacić będę ze swojej kieszeni.

— Polecenie twoje wypełnię z radością, panie atamanie — odpowiedział Kiambaghi. — Ale płacić nikt nie będzie. Mam swoje sumienie. Od jutra mogą zacząć, a jak tylko w ramionach okrzepną ile trzeba, to im kupię prawdziwe, dobre szamszarki.

— Dzięki! Nie pierwszy raz pokazujesz, że dobry z ciebie człowiek. Myślę, że dzieci kłopotu ci nie sprawią, bo one już teraz sporo potrafią, tylko wdzięczności i radości okazywania nie oczekuj od nich prędko, jako że mało mówią, wciąż jeszcze nieufne i ponure. Nie wypada mi też ciebie pouczać, ale miej wiek i wążłość Radki na uwadze, nie przeciąż.

— Panie atamanie, ja w ojczyźnie swojej chłopców wysoko urodzonych w szabli prowadząc i za to odpowiadałem, żeby się im ręce węzlaste nie robiły. Potrafię więc zadbać, żeby panienska zręczności i siły nabierała pomału, a krągłości ramion nie traciła i smukła rosła jak cyprys.

Kiedy nazajutrz po powrocie z posłowania łysy Iwanko i Staśko Truba zajechali po śniadaniu przed dom przy Łące Kiambaghiego, zastali tam ciszę i pustkę. Na kołatanie do drzwi nie było żadnego odzewu, nie spotkali też w pobliżu żywej duszy. Ponad niskim i rzadkim ogrodzeniem patrzyli przez chwilę na dawniej zawsze stratowaną, a teraz porośłą bujną trawą łakę, na którą przez blisko pięć lat skapywał z nich ćwiczebny pot, a potem ruszyli szukać atamana nakażnego, żeby się czego dowiedzieć o starym mistrzu. Tyszko Pochwała, którego znaleźli przy dolnym promie, przez chwilę uważnie się im przyglądał, poczem jego koścista i pomarszczona, lecz bystra mimo podeszłego wieku twarz złagodniała w niewylewnym uśmiechu.

— Jakby nie twoja łysina, Iwanko, panie dziesiętniku, tobym was chyba nie poznał — powiedział ze skrywaną serdecznością. — Urosliście i zmężnieli niebywale! Chyba rzadko w Koniuszynie bywacie? Sława wasza często tu przylatuje, ale was samych pewnie ze dwa lata nie widziałem.

— Nie mylisz się, panie atamanie nakażny — potwierdził łysy Iwanko. — Prawie dwa lata na wojowaniu w Pierwszej Atamańskiej nam zeszły, i przez ten czas przelotem tylko widywaliśmy Koniuszynę. Co zaś do sławy naszej, to nie bardzo ona zasłużona, a już na pewno panu Kiambaghiemu bardziej niż nam się ona należy.

Dowiedzieli się od nakażnego, że Selim Kiambaghi jeszcze wiosną poprzedniego roku zakończył swą pracę, gdyż, jak to Pochwała opowiadał, bolesność znaczna wlała mu w krzyże i już została, a to po przedwiośniu paskudnie mokrym i wietrznym. Teraz mistrz mieszka w osadzie Kwitnyki, gdzie zażywają spokoju i odpoczynku ludzie samotni a dla Ponestrza zasłużeni, którym choroba, rany odniesione, albo podeszłe lata kazały zsiąść z koni i szable zawiesić na kołku. Iwanko i Staśko przyznali się ze wstydem, że o Kwitnykach słyszą pierwszy raz i pojęcia nie mają, gdzie one, i jak tam dojechać. Tyszko Pochwała, trochę tą niewiedzą zgorszony, wytłumaczył, że dogodna droga, którą dowozi się do osady wszystko, co tam potrzebne, dość jest długa i okrężna, ale konno można jechać skrótami, łakowymi bezdrożami, i w godzinę być na miejscu.

Nazwa osady nieźle oddawała jej wygląd. Dnem rozległej i płytkiej doliny płynął znikomy strumyk, połową wschodniego zbocza biegła utwardzona droga, powyżej ciągnął się szeroki na sto kroków, poprzedzielany wąskimi drózkami pas bujnych kwietników i ozdobnych krzewów,

a jeszcze wyżej kwadraty żywoplotów tworzyły ponad trzydzieści zagród, w których wznosiły się wśród młodych drzew owocowych zgrabne drewniane domy kryte czerwoną dachówką i niewielkie, schludne budynki gospodarskie. Taki widok ujrzeli młodzi dziesiętnicy z przeciwległej krawędzi doliny, gdzie znaleźli się po godzinie jazdy szczerym krzewostepem, zgodnie ze wskazówkami nakaźnego Pochwały. Ruszyli w dół, by w poprzek przeciąć dolinę, kiedy jednak zjechali na jej dno i zaczęli szukać przejścia przez zarośla porastające brzegi strumienia, osadził ich w miejscu okrzyk dobiegający z gęstwy krzaków:

— Wy stać!!! Broń nie sięgać!

— Już my stać i broń nie sięgać — odpowiedział Staśko, ze śmiechem naśladowując niewidocznego rozmówcę.

— Wy co za jeden?! — padło pytanie z gęstwiny.

— Także się dobrze schował, że ani my ciebie nie widzimy, ani ty nas? — żartował dalej Staśko.

— My widzi i zaraz strzeli, jak wy nie odpowiada — zagroził głos z krzaków.

— Jak nas widzisz, ośle jeden, to co głupio pytasz? — zaczął się niecierpliwić Iwanko. — Myśmy dziesiętnicy wojska atamańskiego. Wyłaźcie i prowadźcie do osady, bo nam się śpieszy!

Na dłuższą chwilę zapadła cisza, a potem wyłonili się z zarośli dwaj młodzi, niewojskowo ubrani ludzie z szablami u boku i napiętymi półkuszami w rękach. Przyglądali się z uwagą przybyłym, nie opuszczając wymierzonej w nich broni. Jeden, wyższy wzrostem, zapytał podejrzliwie:

— A czego wy nie po drodze przyjechać?

— Skrótom z Koniuszyny przybyliśmy — odpowiedział Iwanko hamując wzbierającą w nim złość — bo nam spieszno, jak już powiedziałem. Z panem Kiambaghim chcemy się widzieć, a wy, czujność pochwały godną już okazawszy, zaprowadźcie nas do niego, albo przynajmniej wskażcie, który to dom.

Wypowiedziane nazwisko rozwiąło nareszcie nieufność młodych ludzi ze strażniczej czujki, i na ich smagłych twarzach o limbiańskich rysach pojawiło się nawet coś podobnego do uśmiechu. Zdjęli strzały z półkusz i wrzucili je do kołczanów, a potem, przeprowadzając dziesiętników na drugi brzeg strumienia, gdzie pały się w ukryciu ich konie, a następnie towarzysząc im konno do osady i do samej furki Kiambaghiego, stawali się coraz bardziej rozmowni, a nawet gadatliwi. Opowiedzieli, że u trzydziestu gospodarzy osady pracuje aż siedemdziesięciu niewolnych, że są to sami Limbianie, że z nich to powołuje się codobowe, dość liczne straże, którymi dowodzą trzej wyzwoleńcy izbeckiego pochodzenia, i że wyznacza się z tych straży zarówno ludzi do pilnowania porządku w Kwitnykach, jak i konne czujki chroniące osadę ze wszystkich stron.

— I nikt się nie obawia, że przy broni będąc i na koniach, spróbujecie czmychnąć? — zaciekał się Iwanko.

Rozmowniejszy z dwu niewolnych strażników spojrział najpierw na twarz pytającego, by upewnić się, że ten nie żartuje, a potem odpowiedział:

— Rozum by nie mieć, żeby uciekać! Od dzień, jak ja jeniec, ani raz jeszcze nahajka na plecy nie spaść. A u siebie, za rzeka Pyrut, harapy brać każdy dzień, czy dobrze pracuje, czy nie dobrze. Tu trzy-cztery roki, i wolny, a tam nigdy. Ziemia w dzierżawa już teraz bierze, jak chce, i po południu pieniądz bierze, czy pracuje, czy strażuje, i potem ziemia we własność, jak już wyzwolony, a w Respublika własna ziemia nigdy, cały życie na rajca pracuje, i harap na plecy. No to nie ma głupi uciekać!

— No, a żona? Nie zostawiliście żon za Pyrutem?

Limbianin wyjaśnił, że do niewoli dostał się dwa lata temu w czasie małych starć przygranicznych, a na takie drobne wyprawy rajcowie miejscowi biorą w mundur młodych, przeważnie niezonatych.

— Jak ja tu już wolny i ziemia dostanie, to się i tu ożeni, a jak tu żona nie znajdzie, to się cicho do swojej wioski za Pyrut wyprawi i dziewczyna chyłkiem przywiezie — zakończył z pełnym przekonaniem o ziszczalności swych zamiarów.

Przy żywopłocie zagrody Kiambaghiego strażnicy zawrócili konie i odjechali z powrotem ku zaroślom na dnie doliny, a dziesiętników wpuścił do obejścia, przywołany nośnym głosem wiszącej na furtce mosiężnej kołatki, służący mistrza, również młody niewolny Limbianin, ubrany paradnie, na farsyjską modłę. Posadził ich przy pięknym stole pod dorodnym drzewem orzecha rosnącym na środku podwórza, a konie odprowadził za budynek gospodarski, by je tam puścić w popas. Po paru chwilach ukazał się na schodkach ganku Selim Kiambaghi, także odziany na sposób wschodni, dzierżący w rękach barwną tacę, na której piętrzyły się cukrowane ciasteczka.

— Z okna poznałem, bo mi oczy jeszcze dopisują! — wołał radośnie krocząc po dywanie gęstej, strzyżonej trawy. — Co za goście! Witajcie! Nie wiem, jak dziękować za wasze odwiedziny!

— I położywszy tacę na stole zabrał się do serdecznych uścisków.

— Jak o synów się o was dopytywałem przez te lata, a że tu do nas wszystkie wieści dochodzą, to i sława wasza próżność moją karmiła. Słyszałem, żeście mnie w szabli chyba przerośli, czegom się już ucząc was spodziewałem. Zaraz coś pomyślę, a tymczasem próbujcie tych ciastek, które razem ze sługą wypiekłem podług sposobu z mojej ojczyzny... — zawahał się — znaczy, pierwszej ojczyzny, bo za drugą przyjąłem Ponestrze.

Iwanko i Staśko znali Kiambaghiego jako człowieka dość powściągliwego i oszczędnego w słowie, toteż jego po raz pierwszy doświadczana wylewność nieco ich peszyła, a niezmierny szacunek dla mistrza sprawiał, że stare onieśmienie opuszczało ich bardzo powoli. Iwanko odpowiedział na żywiołowe powitanie składnie, ale jego głos zdradzał brak pewności siebie:

— Odwiedzić cię, mistrzu, z dawna pragnęliśmy, ale sposobności nijak nie stawało. Chcemy podziękować za pracę twoją ogromną nad nami, dzięki której żyjemy, cało wyszedłszy z wielu bojów niebezpiecznych. Z wdzięcznego serca dzięki, panie Selimie!

— Dzięki! — powtórzył Staśko. — I za naukę niezrównaną, i za siodła najwyborniejsze, i za szamszyrki chyba najlepsze na świecie, które nam kupiłeś, majątek pewnie na nie wydałszy.

Kiambaghi spoważniał, pomyślał krótko i powiedział:

— Dobrze, słowa wdzięczności przyjmuję, bom się w samej rzeczy starał i przykładał, ale o tym już więcej nie mówmy.

— Ale jeszcze słowo tylko, panie nauczycielu... pytanie z ciekawości nieznośnej... — poprosił Staśko.

— Pytaj — przyzwolił mistrz.

— Ja o szablach... Owóż nie tylko twardość, ciętość i nieszczerbliwość tej broni obu nas w osłupienie coraz wprawia, ale jeszcze takiego często doznawaliśmy odczucia, jakoby siłę ramienia i ciosu szamszyrka sama z siebie wznagała. Jakże to jest, panie mistrzu? Czy czary jakieś siedzą w tych szablach?

Kiambaghi uśmiechnął się delikatnie, z nieuchwytnym zadowoleniem.

— Taki był mój zamiar, żebyście mieli szable ze znanych mi najlepsze, jakie w moim kraju tylko książęta, bogacze najwięksi i główniejsi sardarowie noszą — wyjaśnił. — Takie też u kupców farsyjskich tutaj docierających zamówiłem i otrzymałem. Czarów żadnych nie ma w

tej broni, chyba że tak nazwiemy doskonałość niedościgłą bractwa kowali z miasta Bordż-e-Safid, którzy ją wytworzyli. Ale teraz już wolałbym o was mówić. Gdzie i jak w Pierwszej Atamanskiej wojowaliście, to wiem. Wiem też, że ostatnio postowaliście wraz z sotnikiem Bałdą; powiedzcie, jak wam poszło?

— Postowanie powiodło się, panie Selimie — odrzekł Iwanko i spojrzął w czarne oczy Kiambaghiego pytająco i niepewnie. Mistrz w lot zrozumiał to spojrzenie i rozwiął kryjącą się za nim wątpliwość:

— Z uprawnionych ust znam cel poselstwa; nie zdradzasz przede mną tajemnicy, panie żołnierzu. Czy dał sąsiad małolacki wsparcie ciężkojezdne?

— Dał. Dwie chorągwie pewne, trzecia prawie pewna.

— Niezmiernie dobra to wiadomość! Bez tego rzeczy źle mogłyby się potoczyć.

— Masz, mistrzu, poprawione teraz i zważsze ciężkie pułki i dwupułki elaskie i bytharskie na myśli?

— Nie, panowie dziesiętnicy. Z nimi, choć z trudem bardzo wielkim, ataman Lonowy dałby sobie radę. Mnie niepokoi siła przez nas jeszcze nie oglądana, zwąca się Złotą Jazdą, z Syrbów złożona. Dochodzą słuchy godne wiary, że szatańskie to wojsko. Jeśliby się wam przyszło z nim spotkać, to miejcie się na baczności jak jeszcze nigdy. Zapamiętajcie, proszę was o to: jak nigdy dotąd się strzeżcie, ze Złotą Jazdą mając do czynienia!

Staśko lekceważąco wrzucił ramionami i powiedział:

— O przestrodze twojej będę pamiętał, mistrzu Selimie, ale tych złotych diabłów chętnie spotkam i na ich rogach szamszyrkę dobrze wypróbuję.

— Nie chojrakuj! — ostro upomniał go Iwanko. Rozmowa urwała się. Iwanko, raz po raz sięgając do tacy po słodki farsyjski przysmak, próbował ją podtrzymać:

— Niebawem te ciastka dobroci! We wszystkim, panie Selimie, co tylko czynisz, widać doskonałość!

— Ale pamięć paskudnie mi słabnie! — krzyknął gospodarz zrywając się od stołu. — Toż mówiłem, że coś pomyślę, i nic! Posiedźcie chwilę sami, mili moi!

Odszedł pośpiesznie do domu, przebywał tam dość długo i powrócił z dzbanem wina i zdobionymi srebrem czarkami z grubego szkła. Napełniając je, mówił ze znikomym śladem zmieszania:

— Jako widzicie, po przeszło dwudziestu latach życia na Ponestrzu ucierpiała odrobinę moja prawowierność. Świniny co prawda dalej nie tknę ani palonki do ust nie wezmę, ale w dobrym winie, nie będę ukrywał, posmakowałem. Więc za zdrowie wasze i powodzenie! Wychylili czarki do dna, a gospodarz, ponownie je napełniając, mówił dalej:

— Nie takie znów straszne moje odstępstwo, jak możecie pomyśleć... Tutaj wszyscy myślą, że żaden musulmanin warg do wina nie przytknie, a w krajach Szijja-Szaha wysoko urodzeni, możni i bogaci popijają sobie wcale niemało, i tylko lud prosty wstrzeźliwości przestrzega.

Kolejne czarki smakowitego trunku wprawiały umundurowanych gości w coraz większą śmiałość, aż wreszcie odważyli się pytać gospodarza o dawniejsze jego losy:

— Czy prawda to, mistrzu Selimie, że ty synów samego władcy szijjickiego uczyłeś szermierki? — zapytał Iwanko.

— Prawda — potwierdził Kiambaghi. — I przy tym, co nie bez znaczenia, dobrze ich poznałem, a szczególnie następcę tronu, księcia Bahrama-Alego, z którym wiele i ciekawie rozmawiałem. To człowiek szeroko patrzący i w umyśle bardzo głęboki, i wiele się zmieni, kiedy on na tronie zasiądzie, do czego już chyba niedaleko, bo ojcu jego będzie już pewnie lat z

dziewięćdziesiąt, a on sam pod pięćdziesiąt podchodzi. Bahram, co i dla Malwowych Ziem ważne, zamyśla wojen zaprzestać i pokoje wieczyste z sąsiadami zawierać.

— Ulżyłoby nam to ogromnie, jakbyśmy zamiast trzech dwóch tylko mieli wrogów — westchnął Iwanko z zadumą.

— I stanie się tak, jeśli tylko młodszy bracia nie przeszkodzą Bahramowi-Alemu władzy objąć. Ale myślę, że poradzi on sobie z ich zawiścią.

— Tylko pytanie — zastanawiał się Iwanko — czy izbecka potęga zechciałaby szaha Bahram a słuchać? My przecież z nią wojujemy, a wojska farsyjskie widzimy tylko jako wsparcie Szijja-Szaha dla izbeckiego wasala.

— Bahram-Ali rodzinie Izbek-Szahów bardzo cugli przykróci, to pewne.

— A czemuż to ów Bahram tak ugodowo nastawiony? — zapytał Staśko z niedowierzającym uśmiechem.

— Przemyslał on wszystko i doszedł do wyводу, z którego mi się zwierzał nie raz, że trzeba państwo w środku naprawić i ulepszyć, by samo bogactwo rodziło zamiast podbijanych obdzierać, szczególnie że możliwość rozrostu już się skończyła i na krańcach państwa tak ogromnego wodzowie robią co chcą, własne księstwa sobie wykrawają, a nawet królami się ogłaszają. Czas więc zaprzestać roznoszenia islamu na szablach, od zewnątrz spokój zapewnić, swawolnych wodzów i królików na pograniczach poskromić i zająć się podnoszeniem mocarstwa ku górze, a nie rozszerzaniem na boki. Takie są zamysły następcy tronu Szijja-Szahów.

— Niechaj mu się więc powiedzie — zgodził się Staśko z zamiarami przyszłego władcy szijjickiego, i zaraz spróbował zaspokoić swą ciekawość w sprawie bardziej przyziemnej: — A jak to się stało, mistrzu, że przy samym najwyższym dworze się obracając, w niewolę naszą wpadłeś?

— To przez młodszych braci Bahrama, którzy zapragnęli wojnę sobie z bliska obejrzeć, a ja z oddziałkiem Królewskich Przybocznych musiałem ich przy tym chronić. No i zaskoczyła nas sotnia ponestrzańska, księżęta osłaniany uszli, większość żołnierzy padła przysięgi dotrzymując, a ja, do śmierci w boju nie będąc zobowiązany, rzuciłem szablę.

— I nie zechciano cię wykupić?

— Próbowano, ale wasi sotnicy, wiedząc już kogo mają, taką postawili cenę, jak za pięciu sarlaszkarów. Za wysoko urodzonego może by i zapłacono tyle, lecz ja z prostych ludzi się wywodzę.

Z kolei Iwanko nie dawał Kiambaghiemu odetchnąć:

— A czym wyjaśnić, mistrzu Selimie, że wszyscy ludzie z obcych krajów pochodzący, jeśli mowy naszej się nauczą, to kaleczą ją i przekręcają, a ty jeden mówisz jakobyś się wśród nas urodził, a jeszcze do tego i pięknie?

Gospodarz prawie nieuchwytnym drgnieniem warg okazał zniecierpliwienie tym wypytywaniem, poczem odpowiedział:

— Gdy mnie poznaliście, od trzynastu już lat żyłem w Koniuszynie, a to czas przytomnemu człowiekowi wystarczający, by się każdej obcej mowy nauczyć. A do tego mowa malwiańska trudna mi się nie wydaje, a już niepomiernie ona łatwiejsza od, na ten przykład, izbeckiej czy tirkijskiej, którymi też odrobinę władam. Teraz — Kiambaghi powiódł po twarzach rozmówców uważnym spojrzeniem — chciałbym mówić o czym innym... Czy nadal, panowie dziesiętnicy, nosicie w głowach myśl o odbiciu Niskiego łowynia?

Twarze zapytanych w mgnieniu oka oblekła powaga i zawziętość. Głosem nagle zmienionym odpowiedział Iwanko:

— Póki życia, myśli tej nie porzucimy. Jeszcze nie wiemy, jaką do tego pójdziemy drogą, ale ojczyznę chcemy odebrać i krzywdy pomścić.

Odpowiedź tysego dziesiętnika była widać po myśli Kiabaghiego, bowiem w jego przyjaznych oczach pojawił się na mgnienie ciepły błysk dumy niemal ojcowskiej.

— A czy przy zamiarze wybrania się do szkoły u lackiego sąsiada też trwacie? — zadał następne pytanie.

— Nie inaczej, mistrzu Selimie, bo myślimy, że po drodze nam ta szkoła ku tamtemu celowi. Na razie jednak widoki na to żadne... Uskładaliśmy z żołdu najwyżej połowę tego, co potrzebne, a jeszcze i Radkę chcielibyśmy ze sobą zabrać, która możliwości dotąd nie miała, żeby choć parę blaszek odłożyć. Co prawda, władca sańsko-wysołocki, a też i przełożony owej szkoły, kiedy się nam sposobność trafiła wspomnieć im o naszym zamiśle, zachęcali bardzo i nawet ułatwienie jakieś niejasno obiecywali, lecz nie po naszymu by to było z pomocy korzystać. Wychodzi więc na to, że Lewosańsk tymczasem jeszcze nie dla nas.

Kiabaghi słuchał, ale widać było, że myśli o czymś innym. Wstał i zawołał donośnie:

— Tudor!

Zza stajni-stodoły wybiegł służący, ten sam, który wpuścił dziesiętników do obejścia.

— Co robi Vasile? — spytał gospodarz.

— Pasie za grzbietem, panie. Wołać?

— Nie. Niech pasie. Ty też kucharzysz nie najgorzej, więc bierz się za obiad, bo południe niedaleko, tylko się staraj, bo goście mamy nie byle jakich.

— To ja do kuchni — ochoczo zgodził się niewolny, ale nie zdążył ruszyć ku domowi, gdyż goście poderwali się od stołu.

— Nie możemy zostać, wybacz mistrzu — powiedział Iwanko. — Sotnik Bałda przykazał wrócić do koszar w godzinę po południu, i już za parę chwil musimy stąd odjechać.

— Co takiego?! — wybuchnął gospodarz złością niewspółmierną do przyczyny. — To nawet całego dnia odpoczynku Bałda wam nie dał?!

— Niby dał, bo do atamańskiego obozu ruszamy dopiero świtem jutrzejszym, ale nam i dziesiętnikom eskorty kazał się stawić o pomienionej porze.

— To mi wszystko psuje! — nie mógł się uspokoić Kiabaghi i podreptywał w miejscu okazując wzburzenie i niezdecydowanie. Po chwili opanował się jednak, przybrał tajemniczy wyraz, zbliżył się do czekającego na nowe polecenia służącego i szeptał mu coś do ucha. Gdy skończył, niewolny skierował się biegiem ku furtce i opuścił zagrodę.

— To teraz, panowie dziesiętnicy, proszę ze mną na chwilę do domu — powiedział mistrz nie zwracając uwagi na zdziwione miny gości — i to żwawo, skoro wam spieszo.

Wprowadził ich przez ganek i sień do izby urządzonej dziwacznie, na poły po farsyjsku, na poły według miejscowych zwyczajów, posadził na niskiej sofie, kazał czekać i wyszedł w pośpiechu. Dziesiętnicy spoglądali po sobie w milczeniu, zdumieni tajemniczym zachowaniem swego nauczyciela, którego nieobecność wydała im się dość długa. Gdy wreszcie po półchwili godziny powrócił, przemówił głosem z lekka drżącym:

— Sprawę mam do was... Odmówić mi nie macie prawa... Tylko nic nie mówcie, póki nie skończę! Jako wiecie, przez dwadzieścia lat pracowałem w Koniuszynie nielekkko i pilnie, ale zarabiałem dużo. Składałem pieniądze na to, żeby sobie na starość postawić dom prawdziwie wygodny i jakiego sługę nająć i opłacić, lecz okazało się na końcu, że dom dała mi Ziemia Ponestrzanska za darmo, a do niego jeszcze i gospodarstwo, z którego samego mógłbym żyć. Jestem przez to bogaty, pieniędzy mam dużo więcej, niż mi ich do końca życia będzie trzeba. Postanowiłem więc, że tobie, Iwanko, tobie, Staśkowi i Radce, jedynej w życiu uczennicy mojej, naukę opłacam. Weźcie te pieniądze — Kiabaghi wy dobył spod poły swej farsyjskiej

szaty trzy podługowate sakiewki z zielonego jedwabiu i położył między siedzącymi gośćmi — i zaraz po wojnie jedźcie do Lewosańska! Powinno tego wystarczyć jeszcze i na początek życia samodzielnego, jako że w atamanskiej sotni służba i życie z żołdu do celu was nie przybliży.

Iwanko i Staśko niemal równo poderwali się z sofy i odezwali się prawie jednym głosem:

— Nie możemy!

— Nie możemy — powtórzył Iwanko. — Pięć lat uczyłeś nas za darmo, mistrzu, najdroższą broń i siodła dałeś nam za darmo; tego i tak za wiele. Więcej od ciebie wziąć nie możemy, bośmy wstydu nie wyzbyci.

— Nijak by to nie pasowało! — stanowczo potwierdził Staśko.

Wargi Kiambaghiego ściągnęły się w wyraz bólu i zaczęły drżeć starczo. Milczał parę chwil, a potem zaczął mówić powoli, odmienionym nagle, niezmiernie smutnym głosem:

— Widać się pomyliłem... pobłądziłem... Przypadło mi życie bezżenne i bezdzielne... i może przez to urojenie jakieś we mnie rosto, krzywda wasza w sercu mnie kłuła... po ojcowsku jakoś myśleć zaczynałem. I widać pobłądziłem, z wami się rozminąłem...

Po raz pierwszy i ostatni Iwanko i Staśko ujrzeli tzy w oczach swego nauczyciela. Iwanko poczuł, że i jemu wypełniają się oczy piekącymi łzami, a gardło obejmuje bolesny ucisk. Złamała się nagle jego duma. Objął Kiambaghiego gwałtownie, a w chwilę później już wszyscy trzej trwali we wspólnym uścisku. Gdy rozstąpili się pomału, Iwanko powiedział z twardą powagą:

— Będzie podług twojej woli, mistrzu Selimie, bo ból ci sprawiać przepodłą byłoby rzeczą. Nie zmarnuj się twoje pieniądze w trudzie tylu lat zapracowane, dobrze będą użyte, a ty, panie Selimie, o zdrowie tak dbaj, żebyś nas mógł odwiedzić na Niskim łowyniu, kiedy czas przyjdzie. Teraz zaś nam już pora odjeżdżać.

Gdy żegnali się przy furtce, przybiegł niewolny Tudor.

— Jeszcze nie wrócił, panie — rzucił zdyszany.

— Szkoda! — odpowiedział mu Kiambaghi i dodał: — Tam w dzbanie wina jeszcze dużo zostało, to je wypij za zdrowie panów dziesiętników.

Służący gorliwie skorzystał z pozwolenia i pił, stojąc, prosto z dzbana, a gospodarz wyjaśnił gościom:

— Tudor sprawdzał, czy nie wrócił pan sotnik Swityna, który wycieczki kilkudniowe nie wiadomo dokąd lubi sobie urządzać, i wczoraj akurat na takową wyjechał. Pomyślałem, że i was, i jego ucieszyłoby spotkanie.

— To pan Swityna tutaj?! — zdumiał się Iwanko. — Czemuż nam o tym nikt nie powiedział?! Pewnie, że radość by była niezmierna go uściskać! Od czasu, jak w pięćdziesiątym szóstym roku poszedł z Sotnią Niskołowyńską na wojaczkę, wszystkiego raz go widzieliśmy, a i to w pośpiechu i mijance. Wielka szkoda! Lecz w takim razie chociaż pozdrowienie od nas przekaż mu serdeczne, panie Selimie! I sam w zdrowiu zostawaj!

— Nie zapomnę — obiecał mistrz.

Dziesiętnicy ruszyli ostrym klusem dróżką między kwiatowymi poletkami, a Kiambaghi stał przed swoją zagrodą i patrzył za nimi, dopóki nie wtopili się w zieleń krzewostepu po drugiej stronie doliny.

* * *

Droga od koniuszyńskich przepraw promowych ku rozrzuconym nad zachodnią częścią Wielkiego łuku Pyrutowego obozom ponestrzańskich wojsk jeszcze przed kilkunastoma dniami nie istniała, a teraz był to szlak ubity tysiącami kopyt i okutych kół wozów niczym wioskowa ulica. Miał już swą nazwę, samorzutnie zrodzoną: Szlak Wojenny. Ruch był tu gęsty,

lecz równomierny i niespieszny, jako że z obozowania po przeprawie przez Nestro koniuszyńskie służby puszczały w dalszą drogę sotnie, juczne tabuniki i karawany wozów z ochronnymi oddziałkami w takim czasie, kolejności i odstępie, żeby nikt nie musiał się śpieszyć. Tylko gońcy i postawcy z ochronami oraz sprzymierzeńcze wojska wsparcia nie podlegały dawno przygotowanym i dokładnie przestrzegany rozpisom ruchu wojennych sił Ponestrza ku Pyrutowi.

Żołnierze poselskiej eskorty, rażni po dwudniowym odpoczynku, pośpiewywali wesolo, postawcy zaś jechali w milczeniu i drzemali w siodłach, byli bowiem po nocy nie tylko nie przespanej, ale i ciężkiej.

Tej nocy, o dwa dni wcześniej niż się spodziewano, przechodziły przez Koniuszynę, przeprowały się przez Nestro i ruszały dalej ku nadpyruckim obozom wojska pobożańskich i postawuckich sprzymierzeńców. Trzy sotnie z górnego Poboża przeprowadził we wzorowym ładzie sotnik Hrubosiczka dobrze przed północą, zdążywszy uprzedzić wioskowe służby i nakażnego Pochwałę, że za jaką godzinę nadciągną Postawucianie, z którymi mogą być kłopoty, bo u nich z porządkiem kiepsko, krzepią się palonką w drodze, a do tego piernacz nad nimi trzyma człowiek dziwnie niezrównoważony, niejaki sotnik Wasyl łahidny. I rzeczywiście doszło tej nocy w Koniuszynie do wydarzeń gorszących, wioskowe służby były w opałach do świtu, a Tyszko Pochwała musiał prosić sotnika Bałdę, by ten wspierał go powagą swego wojennego urzędu w Izbie Przyatamańskiej, a później jeszcze i młodych postów, żeby swą sławą w szabli wpływali powściągnająco na podchmielonych zawadiakow znad Sławuty. Mimo tego nie obyło się bez upustu krwi: napastowana dziewczyna ze straży wioskowej wbiła jednemu z nachalnych zalotników wojskowy nóż po rękę poniżej żeber, a Staśko Truba trzem rozochoconym zuchom poobcinał szablą uszy. Wtedy z kolei wydarzenia zaczęły się toczyć w kierunku niejako przeciwnym, potwierdzając ostrzeżenie dowódcy Pobożan o nierównowadze usposobienia sotnika łahidnego. Ten bowiem, dobrze pijany, przemienił się nagle z niepojęcie pobłażliwego w surowego okrutnika, kazał dwudziestce „służbowych w pochodzie” doprowadzić przed swe oblicze pięciu najbardziej swawolących podwładnych, pomachał im przed oczyma czerwonym piernaczem, poczem rzucił służbowym rozkaz straszny, a głosem takim, jakby mówił o podaniu koniom siana, a nie o ludzkim życiu: „Tych pięciu dla przykładu zaraz zabatożyć, żeby się reszta hamowała wojsku naszemu wstyd przynosić”. Wśród strasznego wycia siekanych nahajkami skazańców Tyszko Pochwała, Anton Bałda i obaj młodzi postawcy błagali teraz łahidnego o odwołanie wyroku, co w końcu uzyskali, ale wtedy dopiero, gdy batożeni dawali już słabe oznaki życia. Wreszcie, przed samym świtem, przeprowała się przez Nestro ostatnia z dziesięciu postawuckich sotni, a z nią dowódca sprzymierzeńczej wyprawy, lecz ze spokoju, który powrócił do Koniuszyny, postawcy skorzystać nie mogli, bo trzeba już było wyruszać w drogę nad Pyrut. Jeśli sotnik Bałda trafnie oceniał przypuszczalne położenie atamańskiego obozu Żowty Horb, to dotarcie tam wymagało osiemnastu godzin jazdy z niewieloma krótkimi postojami, więc później niż wczesnym letnim świtem odjeżdżać nie było można. Bez wydarzeń przebiegła poselstwu ta droga, lecz przedłużyła się nieco z powodu niedostatku w jej pobliżu wody dla koni, przez co dopiero na dwie godziny przed północą, już w ciemnościach, bystre oczy Iwanki dostrzegły w przodzie pomachiwanie znakiem atamańskim. Starszym nad trójką czekających na poselstwo służbowych był wiekiem młody, chłopakowaty żołnierz, który skłonił się Bałdzie przepisowo i zwrócił się doń bez nadmiernego szacunku, mową wskazującą na pochodzenie z jakiejś bardzo odległej wioski:

— Na tym tu miejscu, panie sotniku, oddział poselski zostaje rozwiązany, to jest półsotnia eskorty powraca do składu Pierwszej Atamańskiej, do której obozowiska zaprowadzi żołnierzy

ten tu oto służbowy. Ten zaś drugi tutaj zawiedzie panów postów-dziesiątników do gościnnego namiotu na odpoczynek do jutra w południe, kiedy będzie z nimi mówił pan ataman. A pana sotnika proszę ja teraz ze mną do pana Lonowego, bo tylko pana sotnika przyjmie on jeszcze dzisiaj, i czeka. O posiłku dla wszystkich jest pomyślano.

Kiedy w samo południe dnia następnego Iwanko Hołod i Staś-ko Truba stawili się na wezwanie w ogromnym, zdobyczym namiocie atamańskim, zza niskiego stołu podniósł się na ich powitanie i wyszedł ich uściskać łewko Lonowy, a drugi obecny tam mężczyzna — głowa Izby Wojennej, sotnik Taras Sidlarenko oddał przybyłym wojskowy ukłon pozostając za stołem, lecz nie siadając.

Na twarzy siwowłosego wodza Ponestrza malowało się zmęczenie tak uderzające, że dziesiątnicy nie potrafili ukryć niepokoju i zdumienia w swych spojrzeniach. Dostrzegł to Lonowy natychmiast i powiedział ze smutnawym uśmiechem:

— Dziwi was, ale i nie tylko was, że wyglądam jak z grobu wyjęty... To z tego, że śpię teraz niezmiernie mało, a z jakiej przyczyny, tego się za parę chwil dowiedziecie. Teraz przechodzę od razu do sprawy: Znam od dawna waszą odwagę i mistrzostwo w boju, panowie dziesiątnicy... Ostatnio kazałem sobie przedstawić wszystko, co wiadomo o waszym dowodzeniu dziesiątkami i półsotniami, co też bywało, na Uhorszczyźnie i gdzie indziej, a też i o pomyśle waszym bitewnym. Wczoraj zdążyłem wypytać pana sotnika Bałdę o to, jak sobie z postowaniem radziliście. To wszystko dokładnie rozważywszy, a też i kierując się potrzebami wojennymi, kazałem dziś rano Izbie sporządzić papiery, które już przeze mnie podpisane i potrzebnymi pieczęciami opatrzone wręczy wam za parę chwil pan sotnik Sidlarenko... — Tu ataman zawiesił głos, by nadać słowom następnym brzmienie uroczyste, i dokończył: — Iwanko Hołod, panie dziesiątniku, Staśko Truba, panie dziesiątniku, z chwilą terażniejszą mianuję was sotnikami!

Radość w najmniejszym nawet stopniu nie przeczuwana i obezwładniająca wzruszenie sprawiły, że mianowani spóźnili się niestosownie z należnym odzewem, który wyrzekli nierówno, łamiącymi się głosami:

— Na sławę Ponestrza i jego wojska!

Ataman odwrócił się teraz ku stołowi, rozwinął dwa leżące na nim zwoje zgrzebnego płótna konopnego, wy dobył z nich ośmiopióre srebrzone buzdygany i podał je nowym sotnikom, którzy ucałowali je pobladytymi z przejęcia wargami i drżącymi dłońmi wetknęli za pasy. Z kolei do Iwanki i Staśki podszedł Sidlarenko i wręczając im małe, płaskie woreczki ze skóry tłoczonyj znakiem szarego sokoła, powiedział bez przejęcia, lecz z uśmiechem pełnym życzliwości:

— To są wasze sotnikowskie papiery, zaś po nowe mundury ze znakami stopnia pójdziecie, stąd wyszedłszy, do średniego z trzech namiotów Izby Przyatamańskiej.

Część uroczysta oszałamiającego młodych bohaterów wydarzenia zakończyła się ponownym ich uściskaniem przez atamana i jego słowami:

— Choć w waszym wieku, przyjaciele, nikt jeszcze na Ponestrzu ani nigdzie w Ziemiach Malwowych buzdygana za pasem nie nosił, pewien jestem, że się nie pomyliłem, bowiem to nie moja dla was życzliwość na sotników was podniosła, lecz zasługi wasze bitewne, praca nad sobą, co wam pozwoliła nie tylko olśniewająco osiągnąć mistrzostwo żołnierskie, lecz i umiejętność prowadzenia ludzi do boju, i też uzdolnienia wasze wrodzone a różnostronne, pozwalające na celność zamysłów bitewnych. Ma to wszystko jednak i drugą stronę, z którą was za chwilę zapoznam; siadajcie, proszę, przy stole.

Lonowy podszedł ku wejściu do namiotu, uchylił poły i rozkazał wartownikom:

— Póki tego nie odwołam, nikogo w pobliże namiotu nie dopuszczać!

Mimo tej ostrożności ataman prowadził odprawę z sotnikami półgłosem, któremu powracające zmęczenie przydawało szarego, niedźwięcznego brzmienia:

— Sotnicy powinni mieć szerokie wyobrażenie o naszym położeniu, a ci, którym ufam najbardziej — pełne, przeto chcę was teraz z nim zapoznać. Nie licząc Czwartej Atamańskiej, która zestawia się jeszcze i ćwiczy niedaleko Koniuszyny, ruch naszych wojsk i początkowe ich tutaj, w bliskości Pyrutu rozmieszczenie dzisiaj się zakończy, więc wiem już dokładnie, z czym staję przeciw najazdowi Wielkiego Bołkanu. Jest to naszych sotni miarowych i nadstanowych czterdzieści pięć, pod stanowych trzydzieści dwie, półsotni pomocniczych — kobiecych, starszodzięcięcych i mieszanych — osiemdziesiąt, i jeszcze dwustu czterdziestu żołnierzy w oddziałkach posłanieckich. Wsparcia bratniego mam jedenaście wybornych sotni z Poboża i dziesięć bardzo bitnych, lecz nieładliwych i dowodzonych kiepsko — z Poławucia. Do tego jeszcze, jakoście to wraz z panem sotnikiem Bałdą u księcia Rzozy-Siewnego wyposłowiali pomyślnie, pomocy sańsko-wysołockiej przyjdą dwa znaki ciężkojezdne, a może nawet trzy. Wydawać się może, że siły takie, wypoczęte i z miejscami walk z góry obznajomione, użyte zręcznie dają mi nawet przewagę niewielką... rozumie się, na bojową siłę wszystko przeliczając, bo liczebnością pozostajemy prawie pięćkroć słabsi. Cóż mnie więc dręczy i przez co z Izbą dniami i nocami pracuję nie śpiąc prawie? W tym otóż bieda, że rozgląd nasz nie był w stanie na czas rozeznaczyć, jakie wojska przyjdą przetęczami, a może jedną tylko — Wielką Pyrutową. Jeszcze kilka dni temu przyjmowałem, że najgroźniejszego wojska bołkańskiego, to jest Złotej Jazdy, potrafią Syrbowie wystawić jeden pułk, a już w razie dla nas najgorszym — dwa. Myślałem też, że złowieszczą ową jazdę sprzymierzeńcy nasi, górale czarnohorscy i horhańscy, poszczerbić znacznie na przetęczach będą w stanie, a my dokończymy jej zniszczenia. A od paru dni wiem na pewno, że Złotej Jazdy idą na nas cztery pułki, zaś główny rajca syrbskiej dziedziny, niejaki Borbanović, potwór ludzki niestychany, niepojętym sposobem poważanie u Syrbów mający, prowadzi tę piekielną konnicę osobiście i wielkie wiąże nadzieje z rozstrzygającym jej udziałem w spodziewanym zwycięstwie. Sposobi się on bowiem do wydarcia głównej władzy nad Bołkanem Elaskim i Byłharom, ku czemu powodzenie w wojnie z nami ogromnie by go przybliżyło. Siłę czterech pułków Złotej Jazdy dorzecznie można przyrównać do siły czterdziestu naszych sotni! To zaś znaczy, że nie tylko o przewadze naszej najmniejszej nie może być mowy, ale jeszcze cały mój zamiar i sposób rozegrania tej wojny, od miesięcy nabierający kształtu i dokładności, w trzech ćwierciach się teraz zawalił. Od nowa trzeba wszystko obmyślać, a jak mało czasu zostało, to sami wiecie. Na domiar kłopotu, sotników u nas brakuje. Na trzy sotnie wioskowe dwiema dowodzą dziesiętnicy, a bywa też, że w sotni całkiem dobrej nawet i dziesiętnika nie ma. Muszę więc wiele czynić przesunąć, żeby użytek mieć jak największy z doświadczenia tych, co nie z brankowymi limbiańskimi na pograniczu wojowali, lecz z prawdziwym wojskiem bołkańskim na Uhorszczyźnie, to zaś, w boju zżytych ludzi rozdzielając, budzi wiele niezadowolenia. Nie mam jednak wyboru, i z pomienionych przyczyn przenoszę dowódców Pierwszej i Drugiej Atamańskiej do sotni dobrze wyćwiczonych, ale pozbawionych dowódcy doświadczonego. Was zaś, młodzi przyjaciele, muszę rozdzielić. Ty, sotniku Hołod, dziś jeszcze obejmiesz Atamańską Pierwszą, a ty, sotniku Truba — Drugą!

— Na sławę Ponestrza! — przyjęli obowiązek młodzi sotnicy podnosząc się z krzesel, z minami dalekimi od radości.

— Siadajcie, jeszcze nie skończyłem... Powołuję w tych dniach twój ponadzwyczajny wojenny, który zwać się będzie Górnopyrucką Gromadą Sotni — z zadaniem pobicia Złotej Jazdy i innych wojsk nadchodzących od przetęczy. Oprócz Atamańskich, które obejmujecie,

wejdą tam jeszcze najlepsze sotnie wioskowe w liczbie dwunastu i zaplecze znaczne — trzydzieści półsotni kobiecych i starszodziecięcych dla zaopatrzenia, pomocy rannym i wszelakich prac tyłowych. Wzmocnieniem stałym będzie sańsko-wysołocka chorągiew ciężka, a doraźnie, jeśli konieczność każe, przychodzić będzie wzmocnienie z mojego głównego odwodu.

Lonowy wstał, podnieśli się też pozostali trzej obecni.

— Rozkazuję, panowie sotnicy Hołod i Truba: Przed końcem nocy nadchodzącej, jeszcze w ciemności, wyruszyć z podległymi wam sotniami i w dwa dni doprowadzić je do miejsc położonych naprzeciw wyjścia Pyrutu z gór. Tam od razu i bez przerwy rozpoznanie czynić od strony Wielkiej Przełęczy i w tym samym czasie wybierać i przysposabiać doraźne i zapasowe obozowiska dla siebie i reszty pomienionej Gromady Sotni, które nadciągać będą w dniach kolejnych. Przybywających rozmieszczać i niezwłocznie wraz z nimi rozglądać się za miejscami dla was sposobnymi do starć wroga szarpiących, lecz nie rozstrzygających. Co tylko ważne — wpisywać na ziemiorysy. Tyle ode mnie teraz, a następne rozkazy wydawać już będzie ataman nakaźny powołanej Gromady Sotni, który przybędzie na miejsce nie później niż w pięć dni po was. Podrobniejsze sprawy załatwicie w Izbie Wojennej, dokąd was teraz zaprowadzi pan sotnik Sidlarenko.

— Rozkaz zrozumiałem, przyjąłem i wykonam! — powiedział Iwanko prężąc się służbowo. Te same słowa powtórzył Staśko, lecz nie zabierał się po nich do odejścia i patrzył pytająco w sinoszare oczy atamana.

— Co jeszcze, Staśko? — spytał Lonowy.

— Chcielibyśmy wiedzieć, gdzie jest Radka Czowniar... Ataman uśmiechnął się ciepło i ze zrozumieniem:

— Dziś wczesnie rano jeszcze była tutaj, a nie spotkała się z wami, bo snu zasłużonego nie chciała wam przerywać. Teraz jest w drodze z dwiema półsotniami dziecięcymi ku granicy sańsko-wysołockiej z zadaniem takim, żeby spotkać i powitać chorągiew pod pułkowym... jeśli mi pamięć dopisuje... Przytarczykiem, i potem pomoc dawać w przemarszu tej jazdy przez naszą krainę. Spotkacie ją więc wtedy, kiedy przyprowdzi waszego znajomego pułkowego z jego wojskiem.

* * *

W Dwuwszi Książęcej, wielkiej i zamożnej wiosce leżącej niedaleko Krzywych Stoków, na ogromnym placu przed koszarami kończyła się ustawiać do paradnego wymarszu Pierwsza Książęca Chorągiew Jazdy Ciężkobrajnej. Trzystu sześćdziesięciu jeźdźców w płytkowych półbrojach i zdobnych szyszakach, setka rozpoznawczej jazdy lekkiej, pięćdziesiątka koniowodów, sto czterdzieści koni zapasowych i osiemdziesiąt jucznych, dwie przewoźne kuźnie z dwudziestoma kowalami, sześć kuchni polowych z trzydziestoma kucharzami, półtorej setki woźniców i żołnierzy służb taborowych — razem przeszło siedmiuset ludzi, pięćset koni wierzchowych i blisko trzysta pociągowych z jucznymi, wreszcie ponad sto szerokich, niewywrotnych wozów wszędojezdnych — taki był skład znaku ciężkiego, zdolnego do dalekich przemarszów i długotrwałych działań samodzielnych, sprawnego w obronnej walce pieszej, umiającego też — zrzuciwszy na wozy cięższe uzbrojenie — przemieniać się w jazdę lekką, co prawda przez ciężkość koni nie nazbyt doskonałą — znaku przeznaczonego w mierze głównej do przełamujących uderzeń na duże i mocne zgrupowania wroga. Wymarsz pełnej chorągwi nie zdarzał się często, toteż mimo pory wczesnorannej zbierały się wokół placu i na poboczach głównej ulicy gromady dzieci, kobiet, a nawet i statecznych wolnych kmieci z Dwuwszi Książęcej, by oglądać widowisko. Pułkowy Wit Przytarczyk przyjął już meldunki od

dowódców rot, wszystkich pododdziałów i służb, i sięgał za pas po buławę, by dać nią znak wymarszu, gdy z drogi od Krzywych Stoków wyłonił się popielato-mundurowy oddział drużynny, na którego czele jechał książę Józef Rzoza-Siewny w towarzystwie porucznika Marka Krzywosochy. Książę uniesieniem dłoni nad ramię zatrzymał drużynników, a sam z Krzywosochą u boku podjechał ostrym kłusem do zdziwionego Przytarczyka.

— Witaj, panie pułkowie! — zaczął głosem, w którym każdy, kto księcia znał dobrze, usłyszałby nutę pohamowanego już, ale w głębi jeszcze wrzącego gniewu. — Powiem krótko, żeby wam odjazdu nie opóźniać: Pojedzie z tobą do Zażwy pan porucznik Krzywosochą z Pierwszą Chorągwią Drużyny, bo sam, panie pułkowie, za długo musiałbyś tam zabawić, by rozkazy moje wykonać dokładnie...

— Zażwiecki znów nabroił? — twierdząco zgadywał Przytarczyk, któremu serdeczne i poufale odnośnienia z władcą pozwalały na takie odezwanie.

— Nie mylisz się, panie Wicie. Wczoraj przybył poseł od Wielkiego Księcia Hornostawii ze skargą na Zażwieckiego... Otóż łotr ten bezkarny od czasu wypadu na Ponestrze zdążył już wyprawić się do Hornostawii i złupić tam najdokładniej znaczny kawał pogranicza, wielu ludzi zabijając. I tym to przebrał już wszystkie miary mojej cierpliwości! — tu głos sańsko-wysołockiego władcy zaczął nieco drżeć z powracającego wzburzenia. Zamilkł na krótką chwilę, by się opanować, a potem mówił dalej, wybijając słowa miarowo i twardo: — Siedlisko zbójckiego rodu Zażwieckich ma być starte doszczętnie, i pokrzywy mają tam rosnąć na pogorzeliśkach! Stary bandyta, jego bracia, synowie i zięciowie mają mi być w powrozach pod nogi rzućeni, jeśli na miejscu nie będą wycięci! Ich kobietom, do Krzywych Stoków dostarczoną, z ciężkiej pracy rąk żyć pozwolę, jeśli to potrafią, Rotę nazywaną tak „drużynnych Zażwieckiego” rozkazuję co do jednego wywieszać na miejscu! Włości tej rodziny przechodzą we własność skarbu Księstwa, a chłopci na nich pracujący dostają je w wieczne używanie, nabierając tymże praw wolnych kmieci książęcych. Tę sprawę część załatwi pan sekretarz Sitko, który z wami jedzie papiery i pieczęcie wioząc, żeby na miejscu nadania chłopom powypisywać. Tak się ma kłopot z Zażwieckimi raz na zawsze zakończyć!

— Czas na to najwyższy, panie książę — ze spokojem i powagą powiedział Wit Przytarczyk. — Podług mnie, za długo już łotrowski ród z Zażwy w zadarcia z Ponestrzem i Hornostawią nas wplątywał, a też z praw i woli Twojej się naigrawał, panie książę. Wielce rad udział wezmę w wykonaniu powiedzianej twojej woli...

— Orężną część roboty wykonajcie razem z panem porucznikiem Krzywosochą; resztę on z drużynnymi do końca doprowadzi, ty zaś rusz na Ponestrze i pod Lonowym Wielki Bołkan poskramiaj! Bywaj zdrów, panie pułkowie, i ze sławą wracaj!

* * *

Po południu drugiego dnia marszu ogromna kolumna jezdnych i wozów weszła w rozległe, górzyste włości Zażwieckich, a w niecałą godzinę później podjazd czołowego ubezpieczenia, złożony z dwudziestu żołnierzy rozpoznawczej lekkiej jazdy Przytarczyka, wpadł w zasadzkę w szerokim i niestromym wąwozie, i zasypany deszczem strzał stracił dwóch zabitych i trzech rannych, nie dojrzawszy ani jednego z ukrytych w gęstwinie łuczników. Z dziwnym, złowróżbnym spokojem wysłuchał pułkowie meldunku dowódcy podjazdu, poczem zwrócił się do Krzywosochy:

— Myślę, panie poruczniku, że rozkaz księcia Józefa wypełnimy gorliwie.

— Bardzo gorliwie! — odpowiedział przez zęby młody dowódca drużyny książęcej, i powtórzył cichym, lodowatym głosem: — Niezmiernie gorliwie!

Pod wieczór dnia następnego w warownym gnieździe zbójckiego rodu dopalały się ostatnie zabudowania, a z gałęzi klonów, którymi obsadzone były pobocza wjazdowej drogi do Zażwy, zwisały trupy ponad stu towarzyszy łupieżczych wypraw starego złoczyńcy. Z całej rodziny Zażwieckich ocalała tylko jedna z synowych głowy rodu i dwoje jego paroletnich wnuków.

Przy wieczornym posiłku drużynny porucznik podzielił się z ciężkojezdnym pułkowym poważnie brzmiącą uwagą:

— To samo trzeba będzie zrobić z kilkoma lepszeckimi rodami na donajeckim pograniczu! Tamci nie najeżdżają wprawdzie sąsiadów, ale grabią kmieci z wiosek książęcych i wielu zabójstw się na nich dopuszczają. Jak ich ten sam los spotka, co Zażwieckich, to sobie cała lepszeć przypomni, że nie w swoich własnych żyje księstwach, lecz w Sańsko-Wysołockim.

— W samej rzeczy — zgodził się Przytarczyk — porozzuchwalali się rodowi na obrzeżach kraju naszego, i książę Józef, jak go znam, wkrótce już chyba surowość okaże. Lecz myślę, i tobie, panie poruczniku, jako najbardziej zaufanemu człowiekowi księcia to poddaję, że przy zachodnim pograniczu z wielką rozważą trzeba postępować.

— Co masz na myśli, panie pułkowy?

— Wrogość gwałtownie narastającą księcia donajeckiego, tej kukły w lepszeckich rękach. Drży on, jak i rodowi tamtejsi przed niepokojami wśród chłopstwa, zapatrzonemu jakoby w swobody naszych kmieci książęcych. Jeśliby go ta wrogość do działania jakiego przeciw nam pchnęła, to całkiem jestem pewien, że bożogórski książę senior z radością udzieli mu pomocy. I teraz, na ten przykład, bunt lepszeczki w zachodnich naszych połaciach uśmierzeniami książęcymi wywołany... co tu gadać, sam sprawę pojmujesz.

— Uważasz więc, panie pułkowy, że Liga się rozlatuje?

— Mnie o to pytasz, panie poruczniku?! Przecież rozgląd tobie podlega.

— Po prawie, to sam książę nim zawiaduje i nikt więcej, lecz po prawdzie ja go w tym znacznie wyręczam. To jasne, że Liga na papierze już tylko trwa, a pytanie, wybaczone, po to zadałem, by się upewnić, że góra wojska naszego jest tego świadoma.

— Nie cała przecież. Wiesz bez wątpienia, że pośród rotmistrzów lekkojezdnych durniów zwyczajnych jest połowa. Ja jednak, skoro mnie już do tej świadomej góry w wojsku zaliczasz, choć pojmuję, na co się zbiera i zanoszą, bardzo słabo zgaduję, za czyją sprawą wszystko zmierza ku złemu.

— Za długo przyszłoby mi teraz pogląd mój co do tego wyluszczać, panie pułkowy, więc lepiej po powrocie twoim z Ponestrza do osobnej rozmowy o tym wszystkim zasiądziemy. A teraz powiem tyle, że nieuchronna jest próba pełnego podporządkowania Bożej Górze obydwóch księstw niepokornych, to jest naszego i Gór Jodłowych, ale w tym roku jeszcze do niej nie dojdzie. A poskromienie samowoli lepszeckiej przy zachodniej granicy, przeciwnie niż myślisz, panie pułkowy, nie przyśpieszy, a opóźni takie usiłowanie, i zgodny jestem z księciem Józefem, że trzeba tam co rychlej książęce prawo przywrócić i przy tym siłę nieustępną Krzywych Stoków okazać. I jeszcze jednego już dzisiaj musisz być świadom, panie pułkowy: prócz Księstwa Gór Jodłowych nie mamy żadnych przyjaciół ani sprzymierzeńców! Musimy ich sobie dopiero zjednać, i to nie gdzie indziej, jak w Ziemiach Malwowych. Jak przyjdzie czas najgorszy, to na nikogo oprócz Malwian nie będziemy mogli liczyć... No, może jeszcze jakiej wdzięczności Uhorców i Hornostawii wolno nam się spodziewać, ale tylko wtedy, jeśli Wielki Bołkan zostanie bardzo mocno pobity i bezsilny.

Rozmowa dowódców urwała się; z miny Wita Przytarczyka widać było, że namyśla się głęboko nad wywoływaniem drugiego po Rzozie-Siewnym człowieka w Księstwie

Sańsko-Wysołockim. Dokończyli posiłku i kazali sobie przynieść po garncu piwa, przy którym pułkowy wyraził swoją wątpliwość co do poprzednich słów Krzywosochy:

— Niezmiernie lubię wojsko malwiańskie za to, że i strachu nie zna, i roztropność w boju pokazuje zadziwiająca, i w lekkiej broni niedościgłe jest tak bardzo, że nieraz na Uhorszczyźnie oniemiały i z otwartą gębą patrzyłem na ich śmiertelne sztuczki czynione szabłą, dwugrotem, piką składaną i łukiem, a też na ich jedność nie do pojęcia konia z jeźdźcem... Ale, panie Krzywosochu, czy naród o ustroju tak przedziwnym, że nawet nie sposób powiedzieć, czy to jest państwo, czy jakieś bractwo bractw, czy jeszcze co innego — czy twór ten bezprzykładny może być na dłużej sprzymierzeńcem księstwa jakiegokolwiek?

— Nie jakiegokolwiek, panie pułkowy, lecz naszego, Sańsko-Wysołockiego, które dalece jest „niejakiegokolwiek”.

Przytarczyk pytająco uniósł brwi czekając następnych słów Krzywosochy, lecz ten milczał dość długo mocząc wargi w piwnej pianie i spoglądając w zamyśleniu gdzieś daleko, gdzie za łagodnym obrysem wzgórza skryło się przed chwilą słońce, pozostawivszy po sobie przymglone rozczervenienie niebosktonu. Kiedy się wreszcie odezwał, mówił potoczyście i płynnie jak człowiek, który wielekroć przemyślał co ma do powiedzenia:

— Przyktoń uwagę, panie Wicie, wybacz poufałość, że trzecie już pokolenie naszych władców z rodu Rzożów-Siewnych uparcie wiedzie swoje państwo w tym samym kierunku, to jest w stronę sprawiedliwości i prawych urzędzeń pomiędzyludzkich. Na tej drodze nierzadko moc i przemoc musi być używana przeciw tym, co w mniemaniu swoim przez lepsze urodzenie prawo jakoby mają niżej urodzonych obdzierać i żyć dostatnio z ich potu. Podobną drogę wybrał ród Świętogajów w Księstwie Gór Jodłowych, ale wszędzie indziej — w Cesarstwie, królestwach i księstwach dzieje się całkiem odwrotnie: coraz mniejsza część ludzi coraz więcej ma tam praw i bogactw, a coraz większa praw nie ma żadnych i nie posiada niczego. A teraz z kolei pomyśl rozważnie, czemu tak naprawdę służy dziwaczny, naokoło wyśmiewany, wolnochtopski ustrój Malwian? Uważnie patrząc dostrzeżesz, że u nich prawa i całe życia urządzenie za cel mają utrzymanie i obronienie tego, co oni już przed stu laty osiągnęli dzięki naukom natchnionym i pracy długoletniej człowieka bardzo niezwykłego, wielkoluda ducha, świętego Semena, który przekonał ich, niekiedy i do przemocy zmuszony się uciekając, że wolność samopowściągana, praca samochętna i prawość wszystkich międzyludzkich odnośnień, przy nieustającej a powszechnej gotowości wojskowej — sposobem są i poręką życia godziwego dla wszystkich. Niezbytckowne to życie, niebogate, miejscami biedne, lecz przecież nigdzie nie nędzne, radości widać dość przynoszące, skoro przez wiek cały tak ochoczo i zawzięcie Malwianie go bronią, bez żołdu walcząc i o własnym, z domu przywiezionym chlebie. Niezmiernie to pouczające, panie pułkowy! Los zechciał, że całkiem inaczej u nas stulecie się toczyło, po którym myśmy księstwem, a Malwianie wyśmiewanym zlepkim chłopskich atamanatów, lecz na pewno bliższe nam ich życia pojmowanie od tych prawideł, do jakich już wkrótce Boża Góra najpierw groźbą, a potem siłą zechce nas przekonać. Co będzie później, Bóg jeden wie, lecz w terażniejszym czasie na wschód trzeba nam się oglądać i z Malwianami sąsiedztwo poprawiać, do wojskowych dążyć z nimi powiązać.

Wit Przytarczyk pilnie słuchał wyводу Krzywosochy, tak że nawet pod koniec piwa przestał pociągać, i dopiero gdy dłuższa chwila ciszy upewniła go, że porucznik nie będzie mówił więcej, rzekł z przyjaźnią i podziwem:

— Teraz ty wybacz spoufalenie, panie Marku... Nie pomylił się książę Józef ciebie biorąc za swą rękę prawą i pierwszego poradcę. A ojcu Dołobrzieskiemu, któregoś uczniem, i Szkole Lewosańskiej, co ci wiedzę dała, chwały przysparzasz. Mocno ty myślisz i śmiało, czego się od ciebie uczyć powinienem.

* * *

Pierwsze dni marszu chorągwi Przytarczyka po Ziemi Ponestrzańskiej upływały wśród trudu i przekleństw nie tylko żołnierzy, lecz i samego pułkowego. Posiadany przez dowódcę ziemiorys okazał się zupełnie nieprzydatny, przedstawiał bowiem Szlak Sańsko-Nestrowy, który nie istniał od lat niemal trzydziestu, to jest od czasu, kiedy rodzina Zaźwieckich przecięła go, budując pomału nad górną Sanią swoje coraz bardziej zbójcekie księstwo w księstwie. O zdobyciu przewodnika nie mogło być mowy, gdyż chłopom i pasterzom Zaźwieckiego od pokolenia nie wolno było oddalać się ze swych nędznych wiosek i połoninnych pastwisk, toteż nawet dość bliskich okolic nie znali, a po drugiej stronie granicy ludzie żyjący z wypasu dawno już odsunęli się ze strachu przed rabunkiem, mordami i porwaniami na odległość jako tako bezpieczną w głąb swego kraju. Stał więc Przytarczyk podjazdy do przodu, na prawo i lewo, próbując ustalić, który z wijących się w gęstej puszczy strumieni jest najgórnijszym biegiem Nestra, i którędy — jak się wyraził — „zbrodniarz z Zaźwy potrafił przepędzać zrabowane na Ponestrzu tabuny owiec, koni i krów”. Złodziejskich przejść przez puszczy nie udało się odnaleźć, ale po całym dniu ruchu i zamętu górny Nestro został wreszcie rozpoznany, i pułkowy miał podstawy by rozstrzygnąć, że chorągiew przerąbywać się będzie jego doliną, a nieco później wykorzysta porośnięte liściastymi krzakami i rzadkimi drzewami pozostałości po technoczesnej sztucznokamiennej drodze biegnącej równolegle z rzeką. Pod koniec czwartego dnia wojsko dotarło do średniej wielkości ruiniska, ominęło je od północno-zachodniej strony i skręciwszy na wschód ponownie dobiło do lewego brzegu Nestra, który wpływał tutaj, już spokojny i dość szeroki, w rozległą równinę. O zmroku rozbito noclegowy obóz, o świcie jazda rozpoznawcza wybrała dwa dogodne brody, po rannym posiłku znak przeszedł nimi w pełnym ładzie przez rzekę i oddalając się od jej koryta ruszył równinnym, niskim krzewostepem na południowy wschód, poprzedzany trzema lekkojezdnymi oddziałkami ubezpieczenia. Po mniej więcej dwóch godzinach niczym nie zakłócanego marszu powróciło do kolumny galopem dwóch żołnierzy z podjazdu czołowego. Miny mieli rozbawione, gdy meldowali dowódcy:

— Panie pułkowy, tego jeszcze nie było! — zaczął pierwszy.

— Tak, panie pułkowy, tego naprawdę jeszcze nie było! — potwierdził drugi. — Jedzie nam naprzeciw dziecięce wojsko! I niedość, że dziecięce, to jeszcze w trzech ćwierciach z dziewczynek złożone!

— Nie zmyślacie?

— Ani trochę, panie pułkowy. Są ich, zdaje się, dwa oddziały po pięćdziesięcioro, w mundurach, przy szablach i łukach, tylko pik nie mają prócz dwóch, na których jakieś znaki łopoczą. Najstarsze wyglądają na lat koło piętnastu, lecz większość jeszcze wyraźnie młodsza. Kazał nasz dowódca powiedzieć, że ich przepuści.

— To najpewniej jakieś powitanie — ocenił Przytarczyk i odwracając się ku kolumnie donośnie podał komendę, jak echo powtórzoną przez dowódców rot:

— Stój!!! Szyki równaj! Postawa paradna! Znakowy przede mnie!

Ciężkojezdni pośpiesznie wkładali szyszaki i zapinali paski pod brodami, sprawnie wyrównywały się czworoboki podrot i rot, trzej ich dowódcy podjechali do czoła kolumny i stanęli za pułkowym. Znakowy ustawił się po prawej ręce Przytarczyka o długość konia przed nim i wyprostował drzewce chorągwi, na której pod dwoma srebrnymi orłami widniało wyobrażenie cwałującego żubra, a pod nim wyszyte złotem słowa: „TYLKO ZWYCIĘSTWO”. Wszyscy patrzyli przed siebie i wstuchiwali się w odległe jeszcze, napływami narastające dudnienie kopyt pędzących koni, lecz łagodnie pofałdowanie krzewostepu nie pozwalało na razie niczego dojrzeć.

— Jak na setkę jazdy tak lekkiej, to mi coś ten huk za gruby i za głuchy — zauważył Przytarczyk, a po chwili sam sobie głośno odpowiedział: — Jasne to, a podjazdowi pewnie z przejęcia nie wspomnieli: Ich wojsko zawsze prowadzi pełną zmianę koni luźnych, to pewnie i dziecięca jazda tak samo.

— Na moje ucho, to się zgadza, panie pułkowy — powiedział jeden z ustawionych za dowódcą rotmistrzów, Gabroł Ścigan, znany z wybornego słuchu. — To jest przeszło dwieście koni w niespiesznym galopie, a są teraz... no... osiemset kroków przed nami.

Nie mylił się, bowiem właśnie w powiedzianej przezeń odległości nad rzadkimi kępami krzewostepowych zarośli pojawił się biały proporzec, i zaraz zaczął wypętać z jakiegoś obniżenia gruntu wąż konnych trójek w miarowym galopie.

— Ciekawe — ponownie odezwał się rotmistrz Ścigan — czy młodociane wojsko wzorem zwyczajnej ichniej jazdy też zechce się popisać jaką piękną zmianą szyku, na co tamtego roku na Uhorszczyźnie parękróć nie mogłem się napatrzeć?

Na to pytanie-życzenie mógł sobie rotmistrz, a zapewne nie on jeden, niebawem odpowiedzieć po myśli, bo oto obie dziecięce półsotnie zaczęły, i w sto kroków skończyły rozwijać się w galopie z trójek w dwunastki, przy czym przed sam środek nowej, szerokiej a płytkiej kolumny wyjechało dwoje jeźdźców — czarnowłosa dziewczyna i znakowy. Gdy zbliżyli się jeszcze trochę, można było dostrzec, że kruczoczarne włosy dziewczyny są kędzierzawe, że budowy jest — co nawet w siodle było widoczne — smukłej, i że do lewego rękawa bluzy przypięty ma żółty chwast włóczkowy, zaś chłopiec-znakowy pod bujnym jasnym czubem twarzyczkę ma drobną, najzupełniej dziecięcą, obleczoną w uporczywy wyraz powagi. Z widocznym wysiłkiem, lecz jednak pewnie utrzymywał on w galopie prosto i niechwiejnie jasnodrzewcową pikę, na której furkotał pod grotem biały proporzec posłańczy, a pod nim wojenny znak Ponestrza — rysunek szarego sokoła z purpurowym kwiatem malwy w szponach, na bladezielonym tle.

Nastąpił teraz drugi jeździecki popis zbrojnych dzieci pones-trzańskich: po nieznacznym spowolnieniu galopu obydwie kolumny dwunastek zatrzymały się niemal w miejscu nie łamiąc szyku, a prowadząca dziewczyna ze znakowym przy boku przeleciała ostatnie trzydzieści kroków nie zwalniając końskiego biegu, i obydwójce osadzili mierzyny tuż przed pułkowym. Pochyliły się ku sobie znaki Ponestrza i Księstwa, a starsza nad dziecięcymi półsotniami zaczęła mówić po sańsko-wysołocku płynnie i składnie, lecz z wymową nie całkiem poprawną:

— Przeze mnie i przez znak nasz pochylony, ataman Ziemi Ponestrzańskiej, łewko Lonowy, wita sławne wojsko księcia Rzozy-Siewnego i pozdrowienie śle od serca panu pułkowemu i wszystkim jego żołnierzom! Ja jestem Radka Czowniar, a ze mną jest Pierwsza Koniuszyska Półsotnia Starszodzięca i Poseretneńska Trzydziesta Trzecia. Z rozkazu atamańskiego udzielać będziemy wojsku waszemu pomocy w przemarszu, szczególnie że okolice, którymi was poprowadzę, puste są i wiosek pozbawione, więc z miejsc od drogi odległych żywność będziemy dla was jucznymi końmi przywozić. Wręcę też panu pułkowemu za chwil parę żołąd atamański dla waszej chorągwi, w pieniądzach złotych, lecz, jako powiedziałam, niczego w tych okolicach za pieniądze kupić nie można i wasze wyżywienie naszą będzie sprawą. Ziemiorysy mam ze sobą bardzo dobre, co pozwolą nam razem bez pośpiechu najmniejszego na czas dojechać do miejsca przeznaczonego, o którym później i osobno panu pułkowemu więcej powiem. Tyle mam na teraz, panie pułkowy.

Podczas całej odpowiedzi Przytarczyka ustawieni za nim rotmistrzowie rzucali sobie ukradkiem nieco zdziwione spojrzenia, podobnie zresztą jak i żołnierze z pierwszych czwórek ciężkiej konnicy. Życi od lat ze swym dowódcą znali bowiem znaczenie każdej nuty w jego

głosie, i oto po raz pierwszy dostyszeli w mowie pułkowego niezrozumiały ślad zmieszania i niepewności, gdy mówił z nieznacznymi zająknieniami:

— Od żołnierzy moich i od siebie wdzięczność z całego serca wyrażam za powitanie tak piękne i za troskę wielkiego waszego wodza, atamana Lonowego, i waszą, dzielni żołnierze młodociani, o wygodę mojej chorągwi w drodze do miejsc naszej bitewnej pracy. Od razu też chcę rzecz jedną wyjaśnić, co do której niezrozumienie jakież się zdarzyło: Myśmy otóż cały czas na żołdzie książęcym, przeto drugiego żołdu brać od was nie możemy. Co zaś do wyżywienia, to starczy nam go jeszcze na parę tygodni, tak jak i obroku pożywnego dla naszych koni. Powiem jednak szczerze, że przez nieznajomość w naszym kraju waszych sposobów wędzeń i suszeń mięsa długotrwanie zepsuciu nie ulegającego i serów równie długodobrych, my dość nudno się w drodze żywimy, stąd w tej rzeczy pomoc waszą, byle wam nie kłopotliwą, przyjmiemy chętnie. Na koniec słowo o radości mojej powiem, z tego płynącej, że Łysego Iwanę i Staśkę „Płową Kose” już znając i przyjaźnią ich darząc serdeczną, teraz oto mówię z Radką Czowniar — trzecim ze sławnych trojga dzieci Niskiego łowynia! Czy będziemy już ruszać, Radko, panno-żołnierzu?

— Tak, panie pułkowy — odrzekła starsza nad dziecięcą konnicą — lecz dzisiaj niedaleko was zawiodę, bo tylko do rzeczki czystowodnej, przy której miejsce na obóz już wybrałam, i średnim popołudniem tam staniemy. Dopiero na jutro dłuższy przemarsz jest pomyślany. Mam jeszcze parę pilnych słów osobnych do pana pułkowego, więc teraz swoim polecenia wydam, a później, jeśli wolno, przez chwil parę przy jego boku pojadę.

— Radość mi to sprawi! — uprzejmie odpowiedział Przy-tarczyk.

Radka zawróciła konia, skinieniem dłoni nakazała swemu znakowemu podążyć za sobą, i obydwójce podjechali kłusem do stojącej nadal w dwunastkowym szyku dziecięcej konnicy, która po chwili rozsypała się w beładną gromadę i gwałtownym cwałem ruszyła w tym kierunku, z jakiego przybyła. W tym czasie uniesienie nad głowę buławy pułkowego i łagodny jej skłon na południowy wschód wprawiły w miarowy ruch ogromną kolumnę chorągwi sańsko-wysołockiej.

Radka Czowniar, jak zapowiedziała, znalazła się wkrótce strzemię w strzemię z Przytarczykiem, który rozumiejąc, że dziewczynie chodzi o rozmowę z dala od postronnych uszu, przyspieszył nieco, by bardziej odsunąć się od czoła kolumny.

— Najpierwsze to, panie pułkowy — zaczęła starsza nad małymi półsotniami — że teraz zaraz musi być rozstrzygnięte, czy pojedziemy nad Wielki Łuk Pyrutowy, czy dwakroć bliżej.

— Prawdę mówiąc, to ja pojęcia nie mam, gdzie ów łuk i jak tam daleko. Spodziewałem się jaki ziemiorys tutaj dostać, albo przewodników, no i jakieś rozkazy wodzowskie...

— To i masz już przewodników, panie pułkowy, lecz pozwól poprzednią rzecz dokończyć — Radka coraz więcej wplatała słów malwiańskich do mowy sańsko-wysołockiej, zdradzając że biegła jej przemowa powitalna była wcześniej przygotowana. — Ataman chciałby przeznaczyć twoją chorągiew na główne ciężkie wsparcie dla parunastu sotni, co mają naprzeciw Wielkiej Przełęczy pobić wychodzące stamtąd cztery pułki syrbskiej Złotej Jazdy, a ta najgroźniejszą jest siłą ze wszystkich wojsk Bołkanu, a jeszcze co do sposobów walki prawie wcale nie rozpoznana. Może tam więc być ogromnie ciężko, i mogą być straty nielekkie. Z tej przyczyny ataman Lonowy pomienionego użycia twoich żołnierzy nie ujmuje w rozkaz, i tobie, panie pułkowy, wybór zostawia, czy chcesz bić się ze Złotą Jazdą u wyjścia z przełęczy, czy z ciężkozbrojną piechotą elaską i byłharską nad Wielkim Łukiem Pyrutowym, co podług rozmów naszego poselstwa było zamyślane. Lecz tego wyboru musisz dokonać teraz zaraz, jeślibyś bowiem z syrbską jazdą walczyć nie miał ochoty, to jeszcze dziś trzeba pchnąć wiadomość do atamana.

- Pojmuję, że o Złotej Jeździe na czas nie wiadano...
- Coś było wiadomo, panie pułkowy, lecz wszystko wskazywało, że ma Bołkan tych diabłów najwyżej ćwierć tego, co teraz idzie, i że sprzymierzeńcy nasi górscy w przełęczu ich potłuką, a tu się z nimi dokończy. Od paru dni dopiero pan ataman zna prawdę, a to, że są ich cztery pułki.
- Jeśli cię zrozumiałem, to pan Lonowy jazdę syrbską za groźniejszą ma od ciężkich wojsk elaskich i byłharskich?
- Tak właśnie...
- No, to sprawa jasna, panno Czowniar! Przejedziemy się po syrbskich karkach i łbach, aż z nich złote pierze polecą!
- Ni stąd, ni zowąd po opalonych policzkach Radki pociekło parę łez, które szybko rozmazała wierzchem dłoni.
- Co tobie?! — zdumiał się pułkowy i przechylił się w siodle w jej stronę, jakby chciał ją objąć i w ostatniej chwili się powstrzymał. — Ty płaczesz?!
- Wybacz... panie pułkowy... To z radości. O taką twoją odpowiedź przez całą drogę modliłam się do świętego Semena.
- Nie pojmuję; czemuż to dla ciebie samej takie ważne, panno Radko?
- Bo przeciw Złotej Jeździe walczyć będą Iwanko i Staśko, i bałam się o nich, a teraz już się nie boję.

* * *

W drodze do wyznaczonej przez atamana okolicy wyjścia Pyrutu z gór świeżo mianowani sotnicy starali się wybadać nastroje w Pierwszej i Drugiej Atamańskiej, i przekonali się łatwo, że żołnierze obu sotni zmianę dowódców przyjęli bez niezadowolenia, co wynikało zarówno z zaufania do atamana Lonowego i słuszności jego wszelkich postanowień, jak też i z pamiętania o tym, że podczas walk na Uhorszczyźnie w dziesiątkach dowodzonych przez łysego Iwanę i Staśkę „Płową Kosę” było zawsze najmniej strat. Upewniwszy się, że bez niechęci przyjęci zostali przez swe wojsko na dowódców, zaczęli młodzi sotnicy powoli przygotowywać podwładnych na to, że trud nadchodzący przerośnie wszystko, czego dotąd zaznali.

W połowie drogi, podczas wspólnego obozowania obu sotni, przy ogniskach i posiłku, łysy Iwanko słysząc pogwarki jak zwykle lekceważące wroga, przemówił do żołnierzy:

— Wbijajmy sobie wszyscy w pamięć, panowie atamańscy, że pierwszy raz mieć będziemy sprawę z wojskiem, które wedle wszystkich o nim wiadomości we władaniu bronią nam nie ustępuje. Nie przyzwyczajeniśmy do tego! Jeśli się więc z myślą o tym dobrze nie oswoimy, to krwią zapłacimy. Zgódźcie się też już teraz, że my, wami dowodzący, za każdą zbędną kroplę krwi waszej przed atamanem i przed sumieniem swoim odpowiadamy, a przez to nie możemy żałować ani własnego, ani waszego, panowie żołnierze, trudu i potu dla najlepszego przygotowania do pracy bitewnej.

Nie wstając od ogniska odpowiedział na te słowa niemłody już dziesiątnik Myrko Sereżka, od wielu lat ulubieniec Pierwszej Sotni, a to z tego głównie powodu, że jednakową odwagę wykazywał w walce i w wyklócaniu się z dowódcami, których za czasu jego służby przewinęło się przez Pierwszą Atamańską już kilku:

— Byleście nas z gorliwości młododosotnikowskiej jeszcze przed orężną robotą nie zajeździli, to razem damy sobie radę, panowie sotnicy, a potu i tak z nas więcej nie wyciśniecie, niż wody jest w naszych — jak to księża mawiają — powłokach doczesnych.

To odezwanie ciętego i kąśliwego żołnierza uznali sotnicy za obietnicę postuszeństwa, co sprawdziło się już w dzień później, kiedy od razu po dotarciu w nakazaną okolicę rozsyłali

utrudzonych drogą ludzi na podjazdy rozpoznawcze i nie usłyszeli słowa szemrania. Ostatni zwiadowcy wrócili koło północy i wtedy dopiero młodzi dowódcy upewnieni, że okolica jest bezpieczna, kazali wystawić warty i czujki, i zezwolili sotniom na krótki sen do wczesnego letniego świtu. Rano, po napojeniu i podkarmieniu koni obrokiem pożywnym, żołnierze zjedli suchy posiłek, uzupełniony tylko wywarem z kwiatu lipowego i suszonych wiśni, a zaraz potem sotnicy zwołali dowódców dziesiątek na naradę. Kazali im się przyjrzeć uważnie rozłożonym na derce pustawym ziemiorysom, przez półćwierć godziny nie przeszkadzali im w tej czynności, a potem zaczęli Iwanko:

— Te karty, panowie dziesiątnicy, musimy uzupełnić szybko, obficie i dokładnie, kosztem galopowania po okolicach przez dwa dni co najmniej. Lecz i takie, jak są teraz, powinny nam wystarczyć do odpowiedzi na pytanie najważniejsze: Dokąd skierują się pułki Złotej Jazdy po wyjściu z gór? Pierwszy ty, panie dziesiątniku Sereżka...

Wywołany nie zastanawiał się długo:

— Mogą trzymać się lewego brzegu Pyrutu i podążyć nad Wielki łuk, żeby tam uderzyć z boku na nasze główne siły. Mogą też przeć najkrótszą drogą prosto na Koniuszynę, do której dwakroć bliżej. Zakładam się, panowie sotnicy, o pięć manierek palonki, że zrobią to drugie!

— A czemu, podług ciebie, to właśnie wybiorą?

— Po tym, coście panowie sotnicy w drodze o Syrbach opowiedzieli, sprawa całkiem jasna: ogołociona z wojska Koniuszyna, czego nawet nie wiedząc łatwo się domyśla, jest do wzięcia bez trudu, a ten, co ją weźmie, będzie mógł rozgłosić, że on wszystko w tej wojnie rozstrzygnął. I na to się ten jakiś tam wielki syrbski rajca bez wątpienia złakomi.

— A co ty myślisz, panie dziesiątniku Perewesło? — zapytał z kolei swojego podwładnego sotnik Truba.

— Jeżeli pewne są wiadomości o zamysłach Syrbów co do złapania władzy nad całym Bołkanem, to nie może być inaczej, jeno tak, jak Sereżka powiedział.

— Czy myśli kto inaczej? — spytał łusy Iwanko. Odpowiedziała mu cisza i przeczące ruchy głowami, więc mówił dalej pewnie i stanowczo:

— Sotnik Truba i ja dokładnie tak samo rzecz widzimy, lecz większość z was dłużej od nas z Bołkanem wojowała, dlatego was zapytaliśmy, czy przewidujecie to samo. Postanawiamy więc teraz, że przy koniuszyńskim kierunku porozmieszczamy Gromadę Sotni i na nim też gotować się będziemy do osłabienia na wszelki sposób możliwy, a potem pobicia Złotej Jazdy. Nie wydaje mi się możliwe, żeby ataman nakażny, kiedy za parę dni przybędzie, słuszności naszej w tym nie uznał. Ale jednak nie możemy i brzegu Pyrutowego całkiem poniechać, a to z tej przyczyny, że mogą też przybyć od nizin zachodniolimbiaskich jakieś wojska niesyrbskie, Syrbom nie podlegające, albo nawet nieprzychylne, które zechcą pójść nad Wielki łuk. Dlatego szczegóły doliny Pyrutu na jakie trzydzieści kilometrów w dół też trzeba w ziemiorysy wpisać, tudzież o drogach sposobnych pomyśleć dla rzucenia tam w razie potrzeby części sił Gromady Sotni. Dziś i jutro, panowie dziesiątnicy, bardzo wiele będziemy galopować, miejscom różnym się przyglądać, obozowiska wybierać i ziemiorysy wypełniać coraz gęściej i dokładniej. Nie dotyczy to dziesiątek pod panami Sereżką i Poponnikiem, które niechaj się zaraz gotują do podjazdu bardzo dalekiego! Wejdziecie, panowie dziesiątnicy, w gardło wyjścia Pyrutowego i spróbujecie dotrzeć aż do samej przełęczy właściwej, a jakby dobrze szło, to nawet i do najgórnieszej Czysy. Drogę znacie, boście nią parękroć na Uhorszczynę jeździli. Rozejrzyjcie się tam we wszystkim, co nas może obchodzić. Jak się da, to o uzbrojeniu Złotej Jazdy zbierzcie trochę wiadomości, szczególnie ochronnym od pasa wzwyż, żebyśmy wiedzieli jak z łuków celować, i gdzie szablą ciąć nie warto. Góralom powiedzcie, że od nas żadnej pomocy być nie może, bo nasza jazda do walki w górach niesposobna, niechaj więc oni tyle

tylko oporu stawia, ile bez strat nadmiernych potrafią, a dalej niech ustępują, w żadne bohaterstwo bezowocne się nie bawiąc. Na przygotowanie do drogi, panowie dziesiątnicy, godzina powinna wam wystarczyć, po której ruszajcie na nic więcej nie czekając.

Po trzech dobach nieustannego wysiłku dowódców, żołnierzy i koni, powierzone przez Lonowego wstępne zadania Pierwszej i Drugiej Atamańskiej były wykonane starannie, a nawet z niejaką nawiązką, i teraz dopiero mogli wszyscy odpocząć, posilić się smaczniej, ogolić i obmyć w wątlých, lecz na szczęście czystych strumieniach swe ciała ostro cuchnące przystarzałym potem. Młodzi sotnicy zadowoleni, że udało im się robotą pokierować składowie, czekali teraz spokojnie na przybycie reszty sił Górnopyruckiej Gromady Sotni i jej atamana nakaźnego. Kto się nim okaże, tego nie próbowali zgadywać, wnosili bowiem ze słów Lonowego, że nie będzie to człowiek im znany. Obłokanie się w ciało zadomowionego już w okolicy, dwusotniowego trzonu zgrupowania opóźniało się nieco, bo dopiero w południe piątego dnia nadciągnęła pierwsza kolumna wojsk, ale za to ogromna: pięć nadstanowych sotni wioskowych, dwanaście półsotni kobiecych i starszodzięcięcych, przeszło czterysta obciążonych koni jucznych i sto dwadzieścia wypełnionych ładunkiem wozów. „Nakaźnym w pochodzie” nad przybywającymi był dowódca Siedemnastej, Kulbarskiej Sotni, siwowłosa Dmytro Maznycia, gospodarz-żołnierz blisko sześćdziesięcioletni, który stopień sotnika otrzymał jeszcze na wojnie 2242 roku, ale nadal sprawiał wrażenie człowieka pełnego werwy i sił, zaś żywa twarz dostojnie pomarszczona, nos z lekka orli, wydatne gęste brwi i ostre spojrzenie bacznie przymrużonych, ciemnoniebieskich oczu przydawały mu wyglądu surowego i nieco drapieżnego. Zatrzymał się przed wyjeżdżającymi na powitanie młodymi sotnikami, oddał im honor żywym skłonem siwej głowy, przyjrzał się krótko i uważnie ich twarzom, poczem zwrócił się do Iwanki:

— „Nakaźnym w pochodzie” wyznaczył mnie pan ataman Lonowy, a zwał mnie Dmytro Maznycia. Przyprowadziłem co mi kazano, strat żadnych w drodze nie miałem. Zbierające się tu wojsko atamana jeszcze nie ma, jeśli wiem, przeto dowódcę Pierwszej Sotni traktować będę na razie jako starszego nad tym wszystkim, co się tu gromadzi, to jest ciebie, panie sotniku Łusy Iwanko. Od razu mówię, że podoba mi się powierzenie atamańskich sotni wam, młodzi bohaterowie, bo od czasu gdy ja i mnie podobni trzeci kwiat na ramiona przyszywali, sposoby wojny bardzo się zmieniły, więc młodzi teraz dowodzić sposobniejsi.

— Witam cię tutaj serdecznie, panie sotniku Maznycia, podobnie jak wszystkich przybywających — odpowiedział Iwanko — i też mówię od razu, że młodym porada starszych się należy, bez której niedostatek wiedzy i doświadczenia, a też trzeźwości statecznej niejedną szkodę mógłby przynieść. Proszę teraz, jeśli można, byś powiedział z grubsza, co w tych taborach przeogromnych przywiozłeś.

Dmytro Maznycia pokazał teraz pamięć tak zdumiewającą, że młody sotnik natychmiast zaczął mu jej zazdrościć. Wymienił bez zająknięcia, ile jucznych koni należy do mienia przybyłych oddziałów wioskowych, a ile jest własnością Ziemi Ponestrzańskiej, powiadomił, że wszystkie wozy i ich ładunek należą do majątku Ponestrza, i zaczął wyliczać, jakie wojskowe dobra przydzieliła Izba Wojenna Górnopyruckiej Gromadzie Sotni:

— Strzał do łuków izbeckich sto tysięcy; bełtów lżejszych trzydzieści pięć tysięcy; bełtów ciężkich jedenaście tysięcy; bełtów płonących cztery tysiące; strzał i bełtów świecących razem półtora tysiąca; cięciw zapasowych do łuków i kusz razem dwa tysiące; kusz lżejszych dwieście; kusz ciężkich dziewięćdziesiąt; dwugrotów w dziesięciu długościach jeden wóz pełny; płótna rzadkiego izbeckiego na opatrunki...

W tym miejscu Łusy Iwanko przerwał to wyliczanie i starając się nie urazić starego sotnika, powiedział z uśmiechem bardzo serdecznym:

— Wybacz, panie sotniku, lecz ja takiej pamięci nie mam, więc może lepiej spis na papierze później sporządzimy, wedle którego ataman, jak przyjedzie, rozdzielać będzie to wszystko sotniom. Teraz zaś powiedz jeszcze tylko, czy owsa jest dosyć dla koni, a mięsa suszonego, kasz i sucharów dla ludzi?

— Nie zabraknie ani dla nas, ani dla jazdy małolackiej! Jest też dość beczek z piwem i palonką, a o soli i przyprawach też nie zapomniano.

— Dzięki! A czy wiadomo coś, kiedy ataman nakażny się pojawi i dowodzenie weźmie?

— Nie, panie młody sotniku... Milczenie jakieś dziwne w obozie atamanskim co do tego panuje; choć ciekaw byłem, znikąd nie mogłem się dowiedzieć, kto i kiedy dostanie nad nami piernacz czerwony.

Nazajutrz przyszła druga i ostatnia grupa sotni i półsotni Górnopyruckiej Gromady, a z nią, mianowany przez Lonowego kapelanem całego zgrupowania, ksiądz Matwiej Janeńko, lecz i on nie miał żadnych wiadomości w coraz bardziej niepokojącej sprawie atamana nakażnego, a ściślej — rosnącego opóźnienia jego przyjazdu.

— Ja się w otoczeniu atamanskim wcale nie rozeznaję — wyjaśniał tysemu sotnikowi — bo od początku pracowałem daleko od Koniuszyny, na pograniczu ze środkowym Pobożem. Na wojskowych sztukach też się nie znam, szablą z trudem potrafię machnąć, nad czym ubolewał pan Lonowy, kiedy się u niego na mianowanie stawilem. Na taką hurmę wojska i takie boje, jak tu będą, przynajmniej dwóch powinno być kapelanów, a z nich choć jeden sposobny u przodu pola bitwy się uwijać, ale co zrobić, kiedy poza mną jeszcze tylko ksiądz Kukil stawil się u atamana do połowej powinności.

— A to czemuż, księżu Matwieju? — zdziwił się Łusy Iwanko — Parunastu przecież jest kapłanów na Ponestrzu!

— Wolałbym o tym nic nie słyszeć, i nic nie chcę o tym wiedzieć...

— Z powyższych słów wynika, że coś jednak słyszałeś, księżu kapelanie.

— To tylko słuchy, nic pewnego, ale powiem. Mówią, że biskup Konstantyn zabronił jakoby kapelańskiej służby wyświęconym w Bożej Górze, a tylko wyuczonym w Lewosańsku zakazu takiego nie postał. Tych zaś jest dwóch, mnie wliczając.

— A cóż to za rozróżnienie dziwaczne?!

— Nie wiem, panie sotniku, i nie rozumiem, i nie chcę się do tego mieszać. Jeżeli za tym zatarg się jakiś kryje pomiędzy biskupem i atamanem, to Bogu dziękuję, że mnie do niego ani na włos nie wciągnięto. Przez Koniuszynę przejeżdżając z biskupem nie rozmawiałem, bo mnie nie przyjął z braku czasu, jak mi wyjaśniono, z czego się po namyśle bardzo cieszę, bo mi w tym wszystkim nieświadomość najwygodniejsza. Posługę swoją chcę tu wypełnić jak potrafię, tyle że w jeździe szarżującej mnie nie pomieszczajcie, bo raz, że w cwale z konia spadnę, a dwa, że łamaga byle jaki odrobinę w szabli podćwiczony od razu mi łeb utnie.

— Na nic takiego nie będziesz narażony, księżu kapelanie! — zapewnił młody sotnik.

Uptywały kolejne dni, w czasie których górnopyruckie zgromadzenie wojsk było bez dowódcy, choć nie można powiedzieć, by spraw wymagających rozstrzygnięcia nikt wówczas nie postanawiał. Dmytro Maznycia, siwy gospodarz-sotnik z wioski Kulbary, przez wiek swój i siłę niespożytą zeń bijącą błyskawicznie zdobywający poważanie zarówno w sotniach wioskowych, jak i atamańskich, był wszędzie i wszędzie powtarzał z pełnym skutkiem: „Póki Lonowy atamana nie przyśle, Łusy Iwanko powinien wszystkim tu kierować, bo to i zdolny on niebywale, i bohater na całym Ponestrzu znany, i całe nasze obozowanie zdążył z sotnikiem Trubą pięknie przed naszym przybyciem pomyśleć i urządzić”. Iwanko jednak odmawiał przyjęcia dowódczych praw, tłumacząc stanowczo:

— Nikt mnie nie mianował, więcby wyglądało, że się sam mianowałem.

Jednak ponad trzy tysiące ludzi — a tyle liczyła wraz z oddziałami pomocniczymi Górnopyrucka Gromada — gotujących się w napięciu do śmiertelnego boju z wrogiem jeśli nie mocniejszym, to na pewno nie słabszym, nie może obejść się długo bez „dowodzenia twardego”, toteż wnet konieczność wymusiła rozwiązanie. Było nim „Doczasowe Ciało Dowodzące”, złożone z sotników Hołoda, Truby i Maznyci. Oni to wyjechali naprzeciw nadciągającej chorągwi sańsko-wysołockiej, poprzedzanej przez dziecięce półsotnie pod Radką Czowniar, i po serdecznościach powitalnych zaprowadzili sprzymierzeńców na starannie przygotowane obozowisko, dość odległe od wojska ponestrzańskiego, a przy tym mimo swych dużych rozmiarów skryte, z dala niewidoczne.

— Chodzi o to — wyjaśnił pułkowemu Przytarczykowi to oddalenie Łusy Iwanko — żeby się Syrbowie o waszym tutaj istnieniu za wcześniej nie dowiedzieli; niechaj myślą jak najdłużej, że z samą lekką jazdą mają do czynienia.

Dowódcy ciężkiego znaku nie spodobało się to rozumowanie.

— Znaczy to, przyjacielu sotniku — powiedział z lekka urażony — że przez czas jakiś, może i długi, wy będziecie walczyć, a my obozować beczynnienie! Wolałbym od razu spróbować twardości Złotej Jazdy.

— To na razie ani niczyj rozkaz, ani żadne rozstrzygnięcie — starał się Iwanko złagodzić niezadowolenie Przytarczyka — Postanowienia ostateczne poweźmie ataman nakażny, jak się wreszcie zjawi, wszystkich głosów doświadczonych, a twojego szczególnie wpierw wysłuchawszy. Od razu jednak wypada ci się, panie pułkowy, co do jednego zgodzić, a to, że początkowe rozpoznawanie bojem wroga nowego nie jest robotą dla ciężkiej jazdy najstosowniejszą.

— Jasne, Iwanko, panie sotniku, że ja tu swoimi tylko dowodzę, a nie całym zgrupowaniem, przeto rozkazom, byle nie głupim, podporządkuję się w pełni. Nie znaczy to jednak, że każdy rozkaz musi mnie zachwycić.

Równocześnie z tym, jak wytworzyło się samorzutnie trzyosobowe dowództwo Górnopyruckiej Gromady Sotni, powstał tam drugi, dość osobliwy ośrodek władzy, w postaci pięciu młodych kobiet wyłonionych z wiecowań w półsotniach jako Rada Wojska Pomocniczego. Zażądała ona uznania przez dowodzących sotników oraz znacznych uprawnień w sprawach wyżywienia i czystości. Gdy tylko je otrzymała, zaczęły się — nazwane tak przez żołnierzy — „babskie prześladowania”: przejeżdżała oto wzdłuż rzędu namiotów kobieca półsotnia rzucając z koni tobołki z żołnierską bielizną i kostkami szarego mydła, pokrzykując donośnie:

— Za ćwierć godziny brudy mają być w toboły powiązane i przed namioty wystawione! Pójdą do gotowania!

— Nie będzie więcej smarowania gaci dziegciem!

— Mydło i czystość mają teraz chronić od robactwa, a nie smród dziegciowy! Już nie te czasy!

— Co parę dni będzie się bieliznę zmieniać; dość jej na to przyszło w taborach!

Żołnierze zbierali rzucone tobołki klnąc i dogadując:

— Trafi ci się, człowieku, chwila wythnienia, to ci ją dziurawe wojsko odbierze, psia mać!

— Wejdźcież do namiotów, ślicznoty, w przebieraniu pomóc! Uprzejmie prosimy!

— To nareszcie wiadomo, po co jest babskie wojsko: z gaciami ma wojować!

O wiele życzliwiej, a nawet z zachwytem, przyjęta została żywieniowa działalność pomocniczych półsotni. Skończyło się gotowanie w sotniach ciągle tych samych potraw; kobiety i zbrojne dzieci rozwoziły teraz po obozowiskach urozmaicone i smaczne posiłki w zamykanych kotłach, owiniętych wojfokowymi derkami dla zatrzymania ciepła.

Na cztery dni przed końcem lipca powrócili z dalekiego podjazdu dziesiątki Sereżki i Poponnika, budząc powszechny niepokój swym wyglądem. I dziesiątnicy, i żołnierze byli brudni i zarośnięci jak zbóje, mundury mieli poszarpane, konie wychudłe. Nie to jednak niepokoiło witających ich żołnierzy z obozowisk; lęk wywoływał widoczny mimo zarostów wyraz ich twarzy, pełen przygnębienia, zmęczonego gniewu i zgrozy. Dziesiątnicy, stanąwszy przed dowodzącymi zgrupowaniem sotnikami, milczeli chwilę ponuro, nie wiedząc widać od czego zacząć, a potem odezwał się Sereżka:

— Będą tu za pięć dni... Wybaczcie, panowie sotnicy, niesłużbowość meldunku... To, cośmy tam słyszeli i widzieli, służbowym słowem powiedzieć się nie da.

— Składności przecież nie oczekujemy — powiedział Łusy Iwanko. — Widać dobrze, żeście odmienieni wrócili i zgnębieni. Zdawajcie sprawę jak wam dogodnie.

— Złota Jazda, panowie sotnicy, to nie jest wojsko, i samemu słowu temu urąga. To są kaci i oprawcy z samego dna piekieł... Nie mogę... Niech Poponnik mówi, co zrobili po tamtej stronie przetęczy... Mnie dławi i dusi, jak o tym myślę.

— Pięć wsi wymordowali do ostatniej duszy — zaczął drugi dziesiątnik. — Do dzieci małych, uwiązanych, strzelanie z łuków ćwiczyli. Kobiety hańbili, a potem im gardła podrzynali. I jeszcze gorsze czynili potworności, których nawet opowiadać człowiekowi nie przystoi. Psom i kotom nawet nie przepuszczali, wszystko co żywe zabijali, bocianów na strzechach nie wyłaczając.

— Znaczy, gorsi jeszcze od cesarskich, a ja myślałem, że to już niemożliwe — powiedział Iwanko z tym szczególnym poświstem nienawiści w głosie, jaki niekiedy pojawiał się u niego od dnia zagłady rodzinnej wsi.

— Cesarscy — włączył się Staśko Truba — przynajmniej zabijali obojętnie, bez wstrętu i bez uciechy, nie pastwiąc się.

— A czy wiadomo chociaż, co Syrbów skłaniało do takich postępów? — zapytał Maznycia z miną wskazującą, iż opowiedziane rzeczy nie mieszczą mu się w głowie.

— To — odrzekł Poponnik — że trochę mężczyzn młodych do Czarnohorskich poszło przetęczy bronić, lecz jeszcze bardziej to, że mowa tamtejszych ludzi z malwiańską jest prawie ta sama. No i to jeszcze, że mordowanie bezbronnych niezmierną jest dla tych rzeźników uciechą.

— Wstyd i przykro — pośępnie westchnął Maznycia — że oni do słowomownych należą.

— Mniejszy będzie wstyd — poruszył się gwałtownie Staśko Truba — jak takich słowomownych o cztery tysiące mniej ziemia będzie musiała nosić, i to jest dla nas robota! Choćby ataman inaczej rozkazał, moja sotnia ze Złotej Jazdy tylko konie brać będzie w jeńca.

— To samo moja! — zgodził się Maznycia z myślą płowowłosego sotnika. — A jak się wieści, któreśmy usłyszeli właśnie, po całym wojsku rozniosą, o co już ja pilnie zadbam, to nie spotkają Syrbowie tutaj litości.

Nie podejmując tych rozważań Łusy Iwanko zwrócił się do Sereżki:

— Czy przetęcz właściwą już wzięli?

— Do dzisiaj, to już na pewno. Gdy odjeżdżaliśmy, ostatek oporu był tam stawiany.

— Mieliście górali namawiać, żeby przetęczy za cenę zbyt wysoką nie trzymali; czy nie godzili się na to?

— Z początku chcieli podług rady naszej roztropnie postępować, lecz po rzezi wiosek zaprzęczowych o rozwadze ani sił porównywaniu mowy już być nie mogło. Zresztą dwie wsie czarnohorskie blisko przetęczy położone też ucierpiały straszliwie, tyle że nie do końca, bo z naszym udziałem udało się pójść z odsieczą, bardzo już spóźnioną.

— Więc walczyliście?

— A ty, panie sotniku, na naszym miejscu potrafiłbyś się od walki powstrzymać, do rozpoznania się ograniczając?

— Nie ganię was... Strat nie macie?

— Udało się, że żadnych.

— Czy więc przeolbrzymione są wieści o szczególnej biegotności bitewnej Złotej Jazdy?

— Trochę, lecz nie dużo, panie sotniku. Z ludźmi tak dobrze wyćwiczonymi jeszcze się nie biłem. Myśmy nie ucierpieli dlatego tylko, że zaskoczyliśmy ich całkowicie, wyrzynaniem wioski zajętych, a do tego gniew świeży i ogromny sił nam dodawał.

— Na ilu Syrbach doświadczenie zdobyliście?

— Razem z dwudziestką pieszych toporników czarnohorskich wybiliśmy w dwóch wsiach po pół setki złotojezdnych. Przez to wiadomości o ich uzbrojeniu, które kazałeś zebrać, panie sotniku, wzbogaciliśmy odrobiną wiedzy, jak ich bić.

— To niezmiernie cenne! Idźcie odpoczywać; obozowiska sotni te same. Dziś jeszcze dostaniecie nowe mundury i bieliznę. Jutro zaś, z rana, dowódców dziesiątek i sotni zbierzemy, którym przekazecie nabyte w przelęczy doświadczenie.

— Rozkazałeś, panie sotniku! Lecz... jeszcze o rzeczy jednej zapomnieliśmy. Dzień przed Syrbami przyjdzie tu jezdny znak szkiperyjski, setkę liczący...

— Co?!

— Szkiperowie przyjdą poddać się całym znakiem.

— Na świętego Semena, panie dziesiątniku, może jaśniej!!!

— Już mówię, panowie sotnicy! Otóż nim Syrbowie w przelęcz uderzyli, pchnęli przed sobą żałośnie słabozbrojny znak szkiperyjski, żeby się kosztem jego zagłady rozeznac w stanowiskach obrońców. Jednak ta wąta jazda oderwała się od Syrbów do przodu na tyle, że zdążyła niespodzianie wyciąć Strażników Dimokratii, co ją harapami poganiali, i zaczęła białymi szmatami mocno pomachiwać. Przepuścili ich górale, do siebie jednak wziąć nie chcieli za nieprzydatnych uznawszy przez uzbrojenie żałosne, a i przez to, że w całej Czarnohorze i Horhanach żywności teraz bardzo brakuje, bo wiosną przeszedł tamtędy pomór ogromny owiec i innego bydła.

— Pojąłem. Bierzcie swoich, i do sotni! Wszystko do namiotów dostaniecie, bo tak tu już mamy teraz urządzone.

Na łagodnym zboczu wzniesienia, porośłym przywiedłą od upałów trawą i rzadkimi krzakami liściastych samozasiewek, rozsiała się niedługo po rannym posiłku cała wojskowa starszyzna Górnopyruckiej Gromady Sotni, a z nią liczne grupki zwykłych żołnierzy tak z sotni atamańskich, jak i wioskowych; nie brakowało też umundurowanych kobiet i dzieci. Poniżej zaś, na szerokim spłachciu równej łąki, stało dziwaczne i niezdarne wyobrażenie syrbskiego jeźdźca z wysoko uniesionym długim pałaszem, sporządzone z grubych gałęzi i powiązanych snopków długiej trawy. Ta osobliwa kukła miała służyć pomocą dziesiątnikom Sereżce i Poponnikowi oraz kilku ich żołnierzom w objaśnianiu, jak walczyć z bliska ze Złotą Jazdą.

— Nazwa wzięta się z tego pewnie — zaczął Myrko Sereżka — że ichnie hełmy są z blachy pozłacanej, a tak samo gęste guzy na skórzanej zbroi, bardzo grubej i twardej, tudzież naramienniki ochronne. Zbroja pierś chroni i plecy, i od razu mówię, że cios szabli ona wytrzymuje przez rzeczoną gęstość guzów blaszanych. Strzała naszego wyrobu z łuku izbeckiego postana, szczególnie gdy łucznik mocny, przebija ów pancerz jeśli między guzy trafi, na trzysta kroków co najmniej, i jeszcze szkodę w ciele robi wystarczającą. Hełm ma sterczynę, w której pióropusze się mocuje; uderzenie szabli koniuszyńskiej zagłębienie duże w nim sprawia, ale szamszyrka farsyjska przegryza go nieźle i jeszcze w łeb wejdzie na grubość palca, tyle że pełnię siły trzeba w cios włożyć. Co do broni, to ma złotojezdny dzirynt do

miotania, po mojemu bardzo groźny, pałasz obosieczny długi, nadziak z prostym dziobem i guzowatym obuchem, toporek nieduży, nóż krzywy, no i tuk drewniany, z tego wszystkiego najmarniejszy, bo od naszych, izbeckich, trzykroć słabiej szyjący. W pałazie Syrbowie dobrze są wyćwiczeni, lecz do starcia z jazdą najlżejszą, jak nasza, broń ta wyraźnie jest za długa i za ciężka, i robota nią o ćwierć pozostaje wolniejsza od dobrej pracy szablą, co, jako wszyscy panowie pojmujecie, znaczenie ma dla nas ogromne...

Sereżka urwał, gdyż wśród słuchających zaczęło się jakieś żywe poruszenie; ludzie zadzierali głowy i patrzyli w niebo z ciekawością i niepokojem.

— Ścierwojady! Patrzcie, ścierwojady! — rozległy się okrzyki. Pod bezchmurną kopułą nieba, ogromnie wysoko, szybowało niezmiernie powoli sześć sępów, zataczając szerokie kręgi. Ptaki te dopiero od kilku lat widywano w górach, lecz ku nizinom nie zapuszczały się nigdy dotąd, toteż widok oglądany teraz w błękitach wydawał się wszystkim przejmujący.

— Zła wróżba... — powiedział ktoś tonem westchnienia.

— Zależy dla kogo! — odrzekł ktoś inny znacząco. Sotnik łusy Iwanko podniósł się z miejsca i rozkazująco zamknął te rozmowy:

— Sępy, jak to sępy, oglądają sobie miejsce uczty już niedalekiej; więc pilnie słuchajcie nauki, na którą was tu zebraliśmy, żebyście na tej uczcie nie posłużyli za danie pożywne! Prowadź swoje, panie dziesiątniku!

Myrko Sereżka powrócił do przerwanej czynności:

— Pokaz konny podejścia do tej kukły urządzimy na końcu, a na razie zapamiętajcie, panowie starszyzna i wojsko, że jeśli tylko miejsce pozwala, to trzeba na złotojezdnego lecieć trochę od jego prawej, bo wtedy dzirytem nie rzuci, a dobiedzie pałaz. Dzirytem, co jasne, miotać można na wprost, albo w lewo, bo ku prawej trzeba by odsiebnie, co za bardzo nieporęczne. Mamy więc oto do czynienia z pałazem, który przez wagę swoją do cięcia krótkiego się nie nadaje, a do ciosu mocnego wymaga znacznego zamachu i uniesienia go w dłoni dość wysoko. I w tej to właśnie chwilce trafia się sposobność ciąć szablą najkrócej, lekko od dołu i ksobnie, w okolicę łokcia niczym nie chronionego, i w tym miejscu rękę złotojezdnemu przerać. Pałazem można po prawdzie dużo zwawiej wykonać pchnięcie, lecz na szczęście wpojono widać Syrbom odruch taki, że „wpierw cięcie, potem pchnięcie”, a nie odwrotnie. Teraz pan żołnierz Zakuszczy i pan dziesiątnik oponent opowiedzą o dwóch sposobach, jakimi radzili sobie nie mogąc nachodzić od prawej i naitując Syrba od przodu, albo z lewej, na miot dzirytem narażeni.

Zapowiedzianą przez Sereżkę część zajęć trzeba było jednak odłożyć na później, bowiem żołnierz z ubezpieczającej czujki przyprowadził na miejsce zgromadzenia postaniecki oddział atamański, liczący aż piętnastu jeźdźców, wiodący znaczny tabunik koni luźnych i juczych, dowodzony przez sotnika przy wszystkich znakach wojennych i ponadzwyczajnych. Sotnik ten, rosty, chudy i żyłasty, smagły i skośnawooki, nie zsiadając z konia pięknej, poseretneńskiej odmiany, omiół zgromadzonych śmiałym i bystrym spojrzeniem czarnych oczu, i przemówił głosem niezwykle mocnym, a zarazem naturalnym i spokojnym:

— Panowie starszyzna, panowie i panie wojsko górno-pyruckie! Jestem Hawryło Tuzgun, dowódca Trzeciej Sotni Atamańskiej oraz wojsk atamańskiego odwodu, odpowiedzialny też za całość służb postanieckich i za tajne służby szczególne. Od razu, żeby uprzedzić kąśliwe pytania, z jakimi się wciąż stykam, wyjaśniam, po pierwsze, że nazwisko swoje wymawiam „Tuzgun”, a nie „Tuzhun” z rodzinnego przyzwyczajenia tylko, bo pochodzenie moich przodków nie jest malwiańskie, i najmniejszej nie widzę przeszkody, by wszyscy mówili do mnie i o mnie „Tuzhun”, unikając owego „gu”, mowie malwiańskiej obcego, a po drugie, że nadawane mi często przezwisko „Hawryłko Zbój” też żadnej złości we mnie nie wzbudza, bom

do niego już przyzwyczajony. Do rzeczy przechodząc, w imieniu atamana Lonowego dziękuję z serca za pracę wzorową, jaka się tutaj u was toczy, i za piękne nią kierowanie najpierw przez pana sotnika Hołoda, a później przez trójkę sotników zgodną, której powołanie wobec nieprzybycia atamana nakaźnego świadczy o waszej mądrości. Jak widzicie, o wszystko zdążyłem już wypytać, zanim przed wami stanąłem... Teraz sprawa najgłówniejsza: Atamanem nakaźnym Górnopyruckiej Gromady Sotni mianowany był na czas pan sotnik Łuka Jiżak, który zaraz potem draśnięty został strzałą skrytobójczą, zatrutą, jak się okazało, i zdrowie jego to się pogarszało bardzo, to znów poprawiało znacznie, nadzieję dając na powrót do sił. Jednak trzy dni temu trucizna wygrała, i sotnik Jiżak zmarł. Zdrada się więc pokazała po raz pierwszy na Ponestrzu, i z tego powodu ataman Lonowy rozkazuje we wszystkich wojskach służby obozowe tak powiększyć, żeby każdy dowódca sotni na każdym kroku, dzień i noc, trzech ludzi z napiętymi półkuszami miał przy sobie dla ochrony. Śmierć sotnika Jiżaka w trudnym położeniu postawiła atamana Lonowego, bo o człowieka sposobnego dowodzić waszą Gromadą Sotni niełatwo, a do tego za mało już czasu zostało, żeby się ktoś taki zdążył i w całym położeniu tutejszym należycie rozglądnać, i z wami, panowie wojsko, zapoznać i zżyć. Wobec powiedzianego pan Lonowy postanowił mianować waszym atamanem nakaźnym sotnika Iwanę Hołoda...

Wrzawa radosnych okrzyków zagłuszyła słowa atamańskiego pościa, a gdy po chwili przycichła, mówił dalej:

— Ogromnie pomyślnie się złożyło, że akurat zebranych was tu zastałem, bowiem przez to, że wiek bardzo młody sotnika Hołoda wątpliwość niejaką może budzić, pan Lonowy, choć obyczaj taki nigdy nie było, uzależnił mianowanie od waszej zgody, panowie wojsko i starszyzna, i to bardzo wyraźnej. Proszę ja więc teraz, żeby ci, co chcą na atamana tutejszych wojsk sotnika Iwanę Hołoda, powstali, a reszta niechaj na siedząco zostanie.

Wśród podnieconych okrzyków „Na sławę!”, „Na zwycięstwo!”, „Na zagładę Złotej Jazdy!” podnieśli się wszyscy obecni.

— Dzięki, panowie i panie wojsko górnopyruckie; siadajcie z powrotem! — uciszył Tuzgun resztki wrzawy, poczem zsiadł z konia i wydobył z kieszeni na tybince siodła białe zawiniątko. — Panie sotniku Hołod, zechciej, proszę, podejść do mnie — powiedział w ciszy już zupełnej.

Łysy Iwanko spełnił tę prośbę z twarzą ściśniętą, jakby go zęby bolały. Atamański pościec wysuwał ze zwoju konopnego płótna szkarłatny, bogato rzeźbiony piernacz, a mocny jego głos zabrzmiał dźwięcznie i nośnie:

— Iwanko Hołod, panie sotniku! Ataman Ziemi Ponestrzańskiej, Łewko Lonowy, przekazuje ci moimi rękoma piernacz atamana nakaźnego Górnopyruckiej Gromady Sotni, życząc zwycięstwa i sławy!

— Na sławę wojska ponestrzańskiego, przyjmuję! — niegłęboko odpowiedział mianowany i ucałował podany mu znak wojennej władzy nad życiem i śmiercią tysięcy ludzi.

Po południu w obozowisku Pierwszej Atamańskiej rozbijano pośpiesznie wielki, zielony namiot, izbeckiego zapewne pochodzenia, spoczywający dotąd w taborach przyprowadzonych jeszcze przez sotnika Maznycię, a gdy stał już gotowy, załopotwały przy nim atamańskie wojenne proporce pod grotami wysokich pik, i stanęli przy wejściu wartownicy z napiętymi półkuszami. Wkrótce potem odbyła się tam zwołana przez nowo mianowanego atamana nakaźnego odprawa dowódców sotni, z udziałem sotnika Tuzguna, a także pułkowego Przytarczyka i trzech jego rotmistrzów. Dało się zauważyć, że Łysy Iwanko w ciągu godzin,

jakie upłynęły od jego mianowania, oswoił się ze swym nowym położeniem; świdrująco patrzył ludziom w oczy i mówił twardo:

— Panowie dowódcy sańsko-wysotoccy i ponestrzańscy! Na początku parę słów ma do nas pan sotnik Tuzgun, który dziś jeszcze przed gęstą ciemnością musi się znaleźć o trzyćwierć setki kilometrów stąd. Mów, panie sotniku.

— Ataman Lonowy — zaczął skośnooki postaniec — ma pełne rozeznanie i w sile Złotej Jazdy, i w jej okrucieństwie; są mu już znane zbrodnie przepotworne Syrbów na pobratymcach naszych bliskich nad górną Czysą popełnione. Młodemu atamanowi nakażnemu pan Lonowy pełną pozostawia swobodę co do sposobu rozegrania tej ważnej, a może i najważniejszej części wojny, której boje już się toczą u Pyrutowego ujścia, nad środkowym jego biegiem, a także w dolinie Siritu. Nie jest więc ani rozkazem, ani wskazaniem, lecz tylko radą zdanie atamana, że dla zniesienia Złotej Jazdy najkorzystniej byłoby odstępować powoli przez dni szereg w kierunku na Koniuszynę, bezustannie wroga gryząc, męcząc, szarpiąc i wykrwawiając, i dopiero niedaleko brzegu Nestrowego, w okolicy równej, wykonać na Syrbów uderzenie ostateczne, drapieżnie wykorzystując zwrotność naszych sotni i miażdżącą siłę jazdy księcia Rzozy-Siewnego. Odpowiedź zaś należna na wspomniane syrbskie zbrodnie — tak sobie pan Lonowy wyobraża — przez cały czas będzie przez was udzielana. Teraz inna sprawa: nikt się tutaj nie zaciekawiał, po co przysłała Izba Przyatamańska cztery tysiące drogich bełtów płonących, a ja jeszcze dwa tysiące takowych dowiozłem... Bełt płonący, którego wyrób tajemnicą jest Koniuszyny i Hryzotowej Wody, zapala nawet mokrą kłodę dębową, lecz wam ma posłużyć do łamania ducha syrbskiej konnicy. Kiedy bowiem grot jego wbije się pod skórzany pancerz, od razu pół zbroi zaczyna płonąć, i nawet skok do wody nie od razu ogień ten ugasi. Reszty chyba wyjaśniać nie muszę. I rzecz już ostatnia: Izba Przyatamańska rozsyłać będzie większym zgrupowaniom wojsk przez oddziałki postanieckie powiadomienia wojenne w pismach opieczętowanych. Pieczęcie na tych listach należy sprawdzać uważnie! Tyle do was miałem, panowie starszozna, już na mnie czas; szczęścia w boju wszystkim życzę!

Sotnik Tuzgun pośpiesznie wyszedł z namiotu, przed którym czekała już jego eskorta. Gdy przycichł łoskot kopyt oddalającego się galopem oddziału, Łysy Iwanko prowadził dalej odprawę:

— Wiem z przyglądania się życiu, że już władza sotnika wytwarza wokół niego pajęczynę niedomówienia i niepełnej szczerości, więc wokół mnie mogłaby taka przesłonka na tyle zgęstnieć, że potrzebna mi wyrazistość całego obrazu spraw, jakimi kieruję, uległaby przymgleniu. Otóż niczego podobnego u mnie nie będzie! Rozkazuję stanowczo i pod karą, żeby bez cienia skrępowania wytykał mi błędy każdy, kto je dostrzeże, i to zarówno w wojennych sprawach, jak i w odnoszeniach z ludźmi! Dla śladu pochlebstwa albo zatajenia prawdy znaczenie mającej a dla mnie niemiłej, nie będzie żadnego pobłażania! Na ile czas będzie mi pozwalał, wysłucham wszelkich dorad i przedłożeń od każdego, i rozważę je bez uprzedzenia. Z drugiej jednak strony, kiedy postanowienie i rozstrzygnięcie już poweźmę i rozkaz wydam, posłuszeństwa wymagać będę pełnego, co chyba w wojsku nie dziwne. Tyle o prawidłach mojej z wami współpracy; do wojennych rzeczy przechodzę: Zamysł mój najszerzy zgodny jest mniej więcej z radą atamana Lonowego, i działać myślę giętko, stosownie do powodzeń i niepowodzeń bieżących, jak najdłużej trzymając wroga w niepewności co do rozmiaru naszych sił. Przez jeden dzień wcale do walki nie wejdziemy, żeby Syrbów trochę uspić i wprawić w przekonanie, że się ich boimy, ale już dnia drugiego zaczniemy w pełni wykorzystywać naszą znaczną przewagę w ilości i jakości broni miotającej, na co do końca pozwalać nam będzie ogromny zapas strzał i bełtów. Pana pułkowego Przy-tarczyka proszę, by dziś jeszcze pobrał z naszych taborów w pożyczkę sto dwadzieścia

„małych koniuszynek" i czterdzieści kusz ciężkich. Daję do nich na razie, panie pułkowy, dziesięć tysięcy bełtów lżejszych i trzy tysiące ciężkich oraz tysiąc płonących, i proszę, byście panowie oficerowie wybrali z jazdy swojej najlepszych strzelców i jutro z rana zaczęli z nimi ćwiczyć posługiwanie się tymi narzędziami i z siodła, i z ukrycia w spieszeniu. Naszych panów dowódców proszę, by w sotniach sprawdzili, czy nie mają kogoś władającego syrbską mową, a jakby się taki znalazł, to będzie odtąd przy pisarzu Grupy Sotni. Na pisarza zaś powołuję pana dziesiętnika Poponnika, który niechaj sobie jeszcze dwóch ludzi dobierze, biegłych w pisaniu i przerysowywaniu kawałków ziemiorysów, i z nimi w tym namiocie przy mnie śpi i pracuje. Wszystkie rozkazy na piśmie mają być pieczętowane wyraziście nową pieczęcią przez sotnika Tuzguna przywiezioną, a podpisane przeze mnie, jeśli rozkaz zawierają bitewny, albo też przez pana Poponnika, jeśli czego innego dotyczą. Powołuję służbę gońców konnych, do której Rada Wojska Pomocniczego ma mi wybrać kobiety i piętnastolatków pćci obojga najlepszych w jeździe konnej, o czabańskich umiejętnościach, w liczbie siedemdziesięciu. Ich namioty już jutro o świcie mają stanąć w pobliżu mojego, a dopilnuje tego sotnik Staśko Truba. Słucham teraz pytań i wątpliwości; czy są?

* * *

W ostatnim dniu lipca, pod wieczór, gdy zelżał upał, kapelan Matwiej Janeńko odprawił przy skromnym polowym ołtarzu nabożeństwo, na które przybyła ogromna większość górnopyruckiego wojska, i po którym rozchodziła się zawiedziona tym, że ksiądz nie wygłosił żadnego kazania. Później kapłan wytłumaczył się z tego przed młodym atamanem nakaźnym:

— Jakbym nawoływał do miłosierdzia nad złotojezdnyimi, toby mnie wyśmiano, a jakbym głośno czy milcząco na zemstę przyzwał, sprzeniewierzyłbym się nauce Chrystusowej; to już wolałem nic nie mówić.

Pierwszego sierpnia nadeszła chorągiew szkiperyjska, tak wygłodzona, że jeźdźcy z wycieńczenia zsuwali się z koni. Znali mowę syrbską, więc łysy Iwanko rozmawiał z nimi krótko przez tłumacza (znaleziono takowego w jednej z wioskowych sotni, a był nim wyzwolieniec chrowackiego pochodzenia) i wyjaśnił im z wielkim trudem, że choć rozumie ich uczucia do swoich ciemężycieli, to jednak żadną miarą do walki z Syrbami ich nic użyje, bo stan ich wymaga odkarmienia i dłuższego dochodzenia do siebie, a gdy to nastąpi, będzie już po wojnie. Zaprowadzono więc Szkiperów na przeciwległy koniec łańcucha obozowisk i polecono kucharzującym półsotniom dopilnować, żeby się nie pochorowali ze zbyt gwałtownego zaspokożenia głodu.

Drugiego sierpnia, wczesnie rano, wyszły z Pyrutowego łożyska pierwsze kompanie Złotej Jazdy i wypuściwszy promieniście do przodu podjazdy rozpoznawcze ruszyły, tak jak się spodziewano, w kierunku na Koniuszynę, nie tylko nie napotykając żadnej obrony, lecz nawet nie dostrzegając ani jednego ponestrzańskiego żołnierza. Do wieczora już całe dwa pułki połyskującej złotem konnicy maszerowały drogą, przy której każde wzniesienie, dolina, jar, młodnik i grabina, niemal każde drzewo i krzak znane były dokładnie sotniom Górnopyruckiej Gromady.

Trzeciego sierpnia, przed świtem, gdy dopiero zaczynało dzień, Druga Atamanska i dwie sotnie wioskowe podeszły cicho przez młodniki na tyły drugiego z syrbskich pułków i nagłym uderzeniem spadły na jego tabory, niszcząc je doszczętnie i wycinając do nogi ich ochronę. Za odchodzącymi cwałem sotniami wyszedł z opóźnieniem mocny pościg i został po ćwierci godziny wciągnięty w szeroki parów, i tam zasypany z boków tak gęstą ulewą strzał i bełtów, że tylko około trzydziestu złotojezdnych zdążyło zawrócić z powrotem ku swemu obozowi. Tych po chwili dopadła Druga Sotnia, która zdążyła już nieco odpocząć w ukryciu po

pozorowanej ucieczce. Staško Truba tylko na dwóch pozłaczanych hełmach wypróbował z dobrym skutkiem wgrzyźliwość swej umiłowanej szamszyrki, a potem pracował już jej piórem, to ucinając w łokciach ręce uniesione do ciosu pałaszem, to tnąc między nakarczek hełmu a kołnierz zbroi, to znów wykonując swój znany, leciutki i zarazem groźny budzący cios samym końcem pióra przez obydwójce oczu. W tym pierwszym, przedrannym starciu wojsk padło, wliczając taborowych, prawie dwustu Syrbów, a straty sotni wyniosły trzech rannych.

Tego samego dnia, tuż po południu, w miejscu starannie wybranym trzy ukryte sotnie i stu dwudziestu spieszonych żołnierzy sańsko-wysołockich wykonało zdalne uderzenie na tabory czołowego ze złotojezdnych pułków. Syrbowie, nauczeni nocnym doświadczeniem, osłaniali oddziałem jeźdźców swe zaopatrzenie, pomieszczone na nielicznych skrzyniastych wozach i o wiele liczniejszych powłokach, sporządzonych z żerdzi i powrozów, lecz huraganowy ostrzał z łuków izbeckich przerzedził i rozproszył tę osłonę, a natychmiast potem trzysta płonących bełtów utkwili równocześnie w taborowych sprzętach, zapalając je w okamgnieniu. Jeszcze przez parę chwil ukryci łucznicy uniemożliwiali wrogowi próby ratowania płonącego dobytku, a potem cała grupa wycofała się z zarośli, odebrała konie od konowodów i oddaliła się galopem do swoich obozowisk.

W tym samym czasie trzeci — licząc według kolejności wyjścia z gór — pułk Złotej Jazdy podążał śladem drugiego przez nikogo nie niepokojony, zaś czwarty, ledwie wyszedłszy na zdeptany już szlak, stracił tabory dokładnie w taki sam sposób jak pierwszy.

Tuż przed zapadnięciem zmroku przyszła kolej i na pułk dotąd nie napastowany, ale tym razem celem uderzenia z łuków i kusz nie były tabory, bo te zdążono ukryć w leszczynowym zagajniku, lecz sami złotojezdni, zajęci rozbijaniem obozu.

Tak więc w dniu trzecim sierpnia — pierwszym dniu walk — potyskujący złotem najeźdźcy stracili około trzystu ludzi, trzy czwarte zapasów żywności i ziarna dla koni, podobną część polowych sprzętów kuchennych, i wreszcie nie znaną liczbę ciężkiej broni miotającej oraz strzał i bełtów.

Młody ataman nakażny nie przywiązywał do tych strat wroga większego znaczenia i na późno wieczornej odprawie dowódców przestrzegał przed niewczesnym zadowoleniem:

— Powodów do radości jeszcze nie widzę. Żywić się będą świeżą koniną, odczuwając co najwyżej niedostatek soli. Brak paszy pożywej umniejszy siłę ich koni dopiero za parę dni. Strzały im niepotrzebne, bo i tak łuki by odłożyli widząc ich nieprzydatność wobec donośności naszych. Ile kusz wieźli — nie wiemy, lecz gdyby ich mieli dużo i bełtów pod dostatkiem, to biliby z nich, choćby na ślepo, w krzaki, z których nasze strzały ich raziły. Głównym więc naszym powodzeniem dzisiejszym nie są straty wrogowi zadane, lecz upewnienie się, że nasz łuk izbecki przebija na trzysta kroków złotoguze pancerze, i jeśli szyc bardzo gęsto, to Syrb nie ukryty spod naszych strzał zdrowy nie wyjdzie. Martwi mnie, że nie udało się dostrzec niczego, po czym moglibyśmy ich dowódców rozpoznawać i celnym strzelaniem przetrzebiać. Na jutro przewiduję dzień trudny, bo przecież oni nie będą się biernie przyglądać, jak ich od naszego zdalnego działania ubywa, i zrobią co możliwe, żeby się z nami w zwarcich spotkać. My zaś, panowie sotnicy i dziesiątnicy, postaramy się nadal walki z bliska unikać, i zarazem rozpoczniemy pracę nad stanem ich ducha z pomocą bełtów płonących, jak nam to sotnik Tuzgun doradzał.

Zgodnie z tym przewidywaniem, w czwartym dniu sierpnia Złota Jazda zaprzestała marszu do przodu i wyteżyła wszystkie siły dla narzucenia sotniom starć bezpośrednich. Dziesięć dwusetkowych oddziałów prawie przez cały dzień ponawiało wściekłe szarże na pięciu kierunkach wymierzonych w obozowiska i taborowisko Gromady Sotni. Zjadłość tych uderzeń budziła zdumienie ponestrzańskich żołnierzy, kiedy bowiem jeden szereg jeźdźców

zawracał zdziękowany zamiecią strzał i płonących bełtów, wyłaniała się zza jego pleców następna ława połyskliwych wojowników, by przelecieć kilkadziesiąt metrów i załamać się jak poprzednia, zaś całe odrzucone oddziały przegrupowywały się w zaroślach wśród jęków i wycia tych, co umierali w płonących zbrojach i z płonącymi bełtami w ciele, i w nowym szyku, coraz mniej liczne, szły do kolejnego natarcia. Gdy wydawało się, że te rozpaczliwe i beznadziejne szarże nie dadzą nic prócz przeogromnych strat, na skrajnym z wybranych kierunków, wycelowanym w obozowiska półsotni pomocniczych i w tabory, uzyskali Syrbowie powodzenie. Setka złotej konnicy niepostrzeżenie zatoczyła osłoniętymi lasem drogami szerokie półkole i wyszła nagle na tyły Ósmej Sotni, odpierającej w spieszaniu kolejne natarcie od czoła.

Wroga zbliżającego się od tyłu dostrzeżono dość późno, ale zdążyła sotnia dosiąść koni i zażądać pomocy postaniem w niebo paru czerwono świecących strzał. Odwodowe sotnie, Dwudziesta Druga i Trzynasta, przybyły w ćwierć godziny, lecz za ten czas naciskana wściekle z dwóch stron Ósma straciła siedemnastu zabitych i trzydziestu rannych. Przemieszanie walczących uniemożliwiło odwodowi użycie łuków z biegu i zmusiło do walki bezładnej, która skończyła się wprawdzie zupełnym wycięciem przeciwnika, ale za cenę dość wysoką: od dziryków i pałaszy zginęło jeszcze pięciu żołnierzy, a piętnastu odniosło rany, przeważnie ciężkie.

Walki tego krwawego dnia ustały późnym popołudniem, bo wtedy dopiero zabrakło Syrbom siły i woli do ponawiania szaleńczych uderzeń, a ich wyczerpanie było tak wielkie, że nie zbierali z pola konających od ran i poparzeń, i ich jęki, powoli słabnące, słychać było jeszcze przez wiele godzin.

Wieczorna odprawa w atamańskim namiocie zaczęła się bez nakaźnego, który nie powrócił jeszcze z obozowisk kobiecych, gdzie dowiadywał się o stanie rannych i sprawdzał, czy otoczono ich należyłą opieką. Pisarz Poponnik i dwaj jego pomocnicy wypytywali dokładnie sotników i dziesiętników o straty wroga i sporządzali pełne obliczenie, które dziesiętnik-pisarz przedstawił Łysemu Iwance, gdy tylko ten wszedł do namiotu i usiadł za składanym stołem:

— Panie atamanie, dziś wyłączonych zostało z dalszej walki koło ośmiuset złotojezdnych, co razem z wczorajszymi daje tysiąc i stu. Zostało więc Syrbów mniej więcej dwa tysiące i dziewięciuset, z czego rannych, lecz do boju jeszcze zdolnych liczyć można trzystu do czterystu. Nasze straty znasz już w pełni.

— Dzięki! — odpowiedział Łysy Iwanko. — Tych strat naszych wypadło za dużo przez to, że nie mając już z kogo ubezpieczenia i rozpoznania wystawić od północowschodu, niczego nie wymyśliłem, a mogłem przecież wziąć do tego lekką część jazdy pułkowego Przytarczyka. Zawiodłem.

— Mylisz się co do tego, panie atamanie nakaźny — sprzeciwił się pułkowy. — Po pierwsze, biorąc moich ludzi zdradziłbyś naszą tu obecność, co z całością twojego zamiaru byłoby sprzeczne i mogłoby zaowocować znacznym powiększeniem strat w bitwie końcowej. Po wtóre zaś, moja rozpoznawcza jazda ani by okrążających Syrbów nie powstrzymała, bo na to za lekka, ani odwodu na czas by nie powiadomiła, bo strzał świecących my nie mamy, a waszych zapomniałeś nam przydzielić, panie sotniku. Duchem Świętym nie będąc, lepiej dzisiejszymi walkami pokierować nie mogłeś, więc się nie wiń. Myślę zresztą, że przystępując do bitew ze Złotą Jazdą wszyscy, ale to wszyscy liczyliśmy się ze stratami nieporównanie większymi.

— Dobrze, nie roztrząsajmy teraz dalej tej sprawy, i mówmy o jutrze — powiedział po namyśle Łysy Iwanko. — Podług mnie, jesteśmy już zdolni do bitwy końcowej, lecz do pierwszego z dwu miejsc po temu sposobnych zostało kilometrów prawie dwadzieścia. Chodzi

teraz o to, żeby wróg zechciał tam pójść, albo inaczej — żeby się nie rozmyślił co do zamiaru wzięcia Koniuszyny. Trzeba więc Syrbów przekonać, że mają jeszcze dość sił do dalszego marszu, i że my nie będziemy w stanie ich zatrzymać. Nie wiedzą, że jest z nami ciężka jazda, i powinni się o tym dowiedzieć dopiero na pół godziny przed swoją zagładą. Wiedzą, że powodzenia dwóch dni zawdzięczamy łukom i kuszom, ale widzieli też, że bełtami i strzałami szastaliśmy niestychanie rozrzutnie, nie mogą zaś mieć pojęcia, iż przy naszych zapasach mogliśmy sobie na to całkiem swobodnie pozwolić. Z tych powodów jutro będziemy używać broni miotającej bardzo oszczędnie i tak się zachowywać, jakbyśmy się walki z bliska nadal bali, a wczorajsze i dzisiejsze przewagi już utracili. To powinno skłonić tego... jak mu tam... Borbanovicia, jeśli wśród nich jest, do żwawego marszu, w którym będziemy przeszkadzać słabowicie i nieśmiało, tak że na wieczór wszystkie cztery pułki staną w okolicy, którą na naszych ziemiorysach obwiedzioną mamy czerwonym kółkiem i oznaczoną „PB 1”, co się wyklada „pole bitewne pierwsze”. Gdy się tam na nocleg rozłożą, pośpią niedługo, bo koło północy zaczniemy ich nękać ze wszystkich sił, a potem do samego południa kąsać z użyciem wszystkich łuków i kusz, jakie posiadamy, nie dając żadnego wytchnienia. W tym czasie chorągiew pana pułkowego Przytarczyka podejździe skrycie młodym lasem na stanowisko wyjściowe do szarzy przetamującej, do której sotnie postarają się złotojezdnych jak najlepiej pod grupować i ustawić, i którą do ostatnich końskich kroków ostonią możliwie najgęstszym szyciem z łuków i kusz. Uderzenia jazdy sańsko-wysołockiej udręczeni dwunastoma godzinami naszych bezustannych napadów Syrbowie żadną miarą nie wytrzymają; pójdą w rozsypkę i pełny bezład, a wtedy wytrzymałość i zwrotność naszych koni pozwoli ich wyciąć do reszty w pół godziny. Takie są moje zamiary i taki przewiduję bieg wypadków. Gdyby się jednak jutro wróg zachował inaczej niż myślę, to odpowiem działaniem wzmocnionego odwodu, w którym przynajmniej do południa pozostawać będzie aż pięć sotni. Zadanie trudne powierzam na jutro półsotniom pomocniczym: gdy my w ruchu przeważnie nie nazbyt męczącym opiekować się będziemy przemarszem Złotej Jazdy, one muszą przenieść wszystkie nasze obozy na drugie — z pominięciem pierwszych — obozowiska zapasowe, a też pomóc znakowi pana pułkowego w przeprowadzce na wyznaczone mu, nowe miejsce. Przez ostatnie dni pan pisarz Poponnik i jego pomocnicy nie próżnowali, tak że gotowa jest znaczna liczba przerysowanych kart i dla sotni bojowych, i dla kobiet, i dla pana Przytarczyka. Pobierzecie je za chwilę, panowie dowódcy, a resztę rozwiozą gońcy tej nocy do rąk właściwych. Przez tychże dzielnych gońców płci obojga płynąć będą, jak i dotąd, rozkazy moje bieżące i szczegółowe. Teraz, panowie starszyzna, o wszystko, co wam do głowy przychodzi w sprawach powiedzianych, pytam z ciekawością i o śmiałość proszę.

— Mnie do łba przychodzi — odezwał się sotnik Maznycia — że dzięki panu atamanowi młodemu wojnę skończymy dwakroć prędzej niż myśleliśmy, za co już pojutrze wieczorem trzeba go będzie wypodrzucać należycie.

— Pochlebstw zabroniłem na pierwszej odprawie! — surowo przypomniał łusy Iwanko.

— A ja chciałbym wiedzieć — rozległ się z tyłu wypełniony troską i smutkiem głos dowódcy Szóstej Sotni, dziesiątnika Skoryny — czy przy rannych jest ksiądz Janeńko?

— Już przy ich znoszeniu z miejsca bitewnego był obecny, i nie odstępował ich ani na chwilę.

Nie było więcej pytań ani uwag. Dowódcy żywo wychodzili z namiotu, wsiadali na konie i odjeżdżali do swych sotni w towarzystwie nakazanej przez atamana Lonowego ochrony.

O północy wysunięte ubezpieczenie od strony północno-wschodniej dostrzegło na tym kierunku wznoszące się w górę i opadające z powrotem światła, odległe i nikłe jak iskierki, białe, czerwone i zielone na przemian. Czujka szybko na nie odpowiedziała, śląc w

rozwieżdzone niebo świecące strzały w tych samych barwach i kolejności. Ta rozmowa świetlnych znaków powtórzyła się jeszcze kilkakrotnie, a potem przebiło się przez wszechobecną mowę świerszczy dudnienie kopyt i po paru chwilach wyłoniła się z mroku i spotkała z dziesiątką ubezpieczenia postaniecka jedenastka. Jej dowódca powiedział ze złością:

— Już dobre pięć godzin szukamy was i błądzimy, choć zajechaliśmy tam, dokąd przykazano!

— Widać przyjęto w obozie atamańskim, że „złoci” za ten czas dalej zajadą — odrzekł starszy nad czujką. — Chcecie do naszego nakaźnego? Długo teraz nie śpi; zacznie się rozwidniać, to już będzie na nogach.

— Przestań, panie żołnierzu, głupiego odgrywać! Powiedziałem, że pięć godzin was szukaliśmy, więc od godziny powinniśmy być w drodze powrotnej. Dawaj przewodnika, niech prowadzi!

Łysy Iwanko w owych dniach nie znał zmęczenia, czemu się sam nie mógł nadziwić, dlatego — choć zbudzony ledwie zasnął — kazał warcie zapalić świece i przyjął postać w pełni uprzejmie.

— Panie atamanie nakaźny, to są powiadomienia wojenne Izby Przyatamańskiej; mam przypomnieć o sprawdzeniu pieczęci — rzekł przybyły z tą obojętnością, jaka cechuje wytrawnych postaćów. — A stąd mam dostać meldunek o położeniu tutejszym.

— Koniecznie na papierze?

— Jeśli krótki, potrafię zapamiętać i powtórzyć. Jeśli dłuższy, to trzeba na piśmie.

— Krótki, panie żołnierzu postaniecki, więc zapamiętaj: „Złota Jazda złamana. W dniu szóstym sierpnia będzie zniesiona”.

— Szóstym? — upewnił się postaniec.

— Szóstym.

— Zapamiętałem. Pozwól odejść, panie sotniku.

— Słyszałem, że i nocami pędzicie... Już ruszasz?

— Jeśli wolno.

— No, to równej drogi!

— Dzięki, panie sotniku!

Iwanko rzucił okiem na wiśniową pieczęć, rozłamał ją, rozłożył i wygładził na stole płat papieru, i czytał w ciszy:

Obóz atamański Żowty Horb.

Przyatamańska Izba Wojenna

Powiadomienia wojenne z dnia 3 sierpnia roku 2263 nad ranem.

1. *Wojsko sprzymierzeńcze z Poboża z pomocą piechoty tirkijskiej utrzymało przeprawę u ujścia Pyrutu. Sprzęt przeprawowy wrogowi zniszczono i zadano znaczne straty.*

2. *Piętnaście niepełnych sotni przeprawiło się przez Pyrut w średnim jego biegu, rozłamało na dwie części maszerujące prawym brzegiem wojska brankowe i pobiło je po kolei. Poległo ośmiuset Straży Dimukratii, wzięto jedenaście tysięcy jeńców, głównie z Limbian południowych.*

3. *W dolinie limbiańskiej rzeki Sirit ataman nakaźny Izaj Nene-chajko i ataman nakaźny Semen Matoczyna sześcioma sotniami pobożańskimi i Wielką Sotnią Niskołowyńską znieśli do nogi dwa pułki Straży Dimukratii i spowodowali głód u siedmiu tysięcy ciężkich wojsk z Elasu i Byłharu. Sami powrócili z sotniami w dobrym stanie do naszych zgrupowań nad Wielkim Łukiem Pyrutowym.*

4. *Dwie chorągwie ciężkiej jazdy księcia sańsko-wysokockiego, Rzozy-Siewnego, przybyły nad Wielki Łuk.*

*Za Przyatamańska Izbę Wojenną
Taras Sidlarenko.*

Miejsce nazwane „polem bitewnym pierwszym”, wybrane przez sotników Hołoda i Trubę jeszcze podczas rozpoznawania okolicy trzydniowymi galopadami Pierwszej i Drugiej Sotni pomiędzy Pyrutem i Nestrem na jedno z dwóch odpowiednich do stoczenia bitwy rozstrzygającej, było płaską połacią krzewostepu ograniczoną od północy lesistą krawędzią niewydatnego płaskowyzu, a od południa rozległymi obszarami mieszanych młodników. Od zachodu prowadziło tam pomiędzy wzniesieniami i wzgórzami łąkowo-krzewiaste wejście dwustumetrowej szerokości, ku wschodowi zaś, w kierunku koryta Nestrowego, wiodło wyjście podobnych rozmiarów i ukształtowania. Na samym środku tej owalnej, płaskiej niziny, liczącej po dłuższej osi około dwóch kilometrów, a po krótszej o ćwierć mniej, zlewały się dwa niktłe strumyki, których połączony nurt, nadal wąty i wąski, zawracał w młodych lasach na południe, ku Pyrutowi, nie próbując przebić się do znacznie bliższego Nestra. Wokół miejsca spotkania wątych strużek rosły pokaźne kępy wierzb, topoli, osik i wiązów, i wśród nich właśnie rozmieściła Złota Jazda ocalałe resztki swych taborów, kiedy dotarła tam piątego sierpnia po zachodzie słońca. Ukryte na skrajach lasów i zarośli grupki rozpoznawcze Górnopyruckiej Gromady Sotni podglądały aż do zapadnięcia ciemności, jak wokół osłoniętego taborowiska wyrasta blisko trzysta syrbskich namiotów, jak toczy się tam wieczorna obozowa krzątania, jak wreszcie w połowie odległości od obozu do skrajów leśnego obramowania doliny urządzają sobie złotojezdni wśród łąkowych kępek krzaków słabo ukryte stanowiska ubezpieczeń.

W tym samym, wieczornym czasie, w lasach okalających od północy i południa pole nadchodzącej bitwy, trwał rozpoczęty jeszcze przed zachodem słońca i nie ustający mimo gęstniejącego mroku, spokojny i powolny ruch wojsk podlegających młodemu atamanowi nakażnemu. Szły nie tylko podzielone na mniejsze oddziały sotnie bojowe ze zmianami wierzchowców luźnych, lecz także liczne półsotnie kobiece i kobieco-dziecięce, prowadzące tabuny juczych mierzynów obładowanych skórzanymi worami i bukłakami. Te pomocnicze oddziały miały według dowódczego rozkazu zapewnić walczącym sotniom na skrajach lasów szybkie zmiany koni, uzupełnianie w biegu strzał i bełtów, napełnianie manierek utrzymaną w chłodzie, źródlaną wodą, opatrywanie rannych, a także osłanianie ostrzałem dziesiątek podjeżdżających do lasu dla zmiany wierzchowców lub na krótką chwilę odpoczynku.

I również w tym samym czasie, w namiocie dowódcy ciężkiej chorągwi sańsko-wysokockiej, pochylali się nad rozłożonymi ziemiorysami pułkowy Wit Przytarczyk, dowódcy jego rot i podrot oraz młody ataman nakażny, który wyjaśniał szczegóły swojego „rozkazu do bitwy”:

— Wyruszyście, panowie oficerowie, na trzy godziny przed południem i pomaszerujecie podług tej oto krechy niebieskiej. Zatrzymacie się tutaj — Iwanko wskazał palcem zielone kółko na karcie — to jest na gołym grzbiecie wzgórza porośniętego niegęstym lasem grabowym, i tu się rozdzielicie na rotę, które przejdą osobno po około siedemset metrów do tych tutaj trzech zatok łąkowych, przedzielonych jezorami lasu wchodzącymi na nasze pole. Tak mierzcie, żeby się tam znaleźć na jakie ćwierć godziny po dokładnym południu, z błędem w czasie niewielkim, i spokojnie uszykować do wyjścia w bój. Ja będę z Pierwszą Sotnią, jako odwodową, niedaleko od waszego skrzydła prawego, dwustumetrowym pasem lasu oddzielony, lecz nieco wyżej, żeby mieć jaki taki ogląd wszystkiego. W pół godziny od południa, może parę chwil później, każę wystrzelić na raz w górę pięćdziesiąt strzał zielono świecących, czego

przegapić nie sposób. Wtedy wyjdziecie, tworząc na równinie szyk podobny do klina, nie nazbyt gęsty. Na sto metrów przed spotkaniem z wrogiem spuścicie bełty z „koniuszynek” mierząc tam, gdzie celuje ostrze rzezonego klina, i natychmiast kusze odrzucicie w trawę, odtroczyście wasze piki potężne, zgęście szyk, i już zwyczajnie, całkiem po waszemu, wejdziecie w Syrbów jak dzida w siano, by potem szablą, koncerzem, czekaniem i czym tylko lubicie siano to roztrząsnąć po polu. Od chwili waszego wyjścia z osłony leśnej, i prawie do samego styku z wrogiem, prowadzony będzie skośnie, z dwóch kierunków, zgęszczony ostrzał kuszowy, któremu wasze bełtów spuszczenie dołoży mocy na chwilę przed zwarem, nie pozwalając złotojezdnym na ustawienie żadnego przyzwoitego szyku dla przyjęcia ciosu. Na koniec jeszcze to, panowie oficerowie, że na przewodników i do pomocy przydzielone macie trzy dziesiątki piętnastoletnich zwiadowców, którzy dobrze znają drogę waszego przemarszu, bo sami ją w lasach wyszukali i wytyczyli. Ja mam tyle; czy zostaje coś niejasnego?

Wit Przytarczyk uśmiechnął się szeroko, aż płomyki świec odbiły się od bieli jego zębów, i powiedział z nutą żartu w głosie:

— Jest, Iwanko, panie sotniku, jedna poważna niejasność... Otóż ja od paru dni nabieram przekonania, że ty przynajmniej tysiącem ludzi i przynajmniej przez pięć lat musiałeś w bitwach dowodzić, a wiem, że tak nie było. Może ty więc żyjesz drugi raz, a w życiu poprzednim byłeś wielkim wodzem?

— Wstrzymaj się jeszcze z pochwałą, panie pułkowie; przyjmę ją, kiedy ostatni z rzeźników złotojezdnych na łące przez nas wybranej w trawie zostanie leżeć. Przyznaję się tylko do nadziei, że stanie się tak jeszcze przed jutrzejszym słońca zejściem.

— Ja zaś — włączył się rotmistrz Gabroł Ścigan — nie bardzo żartobliwe mam pytanie... Nikt nic o tym nie mówi, ale pojmuję, że wy ze Złotej Jazdy jeńców nie bierzecie. Czy to jest rozkaz?

Łtysy sotnik spoważniał i odpowiedział po krótkim namyśle:

— Ani dla was, ani dla nas. My jednak uważamy, że jeńca z żołnierzy się bierze, a złotojezdnych, choć w mundurach, za wojsko uznać nie możemy. Słyszałeś chyba, panie rotmistrzu, jak okrutnie braci naszych zagórskich wymordowali bez żadnej przyczyny... Dla nas są oni zbrodniarzami przebranymi za wojsko. Wam wolno myśleć inaczej; rozkazu, jak rzekłem, niczyjego nie ma w tej rzeczy. Mówił do mnie wczoraj kapelan Janeńko: „Syrbowie też ludzie”. Odpowiedziałem, że Syrbowie — na pewno, lecz ci potyskliwi, z branki ani z żadnego przymusu złotych hełmów nie wkładali; każdy z nich z własnej woli wybrał na życie drogę rzeźniczą, katowską, a przez to i jej koniec.

Na obrzeżach pola nadchodzącej walki, przy samych skrajach lasów, w piętnastu miejscach położonych naprzeciw piętnastu czujek ubezpieczających syrbski obóz, ustawiły się cicho niedługo po północy dziesiątki jazdy ponestrzańskiej. Nieco później wzniosło się ku niebu, obsypanemu iskierkami gwiazd, kilka zielonych światełek, i w tej samej chwili dziesiątki ruszyły galopem ku stanowiskom czujek. Opór spieszonych, porażonych strachem Syrbów był znikomy; w półćwierć godziny obóz był już bez ubezpieczeń, a siły obozujących pomniejszone o półtorej setki ludzi. Gdy dziesiątki wracały po wykonaniu zadania na skraj lasu, mijały się z wychodzącymi dośrodkowo większymi oddziałami, które zbliżyły się bez pośpiechu na dwieście kroków do syrbskich namiotów i ostrzelały je gęsto zapalającymi bełtami. Obóz stanął w płomieniach, a żołnierze ponestrzańscy raz po raz napinali „małe koniuszynki” i mierzyli starannie do oświetlonych pożarem, beładnie biegających złotojezdnych. Nie wiadomo, czy Syrbowie bali się walki w ciemności, czy ich konie nie były do tego przyuczone, dość że nie podjęli żadnej próby odpowiedzi na nocne uderzenie. Otoczyli swe dogasające noclegowisko kołem spieszonych, którzy zalegli w trawach i ustawili przed sobą pochylony ku

przodowi, niski i niegęsty płot dziurytów. Ponestrzanie nie zamierzali przekraczać tego koliska; powrócili na swoje skraje lasów, skąd tylko od czasu do czasu wyjeżdżała rozsypana pięćdziesiątka, by sprawdzać z bliższej odległości, czy wróg nie podejmuje jakiegoś znaczącego działania.

Kiedy się rozwidniło, tok wydarzeń uległ szybkiej zmianie. Syrbowie zwinęli obronne koło i rozbiegli się po wierzbach u zbiegu strumieni, skąd zaczęli się niebawem wyłaniać konno, w szyku luźnych czworoboków, liczących mniej więcej po stu jeźdźców. Dziesięć takich kolumn stanęło po południowej stronie zniszczonego namiotowiska, a osiem po północnej. Dość długo, może ćwierć godziny, potyskliwa konnica stała w miejscu, wyraźnie zapraszając przeciwnika do bitwy, lecz łąkowa dolina była ze wszystkich stron pusta aż do leśnych skrajów. Potem trzy z kompanii skierowanych na południe ruszyły przed siebie wolnym kłusem, i gdy zbliżyły się do młodego lasu na sto pięćdziesiąt metrów, dostały huraganowy i zarazem celny ostrzał z półkusz tak od czoła, jak i skośnie z boków. Co najmniej pięćdziesięciu jeźdźców w jednej chwili spadło z koni, lecz nie zatrzymało to Syrbów, a przeciwnie — skłoniło do przejścia w galop. Gdy przelecieli następnych pięćdziesiąt metrów, zasyczały złowieszczo płonące bełty i rozległy się nieuchronne wrzaski bólu kilkadziesiątu trafionych, u których rozrastały się na zbrojach tryskające iskrami ogniska. Równocześnie zgęstniała ulewa strzał, już mniej celnych, gdyż ukryci wśród drzew i krzaków żołnierze odrzucili od łuków dopinane kuszone łoża, by zwiększyć częstość szycia kosztem celności. Ale i to nie powstrzymało natarcia; pozostała jeszcze w siodłach niecała setka złotojeźdźców parła nadal przed siebie, rzednąc z każdym metrem przebytej drogi, aż wreszcie ostatnich pięćdziesięciu, a może już tylko czterdziestu paru Syrbów wpadło do lasu, gdzie czekała ich w półmroku walka jeden przeciw trzem, i gdzie w parę chwil zleciał z konia ostatni z nich.

Do takiego samego uderzenia pchnęli swych podwładnych syrbscy dowódcy na północnym kierunku, i podobnego doznali tam przyjęcia złotojeźdźców, ale że były to kampanie mniej zajadłe, więc zawróciły nie osiągając skraju lasu, dzięki czemu stu spośród trzystu najjeźdźców wojowników wyszło z tego natarcia z życiem.

Po wzejściu słońca przystąpiły sotnie do tej części zadania, która w atamańskim „rozkazie do bitwy” nazwana została „umiarkowaną, bezustanną walką w ruchu, możliwie stroniącą od zwarć”, i miała trwać aż do chwili rozstrzygnięcia, czyli ponad osiem godzin. Polegała na tym, że lekkojeźdźcy Ponestrzanie wypadali na równinę ze swych urządzonych wokół niej leśnych stanowisk oddziałami różnej siły — dziesiątkami, dwudziestkami, pięćdziesiątkami i całymi sotniami, zbliżali się rozsypanymi ławami do kompanii złotojeźdźców na odległość skutecznego szycia z łuku, celnie zasypywali przeciwnika pierzastymi strzałami, i bądź to od razu zawracali, bądź pędzili ku innym syrbskim szykom z takim samym zdalnym uderzeniem. Wydawać się mogło, że nie ma w tych wypadach żadnego przemyślanego porządku i że nikt całością tych działań nie kieruje, a jednak każdy pościg złotojeźdźców kompanii za oddziałem ponestrzańskim dostawał się wkrótce pod boczny ostrzał, wykonywany sprawnie i dokładnie przez nowe, wypadające z lasu dziesiątki lub półsotnie, zaś większe zbliżenie się Syrbów do obrzeży doliny wystawiało ich na porażające nawały bełtów płonących. Rozkręcała się coraz żywiej ta hulanka śmierci, w której jedni tancerze — lekkie oddziały ponestrzańskie — kręcili się wciąż tak samo żwawo, a drudzy — pancerne syrbskie kompanie — wykonywali zwroty coraz wolniejsze i niezgrabne. Żołnierze sotni zmieniali na skrajach lasów swe mierzynowate konie przeważnie co ćwierć godziny galopowania, pili i napełniali manierki chłodną wodą, urządzali sobie chwile wytchnienia, a nawet posilali się wędzonym mięsem i sucharami. Byli bez nakryć głowy, gdyż okazało się dwa dni wcześniej, że hełmy-uszanki nie wytrzymują ciosu ciężkim pałaszem, a tylko sprawiają ściekanie potu do oczu, więc łysy Iwanko nakazał

zostawić je w namiotach. Nastrój wojska, od początku nie pozostawiający nic do życzenia, jeszcze się z każdą chwilą polepszał, było bowiem oczywiste, że nieporadność syrbskich dowódców i wyćwiczone a skostniałe, pozbawione wszelkiej giętkości sposoby walki Złotej Jazdy prowadzą ją prosto do nieuchronnej zagłady.

Tymczasem pancerni w złotych hełmach, świadomi swej bezradności wobec doskonałych łuków i kusz przeciwnika oraz jego nieprzebranych zapasów bełtów i strzał, usiłowali za wszelką cenę narzucić Ponestrzanom zwarcia bezpośrednie i — jeśli nie byli całkiem bezmyślni — musieli tracić nadzieję, że im się to uda. Ich konie, obciążone siodłami rozmiaru zbędnie wielkiego i ciężkobrajnymi jeźdźcami, żywione od dwóch dni tylko łykowatą, zwiędłą trawą, stawały się coraz wolniejsze i coraz częściej padały w galopie, co pozwalało sotniom na wypadki i zbliżenia zuchwałe, niekiedy wręcz zawadiackie. Jednak lekceważenie wroga, choćby słabego, lubi się mścić, o czym boleśnie przekonała się pięćdziesiątka z Dwudziestej Pierwszej Sotni. Zbliżyła się ona na sto kroków do grupy trzech kompanii osłaniających od południa skryte w wierzbach, skromne taborowisko, i zamiast ostrzelać złotojezdnych w pędzie, zatrzymała się beztrzesko i szła do przeciwnika tak spokojnie, jakby to były niedzielne ćwiczenia wioskowe, a nie śmiertelna walka. I wtedy zawarczały nagle grube bełty z ciężkich kusz; czterech żołnierzy zginęło w jednej chwili, a sześciu innych, z bardzo ciężkimi ranami, pokładło się na łąkach siodła. Równocześnie jedna ze złotoguzych kompanii ruszyła ostro na porażoną i zmieszaną półsotnię, zbierającą z trawy ciała zabitych, i doszło do pierwszej w tym dniu, nierównej walki z bliska w otwartym polu. Skończyłaby się ona zapewne zgubą całej pięćdziesiątki, gdyby nie ta szczęśliwa okoliczność, że akurat naprzeciw miejsca zdarzenia stała w leśnym skraju odwodowa Druga Atamanska. Wyszła ona z odsieczą osaczonym wyciskając z koni wszystkie siły. Nawet w tak szalonym cwale potrafili atamańscy dość celnie użyć łuków, a potem jeszcze i dwugrotów, którymi z uwagi na niezbyt wielką ich siłę przebijania mierzyli w twarze Syrbów z niezłym skutkiem, i zdążyli na ostatnich metrach biegu dobyć swych farsyjskich szabel. Uderzenie tak piorunujące na tyle zaskoczyło złotojezdnych, że od razu poszli w rozsypkę i ucieczkę, dzięki czemu uwolniona z osaczenia, lekkomyślna półsotnia straciła tylko — wliczając trafionych na początku bełtami — dziewięciu zabitych i jedenastu rannych. Dziesiątnik dowodzący uratowanym oddziałem usłyszał od sotnika Truby jadownicie spokojne słowa:

— Straciłeś po kwiatku na rękawach. Oderwie ci je ataman nakażny, ale osądzić cię pewnie nie zechce i odda to twojemu atamanowi wioskowemu. Ten zaś, jeśli wiem, z łagodności nie słynie.

Na trzy godziny przed południem wznosił się nad lasem od północnej strony łańcuszek zielonych płomyków, a po chwili — dziesięć świateł czerwonych i jeszcze dwa zielone. Ta mowa świecących strzał powiadamiała, że przybył ataman nakażny z Pierwszą Sotnią i przejmuje dowodzenie, że kierujący dotąd działaniami sił ponestrzańskich sotnik Truba ma się co rychlej przed nim stawić, i że odwodowa do tej chwili Druga Atamanska może wejść do walki, bo odwodem staje się przybyła Pierwsza. Staśko zdał sotnię zastępcy i popędził z trójką ochrony obrzeżem doliny zataczając półkole. Odnalazł trawiastą zatokę wrzynającą się skośnie i dość stromo w las, ruszył pod górę, minął stojącą w gotowości Pierwszą Sotnię i powyżej niej zobaczył łysego Iwanę w otoczeniu oddziału gońców konnych, złożonego z młodych kobiet i piętnastolatków obu płci. Iwanko wybawił przyjaciela z rozterki, czy w obecności tego otoczenia zachować się służbowo, czy można swobodnie:

— Poniechaj, Staśko, meldunku przepisowego; zapytam o to tylko, co dla mnie ważne. Ilu zostało Złotej Jazdy?

— Zdrowych będzie jaki tysiąc i dwustu, a ranionych do walki zdolnych koło sześciuset.

— Dobrze słyszę?! Znaczy, że koło tysiąca dziś położyliście; jakim sposobem tak wielu?
— Dwa razy niezmiernie głupio próbowali nas z lasu wykurzyć, i to ich pięć setek ludzi kosztowało. Ale do położonych wliczam też ciężko rannych, co ich Syrbowie nie zbierają; ci w trawach dochodzą.

— A nasze straty?

— Poległych dziewięciu, ranionych jedenastu, z których jeden nie przeżyje.

— A inni? Ciężko?

— Bardzo, lecz wyżyją. Od dziurytów, od grubaśnych bełtów i od pałaszy.

— Syrbowie znużeni?

— Bardziej skołowaceni. Bełtów płonących dość się boją, ale nacierając, i w taki deszcz idą. Gorzej z ich końmi: wyraźnie słabną, w cwale dużo pada. Widać, że dość długo ziarna nie wachały, a trawy tutaj do niczego.

— Jak w sotniach?

— Straty wspomniane sama Dwudziesta Pierwsza poniosła, a to z winy wyłącznej jednego dziesiętnika, któremu trzeba po kwiatku z rękawów oderwać i pod osądzenie postawić. Reszta sotni bez strat, to i w wyborzym nastroju.

— No, a ty sam? Zmęczonyś?

— Niby czym, Iwanko?! Twój „rozkaz do bitwy”, jak dotąd, prawie sam się wypełnia.

— To już wiem wszystko. Dzięki, Staśko, za dziewięć godzin pomyślnej roboty! Jeszcze cztery, i będzie tutaj po wojnie. Teraz musimy pomału i niepostrzeżenie przesuwać sotnie dla osłony uderzenia Przytarczyka, a także wzmocnić zapory na wejściu i wyjściu z doliny, żeby nam podopieczni z niej nie uciekli. Przed samym południem zakręcimy się koło tego, żeby znaczniejszą część złotojezdnych tutaj, bliżej, pod cios doprowadzić. A do ciebie jeszcze prośba taka: niech mi twoja sotnia złapie na arkan jednego całego a rozgarniętego Syrba.

— Dobrze. A po co ci takowy?

— Dzisiaj upewnić się chcę z jego pomocą, że rajca Borbanović został u nas dla ścierwojadów. A po wojnie puści się go wolno, żeby u swoich poświadczył, jak rzetelnie my mordercom wyptacamy należność.

Nic już nie zakłóciło wykonania wyroku, jaki po wystuchaniu opowieści żołnierzy wracających z rozpoznania w Wielkiej Przetęczy milcząco wydała Górnopyrucka Gromada Sotni na Złotą Jazdę, i który zawarty został w przygotowanym przez młodego atamana nakaźnego „rozkazie do bitwy”.

Uderzenie trzech rot ciężkiej konnicy sańsko-wysołockiej rozbiło zmiękczone ulewnym ostrzałem kompanie syrbskie na bezładne, szczątkowe grupki, a szarża nawrotna i te rozniosła na strzępy. Dzieła zagłady dokończyły sotnie w niecałe ćwierć godziny.

Nad pobojuwiskiem nisko wisił nieprzyjemny zapach spalonej skóry ze złotoguzych pancerzy i żywiczno-siarkowy śwąd po płonących bełtach. Wśród trupów i konających, których nikt nie podnosił, krążył pieszo kapelan Matwiej Janeńko z dwoma kilkunastoletnimi chłopcami, i kręcili się także czterej jeźdźcy, z których jeden miał do tyłu związane ręce. W pobliżu taborowiska rozpoznał on leżącego na wznak człowieka, który wymyślił i stworzył Złotą Jazdę, by jej sprawnością i okrucieństwem zapewnić sobie władzę nad Wielkim Bołkanem.

Kilka półsotni pomocniczych spędzało w jeden tabun piękne, choć zabiedzone, syrbskie konie.

O zachodzie słońca cała Gromada Sotni i cała chorągiew sańsko-wysołocka zebrały się wokół niewielkiej dąbrowy, gdzie we wspólnej mogile chowano trzydziestu dwóch poległych. Od większości żołnierzy niosła się ostra woń palonki, lecz powagę zachowano zupełną. Gdy

swoją grzebalną postugę wypełnił ksiądz Janeńko i gdy skończono sypać niski kurhan, zagrzmiała potężnie stara pieśń, pochodząca ponoć jeszcze z czasów świętego Semena Werby:

*Święta i wieczna jest dąbrowa
Pod którą śpią bohaterowie
W niej nawet wiatr ciszę zachowa
I cichy będzie szum listowia
 Spokojnie śpijcie, wojownicy
 Latami śniąc i stuleciami
 O łanach hreczki i pszenicy
 O kwiatach malwy pod oknami
Na siewy, żniwa i na wojny
Będziemy teraz bez was stawać
A wy tu śnijcie sen spokojny
I niech dąbrowa szumi dla was
 Święta i wieczna jest dąbrowa
 Pod którą śpią bohaterowie...*

Ledwie łysy Iwanko wrócił z grzebalnego zgromadzenia do swego namiotu, przybył oddział postaniecki z obozu atamana Lonowego. To, co przywiózł, nie było jednak „powiadomieniem wojennym”, lecz pismem opatrzonym znakiem tajności, przeznaczonym „do własnych rąk” dla „atamana nakażnego Górnopyruckiej Gromady Sotni”.

— Panie sotniku, odpowiedzi nie trzeba — rzekł postaniec podając Iwance złożony, opieczętowany papier. — Mam się tylko dowiedzieć, czy Złota Jazda pobita, a to już wiem, i wracać natychmiast. Pozwól odejść, panie sotniku.

— Na świętego Semena, toż wykończy was sotnik Tuzgun tym pośpiechem. Może się choć posilicie i gardła zwilżycie?

— Nie, panie atamanie nakażny. Co nam trzeba, to mamy w jukach i manierkach. Taka służba.

— Cóż... No to pędźcie w zdrowiu!

Już pierwsze spojrzenie na otwarte pismo przyprawiło Iwankę o niepokój i złe przecucia. Papier zapisany był tą samą ręką, co poprzedni, sprzed dwóch dni, lecz kształty liter mniej dbałe i skośny bieg linijek zdradzały tej ręki pośpiech i pobudzenie. Treść potwierdzała obawy:

Obóz atamański Żowty Horb. Dzień piąty
sierpnia 2263 roku, jedna godzina przed
północą. Z rozkazu atamana Lewki Lonowego.

Taras Sidlarenko, sotnik, Hawryło Tuzgun,
sotnik, do atamana nakażnego Górnopyruckiej
Gromady Sotni, Iwanki Hołoda, sotnika,
z pozdrowieniem.

Panie sotniku! Ataman Lonowy chory, lecz przytomny i do czynności swoich zdolny. Pragnie on w miarę rychło rozmowę odbyć z kilkoma ludźmi, w tym z wami, panowie sotnicy Hołod i Truba.

Na podstawie słów twoich, powiedzianych powstańcowi w nocy z czwartego na piąty, my tutaj przyjmujemy za pewne, że pismo niniejsze otwierając szóstego sierpnia wieczorem, będziesz już

po bitwie zwycięskiej. Jeśli tak jest, to wszystkiego, co atamańskiej władzy wymaga, dopełnij do południa jutrzejszego, to jest siódmego sierpnia, a potem Gromadę Sotni rozwiąż i razem z sotnikiem Trubą i czterema dziesiątkami ochrony, z atamańskich złożonej, wyrusz do nas.

Nie zapomnij wszystkim żołnierzom, a już szczególnie sańsko-wysołockim, serdeczne podziękowanie za trud wyrazić od atamana Lonowego.

Co jeszcze zostało na miejscu do zrobienia, niechaj już po rozwiązaniu Gromady i wyjeździe twoim wojska wykonają, a potem wioskowe sotnie mogą się rozjeżdżać do domu drogami dowolnymi, zaś Pierwsza i Druga z pomocniczymi półsotniami niech odwiozą do Koniuszyny rannych i rzeczy z majątku Ponestrza.

Wszystko inne porozstrzygaj, panie sotniku, podług uznania własnego.

Chorągiew pod panem pułkowym Przytarczykiem może do kraju swojego powracać którądy zechce, czy to przez Koniuszynę i Łowyń Wysoki, czy tak jak przybyła, że zaś zapasów miałeś na dni wojny piętnaście, to masz z czego, panie sotniku, na drogę powrotną zaopatrzyć sprzymierzeńców w żywność smaczną; choć im bowiem jadała nie brakuje, to jednak ciekawszych posiłków nie mają z czego przyrządzać.

Co do wojny tutaj, na Łuku Pyrutowym i niżej, to położenie takie, jak u ciebie było dwa dni temu: dobre wojska wroga złamane i rankiem najbliższym będą rozgromione, słabe zaś, to jest brankowe, prawie wszystkie już w niewoli, i nie wiadomo co z nimi czynić, bo najwyżej połowę z nich możemy u nas zostawić, a oni już się z góry upierają, że wracać do Bolkanu nie będą. Do spotkania rychłego!

*Taras Sidlarenko
Hawryło Tuzgun*

— Warta! — krzyknął głośno Iwanko, gdy tylko skończył czytać niezwykajne pismo.

Do namiotu wbiegł młody żołnierz zdejmując dla bezpieczeństwa strzałę z naciągniętej półkuszy.

— Czy oddział gońców jeszcze się nie porozłaził?

— Nie, panie sotniku. Odpoczywają w namiotach i pod krzakami.

— To biegnij do starszej nad nimi i powiedz, że mają mi tu co żywiej przywołać sotników Maznycię i Trubę, pisarza Poponnika i przełożoną Rady Wojska Pomocniczego, Ałońkę Jackiw.

Wezwani zjawili się w wielkim namiocie w niecałe pół godziny. Iwanko zwrócił się najpierw do młodej kobiety:

— Ile mamy żywności, Ałońko, panno żołnierzu?

— Na dobre dziesięć dni, panie atamanie.

— To trzeba ją porozdzielać tak, żeby jutro wszystkie sotnie i chorągiew sprzymierzeńcza mogły bez bałaganu pobrać do siebie co im przypada. Dla sańsko-wysołockich przygotujcie tylko mięsa wędzone, ale najwyborniejsze, i z pięć większych beczek piwa.

— Znaczy, że się rozjeżdżamy, panie sotniku?

— Tak, panno żołnierzu, lecz nie wszyscy na raz. Znak pana Przytarczyka odjedzie z rana, sotnie wioskowe zaczną odchodzić po południu, a półsotnie i atamańscy pojutrze o pierwszym brzasku pójdą do Koniuszyny z rannymi i mieniem Ponestrza. Rozwiązania naszej Gromady Sotni dokonam jutro w południe.

— Zrozumiałam i przyjmuję, panie atamanie!

— Poczekaj, jeszcze jedna sprawa! Podług obyczaju pobitewnego podnosić będę jutro prawem atamańskim na dziesiątników tych żołnierzy, co sobie zasłużyli na drugi kwiat zapałem i staraniem, odwagą i zdolnością. Zaraz jak wrócisz do waszych obozów, zaczniecie

się tam namyślać nad wyborem takowych, bo jeszcze dziś przyjadą do was tu obecni panowie sotnicy i pan pisarz po ich nazwiska, a jutro na trzy godziny przed południem wybrani mają się stawić na mianowanie przed tym namiotem. Z wydzielonych oddziałów, to jest z gońców konnych i zwiadowców, my sami zastępujących wyznaczymy. Tyle do ciebie, panno żołnierzu; możesz wracać.

— Przyjęłam, panie sotniku! Lecz jeśli wolno, pytanie w innej rzeczy. Czy tej nocy palonki i piwa udzielać, czy dawać ile biorą?

— Zwyczaj się trzymać. Tymi, co miarę przebiorą, służby obozowe się mają zajmować, i dowódcy.

Gdy młoda kobieta wyszła, Łusy Iwanko wygładził na stole pismo z atamańskiego obozu.

— Czytajcie! A żywo, bo roboty jeszcze na dziś dużo.

— Sotnicy i dziesiątnik pochylili się ciasno nad płatem papieru, a gdy się wyprostowali, Staśko zapytał:

— Pieczęć i podpisy sprawdziłeś?

— Najważniej. Prawdziwe.

— Czyli coś się stało — niespokojnie stwierdził Maznycia.

— Jak ataman chory, to czemu nie napisali, co mu jest?!

— A i niejasne — zauważył Staśko — czy to jest urzędowe od Izby, czy własne od dwóch sotników. Do tego Tuzgun połowe ma przecież roboty, i w skład Izby nie wchodzi. No i jeszcze — po co aż czterdziestu ochrony dla nas dwóch?!

— Nad tym samym i ja pomyślałem — powiedział Iwanko — i tylko tyle wymyśliłem, że, jako pan sotnik Maznycia rzekł, coś się zdarzyło w obozie atamańskim, i to raczej niedobrego. Dowiemy się na miejscu. Ja zarówno Sidlarenkę, jak i Tuzguna mam za prawych i mądrych, dlatego postanowiłem tego co napisali w pełni posłuchać. Musimy więc całą naszą pracę do jutrzejszego południa wykonać, a że rano ludzie będą późno i z ciężkimi łbami wstawać, to jak najwięcej trzeba zrobić jeszcze dziś. Teraz po wszystkich sotniach się przejedźcie i spiszcie tych do mianowania, kierując się rozeznaniem swoim, dowódców i żołnierzy. Wydzielonych oddziałów nie pomińcie. A później ty, panie dziesiątniku Poponnik, przywołaj swoich pomocników, i wypisujcie papiery, od razu z pieczęcią, a ja rano podpisy moje poskładam. Teraz jadę do obozu Przytarczyka. Aha, byłbym zapomniał: powiadomcie Szkiperów, że pojutrze o brzasku jadą z naszymi do Koniuszyny. Tam się rozstrzygnie, co z nimi dalej. Albo ich wioski różne po paru na osadników przyjmą, albo się ich razem w jakiej pustej okolicy osadzi, pomocy zwrotnej na pobudowanie udzielając.

W obozie sańsko-wysołockich ciężkozbrojnych czczono zwycięstwo znacznie huczniej niż w lekkojezdnych sotniach. Dojeżdżając tam, Łusy Iwanko już z daleka słyszał liczne i gromkie śpiewy, których nieskładność wskazywała na powszechne powodzenie ponestrzanskiej palonki. Obozowe służby, rozpoznawszy młodego sotnika, powitały go radosnymi okrzykami, a potem prowadziły śródnamiotową ulicą, oświetloną pochodniami płonącymi na pobocznych słupkach, z honorami godnymi księcia, albo przynajmniej pła zaprzyjaźnionego kraju, zaś spacerujące grupki podchmielonych żołnierzy z szacunkiem ustępowały drogi, niekiedy unosząc manierki i wykrzykując toasty bądź to poważne, bądź poufale: „Za zdrowie zwycięzcy!”, „Sława wodzowi!”, „Niech żyje Łusy sotnik!” Baczenie przyglądając się gestom i wsłuchując w brzmienie słów Iwanko zauważył z niejakim zdziwieniem, że te przywitania wyglądają na niewymuszone i samorzutne.

Płonna okazała się nadzieja na szybkie załatwienie sprawy, z którą Iwanko przybył do Przytarczyka. Musiał w dowódczym namiocie, gdzie biesiadowała starszyna chorągwi, wypić szereg kubeczków palonki za zdrowie swoje, pułkowego, zebranych rotmistrzów i

podrotmistrzów, atamana Lonowego i księcia Rzozy-Siewnego, nim wreszcie udało mu się poprosić Przytarczyka o rozmowę w cztery oczy na zewnątrz namiotu.

— Proszę mam całkiem niestudbową i własną, panie pułkowy — zaczął czując jak trunek wpełza mu chyłkiem pod tysią czaszkę — i lękam się, czy nie za śmiała ona...

— Powinieneś wiedzieć, Iwanko, panie sotniku, że co tylko możliwe zawsze uczynię dla ciebie z radością — odrzekł Przytarczyk poważniejąc.

— Wybieramy się nareszcie do Szkoły Lewosańskiej, to znaczy Radka Czowniar, Staśko Truba i ja. Tam się pierwszego września nauka zaczyna, i może nam czasu zabraknąć, żeby przyjechać choć dzień-dwa wcześniej. Czy wzięłybyś, panie pułkowy, pieniądze ode mnie teraz, żeby w szkole pozapłacać za nas co trzeba? Jechalibyśmy wtedy bez obawy, że przez spóźnienie z niczym przyjdzie zawrócić.

— A czemużby nie?! Wszystko będzie na wasz przyjazd załatwione i gotowe!

Iwanko wyjął z wewnętrznej kieszeni bluzy płaską jedwabną sakiewkę i wsunął w dłoń pułkowego z pytaniem:

— Na ile to może wystarczyć? Tysiąc blaszek ponestrzańskich...

— Człowieku młody, któż tobie o kosztach Lewosańskiej Szkoły opowiadał!? Za czterysta pięćdziesiąt blaszek będzie dla trojga na cały rok i szkoła, i stancje najlepsze ze stajniami!

— Wybacz ciemnotę, panie pułkowy, lecz ja nie wiem, co to są „stancje”.

— Bo i skąd miałbyś wiedzieć. Tak się nazywa mieszkania, które uczniowie — wyjąwszy kleryków, co jasne — wynajmują u rodzin tym się właśnie trudniących. Czy przybędziecie z luźnymi końmi?

— No... jeśli by wolno było... Tak myśmy przyzwyczajeni...

— Jakie znów „wolno,„?! Toż się gospodarze stancji cieszą, jak dwóch koni doglądając więcej zarobią. Ty i Truba osobne wolicie mieć izby, czy wspólną?

— Lepsza wspólna, jeżeli przestronna.

— Radka z wami mieszkać nie może, bo nie ma takiego zwyczaju, więc dla niej wynajmę stancję osobną. Czy sama woli być, czy może towarzystwo jakiej drugiej panny by jej pasowało? Nie co rok wprawdzie dziewczyny się w szkole pojawiają, no ale może się akurat zdarzyć.

— Poznałeś ją, panie pułkowy, to wiesz, że sennie jak nie ma do kogo gadać. Z niekłótliwą rówieśną, myślę, najlepiej by jej było.

— Co do rówieśności, to się raczej nie trafi. Na Oddzielenie Nauki Różnostronnej, gdzie, jak pojmuję, mam was wpisać, przyjmuje się płęć jedną i drugą od piętnastego roku życia do dwudziestego piątego, więc nierówny tam wiek. Inaczej w Oddzieleniu Duchownym, a jeszcze inaczej w Lekarskim, lecz to was nie tyczy. Wiem już co trzeba, i zrobione, Iwanko, przyjacielu! Tylko musimy gdzieś usiąść i te pięć i pół setki zbędnych blaszek od sypać.

— Wolałbym, panie pułkowy, odebrać tę resztę tam u was, w Lewosańsku, albo u ciebie. Tak mi bezpiecznie.

— Dobrze; poproszę ojca Dołobrzskiego, żeby pieniądze dla ciebie przechował.

— Dzięki z serca, panie pułkowy, że przyjąłeś prośbę naszej trójki!

— Nie takie rzeczy bym dla was zrobił!

— Niepojęcie dużo odczuwam życzliwości i twojej, i twojego wojska...

— Niepojęcie?! Myśmy się liczyli, że kilkudziesięciu z nas w ponestrzańskiej ziemi zostanie, a tu całe nasze straty, to parę zadrapań. Twojej, wybacz poufałość, Iwanko, panie sotniku, tysej głowie to zawdzięczamy, i nie tylko przyjaciele pancerni, ale nawet i zwykły woźnica czy kucharz jest tego świadom. A ciebie życzliwość dziwi!

— To jeszcze, panie pułkowy, słowo w służbowej rzeczy. Odjeżdżacie, jak po bitwie wspomniacieś, rano?

— Tak, lecz nie świtem, bo widzisz, że na trunkowe połuźnienie pozwoliłem całemu stanowi chorągwi. Ale opóźnić wymarszu nie myślę, bo jakby tak pora deszczowa parę dni przed czasem nadeszła, to górny Nestro i Sań nie do przejścia się zrobią.

— Pojmuję. Przyślij rano do taborów, panie pułkowy, dwa szerokie wozy po wędzone mięsa i beczki piwa na drogę.

— Ależ... Iwanko...

— Nie ma się co sprzeciwiać; zapasy były na piętnaście dni wojny dla wszystkich, więc to co zostało między wszystkich kazałem podzielić, jako że po południu i nasze sotnie zaczną się pomału rozjeżdżać. Praca, co mi jeszcze została, nie pozwoli żegnać was jutro, to teraz, panie pułkowy, zanim się do spotkania na waszej ziemi rozstaniemy, przyjmij dla siebie i dla twojego wojska podziękowanie serdeczne za trud od atamana Lonowego, ode mnie i od nas wszystkich! Zostawaj w zdrowiu!

Osiemnastoletni sotnik i dwakroć odeń starszy pułkowy pożegnali się mocnym uściskiem, poczem Iwanko skinął na swoich żołnierzy ochrony cierpliwie czekających przed dowódczym namiotem, dosiadł konia i odjechał galopem z obozu chorągwi sańsko-wysokołockiej.

* * *

Ataman łewko Lonowy leżał na wznak na połowym łóżku przykryty wzorzystym samodziałowym kocem. Oczy miał zamknięte. Oddychał szybko i nierówno. Jego twarz, smagła i zawsze ogorzła, miała teraz żółtą barwę sańsko-wysokołockiego papieru. Przy wezglowiu łóżka siedział na składanym krzeselku postawucki żołnierz z felczerskim znakiem — szeroką białą opaską na lewym rękawie. Na środku ogromnego namiotu, rozświetlonego wpadającymi przez liczne otwory okienne promieniami porannego słońca, stało w milczeniu pięciu sotników: Anton Bałda, Taras Sidlarenko, Hawryło Tuzgun, Iwanko Hołod i Staśko Tru-ba. Żołnierz z opaską powiedział do nich nośnym szeptem:

— Jeszcze parę chwil... Nawrót przytomności już nadchodzi.

— Nadszedł — rozległ się spokojny i wcale niesłaby głos atamana. — Tylko powiek nie mogę jeszcze dźwignąć, ale zaraz się z tym uporam. A ty, pocziwy medyku, powiedz mi od razu, na ile gadania sił mi wystarczy?

Felczer delikatnie przytknął palce do tętnicy na szyi chorego i po chwili odpowiedział:

— Nie mów zbyt głośno, panie atamanie, i nie ruszaj się zbyt, to dobre pół godziny będziesz mógł mówić.

— Poduszkę mi podnieś i tak ułóż, żebym mógł patrzeć na panów sotników, bo już sobie z powiekami poradziłem. A wy podejdźcie blisko, panowie.

Gdy te życzenia zostały spełnione, chory powiódł swymi sino-szarymi oczyma po twarzach sotników i zapytał:

— Gdzie Enej?

Odpowiedział mu Sidlarenko po krótkim, lecz zauważalnym namyśle:

— Syn twój, panie atamanie, Czwartą Sotnią ściga za Pyrutem pułk Straży Dimokratii. Wczoraj zmusił ten oddział do powrotnej przeprawy koło Koźlej Skaty i poszedł za nim w pogoń.

— Sama Czwarta Sotnia wyparła za rzekę pułk Strażników? — zdziwił się Lonowy.

— Tak, panie atamanie. Czwarta bardzo mocna się zrobiła. Pod stu siedemdziesięciu podchodzi, bo się już tutaj wielu Postawuckich do niej zaciągnęło.

— Ciekawe... ciekawe... — wymruczał ataman do siebie.

— Ale do rzeczy! Choć mnie wszyscy dla pociechy okłamujecie, to przecież całkiem głupi nie jestem i wiem, że mnie taką samą strzałką leciutką i taką samą trucizną potraktowano jak sotnika Jizaka, i tak samo jak on odejdę, a czy to będzie za dzień, czy za dziesięć, to już nieważne. Ty, Sidlarenko, i ty, Bałda, panowie sotnicy, dlatego tu stoicie, że z rozglądem na co dzień mając do czynienia, pojmujecie szczególnie dobrze położenie Ponestrza i wszystkich naszych Ziem. Ciebie, Tuzgun, dlatego zaprosiłem, że masz ponadzwyczajną zdolność wyczuwania wewnętrznego, podskórnego nieporządku i trujących soków, co zaczynają się sączyć w naszym kraju. Ty, sotniku Hołod, przy ponadzwyczajnym twoim talencie dowódczym i jasnym swoim celu, będziesz za parę lat wodzem sławą owianym. Ty zaś, sotniku Truba, urodziłeś się do tego, żeby na wroga tak spadać, jak wędrowny sokół spada na gołębia. Najpełniejsze mam zaufanie i do prawości waszej, panowie sotnicy, i do rozumów waszych. Z pomienionych przyczyn chcę wam zdać parę myśli moich, do których sami moglibyście dojść za późno, i które tak przyjmijcie, jak się przyjmuje testament i wolę ostatnią. Czy mnie słuchacie?

— Słuchamy, atamanie, i wolą twoją chcemy się kierować! — gorąco odpowiedział Tuzgun.

Lonowy odpoczywał chwilę kierując spojrzenie ku gałęziom grabów, kołyszającym się w upalnym wietrze za oknami namiotu, poczem mówił dalej:

— Przez ćwierć wieku atamanowania koło dwudziestu razy rozgromiłem słabe najazdy Bołkanu, i mimo tego republika rajców przyszła z wielką wojną. Pobita dotkliwie, za dwa lata odrodzi siły i uderzy jeszcze mocniej, bowiem niezmiernie dużo można harapem potu wycisnąć z biednych ludzi, których tam dwadzieścia razy więcej niż nas. Przez osiem lat nie znaleźliśmy siły, żeby choć spróbować dwie zagarnięte nam Ziemie odebrać... Na Ponestrze przez ten czas Bołkan naciskał, ale inni? Co robili? Rady ziemskie i atamanowie więcej myślą o korzyściach z handlu i myt ściągania, niż o dobru wspólnym. Wszyscy się już prawie oswoili z utratą Niskiego łowynia i Mokrego Kraju. Wstyd!!!

— Spokojniej mów, panie atamanie — poprosił felczer. — Pobudzając się, siły tracisz.

— Jak się nie złościć, kiedy przez gnuśność słabną Ziemie Malwowe! Teraźniejsze nasze zwycięstwo niewiele w tej rzeczy zmienia, bo tylko zęby wrogowi wybiliśmy, a nie jesteśmy w stanie pójść za nim i kręgosłup mu połamać, jako że tylko na obronę mamy pomoc sprzymierzeńców. Przywiął ten duch, którym święty Semen połączył nasze Ziemie. Nawet zdraycy się oto u nas znaleźli i w moim atamańskim obozie trucizną strzelają, co się już w głowie nie mieści. Jak tak dalej pójdzie, to za dziesięć lat naród malwiański pod harapami będzie pracował na Cesarstwo i republikę rajców opastych. Dlatego trzeba zmian! Więzy pomiędzy Ziemiami tak muszą być usztywnione, żeby całością naszej wspólnej siły na wroga uderzać, a nie wedle uznania atamanów łaskawej pomocy napadniętemu udzielać. Trzeba wyprzedzać napaści, a nie tylko u siebie się bronić. I trzeba pomyśleć o sprzymierzeńcach poza rubieżami. Cesarzowa Ergarda i namiestnik Redner, nie bez udziału księżnej wiprzeńskiej, obmyślili już na dwa przyszłe lata paskudne niespodzianki, najpierw dla Księstwa Sańsko-Wysołockiego, potem dla Księstwa Gór Jodłowych, a na końcu dla Wysokiego łowynia. Rzozie-Siewnemu i Jackowi Świę-togajowi należy pomóc ze wszystkich sił, by potem twarde przymierze walką wspólną pieczętowane z nimi zawrzeć i razem Ergardzie krwawo nosa utrzeć! Tak postępując i łowyń Wysoki uratujemy, i obie Ziemie utracone odzyskamy. Później przymierze zwycięskie, spokój od Cesarstwa na rok-dwa sobie zapewniwszy, razem z Hornosławią i wolną częścią Uhorszczyzny, a we współdziałaniu z Tirkijami będzie w stanie ostatecznie rozbić Wielki Bołkan, pozbywając się tego zagrożenia raz na zawsze, i mieć odtąd do czynienia z jednym tylko, północnym wrogiem. Snując myśl o działaniu powiedzianym, bez

którego za lat dziesięć Cesarstwo z Bołkanem na Nestrze będą ze sobą graniczyć, nie wspominam o wrogu wschodnim. To nie zapomnienie. Na wschodzie będzie spokój na wiele lat. Przed miesiącem zasiadł na tronie Szijja-Szahów człowiek mądry i duchem mocny, Bahram-Ali, który okiełzna izbeckich swych wasali i zawrze z Ziemią Malwowymi pokój na czas nie mierzony. To jest pewna wiadomość...

— Przerwij teraz, panie atamanie; odpocznij chwilę; nie mów — odezwał się z łagodną stanowczością posławucki medyk, wpatrujący się bezustannie w pracę tętnicy na szyi Lonowego.

— Zgoda. Serce mi się właśnie znów zaczęło wygłupiać... Na chwilę zapadła cisza zupełna, a później Łysy Iwanko nachylił się do ucha Antona Bałdy i zapytał szeptem:

— Prosić... co do wyjazdu?

— Nie — odpowiedział jeszcze ciszej leciwy sotnik. — To załatwicie z panem sotnikiem Tuzgunem. Jemu ataman powierzy...

Bałda nie dokończył, gdyż Lonowy poruszył się i wznowił swą mowę:

— Wierzę, panowie sotnicy, że zabierzecie się za tę robotę konieczną, do pomocy sobie dobierając jak najwięcej ludzi rozumnych a prawych, a przy tym dość rychło, póki świeże zwycięstwo Ponestrzu i wam znaczenia przydaje. Na początek jednak pracujcie nad tym, żeby we wrześniu wybrano na atamana Ponestrza człowieka mądrego, a najlepiej jednego z was. To się nie odnosi do Hołoda i Truby; wy, panowie sotnicy młodzi, Pierwszą i Drugą zastępcom swoim zdajcie i jedźcie, jakoście zamierzycie, do Lewosańska po naukę, która pożytek przyniesie nie tylko wam samym, lecz przez was i sprawie wielkiej, a jedźcie przez Hryzotową wodę, bo tam, w kasie bractwa Samomliki, pieniądze dla was na szkołę są złożone i od paru lat po trosze się pomnażają. Do dzieła, o jakim mówiłem, zdążycie się włączyć jak czas przyjdzie. A teraz już rzecz ostatnia: czynię świadkami wszystkich obecnych, że aż do wyboru mojego następcy, tak na czas mojej nieprzytomności, jak i na czas po moim zgonie, władzę atamańską składam w ręce sotnika Hawryły Tuzguna! Medyku, odrzuć ze mnie koc ku nogom!

Łysy Iwanko zadrżał z przejmującego wrażenia gdy zobaczył, że śmiertelnie chory wódz Ponestrza leży w zwyczajnym prosto-żołnierskim mundurze i za zwykłym, niczym nie zdobionym pasem wetkniętą ma srebrną buławę.

Łewko Lonowy, z wysiłkiem wyciskającym mu krople potu na poźółkłe czoło, powolnym ruchem ręki wysunął zza pasa znak władzy i powiedział głosem szybko słabnącym:

— Weź... Tuzgun... panie sotniku... z mojej ręki...

Lewosańsk

Letnia pora deszczowa 2263 roku nadeszła dwa dni przed czasem i przerosła wszystkie poprzednie ulewnością i zasięgiem, obejmując nie tylko dorzecza Bohu, Nestra, Pyrutu i górnej Sani, lecz także połowę Wysokiego łowynia i prawie cały obszar Księstwa Sańsko-Wysołockiego. Trojgu przyszłych uczniów Szkoły Lewosańskiej przyszło wyruszać z Koniuszyny wśród nie słabnącej od paru dni ciepłej deszczowej nawałnicy, która drogę do Wiszniowej Bramy wydłużyła z czterech dni do ośmiu i uczyniła mokrym piekłem. Na Szlaku Sańskim nadal przescigiwały ich pędzące pod sinoburym niebem jaśniejsze na przemian z ciemniejszymi wały chmur, które jednak wylały nad Ponestrzem większość swych wodnych zapasów, tak że nad Sanią siąpił z nich już tylko drobny, jednostajny deszcz. Mimo takiej pogody i grząskiego błota na Szlaku, Łysy Iwanko miał wątplą nadzieję, że dzięki dość częstym zmianom koni możliwe będzie przejechanie w jeden dzień z Wiszniowej Bramy do Lewosańska. Sprawna przeprawa promowa przez wezbraną Sań zdawała się potwierdzać te rachuby, kiedy jednak pod wieczór przemoczona do ostatniej nitki trójka dotarła do Wąskiego

Brodu, stało się oczywiste, że trzeba tu będzie zanocować. Wysołek, który Iwanko pamiętał sprzed dwóch miesięcy jako rzekę mierną, płytką i leniwą, był teraz rozpędzonym, kłębiącym się kołami wirów żywiołem, rozlanym na szerokość co najmniej połowy kilometra. Przy drzwiach domku przewoźników stał pod szerokim okapem stary, wąsaty mężczyzna z fajką w zębach i smętnie spoglądał na rzekę, na której za przestoną deszczu widać było rozmyte kształty dwóch dużych łodzi wiosłowych, walczących z wartkim prądem.

— Jakie widoki, panie przewoźniku? — zapytał uprzejmie Iwanko.

Stary mężczyzna niespiesznie przeniósł spojrzenie na troje konnych, potem uważnie przyjrzał się luźnym mierzynom, wreszcie wyjął fajkę z ust i odpowiedział:

— Przysłali drużynnych. Razem z moimi próbują, o tam, widzicie, linię przedłużyć od lewobrzeżnego słupa do osiki na tamtej skarpie. Jak się uda, to może jutro prom ruszy. Wyście z łowynia?

— Nie. Z Ponestrza.

— I taką porę wybraliście na podróż?

— Tak wypadło, panie przewoźniku, bo my do Szkoły Lewosańskiej, a tam się pojutrze zaczyna nauka.

— Zaraz, zaraz! — ożywił się człowiek z fajką. — Coś drużynni wspominali! Czy może który z was, to łusy Iwanko?

— To ja właśnie.

Przewoźnik żwawym ruchem zdjął z głowy bezkształtną czapkę i skłonił się w pas, poczem zaczął mówić z jękaniem i wylewnym szacunkiem:

— Trzeba było... znaczy się... o wybaczenie proszę! Nawet jak prom nie ruszy, to i tak rano krypami was przepawimy! Dziś, wybaczyć proszę, już nie dam rady, ale jutro zaraz z rana — pewne!

— A skądże to dla nas takie staranie i wyjątki? — spytał Iwanko ze szczerą ciekawością.

— No, a jakże by... Podobno dzięki tobie, wielmożny panie wodzu, z naszego ciężkiego wojska nikt nie poległ, a bez ciebie zginęłoby może i stu. Prócz tego, jakby się kto ze starszyny dowiedział, że coś tu było wam uchybione, czy nie postarane, to i nahajką mogliby drużynni obić. Wincek! Wincek! Wytaż, łobuzie!

— Idę, dziadku! — dobiegł młody głos z wnętrza domku, poczem wyłonił się stamtąd rozczochrany chłopak w podartej koszuli i lśniących tłustym brudem spodniach.

— Pokłoń się należnie panu wodzowi wielmożnemu i prowadź troje państwa do zajazdu na nocleg!

— Do Trzywiejskiego? — upewniał się młody człowiek.

— A do kogo, durniu?! I powiedz mu, że jakby co nie tak, to bez ochyby drużynni wygarbują plecy.

Rano prom już pracował, i jedynym zakłóceniem przeprawy trojga Ponestrzan był krótki spór łysego Iwanki z przewoźnikami, którzy nie chcieli przyjąć należnej opłaty.

— Bierzcie co się należy, bo my okropnie nie lubimy z żadnych praw szczególnych korzystać! — domagał się Iwanko nie bez złości, lecz odpowiedzią były tylko przeczące ruchy głowami.

Sprawę rozwiązał Staśko:

— Opłaty przeprawowej wolno wam nie wziąć, panowie przewoźnicy, ale jakbyście na piwo nie przyjęli, to jużby była obraza! — i wsunął w dłoń jednego z promowych ponestrzańskich złotych krążek.

Po obu stronach drogi odbijającej od Szlaku w lewo, ku Krzywym Stokom, stały zabudowania koszar Czwartej Książęcej Chorągwi Drużynnej.

Z wrót koszarowego ogrodzenia wyjechał na spotkanie zbliżającej się Szlakiem trójce Ponestrzan drużynny oficer na urodziwym karym ogierze. Zatrzymał się na środku rozmokłej drogi i czekał na nadjeżdżających, którzy zwolnili do stępa i przyglądali mu się z zaciekawieniem. Był w stopniu podporucznika, co mogło zdumiewać przy jego wieku, wyglądał bowiem na lat co najwyżej dwadzieścia pięć. Spod krótkiego daszka lekkiego hełmu opadało mu na czoło niesforne pasmo ciemnych włosów, spod czarnych jaskółczych brwi patrzyły wesole niebieskie oczy, spomiędzy miarowych warg rozchylonych w przyjaznym uśmiechu połyskiwała biel równych zębów. Gdy młodzi podróżni na pięć kroków przed nim stanęli wyczekująco, oddał im honory wojskowym skłonem i przemówił:

— Ja z pozdrowieniem i powitaniem od pana pułkowego Wita Przytarczyka i pana porucznika Marka Krzywosochy! Witajcie! Nazywam się Bratmił Czymranek i jestem ze znaku drużyny tu oto koszarującego.

— Ze wzruszeniem dziękujemy! — odpowiedział łysy Iwanko.

— Czy pan pułkowy i pan porucznik zdrowi?

— W najlepszym zdrowiu, panowie sotnicy i panno dziesiętniku. Pan pułkowy poprosił mojego zwierzchnika, ten zaś mi rozkazał, żebym was na stancje w Lewosańsku zaprowadził i z gospodarzami zapoznał, a po drodze opowiedział nieco o szkole i wszystkim co potrzebne, byście się od razu swojo tam poczuli. Jeśliby więc towarzystwo moje wam nie wadziło, to możemy ruszać pomału.

Młody oficer budził nieodpartą życzliwość, toteż Iwanko powiedział z najprawdziwszą szczerością:

— Radzi i wdzięczni przyjmujemy twoją uprzejmość, panie podporuczku! Martwi nas tylko, że przez nas przychodzi ci moknąć.

— Deszczyk ciepły i coraz rzadszy; żaden kłopot! Przedkładam, żebyśmy się nie śpieszyli, wtedy tak akurat zajedziemy, że gospodarze na samo południe przyrządzą obiad, a wy się przedtem w izbach swoich zdążycie rozgościć.

Jechali stępa, z rzadka tylko i na krótko przyśpieszając do kłusa, a podporucznik Czymranek, z natury widać rozmowny, ochoczo wypełniał powierzone mu zadanie:

— O tyle sposobny jestem wam na przewodnika, panowie sotnicy i panno dziesiętniku, że ledwie dwa lata temu sam skończyłem szkołę, do której się udajecie, a ucząc się tam, też na stancji mieszkałem, tyle że niepomierne podlegszej od tych, jakie wam pan pułkowy wynajął, bo moje kształcenie na koszt rodzinnej wioski książęcej się odbywało, to i wypadało kluczyki oszczędzać. Choć skromnie było, to jednak przemile wspominał ten rok w Lewosańsku przeżyty, i pewien jestem, że z wami inaczej nie będzie. Na początku trzeba was uprzedzić, że Lewosańsk w połowie przynajmniej pobudowany jest na uprzątniętym ruinisku, co u wielu ludzi wzbudza opór zrozumiały, a już wy, Malwianie, wstręt do gruzowisk po miastach technoczesnych żywicie szczególnie. Nie ma jednak innej rady, jak tylko się przyzwyczaić. Druga rzecz ważna, o której od razu i mocno muszę wam powiedzieć, to miejsce niebezpieczne, do jakiego, Boże broń, przenigdy się nie zapuszczajcie! Mówię o Postojowym Błoniu! Zobaczymy je ze Szlaku jeszcze dobrze przed mytną rogatką, a obozują tam karawany kupieckie. Wokół parę zajazdów i karczem bardzo podłych wyrosło, skąd dniem i nocą słycać granie skoczne. Spotkać tam można ludzi luźnych a hołotnych, nie stroniących od oszukiwania, okradania albo i obrabunku ochron karawanowych; krew co trochę bywa tam puszczana; drużynni próbują złoczyńców na gorącym uczynku łapać, zaś na bójkę naszedłszy najprzód tną i biją, a później pytają, kto zacz, bo też nie sposób inaczej w owym miejscu postępować. Omijajcie więc Postojowe Błonie z daleka! Następne moje ostrzeżenie dotyczy złodziei sakiewkowych, którzy, gdzie tylko tłok jaki, kieszenie ludziom biegle opróżniają, szczególnie

licznie pracując w czas nabożeństw przy odstoniętym obrazie cudownym Matki Boskiej. Teraz co do broni: kusze w całym Lewosańsku zakazane są tak surowo, że za samo trzymanie takowej w dłoniach sędzia książęcy każe przeważnie sto nahajek wlepić, czego ten i ów nie przeżywa. Łuk wolno nosić w sajdaku, ale tylko ze zdjętą cięciwą. Sieczna zaś broń, jako honorowa, w pełni jest dozwolona, nawet i w szkole.

Wykorzystując chwilę namysłu życzliwego oficera nad dalszym ciągiem przestróg i objaśnień, włączył się Łysy Iwanko:

— Nas jedna rzecz z cicha trapi, panie podporuczniku, i korzystając z otwartości twojej zachęcającej chciałbym o nią zapytać...

— Właśnie, właśnie! — zgodził się przewodnik. — Gęby nie zamykam, a nie pytam, co was ciekawi.

— Chodzi o odzienie... My otóż innego nie mamy, tylko dwie zmiany mundurów. Jeśliby strój wojskowy w szkole nie uchodził, to potrzebowałibyśmy rady i pomocy przy kupowaniu stosowniejszego przyodziewku.

— Wyście przecież wojskowi, to w czym mielibyście chodzić, jak nie w mundurach?! Nie tylko to uchodzi, ale jeszcze budzi szacunek. Co prawda malwiańskie poszerzenie nogawic u spodu szarawarów, nigdzie więcej nie spotykane, może czasem czyjś uśmiech wywołać, i z tej to przyczyny zdarzyło się parę razy, że czumacy z Samomlikowych karawan w karczmie komuś dali po pysku, lecz tylko głupiego człowieka mundur z innego kraju może śmieszyć. Prócz tego jest książęce prawo, że znakom kraju niewrogiemu należy się poszanowanie, tak że w razie czyjego zachowania uchybiającego spokojnie w gębę przyłóżcie, a sędzia, jakby do niego to doszło, was uniewinni, a takowemu durniowi każe jeszcze dziesięć batów dodać na pouczenie, żeby znaki na uniformach dostrzegał i szanował.

Innych pytań Ponestrzanie nie mieli, i aż do samej rogatki słuchali zajmującego opowiadania podporucznika Czymranka o Lewosańsku, o zwyczajach szkolnych i stancyjnych, o gospodach, do których uczniom zachodzić przystoi, o sklepach i cenach, o odpustach w zakonnej świątyni i sławnym świętym obrazie, słowem — o wszystkim, co tylko może im się przydać podczas rocznego tu zamieszkiwania.

Najpierw zajechali do domu, gdzie miała zamieszkać Radka. Stał w zadbanym ogrodzie i wyglądał niemal jak pałac, a samo pomieszczenie stancyjne przypominało do złudzenia kwatery w domu gościnnym dla postów, które w końcu czerwca przez pół doby zajmowali Iwanko i Staśko w Krzywych Stokach, z tą jednak różnicą, że tutaj stały w mieszkalnej izbie dwa duże, rzeźbieniami zdobione łóżka. Gospodarze — starsze małżeństwo o nazwisku Rękojemscy, byli małomówni i powściągliwie uprzejmi, niczym kupiec, którego od zachwalania i zachęt uwalnia oczywista wspaniałość wystawionego towaru. Służba — dwie dziewczyny najemne i niewolnik wettosławskiego pochodzenia, wyglądała schludnie i sprawiała wrażenie nieco wystraszonej. Gdy dobiegło końca przedstawianie się i oglądanie stancyjnej izby, Iwanko już otwierał usta, by zapytać, z kim Radka będzie dzielić mieszkanie, lecz podporucznik przeszkodził mu jakby rozmyślnie, zwracając się do gospodarzy:

— Panna dziesiętnik, proszę zważyć, dziesięć dni jechała w ulewie. Powinna się teraz odświeżyć, posilić i wypocząć swobodnie, zanim pod wieczór powita współmieszkanek. Zostawiając ją pod państwa troskliwością, chciałbym teraz z panami sotnikami stajnię obejrzeć, konie panny Radki tam wprowadzić i ze stajennym zamienić parę słów co do opieki nad nimi, jako że wierzchowiec mierzynowaty nie całkiem tego samego potrzebuje, co wielkokrwisty.

— Służę, wielmożni panowie oficerowie! — wyprężył się niewolnik z Wettosławii.

Skryte za domem zabudowanie stajenne i z zewnątrz, i od środka uderzało czystością i porządkiem. Z sześciu odgrodzeń dwa zajęte były przez lśniące zdrową sierścią konie gospodarzy, do dwóch wprowadził stajenny Radczyne mierzyny, a dwa pozostały puste.

— To twoje królestwo? — spytał Wettosłowianina podporucznik, uważnie obejrzawszy wzorową stajnię.

— Jeśli niewolnik może mieć królestwo, to i można tak powiedzieć.

— Widać tu wielkie staranie! Za strawę i dach pracujesz, czy ci coś płacą? A może masz jaką umowę co do wyzwolenia, żeś taki pilny?

— Z niewolnikiem przecież, wielmożny panie, umowa nieważna; wolno się panu z niej nie wywiązać, i sędzia skargi nie przyjmie. Mnie państwo Rękojemscy z dobrej woli od początku tak płacą, żeby tego po dziesięciu latach wystarczyło na samowykup, i za to ja do pracy starania dokładam, co im i mnie pasuje. Że zaś niebiedni uczniowie tu pomieszkują, to się z napiwków te dziesięć lat trochę skróci.

— Pojmuję — odezwał się Iwanko — że z cicha do nas pijesz. Niechaj więc tak będzie, że co miesiąc dostaniesz dziesięć kluczyków, jeżeli koniki widywać będziemy w pięknym zdrowiu. Pasuje?

— Dzięki największe, panowie oficerowie! I powiem od razu, że te powiedziane kluczyki już moje, bo ja konie lubię, i bez zachęty osobnej też dbam jak o siebie.

— Az mierzynami już pracowałeś? — spytał Czymranek.

— Jeszcze nie, panie podporuczniku, ale się o wszystko wypytam panny podoficer.

— Sprawa prosta, więc możesz od razu zapamiętać: siana i owsa potrzebują trochę mniej, niż rosty wierzchowiec, więc karmiąc patrz bacznie, żeby ani nie chudły, ani się nie zapasały. Bezczynność bardzo źle znoszą, ale myślę, że o koniecznym przejeżdżaniu panna Czowniar będzie pamiętać. Ze szczotkowaniem nie przedobrzej, bo ich sierść przenigdy wyraźnego pobłysku nie nabiera, taka już uroda. O pojeniu chyba mówić nie muszę. Bywaj!

Stacja sotników, choć mieściła się w domu mniej okazałym, w niczym nie ustępowała tej, którą pułkowy Przytarczyk wynajął dla Radki. Właściciele, nazwiskiem Szarpaczowie, również zatrudniali dwie służące i niewolnika — rudowłosego Mieńca, temu jednak wyzierał z oczu pewien niedostatek bystrości, co skłoniło podporucznika do bardzo starannych oględzin stajni, uważnego sprawdzenia, czy w końskich żłobach nie ma drzazg ani wystających ostrzy gwoździ i wielokrotnego przypominania rudemu stajennemu, żeby za wiele nie polegał na własnym rozumie a o wszystko pytał sotników.

Na odjeźdnym Bratnił Czymranek zapraszał do odwiedzenia go w koszarach:

— Koniom ruch dając, panowie sotnicy, zaglądamy do mnie. Przy czasie spokojnym pod wieczór jestem po robocie i z wielką radością z wami pogawędzę, a jest o czym. Kwaterę moją warty wskażą. Aha, jeszcze to miałem powiedzieć, że tutaj, w Lewosańsku, i na całej reszcie Szlaku aż do przeprawy granicznej przez Wisułę, porządek trzyma piąty znak drużyny, mający koszary za północną rogatką, a dowodzi nim przyjaciel mój, podporucznik Kuba Rakpłóć. W razie jakiego kłopotu bardzo pilnego, choćby, na ten przykład, zaczepki od miejscowych czy przejezdnych, do niego się zwracajcie. Bywajcie w zdrowiu, zadowolenia życzę ze szkoły i stacji!

* * *

Po ciepłej kąpieli, przebraniu się w suchy mundur i obiedzie urozmaiconym a obfitym, Radkę ogarnęła senność. Z myślą o krótkiej drzemce położyła się na łóżku i spała jak zabita kilka godzin. Przebudził ją jakiś hałas w sieni. Nauczona błyskawicznie przechodzić ze snu w czujność, zerwała się w okamgnieniu i usiadła przy stole. Drzwi otworzyły się i służące

wniosły bez słowa kilka skórzanych tobołów, zostawiając je na podłodze przy drugim łóżku. W parę chwil później weszła do izby dziewczyna ubrana w spodnie z jeleniej skóry i takiż krótki kaftan, wyglądająca na nieco starszą od Radki, jasnowłosa i żywa w ruchach.

— Witaj, Radko Czowniar! Razem mieszkamy — powiedziała bez większej serdeczności i podała umundurowanej dziewczynie dłoń męskim ruchem. — Nie wiem, czy ci ze mną będzie dobrze, bo mówią, że jestem pyskata, leniwa i rozpuszczona jak dziadowski bicz. Choć to w trzech ćwierciach prawda, to jednak wielu ludzi mnie lubi. Zobaczmy, co tu wypadnie.

— Pyskatość akurat i mnie przypisują — odpowiedziała Radka — to pewnie cicho w tej izbie nie będzie. Lecz, wybaczyć, pojęcia nie mam, co ty za jedna?

— Nie powiedzieli ci, z kim będziesz stancję dzielić?!

— Nikt mi o tym słowa nie wspomniał.

— Jestem Liwonka Rzozówna-Siewna.

— Nie żartuj! Księżniczka?!

— Niby księżniczka, lecz trochę dziadowska, bo jedna z czterech.

— I kazali ci, księżniczko...

— Tym słowem lepiej się do mnie nie zwracaj. Mów mi po imieniu: Liwonka.

— Dobrze. Więc kazali ci na stancji zamieszkać, i to we dwie?! Ja myślałam, że wokół córki władcy, to tylko powozy, służba, koronki i róże.

— Tak też i bywa po innych księstwach, lecz ja Boga chwalebę, że mi podobne życie nie przypadło.

Liwonka zabrała się do rozpakowywania swych toreb i tobołów, i rozkładania w szafie ich zawartości. Nie przerywając tego zajęcia, odezwała się po chwili milczenia głosem mniej szorstkim niż poprzednio:

— Podśluchiwałam, jak pułkowy Przytarczyk, z wyprawy sprawę zdając, opowiadał ojcu o wojskowej z tobą współpracy. Wspomniał, żeś bardzo piękna. Widzę, że prawdę mówił, i trochę zazdroścę.

— Brednie! A tobie, to niby czego niedostaje?! Jak już o tym, to ja jeszcze w życiu zwierciadełka własnego nie miałam. Zapominałam kupić, i tak do dziś, ale też myślę, że czas mi jeszcze własnej gębie się przypatrywać. Przy tym — nie urodziwość u człowieka najważniejsza!

— Dobrze to mówić takiej, co wszystkie oczy porywa!

— Daj temu spokój, Liwonka! Powiedz lepiej, czemu to ze mną cię osadzono, a nie z siostrą?

— Po kolei wszystko poopowiadam, ale to już przy kolacji, którą chyba już wnet przyniosą. Jak wcześniej nie zamówimy inaczej, to o szóstej będą zawsze podawać.

— Nie pojęłam... Co to znaczy „o szóstej”?

— Zapomniałam, że zegar dobowy bardzo jeszcze rzadki. Nauczę cię z takiego czytać, a na razie ci wystarczy, że „o szóstej”, to to samo, co „sześć godzin od południa”. Teraz ręce od wodzy przybrudzone chcę umyć; które drzwi do łazienki?

— Te po lewej.

Przy posiłku Rzozówna-Siewna zaczęła jednak rozmowę od innej sprawy:

— Twój zaśpiew malwiański bardzo mocny wskazuje, że nie długo naszej mowy się uczyłaś, a i widać, że trochę cię męczy gadanie po naszymu. Dopóki nie oswoisz się z tym lepiej, możesz do mnie i po malwiańsku mówić, bo ja prawie wszystko rozumiem, a skąd się nauczyłaś, to przy sposobności opowiem. Teraz zaś o tym, o co pytałaś. Jest nas cztery, a dokładniej dwie i dwie. Celka i Weronka mają lat czternaście, a ja i Żwanka za miesiąc siedemnaście skończymy. Od roku jakiegoś my, starsze, zaczęłyśmy zniknąć z domu, a potem i

z Krzywych Stoków, bo nas nauczyciele i wychowawczynie coraz bardziej nudzili. Hasaliśmy po okolicy, pełno nas było i tu, w Lewosańsku, i na przeprawach znaczniejszych, i na szlakach, i na polach ćwiczebnych wojska. Ojciec wielkimi sprawami wiecznie zajęty, nauczyciele boją się przyznać, że im uciekamy, służba, jak dać ze dwa kluczyki, z nami trzyma, i tak pomалу rozzuchwaliliśmy się, nie ma co łąć, nadmiernie. Aż nareszcie niedawno wściekł się tatko, zwołał nad nami naradę z zaufanymi, to jest Przytarczykiem, Krzywosochą — drugim człowiekiem w księstwie — i Dołobrzeskim, rektorem naszej od jutra szkoły, i radzili, jak by nas tu dalej wychowywać. Wynik taki: albo będziemy co dzień cztery godziny w szpitaliku pracować, co będzie dopilnowane najdokładniej, albo pójdziemy do Szkoły Lewosańskiej uczyć się porządnie, nad czym też nadzór będzie staranny. Nie mogło być wątplenia, że skończyło się fruwanie, trzeba wybrać obowiązek. No i rozeszliśmy się z bliźniaczką pierwszy raz! Żwanka wybrała szpital, ja szkołę. A potem jeszcze doszli do wyводу, że jak sama jedna będę na stacji, to mi się będzie towarzystwa zachciewać, a że o twoim przyjeździe już wiedziano i Przytarczyk dla was stancje miał wybierać, to uznali, że przy dziewczynie poważnej i obowiązek dobrze pojmującej, choć i młodszej, w głowie mi się zacznie należycie układać. I oto jestem z tobą, Radka! I mówię całkiem szczerze, że już mi się to wszystko głupie nie wydaje. Myślę, że wiele się od ciebie dowiem i nauczę. A z życiem lekkim i płochym czas mi się pożegnać.

* * *

W Izbie Wykładów Oddzielenia Nauki Różnostronnej czekało na pierwsze szkolne zajęcia dwudziestu trzech uczniów i trzy uczennice. Ich ubiory nie pozostawiały wątpliwości, z jakich pochodzą stanów i zawodów. Siedmioro było w żołnierskich mundurach — troje Ponestrzan, dwóch drużynnych sierżantów i dwóch wachmistrzów ciężkiej jazdy. Księżniczka Rzozówna-Siewna, siedząca przy stoliku wspólnie z Radką Czowniar, ubrana była w swój ulubiony strój z miękkiej skóry, podobny nieco do myśliwskiego, lecz przyozdobiony srebrnymi sprzączkami wyszukanego kształtu. Trzecia dziewczyna, trzymająca się na uboczu, wyraźnie nieśmiała, pszenicznowłosa dwudziestolatka, zdradzała swą długą białą suknią z delikatnej wełny i czarnym, wyszywanym kubraczkiem bez rękawów, że pochodzi z niebogatej lepsześci. Również w pojedynkę zajmował stolik dumny, wyniosły i zachowaniem odpychający młodzieniec z Księstwa Wiprzeńskiego, odziany w strojny i bardzo złożony karmazynowo-czarno-biały ubiór, jaki nosili w owym czasie mężczyźni wysokich rodów w Cesarstwie Północnym. Dwaj najmłodszy uczniowie, z wyglądu szesnastoletni, mieli na sobie zielono-czarną odzież powszechnie przyjętą w stanie kupieckim. Wszyscy pozostali, wieku dość jednolitego, bo lat około osiemnastu, byli synami wolnych kmięci książęcych, o czym świadczyły szerokie żółtawobrązowe spodnie wpuszczone w buty do połowy łydek i długie czarne kaftany ściągnięte szerokimi pasami. W Izbie nie było gwaru, gdyż obecni, z nielicznymi wyjątkami, nie znali się wzajemnie, a też i ważność chwili sprzyjała ciszy. Większość spojrzeń zbiegała się na czołowej ścianie, gdzie na środku wisiał duży krzyż z mistrzowsko wyrzeźbionym wyobrażeniem Umęczonego, na prawo odeń — pomniejszony i oddany z niezwykłą wiernością obraz Matki Boskiej Lewosańskiej, a na lewo — wykute w srebrnej blasze dwa orły sańsko-wysołockie, jeden ze złotym kluczem w szponach, drugi z szablą o jednorodnej krzywiznie, od dziesięcioleci już nigdzie nie spotykanej.

Szerokie drzwi otworzyły się z cichym zgrzytem zawiasów i do Izby wkroczył zamasyście wysoki i chudy zakonnik o kościstym obliczu, z którego trudno było wywnioskować, czy duchowny może mieć lat czterdzieści, czy o dziesięć więcej. Stanął za nauczycielskim stołem, położył na nim niegruby plik żółtych kart papieru, powiódł po twarzach uczniów badawczym

spojrzeniem i przemówił głosem dość cichym i miękkim, zupełnie nie pasującym do surowości jego rysów:

— Jestem przełożonym tego Oddzielenia naszej Szkoły; nazywam się Stach Naswojski; witam was, panowie uczniowie i panny uczennice, na początku waszej drogi ku powiększeniu wiedzy! Jeśli pozwalacie, to usiądę, by na was z góry nie patrzeć.

Siedząc już, ojciec-przełożony wpatrywał się przez chwilę w papier leżący na wierzchu przyniesionego pliku, poczerń stwierdził z zadowoleniem:

— Widzę, że mamy tu samych poprawnie władających mową sańsko-wysołocką, z czym w poprzednich latach rozmaicie bywało. Bardzo to pomyślne, bo nawet jeden ledwie pojmujący czego słucha, o rozterkę przyprawia, czy dla niego wykład spowalniać, czy go ze szkoły odprawić, żeby za rok powrócić z bieglejszą znajomością naszej mowy. Przejdźmy więc do rzeczy. Moje z wami pierwsze spotkanie poświęcone jest pouczeniu was o porządkach w naszej szkole panujących, a później wykładowi niedługiemu, co razem w jednej godzinie spróbujemy zmieścić, bowiem zwyczaj się taki utarł, że w pierwszym dniu nauki długo uczniów nie trzymamy. Na początek jedną rzecz musicie dobrze zapamiętać, że my tu najmniejszej nie czynimy różnicy dla stanu i urodzenia! Czy kto synem chłopa, karczmarza czy kupca, czy nauczyciela wędrownego, czy oficera, czy z lepszej rodziny, czy księżęcej — każdy w tej szkole tylko uczniem, nikiem więcej i nikiem mniej. Pilność u nas w wielkiej cenie, lecz to nie obowiązek, kto bowiem za własne pieniądze nie myśli się niczego nauczyć, to niechże się nie nauczy, byleby innym nie przeszkadzał, bo tego już nie znosimy. Kto jednak na końcu od szkoły poświadczenie na papierze uroczystym chce dostać o jej ukończeniu, ten się bez jakiej takiej pilności i starania nie obejdzie. Dano wam wszystkim przy wpisaniu po dwa zeszyty grube i trwale oprawione, po dwadzieścia suchopisaków, tyleż piór rogowych i po butelczynie atramentu. Jeden zeszyt służy do suchego brudnopisania wykładów, drugi zaś, którego się na co dzień do szkoły nie nosi, do tego jest przeznaczony, żeby w nim — z pierwszego korzystając i pamięci — w domu zapisywać wiadomości wyniesione, lecz już w uporządkowaniu, i atramentem, co przymusza umysł do rzetelnej pracy i sprzyja zapamiętaniu. Te zeszyty, nazywane „czystymi”, co parę miesięcy dawać będziecie nauczycielom do przejrzania, i one to głównie posłużą za podstawę do wystawienia wam za dziesięć miesięcy szkolnych poświadczeń. Nie odpytujemy uczniów ani na bieżąco, ani co czas jakiś, ani na końcu, jako czynią nauczyciele w rodzinach zatrudniani. Są natomiast pytania codzienne po południu, tyle że to uczniowie z nimi do nauczycieli przychodzą, jeśli wykład nie zaspokoił ich ciekawości. Aby jednym i drugim czasu na to wystarczało, zajęcia zwyczajne kończymy najpóźniej w samo południe, zaś w trzy godziny później nauczyciele gotowi są do spotkań z uczniami co chłonniejszymi. Oprócz pomienionych sposobów nauki mamy jeszcze pokazy polowe. Te urządzamy w dniach całkowicie pogodnych między połową września a końcem października. Będziecie wtedy jeździć konno do miejsca szczególnego nad Sanią, zwanego Piorunowym Ogrodem, własnością Szkoły będącego. Tam na własne oczy ujrzycie ciekawe rzeczy, jako to na przykład — kiedy prosty piorun most na rzece niszczy, a kiedy go nie tyka. To tyle porządkowych objaśnień, a teraz już pierwszy z łańcuszka wykładów o tym, co ludzi dzisiejszych z technoczasami wiąże, a co przepaścią głęboką odgradza. Czy zrobić przedtem parę chwil przerwy?

Odpowiedzią było nieśmiało i półgłose „nie”, po którym ojciec Naswojski podniósł się z za stołu i zaczął się przechadzać od okna do drzwi i z powrotem, zapewne zbierając myśli. Po paru takich przejściach zaczął mówić nieco donośniej niż poprzednio: — Panowie uczniowie i panny uczennice! W świecie chrześcijańskim ludy wszystkie i każdy człowiek z osobna wstręt żywią głęboki i nieprzeparty do technoczasów. Nie spotyka się ludzi prostych

ani kształconych, którzy obrzydzenie to mieliby za przesadne, bo też wstrętna nieprawość owego dwuwieczna, jego duchowa przeciwność człowieczeństwu, światu ożywionemu, Ziemi całej i prawom Boskim, łatwym przecież do odczytania, zasługują po pełni na takie odnoszenie. Jeśliby kogokolwiek zapytać, co go łączy z technoczasami, odpowie, że nic. A jednak nie do końca jest to prawda! Sprzeczność, jeśli się zastanowić, wyraźna jest pomiędzy odrazą naszą do dwuwieczna zła, a ochoczym i codziennym korzystaniem z jego dorobku. Oto bowiem prawie nikomu do głowy nie przychodzi, że całe żelazo, z którego wykuwamy pługi i broń, noże i obręcze, zamki i zawiasy do drzwi, podkowy dla koni, gwoździe, okucia przeróżne i tysiąc innych przedmiotów co dzień używanych — że wszystko to żelazo pochodzi z technoczasów, a zbieramy je głównie z „diabelskich nasypów”, gdzie setkami kilometrów ciągną się dwie, a częściej cztery, rdzą na poły pożarte, grube sztaby tego metalu. Bardzo niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, że płaty lekkiego metalu, mosiężne drągi, pręty i blachy, a także blachy miedziane i zastygłe kałuże miedzi stopionej wybierane są z ruinisk po technoczesnych miastach. Pieniądz powszechny bity jest ze złota i srebra, a tylko wtajemniczeni wiedzą, że od stu lat przynajmniej nabywa się je za chleb i mięso oraz gorzałkę od ludzi ruinnych, bądź też, gdzie takowych nie ma, skazańcy pod zaufanym batem dozorców wydobywają te najcenniejsze metale z wielkich potechnoczesnych gruzowisk. Ze szkłem także jest podobnie, bo tylko podlejsze jego odmiany człowiek dzisiejszy sam potrafi wyrobić, a płaty dla okien, czarki i kielichy, butelki i naczynia rozmaite wytwarzamy z przetopu szkła ruinnego. Nie tylko gotowe rzeczy i materiały bierzemy jednak z czasów odpychających, lecz także niezliczone sposoby budowania i wyrobu, że wymienię tylko kowalstwo, ceglarnictwo, wypalanie dachówek i glinianych naczyń, choć niektóre z tych umiejętności znane były i przed technoczasami. Po tym, co rzekłem, dwa pytania powinny się zrodzić: pierwsze — czy tak wiele biorąc z wieku obrzydliwego nie wchodzi ludzie dzisiejsi na tę samą drogę, która technoczesnych dowiodła do odczłowieczenia i zagłady? Jeśli przecząca jest na to odpowiedź, a wiele za taką przemawia, to koniecznie trzeba wyrzec pytanie drugie: co czynić, jak postępować i czym się zabezpieczyć, żeby spuścizna po złym dwuwieczu przejęta godziwości świata dzisiejszego służyła i zło pozwałała trzebić, a nie stała się pułapką zwodniczą? Następne o tym rozważania snuć będziemy wtedy, kiedy wysłuchacie już paru wykładów z dziejoznania, jakie wygłaszać wam będzie nauczyciel świecki, pan Prot Piołun.

* * *

W chwilę po zgaszeniu świec i ułożeniu się do snu odezwała się w ciemnościach księżniczka Liwonka:

- Bardzoś senna, Radka, czy można jeszcze o coś zapytać?
- Senna, to ja bywam jak się dziesięć godzin w siodle wytlukę, a potem głód zaspokoję — padła odpowiedź spod przeciwległej ściany.
- Więc mogę zapytać?
- No chyba.
- Czy ty kochasz Iwanę, albo Staśkę?
- Nie bardzo mądre twoje pytanie, Liwonka. Jakże mogłabym ich nie kochać, skoro życie i wolność im zawdzięczam?! Jak braci rodzonych ich miłuję.
- Jak braci, mówisz?
- Tak właśnie. A może nawet trochę tak, jak ojca i matkę, których ledwie przez mgłę pamiętam.
- No, a tak po dziewczęcemu, to ani jednego, ani drugiego?

— Oj, Liwonka, Liwonka! Takaś ty i kształcona, i obyta, a nie wiesz, że brata nie miłuje się po dziewczęcemu.

Rozległ się w ciemności cichy śmiech księżniczki, w którym pobrzmiiała niejasna nuta zadowolenia. Potem wypytywała dalej:

— A oni? Jak do siostry się do ciebie odnoszą?

— Przeważnie. Lecz czasem lekceważenie mi okazują, bo niby że od czasu, jak mi mowa wróciła, to wciąż za dużo gadam. Ale teraz, jak mi się udało z setką dziecięcą bez jednego błędu przeprowadzić chorągiew pana Przytarczyka przez pięć rzek górnego Ponestrza i rzeczek bez liku, i we wszystko potrzebne ją w drodze zaopatrzyć, to już widzę u nich jakieś uznanie. A czemuż to tak cię ciekawią nasze między sobą odnoszenia?

To pytanie chyba odrobinę zmieszało księżniczkę, bo odrzekła niepewnie i nieprzekonująco:

— Nic... Tak sobie pytam, z ciekawości... Przecież ciekawa z was trójka. Ty potrafisz półsotniami dowodzić i, na nasze biorąc, jesteś podoficerem, Iwanko — jak to Przytarczyk mówi — w dwóch tygodniach wyrósł z dziesiętnika na wodza znacznego, a Staśko na rękę jego prawą, no to chyba nie dziwne moje zaciekawienie.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Przez uchylone okna napływał do izby zapach nawilgłej ziemi i słaby szum ostatniej mżawki pory deszczowej, która co rok dalej idąc od dolnego Ponestrza, sięgnęła po raz pierwszy Lewosańska. Liwonka wierciła się w pośtaniu, daleka widać od zaśnięcia, a Radka, wyczuwając że rozmowa jeszcze nie skończona, spróbowała pchnąć ją dalej:

— Coś mi się zdaje, że jeszcze chcesz o coś pytać.

— Dobrze ci się zdaje, ale z jednym takim... ważnym pytaniem, co mi po głowie chodzi, to ja się jeszcze muszę powstrzymać... jeszcze na nie za wcześnie.

— Jak chcesz. Nie myślę jednak, żebym ja potrafiła pomóc ci w czymś, jak mówisz, ważnym.

— To się za jakiś czas okaże. Teraz zaś powiedz ty mi, czy ty się dotąd nie zakochiwałaś?

Głos, który wydała z siebie Radka, był czymś dokładnie pośrednim między cichym śmiechem a westchnieniem. Nastąpił po nim dłuższy namysł, a potem poważne słowa:

— Abyśmy mogły, Liwonko, o takich rzeczach pogadywać, to najpierw trzeba ci wiedzieć, że „kochanie” i „zakochanie” tylko z pozorów to samo znaczą w waszej i naszej mowie. U nas powiedzieć, że kochasz ojca czy brata, albo wioskę rodzinną — to zawsze bez zastanowienia można, byle nie za często. Ale już powiedzieć „kocham” dziewczynie, do której chłopak chodzi w zaloty, to by było głupie i śmieszne, i taki za półgłówek byłby rozgłoszony. Tysiąc bochenków chleba — tak mówią — muszą chłop z babą zjeść wspólnie, nim wolno im będzie o kochaniu przebąkiwać. W teź samej mierze i zakochanie poważniej my rozumiemy w naszej mowie. Spojrzeń przyciągania, uśmiechów rzucania — to u nas jeszcze nie zakochanie. Dopiero uczucie niepłochie i trwałe, którego nikt nowy łatwo nie odmieni, zasługuje na to słowo.

— Czyli surowość i powaga niczym u zakonników! — kpiąco skwitowała księżniczka ten wywód. — Jakoś tego nie widać, kiedy tutaj w zajeździe czy karczmie łowyńscy czumacy hulają. Wtedy tylko wesolość ognista i śmiech zawadiacki, tańce nieprzytomne i złotych blaszek rzucanie.

— Co innego zabawa, Liwonko, a co innego kochanie. A teraz odpowiem ci na tamto pytanie: niejeden mi się podobał, i przestał, za niejednym spojrzenie leciało, i zawróciło. Podoba mi się, na ten przykład, pułkowy Przytarczyk, choć z wieku, to ojcem mógłby mi być. Wczoraj zaś oczy i mi chyłkiem świeciły do tego podporucznika, co nam potowarzyszył do

Lewosańska i zaprowadził na stancje. Bywają takie rzeczy, ale nie ma obawy, żeby mi w rychłym czasie serce za kim poleciało.

— O Czymranku mówiłaś? To dobre masz oko, panno Ponestrzanko. Gdy on na swym karym diable leci, to się dziewczynom główki obracają jak słoneczniki za słoneczkiem. Lecz on na razie dla nikogo.

— Czemuż to?

— Bywają tacy, szczególnie z wolnych chłopów, co to najpierw dom piękny postawią, potem jawor przed gankiem posadzą, i dopiero jak ten podrośnie, na ławie pod nim rozmyślają, kogo by do gniazda wprowadzić. Czymranek z takich właśnie.

* * *

Piorunowy Ogród był prostokątną, długą niemal na kilometr, połacią nadrzecznych łąk, porośłą z rzadka wierzbami, osikami i topolami, przylegającą jednym bokiem do brzegu Sani, a z trzech stron ogrodzoną gęstym płotem. O paręset kroków w dół rzeki, za obszarem łożyny, drugie, znacznie mniejsze ogrodzenie otaczało bujnotrawiastą łąkę, na którą przyjeżdżający tu konno uczniowie i nauczyciele puszczały w popas swe wierzchowce na czas zajęć. W samym zaś Piorunowym Ogrodzie, pośród rzadkich drzew, znajdowało się bezładnie porozrzucane zbiorowisko przedziwnych sprzętów i maleńkich budowli: niskie murki z cegieł, technoczesne płyty ze sztucznego kamienia — jedne stojące pionowo w trawie, inne w niej leżące, jeszcze inne uniesione i podparte słupkami z cegieł, podobne do bardzo niskich stołów — blachy żelazne, miedziane i lekkometalowe przeróżnych rozmiarów, wąskie na dłoń a długie na dwadzieścia kroków drewniane korytka, pogięte wojskowe kociołki kuchenne, gliniane gąsiory, garnki, dzbanuszki, wiązki długich a cienkich żerdzi, głębokie rowy, płytkie doły szczelnie od wewnątrz obmurowane, kwadratowy plac wyłożony pasiasto kamiennym brukiem i murawą, i wiele innych rzeczy, których przeznaczenia początkujący uczniowie Lewosańskiej Szkoły nie mogli się nawet domyślać.

— Dzisiaj przekonacie się, panowie uczniowie i panny uczennice, dlaczego po technoczesnych budynkach, i tych co były z cegły, i tych z mocnego sztucznego kamienia, pozostały tylko gruzy, przeważnie dość drobne — zaczął pierwsze zajęcia w Piorunowym Ogrodzie świecki nauczyciel, pan Błażej Przewan. — Proszę za mną!

Zaprowadził gromadę uczniów do jednego z nibystołów, wysokiego ledwie na półtorej szerokości dłoni, wykonanego z ciężkiej sztucznokamiennej płyty wspartej na ceglach. Obok leżała deska z wyżłobionym przez całą jej długość głębokim rowkiem szerokości palca.

— Proszę, niech który z panów uczniów wsunie tę deskę pod płytę, wyżłobieniem ku górze, tak żeby z obu stron równo wystawały końce.

Gdy polecenie wykonano, nauczyciel wyjął z przewieszzonego przez ramię wąskiego skórzanego pojemnika dwa razem złożone i obwiązane sznurkiem cienkie pręty z przyczerniałej miedzi.

— To są dwa kawałki miedzianego drutu, długości równo półmetrowej — objaśnił rozwiązując i odrzucając oplatający sznurek. — Jak widzicie, miałem je przy sobie i nic się nie działo. Tam zaś — wskazał na odległy o kilkanaście kroków drugi nibystolik — na takiej samej sztucznokamiennej płycie leży kwadratowy płat blachy miedzianej, i też się nic nie dzieje; leży sobie ta blacha spokojnie już wiele dni. Teraz rozdzielam związane dotąd razem moje kawałki drutu i kładę je obok siebie. Nadal nic! Wszystko się jednak zmieni, kiedy za chwilę zetkniemy te kawałki końcami, tak że powstanie z nich niejako jeden, ale już na metr długi. To jednak będziemy robić wielce ostrożnie. Przyglądajcie się na razie, a później każę wam skryć się w tamtym rowie i nie wystawiać głów.

Pan Przewan wyjął z kieszeni szpulkę konopnych nici, odwinął niedługi kawałek, starannie obwiązał i zasupłał koniec jednego miedzianego pręta, ułożył go w rowku deski, przytrzymał jedną ręką, a drugą mocno puścił po niej rozwijającą się szpulkę, która wytoczyła się spod płyty po drugiej stronie. Z kolei to samo zrobił z drugim prętem i drugą szpulką na przeciwnym końcu deski. Potem, zatrudniwszy dwóch uczniów do trzymania obu kawałków drutu, rozwijał nić najpierw w jedną stronę aż za odległy o pięćdziesiąt kroków niski murek, a następnie powiódł nitkę z drugiej szpulki za taką samą osłonę na przeciwnym kierunku.

— Za chwilę dwaj z was, panowie uczniowie, skryci za osłonami z muru, ciągnąc będą powoli za nitki, przez co półmetrowe kawałki drutu, sunąc rowkiem sobie naprzeciw, zetkną się pod płytą, tworząc tam razem odcinek metrowej długości. Zobaczymy, a bardziej usłyszymy, bo wszyscy musimy być schowani, co z tego wyniknie.

Nauczyciel wybrał dwóch młodych ludzi i pouczył surowo:

— Na mój znak głosem, ciągniecie bardzo pomaleńku, nawet czubka głowy nie wychylając! Poczujesz opór w nitce, przestajecie ciągnąć, ale nie popuszczacie, leciutkie napięcie utrzymując, i czekacie! To może potrwać do ćwierci godziny.

Skryty wraz z gromadą uczniów w bezpiecznym rowie, pan Przewan donośnie podał komendę:

— Zaczynać!

Po paru chwilach zameldowano zza osłon:

— U mnie już!

— U mnie też!

Pół ćwierci godziny upłynęło w ciszy, a potem ogłuszająco huknął straszny piorunowy grzmot, i równocześnie widoczne z ukryć czubki drzew, choć były w pełnym przedpołudniowym słońcu, odbłyśły na okamgnienie jadowicie białym światłem. Przez chwilę opadały jak rzadki grad drobne grudki sztucznego kamienia; potem pan Przewan kazał wychodzić z ukryć. Gdy zebrali się wszyscy w miejscu, gdzie stali przed doświadczeniem, nie było tam niczego prócz miednicowatego dołu niemal metrowej głębokości.

— Panowie i panny uczniowie! — przystąpił nauczyciel do omówienia pokazu. — Gdybyśmy zamiast miedzianego drutu użyli lekkometalowego, stałoby się najdokładniej to samo. Natomiast drut żelazny, jakiegokolwiek byłby długości, piorunów prostych nie ściąga. Wielu z was na pewno słyszało, że w technoczasach używano do oświetlenia, a także do poruszania niektórych tak zwanych maszyn, siły szczególnej, która przepływała właśnie drutami miedzianymi i lekkometalowymi. Siły rzeczony używano tak powszechnie, że była doprowadzana do każdego domu, i to w przeróżne jego izby i kąty, i do każdej innej budowli. Druty do tego służące pomieszczano we wnętrzach ścian. Po tym, coście tu dziś zobaczyli, pojmujecie już, że proste pioruny, skoro mają za jeden z celów swoich właśnie drut niezżelazny, musiały porozbijać technoczesne budowle w gruzowiska, szczególnie że czasu miały na to pod dostatkiem. Zobaczyliście też, że krótkie pręty miedziane jeszcze uderzeń z nieba nie ściągają, a staje się to dopiero od długości bliskiej metrowi. Jeśli zaś miedź nie w drut, lecz w blachę jest ukształtowana, to bezpieczna zostaje niezależnie od rozmiaru. Tyle na dzisiaj, a następnym razem pokażę, że tłusta maź, co się w niektórych okolicach po opadnięciu powodzi w brzdach zbiera i mieni jak brzydka, brudna tęcza, też przywołuje proste gromy, lecz trochę inaczej się to odbywa. Kiedy bowiem owo mazidło schowamy w garnku przykrytym, albo w dołku obmurowanym i z góry osłoniętym płytą sztuczno kamienną, to je najpierw wywachuje czarny bochenek. Każdy chyba słyszał o tych niepojętych technoczesnych zwiadowcach, a może i kto z was widział takowy, lecz mętnie i sprzecznie o nich opowiadają. Tutaj zobaczycie je w przelotach przez chyżość z trudem dostrzegalnych, i w locie powolnym, a nawet w

zneruchomieniu, a też obejrzycie, czym się naprawdę zajmowały i zajmują. Teraz idziemy do koni i wracamy do Lewosańska.

* * *

Z zaproszeniem od ojca-rektora przybył na stację sotników młody, uprzedzająco greczny zakonnik, który przedstawił się jako brat Dominik Krzon i wyłożył sprawę w słowach niezwykle uprzejmych:

— Ojciec Jędrzej Dołobrzieski bardzo pragnie spotkać się z wami, panowie sotnicy, i z panną dziesiętnik Radką Czowniar, u której właśnie byłem pomyślnie rzecz załatwiając. Jeśliby wam nic na przeszkodzie nie stało i zaproszenie zechcielibyście przyjąć, to ojciec Jędrzej czekałby na was troje w sobotę pojutrzejszą, o czwartej po południu, w Komnacie Zbiorów naszej Szkoły.

— Niezmiernym jest dla nas zaszczytem to zaproszenie — odpowiedział łysy Iwanko — a także i radością szczerą, więc z naszej strony nic spotkaniu przeszkodzić nie może. Zechciej nam tylko powiedzieć, bracie Dominiku, gdzie mieści się rzeczona Komnata Zbiorów?

— W budynku osobnym, co stoi między Oddzieleniem Duchownym a Lekarskim, ku tyłowi trochę cofnięty. Wejdziecie tam, albo konno wjedziecie, bramą Duchownego Oddzielenia, stróżowi cel przybycia podając.

— Dobrze; będziemy na pewno i o czasie. Żałujemy tylko, bracie Dominiku, że trudzić się do nas musiałeś, boć przecież można nas było w Szkole powiadomić.

— Ojciec-rektor uwyraźnić pragnął niesłużbowość swojej do was prośby, panowie sotnicy. Zostańcie z Bogiem!

Komnata Zbiorów wywarła na przybyłych trojgu gościach ojca Dołobrzieskiego niemałe wrażenie. Była przestronna, rzecz można nawet — ogromna, widna dzięki trzem oknom dużego rozmiaru, i wszystkie jej ściany, z wyjątkiem powierzchni tychże okien i dwojga drzwi, zajmowały od podłogi aż do samej powąty drewniane półki z przegrodami, wypełnione w większości grubymi zszywkami kart papieru, a po części — setkami drobnych technoczesnych przedmiotów niepojętego przeznaczenia, czy też ich szczątkami. Również na wielkich stołach ustawionych pod oknami leżały zszyte pliki żółtych kart oraz połamane i pogięte kawałki nieznanego sprzętu sprzed dwustu i trzystu lat, czyjąś żmudną pracą oczyszczone dokładnie z błota, brudu, sadzy i rdzy. Mniejszy stół, otoczony wygodnymi krzesłami i nakryty wzorzystym lnianym obrusem, zajmował środek pomieszczenia, i przy nim to posadził młodych gości sędziwy zakonnik-rektor po wylewnym powitaniu, w którym najwięcej serdeczności okazał onieśmiałej Radce. Zaraz potem pojawili się dwaj klerycy i ustawili na stole barwny gliniany dzban, także kubki bez ucha i drewnianą tacę z pokrajanym w kostki plackiem ze śliwkami.

— To jest mój ubogi dla was poczęstunek — wyjaśnił ojciec Dołobrzieski gdy klerycy wyszli. — Miód, który tu mamy w dzbanku, niestety dalece ustępuje temu, jaki poznaliście, panowie sotnicy, u księcia Józefa w Krzywych Stokach, bo lat ma dopiero dwanaście, i w naszej piwnicy dojrzewał, a nie w ziemi zakopany, co znaczenie ma dla smaku, Bóg raczy wiedzieć czemu, bardzo wyraźne. Jednak i takiego w żadnej karczmie ani gospodzie nie uświadczycie, przeto do narzekania nie ma powodu. Ty, panie sotniku Staśko, ręce masz chyba z nas najdłuższe, to wyręcz mnie w napełnianiu kubków, i wypijmy za spotkanie nasze, a i za wasze świetne zwycięstwo nad Pyrutem, gdzie talent łysego Iwanki do znikomosci obniżył wasze straty, a chorągiew Przytarczyka całkiem od takowych uchronił.

Iwanko i Staśko, pomni swych doświadczeń z Biesiadnej Izby w Krzywych Stokach, tym razem pociągali z kubków z największą ostrożnością, a Radka, uprzednio przez nich pouczona

o podstępności smakowitego trunku, zachowywała jeszcze większą powściągliwość. Staruszek rektor parę chwil poświęcił na wypytywanie gości, czy przywykli już do Szkoły i Lewosańska, a potem, wskazując na obłożone półkami ściany, powiedział z wyraźną dumą:

— Dziwi was pewno trochę ta komnata i zaciekawia, ale też, jeśli wiem, drugiej takiej, ani podobnej na świecie nie ma. Pomiędzy kartami tych wszystkich zszywek mamy wiele tysięcy kawałków i szczątków, bardzo poopalanych i przeważnie nadgniłych, zadrukowanych papierów technoczesnych. Od lat pięćdziesięciu skupujemy je od każdego, kto na takowe natrafia gdziekolwiek, czyścimy ostrożnie i pieczołowicie, prostując przechowujemy pomiędzy płatami papieru dzisiejszego, i odczytujemy pomału, zestawiamy jedne z drugimi, mozolnie tym sposobem próbując wypełniać przeogromne dziury w naszej wiedzy i rozumieniu świata technoczesnego. Temu samemu służą zbierane tu drobne sprzęty z tamtych czasów, zwykle poniszczone, połamane, nadtopione, na poły spalone albo przeżarte rdzą i gniciem. Pomyśleć, jak się to, za Bożą niewątpliwie sprawą, dziwnie złożyło: w jaskiniach gór italijskich, gdzie na początku zagłady technoczasów zdążył skryć się ówczesny Ojciec Święty, przechowały się przy nim w całości prawie wszystkie święte księgi, bo tylko te do ukrycia owego zabrano, a poza nimi nie znaleziono po dzień dzisiejszy ani jednej zapisanej kartki technoczesnej, która nie byłaby w połowie przynajmniej spalona! A i w tym też Boskiej woli można się domyślać, że zanim nas lat temu trzydzieści Cesarstwu podległe Królestwo Rakuskie wraz z Bołkanem od wszelkiego połączenia z Ojcem Świętym odcięły, mieliśmy już u nas uratowane księgi religijne nie tylko przepisane, lecz i przełożone na użytek ludów słowomownych. No, ale nie o tym się rozgadałem, co miało być spotkania naszego nitką przewodnią! Jako się spodziewacie, chciałem pomówić z wami o tałanach, co zresztą nie całkiem jest bez związku z naszymi zbiorami technoczesnych strzępków osmalonych. Opowiedzcie, proszę, o całym waszym z tymi zwierzętami przypadku, a potem, jeśli pozwolicie, spytam o parę szczegółów.

— Co do mnie, ojczy-rektorze, to ja dość mgliście i nie po kolei tamten czas pamiętam — zastrzegła się Radka. — Miałam wtedy lat tylko siedem, i jeszcze, wraz z nagłą utratą mowy, spadło na mnie przytępienie tak bardzo szczególne, że opowiedzieć tego słowem ludzkim nie sposób, i zapadanie w sen częste i dziwnie bezwiedne, a też i do opisania niemożliwe przebywanie jakoby poza czasem płynącym.

— Nic to nie szkodzi, panno Radko. Kolejność wydarzeń najmniej dla mnie ważna.

— Lecz i my, ojczy-rektorze, niestety też nie wszystko dobrze pamiętamy z tych dwóch leśnych miesięcy — powiedział ze zmartwieniem łusy Iwanko. — Dręczył nas bowiem głód niemiłosierny i strach przeraźliwy, zaś nocami zimno, komary, mrówki i inne leśne robactwo spać nie dawały, więc już po paru dniach na poły tylko byliśmy przytomni, i tak już do końca. Odzienie marne szybko się podarło, półnaczy zostaliśmy, obsypały nas rychło wrzody gęste i bolesne, i do tego gorączka nami trzęsła bezustannie, tak że w półśnie żyliśmy piekielnym, a żołnierze cesarscy, Postochidzkiego i Tarninowego Szlaku pilnujący, coraz próbowali nas wyłować czesaniem lasu i z kusz do nas bili, jak tylko gdzie czubek nosa wystawiliśmy. Tak już było z nami, że zapominaliśmy raz po raz, dokąd naprawdę dążymy, i wtedy tałany tylko dbały o to, żebyśmy się jednak pomału wciąż na południe posuwali. To wszystko tłumaczy, czemu w pamięci naszej czas tamten w przymgleniu się zachował.

— I to małe dzieci! Zbyt to straszne! — odezwał się gwałtownie ojciec Dołobrzowski wstając od stołu. — Sumienia nie mam, że rozpamiętywać wam każę przejścia tak okropne! — dodał kręcąc się bezładnie po Komnacie, poruszony i zakłopotany.

— Ależ... ojczy-rektorze... — próbował go uspokoić Iwanko — my nie wykręcamy się od pomocy w twoich dociekaniach nad tałanami! Ucieszy nas, jeśli się do tego choć odrobinę przydamy. Ja tylko chciałem wyjaśnić, czemu niedokładnie pamiętamy tamtą wędrówkę.

Zakonnik zbył milczeniem te słowa i dopiero po bardzo długim namyśle zwrócił twarz ku gościom i poprosił:

— Napętnij, sotniku Staśko, i wypijmy ku przepędzeniu myśli przykrych.

Usiadł z powrotem przy stole, wychylił napętniony kubek niemal do dna, ponaglił gości do tego samego, uśmiechnął się przepraszająco i powiedział:

— Krócej i prościej rzecz ujmijmy. Do jakich zwierząt, wedle waszych spostrzeżeń, podobne są tałany, i w czym to podobieństwo? Chodzi mi tak o wygląd, jak i o zachowanie.

— Z wyglądem sprawa prosta — bez zwłoki odrzekł Staśko.

— Z wejrzenia pierwszego, to po prostu bardzo rosłe psy wilkowate, burorudawej maści, szczekania pozbawione. Także z ich oczu żółtawych psia wierność przebija...

— Tylko że widzą tymi oczyma i z bliska, i z daleka nie gorzej od ptaków! — uzupełnił Iwanko.

— To prawda. Co do powonienia, to po psiemu mają wyborne, a chyba nawet jeszcze lepsze. Lecz pazury chowane i chód bezszelestny, zryw i skoczność z miejsca, to już u nich kocie. Kocia pazurów biel i ostrość, lecz potęga... myślę... że niedźwiedzia. Aha, to jeszcze, że po kociemu na drzewa włązą. Do innych zwierząt, ojczy-rektorze, podobieństw nie dojrzałem żadnych. Co zaś do usposobienia, zachowania i cech niecielesnych, to pewnie Iwanko lepiej ode mnie powie.

— Tylko że akurat w tej rzeczy niewiele jest do powiedzenia — przejął opowieść łusy sotnik. — Poza psim okazywaniem radości i przygnębienia, lecz całkiem jednak bezgłośnie, niczego więcej zwierzęcego w postępowaniu tałanów nie ma.

— Za to ludzkiego dużo! — z przekonaniem wtrąciła Radka.

— Jeśli już tak to nazywać, to z tym koniecznie, że na myśli mamy nie ludzi zwyczajnych, lecz... nie przychodzi mi inne słowo... czarowników! Tałan potrafi spojrzeniem samym konia w biegu tak osadzić, że jeździec na łeb spadnie. Potrafi też koniom nakazać, żeby za nim szły, a i człowieka, co prawda nie wiem, czy także dorosłego, umie w niebezpieczeństwie skłonić do skrycia się najkorzystniejszego, albo do ucieczki na czas. Trudno opisać, jak się to dzieje... Najbliżej będzie prawdy, jak powiem, że to jest myśli niezmiernie mocne podsuwanie. No... to pewnie tyle by tego było, ojczy-rektorze, jeśli się w drobiazgi nie wdawać.

— Dzięki wam z serca, mili moi! To mi wystarczy. Utwierdziliście mnie w przekonaniu wstrząsającym z jednej strony, a krzepiącym z drugiej, o którym za chwilę. Teraz wam pokażę, na co się natknąłem nad tymi naszymi zbiorami się mozoląc.

Zakonnik wstał, podszedł do ściany z półkami, wyjął z którejś przegródki niegrubą zszywkę i powróciwszy do stołu otworzył ją w miejscu, gdzie pomiędzy żółtymi, grubymi kartkami tkwił szarobrunatny, rozmiaru półtorej dłoni, pokryty drobniutkimi znakami listek technoczesnego papieru o opalonych brzegach.

— Pewnie tego przeczytać nie potraficie? — zapytał twierdząco, odsuwając tacę z plackiem i kładąc rozarty plik na środku stołu.

Umundurowani goście pochylili się nad pisemnym szczątkiem sprzed dwóch wieków i przecząco poruszyli głowami.

— Bo to nie jest ręką pisane, lecz drukowane — wyjaśnił starszy rektor. — Co to za sposób pisania, tego się w Szkole dowiecie za parę miesięcy. Nie jest to też po sańsko-wysołocku, tylko w starej mowie dość podobnej, jakiej w naszych krainach powszechnie używano w technoczasach. Przeczytam to jak napisano, z czego od razu dużo pojmiecie, a później wam przewiodę dokładniej. Jest w tym, co prawda, słów z dziesięć, których znaczenia jeszcze dociec się nie udało, lecz i bez nich treść główną łatwo zrozumiemy:

...a skandal zatacza coraz szersze kręgi. Przypomnijmy nie zorientowanym, że dziesięć lat temu multimiliarder David Holstoff po tragicznej śmierci swej córki ufundował nagrodę stu milionów dolarów za wyhodowanie łatwej do tresury rasy psów, zdolnych zapewnić dziecku bezpieczeństwo zarówno przy przechodzeniu ulicy, jak nad wodą, w lesie lub w górach. Pół roku temu nagrodę tę otrzymał amerykańsko-białoruski zespół czterech naukowców, którzy w Inst. Inż. Genetycznej w Pińsku zrealizowali tzw. „program IPO” (idealny pies opiekuńczy). Obecnie najpoważniejsze pisma naukowe oskarżają twórców-hodowców IPO o bezprzykładne, zbrodnicze nadużycie, polegające na stworzeniu zdolnej do rozrodu hybrydy ludzko-zwierzęcej. Sensacyjności dodaje sprawie fakt, że niedawno połowa dorosłych IPO zbiegła z instytutu i zniknęła bez śladu wśród poleskich bagien. Wniesione oskarżenie do Światowego Trybu...

Skończywszy objaśniać odczytany zapis, ojciec Dołobrzowski wypił parę łyków miodu i podzielił się z młodymi gośćmi takim przemysleniem:

— Jako przedtem wspomniałem, rzecz całą z tałanami mam i za wstrząsającą, i za krzepiącą. Przeraza bezmiar zbrodniczej pychy ludzi technoczesnych, którzy poważyli się samemu Panu Bogu ukraść prawo stwórcze, i nie dość, że istotę nową do życia na Ziemi powołali, to jeszcze ośmielili się tchnąć w nią garść cech człowieczych. Podnosi mnie zaś na duchu myśl, że Bóg nawet najcięższy grzech przestępny człowieka zechciewa niekiedy w dobro obracać. Bo otóż ze zbrodni ludzkiej zrodzone tałany dzisiaj pomoc niosą skrzywdzonym i cierpiącym, a nawet, gdy innego wyjścia nie widzą, prześladowcom i złoczyńcom sprawiedliwość potrafią wymierzyć. Na zepsucie i pyszne rozbuchanie technoczesnych nie chciał już Stwórca dłużej patrzeć, dlatego pozwolił, żeby ich własne dzieła wygubiły, i to nie tylko martwe, jak broń na niebie porozwieszana, lecz i żywe. Mamy bowiem od niedawna pewność, że zagładę technoczasów ogromnie pogłębiły zarazy nie z przyrody pochodzące, lecz przez ludzi wyhodowane, też pewnie jako broń przeciw całym narodom trzymane, co się w czas zapaści uwolniły, by twórców swoich z woli Boskiej pokarać. Z tych do dzisiaj uchowała się dziurawica, dawniej nazywana żywogniciem, lecz to do myślenia daje, że w czasach zapaści nikt nią tknięty żywy nie pozostawał, a teraz już dwóch na trzech zdrowieje, by nigdy powtórnie choroby tej nie zaznać. Tak więc, na moje pojmowanie, jedno dzieła grzechu człowieka technoczesnego Opatrzność na dobro obróciła, a inne w osłabieniu pozostawiła dzisiejszym pokoleniom na przestrożę.

* * *

Przed bramą szkolnego ogrodu, skąd Iwanko, Staśko i Radka wyjechali tuż po zachodzie słońca, czekał na nich konny żołnierz drużyny. Oddawszy honory powiedział z dziwną powagą:

— Panowie sotnicy i panno dziesiętnik, czekam z rozkazu panów pułkowego Przytarczyka i porucznika Krzywosochy. Proszą oni, byście nie wybierali się na możliwą jaką przejażdżkę, lecz przybyli prosto na stację u Szarpaczów, gdzie czekają.

— Dobrze, panie żołnierzu — odpowiedział Iwanko. — Skoro panowie oficerowie zaszczyt odwiedzin nam uczynili, to lecimy. Lecz skąd było wiadomo, gdzie nas szukać?

— Od księżniczki Liwonki.

— Więc jedźmy!

W ogrodzie domu stacyjnego stało przy konowiązie pięć osiodłanych koni, a obok, wsparci plecami o płot, trzej popielato-mundurowi ćmili zwijki tytoniu. Na odgłos końskich kopyt wybiegł z domu rudy stajenny i przejął wierzchowce przybyłej trójki. W izbie sotników przy nakrytym stole siedzieli z wyrazem powagi na twarzach Wit Przytarczyk, Marek

Krzywosocha i księżniczka Liwonka. Na środku stołu żółciła się ponestrzańska garncowa beczułka prosianej palonki, a wokół, na glinianych półmiskach, piętrzyły się smażone ryby pokrajane w dzwonka.

— Co się stało?! — spytał od drzwi Iwanko, niemile tknięty zarówno widokiem stołu, jak i grobowym nastrojem obecnych.

— Ataman Lonowy nie żyje — odpowiedział Przytarczyk podnosząc się do przywitania. — Wybaczcie, panowie sotnicy, najście nieproszone, ale uznaliśmy, że u was właśnie i z wami najlepiej będzie uczcić jego pamięć spotkaniem żałobnym podług naszego obyczaju, to jest przy gorzałce tylko i rybie. Ryba nasza, z Sani, zaś na znak szczególniejszy przywiozłem garncówkę waszej palonki, której mi twoje wojsko kobiece razem z piwem ponad miarę udzieliło na powrotną drogę.

Po przywitaniach niemal bezsłownych porucznik Krzywosocha napełnił kubki prosianką, a pułkowy wznosił toast głosem ścisłym i poważnym:

— Wypijmy za wieczną pamięć i sławę największego wodza wśród narodów słowomownych, atamana Lewki Lonowego, który łączył siłę z prawością!

Wszyscy wychylili kubki do dna, zakąsili dzwonkami sańs-kiego szczupaka i usiedli przy stole. Po chwili milczenia Iwanko powiedział ściągając brwi i marszcząc ogorzałe czoło:

— Że to się stać musi, to my wiedzieliśmy jeszcze przed połową sierpnia... A i tak rozum się z tym nie godzi. Pojmujecie, kim był dla nas; on ojców nam zastąpił, przez prostą prawość swoją nie tylko wdzięczności nie oczekując, lecz nawet na żadne wspomnienie o takowej nie pozwalając. Ech... gdy mówić o nim, to wszystkie słowa za małe.

Po policzkach Radki spłynęło kilka dużych łez, których nie starła, trwając w kamiennym znieruchomieniu.

Twarz Staśki stężała w tym złowróżbnym wyrazie, jaki na polach bitew zawsze oznaczał dla nieprzyjaciół zdwojoną kość jego szamszyrki.

Przedłużała się przykra cisza, aż wreszcie przerwał ją Iwanko, zwracając się, lekko zakłopotany, do Przytarczyka i Krzywosochy:

— Nie uchodzi od żałobnej palonki się uchylać, lecz ja, panie pułkowy i panie poruczniku, mam prośbę nieśmiałą: Miejcie oko na mnie, Staśkę i Radkę, bo nas już ojciec-rektor Dołobrzeski miodem raczył, i choć bardzo trzymaliśmy umiar, to jednak mieszanie takowe sposobne jest rozumem zakreścić, albo i obalić człowieka.

— Sański szczupak, panie sotniku, którego nam tu nie brakuje, chroni od takiego zła — odrzekł Krzywosocha. — Tylko go nie oszczędzajcie. A też i nie zebraliśmy się tutaj dla głów zatrucia, tylko dla wspomnienia człowieka, co przez dwadzieścia pięć lat powstrzymywał Bołkan od parcia na północ, bez czego nie byłoby już Hornosławii, a i losy naszego księstwa mogły się gorzej toczyć. Mamy też nadzieję pomówić z wami, panowie sotnicy, o niejasnych wydarzeniach na Ponestrzu, bowiem razem z wieścią o śmierci atamana Lonowego nadeszły stamtąd i inne nowiny skłaniające do niepokoju.

— Jakie, panie poruczniku, i jaką drogą, jeśli wolno to wiedzieć? — spytał Iwanko.

— Przybył wczoraj wieczorem do Krzywych Stoków starszy czumacki od Samomliki, z ochroną własną wzmocnioną atamańskimi z Hryzotowej Wody, niejaki Karakulny. Przywiózł od sotnika Tuzguna pieniądze zdobyczne, z podziału naszym chorągwiom przypadające, i pismo do księcia Józefa. Ponieważ wasz ataman nakażny prosi księcia, żeby was z treścią pisma owego zapoznał, i daje do zrozumienia, że niejasności w nim zawarte wy właśnie zechcecie wytłumaczyć, kazał mi je książkę po prostu wziąć ze sobą, żeby nie przekreślić zdań z wyraźnego zamiaru nie dopowiedzianych. Pismo nie jest krótkie, więc nie wiem, czy treść opowiedzieć i tylko w dwóch miejscach w papier zajrzeć, czy całe przeczytać?

Iwanko nie miał wątpliwości:

— Sotnik Tuzgun umie i w mowie, i w piśmie pomiędzy słowami to i owo pomieścić. Jeśli to więc za zgodą księcia, i jeśli mamy coś z pisma wyjaśniać, to wolimy całość usłyszeć.

— I ja myślę, że tak lepiej — zgodził się porucznik. — W takim razie światło trzeba zrobić, bo już ciemnawo.

Przywołana przez Staśkę służąca właścicieli stancji zapalała świece roztrzęsionymi dłońmi, i jakby nie dostrzegając w izbie nikogo więcej, na Krzywosochę tylko rzucała lękliwe spojrzenia, niczym dziecko, które pierwszy raz widzi wilka, znanego dotąd tylko z pouczających bajek. Gdy wyszła, porucznik, dobywając z kieszeni skórzany woreczek, a z niego poskładany, pokaźny płat papieru ze złamanymi, nie odpadłymi jeszcze pieczęciami, zwrócił się niespodziewanie do córki księżęcej:

— Jesteś tu z nami, księżniczko Liwonko, za przyzwoleniem twojego ojca. Wierzy on, a wiarę tę ja mu podszeptuję, że dorostał już do tego, aby stykać się ze sprawami wagi bardzo wielkiej. Rozumiesz zapewne, że dla siebie samej musisz zachować niektóre rzeczy tu usłyszane, i pojmujesz też, myślę, które poimiennie.

Księżniczka odpowiedziała ni to z kpiną, ni to z przejęciem:

— Widzę, panie poruczniku, żeście mnie z ojcem w jeden miesiąc z dzieciństwa do dorosłości podnieśli. Choć nie do pojęcia jest nagłość tej przemiany, to rzeczonyj wiary waszej zawieść nie myślę.

Krzywosocha przesunął po stole lichtarz dla lepszego oświetlenia trzymanego w dłoni pisma, i czytał:

Koniuszyna, dzień siódmy miesiąca września,
2263 roku. Hawryło Tuzgun, sotnik,
ataman nakaźny Ziemi Ponestrzańskiej do
wyboru następcy atamana Lonowego,
księciu sańsko-wysołockiemu, Józofowi
Rzozie--Siewnemu pozdrowienie śle
i życzy zdrowia zawsze dobrego.

Panie Księżę! Powiadamiam cię z wielkim smutkiem, że wczoraj zmarł po długim i męskim ze śmiercią zmaganiu nasz ataman Łewko Lonowy. Wybór jego następcy wyznaczono na ostatni dzień września.

Panie Księżę! Po pięknym dowodzie przyjaźni, jaki dałeś wspierając nas przeogromnie ciężką jazdą w wojnie z Bołkanem, mam za właściwe powiadomić cię także o tym, że po wyborze nowego atamana mogą u nas zajść zmiany niedobre, zdolne przyjaźni tak młodej Ponestrza z Księstwem Sańsko-Wysołockim korzenie podciąć. Jak wiesz zapewne, przyczyną choroby i śmierci atamana Lonowego było rażenie strzałką zatrutą. Przedtem jeszcze zgładzono w ten sam sposób najlepszego z możliwych jego następców, sotnika Jizaka, a na samym końcu sierpnia trzeci raz posłużyli się zdrajcy-skrytobójcy trucizną wobec sotnika Sidlarenki, który draśnięty zmarł po dniach pięciu. Usunięto więc dowódców zdolnych, znanych i lubianych po to, żeby droga do buławy atamańskiej stała otworem dla jakiejś miernoty. Domysłem moim, kto i kogo tak po trupach pcha do władzy, w piśmie dzielić mi się niezręcznie, lecz muszę tu napomknąć, że dla niejakiich przyczyn cała ta sprawa przeohydna i tobie, Panie Księżę, nie powinna być obojętna. O tej rzeczy kończąc wspomnę jeszcze, że masz możliwość. Panie Księżę, niedaleko swej stolicy zasięgnąć o tym odrobinę więcej wiadomości. Teraz, Panie Księżę, o należnym twojemu wojsku udziale w zdobyczy wojennej. Porachowawszy wedle naszego prastarego prawa i obyczaju uznaliśmy, że chorągwie twoje

zdobyły sto dwadzieścia tysięcy gwiazdek wielkobołkańskich w złocie, z czego — dalej podług naszych praw — ćwierć należy się skarbowi Księstwa, ćwierć dowódcom chorągwi i rot po równo, a dwie ćwierci żołnierzom do podziału, także po równo. Przypadają też twoim znakom zdobyczne konie i broń, lecz tu rachunku nie czyniliśmy, bowiem nam nie brakuje szabel ani mierzynów, zaś cięższej jazdy w żadnym Malwiańskim Kraju długo jeszcze nie będzie się tworzyć. Wolną mając w tej rzeczy rękę, postanowiłem oddać ci, Panie Książę, wszystkie wzięte na wojskach bołkańskich konie, pałasze i dziryty, i ośmielam się namawiać, abyś je wziął, Panie Książę. Tak bowiem będzie, że w roku przyszłym wolnych chłopów będziesz musiał uzbroić, do czego przyda ci się dziesięć tysięcy bołkańskich pałaszy, pięć tysięcy dzirytów i sześć tysięcy koni wcale dobrych. Aby mi zaś wybór nowego atamana nie przeszkodził, powierzyłem odpłatnie przewóz i przepęd pomienionej zdobyczy do twojego kraju, Panie Książę, Domowi Samomlików z Hryzotowej Wody. Z tej przyczyny owe sto dwadzieścia tysięcy gwiazdek pomniejszyć musiałem o cenę, jakiej Samomliko za usługę zażądał. Pismo moje razem z pieniędzmi przejmując, zechciej od razu, Panie Książę, umówić się ze starszym czumackim co do miejsc odbioru koni i rzeczonych ładunku. Co się tyczy dzirytów, to potwierdzą dowódcy ciężkich znaków, że od tej niepozornej włóczni miotanej tylko wojsko wybornie wyćwiczone może strat większych nie ponosić.

Panie Książę! Dla przyczyn, które z wcześniejszych linijek pisma mojego można wyczytać, potrzebne jest zapoznanie z jego treścią sotników naszych, co się teraz uczą w Lewosańsku.

Z pozdrowieniem ponownym — Hawryło Tuzgun.

— Więc jeszcze i Sidlarenkę... sucze pomioty! — warknął półgłosem Staśko, gdy Krzywosocha skończył czytać.

— To już po waszym wyjeździe?

— Tak, panie poruczniku; dziesięć dni przed końcem sierpnia wyruszaliśmy z Koniuszyny.

— Lonowemu pamięć i cześć; zdrajcom Ponestrza na pohybel! — uniósł kubek pułkowy Przytarczyk.

Wojskowi wypili pełne kubki; dziewczyny poprzestały na połowie. Krzywosocha powiedział z jawnym zadowoleniem:

— Z woli waszego atamana nakaźnego, panowie sotnicy, staliśmy się sobie nawzajem, przynajmniej na ten raz, powiernikami. Na później odłożę wyjaśnienie, czemu nie sam książę osobiście, lecz ja w jego imieniu o piśmie pana Tuzguna mam rozmawiać. Pozwólcie na pytanie, które kluczem jest do zrozumienia niedomówień pana sotnika Tuzguna: Skoro jest on atamanem nakaźnym ziemskim, to, jak pojmuję, musiał go na ten urząd sam Lonowy mianować, a to zaś powinno dawać mu niejakię pierwszeństwo wśród stojących do wyboru. Czemu więc Tuzgun z góry przyjmuje, że wybrany nie będzie?

— Bo za krótko jest sotnikiem, to pierwsze, w wojnie nad Pyrutem pracę wagi niezmiernej prowadził, lecz dla oka mało widoczną, to drugie, a trzecie i najważniejsze — to ogromny już wysiłek i niemałe pieniądze, jakie włożyli biskup Stufanny i atamanowa Terezja w jego oczernianie.

— A o cóż tym dwojgu chodzi?

— Stufannemu o to, żeby atamanem został człowiek bez honoru, który w przyszłorocznej waszej potrzebie nie odwzajemni się księciu Józofowi pomocą zbrojną. Atamanowej zaś, od dwudziestu lat przez męża odepchniętej, i śmiertelnie rozżalonej, że syna leniwego, Eneja, ojciec za uszy do powodzenia i sławy nie wyciąga, ponad wszystko zależy, żeby tegoż tępego i gnuśnego Eneja do atamańskiej dopchać buławy. Tak więc w wyborze Encja zbiega się dokładnie korzyść obydwójga.

— O tego Eneja istnieniu pierwszy raz słyszymy...

— Bo i nie było o kim słyszeć. Z największym trudem, niewiele przed trzydziestką, dziesiątą zdołał się dostać. Teraz ojciec, słabości jakiejś ulegając, dał mu pole do popisu: powierzył zaciąg nowej sotni atamańskiej, obiecując za dobry wynik buzdوغان nad nią i podniesienie na sotnika. Na to tylko atamanowa czekała! O ten dobry wynik pieniądze zadbała, a potem, nad Pyrutem, pierwszą sławę, niezmiernie uporczywie rozgłaszaną, przyniosło Enejowi świetne jakoby, a w samej rzeczy upozorowane, z góry z wrogiem umówione zwycięstwo.

— A co biskupem powoduje, że naszej szkody pragnie?

— Polecenie, panie poruczniku! Polecenie od arcybiskupa z Bożej Góry, jakie ten wystąpił do Stułannego zaraz potem, jak się bożogórski książę dowiedział o pomyślnym wyniku naszego w czerwcu postowania do Krzywych Stoków. Wiemy nawet, jak ono w tym przedmiocie brzmiało: „Przymierzu Rzozy-Siewnego z Ponestrzem ze wszystkich sił przeszkodzić!”

— Całkiem to pewne, panie sotniku?

— I pewne, i dziwić nie powinno. Arcybiskup przecież u swego księcia w kieszeni, ten zaś osobiście był w maju w Tyśmiercu, gdzie razem z księżną Igą i rzeźnikiem Rednerem uradzili przygotowania do wojny, co w połowie roku przyszłego ma od was oderwać i do Wiprzeńskiego Księstwa przyłączyć nie tylko sporne ziemie u źródeł Wiprza, lecz i dużo więcej, bo aż po jakąś rzekę... Tanę., czy podobnie jakoś.

— Tanwę — pomógł porucznik.

— Tak właśnie.

— Niebywały ma Ponestrze rozgląd! — ze smutnym zachwytem przyznał Krzywosocha.

— Miało, panie poruczniku! Ataman z sotnikiem Sidlarenką mieli, wiele lat go budując. A rozgląd zawsze taki, jakie nań pieniądze przeznaczane.

— To prawda, niestety — westchnął porucznik. — I dlatego właśnie połowy z tego nie wiedzieliśmy, co dzisiaj od ciebie usłyszałem, panie sotniku.

— Czyli — ponuro mruknął Przytarczyk — zostaliśmy jednak tylko ze Świętogajem...

— Pozwól jeszcze, Wicie, panie pułkowy — pytaniem ostatnim do panów sotników sprawę pisma Tuzgunowego zakończyć! Czy zabójstwa atamana Lonowego i ostatnich dwóch morderstw dokonano, wedle wiedzy i przypuszczeń pana Tuzguna i waszych, za zgodą biskupa Konstantyna Stułannego?

Pierwszy odpowiedział milcząco niemal od początku spotkania Staśko:

— Czy za zgodą, to trudno orzec, lecz jeśli o tym nie wiedział, to tylko dlatego, że wiedzieć nie chciał.

Iwanko wyraził pogląd ostrożniejszy:

— Biskup Konstantyn prawym człowiekiem nie jest, to pewne, lecz w zażyłej od dawna będąc przyjaźni z tą babą limbiańskiego pochodzenia, o kształtach maciory i duszy zmiji, mógł być przez nią sprytnie okłamywany. Nie ma podstawy wyraźnej, żeby go o zgodę na skrytobójstwa pomawiać.

Pułkowy Przytarczyk, co raz okazujący swoje wyniesione z wojny nad Pyrutem obznajomienie z ostrą palonką i od wielu chwil znajdujący w tym tylko towarzystwo smętnie popijającego Staśki, odezwał się z podchmielonym zniecierpliwieniem:

— Jeśli skończyłeś, panie Marku, poruczniku, to dopuść mnie do głosu nie rozwlekłego! — I nie czekając na odpowiedź mówił dalej: — Sotnik Iwanko Hołod, pod którego czerwonym piernaczem miałem naukę i przyjemność niedawno paręnaście dni służyć, w ogromnej będąc niedosile rozwalił z najpełniejszym spokojem do ostatniego ostatka ćwierć siły wojennej

Bołkanu, i odtąd ja pewien jestem, że jego jakowyś bóg wojny w tyse czoło pocałował. Niechże on teraz powie, co uczyniłby na naszym miejscu?

— Mam odrzec całkiem poważnie? — spytał Iwanko sięgając po pełny kubek.

— Nie inaczej, panie sotniku!

— Przez jesień i zimę powiększyłbym wojsko powołując i zbrojąc dobrowolne drużyny wolnochłopskie. Na końcu kwietnia obsadziłbym nimi donajecką granicę, i wyprzedzając o dwa miesiące najazd wiprzeński, razem z siłami księcia Świętogaja poszedłbym ze znakami ciężkimi, drużynnymi i najlepszymi z lekkich sztyletowym uderzeniem prosto na Tyśmieniec. W dwa tygodnie po Tyśmiencu wziąłbym Bożą Górę. W obu tych stolicach posadziłbym władców skłonnych do dawnej małolackiej współpracy, zaś Igę i starego bożogórskiego Żywistawa za knowania niegodne i zbrodnicze potrzymałbym ze dwa lata w Krzywych Stokach.

Księżniczka Liwonka i Radka Czowniar krótko zaklaskały w dłonie, a pułkowy Przytarczyk uśmiechnął się z dumą i powiedział:

— Ot, co! Tak właśnie! Śmiało!

— Pewnie, że śmiało trzeba — chłodno zgodził się Krzywosocha — i będziemy namawiać księcia, by przyjął zamysł podobny temu, jaki pan sotnik podpowiada. Bierzmy jednak na uwagę, że nasze wojska nie mają luźnych wierzchowców, więc daleko im nawet do połowy tej chyżości niespodzianych dalekich przemarszów, w jakich biegli są Malwianie. Nie potrafimy też sporządzić zapasów gotowej a posilnej żywności trwałej, jaką można by na jucznych nosić, przez co ciężkie kuchnie musimy na wozach wlec ze sobą. Chorągwie pancerne nie są w stanie całego swojego uzbrojenia na sobie i przy sobie nosić w pochodach; muszą część składać na wozach. Dla tej to naszej miernej ruchliwości nie możemy liczyć na pełne wroga zaskoczenie, a tymże samym poddana nam przed chwilą przez pana sotnika Hołoda śmiałość wyprzedzającego uderzenia w części tylko jest dla nas wykonalna. Mówię, rzecz jasna, tylko o działaniu przeciw Idze, bo o pójściu na Bożą Górę księżę Józof nawet słyszeć nie zechce, choćby go do tego nakłaniał sam księżę Świętogaj.

Łusy Iwanko szczęknął niegłęboko jęlcem szamszyrki o okucie pochwy na znak obstawania przy swoim.

— Panowie oficerowie! — powiedział ze wzmocnioną wypitymi kubkami palonki pewnością siebie. — Skoro, nie wiedząc kiedy, rzeczowo zaczęliście o tamtym moim przedłożeniu mówić, to pozwólcie coś odpowiedzieć na to przez pana porucznika zimną wodą oblanie! Przeciwnik, zważcie, jeszcze mniej ruchliwy od wojska sańsko-wysołockiego. Po wtóre, tylko powszechniejszego użycia koni luźnych nie da się w pół roku, ani za rok nawet u was zaprowadzić, wszystko zaś inne jest czas poprawić. Trzeba poprzez Samomlikowe bractwo nająć na łowyniu Wysokim ze dwudziestu ludzi biegłych w sztuce wędzeń i podsuszań mięs dwuletniej trwałości i zarazem sprowadzić stamtąd suche zioła do tego potrzebne. Tym sposobem można przez zimę przygotować zapasy posilne dla wojska, i kuchni z wielkimi kotłami nie będzie trzeba ciągnąć. Też przez zimę kowale tutejsi powinni wyrobić małe kociołki, sposobne do noszenia w jukach, a jak dość nie zrobią, to trzeba resztę w Hryzotowej Wodzie dokupić. Co do broni ciężkiej jazdy, to dostrzegłem, że to i owo bezpotrzebnie wozicie. Przemyślawszy rzecz roztropnie, można będzie na juczne konie ładować wszystko, co ciężkozbrojnym potrzebne. Pomienione wystarczy, żeby bez luźnych wierzchowców zwiększyć zwawość przemarszów co najmniej o ćwierć. Zimowo-wiosenne przygotowania musi się utrzymać w surowej tajemnicy, czego księżęca drużyna, myślę, potrafi dopilnować. Wsparcie Księstwa Gór Jodłowych powinno przeprawić się przez Wisutę w czasie dokładnie umówionym, a w miejscu choćby najtrudniejszym, ale do przewidzenia dla wiprzeńskich

niemożliwym. Wyjście waszych wojsk, o dwa, powiadam, miesiące musi wyprzedzać wybrany przez wroga czas najazdu, lecz przedtem posłałbym ze dwa lekkie a wytrwałe znaki, żeby najgorszymi bezdrożami obeszły wiprzenskie czaty graniczne i zdjęły je cicho od tyłu. Jeśli tak postąpicie, to tysą swoją głowę daję, że zaskoczenie się uda i cały zamysł powiedzie się przy znikomości strat. Natomiast sposobiąc się tylko do obrony i czekając na najazd, narazicie się na przegranie wojny, bowiem wsparcie Cesarstwa dla Tyśmienieckiej może się okazać bardzo znaczne. Takie moje zdanie!

— Mnie się to twoje zdanie, panie sotniku, zaczęło całkiem podobać, a to już coś znaczy! — powiedział Krzywosocha. — Dlatego spodziewajcie się, panowie sotnicy, następnych naszych najść na waszą stancję, bo jeśli ksiązę na rzeczony porządek działań przystanie, to nie odmówicie głosów waszych w możliwych paru naradach nad szczegółami. Może też być, że zaprosi was ksiązę Józof do siebie.

Iwanko nagle spowaźniał i posmutniał. Namysłał się chwilę nad następnymi słowami, poczem rzekł z goryczą:

— Postowaliśmy, przyrzekaliśmy, i oto Ponestrze na hańbę swoją i na nasz wstyd serdeczny obietnicy nie dotrzyma... Jasne więc, że przynajmniej pomysłem i radą ten wstyd odrobinę pomniejszymy, jeśli tylko sposobność będzie się trafiać, i jeżeli skromne nasze doświadczenie z nauką tu pobieraną zgodnie się będą we łbach układać.

— Takich słów nie chcę słuchać! — gwałtownie rozłościł się Przytarczyk. — Wasz wstyd?! Stary podlec Żywistaw, co się ongiś kręctwami i fałszem na seniora wyniósł, a teraz zwyczajnej zdrady się dopuszcza z łotrem Rednerem rozmawiając, i ten sługa jego, samozwańczy arcybiskup Teofil, mackami swoimi przeciw nam parszywie zamieszali w Koniuszynie — no to czyja to hańba, pytam się, do stu piorunów prostych i drzewiastych, i czyj wstyd?!

— Słusznie mówisz, Wicie, panie pułkowy, lecz się tak nie pobudzaj! — uspokoił go Krzywosocha. — Obdarzyła cię Opatrzność wesotym usposobieniem, to z niego korzystaj i nie mąć pogody ducha swojego, której ci wszyscy zazdroszczą. — I dodał półżartem: — U praźródła kłopotów zawsze była baba!

— Co masz na myśli? — spytał podejrzliwie pułkowy opadając z wybuchu złości.

— No, przecież cała nienawiść księcia bożogórskiego z tego się narodziła, że jego córki ksiązę Józof nijak nie chciał wziąć księżniczkom na macochę.

— Jużbym ja jej z siostrami tak dała pomacoszyć, że krew by jej z oczu pociekła! — wtrąciła Liwonka z zajadłością najwyraźniej zadawnioną.

— Diabli z nią, i z nimi wszystkimi! — wyraził życzenie Przytarczyk nie wyjaśniając, kogo do owych „wszystkich” zalicza. — Wypijmy za wieczny spokój zmarłego atamana!

Sański szczupak istotnie łagodził skutki mocnej palonki, kiedy bowiem nieco po północy z garncowej beczutki rozlano ostatnie krople, wszyscy byli dobrze podchmieleni, lecz nikt — pijany. Rwały się niekiedy wątki rozmów, gwarnych, lecz nie krzykliwych, przeskakiwano ze spraw niedokończonych na nowe, nie było jednak śladu pijackiej bełkotliwości, ani też niczyj umysł nie zbliżył się do tego stanu przymroczenia, który rodzi zdania niedorzeczne. Księżniczka uparcie domagała się od Krzywosochy wytłumaczenia, czemu ten nie wydziela jej napitku, ani nawet nie zwraca uwagi, czy nie przebiera przystojącej dziewczynie miary, aż wreszcie usłyszała:

— Przecież wiem że ci to nie pierwszyzna, to cóż będę nieświadomego udawał, księżniczko.

— Znaczy, że nie wszystko na nas donosiłeś ojcu, aniele surowości?

— Jakbym ćwierć donosił, to wielokroć ksiązę czas znalazłby, żeby tobie i Żwance pasem siedzenia wygrzmocić. Tyle wie ksiązę o waszym brykaniu, ile wiedzieć musi.

Iwanko ośmielił się zadać pytanie, które wcześniej wydawało mu się niestosowne:

— Czemu, panie pułkowy, arcybiskupa Teofila nazwałeś samozwańczym?

— Nie wiesz?! Tylko nasz biskup, nasz, mówię, lewosański, jest prawowity, bo on jeden przed odcięciem wyświęcony i mianowany przez Ojca Świętego. Inni tacy po wymierali już z ledwości.

— Lecz... nic się nie słyszy o biskupie lewosańskim...

— Bo on, nasz biskup Wojciech, lat ma już sto i sześć, to się wiele nie pokazuje. Ale na umyśle — nadal mocny. A coś to i ja miałem zapytać... Aha! Odebrałeś resztę pieniędzy, panie sotniku?

— Tak. Pamiętał o tym ojciec Dołobrzowski. Dzięki ci, panie pułkowy, za pozatwatwienie wszystkiego!

Przytarczyk zaczął nagle poklepywać się po wszystkich kieszeniach munduru. Zaniepokojony tym Krzywosocha uprzedził stanowczo:

— Mowy nie ma! Nie będzie żadnego posyłania po gorzałkę! Czas nam do domu!

— Nie róbże ze mnie moczypyska, Marku, bo cię wyzwę na piki ciężkojezdne! Jak sam co trzeba nie pomyślisz, to choć mnie pozwól! Trzeba przecież dać służącym i za pokrajanie ryby, i za zmywanie półmisków, stajennemu za potrzymanie konia panny Radki, a dla twoich drużynnych, za tyle godzin nudy w ogrodzie, wypadaloby w jakiej gospodzie po butelczynie kupić!

Gdy oficerowie dosiadali już koni, wybiegła za nimi Radka.

— Poczekajcie, panie pułkowy i panie poruczniku! Księżniczka pieszo, to i pieszo odprowadzi ją Iwanko lub Staśko, a mnie coś głowa cięższe i sen zмага; wracam już do siebie, i serdecznie będę wdzięczna, jeśli odrobinę drogi nadkładając, poeskortujecie mnie pod dom Rękojemskich.

Staśko przez cały wieczór był w nastroju ponurym, i tym to przygnębionym stanem swego ducha, którego palonka nie rozwiąta, a tylko bardzo wzmogła, wytłumaczył odmowę wyjścia na przechadzkę. Na usilne pytania Iwanki i Liwonki, co też za czarne myśli go obsiadły, najpierw tylko zgrzytał zębami, a w końcu odpowiedział:

— O wstydzie już mówię, Iwanko, i sprzeciw pana pułkowego nie zmazał go przecież. A do tego — dokąd po szkole wrócimy?! Pod buławę Eneja?! Znowuśmy niczym... jak osiem lat temu! Idę spać; może się jaka lepsza dola przyśni.

Nie namawiali go dłużej. Wychodząc poprosili siedzącą w sieni przy stoliczku służącą, by pośpieszyła się z uprzątnięciem stołu, bo sotnik Truba potrzebuje spokoju.

Główna lewosańska ulica była o tej popółnocnej porze ciemna, lecz jeszcze nie cicha. Z kilku bliskich i odległych gospod i zajazdów niosło się huczne granie; od czasu do czasu w zimnym, tchnącym już jesienią świetle poprzestanianego ogrodowymi drzewami księżycą ukazywały się grupki pijanych młodych ludzi, wracających po hulance na Postojowe Błonie, albo tylko zmieniających miejsce zabawy, krzykliwie rozprawiających w obcych przeważnie mowach, bądź pośpiewujących, najczęściej fałszywie. Uspokajająco stukały o wyboisty bruk podkute kopyta stępa idących koni, na których rzadkie dwójki żołnierzy z Piątej Chorągwi Drużyny Książęcej niespiesznie i czujnie przemierzały Lewosansk wzdłuż i wszerz, bacząc, by nie nadużywano ze starego obyczaju dozwolonej tu swobody.

Iwanko i księżniczka dość długo szli w milczeniu, on — z lubością wciągający w płuca chłodnawe przedranne powietrze, ona — leciutko się chwiejąca w taki sposób, jakby oczekiwała objęcia i podtrzymania jej ramieniem. Gdy skręcili w zaułek wiodący do stacyjnego domu Rękojemskich i przeszli połowę jego długości, Liwonka zatrzymała się

nagle i zastępując Iwance drogę zapytała z ledwie uchwytnym, ale niezwyčajnym u niej drżeniem głosu:

— Iwanko... na naszą Matkę Boską Lewosańska... czy ty nic nie czujesz i nic nie rozumiesz?

Łysy sotnik postąpił krok i oparł się plecami o gęsty płot czyjegoś pogrążonego w mroku obejścia. Długo namyślał się nad odpowiedzią, nim wreszcie zaczął głosem ściszym, dość spokojnym, a jednak odrobinę nadłamanym:

— Wypada mi odpowiedzieć uczciwie, jak na to zasługujesz, bo szanuję ja ciebie, Liwonka. To, jak w jednej chwili potrafiłaś posłuchać ojca Naswojskiego i wyzbyć się w szkole wszelkiej księżęcości, upewniło mnie raz na zawsze, żeś niezmiernie wiele warta. Pokazałaś przez te parę tygodni, że z ciebie dziewczyna mądra i prawa, że odnosisz się do innych wedle ich cenności człowieczej, a nie podług ich urodzenia i majątku; któżby się tego po księżniczce mógł spodziewać... Szanuję ja ciebie... i muszę odrzec najuczciwiej... i nie dotknąć dumy twojej prawej. Ty mi trochę pomóż, starając się myśli moje rozumieć do cna.

Przerwał; czekał na jakieś jej słowo, które pozwoliłoby mu zdławić wzbierające w nim głuche rozżalenie. Liwonka stanęła obok niego i również oparła się plecami o chropowate deski płotu. Powiedziała z pozoru twardo, lecz pod suchością jej głosu była odrobina płacziwej niepewności:

— Mów dalej, Iwanko! Powiedz wszystko, skoro przynajmniej pojąłeś, o co cię zapytałam.

— Tak... Powiem wszystko, bo ja już ze dwie całe noce nad tym myślałam. I własna dusza tak kazała, i — może — terazniejszą rozmowę przeczuwałam. Tyś córka władcy. Z tobą księżę musi wiązać zamysty jakieś co do następstwa, jeszcze dalekiego... A kim ja? Człowiek bez ojczyzny rodzonej i bez przybranej. Żołnierz-najmita, z żołdu żyjący. Dachy nade łbem od dzieciństwa żadnego, tylko płótno namiotu, albo powała izby koszarowej, a i to, jak dziś usłyszałaś, już się skończyło. Staśko prawdę powiedział: znowusmy niczym. Jak stąd odjedziemy, to nawet służyć nie będzie gdzie, bo nie pójdziemy pod Eneja, nie będziemy wojskiem jego spaśnej matki i jadowitego biskupa, a ci dwoje przecież będą teraz rządzić na Ponestrzu. A do tego jeszcze, Liwonko, w moim sercu pełno nienawiści! Zna ono wdzięczność, bo trafili się ludzie, co ją obudzili, ale dla miłości miejsca w nim nie zostało. Jakże mnie, takiemu, za księżniczką oczy obracać?! Jakże mi myśleć o tobie?! Czy ty chcesz, żeby mnie twój ojciec kazał drużynnym do Wiszniowej Bramy odstawić, kopniakiem na Wysoki łowyń przepędzić; żeby mi zakazał stopy na waszej ziemi postawić, i żeby na dodatek pełną miał w tym słuszność? Zaś ty sama, siedemnaście lat mając, skąd wiesz, że ci się za dwa tygodnie nie odmieni? Skądże możesz mieć pewność, że to wszystko nie zachcianka twoja chwilowa, jakich i dziesięć następnych, przy wieku twoim, ujmy ci żadnej nie przyniesie? I cóżeś takiego we mnie ujrzała, czegobyś u stu innych nie miała zobaczyć?!

— To tyle tego było? — spytała Liwonka kpiąco i niespodzianie wesoło, odskakując od płotu i kładąc dłonie na ramionach Iwanki.

— A niedość?

— Pewnie, że niedość! To ty, co dziesiątki sotni w bój rzucateś, co się tysięcy najwścieklejszych wrogów nie przestraszyteś, chcesz teraz stchórzyć przed dziewczyną dlatego tylko, że ona z rodziny księżęcej? Uleciała z ciebie sokola śmiałość malwiańska? Tylu głupot, co przed chwilą, to ja jeszcze nie słyszałam na raz, ale zdradziłaś pomiędzy nimi, że nie jestem ci niemiła. I o to mi szło! Z całą resztą dam sobie radę. Ja słuchałam cierpliwie, teraz słuchaj ty! Pouczyła mnie Radka, że wobec was słów o kochaniu nie wolno lekko wypowiadać, więc takowych nie będzie. Lecz wiedz i zapamiętaj, że jak ja czego z samej duszy zapragnę, to mnie od tego sto koni nie odciągnie. Czy to nie zachcianka moja, czy mi się nie odmieni, to ci czas

pokaże; pośpiechu nie ma, młodzieńcy obydwój, poczekamy i doczekamy. Pytasz, co w tobie zobaczyłam? Obyś tego sam za wcześniej nie zobaczył, bo mogłoby ci się w głowie przewrócić. Że w sercu twoim nienawiść? A cóżby tam miało być, skoro ci jako dziecku wszystko bez litości zabrano?! Lecz pojęcia nie masz, ile tam jeszcze miejsca! A co do ojca mego, następstwa, krzesła z orłami książęcego — to brednie! I beze mnie następczyni o dwie za wiele, a ja się do władzy nie urodziłam, lecz do życia wolnego. Co to jeszcze? Że domu nie masz, ani ojczyzny... Po co ci dom beze mnie? A ojczyzna twoja, Iwanko, nie zniknęła ze świata. Odbierzesz ją. Ja po obłokach nie latam, ani ze mnie nie gorączka; pojmuję, że jeszcze nie dziś nasz czas, że przyjdzie poczekać, lecz nie tak znów długo. Tylko pamiętaj: ja ciebie na niezręczność nie wystawię, i wszystko, co z pochodzenia mego, na siebie biorę, a ty za to myśl o mnie jak o zwykłej dziewczynie, zgoda?

— Pewnie, że zgoda, Liwonko.

— No to pocałuj na tę zgodę!

— Kiedy nie umiem... Nie przytrafiło się jeszcze...

— A mnie, to myślisz, że się zdarzyło? Wszystko musi się kiedyś przydarzyć pierwszy raz.

* * *

Na wojskowym pasie, rozpiętym między klamką drzwi do izdebki łaziebnej, a oparciem krzesła, łusy Iwanko ostrzył szablę tym samym sposobem, jakim ostrzy się brzytwy przed goleniem. Czynił to starannie i cierpliwie, przytrzymując kolaniem przesuwające się od naprężenia pasa krzesło i co jakiś czas sprawdzając wynik swego żmudnego zabiegu na rzadkich, ciemnych włoskach przedramienia.

Staśko Truba zajęty był przy stole pracą uczniowską. Postępując z cicha, jakby pchał przed sobą ciężką kłodę, wysuwając raz po raz koniec języka spomiędzy warg niczym złotnik wykończający igłowym rylczykiem najwymyślniejszy pierścionek, zanurzając w kałamarnu obsychające w chwilach namysłu rogowce pióro, pisał w swoim „zeszycie czystym”:

Dzisiaj zapisuję za dwa dni na raz, bo wczoraj inne sprawy przeszkodziły. Więc wczoraj, to jest w dniu siedemnastym października, pan nauczyciel Błażej Przezwan zdążył nam urządzić w Piorunowym Ogrodzie aż trzy zajmujące pokazy. Najpierw wlewaliśmy długim a wąziutkim korytkiem maź brudnotęczową do przykrytego garnka. Jak jej tam już było ćwierć garnca, znaczy się jeden litr, zasiedliśmy z dala w trawie i widzieliśmy pierwszy czarny bochenek, jak przyleciał żwawo, pokręcił się wolno wokół garnka i odleciał prędko jak strzała. Poczekaliśmy z ćwierć godziny, potem dolaliśmy korytkiem jeszcze trochę mazi i schowaliśmy się w rowie, skąd ujrzeliśmy ponowny przyłot bochenka. Tym razem nie kręcił się, przepłynął tylko nad przykrywką i oddalił spiesznie ku niebu. Teraz trzeba już było schować głowy, bowiem w chwil parę prosty piorun, dość nawet słaby, trzasnął w garnek, rozniósł go i maź zapaloną rozrzucił kroplami, ale dołu w ziemi nie zrobił. Drugi pokaz był podobny, tyle że tyczył się ładunków do kałasza. Najprzód pan Przezwan trzy takowe zawinął w szmatę i położył w trawie, i nic. Potem dotoczył do tamtych ładunek czwarty, którego dla bezpieczeństwa nie miał przy sobie, tylko cały czas od szkoły był on w kieszeni u jednego z uczniów. Cztery ładunki razem już czarny bochenek przyciągnęły, lecz skończyło się na jego pofruwaniu i odlocie. Kiedy jednak z pomocą długiej nitki dociągnęło się do tamtych piąty, to czarny zwiadowca przemknął nam nad głowami z chyżością przeraźliwą, nie zniżając się nawet, i zaraz potem grzmot pioruna prostego półmetrowy dół tam zostawił, gdzie ładunki tężały. Potem przeszliśmy nad sam brzeg Sani, żeby się przekonać co do szerokości mostków, która większa być nie może, jak na dwa z połową metra. Był przygotowany, z brzegu w rzekę wchodzący na dwadzieścia kroków, pomost

byle jaki powiedzianej szerokości. Poszerzywszy go tylko o spuszczoną z prądem deskę, co do niego przylgnęła, zobaczyliśmy jego zdruzgotanie na szczapy płonące uderzeniem z nieba, i szkoda przy tym ryb bardzo licznych, co od pioruna zginąwszy brzuchami do góry rzeką spłynęły. Ważne bardzo, że jeśli taki pomost nie jest na dwadzieścia kroków długi, lecz tylko na dwanaście, to wtedy może sobie mieć nawet sześć metrów szerokości. Dzięki temu używa się bezpiecznie na wielu przeprawach promów rozmiaru nieraz bardzo znacznego.

Z przewidzianych zostało do obejrzenia już tylko jedno doświadczenie w Piorunowym Ogrodzie, co ma nas nauczyć, że placyk większy, na ten przykład przed domem czy jakim pałacem, jeśli równym kamieniem wyłożony, to musi być przekładany pasami murawy, bo go inaczej proste pioruny wezmą za kawałek sztucznokamiennej drogi technoczesnej i podziurawią głębokimi dotami. To jednak odłożył pan nauczyciel aż do wiosny, bo tym czasem Szkole brakuje niejakich sprzętów do tego pokazu potrzebnych, zaś na razie dowiedzieliśmy się tylko, że ten piorun od dróg dziurawienia innego od poznanych jest rodzaju, i bardzo niebezpieczny, bo mało celny, a szczególnie mocny.

Dzisiaj zaś pan nauczyciel Prot Piołun dał wykład niezmiernie zajmujący z dziejoznania, a to o Cesarstwie Północnym. Na samym początku zwało się ono Księstwem Przymorskim, później Królestwem Przymorskim, następnie Królestwem Północnym, aż wreszcie teraźniejszą przybrało nazwę. Stolica jego, Królogród, w tamtejszej mowie to samo znaczy, lecz paskudna jest do wypowiedzenia, tak że nawet pan Piołun z kłopotem to słowo wymówił. Leży nad Szarym Morzem w tej właśnie okolicy, gdzie się państwo to wylęgło. Żyli tam ludzie mienieckiej krwi przemieszani ze słowomownymi, i wszystko, co tylko u jednych i drugich najgorsze, jakoby przetopiwszy się razem, dało całą tę wszechstronną obrzydliwość, jaka legła podwaliną pod rozrost tego mocarstwa rozbójniczego, przewrotnego a nienasyconego. Pierwsze jego podboje ogarnęły ziemie i ludy wokół Szarego Morza, skąd miejscowych zbójów lądowych i morskich, złodziei i wszelakich łotrów najgorszych brali władcy Królogrodu na oficerów do swego wojska, by im potem za krwawe zasługi nadawać włości w krainach podbitych, powiększając tym liczebność wiernej sobie lepszeci. W nowszych czasach, ogromne już i mocne Cesarstwo urządziło w Królogrodzie stolicę nazywanego tak Kościoła Północnego, opartego na niebywale poprzekręcany obrządku mienieckim, zaś najwyższy arcybiskup tegoż Kościoła dostał, nie wiadomo od kogo, prawo koronowania królów, wielkich książąt i cesarzy. To pozwoliło Cesarstwu Północnemu w wielu miejscach bez wojen pochłaniać nowe krainy, bowiem niejedynemu książę czy nawet i król w zamian za „prawowitą i świętą” jakoby koronę przyjmował niewinnie zwaną „opiekę cesarską”, czyli stawał się wasalem Królogrodu. Tym właśnie sposobem Cesarstwo ogarnęło Królestwa Mienieckie, Rakuskie i Wettostawii, a rok temu wzięło jeszcze położony bardzo daleko na zachodzie Lafrans. Na wschodzie zaś zagrabił Królogród przeogromne, małoludne krainy, aż natknął się gdzieś niezmiernie daleko na opór niejakiego Uratsybu, o którym to państwie tyle tylko wiadomo, że się tak właśnie nazywa. I tamże gdzieś, bardziej na południe, dotknęło Cesarstwo ziem wasali szijjickiego mocarstwa i kawałek granicy sobie z nimi ustanowiło. Pomimo nieprzerwanej od paru dziesięcioleci wojny z Uratsybem na wschodzie, i drugiej na zachodzie, z wyspowym Inghlandem, bezlitośnie tępiącym na morzach cesarskie okręty, teraźniejsza cesarzowa Ergarda wzmogła napór na południe...

Staśko nie dokończył spisywania w „czystym zeszycie” treści wykładu o Cesarstwie Północnym, a Iwanko tylko części klingi swej szamszyrki zdążył przywrócić brzytwą ostrość, gdyż przerwał im te zajęcia dobiegający sprzed domu stukot kopyt co najmniej dziesięciu koni, a wnet potem weszli do ich izby podporucznik Bratmił Czymranek i dziesiętnicy Sereżka i Perewesło, którym to sotnicy zdali przed wyjazdem z Koniuszyny Pierwszą i Drugą

Atamańską. Nim sotnicy ochłonęli z oniemiałego zdumienia, i zanim uściskali swych zastępców, młody podporucznik zaczął wyjaśniać:

— Panowie dziesiętnicy lecieli otóż Szlakiem z piątką ochrony, a że to ani kupcy, ani poselstwo, więc zatrzymali ich moi ludzie koło koszar na rozjeździe, tam gdzie my się poznaliśmy, panowie sotnicy, żeby spytać, od kogo i do kogo jadą tak wojskowo odziani i przy broni. Z dogadaniem było trudno, bo ani oni po naszymu, ani moi druzynni po waszemu, więc mnie przyzwano, że to malwiańską mowę jako tako łapię, a i trochę nawet w niej bałakam. Okazało się, że panowie dziesiętnicy do was jadą z rozterkami bardzo niewesołymi od waszych sotni, a że akurat miałem się na wieczór wybrać z oddziałkiem do Lewosańska w służbowej sprawie, to pojechaliśmy razem, żeby was tu długo szukać nie musieli. Ochronę panów dziesiętników zaprosiłem do koszar na druzynny posiłek i na nocleg gościnny, żeby im oszczędzić wydatku niemałego za nocowanie w jakimś tutaj zajeździe, a z tejże przyczyny i samych panów dziesiętników chcę do siebie zabrać na noc, bo i po cóż zbędne wydatki. Robotę moją służbową dopiero po zmroku mam wykonać, a że mi przedtem kręcić się z żołnierzami po Lewosańsku dla przyczyn pewnych nieporęcznie, to do tego czasu, jeśli Szarpaczom nie zawadzi, w ogrodzie poczekamy.

Sereżka wsłuchiwał się z natężeniem w słowa Czymranka, i teraz odezwał się żywo po malwiańsku:

— Jak to, co chcemy mówić, poprzez tego pana oficera może dojść do władcy tutejszego, to prosimy, żeby doszło. Pan sotnik Tuzgun uważa, że księżę sańsko-wysołocki powinien dokładnie wiedzieć, co się dzieje na Ponestrzu.

Łusy Iwanko zwrócił się do Czymranka:

— Prosimy, panie podporuczniku, żebyś z nami został, skoro akurat czas ci na to pozwala, i żebyś sam, albo przez pana Krzywosochę, powiadomił księcia o rzeczach tu usłyszanych.

— Jeżeli takie wasze życzenie, to je spełnię — zgodził się druzynny dowódca z wyraźnym zdziwieniem.

Usiedli wszyscy przy stole, i dziesiętnik Sereżka zaczął zdawać sprawę:

— Eneja wybrała połowa atamanów wioskowych, bo ostatym ludzie z Czwartej Sotni, tej Enejowej właśnie, w przeróżnaity sposób przeszkodzili dojechać na czas do Koniuszyny. Ci zaś, co Eneja wybrali, na jego koszt starannie zostali najprzód spojeni, a też przekupywani byli nachalnie. Już po południu w dniu wyboru nowy ataman mianował dziesięciu sotników, co do jednego ze swojej Czwartej, i z nich to wziął pięciu do nowej Izby Przyatamańskiej...

— Jeszcze wspomnieć trzeba — wtrącił Pereweso — że z onych dziesięciu, dwóch tylko drabów ponestrzańskiego jest pochodzenia, a ostali, to zwlecz hołotna, przed samą wojną do sotni zaciągnięta.

— W samej rzeczy, tak — potwierdził Sereżka. — Owóz nazajutrz, to jest w pierwszym dniu października, ci nowi, z księżmi przy boku, przybyli do naszych Pierwszej i Drugiej, do Tuzgunowej Trzeciej i do Wielkiej Niskołowyńskiej, i zażądali przysięgi wierności i posłuszeństwa nowemu atamanowi, bo jak nie, mówili, to będziemy rozbrojeni i przepędzeni na cztery wiatry. Ma się rozumieć, odmówiliśmy, jako że obyczaju przysięgania nigdy nie było, ani też prawowitości wyboru Eneja uznać nie mogliśmy. Przez noc dogadywaliśmy się pomiędzy sotniami przez cichych gońców, co biegali po postojowych naszych miejscach, i przyjęliśmy, że odchodzimy zbrojnie na Wysoki Łowyń. A tu dnia następnego okazało się, że Enej ma dziesięć innych sotni żołdowych, i nie domyślicie się, panowie sotnicy, skąd je wziął! Owóz te dziesięć nowych sotni, to nic innego, jak ów pułk Straży Dimukratii, rzekomo pobity przy Koźlej Skale i rzekomo pościgany w głąb Bołkanu! Oni to, bołkańskie pasożyty, razem z Enejową Czwartą rozbierać nas chcieli, i dowiedzieli się, z kim mają sprawę. Do

ostrej bitwy doszło w samej Koniuszynie i na pobliskich łąkach, tak że Niskołowyńska pod Nenechajką wycięła dwie setki świeżych najemników, Trzecia pod Tuzgunem położyła ich półtora, my zaś, znaczy Pierwsza z Drugą, wybiliśmy połowę Czwartej i jeszcze jedną z nowych nibysotni. Uzyskawszy na razie panowanie nad Koniuszyną, powiecowaliśmy nad dalszymi krokami, i większość była za tym, żeby poniechać myśli o zwaleniu nowego atamana, bo co innego bronić się od bezprawia, a co innego władzę ustanawiać, co już żadną miarą do żołdowego wojska nie należy, a jeszcze, że sama tylko Koniuszyną pojmuje, co to Enej naprawdę, zaś wioski, szczególnie odleglejsze, godziwego następcę ojca chciałyby w nim widzieć, to i do prawdziwej wojny domowej moglibyśmy doprowadzić. Odjechaliśmy więc na łowyń, lecz przedtem przekonał nas pan sotnik Tuzgun, że pamiątki po świętym opiekunie wszystkich Ziem Malwowych nie powinny pozostać pod pieczę zdradliwego i niegodziwego biskupa, i zabraliśmy Stułannemu przemocą wszystkie pisma świętego Semena, tudzież pamiętnik ojca jego. I jeszcze, żeby Enej z matką ważniejszych naszych tajemnic nie odstąpili Bołkanowi, ani broni najlepszej, przywieźliśmy ze sobą na łowyń małe koniuszynki z mienia ziemskiego, zabraliśmy z Kuźni nad Seretyną wszystko, co do ich wytwarzania potrzebne, i przyprowadziliśmy też mistrzów-kowali w tym biegłych, nie powiem, żeby całkiem po ich woli. Tak samo postąpiliśmy względem bełtów płonących i świecących, i z ich wytwarzalnią. No i zabrała się też z nami chorągiew szkiperyjska, a to z obawy, żeby się najęci teraz na atamańskich Strażnicy Dimukratii na niej nie zemścili. Prawdziwy kłopot powstał jednak dopiero wtedy, jak rozbiliśmy obóz niedaleko Hryzotowej Wody, dotąd bowiem wiadomo było, co czynić, a dalej, to już całkiem nie wiemy. Pan ataman Danyło Żawinny bardzo dla nas niezyczliwy! I zgorszony, żeśmy to niby buntownicy, i wystraszony, że nasza na jego Ziemi obecność wciągnie go w jaki zatarg z Ponestrzem i nowym atamanem. Powiada też, pewnie podbechtany przez księży Stułannemu posłusznych, że sotnika Tuzguna ani chwili nie chce widzieć na łowyniu Wysokim, no i że z każdym osobno gadać nie będzie, więc niechaj sobie obierzemy jednego nad wszystkimi starszego, to co najwyżej z takim pomówi. A jak nic nie zrobimy, zagroził, i dalej tak stać będziemy pod Hryzotową Wodą, to poderwie wojska wioskowe i przepędzi nas z powrotem na Ponestrze. Tego zaś starszego nijak sobie obrać nie możemy. Sotnik Tuzgun się nie godzi, a to żeby nas wszystkich na rozsierzenie atamana Żawinnego nie wystawiać, a też i Wielka Niskołowyńska go nie chce, bo przed wojną nic o nim nie słyszała. Sotnik Nenechajko, bojami ciężkimi nad Siritem jeszcze przemęczony, ani myśli o przyjęciu nowej odpowiedzialności do siebie nie dopuszcza. I tak to coraz więcej wszyscy gadają, żeby was, panowie sotnicy, choć na tydzień poprosić, byście spróbowali miejsce jakie na nasze osadzenie chociaż na zimę wyjednać u atamana, bo z wami on mówić zechce. To zaś z tego wnosimy, że na spotkaniu jedynym z nami jako wysłannikami tak jakoś mniej więcej powiedział: „Kiedybyście się w buncie waszym prawością powodowali, to i byłby z wami ten młody pogromca Złotej Jazdy, i ten drugi młody bohater, co mu pomagał”. Przywozimy więc prośbę od sotni, co wasze nad sobą buzdygany nadal za prawowite uznają, i od ostatego wojska pomienionego, żebyście rozważyli, panowie sotnicy, czybyście spróbować nie zechcieli poparcia nas u atamana Żawinnego.

Iwanko wstał i zaczął w namyśle kroczyć po izbie trzymając się dłonią za podbródek; potem odpowiedział:

— Nie w porę to wypadło, lecz żołnierze moi w wojennej robocie przeciw Syrbom nigdy mnie nie zawiedli, to teraz mnie zawieść ich nie przystoi, w kłopotcie zostawiając. Jadę!

— Z serca dzięki! — uradował się Sereżka.

— Jadę i ja! — niewesoło, lecz i niewahliwie wyraził swe postanowienie Staśko.

— Takóż od wszystkich dziękuję! — rozjaśniła się twarz Perewesty.

Iwanko zwrócił się do Czymranka:

— Czy i nas, panie podporuczniku, mógłbyś dzisiaj przenocować u siebie w koszarach?

— Z pełną radością! — odrzekł młody oficer.

— To mam na myśli, panie podporuczniku, że dni już krótsze, i nawet ta niewielka w odległości różnica pozwoli, jeśli dobrze przed świtem od ciebie wylecimy, minąć Wiszniową Bramę jeszcze za widoku, a w gęstszej już ciemności stanąć w pierwszym zajeździe na łowyniu. Teraz my w ćwierć godziny będziemy w siodłach, potem podjedziemy pożegnać się z Radką i księżniczką na ich stancji. Ile tobie potrzeba, panie podporuczniku, na wspomnianą służbową sprawę?

Czymranek podszedł do okna.

— Już się mroczy — powiedział. — Więc może tak: za godzinę przy południowej rogatce, i kto pierwszy, ten poczeka. Zaś panom dziesiętnikom przez ten czas któryś mój żołnierz niechaj pokaże trochę Lewosańsk, póki jeszcze co widać.

Pożegnanie z Radką i Liwonką było łzawe — obie dziewczyny musiały nieco popłakać, zanim spytały, na jak długo sotnicy wyjeżdżają. Gdy usłyszały, że może to potrwać dwa tygodnie, ale może też i parę miesięcy, łzy polały się ponownie, co już zniecierplawiło Iwanę.

— Może już dość tej wilgoci! — powiedział lekko rozdrażniony. — Trzeba, to trzeba! Wstąpiliśmy na dwa słowa, nie na łkań słuchanie!

— To usiądźcie chwilę przed podróżą, wedle zwyczaju — poprosiła Radka wycierając łzy wyszywaną ponestrzańską chusteczką.

Obrócili krzesła oparciami do stołu, a siedzeniami ku drzwiom i usiedli z dłońmi na kolanach.

— Pieniędzy tobie, Radka, wystarczy? — spytał Iwanko.

— Pewnie, że wystarczy.

— Przed złodziejami sakiewkowymi się pilnuj! W kościele i w sklepach ludniejszych! Nie zapomnij stajennemu, jakeśmy obiecali, dziesięć kluczyków dawać co miesiąc, jeśli się w staraniu o konie nie opuści.

— Dobrze, Iwanko, będę pamiętała.

— W zeszycie czystym piszesz jak należy?

— Jak potrafię. Liwonka pomaga.

— Tak i dalej! Po wiedzę o świecie tu przybyliśmy, to trzeba ją zapisywać. Nie dla Szkoty, ani nie dla poświadczeń na uroczystym papierze lecz dla nas. A ty, Liwonka, bądź Radce starszą siostrą.

— W jednym ja jej starszą, w innym ona mnie — powiedziała wyrwana z zamyślenia księżniczka. — Tak sobie teraz siostrujemy, tak i zostanie.

— To i chwała Bogu! Zdrowe zostawajcie; nam już w drogę!

Kiedy przysła w pożegnaniach kolej na uścisk Iwanki z Liwonką, Radką i Staśko zadbali nieznacznie, żeby w owej chwilce być do nich tyłem.

W ogrodzie, sadowiąc się w siodle, Iwanko zapytał jeszcze:

— A masz, Liwonko, tamto światełko?

— Zza płotu się obejrzyj! — padła odpowiedź.

Gdy sotnicy wyjechali już z ogrodu w zaułek i spojrzeli nad ogrodzeniem ku stacyjnemu domowi, ujrzeli zawieszony w mroku i pomaleńku się rozwiewający napis z purpurowego światła: „I i L”.

Dojeżdżając do mytnego domku na rogatce, ujrzeli sotnicy w świetle pochodni przymocowanych do szlabanowych słupów, czekających już dziesiętników i podporucznika, który rozmawiał z dwoma żołnierzami strażniczej placówki. Paręnaście kroków dalej, na

granicy światła i mroku, można było dojrzeć stojący na Szlaku oddziałek jeźdźców, wyraźnie liczniejszy od tego, który przed godziną czekał w ogrodzie Szarpaczów na zapadnięcie zmroku.

— Ruszać! — krzyknął Czymranek na widok nadjeżdżających sotników, i mającący w przodzie konni powoli pogrążyli się w ciemności, a podporucznik, sotnicy i dziesiątnicy ruszyli stępa ich śladem. Po długiej chwili jazdy w milczeniu, drużynny oficer spytał sotników:

— Czy Nurzecki, ten uczeń rodem z Wiprzeńskiego Księstwa, przyjaźnił się z kim w Szkole?

Nie kryjąc zdziwienia tym pytaniem, żywo odpowiedział Staśko:

— Przeciwnie, panie podporuczniku! Wszystkich nas razi jego obcość i pycha, a jak się jeszcze okazało, że nie mieszka na stacji, tylko ze swoimi czterema aż służącymi wynajmuje połowę któregoś tu zajazdu, to się już do niego całkiem nikt nie odzywa. To go jednak wcale nie martwi; odwzajemnia się wyniosłą pogardą.

— Już się niczym nie będzie odwzajemniał — powiedział Czymranek z nutą gospodarskiego zadowolenia. — Właśnie jedzie tam przed nami, i wszyscy czterej jego studzy, w towarzystwie moich drużynnych, a z rękami do tyłu. Jeszcze dziś zamieszkają w książęcym „areszcie ważnym” w Krzywych Stokach, a jutro ludzie Krzywosochy zadawać im będą pytania okropnie nieprzyjemne.

— Znaczą się, poważnie nabroili? — twierdząco spytał Iwanko.

— Jakby to było można nabrojeniem nazwać, toby ich drużynni ze znaku piątego w Lewosańsku przed sędziego książęcego zawiedli. Oni za te półtora miesiąca, z upodobaniem wycieczki dłuższe sobie urządzając i z zapałem pracując, piękny plik ziemiorysów zdążyli u nas sporządzić. Szczęściem nie odsyłali ich po trochu do Tyśmieńca, gromadzili na razie, tak że wszystkie przejęliśmy właśnie. No, to przyśpieszmy trochę, żeby nam się eskorta z więźniami poza głos nie oddaliła.

Sotnie łysego Iwanki

Późnym popołudniem trzeciego dnia podróży sotnicy Iwanko Hołod i Staśko Truba, dziesiątnicy Myrko Sereżka i Ołeś Perewesło oraz ich żołnierze ochrony z Pierwszej Atamańskiej przelecieli miarowym galopem przez Hryzotową Wodę, a w trzy ćwierci godziny później wjeżdżali już do obozowiska sotni odeszłych z Ponestrza. Wojsko to, pomimo braku wspólnego dowódcy, musiało zapewne przestrzegać wojennych prawideł polowego obozowania i być ubezpieczone daleko wysuniętymi czujkami, bowiem na przybywających czekał już przed rzędem namiotów długi dwuszereg jeźdźców w konnej zbiorce. Odłączając się od łysego Iwanki, Sereżka z żołnierzami podróżnej ochrony i luźnymi końmi dołączył do Pierwszej Sotni, Staśko z Perewesłą — do Drugiej, zaś gromkie, wznoszone po kolei, sotniami, okrzyki „wodzowi — sława!” prowadziły osamotnionego nagle i oszołomionego Iwanekę wzdłuż wyrównanego dwuszeregu konnicy. Przejechał tak przed Pierwszą, Drugą i Trzecią Atamańską, wciąż ogłuszany nie milknącymi okrzykami, potem przed Wielką Niskołowyńską, wreszcie przed ubranym już w ponestrzańskie mundury znakiem szki-peryjskim, i za nim, na samym końcu, dojrzał w zapadającym już pomątu zmroku oddziałek nader osobliwy: na wyjątkowej dorodności mierzynach roślejszej, poseretneńskiej odmiany stali obok siebie siwy sotnik Dmytro Swityna i również niemłody, ale nadal kruczowłosy mistrz i nauczyciel robienia szablą, Selim Kiambaghi, a za nimi, w drugim szeregu, też na wybornych koniach i dobrze uzbrojeni, prężyli się w siodłach czterej niewojkowo odziani, smagłolicy młodzi mężczyźni, wśród których rozpoznał Iwanko Limbianina Tudora, służącego mistrza. Odruchowo, z

półświadomym zamiarem przywitania się, Iwanko skierował konia ku Kiambaghiemu, lecz ten powstrzymał go gestem wyciągniętej ręki i słowami:

— Wracaj, sotniku, przed środek.

Zawrócił więc i drobnym stępem jechał z powrotem wśród wciąż ponawianych okrzyków wojska. Przed dwuszergiem Trzeciej Sotni zatrzymał go wyjeżdżający z szyku Hawryło Tuzgun, który rzucił wodze na tęg siodła i bez nich kierował posłusznym koniem, trzymając przed sobą oburącz niewielkie białe zawiniątko. Iwanko niejasno zrozumiał, że wyroki już zapadły. Urwały się nagle gromkie zawołania wojska. Sotnik Tuzgun przemówił w ciszy, zakłócając tylko rzadkim parsaniem koni:

— Panie sotniku Iwanko Hołod! Zebrane tu przed tobą prawowite wojsko ponestrzańskie, naradziwszy się należycie, prosi cię, byś przyjął nad nim zawiniętą w tym płótnie atamańską buławę, którą własnymi rękami dla ciebie wykonało.

Myśl Łysego Iwanki pracowała teraz szybciej niż kiedykolwiek dotąd, i namysł trwał tylko przez okamgnienie. Nie wyciągnął dłoni po podawany mu, biały przedmiot. Zwrócił konia ku szeregowi żołnierzy i zaczął mówić najdonośniej jak potrafił, głosem przychryplym od długotrwałej jazdy:

— Panowie sotnicy, dziesiętnicy i żołnierze! Ja przed wami i przed sobą widzę niezmiernie pasmo trudu! Aby był on owocny, nie możemy postanowień i rozstrzygnięć podejmować wiecowaniami! Dlatego atamańską nad wami buławę przyjąć mogę tylko wraz z prawami atamańskimi czasu wojennego! Kto mi takowych udzielić nie ma ochoty, niechaj śmiało wyjedzie z szeregów! Namyślcie się; słowa wymieńcie; ja dłuższą chwilę poczekam! Proszę tylko, żeby nikt nikogo nie przekonywał gardłowaniem głósnym.

Przez półćwierć godziny słycać było szmer cichych rozmów i łopotanie znaków na pikach. Nie padło ani jedno głośnie słowo. Z szeregów nikt nie wyjechał.

— Dzięki za zaufanie, panowie żołnierze! — krzyknął Łysy Iwanko i z powrotem zwrócił konia ku skośnookiemu sotnikowi. Wziął z jego rąk zwój konopnego płótna, odwinął zeń niezdobną mosiężną buławę, ucałował ją i wetknął za pas obok sotnikowskiego buzdygana, a płat białej tkaniny puścił ze wzmagającym się, chłodnym jesiennym wiatrem.

* * *

Zapobiegliwy i przezorny sotnik Tuzgun zatroszczył się o wywiezienie z Ponestrza nie tylko tego, co nie powinno dostać się w ręce ludzi z Bołkanu, czy pozostać pod pieczę nieczciwego biskupa koniuszyńskiego. Zdążył także zabrać z wojennego składu atamańskiego niemało polowego wyposażenia, przeznaczonego do przydzielania wojskom wioskowym na czas wojny. Miały więc ze sobą bezdomne sotnie ponestrzańskie wszystko, co przydatne w długotrwałym obozowaniu w polu o dowolnej porze roku, a nawet i do urządzania obozów warownych, i nie zapomniał też rzutki Tuzgun o wielkich namiotach izbeckiego wyrobu, pospolicie nazywanych „dowódczymi”, ani o dopinanych do ich ścian wielowarstwowych derkach ocieplających. W obozie pod Hryzotową Wodą stało takich namiotów osiem, i jeden z nich zajął świeżo obrany ataman, wprowadzony tam przez czterech żołnierzy z Trzeciej Sotni, którzy zapalili osadzone na grubo ociosanym stojaku potężne świece woskowe, poczem stanęli wartą przed wejściem.

Po wieczornym posiłku, który przyniesiono mu do namiotu, Iwanko wybrał się na krótkie odwiedziny do Selima Kiambaghiego i sotnika Swityny. Zajmowali oni, wraz z czterema służącymi, taki sam wielki namiot, jak Iwanko, tyle że dość już wygodnie urządzone. Po serdecznych przywitaniach Kiambaghi spiesznie wyjaśnił przyczynę opuszczenia osady Kwitnyki i Ponestrza:

— Pan sotnik Swityna, bijąc Bołkan przez pięć lat, szczególnie pracowicie wycinał Strażników Dimokratii. Ja zaś w wielu setkach ponestrzańskich dłoni tak szable ułożyłem, że potem ginęli od nich rajcowscy żołnierze z gębami rozdziawionymi od zdumienia. Okazuje się, że nam tego nie zapomniano. Przyszła z Koniuszyny wiadomość od ludzi życzliwych, że się nowi atamańscy o nas dopytują, więc nie zwlekając czmychnęliśmy.

— Więc nie zabraliście się razem z odchodzącymi sotniami?

— Nie, panie młody atamanie, cztery dni później uciekliśmy.

— Jakże ze zdrowiem waszym? Zima obozowa przed nami; może lepiej by wam było w Hryzotowej Wodzie jaki mały zajazd dla siebie tylko wynająć?

— Na razie o niczym takim nie myślimy. Chcemy być przydatni. Mnie choroba znacznie z pleców wylazła; przy pogodzie znośnej mogę, choć i nie tyle co dawniej godzin dziennie, lecz jednak uczyć tego, co zawsze.

— Ja zaś — rzekł dziarsko białowłosa Swityna — mógłbym się przydać do ćwiczenia z dziesiątkami szczególnych sztuczek współdziałania lotnego, jakie wymyśliłem i ze skutkiem pierwszorzędnym wypróbowałem w bojach na Uhorszczyźnie. Tak czy owak, chyba ciężarem ci nie będziemy, atamanie, duma nasza!

— A co z panem sotnikiem Bałdą? — spytał Iwanko. Gospodarze wymienili spojrzenia, poczem Kiambaghi odpowiedział:

— Niedobrze jest z Antonem Bałdą... Po śmierci atamana podupał na duchu w jednej chwili, a po zabójstwie Sidlarenki, z którym bardzo się przyjaźnił, zgnębienie złamało go do końca. Z domu swojego nie wychodzi, a jak go kto odwiedzi, to albo się do gościa słowem nie odezwie, albo mówi mało i nie całkiem do rzeczy.

— Zbyt prawą miał duszę — dorzucił w zamyśleniu Swityna — i nie wytrzymała ona nieszczęścia spadłego teraz na Ponestrze, i to zaraz po zwycięstwie, przez co się z tym rozum nie chce godzić.

— Dzięki za gościnę; jeszcze mam na dziś coś w zamiarze, więc czas mi do siebie! I ty, panie sotniku, i ty, mistrzu Selimie, obydwaj o zdrowie dbajcie należycie; taki wam daję rozkaz atamański!

Nieco później kazał Iwanko przywołać do swego namiotu sotników Nenechajkę, Tuzguna i Trubę.

— Chcę krótko powiedzieć, jakie mam zamiary — zaczął z nimi odprawę. — Najprościej mówiąc, zamyślam w trzech latach, a może i nieco prędzej, wypełnić ostatnią wolę wielkiego atamana. Wypowiadał ją ławko Lonowy do pięciu ludzi, z których jednego zgładzono, jednego wpędzono w chorobę, a trzech zostało do czynu zdolnych — sotnik Tuzgun, sotnik Truba i ja. Ciebie, panie sotniku Nenechajko, proszę, żebyś razem ze swoimi żołnierzami wyzbył się nieufności do sotnika Tuzguna, o jakiej coś słyszałem, i współpracował z nim tak samo, jak ze mną, bo to konieczne, aby nadzieja powrotu na Niski łowyń i do Mokrego Kraju, co wam towarzyszyła przez osiem lat wojowania z Bołkanem, mogła się ziścić. Wojsko, nad którym dopiero co przyjąłem buławę, zaczątkiem jest wcale pokaźnym tej siły, jaką zbierzemy dla wykonania testamentu Mądrego wodza ponestrzańskiego. Aby zaś rozmiar naszych zamysłów nie wywołał u żołnierzy niewiary i zniechęcenia, trzeba im rzecz wyjaśniać nie z nagła, i przekonywać, że cała przed nami robota nawet w połowie nie będzie tak ciężka, jak się z pozoru może wydawać, tak bowiem jest w samej rzeczy. Trud wielki potrzebny, lecz wcale nie nadludzki, i już dziś możliwy do przeliczenia na przyszłe powodzenia. Teraz o rozdziale pracy naszej poza zwyczajnym dowodzeniem sotniami: do ciebie, panie sotniku Tuzgun, należy od tej chwili wewnętrzny porządek wszelakiego rodzaju w naszym wojsku, przepływ rozkazów i powiadomień, i jeszcze nadzór nad żywieniem i utrzymaniem zapasów żywności. Później

zajmiesz się także wraz ze mną sprawami rozglądu, jaki musimy sobie pomału sklecić. O pieniądzach z obowiązkami twoimi związanych pomówimy jutro. Tobie, Staśko, podlega wyćwiczenie żołnierzy we wszelkiej broni, które, zapamiętajcie to panowie sotnicy, musi dojść do najpełniejszej niedościgłości. Za pomocnika masz pana Selima Kiambaghiego. Ty zaś, panie sotniku Nenechajko, zajmować się będziesz wraz z sotnikiem Swityną nauką współdziałania w boju dziesiątek, półsotni, sotni i oddziałów doraźnych najrozmaitszej liczebności. Rozumie się, tutaj pracy ćwiczebnej nie zaczniemy, a dopiero w jakiej okolicy ustronnej, którą myślę jutro twardą prośbą uzyskać od atamana Żawinnego na dłuższe obozowanie. I to tyle ja na dzisiaj, a teraz was słucham.

— Ja pytań nie mam — powiedział Staśko.

Sotnik Tuzgun zwrócił ku Iwance skośnooką, jak zwykle niczego nie wyrażającą twarz, i zapytał:

— Czy dobrze pojmuję, że sprawę Eneja i Ponestrza myślisz na razie poniechać, panie atamanie?

— Jeśli, co bardzo możliwe, zerwie się tam powstanie, to pójdziemy z pomocą natychmiast. Jeżeli zaś pogodzą się wioski z nową władzą, to tymże samym odbiorą nam prawo do rychłego działania. Przyjdzie wtedy poczekać, aż wyraźniejsze zbliżenie Eneja i Terezji z rajcami uprawni i nas, i siły Poboża i Wysokiego łowynia do zajęcia się Ponestrzem.

— Ja zaś — odezwał się chmurnie jako ostatni sotnik Nenechajko — życzenie jedno wypowiem od swoich ludzi i własne. Nie chcemy my otóż, żeby nas nazywano, jak to dziś padło z ust pana sotnika Tuzguna, wojskiem ponestrzańskim! Ani prawowitym, ani nieprawowitym! Myśmy wojskiem Niskiego łowynia i Mokrego Kraju!

* * *

Kiedy na przełomie czerwca i lipca Anton Bałda, Iwanko Hołod i Staśko Truba, wracając z Krzywych Stoków, powiadamił atamana Wysokiego łowynia o mających nastąpić przemarszach jazdy sańsko-wysołockiej, tym atamanem był jeszcze Zbyńko Hradyna, ten sam, który w 2255 roku próbował bez powodzenia wyprzeć wojska cesarskie z opanowanego już przez nie łowynia Niskiego. Teraz przyszło łysemu Iwance rozmawiać przy tym samym stole z obranym we wrześniu Danytą Żawinnym, którego ostrożność i małoduszność były przeciwieństwem śmiałej, szerokiej prostoty jego poprzednika. Po paru słowach chłodnego powitania Żawinny od razu przeszedł do rzeczy:

— Z czym przychodzisz, sławny młody bohaterze, to ja, rozumie się, wiem. Zechciej mi więc wytłumaczyć, bo nijak tego pojąć nie mogę, dla jakiej to poimiennie przyczyny miałbym ja udzielić gościny żołdowemu wojsku ponestrzańskiemu, co się zbuntowało przeciw swojemu atamanowi? Jeśli, na ten przykład, chcielibyście się osiedlić w mojej Ziemi, wioskę nową, jedną czy dwie założyć, pożenić się pomału i żyć z orania i wypasu, to zapraszam, miejsca wam podług starego prawa i obyczaju udzielę, byleście osiadłość przyrzekli. Czemu jednak miałbym obóz jakiś wojskowy, obcy, u siebie znosić, tego, powtarzam, nie pojmuję.

— Jako widzę, panie atamanie ziemski, gotów jesteś dla wygody i świętego spokoju rozum swój zataić — zaczął spokojnie odpowiadać Iwanko. — Mówi ci chyba tenże rozum, że sotnie ponestrzańskie nie zbuntowały się przeciw prawowitemu atamanowi, lecz przeciw oszustowi słabowitemu, którego na urząd wyniosła matka z pomocą przekupstw, zwyczajnej zdrady i skrytobójstw. Więc to Enej i ci co za nim stoją, są buntownikami w samej rzeczy, a to przeciw najświętszym prawom i obyczajom, na jakich stoją wszystkie Ziemie Malwowego Znaku, i przeciw ludzkiemu prawu i Boskiemu. Są oni też zwyczajnymi zdrajcami, bo zanim zażądano przysięgi od starych sotni, już najęto dziesięć nowych wrogięgo pochodzenia, z oprawczej

odmiany wojsk bołkańskich. Tak więc to wojsko, co mnie wczoraj wybrało na głowę swoją, pokierowało się prawością czciwą, i przy nim to jest teraz prawowitość, a nie przy nowej władzy ponestrzańskiej.

Chytre, unikające Iwankowego spojrzenia, oczka Żawinnego zdradzały, że zaczyna być zbity z tropu. Nuta kpiny, z jaką zaczynał rozmowę, zniknęła już z jego głosu, gdy spróbował podeprzeć swą słuszność powagą urzędu biskupiego:

— Nasz biskup Konstantyn po pełni uznaje prawowitość wyboru Eneja Lonowego na atamana Ponestrza. Czy jego zdanie i słowo więcej znaczy, czy słowa żołdowych sotników?!

— Trudno żeby biskup Stułanny nie uznawał wyboru, do którego sam ze wszystkich sił part razem z atamanową Terezją, i swoją widząc w tym korzyść. Ale o godności biskupa Konstantyna tylko z grzeczności moglibyśmy mówić, nie był on bowiem wyświęcony ani mianowany przez apostolskiego następcę, tylko przez arcybiskupa Teofila z Bożej Góry, ten zaś także Świętego Ojca na oczy nie widział. A już do cna odbiera słowom Stułannego wszelaką wagę jego współpraca z Terezją w jej niegodziwościach. Ale, panie atamanie ziemski, czy my teraz o prawdzie rozmawiamy, czy o wykrętach i pozorach? Nie jest możliwe, żeby ataman Ziemi sąsiedzkiej nie znał prawdy o wydarzeniach na Ponestrzu!

— A jeśli zwyczajnie odmówię, do czego i bez podawania przyczyny mam prawo, to co? — odskoczył Żawinny od niewygodnej sprawy znajomości prawdy.

— To będziesz nas musiał siłą wypędzić, i krwi się przy tym niemało poleje, bo myśmy jeszcze od boju nie zdążyli odwyknąć.

A prawdę o Ponestrzu i przyczynie naszego odejścia na łowyń niezadługo wszyscy poznają, i wtedy krew bratnia, bez przyczyny rozumnej przelana, hańbą na tobie legnie, czego ci, panie atamanie, żadną miarą nie życzę.

— Sotnik Eliaszenko! — krzyknął wściekły Żawinny, lecz rozsierzenie jego było tej tylko miary, co on sam.

Uchyliły się boczne drzwi izby i stanął w nich nie znany Iwance, miłego wyglądu, starszawy sotnik.

— Ziemiorys wielki Wysokiego łowynia w dwóch sztukach! A żywo!

Po niedługim czekaniu zażądane płaty papieru zjawily się na stole. Ataman wyjął ze stojaczka przy kałamarzu czerwony suchopisak i na obu ziemiorysach zakreślił nim kółka, obejmujące połać ziemi nad rzeką Erpeń. Składając niedbale jedną z papierowych płachcin i wręczając ją łysemu Iwance, powiedział patrząc w bok:

— W tamtych okolicach nie jest wytyczona, ani jasna granica z Poławuciem, i jest to dość już blisko Przekłętej Dziedziny, do nikogo nie należącej. Strony to całkiem bezludne. Na miejscu się połapcie, jak przynajmniej nie wleźć w Poławucie. Ostatnie nasze wioski macie na karcie pozaznaczane; w nich kupujcie żywność i obrok, to choć ta odrobina będzie z was pożytku, bo ludziom tam żyjącym bardzo trudno cokolwiek poza wieś zbywać przez oddalenie i brak szlaków.

* * *

Z ciekawością i pewnym przejęciem jechał łysy Iwanko z trójką przybocznych żołnierzy do siedziby Domu Czumackiego Samomlików, która, o czym wcześniej nie wiedział, nie mieściła się w samej Hryzotowej Wodzie, lecz leżała prawie o dwa kilometry w dół Ikwy, dość już blisko jej ujścia do Styru. Dziesiątki razy widział na szlakach, również i w Księstwie Sańsko-Wysołockim, małe i ogromne karawany czumackich wozów krytych zamykanymi na kłódki wiekami, chronione przez oddziały zbrojnych jeźdźców i potyskujące jasnożółtymi napisami na zielonych burtach skrzyń: „DOM PRZEWOZÓW DALEKICH. JAN

SAMOMLIKO. HRYZOTOWA WODA". Wielokrotnie słyszał niespójne opowieści o tajemniczym, bractwowym stroju czumackim, i o niejasnych przyczynach, dla których Samomlikowe karawany mają wolny przejazd nie tylko w krajach małwiańskich i małolackich, lecz nawet w podległych Cesarstwa Królestwach Mienieckim i Wełtosławii, zaś przy dłuższym spokoju na wschodzie docierają bezpiecznie aż do stolic szijjickich. Rano, przed wyjazdem z obozu, zdążył Iwanko zapytać sotnika Tuzguna, ile jest, podług jego wiedzy, prawdy w pospolitych opowiadaniach o czumackim bractwie, i uzyskał taką odpowiedź:

— Co do wewnętrznego stroju, to w samej rzeczy jawne są tylko ich stopnie w służbie i pracy, a to: czumak, starszy czumacki, ataman czumacki podróżny i ataman czumacki większy, którym jest zawsze człowiek z rodu Samomlików. Reszta zaś utrzymywana jest w tajemnicy, i nikt, na ten przykład, nie wie, czy przeogromny ich majątek własnością jest pomienionego rodu, czy bractwowym mieniem wspólnym. Wiadomo jednak bardzo dobrze, czym nieznanne, własne a swoiste prawa czumackie owocują na zewnątrz: bezgraniczną rzetelnością wykonywania usług podjętych i niebywałą godziwością cen za nie pobieranych. To zaś, od półwiecza co najmniej się nie zmieniając, przyniosło Domowi Samomlików zaufanie wszędzie, dokąd czumacy docierają, i sprawiło, że wszędzie pożądaną są ich przewozowe i wielkohandlowe usługi. Z tych to przyczyn prawie nigdzie nie żąda się od nich pokazywania na mytnych placówkach, co wiozą, na słowo się wierzy starszym czumackim, i wedle tego słowa wysokość opłat się wyznacza. Jeśli zaś zechce się komuś sprawdzać zawartość wozów, to zawsze się okazuje, że czumacy co do tego nigdy nie kłamią. Od jakich dziesięciu lat podjął Samomliko wiele nowego działania: głównie wytwarzalniczego. Zaczął też przyjmować tak od ludzi pojedynczych, jak i od wiosek, urzędów i rad ziemskich pieniądze na pomnażanie, co, jak myślę, panie atamanie, właśnie cię teraz zaciekawia, bo rosną od paru lat u Samomliki pieniądze twoje, sotnika Truby i Radki Czowniar.

Usłyszane wiadomości nie uchroniły Iwanki od zdumienia, w jakie wprowadził go ogrom i urządzenie czumackiej stolicy. Była niewiele mniej rozległa od właściwej Hryzotowej Wody, i mimo takiego rozmiaru ogrodzona wysoką palisadą, wewnątrz której stało chyba około czterystu pięknych domów mieszkalnych z ogródkami, dziesiątki ogromnych stajni, stodół, spichlerzy, wozowni, kuźni i budynków najróżniejszego innego przeznaczenia, a do tego cały ogrodzony obszar był pomysłowo zadrzewiony, usłany gęstymi trawnikami i pocięty schludnymi drogami i drózkami.

Przy olbrzymiej, głównej bramie wjazdowej uprzejmi wartownicy spyтали Iwanke, do kogo przybywa i w jakiej sprawie.

— Chciałbym się widzieć z samym panem atamanem czumackim większym.

Wartownicy skierowali uważne spojrzenia na buławę i buzdygan, tkwiące za pasem Iwanki, poczem jeden z nich powiedział z grzecznym uśmiechem:

— Nie będzie to łatwe, panie... — zawahał się — atamanie, ale spróbujemy. Proszę wjechać, razem z panami żołnierzami swoimi, i parę chwil poczekać przy tamtym oto konowiążie.

Czekanie nie trwało długo, i w ćwierć godziny później siedział już Iwanko w urządzonej z prostotą i smakiem izbie służbowej przed siwowłosym, jasnookim Janem Samomliką-synem — człowiekiem lat około pięćdziesięciu, o twarzy pogodnej, a wejrzeniu bystrym i przenikającym. Gospodarz, o nic nie pytając, pierwszy zaczął rozmowę:

— Więc ciebie to, sławny młody zwycięzco, obrały ponestrzańskie sotnie swoim atamanem! Chwała Bogu!

— Wybacz, lecz nie pojmuję przyczyny twej radości, panie atamanie czumacki większy.

— Zaraz pojdziesz. Osiem lat temu byłem akurat w tym zbiegającym się tłumie, który przyglądał się waszemu wjazdowi do Hryzotowej Wody, i nigdy nie zapomnę tego przerażającego widoku, jaki sobą przedstawialiście. Kiedy się dowiedziałem, że przez całe dwa miesiące wędrowaliście lasami, uchodząc cesarskim łapaczom, pomyślałem od razu, jaki hart dziecięcego ducha był do tego konieczny. Byłem jednym z wielu, którzy chcieli was wziąć do rodziny swojej, lecz wybraliście dalszy los niepewny, byle być bliżej ocalałych ze swojej wsi, i posłano was na Ponestrze. Dowiadywałem się od czasu do czasu o późniejsze wasze drogi i losy, bo nie wątpiłem, że jeszcze o was świat usłyszy. I oto twoje zwycięstwo błyskotliwe nad Złotą Jazdą, atamanie młody, potwierdziło moje przekonanie! Odebrałem je, jako własną swoją radość. A później zdarzyło mi się rozmawiać z człowiekiem jednym, co tam pod tobą służył w owym boju, i powiedział, że ty nigdy nawet głosu na żołnierza nie podniosłeś, a i tak posłuszeństwo miałeś bezgraniczne, i że jak już było po wszystkim, to ani odrobinę nie zaszumiło ci w głowie pieniste wino zwycięstwa. Za takimi wodzami leci się w ogień na skinienie! Myślę więc, że to ciebie właśnie wysuwa los na tego, kto wyrwie Ziemię Malwowe z pełzającej pleśni i podgniwania, i przywróci dawniejsze, honorowe czasy. Teraz, mając już własne wojsko, liczebnie jeszcze skromne, lecz duchem i biegłością niedoścignione, zaczynać już możesz pomału to dzieło, i chyba na początek przypomnisz gnuśnej Hryzotowej Wodzie, z moich podatków sadło zapuszczającej, o sprawie bratniego łowynia Niskiego i Mokrego Kraju. Czy podobnie biegną twoje myśli, atamanie?

— Podobnie, i zgadujesz je, panie atamanie czumacki większy, lecz nie do końca... Czy słyszałeś o ostatniej woli Lewki Lonowego?

— Tak. Sotnicy Sidlarenko, nim go ludzie Terezji ze świata usunęli, i Bałda rozmawiali o tym z moim człowiekiem. Mocniej związać Ziemię Malwowe, w przymierzu z Księstwem Sańsko-Wysołockim i Gór Jodłowych odepchnąć wyraźnie Cesarstwo na północ, poszerzyć to przymierze o Hornostawię i wolną część Uhorszczyny, i wtedy wraz z palącymi się do tego zawsze Tirkijami zetrzeć Wielki Bołkan, a potem raz jeszcze zwrócić się na północ... Tak... Śmiałe to zamysły, dorzeczne i ziszczalne, lecz nawet przy szczęśliwym okoliczności ułożeniu wymagają jednego dziesięciolecia.

— Ja chcę je ziścić w trzy lata, panie atamanie czumacki większy. Rozciąganie zbędne działań w czasie pozwala wrogowi rozeznąć się w naszych zamiarach i obmyślać swoje sposoby. W trzy lata, to akurat w sam raz, zniszczyć trzeba państwo wielkobołkańskie, a Cesarstwo zepchnąć na same brzegi Szarego Morza, szczególnie że nie wiadomo przecież, jak długo panowanie Bahrama Alego dawać nam będzie spokój od wschodu.

Samomliko podparł brodę złożonymi dłońmi, przymarszczył czoło, ściągnął brwi i długo, bez słowa i bez ruchu, patrzył w twarz łysego Iwanki, którego to przenikliwe spojrzenie w najmniejszym stopniu nie zmieszało. Potem czumacki ataman wstał, podszedł do stojącej przy ścianie jesionowej szafy, wyjął z niej smukłą, farsyjską karafkę z zielonego szkła zdobionego srebrnym oplotem i dwa takiej samej roboty kubki, i wrócił do stołu nie siadając. Gdy napełniał piękne naczynia płynem przezroczystym jak źródłana woda, rozszedł się po izbie zapach palonki niezwyklej ostrości.

— Za powodzenie twojego zamiaru, młody wodzu! — przepił gospodarz do łysego atamana. Od mocy przełkniętego płynu Iwance z lekka zązawiły oczy.

— Gdzie ci Żawinny wyznaczył zimowisko? — spytał Samomliko siadając.

— Nad rzeką Erpeń.

— Święty Semen! Toż to prawie pod wielkim ruiniskiem nadstawuckim! Za daleko, żebyś tam mógł zaciąg prowadzić. Błąd! Trzeba było Żawinnego siekaniną postraszyć; dałby bliżej,

bo to człowieczek maleńki i płochliwy. No, ale stało się; wiosną się bliżej przeniesiesz. Jak stoisz z pieniędzmi?

— Chciałem właśnie zapytać, ile mam ich tutaj złożonych.

— Zaraz się dowiemy.

Samomliko sięgnął po stojący na rogu stołu dzwonek z drewnianym trzonkiem i jego dźwiękiem przywołał z sąsiedniej izby człowieka z oznakami starszego na czumackiej bluzie.

— Przynieś mi tu z kasy co żywiej rachunek dodawany z nagłówkiem: „Iwanko Hołod, Staśko Truba, Radka Czowniar”!

Gdy miał już w rękę złożoną we dwoje kartę grubego papieru, rozłożył ją, przebiegł wzrokiem po zapisanych w środku linijkach i oznajmił:

— Włożono dwa tysiące blaszek. Teraz jest dwa tysiące i dziewięćset. I dopisek tu mamy na dole: „Pobrać może całość każde z trojga właścicieli”.

— W takim razie wszystkiego co mam starczy mi... na pięć miesięcy mniej więcej, na wyżywienie ludzi i koni, i na niezmiernie wąty żołąd.

— Doradzam, byś tych pieniędzy nie brał na razie, bo one będą twoje, to jest — wasze, nawet wówczas, gdy mnie już nie będzie na świecie. Na teraz zaś, to ja dam ci... no, powiedzmy, sześć tysięcy blaszek, żebyś mógł cały czas płacić żołąd godziwy. Duch duchem, ale żołnierz lubi czuć bez przerwy, że w razie rany większej i odejścia z wojska, ma za co kupić pług, wóz i parę krów. A od wiosny, jak zaczniesz zaciąg, biorę na siebie cały koszt uzbrojenia i utrzymania trzech sotni przez trzy lata. Widzi mi się bowiem, że kiedy w maju i czerwcu Redner osłabi swoje garnizony dla wsparcia najazdu Tyśmienieckiej na Rzozę-Siewnego, to tobie wystarczy siedem sotni, żeby znieść na Niskim łowyniu i w Mokrym Kraju namiestnikowskie placówki nawet i wszystkie na raz, i potem w dziesięć dni zjawić się na tyłach sił wiprzeńskich i Rednerowych, szczególnie że przewodników będziesz miał w przemarszach wyborniejszych, niż marzyć można.

Iwanko pierwszy raz od początku rozmowy stracił opanowanie:

— Błagam, panie atamanie czumacki większy, odrobinę jaśniej! Z czego ja tobie takie długie poddaję?!

— Nie będziesz oddawał — spokojnie, jakby mówił coś oczywistego, odpowiedział Samomliko. — Zwolnisz nas na dziesięć lat od mytnych opłat na Niskim łowyniu i w Mokrym Kraju, to stratni nie będziemy.

Łysy ataman, porażony otwieranymi przez gospodarza widokami, ni to westchnął, ni to jęknął z cicha, i zwiesił ramiona w geście nagłej bezradności. Samomliko pomógł mu otrząsnąć się z przytłoczenia wyrozumiętym uśmiechem i słowami:

— Wiem, co mówię! Wszystko pójdzie dobrze! Do powiedzianego dodaję jeszcze nieustający dopływ pierwszorzędnych wiadomości dla twojego rozglądu. A teraz znów wypijmy po kubeczku, a to na pieczęć do naszej umowy!

Tym razem ognisty płyn nie spowodował już u Iwanki zaniku tchu, wyrwał go natomiast z krótkiego zwątlenia wiary w siebie. Znowu rozmawiał rzeczowo:

— O jakich przewodnikach na niskołowyńskie przemarsze wspominałeś, panie atamanie czumacki większy?

— Na myśli miałem wojsko puszczańskie całkiem żyte z tałanami. Niewiele go, może setka tylko, lecz dzięki tymże zwierzętom od czasu jakiegoś hasa sobie, najzupetniej nieuchwytnie, strach budząc w dworach obdarowanej naszymi ziemiami cesarskiej lepsze. Czy załatwiliśmy, panie atamanie Łysy Iwanko, wszystko, z czym do mnie przybyłeś?

— Przedstawić sobie proszę, że ja wybrałem się tutaj całkiem z czym innym...

— A to ci dopiero! Co więc za sprawa?

— Chodzi mi o kowali biegłych w wyrobie małych koniuszynek, których sotnik Tuzgun przyprowadził na poły przemocą, żeby ich nowa władza ponestrzanska nie przymusiła do pracy dla Bołkanu. Są też z nimi hartownie tajne i wszystkie potrzebne przybory. Nie mam po co brać ich ze sobą na zimowisko, a godzą się oni tutaj zostać i pracować na razie, jeśli im sprowadzę rodziny. Do Zawinnego nie mając zaufania pomyślałem, że może pod twoim skrzydłem, panie atamanie czumacki większy, dałoby się wznowić wyrób owych kusz lekkich a wybornych. Gdybyś na to przystał, to pchnę sotnię, żeby, do samej Koniuszyny nie dojeżdżając, zabrała nocą a cicho z osady przy Kuźniach owe kowalskie rodziny. W trzy dni sotnia obróci, a tyle jeszcze postoją naszego Żawinny jakoś zniesie.

Szczególny blask, zapewne kupiecki, pojawił się w oczach Samomliki.

— A czy sprzymierzeńcom będziesz koniuszynki sprzedawał?

— To właśnie mam na myśli; moim sotniom tej broni nie brakuje.

— W takim razie biorę tę sprawę! Przyślij kowali, lecz raczej po zmroku, a przywiezienie rodzin z Kuźni Koniuszyńskich zostaw mnie. Zrobię to nie natychmiast, lecz za to tak cichutko, jak kocica przenosi kocięta z zagrożonego gniazda do bezpiecznego.

* * *

Wypite u Jana Samomliki dwa kubeczki piekielnie mocnej palonki ani z głowy łysego Iwanki szybko nie wietrzały, ani też nie ćmiły myśli, lecz kierowały je jakby na inne, na co dzień nie uczęszczane ścieżki. Ku pewnemu zdziwieniu znudzonej czekaniem trójki żołnierzy ochrony, Iwanko, opuściwszy bramę palisadowego ogrodzenia czumackiej stolicy, nie pchnął konia nawet do truchtu, lecz jechał stępą, poddając się miarowemu kołysaniu siodła. Łysy ataman wpadł bowiem w zadumę. Bez wątplenia, niesie mnie jakaś fala, niczym wezbrany i rwący Nestro świerczka wyrwanego gdzieś na zboczu... — rozmyślał, to przymykając oczy, to patrząc bez uwagi na niebo równomiernie zaciągnięte popielatymi chmurami, wróżącymi niedaleki początek jesiennej szarugi. — Wszystko niespodziane! Wszystko nie przeczuwane! Zaszczyt poselski... Pieniądze od Kiambaghiego na szkołę, co teraz pójdą na obrok dla koni... Buzdygan sotnikowski... Piernacz nad Górnopyrucką Gromadą i niepojęta tego wojska ze mną i między sobą zgodliwość, pozwalająca na łatwe zwycięstwo... Wodzowska sława nagła, z wybornej pracy wojska zrodzona, a nie z żadnych talentów moich, no bo jakby wojsko opieszale było i niezborne, toby złotojezdni przeszli po nas! Liwonka! Nie! Liwonka, to sprawa całkiem osobna! Ale teraz ta buława, i ta myśl moja nagła, moja, a przecież dla mnie samego niespodziana, o spełnieniu woli wodza odeszłego... I oto jeszcze, nie do wyśnienia, wsparcie potężnego, jak się okazuje, atamana czumackiego! Nie o własnych siłach płynę! Choć i po myśli, choć na cudu granicy, to przecież fala jakaś wzbierająca mnie niesie! Może to kuszenie ku zgubie? Najważniejsze, żeby od tego wszystkiego nie zgłupieć! Byle nie zgłupieć, byle na siebie liczyć, a nie na wieczną nurtu pomyślność, bo się inaczej rozbiję równie niespodzianie, jak niespodzianie nurt ten mnie porwał!

Zadowolony z tej ostatniej myśli, puścił konia w równy, nie wyteżony galop.

Przy wjeździe do obozu czekała Iwankę jeszcze jedna miła niespodzianka. Już z dala dojrzał stojący w dwuszeregu oddział, liczący chyba trzyćwierć setki jeźdźców, którzy na jego widok nie przybierali wyprężonej postawy, jak to robi zwyczajna wyćwiczona jazda, lecz tkwili w siodłach z tą piękną niedbałością, jaka właściwa jest stadniskowym czabanom, i która z konia, siodła i jeźdźca czyni jedność, jakby przyrodzoną. Chwała Bogu, że i tych mam przy sobie! — pomyślał radośnie.

Przed środkiem dwuszeregu stali na kiwających łbami poseretneńskich mierzynach sotnik Tuzgun i młody dziesiętnik, na oko rówieśnik łysego atamana, lecz czarnowłosy, ciemnooki i smagłolicy.

— Panie atamanie — zameldował Tuzgun — przybyło do nas siedemdziesięciu ośmiu z wojska postanieckiego, które się w zwotywaniu Ponestrza na wojnę, i także samo nad Pyrutem przewybornie spisało. Dalej niechaj mówi pan dziesiętnik Iwaś Kuwałda, obrany starszym nad nimi.

Młody dziesiętnik odezwał się z miernym szacunkiem:

— Panie atamanie! Zaciągano nas jesienią, zimą i wiosną, obiecując przyjętym żołd dziesiętnikowski i służbę jak długo zechcą, bo zamierzył ataman Lonowy na stałe mieć oddział postaniecki, więc szliśmy, bo taki żołd później, jak się w gospodarzy przemienimy, pozwoliłby nie zaczynać od wioskowych pożyczek. Jednego na trzech wybierał sotnik Jizak, a co poniektórych nawet sam ataman we własnej osobie, i dwustu czterdziestu tak przyjęto, widać do rzeczy sposobnych. A tu teraz tak: żołdu za dwa miesiące nie dano, i jeszcze pijani sotnicy z nowej władzy kazali wracać do domów. Większość rozjechała się przeklinając, nam zaś, co tu stoimy, wstyd wracać z niczym do wiosek rodzinnych. Przybyliśmy więc tutaj śladem sotni atamańskich... może by się dało jeszcze trochę posłużyć, choćby i za mniejszy żołd?

— Wszycyście z Ponestrza? — spytał Iwanko.

— Rozmaicie, panie atamanie. Jedni z Ponestrza, inni z Poboża, paru z tutejszego łowynia, a dwóch nawet z Poławucia.

— Widziałem nad Pyrutem, co umiecie, więc was biorę. Żołd dziesiętnikowski, a dla dziesiętników — sotnikowski. Za to, przez całą zimę, nieustające i nielekkie doskonalenie w broni, w czytaniu ziemiorysów, i także w sporządzaniu takowych. Jeśli są niepiśmienni, to do wiosny muszą się jako tako nauczyć czytać i pisać, bo inaczej zwolnię! Nazywacie się od teraz Atamańską Sotnią Postaniecką. Ty, panie dziesiętniku, jesteś jej dowódcą; po posiłku wieczornym przyjdiesz do mnie po buzdygan mały, a jak się będziecie przykładać do tego, co powiedziałem, to wiosną dostaniesz sotnikowski.

Parę chwil później łysy Iwanko rozłożył w swym namiocie przed sotnikiem Tuzgunem ziemiorys otrzymany od atamana Wysokiego łowynia, i powiedział:

— Spójrz, panie sotniku, gdzie będziemy zimować.

— Piekielnie daleko! — ocenił Tuzgun. — I tam chyba zimniej, niż tutaj.

— Właśnie! Znając twoją, panie sotniku, bystrą zapobiegliwość, ani nie sprawdzam, ani pytać nie śmiem, czy mamy wszystko, co niezbędne, żeby nam wojsko nie wymarzło. Chcę jednak wiedzieć, czy pamiętamy o Szkiperach? Czy mamy dla nich kozuchy? Oni ze stron niepomierne cieplejszych, i ich kąsać będzie chłód najbardziej.

Skośnooki sotnik milczał chwilę z przymkniętymi oczami, zapewne licząc coś w myśli i coś sobie przypominając, poczem odpowiedział:

— Półkożuszków mamy w nadmiarze, koców i derek także, lecz kozuchów braknie. Jeśli jest za co, to przydałoby się dokupić, zważywszy przybycie postanieckich, osiemdziesiąt przynajmniej.

— Będzie tyle w Hryzotowej Wodzie?

— Panie atamanie! W Hryzotowej Wodzie kupić można wszystko, i w każdej ilości.

Iwanko wyjął z kieszeni przygotowany mieszek, i podając go Tuzgunowi, rozkazał:

— Wyślij zaraz ludzi obrotnych po sto kozuchów! Sam nie jedź, panie sotniku, żeby nie drażnić Żawinnego. Zdążą dzisiaj?

— Zmrok się już ścięle, lecz przy dniu tak małym sklepy i składy pracują jeszcze ze trzy godziny. Idę sprawą pokierować.

— Chwilka, panie sotniku! Obiecałem, jak słyszałeś, mały buzdygan dowódcy naszych posłanieckich; mamy buzdygany?

— I sotnikowskie, i małe, panie atamanie. Kiedy zamarta już Izba Przyatamanska, zabrałem wszystko; ściany tylko zostawiłem sotnikom Enejowym. Jak odprawię oddziałek po kozuchy, to przyniosę buzdygan w zwyczajowym owinięciu.

* * *

W dniu dwudziestym czwartym miesiąca października, niewczesnie rano, popętlł spod Hryzotowej Wody na wschód długi wąż jeźdźców w kosmatych półkożuszkach i uszankach, lekkich skrzyniastych wozów i porozdzielanych na tabuniki jucnych i luźnych koni. To było wojsko atamana Iwanki Hołoda, które nazwało się „Sotniami Ponestrzańsko-Niskołowyńskimi”, ale z biegiem czasu samo tego miana coraz rzadziej używało, a niedługo już miało zastąpić jako Sotnie Łysego Iwanki, i ta właśnie nazwa przeszła do dziejznanja i do pamięci następnych pokoleń.

ZAKOŃCZENIE

Przed wiosennymi orkami 2264 roku w Księstwie Sańsko-Wy-sołockim obwieszczono

WIELKIE PRAWO KSIĄŻĘCE

O zniesieniu niewolnictwa jenieckiego, zadługowego i każdego innego.

O wolności chłopstwa lepszeckiego i zrównaniu jego praw z chłopstwem książeńcem.

O pracy i płacy godziwej.

O tydzień później dokładnie takie samo „WIELKIE PRAWO” ogłosił w Księstwie Gór Jodłowych książę Jacek Świątógaj.

Po trzech tygodniach w obu Księstwach zerwały się powszechne powstania lepszecki, od razu wsparte uderzeniami wojsk donajeckich i bożogórskich.

Pod koniec czerwca do wojny włączyło się Cesarstwo Północne siłami zależnego już wtedy Księstwa Wiprzeńskiego oraz namiestnika Jasnorosi, Czarnorosi, Mokrego Kraju i Łowynia — Jakowa Rednera.

Takie były początki kilkuletnich, niebywale zajadłych zmagających między tymi, co przyjmowali, że wszyscy ludzie powinni żyć z pracy własnych rąk i umysłów, a tymi, którzy uznawali, przyrodzone jakoby, prawo nielicznych do życia z trudu liczniejszych.

W tej wojnie szczególnie lęk jednej ze stron budziły Sotnie Łysego Iwanki, powiększające się stopniowo o atamanskie, a później również wioskowe wojska Ziem Malwowych. Większą jeszcze trwogę, niż ich porażająca biegłość bitewna, rodziła nie mieszcząca się w rozumie wrogów chyżość ich niedostrzegalnych przemarszów, pozwalająca na zjawianie się w miejscach najmniej spodziewanych, w której to niepojętej lotności dopatrywano się nawet, nie całkiem bezpodstawnie, czegoś pozaprzyrodzonego. Ta wojna, jak każda, powikłała wiele ludzkich dróg i losów, lecz, jak mało która, wyprostowała drogi narodów, na trwałe zbliżając do siebie te, co podobnie pojmowały Boskie prawa i najgłębszą treść zbiorowego życia ludzi na znów — po technoczesnej przerwie — zielonej Ziemi.

Koniec

POSŁOWIE

Niezwykła to książka, jak niezwykły był jej Autor — filolog-iranista, dziennikarz, pisarz, tłumacz, elektronik-amator... Przeszedł do legendy Uniwersytetu Jagiellońskiego jako wybitna postać II Domu Studenckiego „Żaczek”, gdzie przez wiele lat kierował najlepszym radiowęzłem studenckim w kraju „Alma-Radio”.

Roman Danak urodził się w 1935 roku w Tryńczy nad Sanem i Wisłokiem, na pograniczu dwóch kultur — polskiej i ukraińskiej (stąd w powieści właśnie Księstwo Sańsko-Wysołockie zaprzyjaźnione z Ponestrzem). Z dzieciństwa wyniósł gorzkie wspomnienia o bezwzględnej, totalnej wojnie, co również znalazło swój wyraz w powieści.

Po wojnie zamieszkał w Krakowie. W roku 1958 ukończył studia orientalistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim i podjął pracę w „Alma-Radio” doprowadzając radiowęzeł do nigdy przedtem ani potem osiągniętych wyżyn. Jego pasją stała się elektronika, muzyka, publicystyka. A był to gorący, popadziernikowy czas. Jednocześnie zbliżał się wielki jubileusz — 600-lecie Akademii Krakowskiej. W tych wydarzeniach Roman brał nader czynny udział — i w „Alma-Radio” jako spiker-publicysta, i w studenckim klubie „Nowy Żaczek”. To w tym okresie debiutował — m.in. również dzięki radiowęzłowi i klubowi — Leszek Długosz i Leszek A. Moczulski. To z tego okresu wywodzą się późniejsi prezenterzy telewizyjni, dziennikarze i publicyści (nie tylko krakowscy), pisarze. „Alma-Radio” i „Nowy Żaczek” stały się kuźnią nowych idei oraz poglądów politycznych — na długo przed tym, nim zaczęto mówić o pluralizmie. W licznych dyskusjach Roman Danak dał się poznać jako człowiek o zdecydowanej osobowości, niezależny w sądach i aż do przesady nonkonformistyczny.

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych Roman Danak pracował w radiowęzle Miasteczka Studenckiego w Krakowie, w redakcji „Echa Krakowa” i w Rozgłośni Polskiego Radia w Krakowie nadal pozostając wierny swym pasjom: elektronice, muzyce, publicystyce (m.in. tłumacząc artykuły z obcych języków). Następnie, od 1972 roku, pracował w filii krakowskiej Spółdzielczego Instytutu Badawczego, zajmującego się problematyką socjologiczną środowiska mieszkaniowego, co nie pozostało bez wpływu na jego twórczość, że przypomnę ironiczne, satyryczne jego opowiadanie *Tajemnica miasta Os Azuri*; również ta powieść świadczy o zainteresowaniu socjologią przez jej Autora.

Właśnie potrzeba szerszego i głębszego wypowiedzenia się — niż w otamowanej wymogami cenzorskimi publicystyce — zwróciła jego zainteresowania ku literaturze. Wprawdzie debiutem literackim Romana Danaka było *Siedem banalnych opowieści* opublikowanych na łamach „Życia Literackiego” w 1961 roku, to jednak dopiero w science fiction (której był miłośnikiem) jego twórczość znalazła pełny wyraz, zaś dawne zacięcie publicystyczno-polityczne przejawiało się np. w opowiadaniu *Powiedział nam kapitan*.

Właściwym debiutem SF było słuchowisko *Temida* nadane w Polskim Radiu Kraków w 1967 r., opublikowane potem w 1968 r. w „Młodym Techniku” (pod pseudonimem Zbigniew Skawski), a następnie przetłumaczone na esperanto i wydane w zbiorze *Prognozio* w 1973 roku.

Wreszcie w roku 1977 ukazał się nasz zbiór opowiadań SF pod wspólnym tytułem *Jana Ciągwy władza nad materią*. Zbiór, zawierający dwadzieścia opowiadań, wydały „Iskry” w poczytnej serii Fantastyka — Przygoda. Należy w tym miejscu podkreślić, że w tytułowym opowiadaniu *Jana Ciągwy władza nad materią* Roman Danak podjął po raz pierwszy tematykę „fantastyki rustykalnej” tak wyraźnie obecnej w opublikowanej powieści, co zostanie omówione dalej. Opowiadanie to zostało — ze względu na wartości publicystyczne i

socjologiczne — przetłumaczone na węgierski (*Jan Ciqgwa hatalma az anyag fölött*) i wydane w antologii *Galaktika* w 1982 roku.

Kolejne opowiadania Roman Danak zamieszczał w „Politechniku” i w „Młodym Techniku” — m.in. było to futurologiczno-polityczne opowiadanie *Kmu* (opublikowane pod pseudonimem Roman Kańda) i *W pustym sektorze* (pod pseudonimem Zbigniew Skawski).

Pod koniec lat osiemdziesiątych — ze względu na zły stan zdrowia — Roman Danak przeszedł na rentę nadal zajmując się ulubioną elektroniką i nagraniami. Z uwagą też śledził zachodzące przemiany pozostając bezkompromisowym przeciwnikiem totalitaryzmu pod każdą postacią — czy to „czerwoną”, czy to „czarną”, czy obłudnie liberalną, prowadzącą do wyniszczenia społeczeństwa. W tym właśnie czasie rozpoczął pisać swoją ostatnią (i pierwszą) powieść *Sotnie tysego Iwanki*, w której zawarł przemyślenia swego dotychczasowego życia oraz poglądy na temat polityczno-społecznych zmian minionych czterech lat. Powieścią tą jakby nawiązywał do wcześniejszych utworów: *Jana Ciqgwy władza nad materią* oraz *Kmu*, w których narastające problemy zostały zaledwie zarysowane.

Utwór *Sotnie tysego Iwanki* nosi podtytuł Powieść SF, ponieważ jego akcja rozgrywa się w drugiej połowie XXIII stulecia po totalnej katastrofie wywołanej prawdopodobnie przypadkowym uruchomieniem potężnie rozbudowanych systemów okołoziemskich i księżycowych broni laserowych — rozbudowanych i skomputeryzowanych, autonomicznych, zdolnych do uzupełniania zapasów swoich zasobów energetycznych dzięki bezpośredniemu gromadzeniu i przechowywaniu energii słonecznej.

Systemy owe — jak się należy domyślać — były przeznaczone do niszczenia uzbrojenia konwencjonalnego (jak w tzw. wojnach gwiazdnych), zapasu paliw, a także do likwidacji wszelkich szlaków komunikacyjnych oraz całego zaplecza energetycznego poprzedniej (tj. naszej) cywilizacji. Z rozrzuconych w tekście powieści wzmianek można też domniemywać, że uaktywnienie systemu defensywnego nastąpiło na skutek rozmyślnego wprowadzenia wirusa komputerowego — być może przez programistę owładniętego ideą powszechnego rozbrojenia albo związanego ze skrajnymi ruchami ekologicznymi, marzącymi o powrocie do natury. Jakkolwiek się to odbyło, katastrofa globalna spowodowała załamanie się cywilizacji technicznej i całkowite zniszczenie — chociaż nie bezpośrednie — ośrodków miejsko-przemysłowych, w których i tak już żyć było nie sposób.

Odrodzone, po około dwóch wiekach chaosu i głodu, społeczeństwo jest zatem społeczeństwem rustykalnym, żyjącym zgodnie z naturą. Powieść ma więc również wydźwięk proekologiczny, lecz w innym wymiarze, niż pomysły niedojrzałych „zielonych”. Niemniej jednak konflikty w tym nowym społeczeństwie nadal istnieją, ponieważ łatwiej jest zniszczyć cywilizację niż zmienić stereotypy zachowań ludzkich.

Głównym motywem przewodnim powieści jest zatem odwieczna walka dobra ze złem, lecz już w całkowicie odmiennych warunkach, ponieważ wciąż funkcjonujące autonomiczne systemy kontroli orbitalnej nie pozwalają na odtworzenie cywilizacji technicznej, cywilizacji wielkich miast. Na ziemi zapanował swego rodzaju neofeudalizm rustykalny i podczas gdy większość społeczeństw pragnie żyć w spokoju i sprawiedliwości, to inne wciąż i wciąż podejmują próby utworzenia totalitarnych imperiów, chociaż w skarłatej już formie, od czego jednak nieszczęście wcale nie jest mniejsze. Konflikt pomiędzy tymi stronami stanowi główną oś utworu.

Wypada w tym miejscu zauważyć, iż powieść powstawała, kiedy jeszcze nie dokonał się rozpad Imperium Radzieckiego, nie wybuchła wojna w Jugosławii i nie pojawił się kandydat na twórcę nowego imperium totalitarnego — Żyrynowski. Podziwiać tylko należy przenikliwość Autora, który z oznak zaledwie rozkładu dostrzegł, ku czemu zmierza nasz szalony świat.

Konstrukcja utworu różni go jednak zasadniczo od innych powieści katastroficznych, w których ludzkość bądź to ulega całkowitej zagładzie (lub degeneracji), bądź też mozolnie odtwarza cywilizację naukowo-techniczną ponownie dążąc do zagłady (zob. np. *Kantyczkę dla Leibowitza* F. Millera). Konsekwentnie przestrzegając zasady rustykalności społeczeństw Autor konstruuje zadziwiająco spójny świat — zarówno w sferze materialnej, jak i duchowej, a także językowej. Co więcej, powieść ma wyraźne odniesienia do uwarunkowań stosunków polsko-ukraińskich — i to nie tylko historycznych, ale również obecnych, kiedy znów występuje wspólne zagrożenie. W powieści Autor sugeruje, iż powinowactwo losów istnieje również w zachowanym w postaci podobnego sposobu myślenia pogranicza polsko-ukraińskiego, wyraźnego w śladach dawnej kulturowej wspólnoty ludzi żyjących między Sanem, Horyniem a górnym Bohem.

Łatwo także można odnaleźć pewne podobieństwo „genów kultury” rdzennej ludności części Małopolski (w powieści — Ligi Małolackiej), co zapewne dałoby się powiązać z istnieniem na tym obszarze w VIII i IX wieku siedziby Lędzian, przesuwających się następnie na wschód, aż do zagadkowego rozpląnięcia się i utraty własnej nazwy plemiennej, po której ślad zachował się tylko w języku węgierskim, litewskim, ukraińskim i — za pośrednictwem tego ostatniego — w językach tureckich oraz irańskich. Ten wątek również został zasygnalizowany w powieści — jak np. przyjaźń Księstwa Sańsko-Wysołockiego z Księstwem Gór Jodłowych i z Ponestrzem. W taki oto sposób, poprzez otchłań czasu, Autor wiąże wydarzenia sprzed ponad tysiąclecia z wydarzeniami rozgrywającymi się obecnie i (w powieści) za około trzysta lat.

Jednoznacznym wnioskiem z powieściowej analizy wyżej wymienionych uwarunkowań politycznych oraz kulturowo-mentalnościowych jest to, że okresy wrogości między Polakami a Ukraińcami — często przez ludzi złej woli wyjaśniane rzekomo prastarym podłożem i rzekomo diametralnymi przeciwieństwami genetyczno-kulturowymi, były w gruncie rzeczy zjawiskami przynoszonymi i narzucanymi z zewnątrz, mającymi charakter wyłącznie polityczny w celu poróżnienia obu narodów.

Drugim tematem powieści — traktowanym o wiele mniej serio, ale jak najbardziej zgodnie z założeniami — są zawarte w książce rozważania, co też powstałoby, gdyby połączyć w jedno bractwowy ustrój i cechy kulturowo-emocjonalne Kozaczyzny naddnieprzańskiej z chłopskim zamiłowaniem do ziemi (roli), chłopską gospodarką solidarnościową i chłopskim zamiłowaniem do wioskowej wspólnoty ustrojowej — w dodatku w zderzeniu z niewygaśniętymi imperialnymi zakusami krajów ościennych.

Trzecim natomiast tematem utworu są rozważania, jakie byłyby możliwe drogi rozwoju społeczeństw i państw tworzących się (po globalnej katastrofie i okresie chaosu) niemal wyłącznie na bazie rustykalnej.

Wszystkie wymienione elementy nakładają się na siebie na prawach przyjętej konwencji social SF i eksperymentu futurologicznego. Ale utwór jest fantastyczny nie tylko w sferze założeń historyczno-socjologicznych, lecz również językowych — ze względu na konsekwentne używanie ewoluującego języka, wywodzącego się z dialektów pogranicza polsko-ukraińskiego. Jest to język prosty, unikający zapożyczeń z zachodniego kręgu kulturowego, lecz nie stroniący przecież od zapożyczeń z języków orientalnych i ukraińskiego. Język powieści nie jest pozbawiony pewnej, charakterystycznej dla stylistyki „statecznego” chłopstwa, archaizującej pretensjonalności, a także takich cech „gospodarskiej”, kmieiej mowy, jak skłonność do wypowiedzania całości kwestii w jednym ciągu i — z drugiej strony — do nieprzerywania mówiacemu.

Łatwo też zauważyć, iż Autor całkowicie zrezygnował z posługiwania się tekstem refleksyjnym jako nazbyt już wyeksploatowanym, a w dodatku służącym do niepotrzebnego w

istocie rzeczy „wymądrzania się”, czyli ustawiania siebie samego na pozycji kreatora, nieskończenie bardziej rozumnego od czytelnika.

I jeszcze jedna cecha tej powieści — w odróżnieniu od obecnego zalewu drugorzędnej literatury science fiction (i nie tylko SF). Autor jak najbardziej świadomie zrezygnował z tzw. śmiałych wątków erotycznych, które zresztą byłyby nie na miejscu w przedstawianej społeczności rustykalnej, postkatastroficznej, winiącej poprzednią cywilizację za nadmierne interesowanie się sprawami tylko ciała. Brak jest ponadto, w odróżnieniu od wielu współczesnych miernej jakości utworów, brutalnej, drapieżnej fabuły sensacyjnej mającej szokować czytelnika. A jednocześnie Autor nie ukrywa przecież wydarzeń gwałtownych, wywołujących sprzeciw społeczeństw zdecydowanych żyć w spokoju i sprawiedliwości, starających się przeciwdziałać przejawom neototalitaryzmu, w czym ludzkość znajduje sprzymierzeńców wśród tańców, tych ofiar makabrycznego eksperymentu genetycznego przeprowadzonego przypuszczalnie na początku trzeciego tysiąclecia.

Rzeczywiście, niezwykła to książka stanowiąca fenomen na tle współczesnej prozy science fiction (i — być może — nie tylko SF), będąca przykładem kreacji konsekwentnie spójnego świata — świata przyszłości bądź... alternatywnego, z wyraźnymi jednak odniesieniami do naszych czasów.

Czytelnik zapewne zauważył, że powieść — mimo iż bardzo obszerna — sprawia wrażenie pierwszej zaledwie części większego cyklu. Jest to trafny domysł. Wskazuje zresztą na to bardzo długi „Prolog” będący zapowiedzią jakby również dalszych wydarzeń.

Roman Danak ukończył swoją powieść w lipcu 1993 roku. W częstych rozmowach ze mną mówił o dalszych planach i pomysłach, o konieczności napisania drugiej części. Oczywiście przyjęta konstrukcja utworu pozwala snuć czytelnikom domysły co do dalszych wydarzeń. Niemniej jednak dalsza część była przewidziana...

Niestety, w dniu 7 stycznia 1994 roku Roman Danak zmarł po drugiej i ciężkiej chorobie przeżywszy zaledwie 58 lat.

Cóż pozostało, oprócz Jego twórczości? Przede wszystkim pamięć o Nim wśród przyjaciół i kolegów. Oraz legenda, mimo iż nie zdążył wziąć udziału w przygotowaniu projektowanej „Kroniki «Żaczka»”. Pozostał luźny konspekt dalszego ciągu powieści, kilka nie opublikowanych opowiadań, znakomita aparatura elektroniczna (nagłaśniająca), nagrania. Lecz i w tym względzie los nie oszczędził Go — w trakcie tynkowania budynku, w którym mieszkał, nieznani sprawcy skradli część wspaniałych nagrań.

Być może czytelnicy otrzymaliby całość powieści, gdyby swego czasu wydawnictwo „Glob” w Szczecinie nie wycofało się z wcześniejszych ustaleń uzgodnionych z Autorem, co spowodowało i zniechęcenie, i opóźnienie w napisaniu tej książki. Zresztą, tylko dzięki Wydawnictwu WSP w Rzeszowie mogła ukazać się ta niezwykła powieść będąca swoistym eksperymentem socjologiczno-futurologicznym oraz kulturowo-językowym.

„Kraków ma wielu niespokojnych, oryginalnych, ciekawych ludzi. I każda taka osobowość, indywidualność tworzy niepowtarzalną atmosferę tego najdziwniejszego pod księżycem miasta. Bez takich ludzi jak Romek Kraków nie byłby Europą. I dlatego każda przedwczesna śmierć KOGOŚ — jest tu niepowetowaną stratą”.

Roman był moim przyjacielem i mentorem. Wspólnie pisaliśmy niektóre opowiadania. Zawsze też służył radą i pomocą, nie tylko wtedy, kiedy sam pisałem opowiadania, lecz również wtedy, kiedy powstawały moje popularnonaukowe książki. Był ich pierwszym, surowym i wymagającym, czytelnikiem i krytykiem.

Włodzimierz Wysocki, którego twórczość bardzo cenił Roman, śpiewał był:

Uchodiat, uchodiat druzja,

Odni w nikuda, a drugije w kniazja...

Odchodzą nasi przyjaciele, lecz nie sądzę, że donikąd, albowiem „Nic z tego, co działo się w przeszłości, nie ginie. Cicho i niepostrzeżenie może w nas trwać i oddziaływać w nieuchwytny, niedostrzegalny sposób” — jak to pięknie ujął Ivar Lissner.

Zbigniew Dworak